józef
hen
dziennika
ciąg dalszy

józef

hen

dziennika ciąg dalszy

© Copyright by Józef Hen
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2014

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH: Jakub Pierzchała
Na okładce wykorzystano fotografię Czesława Czaplińskiego
OPRACOWANIE ALBUMIKU: Marek Pawłowski

REDAKTOR PROWADZĄCY: Krzysztof Lisowski
REDAKCJA: Anna Rudnicka
KOREKTA: Etelka Kamocki, Anna Pawlikowska, Urszula Srokosz-Martiuk, Małgorzata Wójcik

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05725-4

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Spis treści

2008

- Styczeń
- Luty
- Marzec
- Kwiecień
- Maj
- Czerwiec
- Lipiec
- Sierpień
- Wrzesień
- Październik
- Listopad
- Grudzień

2009

- Styczeń
- Luty
- Marzec
- Kwiecień
- Maj
- Czerwiec
- Lipiec
- Sierpień
- Wrzesień
- Październik
- Listopad
- Grudzień

2010

- Styczeń
- Luty
- Marzec
- Kwiecień
- Maj
- Czerwiec
- Lipiec
- Sierpień
- Wrzesień
- Październik
- Listopad
- Grudzień

2011

- Styczeń
- Luty
- Marzec
- Kwiecień
- Maj
- Czerwiec
- Lipiec
- Sierpień
- Wrzesień
- Październik
- Listopad
- Grudzień

2012

- Styczeń
- Luty
- Marzec
- Kwiecień
- Maj
- Czerwiec
- Lipiec
- Sierpień
- Wrzesień
- Październik
- Listopad
- Grudzień

2013

- Styczeń
- Luty
- Marzec
- Kwiecień
- Maj
- Czerwiec
- Lipiec
- Sierpień
- Wrzesień
- Październik
- Listopad
- Grudzień

Albumik fotografii z archiwum rodzinnego

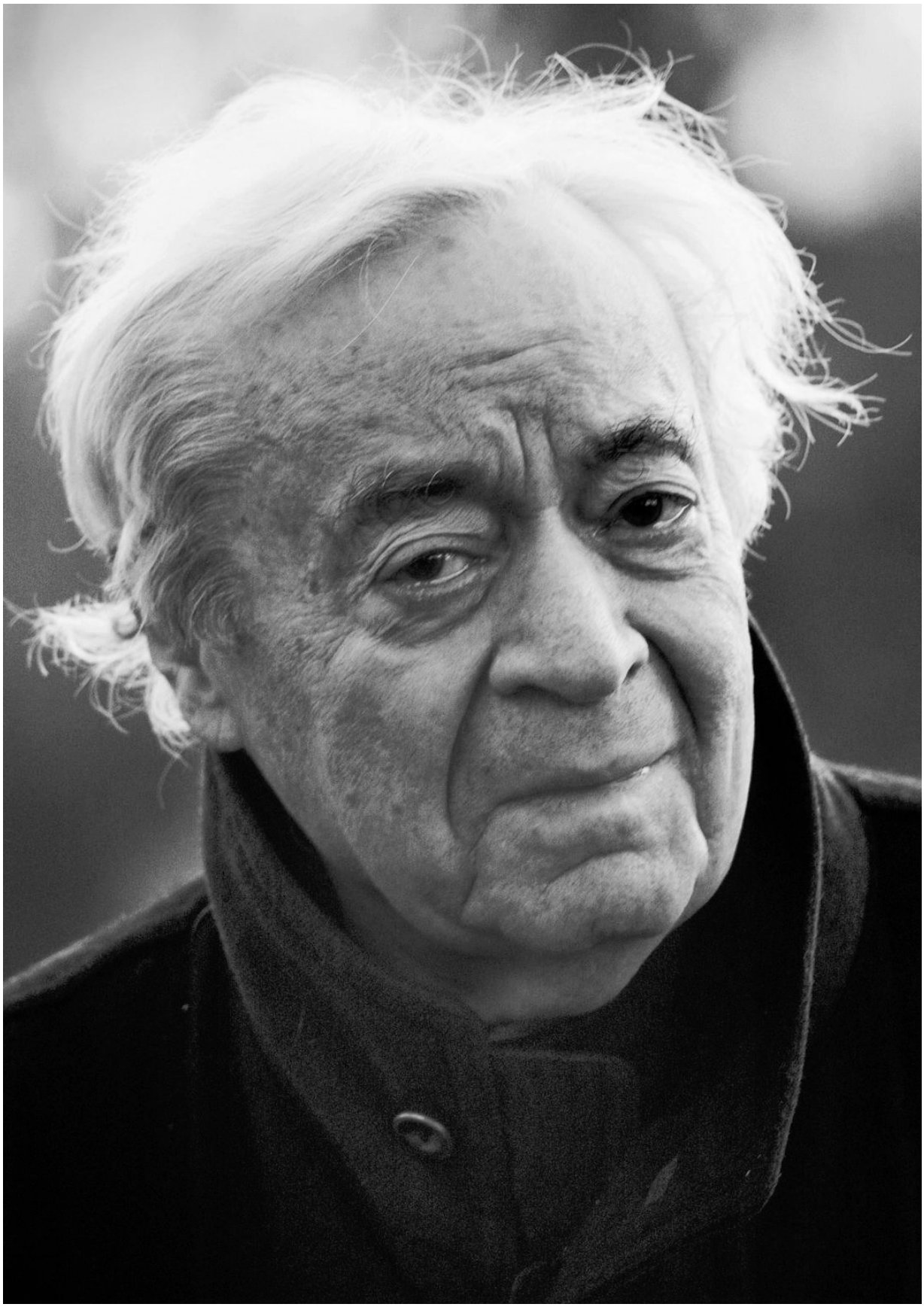

FOT. M. HEN

2008

Zacznę od powtórzenia notatki, którą zakończyłem *Dziennik na nowy wiek:*

„Północ. Zaczął się rok 2008. Rena zasnęła mocno — bez kolacji — chyba zaraz po ósmej wieczór. Wypiłem o północy jej zdrowie, wypiłem zdrowie dzieci, wnuków, przyjaciół, gorzko-słodkim migdałowym amaretto. Zagryzłem kawałkiem kiełbasy polskiej (czysty cholesterol), do tego kiszony ogórek, kromka suchego chleba. Smakowało”.

Styczeń

K o n s t a n c i n, środa. Przez te tygodnie, w których nic nie odnotowywałem, zdarzyło się wiele, ale nie miałem ani sił, ani chęci, ani — w takim stanie ducha — możliwości, by do notesu zaglądać. Zajmowałem się Reną, zakupami, gotowaniem. Przeszedłem zapalenie oskrzeli, ale zanim poszedłem do lekarza (kiedy sam postawiłem sobie diagnozę), próbowałem zapobiec chorobie, zażywając rutinoscorbin i aspirynę. (Przeziębiłem się, czekając na zimnym wietrze na taksówkę, którą miała wrócić od dentystki Rena). Przedtem narzekałem na bóle, niemal niedowład nóg. Zacząłem podejrzewać najgorsze. Któregoś dnia, jeszcze przed pójściem do lekarza, zauważyłem, że poruszam nogami raczej swobodnie. Czyżby jedna choroba, ta nowa, przepędziła tę starą? (To by ucieszyło Montaigne’a, który utrzymywał, że chorobie trzeba dać się zestarzeć). I nagle: mam! Przecież zażywałem aspirynę! To aspiryna zaktywizowała mięśnie nóg. Lekarka to moje „odkrycie” potwierdziła.

Miesiąc minął na zmaganiach z przydzieloną mi przez wydawnictwo Redaktorką. Protestowałem przeciwko temu, skoro już omówiliśmy przedtem sprawy z ukazaniem się *Pingpongisty* z p. Darkiem Sośnickim. Usłyszałem, że taka jest „procedura”. Spotkaliśmy się z p. Redaktorką i przypomniałem jej, co powiedział Montaigne o pewnych uwagach krytycznych: „Wolę błędy, które są m o j e, od poprawności, która jest c u d z a”. Specjalnie się tym nie przejęła. Potraktowała mnie gorzej niż debiutanta, bo jak ucznia gimnazjum, który nie wie, jak stawiać przecinki (ona wie, nie zna tylko szkicu Boya *O święte prawo do przecinka*), i nie wie, w którym miejscu wpisać w zdanie orzeczenie (ona wie).

Wpisała ołówkiem w książce, która liczy 170 stron, ok. 1400 ingerencji, od 6 do 10 na każdej stronie. Cztery dni spędziłem pracowicie na „wygumkowaniu” ich, żeby śladu nie zostało. Z maniakalnym uporem zmieniała mi myślniki (którymi ja chętnie operuję) na przecinki, czyli zmieniała stylistykę autora, ale w dwóch miejscach, gdzie ja posłużyłem się przecinkami, zmieniła je… na myślniki. Byle zmieniać.

Wciąż niszczy bezpośredniość, kolokwialność narracji. Nie daj Boże, jeśli się w zdaniu powtórzy jakieś słowo. Bohater, Mike, mówi: „Więc ta metryka, ta, którą pan miał w ręku, była fałszywa?”. Pani Redaktor skreśla oczywiście drugie „ta”, zostaje monotonne: „Więc ta metryka, którą miał pan w ręku…”. Ja piszę: „Poezja często ukrywa się w prozie, w prozie pańskiego życia”. Powtórzenie! — reaguje i skreśla drugie „w prozie”. (Powiedziałem pani Beacie Stasińskiej: „Przecież ona sama dopiero co użyła powtórzenia; rozmawiając z panią na pewno powiedziała: — Bo t e n Hen, t e n zakichany pisarz…”. Stasińska buchnęła śmiechem).

Kiedy ja piszę „on był dużo lepszy”, pani redaktor zmienia to na „z n a c z n i e lepszy”, uciekając od języka powszedniego w język referatu.

Ja piszę o chłopcu, że powie, ona zmienia to na oświadczy.

„Rzekł”, „odrzekł” — nigdy tak nie piszę. Tak samo jak „przeto”, „wszak”, „aczkolwiek”, w czym lubują się autorzy homilii publicystycznych.

Pani Aldona o mężu: „To chuchro rąbało lasy”. Redaktorka po „chuchro” wciska: „— rozczuliła się”. To jest komentarz! Rozczulić się ma czytelnik, narrator powinien być oszczędny.

Pani Redaktorka, kiedy zobaczyła, że 95 procent ingerencji wytarłem gumką, obrażona wycofała swoje nazwisko. „I słusznie — powiedziałem p. Sośnickiemu. — Nie wykluczam, że jest dobrze obeznana z prozą samego Tomasza Manna, ale na moją prozę jest głucha”.

Luty

Pingpongista ma się ukazać 20 marca. Jestem pełen niepokoju. Myśli zawarte w powieści chyba są znaczące, czasem oryginalne, ale jaki jest poziom literacki, autor dowiaduje się dopiero po opublikowaniu. Niekoniecznie od innych. Konfrontacja autora z drukiem jest dla niego samego sprawdzianem.

W serii biograficznej W.A.B. wyszedł mój Boy: *Błazen — wielki mąż.* Książka odżyła. Czyta ją nowy czytelnik, czyta i ten starszy, który przedtem jej nie zauważył. Dział promocyjny wydawnictwa wykazał się sprawnością. Było sporo rozmów radiowych, także na żywo. Kiedy się z przepytującymi rozmawia, szczególnie prywatnie, widać, że są zadowoleni, że Boy się przebija. Pracują w „pisowsko-narodowym” radiu, ale nie ma wątpliwości, że zgrzytają zębami, słuchając pewnych wypowiedzi. Ten notes nie jest po to, żeby te wypowiedzi przekazywać. Kilka dni temu pomyślałem sobie: a może u tego gościa są jakieś zmiany w mózgu? Może krwiak? Może guz?

Może niedotlenienie, które powoduje złość, jadowitość, tworzy mity insynuacyjne?

Po zakończeniu nagrania dla radiowej Dwójki wspomniałem dziennikarzom w kilku zdaniach o *Pingpongiście.* Świetnie odebrany został przytoczony przeze mnie dialog o Sodomie: że może i było w niej 10 sprawiedliwych, ale s p r a w i e d l i w i b a l i s i ę u j a w n i ć. Odprowadzając mnie do samochodu, dziennikarka powiedziała: „Dobrze, że pan się wziął do tego tematu". A ja się boję przemilczenia. (Nie ataków).

W miesięczniku „Diabetyk", w którym (o czym wspominałem w ubiegłym roku) jest wywiad, jaki przeprowadziła Joasia Tomczak, jestem na okładce jako mąż cukrzyczki, a w środku na całą stronę nasze jedyne z Reną wspólne zdjęcie sprzed 65 lat, w Samarkandzie! Pamiętam, że fotograf pracował naprzeciw murów Registanu, ale nic się tym kilkusetletnim zabytkiem nie przejmował, rozwiesił między drzewami starą płachtę i na tym tle kazał nam stanąć. Fotografia, jak mówiono w Michalinie, „momentalna". Nieźle sobie wyglądamy! I wcale nie widać, że tak trudno nam się żyło, nieraz głodno; jestem w przyzwoitym angielskim płaszczu wojskowym i w wojskowym golfie. Nie wiedziałem, jak Rena zareaguje na tekst wywiadu (który jest hołdem jej złożonym). Madzia pokazała jej w kuchni zdjęcie, Rena zdaje się wzruszona, powiedziała potem, jakby nagle dokonała odkrycia: „Ładny chłopiec byłeś". „Pewnie tak, skoro mnie sobie wzięłaś".

Mimochodem powiedzieliśmy Renie (Madzia się z tym odezwała), że Stella, moja siostra, nie żyje — „Nie żyje?" — „Tak, od kilku miesięcy". I więcej się na ten temat nie odezwała, przyjęła to (nie bez powodu) jako coś naturalnego.

Poszedłem do mojego banku, zaktywizować nową kartę, której o mało nie wyrzuciłem, bo myślałem, że znowu jakaś uwodzicielska oferta — nie znoszę tzw. „korzystnych” ofert — ale okazało się, że przypadkiem ją zachowałem. Człowiek ubiegłego stulecia, mam kłopoty z dzisiejszym życiem — tak jak Charlie w *Dzisiejszych czasach*. Z jego techniką, wymogami, które pokoleniu za biurkiem, zapatrzonym w komputery, wydają się oczywiste i tak są z tym zrośnięci, że gubią się, jeśli wydarzy się „awaria komputera” (co następuje notorycznie), są wtedy bezradni, nie załatwią interesanta, bo nie wiedzą, co to jest notes i ołówek, i własna pamięć.

K o n s t a n c i n. Niepokój o Renę, jest sama w mieszkaniu. Wczoraj wieczorem, kiedy telefonowałem z Konstancina, nie odzywała się. Dzisiaj rano mówiła, że się denerwowała, bo ja dzwoniłem, żeby ona otworzyła mi drzwi — i się nie pojawiłem. A przecież powinna wiedzieć, że ja mam wszystkie potrzebne klucze i nie korzystam z domofonu. Musiało jej się to śnić, ale wygląda na to, że ona z coraz większym trudem odróżnia sen od jawy.

Mam nowy tapczan. Madzia bardzo dumna, że to załatwiła. Gabinecik zyskał. Stary tapczan służył z grubsza 40 lat, zrobiony na zamówienie, żeby zmieścił się w przeznaczonym na niego miejscu.

Beata C. przygnębiona wiedzą z książki J.T. Grossa *Strach* (ale to ona opowiadała mi o antysemickich rozmówkach w bibliotece). Dzwoni, żeby się podzielić tym swoim przygnębieniem.

K o n s t a n c i n. Jutro wyjeżdżam. Jedyny dorobek z pobytu, to trochę wpisów do dziennika. Wątpliwej jakości. (Nie wszystkie ujawnię). Dziś powinienem ciągnąć „opowieści marcowe” dla „Stolicy”, na podstawie

notatek własnych. Chyba mam prawo szczerze wyznać, że nie bardzo mi się chce. Rano byłem w gabinecie dentystycznym na zabiegu czyszczenia zębów. Tortura. Czułem się jak bohater filmu *Maratończyk*, przerażony Olivierem jako dentystą esesmanem. „I po diabła mi to było? — powiedziałem po zabiegu. — Żeby się podobać. — Za późno”. A w ogóle gratulacje z powodu tego, że wszystkie zęby mam swoje.

Wczoraj o 22.45 mignąłem w programie „Ulice kultury”. Czyste kpiny. Rozmawialiśmy przecież z redaktorem około 15 minut; były interesujące pytania i chyba treściwe odpowiedzi. Nic z tego nie weszło, prócz stanowczego mojego stwierdzenia, że książka o Boyu to nie jest powieść, lecz biografia. Na pytanie (może nazbyt proste), kim byłby Boy dzisiaj, odpowiedziałem, jak się okazuje z uśmieszkiem: „Bardzo starym człowiekiem”. Potraktowano to jako puentę.

Ale co można wiedzieć o aktywności Boya, gdyby był nam współczesny? Może zamknąłby się w domu z obrzydzenia wobec tego świata, wobec szaleństw i świństw w Internecie, triumfu ludzi złych i głupich.

„Jestem wstrząśnięta” — powiedziała p. Beata Stasińska, kiedy jej zreferowałem pewne „poprawki”, na które pozwoliła sobie p. Redaktorka. A potem: „Dobrze, że się pan nie poddał”. Widocznie zna autorów, którzy się poddają. Ale ten autor, który z nią teraz rozmawia, ma świadomość, po tylu latach pracy, dlaczego sformułował coś tak, a nie inaczej.

Usłyszałem od p. Beaty, że chciałaby mieć w komputerze *Nowolipie*, *Najpiękniejsze lata* i *Nie boję się bezsennych nocy*. (Dopisek z 2014 r.: wszystkie te książki opublikowało wydawnictwo W.A.B.). W Paryżu, powiada, mam gromadkę wielbicieli *Nowolipia*.

I wreszcie rozmowa o przyszłości. Pani Beata proponuje, żebym napisał wspomnienia z PRL. Ja tłumaczę, dlaczego takie wspomnienia nie mogą mieć tej aury, co *Nowolipie*, wspomnienie o świecie zaginionym. O PRL nie da się pisać z nostalgią ani lirycznie. Chyba że ktoś w tych czasach przeżył młodość, miłość, może i przejściowe upojenie ideowe. Ludzie? Większość nazwisk, kiedyś w środowisku popularnych, nic nikomu nie mówi. Chyba że — jak Dygat czy Andrzejewski — poprzez film. Kto wie dzisiaj, kto to był Zbigniew Bieńkowski? A Władysław Bieńkowski? Proponuję coś, co mi chodzi od pewnego czasu po głowie: dzienniki początku wieku, 2000–2008, z tym że ja przeglądam jakieś papiery, listy i coś mi się przypomina. (Np. spotkanie ze Świerczewskim w Lubartowie, za czasów PKWN). „Świetny pomysł” — na to p. Beata. Praca musi potrwać najmniej rok — oboje jesteśmy tego samego zdania. „Dobrze, ale kiedy ja będę żyć?!” — mówię z rozpaczą. „To jest właśnie życie! Ma pan wspaniałą starość, panie Józefie. Jest pan twórczy!” Ale kiedy ja się powałęsam osłabłymi nogami po Paryżu?…

Niespodziewany SMS od Ewuni z Londynu: TĘSKNIĘ DO WAS. Wzruszony prawie do łez. Odpowiadam: „I my do Ciebie”. „Co w domu?” Najwyraźniej wybuch nostalgii u studentki London King’s College. (W starym „Przekroju”: „Najlepsze lekarstwo na nostalgię — powrót”). Posyłam SMS-a: „W domu wszystko w porządku. Boy świetnie idzie. Co u Ciebie?”. „Uczę się cały czas. I też świetnie mi idzie”.

Koszmarne teksty przytaczają w artykułach Teresa Bogucka i Andrzej Friszke o inspirowaniu i sterowaniu polskim antysemityzmem. Szokujący (mnie — innych może nie tak) list kościelny do rządu w Londynie („powinniśmy być wdzięczni Niemcom, że pozbywają nas plagi

żydowskiej”). Książka Chodakiewicza *Po Zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944–1947* (sygnowana przez IPN), sławiąca NSZ, atakująca demokratów i oczywiście Okrągły Stół. Antykomunizm rozgrzesza wszystko! I jeszcze czarno-biała, infantylna wersja historii PRL: inteligencja kolaborowała, a lud walczył z reżymem. A przecież, przypomina Friszke, to „lud” tworzył aparat partyjny, administrację prowincjonalną, milicję i UB. Polacy — podziwia p. Chodakiewicz — porządnych Żydów aprobowali, np. Ludwika Cohna, Hulewiczową, S t e f a n a K i s i e l e w s k i e g o (matka Żydówka). Friszke oburza się: to byli uznani Polacy, a Żydami można ich było nazwać tylko wg ustaw norymberskich (które p. Chodakiewiczowi najwyraźniej odpowiadają). Postać Mikołajczyka ten pan całkowicie pominął. (Wiadomo: kolaborant!). Ciekawe, co na to przywództwo PSL? Zdaje się, że oni do okresu PRL wolą nie nawiązywać. Wolą odwoływać się do Witosa, a jeszcze wcześniej do wozu Drzymały i śpiewać bezsensowną *Rotę*.

Rena: „Daj mi gazetę, ale bez tych artykułów”. Zna ogólną prawdę o sytuacji, ale nie chce z nią się stykać. (Powinno się jej dostarczać specjalne wydania gazety z samymi dobrymi wiadomościami; tak jak, podobno, drukowano dla starego miliardera, Johna D. Rockefellera, specjalne wydania „New York Timesa”, w których sprawozdania giełdowe podawały taką cenę baryłki ropy, jaka sprawiałaby mu przyjemność). Wyciąłem te artykuły i zachowałem dla siebie. Madzia też powiedziała, że nie chce tych artykułów czytać.

W Zaiksie na zebraniu Rady Stowarzyszenia. 29 lutego, dokładnie w 40 lat po tamtym zebraniu nadzwyczajnym w proteście przeciw zdjęciu *Dziadów* ze sceny narodowej, które odbyło się właśnie tu, w „Domu Pod

Królami”. Przewodniczy Janusz Majewski. Dałem mu *Błazna* i numer miesięcznika „Diabetyk”, w którym jest wywiad Joasi Tomczak. Żona Janusza, Zosia (Nasierowska), powiedziała mi przez telefon, że wywiad wzruszający. Pewnie dlatego, że ja, mówiąc o więzi małżeńskiej, wspominam, że jak Rena chodzi po mieszkaniu boso (co od dzieciństwa bardzo lubi), to ja kicham. Nie ma w tym nic niezwykłego. Tadeusz Breza, świetne pióro, autor *Spiżowej bramy,* miał ostry katar sienny. Ale nie musiał czuć zapachu siana, żeby zacząć kichać, wystarczyło słowo, powiedzieć „siano” i kichanie wybuchało. Nie zdziwiłoby to Montaigne’a, „potędze wyobraźni” poświęcił w *Próbach* cały rozdział.

Marzec

Czytam, kiedy mi się uda, *The Gathering Storm* Churchilla, pierwszy tom jego pamiętników — trochę dla tej czystej, precyzyjnej angielszczyzny, a trochę bodźcem był dwukrotnie obejrzany film z Albertem Finneyem, wcielonym sir Winstonem. Zawsze, kiedy się czyta jakiś tekst ponownie po latach, dziwią niektóre podkreślenia i uwagi (jeśli czas ich nie zatarł i dadzą się odszyfrować) — i dziwi, że się czegoś nie podkreśliło. I tak oto natrafiłem na myśl, na którą przed laty nie zwróciłem uwagi: że detronizacja Kaisera, utworzenie republiki było błędem, bo stworzyło pustkę przywódczą, brak wspólnego spoiwa — w tę pustkę weszli nacjonaliści i Hitler. Tego błędu (jeśli zgodzić się, że był to błąd) nie powtórzyli Amerykanie w pokonanej Japonii (być może za radą Churchilla), zostawiając na tronie cesarza Hirohito.

To mi przypomina, że ja kiedyś coś w tym duchu, co prawda żartem, wyraziłem, i to bynajmniej nie pod wpływem Churchilla. Był rok 1972, zbliżała się olimpiada w Monachium, ja na wycieczce jako gość Inter Nationes (zaproszony na nią za moje opowiadania sportowe wydane

w tomie *Der Boxer und der Tod* w 1964 r. właśnie w Monachium), w kilkunastoosobowej grupie anglojęzycznej. Byli w tej grupie ministrowie sportu Birmy i Etiopii (uroczy dryblas Saluh, rozstrzelany zapewne przez oszalałych władców po Cesarzu), redaktor pisma sportowego z Indii, czterej Izraelczycy, Cejlończyk i czterej Amerykanie (jeden z nich nie robił tajemnicy z tego, że pracuje w CIA), a wśród nich starszawy dziennikarz z redakcji niemieckiej Głosu Ameryki, René Fürst z żoną (co było przywilejem). Stosunki w grupie znakomite, wszyscy odprężeni, uśmiechnięci, ale tak jakoś się stało, że z Fürstami było najserdeczniej. Rozmawialiśmy o literaturze. René, berlińczyk, który uciekł przed hitleryzmem do Ameryki, wyznał: „Bo widzisz, z językiem to jest tak: byłem panem niemieckiego języka — angielski język jest moim panem". Kiedyś zapytał: „Joseph, powiedz, jednym słowem, co w pisaniu jest najważniejsze? — Courage — odpowiedziałem bez namysłu". Odwaga. Po kolacji, przy koniaku, było nas trochę więcej osób, René wspominał: „W 1918 roku, miałem wtedy dziesięć lat, w pewien listopadowy wieczór rodzice zabrali mnie do opery. Kiedyśmy wchodzili do opery, było cesarstwo; kiedyśmy z niej wychodzili, była już republika. — Krzyknąłem: — I po diabłaście szli do tej opery?!".

Z redaktorem Jerzym Kisielewskim w radiowym studiu mamy rozmawiać o *Pingpongiście*. Ja ze słuchawkami, bo słuchacze mogą zadzwonić. Dwa telefony z komplementami. Trzeci już całkiem inny. Kobieta o radiomaryjnym głosie. (Bardzo często przynależność towarzyską, charakter, nawet rodzaj studiów można rozpoznać po ustawieniu głosu). Słuchaczka żąda, żebym odpowiedział: Czy podludzie mogą rządzić nadludźmi? Czy na to pozwala konstytucja? Czy koczownicy mogą nami

rządzić, ludźmi tutejszymi? I proszę powiedzieć: Jakie jest pańskie pochodzenie? Czy pan jest Polakiem?

Widzę, że pan Jerzy zbladł, boi się o mnie. Ale ja zachowuję spokój. — Nie dzielę ludzi na podludzi i nadludzi — odpowiadam. — I o ile wiem, w konstytucji też nie ma takiego podziału. Mówiąc o „koczownikach" ma pani zapewne na myśli imigrantów. (Miała na pewno na myśli Żydów — po raz pierwszy usłyszałem, że określa się ich jako „koczowników" — kto wie, czy w jej środowisku ten właśnie epitet nie funkcjonuje). Otóż, jeśli imigrant pracuje, płaci podatki, z czasem może uzyskać obywatelstwo i nabyć takie prawa jak wszyscy inni. Co zaś do mojej tożsamości, to odpowiedź znajdzie pani w moich książkach. Polecam *Nowolipie* i *Nie boję się bezsennych nocy*.

Kisielewski odetchnął z ulgą. Zadzwonił jakiś słuchacz wstrząśnięty telefonem tej pani. — Bardzo pana za nią przepraszam.

W domu odebrałem kilka telefonów — z gratulacjami, że tak spokojnie załatwiłem tę panią.

W prasie przeważają dwa tematy: czterdziesta rocznica Marca (sympozja, panele, debaty) — i śmierć Holoubka. O Guciu dużo jest w *Dzienniku na nowy wiek*, więc nie będę się rozpisywał. Dodam może tylko, że zawsze (mimo przejmującego Edypa) widziałem w nim pierwszorzędnego aktora komediowego, w wysokim stylu, kogoś jak Gregory Peck w *Rzymskich wakacjach* czy Gary Cooper w *Panu z milionami*. Ale on się takiej konfrontacji chyba obawiał, namawiałem go, by zagrał Strzygę-Strzyckiego, dyrektora wędrownego teatru w tuwimowskiej przeróbce *Porwania Sabinek*, on jeden po bajecznym Węgrzynie potrafiłby tę rolę udźwignąć. Na próżno. Był świetny w subtelnych sztukach realizowanych w telewizji: *Mario i czarodziej* wg

Tomasza Manna, jakiś Pirandello, jakiś Stoppard — wszystko kameralne. Nigdy nie grał u Wajdy, u Kutza tylko jakiś epizod, co potwierdza moje przekonanie, że odpowiadał mu teatr literacki, dyskretny, subtelny. Jeśli król — to król mędrzec, jak Jagiełło w *Królewskich snach.*

W Domu Literatury rozmowa z młodym krytykiem, panem Maxem Fuzowskim, który, po przeczytaniu *Pingpongisty*, ma pisać o mnie artykuł do „Newsweeka". (Miała tam pójść kiedyś recenzja z *Brulionów Profesora T.*, ale przepadła). Pan Max przyniósł ze sobą sfatygowany tom *Nie boję się bezsennych nocy* jako swoją ulubioną książkę. Rozmowa przebiegała bardzo żywo. Powiedział o *Pingpongiście* — nie wiem, czy to był komplement — że „książka jest bardzo wyważona". Że nikt właściwie nie jest potępiony, nawet zbrodniarze. Zwracam uwagę, że po 60 latach mój główny bohater, Mike (wtedy Michaś), nie czuje już do morderców nienawiści, czuje pogardę. W tej powieści autor n i g d y nic nie komentuje — komentują postaci. Ja mówię w sposób „wyważony", ale niektórzy z nich tak nie mówią — wyważenie narratora zderza się z ich paranoją.

Zdaję sobie coraz bardziej sprawę, że książka wdziera się mocno, chociaż nie o to mi chodziło, w politykę. Wpada w cyklon sporów, wywoływanych zresztą sztucznie przez idiotyzmy nacjonalistów, zaściankowość antyeuropejską. Mogą sobie na te szaleństwa pozwolić, bo wiedzą, że żadne wielkie mocarstwa na polską państwowość nie czyhają.

Pan M.F. pyta: „Czy pan się nie boi ataków?". Przecież w każdej książce zadzieram z ciemnotą. Ataki byłyby naturalne. Większym niebezpieczeństwem byłaby obojętność. A przecież spowiedź Księdza nadaje tej książce, „chwilami frywolnej", powagę. Posługuję się pewną ukutą przez siebie formułą: prawo do bólu, prawo do pamięci zderza się z prawem do życia, do uczuć. I to prawo musi być respektowane.

Pan Fuzowski domyślił się, że doktor Wiernik, bardzo ważna postać w powieści, czyta *Nie boję się bezsennych nocy*, opowiedział mi o tym rozradowany. Spodobało mu się także, że po wojnie ukrywający się Niemiec udaje Żyda, mówi w jidysz.

Boję się, wyznaję, niechęci recenzenckiej i w rezultacie porażki księgarskiej. Na to M.F., że rozmawiał z kolegami i jest duże zainteresowanie.

Pani Kielak-Ciemniewska przywozi egzemplarze „Stolicy" z moimi *Opowieściami marcowymi*, w sam raz na obchodzoną właśnie rocznicę. Dostaję bukiet pięknych róż.

W nocy zauważyłem, że Rena już połknęła tabletkę przeciwcukrzycową i popiła wodą. Mówię: „Ty masz to łykać rano, na czczo. — A teraz co jest? — Noc". Obudziła się wśród nocy i myślała, że zaczął się nowy dzień.

Czytam, w tomie wydanym przez „Twój Styl", nieznane mi artykuły Ksawerego Pruszyńskiego (zebrane przez jego brata Mieczysława). Są to szkice o wybitnych politykach, o każdym z okazji odejścia. Właściwie epitafia: Dmowski, Paderewski, Witos, Korfanty. Interesują go nie tyle etapy kariery — bo niby to jest znane — ile korzenie, z czego wyrósł każdy z tych Polaków, jak to tworzyło charakter, zalety i obsesje. Zarazem jest to i publicystyka, i zmysłowa proza, odtwarzająca widoki, smak i zapach (jak pisze) „chłopskiego zagonu". Talent.

Kwiecień

Uciekłem z domu na kilka dni. Minęło 6 tygodni od ostatniego wpisu — nic, absolutnie nic nie mogłem zapisać. „Niech pan notuje! — namawiała kilka dni temu p. Stasińska. — Koniecznie. Tyle się dzieje!" Czy miała na myśli to, co dzieje się w Polsce, czy ze mną i wokół mnie? Nie wiem.

Wiem tylko, że kiedy „tyle się dzieje”, nie jest to dobry czas na notatki, przynajmniej na moje notatki. Lepsza jest cisza, odosobnienie, podkradanie się myśli — czasem olśnienie.

Zadzwoniłem z komórki do Reny. Byłem niespokojny: nie odbierała telefonu. Teraz nareszcie rozmawiamy. Ona mówi: „źle ze mną”. (Madzia, z którą przed chwilą rozmawiałem, uważa, że nie jest źle, skoro potrafi sobie postawić diagnozę). „Nie kojarzę” — powiedziała. Postanowiłem dziś rano nauczyć się pracować w domu, laptop mi w tym pomoże. Rena pojęcia teraz nie ma, jak mi jest bliska, jak się nią przejmuję. Myślę, że jest to szczególny objaw miłości — mimo że ona potrafi doprowadzić do białej gorączki. Ale czy kobieta takiej właśnie miłości chce?…

W porze obiadu zadzwoniła Beata Stasińska: „Panie Józefie, mam nadzieję, że nie przejął się pan recenzją *Pingpongisty* w «Wyborczej». Była w Paryżu na Targach. Książka wzbudziła zainteresowanie kilkunastu wydawców. „No i w *Dzienniku* miał pan prawdziwy festiwal”. Była niespokojna o moje samopoczucie. Powiedziałem: „Serce bije mi równo”.

Z niepokojem oczekiwałem opinii moich najbliższych. Gdyby książka ich rozczarowała, daliby temu jakoś wyraz. Zdaje się, że oni sami bali się jej, nie rwali się do czytania. Ale nie, „recenzje” satysfakcjonujące. SMS od Maćka: „Jestem z ciebie dumny”.

Beata C. z trudem książkę nabyła — w księgarni na Żoliborzu już jej nie było. Kupiła w końcu trzy egzemplarze — dla kuzynki i przyjaciółki. Wieczorem telefon. Zaczęła czytać o ósmej rano, wszystko poszło w kąt, nie zrobiła zakupów, „nie można się oderwać”. (Kiedy, do diabła, uda mi się napisać jakąś nudną powieść?). Uchańskiemu przyniosłem egzemplarz

koło południa. Wieczorem telefon. Czytał, nie odrywając się. Na pewno szczery, bo rozmawialiśmy ponad kwadrans, co, jak na niego, jest długo.

Uzupełnijmy zapiski. 16 kwietnia, środa, jadę do Krakowa. Jest nas pięcioro w przedziale: troje trzydziestolatków (panowie, jak urzędnicy w amerykańskich filmach, w białych koszulach z krawatem), młoda ładna dziewczyna i ja, relikt z przedwojnia. Najpierw wszyscy załatwiają kontakty telefoniczne, ja też. W pewnej chwili trzydziestolatkowie niemal równocześnie otwierają laptopy, ruchy zgrane, jak w balecie, dziewczyna zagłębia się w jakichś wydrukach. I tylko ja, jakie to znamienne, z małym notesikiem i z drugim tomem *Mózgu i płci* Boya — dla przyjemności. Brantôme, Pascal, pani de La Fayette. Zawsze znajduję coś nowego, świetnie to opowiedziane, jak najzwięźlejszy thriller.

Ja nad książką, oni przy laptopach. Wszystko w milczeniu. Gdyby to byli Włosi, nie darowaliby sobie, na pewno by zagadali. *Da dove lei*? Zapytaliby o zawód, czy żonaty, a dzieci są? Na długo pan jedzie? Tutaj milczenie. Ściana obcości. (Może to lepsze niż taka bezceremonialna indagacja, na którą nie zawsze mamy ochotę).

W Krakowie zimno, deszcz. Pani Dorota zawozi mnie taksówką na ulicę Poselską, do hotelu Wawel. Grodzka rozkopana. Hotel ma w sobie urok staroświecczyzny, może dlatego nie ma wynalazku końca XX wieku, czajnika bezprzewodowego. Szkoda. W zimnej mżawce docieram na Rynek, klub „Pod Jaszczurami”. Wisi małe zawiadomienie, że będzie Józef Hen. Salka, jak na takie warunki, raczej zapełniona. Prowadzi spotkanie p. Marcin Wilk z „Dziennika Polskiego”, podobno bardzo *Pingpongistą* przejęty. Widzę, że przyszedł profesor Łagowski.

Czytam rozdział o Sadowniku, o tym, jak zastrzelił Mirkę, na jej prośbę. (Łagowski komplementował: „Czytając, wydobywa pan znaczenia, które

spieszący się czytelnik mógłby przeoczyć”). Jest trochę niezłej dyskusji. Kraków! I trochę trudnych pytań. Np.: „Co jest w życiu najważniejsze? — Gdybym wiedział, to nie pisałbym książek”. Albo: „Czy pan bywał szczęśliwy? — Tak, bywałem i wiedziałem o tym. Bo człowiek nie zawsze wie, że jest szczęśliwy”. Szczęście mężczyzny — ryzykuję — jest prawie zawsze związane z inną osobą. „Szczęście kobiety bywa inne. Np. kiedy kobieta wchodzi do ogrodu, widzi kwiaty, czuje zapachy, oddycha pełną piersią, może poczuć się szczęśliwa. A może ja się mylę?” Pani Zosia R. wykrzykuje: „Nie myli się pan!”.

Profesor Łagowski czeka cierpliwie, dopóki nie skończę podpisywać. Potem zaprasza na kolację w znanej mu restauracyjce. On sandacza z wody, ja mniej higienicznie: kotlet schabowy i mały okocim. Wstrząsnęło nim najwyraźniej, kiedy mu się zwierzyłem: „Powiem panu coś, czego nikomu nie powiedziałem, nigdy też oczywiście tak wprost nie napisałem. W ciągu tych sześćdziesięciu lat ja nigdy nie czułem się równouprawniony”. Otworzył usta jakby dla zaczerpnięcia oddechu — ale zrozumiał.

Nie pozwolił, żebym błądził sam po Krakowie. W siąpiącym deszczu odprowadził mnie do samego hotelu. Zmusiłem go, żeby wziął kwiaty, które dostałem po spotkaniu. „Żona się ucieszy” — powiedziałem.

Nazajutrz pani Dorota odwiozła mnie taksówką na dworzec. W przedziale znowu milczenie, obcość, chociaż tym razem bez laptopów. Po trzeciej jestem w domu. Rena jeszcze nie jadła.

Warszawa, w domu. Po dziewiątej wieczorem przyjeżdża po mnie taksówka zamówiona przez TOK FM, żeby zawieźć mnie do rozgłośni, na Czerską. Ma rozmawiać ze mną o *Pingpongiście* młoda, jasnowłosa dziennikarka. Z niewinną miną, jakby to była normalka, zawiadamia, że przeczytała tylko pierwszy rozdział. Żeby się wspomóc, chce się posłużyć

recenzją z najbardziej miarodajnej, jak powszechnie wiadomo, gazety „Wyborczej”. Wyjaśniam, że to nieporozumienie, recenzent najwyraźniej książkę tylko przerzucił, poplątał postaci, wątki, ośmioletniemu podławemu skarżypycie przypisał np. bohaterską próbę Mike’a. Uzgadniamy, że to może być pretekst, żeby wyjaśnić, o co w książce chodzi. Poszło nam całkiem nieźle.

Po audycji mówię do niej: „Ale przez to, że pani tej książki nie czytała, nie padło jedno ważne zdanie. — Jakie? — Że nie można się od niej oderwać”. Operator, a także my dwoje, wybuchliśmy śmiechem.

Radio, Program 1. Mam nagrać krótką wypowiedź do cyklu, co by się przydało inteligentowi. Podobno Franek Starowieyski powiedział, że srebrna cukiernica i jakiś Rodin. Ja potraktowałem temat poważnie, poleciłem *Próby* Montaigne’a, a jak się ktoś tego przestraszy, może zacząć od mojej książki o Montaigne’u.

Pani Ewa Kielak, naczelna „Stolicy”, zawozi mnie do kina Muranów. Mam, na prośbę Mirka Chojeckiego, wygłosić formułę otwarcia festiwalu filmowego „Motywy żydowskie” (Ha-motiv ha-Jehudi), już po raz któryś z Andrzejem Wajdą. Są Jacek Bocheński, Piotr Wojciechowski, Misia Oleksiewicz, różne osoby, jak mówił Dickens, „niegdyś młode”. Aśka Piątek (matka Tomasza) bardzo mnie ucieszyła, bo gratuluje mi *Pingpongisty*, a ja ją uważam za przenikliwą i prawdomówną. Siedzimy potem z Wajdą obok siebie, on po premierze *Katynia*, ja nie mam nic do powiedzenia, nie oglądałem filmu, nie było zaproszenia, a do kina już dawno nie chodzę.

Wygląda na to, że numer „Stolicy” z moimi *Opowieściami marcowymi* wzbudza zainteresowanie. Któregoś dnia zaczepił mnie na Wiejskiej Piotr

Matywiecki, poeta, krytyk literacki, strukturalista, bardzo przejęty. „Śmiałem się i byłem wzruszony”, „dotknięcie autentyku”, posłał numer za granicę córce Romana Karsta, jest w moich notatkach wzmianka, jak pijani ormowcy pobili ją na dziedzińcu uniwersyteckim.

Wciąż Konstancin. Na obiedzie gościem Roberta Jarockiego był stary szlachcic litewski, wysoki, już o lasce, profesor Witold Kieżun, którego ojciec podobno podarował Piłsudskiemu Pikiliszki, czy jakoś tam. Rozsądny, światły — łatwo się dogadać.

Pan Kieżun wykłada u Koźmińskiego „zarządzanie”, jest zdania, że podstawą dochodów w budżecie powinny być dobrze prosperujące przedsiębiorstwa p a ń s t w o w e, nie należy ich sprzedawać, „pieniądze się przeje”. Może to być system koncesji, w ten sposób zorganizował Stanisław August pocztę z przewozem podróżnych, przynosiła państwu pokaźny dochód do drugiego rozbioru, kiedy władzę przejęli targowiczanie.

Maj

Pod koniec kwietnia wydawnictwo zorganizowało w radiowej Trójce mój „benefis” (tak to nazwali). Idzie, w gruncie rzeczy, o promocję *Pingpongisty.* Ma to pójść na żywo na antenie. Czekamy na swój czas w małym saloniku. Są jakieś panie, które tym wszystkim rządzą, jest p. Beata Stasińska, jest wysoki, szpakowaty łysawy p. Dariusz Bugalski, poeta, który ten benefis ma prowadzić. Korespondent „Die Welt” dr Gnauck zapytuje, czy Madzia pracuje jeszcze w „Forum”, a ja wspominam, że drukowałem w „Die Welt”, owszem, prawie 40 lat temu, bezimiennie oczywiście, artykuł o sytuacji w Polsce po Marcu, tłumaczyła Edda Werfel. Pan Bugalski mówi o moich zapiskach, że są w kontrze do zapisków Gombrowicza, gdzie „w poniedziałek: ja; we wtorek: ja”; odpowiadam ze

śmiechem, że gdybyśmy się z Gombrowiczem poznali, na pewno od razu bym się z nim pokłócił; p. Bugalski, też ze śmiechem: o tak, na pewno!

Wchodzimy na tonącą w ciemności salę. Siadam w pierwszym rzędzie, obok Janusza Majewskiego. Zaczyna się audycja. Najpierw wygłasza laudację dyrektor Jacek Pawłowski, potem p. Beata, pięknie, ze zrozumieniem dla mojej „osobności" (jak się wyraziła), „mistrzostwa warsztatu" (jak uznała za stosowne powiedzieć), „humanizmu" et cetera — zresztą nie potrafiłem słuchać tak, by wbić sobie w pamięć. Kwiaty. Pomagają staremu skrybie, który ma kłopoty z nogami, wspiąć się na nadscenkę. Siadam obok p. Bugalskiego — i zaczyna się przepytywanie z *Pingpongisty.* Dla ilustracji czytam dwa małe fragmenty, które pokazują, że nie ma w tej powieści żadnej „tęczowości", jak ktoś napisał. W dialogu z p. Bugalskim przypominamy (on albo ja), że „bestialstwo jest zaraźliwe". I że dobrocią zarazić trudniej, bo, jak powiedział Ksiądz, „mamy za dużo przeciwciał".

Z książki wynika, że dobroć, uczynność nie jest „filosemicka", dobroć to dobroć, toteż dobra pani Eulalia przechowuje, razem z żydowską panieneczką, Niemca i Sowieta. Kilka razy sala zareagowała zdrowym śmiechem.

Po audycji dziękujemy sobie. Ja przy stoliku — podpisuję książki. Są Koftowie, od Krysi dostaję jej potężny *Dziennik*. Pani Ewa Kielak rozdaje „Stolice" z moimi „marcowymi opowieściami". Dyrektor Pawłowski przy winku, kiedy jesteśmy już odprężeni, zaskoczył mnie takim powiedzeniem: „Gdyby pan pisał w innym kraju, w innym języku, to przy pańskim rodzaju pisarskim, byłby pan rozrywany przez wydawców".

Pani Beata Stasińska: „Podziwiam pana odwagę, panie Józefie. Czy pan wie, że jest pan jedynym pisarzem, który odważył się podjąć ten temat?". Ja siebie nie podziwiam — podjęcie w pewnej chwili tego tematu, kiedy

zaistniał w mojej wyobraźni ktoś, kto przybywa do dziwnego, milczącego miasteczka i uświadamia sobie, że żona sfałszowała metrykę, i kiedy usłyszałem w wyobraźni także owo „obiecałem mu rewanż” — było już czymś naturalnym. Była chwila, kiedy miałem prawo zaniepokoić się o siebie. Ale nie uległem swojemu niepokojowi. (Ktoś mnie uspokajał: — Oni tych książek nie czytają. Ja: — Szkoda, może by coś zrozumieli).

Dzisiaj w południe zadzwonił Janek Ordyński: „Chcę ci powiedzieć, że w nocy skończyłem czytać *Pingpongistę*”. Słyszę komplementy. A potem: „Jak będziesz miał czas, to się spotkamy i mi ją podpiszesz”.

Nieoczekiwany telefon od Joaśki Tomczak: że za wywiad ze mną w „Diabetyku” i za dobór zdjęć (moje z Reną w Samarkandzie) dostała nagrodę prasową „Szpalty Roku”. „Super!” — zadepeszowała Ewa z Londynu. Nagroda dobrze Joasi zrobi, bo właśnie wyszła za mąż za Tunezyjczyka i wkrótce powiększy w Tunisie towarzystwo spotykających się ze sobą Polek, stęsknionych do kultury i języka polskiego.

K o n s t a n c i n. Wpadłem na kilka dni, żeby coś odnotować. Zebrałoby się tego sporo, gdybym był skrupulatny: spotkania autorskie, dyskusje, Targi Książki, niespodzianki dobre i złe.

Siedzę przy posiłkach z Rakowskim, dobrze mi się z nim rozmawia — głowa jasna, wysłowienie swobodne. Wzburza go nieuleczalny polski antysemityzm, „mam już dość Polaków” (Kot Jeleński w 1969 roku, to był skutek Marca: „Polska przestała mnie interesować”). Opowiadam mu o patriotycznym wybuchu Michnika na konferencji Pen Clubu: że Marzec to był przełom w nastawieniu młodzieży, odtąd nie można już było pewnego języka używać etc. — podobną tezę o tej, moim zdaniem,

prowokacji moczarowskiej, jaką był Marzec, wysuwał Kuroń, mówił roznamiętniony o „przebudzeniu narodowym” (co prawda był już schorowany), obaj siedzieli w więzieniu, a z tej perspektywy świat wydawał się inny, wiedzieli o studentach, nie wiedzieli o fabrycznych wiecach, na których w milczeniu przyjmowano rezolucje potępiające studentów („do nauki!”), literatów („do pióra!”) i „syjonistów” („do Dajana!”). No i oczywiście potępiano „prowodyrów”, „bananowych” pieszczochów wiadomego pochodzenia.

Była dziś u nas po raz pierwszy Ukrainka, matka p. Oli, Nadia, kobieta o posturze miotaczki kulą, żeby towarzyszyć Renie do sklepu. Ciekawe, że Rena nie protestowała — to coś nowego. Może dlatego, że kilka dni temu powiedziała, że boi się sama chodzić.

Pytanie, które trochę mnie zaskoczyło, brzmi: „Czy należy robić film o Jedwabnem?” — zadaje je sympatyczny, inteligentny i kompetentny dziennikarz TVN, Piotr Marciniak. Do odpowiedzi jest nas trzech: publicysta filmowy, Krzysztof Kłopotowski, znany z poglądów skrajnie prawicowych (dawniej mówiło się: reakcyjnych), profesor Wojciech Sadurski, jeden z najrozsądniejszych ludzi w Polsce, szkoda, że wykłada za granicą, no i ja, lekko w charakteryzatorni podmalowany, żebym w świetle kamery nie lśnił.

Pan Kłopotowski mnie nie zawiódł: Tak, należy film nakręcić, ale zacząć go trzeba od 17 września, kiedy Żydzi kwiatami witali Armię Czerwoną. (W domyśle: sami są sobie winni). Zresztą już dziś wiadomo, że mordu dokonali Niemcy. Chociaż prawdą jest, że brali w tym udział Polacy. Kilka razy padło słowo „kontrowersyjne”, chętnie dziś używane, kiedy chce się pomniejszyć winę zbrodniarza.

Prof. Sadurski mówi, że nie należy robić takiego filmu za państwowe pieniądze, bo w którą stronę pójdzie wymowa, powstanie sugestia, że wyraża ją rząd.

Ja mówię, że tak, można zrobić film o Jedwabnem, jeśli znajdzie się Szekspir, który pokaże to, co się stało, w sposób zuniwersalizowany. Film o tym, jak powstaje bestialstwo. Kręcenie filmu obrachunkowego, kto w czym zawinił — jest nie na temat. Były kwiaty czy ich nie było — czy cokolwiek może usprawiedliwiać mordowanie niewinnych, bezbronnych ludzi, palenie żywcem dzieci? Wiem jedno: gdybym tam wtedy był, a byłem niedaleko, nikt by mnie nie pytał, czy witałem czerwonoarmistów kwiatami, czy jestem dobrym Polakiem — popędzono by mnie do płonącej stodoły.

Pan Marciniak mówi o mojej książce, lekko ją streszcza, pokazuje widzom. Dodaje: „Ale u pana Niemców nie ma”. Ja, z uśmiechem: „Jest jeden Niemiec, ale ukrywa się, a potem udaje Żyda”. Ta książka, mówi p. Marciniak, zawiera gotową listę dialogową. „Napisałby pan scenariusz?” Kiwam głową. Szkoda, że nie dodałem: „Jeśli zamówią i zapłacą”. (W Instytucie Sztuki Filmowej odrzucono scenariusz Pasikowskiego, jako że szkaluje dobre imię Polski).

Żegnamy się z p. Kłopotowskim. On: „Miło było”. Ja: „Miło było”. P. Sadurski odprowadza mnie do samochodu. Opowiada: „Moja matka powiedziała o książce Grossa, że to dla niej nic nowego. «Ja o tym wszystkim wiedziałam»”. Opowiadam profesorowi o tym, jak w 1946 uratowało mi życie to, że nie pojechałem którejś niedzieli do Zakopanego i nie zetknąłem się na szosie z bandą „Ognia”. Ciężko westchnął. I pokiwał głową nad błędem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który odsłaniał pomnik mordercy ocalałych Żydów.

Było to kilka tygodni temu, chyba początek maja. Gdzieś przed pierwszą zaszedłem do Czytelnika, kupiłem coś na wynos. Patrzę, pod ścianą, przy swoim stoliku, siedzi Konwa z Łapickim i jeszcze jakaś chuda kobieta w okularach, czterdziestolatka (mieszka w Szwajcarii, tłumaczka, wydała książkę o Konwickim). Łapicki w czarnym garniturze, Konwicki w ciemnej marynarce i przy krawacie. Mówię do nich, wskazując na swoją paczuszkę: „Ja — na wynos. — I dowcipkuję: — To znaczy nie ja na wynos, tylko obiad". Konwicki podnosi się, a ja, dotykając jego marynarki: „Coś ty taki uroczysty?". On: „Dzisiaj pochowałem córkę". (Ania! Więc stało się). Zaniemówiłem. Objąłem go i ucałowałem. Zrozumiał. Podszedłem do stolika, przy którym Krysia Morgensternowa i ktoś jeszcze jedli obiad. Wybąkałem: „Ania zmarła". Czułem, że łzy napływają mi do oczu. Krysia: „Byliśmy na pogrzebie". W gardle ucisk. Dramat tej dziewczyny (pięćdziesięcioletniej kobiety — dla mnie wciąż dziewczyny w okularach, często załamanej, którą nasza bibliotekarka przygotowywała do egzaminu na wydziale historii, którą udało się wydać dobrze za mąż, urodziła się córeczka, potem rozwód i kilka lat walki z białaczką), wszystko to wdarło się do mojej świadomości — jej dramat, jego dramat, starego ojca, sławnego pisarza, ale może i ulga, że Ania przestała się męczyć. Wyszedłem z nim na ulicę, trzymając go pod ramię. Spytałem: „Bardzo się męczyła? — Już nie. Ostatni miesiąc. — Będziesz jutro u Bliklego? — Postaram się".

Nazajutrz, o wpół do dwunastej, wstąpiłem do Bliklego. Był! Obok Łapicki, ta szwajcarska tłumaczka w okularach i jeszcze Ktoś, pełen dystynkcji facet, trochę pisarz, okazyjnie dyplomata. I ten Ktoś snuje opowieści o tym, jak ojcowie żyją długo, są sprawniejsi od dzieci, taki generał Maczek, do ostatniej chwili (do ponad setnego roku życia) z jasną głową, podczas gdy syn sklerotyk etc. W ogóle Dyplomata (co prawda

okazyjny) nie czuł, że mówi rzeczy nie w porę, nietaktowne i do tego jeszcze własna opowieść najwyraźniej go rozśmieszała. Tadeusz milczał.

Nocny ból w lewej nodze sprawił, że odwiedziłem ortopedę. Wysoki mężczyzna, czterdziestoletni. Nogi pochwalił: pięknie umięśnione — ani śladu żylaków. Zalecił ruch, gimnastykę. Kiedy powiedziałem, że ból w nodze jest zapewne spowodowany przez ucisk kręgosłupa, potwierdził to. Zrobiono mi więc zdjęcie kręgosłupa. Pokazał mi pałeczką zniszczone kręgi. No, mówi, przeszedł pan w życiu swoje. Nie nachylać się — kucać! To samo, mówię, radziła mi moja trzyletnia wnuczka. „Dziadku, nie nachylaj się. Kucaj". I pokazała, jak się kuca.

Zawieziono mnie na niezwykłe spotkanie: do Centrum Nowaka-Jeziorańskiego, bo otwarto tu wystawę zdjęć z Uzbekistanu autorstwa polskiego fotografa. Zaproszono na otwarcie przedstawicieli ambasady uzbeckiej. Czuję się z tym nieswojo, opowiadać o moich uzbeckich przygodach w obecności taszkienckich oficjeli — to krępujące, mimo woli człowiek się cenzuruje. Pan Michalik, który mnie tu zaprosił, zdążył już zaliczyć *Najpiękniejsze lata* i namawia mnie, żebym przeczytał rozdział „Kuszenie świętego Antoniego", cały, bez skrótów, ten rozdział pokazuje realia, oddaje atmosferę. (Tytuł przyswoiłem sobie już wtedy, kiedy to „kuszenie" przeżywałem, w 1942 roku, a świadomość, że jest to temat, że kiedyś je opiszę, uwolniła mnie od niego, mogłem spokojnie zasnąć). Czytając, czuję, że tak właśnie jest: Szachrysiabz, malaria, szpital, chinina, samarkandzkie bazary, czajchany, a w nich handlujący połówkami placków pan Merzer, z bogatej warszawskiej rodziny, i te lwowskie prostytutki, które przychodzą tam, żeby porozmawiać po polsku — wszystko prawdziwe. Opowiadam o spotkaniu z nauczycielem uzbeckiego, Gijasowem, i o tym,

że się rozpłakał, kiedy okazało się, że pamiętam koniugację czasownika „chcieć”: Men cholaman, Sen cholasan, U cholady. A „nie chcę”? To już bardziej skomplikowane, bo zaprzeczenie „maj” wchodzi w środek czasownika, ale pamiętam: „Cholmajman”. Mówię, że dopiero teraz uświadomiłem sobie obecność uzbeckich przeżyć aż w czterech moich książkach — więcej nawet, bo Jeff Thompson, amerykański profesor, bohater *Brulionów profesora T.*, ożeniony jest z Uzbeczką. Trochę o tym, jak gotowałem smołę na drodze Lwów–Kijów (nigdy nie zawodzi wzmianka, że piekła się nie boję, bo będę w nim funkcyjnym) i co opowiedział mi Pruszyński o opowiadaniu *Trębacz z Samarkandy.*

Podpisuję kilka *Najpiękniejszych lat*, które ze sobą wziąłem. (I tak rozpowszechniam moją własną, nie tak czarno-białą prawdę o tamtych czasach). Do stolika przysiadają się panie z egzemplarzami (lub bez). Przysiada się pani Stankiewicz, żona konsula w Taszkiencie, która za tydzień wybiera się do niego, mówi z łezką w oku, że kocha mnie od dzieciństwa za… *Bitwę o Kozi Dwór.* Dlaczego jej nie wznawiają? Nie wiem, nie wznawiają, i nic na to nie poradzę.

Przysiadła się szczupła pani w okularach, bez książki. „Jestem psychiatrą — mówi. — Żałuję, że nie było moich studentów. Opis obłędu pomalarycznego jest precyzyjnie podany. Czy pan porobił jakieś studia? — Nie, żadnych studiów, opisałem to, co widziałem”.

Uzbecki chargé d’affaires świetnie mówi po polsku, bez cudzoziemskiego akcentu, nie umie się jednak pozbyć pewnej urzędniczej sztywności. Za to inny dyplomata uzbecki, z żoną Polką, samarkandczyk, wybiera się właśnie do domu — czy chcę kogoś pozdrowić? Asrora lub jego dzieci, a może już wnuki, podaję adres: Bajsunska 13, w pobliżu wytwórni win i wódek numer cztery, w której pracowałem. Nie miałem pojęcia, mówi on, że na Taszkienckiej podczas wojny był Teatr Żydowski,

ojciec nigdy mi o tym nie wspominał. A kina „Nawoi”, do którego chodziliśmy z Reną, już nie ma. Pamiętam, mówię, ulicę Suzan-Garanską, przychodziłem tam do moich przyjaciół, Rena im czasem gotowała, mogła wtedy zjeść obiad. „Ja na tej ulicy mieszkam!” — wykrzykuje. I tak to, co dalekie, mgławicowe — stało się realne. „Czas odzyskany”. Tak o *Nowolipiu* napisał Bronisław Łagowski. Napisał: „W poszukiwaniu utraconego Nowolipia i Nowolipie odzyskane — połączenie poetyckości i dokumentu”.

Czerwiec

Dzwoniła pani Nina. Chyba po kilku miesiącach. Przejęta *Pingpongistą*. Mówiła o nim z przenikliwością i pamięcią o szczegółach, które wydały jej się znamienne. Widzi siebie w postaci „Wisienki”, która wspiera męża, jest z nim na dobre i na złe. Ciekawe, że nie zauważyła (a może zauważyła, ale wolała tego nie poruszać), że pewien fragment dialogu z Maryjką jest powtórzeniem jej słów.

Bardzo pocieszyła mnie pani K., która prosiła o wypożyczenie jej *Pingpongisty*, oddała go bez słowa. Właściwie nie odzywa się do mnie. Jeśli ona, wdowa po aparatczyku, czuje się urażona treścią, to znaczy, że książka jest w porządku, nie ma w niej „tęczowości”.

Gdzieś ostatnio zanotowałem, że książka objawia naturalny w ludziach „apetyt na życie”. Świadomość przeżytej tragedii jest w tych ludziach obecna, ale to nie pomniejsza „apetytu na życie” — przeciwnie, czasem zaostrza go. Zwiększa radość z ciała ukochanej kobiety, z uśmiechu dziecka, uwrażliwia nas na drobne przyjemności.

Niektórzy dążą po przeżyciach, po niebezpieczeństwach, nędzy, głodzie, do bogactwa, do kompensacji materialnej, inni — tak jak ja —

satysfakcjonują się dachem nad głową, twórczą pracą, ulubionymi książkami, życiem rodzinnym.

Nie jest prawdą, że świadomość tragedii uniemożliwia miłość — przeciwnie, czasem ją pobudza, rodzi zapotrzebowanie na miłość, oddanie, zapamiętanie się w uczuciu. (Świadkiem Edelman; wydał książkę o miłości w getcie; gdyby nie miłość, powiedział mi kiedyś, zwariowałbym).

Dowiedziałem się, że dzwonił Różewicz, rozmawiał z Reną, która nie bardzo go słyszała, zadzwoniłem więc ja do niego.

Dzwonił, powiada, żeby poskarżyć się na upał we Wrocławiu. „Nie wychodź — mówię — oszczędzaj się". On: „Nie wyjdę, bo chcę jeszcze z tobą się spotkać".

Potem wraca do tego, co niedawno poruszył. „Napisz coś pogodnego — powtarza — wykorzystaj swoje cudowne poczucie humoru, którego w prozie nie ujawniasz. (Naprawdę? Chyba się myli). Słyszy się je w twoich opowieściach o paniach w Konstancinie. Niech ludzie czytają i mają przyjemność".

Przyjmuję do wiadomości. Madzia nazajutrz mówi, że to na pewno miał być komplement, chociaż może sformułowany niezręcznie. Ja przypominam sobie, że podobało mu się opowiadanie *Klarysa* zamieszczone w „Wysokich Obcasach".

Kijowski, jego dziennik; główny temat: niepogodzenie ze śmiercią. Koniec istnienia. Próbuje szukać ratunku w religii.

A przecież nie śmierć, ale Istnienie — to jest nasz główny problem; bo koniec Istnienia jest mniej zadziwiający, mniej zagadkowy niż początek, niż wyjście z Nieistnienia. Cud zaistnienia — zawsze mnie to zadziwia — to moje „ja" (czy inne „ja"), ujawnienie się, dzięki temu właśnie

skrzyżowaniu plemnika z jajeczkiem. Jakby na to skrzyżowanie nowy osobnik czekał przycupnięty w Nieistnieniu przez tysiące lat.

Gdybym powstał gdzieś w krainie Ur… Albo w Egipcie… W Babilonii… Albo w chacie słowiańskiej na palach. Ale nie, pojawiłem się tutaj — nigdzie indziej — na Nowolipiu!… Nic dziwnego, że są tacy, co pocieszenia szukają w wierze w reinkarnację.

(Tu dodać można coś o wpływie wiedzy, i to wyniesionej ze szkoły, na wiarę w swoje zaprzeszłe życie. Nie wyobraziłby ktoś siebie w Babilonie czy na dworze faraona, gdyby nie miał wiedzy, że taka rzeczywistość istniała).

Na początku czerwca mieliśmy spotkanie, Monika i ja, z Beatą Stasińską. Rozmowa swobodna. Opowiadałem o pewnym swoim błędzie życiowym, w Zakopanem, w Astorii — to było 55 lat temu, ale skutki trwały przez dziesięciolecia. Spotkałem się tam z młodym, obiecującym krytykiem (obecnie czcigodnym profesorem), graliśmy w ping-ponga i ja, lekkomyślny, z nim wygrałem, należało mu się podłożyć, zwłaszcza że przypatrywała się jego grze dopiero co poślubiona żona, zyskałbym jego przychylność, cóż, zawsze byłem ambitny we współzawodnictwie sportowym — odtąd wyczuwałem w nim, może nie do końca uświadomioną przez niego, niechęć. Nigdy nic dobrego o mnie nie napisał. Złego, co prawda, też nie. A może zaproponować mu teraz, po latach, rewanż?… A co, jeśli ja znowu wygram?…

Kierowca, który odwoził mnie do Madzi w stronę Ursynowa, pięćdziesięciolatek chyba, wdał się w rozmowę. Laptop a wieczne pióro, nowoczesność, która odgradza starsze pokolenie od młodzieży. „Pan jak pisze? — pyta. — Wiecznym piórem, zdarza się nawet, że i długopisem. —

Mój ojciec — powiedział — też pisał wiecznym piórem, czasem coś wystukał na maszynie, ale niechętnie. Pan chyba jest pisarzem, tak? — Zdarza mi się — odpowiadam. — Mój ojciec też był pisarzem. — Kto? — Pytam z duszą na ramieniu, bo boję się, że zaraz padnie jakieś nieznane mi nazwisko albo gorzej, bo znane, ale ze złej strony. — Bohdan Czeszko — słyszę. — O rany! — wykrzykuję. — Przyjaźniliśmy się, świetne pióro. Był, tak jak ja, w II Armii, nad Nysą. *Tren* to jest powieść właśnie o tym. Wie pan — mówię — niedawno o nim myślałem. O tym, że pod urokiem takiej jego cienkiej książeczki, czarujących nowelek, są dwa pierwsze zdania w pewnym moim opowiadaniu, opis deszczu i to, jak narrator chroni się pod rozrosłym kasztanem. Wie pan — mówię — w sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy oddałem do «Czytelnika» *Twarz pokerzysty,* powieść sensacyjną, właściwie kryminał, byłem na czarnej liście, a pański tata był posłem (— Bo on był przekonanym komunistą — wtrąca Czeszko junior przy kierownicy), w wydawnictwie postanowiono, że da się do recenzji wewnętrznej Czeszce, jego autorytet może pomóc. Napisał recenzję entuzjastyczną, a przecież potrafił być złośliwy. (— Oj, tak — przyznaje syn). Nie zapomnę też, że kilka lat wcześniej, kiedy drukowałem w tygodniku «Świat» w odcinkach opowiadanie *Niebo naszych ojców,* komplementując mnie na Wiejskiej, powiedział: «Czytałem z zadartym tchem»”.

Taksówka z Czeszką juniorem odjechała, a ja myślałem o Bodziu. O tym, jak w sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy komunorasiści spod znaku Moczara zacierali ręce, że zwalniają się po wyrzucanych Żydach posady i mieszkania, a Czeszko chciał nie chciał był z nimi, pijany natknął się na mnie w łazience w SPATiF-ie, chwycił w objęcia i wykrzykiwał: „Józek, kurwa, oni krzyczą, że ja jestem antysemita! Ja antysemita!”. Nie, nie był antysemitą, ani przez chwilę. Przed wojną chodził do słynącego

z przyzwoitości (i poziomu) gimnazjum Zgromadzenia Kupców — czy nie na Pańskiej — w którym przyjaźnił się z licznymi tam uczniami Żydami i chwalił się, że nawet, jak trzeba było, potrafił podpowiadać w jidysz. W tym gimnazjum nauczycielami Bodzia byli Wanda i Stefan Żółkiewscy, tu się ci dwoje poznali i pobrali. Po wojnie Stefan był naczelnym redaktorem bardzo zasadniczej „Kuźnicy”; o Wandzie, więźniarce obozów koncentracyjnych, jest dużo w moim *Dzienniku*, zainspirowała też postać Henryki z *Brulionów profesora T.* Politycznie nauczyciele i uczeń oddalili się od siebie, ale resztki przyjaźni, takie mam wrażenie, pozostały.

Niedziela. U Madzi, żeby popracować. (Przedtem śniadanie dla Reny, potem z wózkiem do warzywnego, otwarty w niedzielę). Madzia z Ewą w Szczyrku. Ja czytam swoje zapiski z roku 2006 i stwierdzam dzięki nim, że prowadzę życie sybaryty. Ktoś mógłby się zdziwić: nie byczysz się na Karaibach ani nad polskim morzem, nie pływasz w podgrzanym basenie, nie grzejesz się przy kominku, popijając martini. A jednak, stwierdzam, pławię się w rozkoszach. Czytam to, co lubię, obcuję ze wspaniałymi umysłami — Russell, Berlin, Boy, Montaigne, Hercen, Czechow, Gorki, Nina Berberowa, André Maurois, zamyślam się nad Bablem, Wheenem, Ĉapkiem, Sienkiewiczem, Fellinim, Arthurem Millerem — wszystkich nie wypiszę. Czasem zerknę i do Szekspira. To i owo notuję — ile chcę, bez przymusu. A jeśli rozmowy, to Różewicz, Łagowski, to Ludwik Stomma (niestety, wszyscy daleko). Albo jakieś życzliwe, udzielające namaszczenia panie. Nie ma co, sybaryta, współczesny Petroniusz.

Lipiec

Pani Nadia, matka sprzątającej u Madzi delikatnej Oli, kobieta w sile wieku (i w sile ramion), która przychodziła do nas przez kilka dni, żeby zajmować się Reną, uważa, że niepotrzebnie zrzędzę, że mieszkanie jest

małe. Jest całkiem wystarczające, każde z nas ma własny pokój — czego więcej trzeba? Spojrzenie kobiety, która wyrosła w warunkach mieszkaniowych Związku Radzieckiego. Ja zresztą też od takiego spojrzenia nie jestem daleki.

Inaczej Uzbecy i Tadżycy w Samarkandzie. Budowali domki z palonej na słońcu cegły (glina ze słomą); kiedy robiło się ciasno, dolepiali następną izbę.

L o n d y n. Kupiłem w Warszawie specjalny notes na pobyt tutaj, ale już wiem, że nic weń nie wpiszę, nie jestem już chłonącym wrażenia podróżnikiem, ten Londyn to jest dalszy ciąg warszawskich niepokojów, warszawskich rozterek, warszawskich powiązań. Niepokój o Renę, którą podjęła się odwiedzać sąsiadka, może wpadnie Maciek; Rena jest trudna, wiadomo. Łapię się na tym, że chwilowo o tym nie pamiętam, oboje z Ewą zmęczeni, ja bardziej, mam swoje kłopoty techniczne, idzie o moje nieprzystosowanie do Londynu — jest inny niż trzydzieści lat temu, w październiku 1978, byłem w nim przez pięć dni, ot, żeby go doświadczyć, wtedy jeszcze, w porównaniu z dzisiejszym Londynem, było w nim coś niemal wiktoriańskiego. Pięć niezapomnianych dni. Pamiętam, wyszedłem z hotelu i rzucił mi się w oczy szyld: FRED PERRY. Sklep trzykrotnego triumfatora Wimbledonu! (Dzielę się z czytelnikiem poufnie moim doświadczeniem: żeby pobyt był „niezapomniany”, musi być krótki). Holował mnie Bolesław Sulik, zaprowadził do BBC (Bus House, London), tam spytali ostrożnie, czy zgodzę się na rozmowę na żywo, zgodziłem się, oni uznali to za akt odwagi, no, powiedzmy, niezależności, to byli świetni radiowcy, ze znakomitą, przedwojenną jeszcze polszczyzną, niepewni jednak, czy ich w ogóle ktoś w Polsce słucha. Słuchają, zapewniłem. Już po audycji, kiedy gawędziliśmy sobie w gabinecie kierownika za szklanym

przepierzeniem, przybiegli angielscy dziennikarze z gratulacjami: „Polak dostał literackiego Nobla! — Polak? Nobla? Kto? — Isaac Bashevis Singer, *born in Poland*”. Zaczęło się telefoniczne poszukiwanie Singera po całej Ameryce, złapano go w końcu na Florydzie, w Miami. Dziesięć dni później Polak został papieżem, byłem już w Paryżu, w gościnie u Giko (Emile Guikovaty, dziennikarz z „L’Express”), dzwonią do niego z redakcji: „Napisz coś, Giko”, do mnie: „powiedz, co wiesz, coś osobistego”; coś wiedziałem, niedużo, o jego aktorstwie u Kotlarczyka, o zamiłowaniach sportowych, Giko się dzięki temu jakoś wywiązał.

Tak więc Londyn jest inny, trochę już nie dla mnie, zakodowany, zakomórkowany, zautomatyzowany i monitorowany. W metrze, którym jeździmy z Ewą całą godzinę z lotniska w Heathrow na Leicester Square, wśród pasażerów przeważają tęgie czarnoskóre kobiety, jest też skośnooka rozmowna dziewczyna z Australii („Obstawiam Filipinkę” — mówię do Ewy), dwaj młodzi rozgadani Arabowie, jeden z nich z dużym krzyżem na swetrze (Liban? Chce tym powiedzieć: ja jestem inny?), wchodzi Arab trzydziestoletni, też w swetrze, ale ten rzuca ponure spojrzenia („Al-Kaida — mówię do Ewy — popatrz na tę jego zieloną paczuszkę, którą tuli do siebie, to bomba, zaraz nas wysadzi w powietrze”, on, jakby wyczuł, że mówimy o nim, rzuca groźne spojrzenie; wchodzi wysoki, sympatyczny młody mężczyzna z książką pod pachą, otwiera ją i czyta na stojąco („czyta moje «Bruliony» — mówię do Ewy — zaraz poprosi o autograf”, Ewa wybucha śmiechem). Leicester Square? Pamiętam, byłem tam 30 lat temu, dość tym poruszony, bo wymienia się tę nazwę w śpiewanej przez żołnierzy brytyjskich „It’s a long way to Tipperary, It’s a long way to go…” Ewa nie zna tej piosenki, nigdy jej nie słyszała, inne pokolenie, inna Anglia. (Gdzie jest to Tipperary? „W Irlandii”, objaśnia mnie Patrick Finn, mąż Mai

Cybulskiej. A więc jest to wprawdzie piosenka sentymentalna, ale sentymentem „imperialistycznym”).

Teraz jestem sam. Mogę odnotować niektóre wydarzenia warszawskie. Z Marzeną umówiliśmy się w restauracji „Fiesta”, meksykańskiej, przed jej podróżą do Meksyku. Przyniosłem jej *Meksyk* E.E. Kischa. Przeglądałem w związku z tym *Nad Zatoką Meksykańską* Aldousa Huxleya, którą zdobyłem w Lublinie w 1944 roku i przewiozłem przez wszystkie kwatery wojskowe, front nad Nysą i wciąż do niej zaglądam. Ale pomyślałem sobie, że ta książka refleksji, książka mędrca zaniepokojonego naszą europejską przyszłością, na razie jej się nie przyda, potrzebne jej są konkretne informacje.

Odnotowuję warszawskie spotkanie w starej Bibliotece Uniwersyteckiej z adeptami sztuki scenariopisarskiej (jeśli to można uznać za sztukę, lepiej wyrazić się słowem „umiejętności”). Prowadzi p. Roman Kurkiewicz. Wśród obecnych mężczyzna, który przypomniał mi nasze spotkanie w banku, wszedł tam za mną, żeby ofiarować mi kwiat mimozy. Teraz wspomniał o adaptacji (bo o adaptacje pytano) *Życia Kamila Kuranta*: „zderzenie dwóch osobowości”. Powiedziałem, że zawsze robiąc adaptację, myślę, co by powiedział autor, czy by ją zaakceptował. Uniłowski, Nałkowska — na pewno byśmy się dogadali; Iwaszkiewicz z uznaniem przyjął przeróbkę *Lata w Nohant* — ja, będąc na jego miejscu, pewno bym się buntował. Ponieważ p. Kurkiewicz powiedział, że jestem szczęśliwym człowiekiem, z sukcesem w każdej dziedzinie, zaprzeczyłem: „Ależ ja mam pełno porażek — czasem takich, że musiałem wycofać z czołówki swoje nazwisko”.

Uzgodniliśmy z p. Kurkiewiczem rozmowę w TOK FM o *Pingpongiście.* Tak jak obiecał, przeczytał książkę starannie, zdaje się, że i z przejęciem,

cytował podczas prawie godzinnej rozmowy różne bardziej znaczące, według niego, fragmenty — świetny odbiorca. Czy ktoś tego słuchał — nie wiadomo, może poszło w eter bez odbioru. Bo kiedy czekałem w korytarzyku na swoją kolej, nadano wiadomość, że w wypadku samochodowym zginął Bronisław Geremek. Tragiczny, niezrozumiały wypadek. (O nekrologach, o wypowiedziach, o tych, którzy uznali, że muszą przy tej okazji zaistnieć, nie będę wspominał. Jednak stało się coś, czego najbardziej pesymistyczni oceniacze polskiej rzeczywistości nie przewidzieli: oto tłum opętańców <podobno „chrześcijan”> domagał się przed kościołem św. Anny, by odprawiono mszę dziękczynną za śmierć profesora Geremka).

L o n d y n, cd. (odnotowane już w Warszawie, pod koniec miesiąca).

To niezwykłe, że Londyn nie oddalił się ode mnie w ciągu tych kilku dni pobytu w Warszawie, nie stracił barw, wciąż we mnie jest, w jakiś absurdalny sposób tęsknię za nim. (Tak może się stać, kiedy nie musi się ubiegać o pracę, zarabiać na życie, kiedy pieniądze tylko się w y d a j e, nawet jeśli musi się liczyć z każdym groszem). I chwilami mam uczucie, że zmarnowałem mnóstwo w życiu, nie zahaczając częściej o Londyn, nie wrósłszy w niego bardziej, choćby jako do tła jakiejś prawie kryminalnej fabuły. Stary, przestań gderać. Do rzeczy.

Rano z Madzią śniadanie hotelowe (mniejsza o jakość). Nadchodzi Ewa, pokaże nam teraz wszyściutko, w czym obracała się przez te trzy lata studiów. (Boże, jak to zleciało! Nam — nie jej, która wciąż coś zaliczała). Wczoraj z Ewą krążyliśmy wokół placu i ulicy Russella (ale nie Bertranda, jak się spodziewałem, ale jego dziadka, premiera w czasach królowej Wiktorii). Dzisiaj zaczynamy od Fleet Street, ulicy prasy — tutaj grzmiał w gospodzie za długim stołem doktor Samuel Johnson — ulica tak mi

znana, jakby krzyżowała się z Wiejską. Trochę medytujemy przy bibliotece jej college'u — stwierdzam, że jest zbudowana w stylu przypominającym „stanisławowski" — a potem spacerem wzdłuż Tamizy do Waterloo Bridge, koniecznie musimy Ewie zrobić zdjęcie na moście, ona, oparta o balustradę, patrzy hen w dal, tam gdzieś wyłania się z mgieł Big Ben, widać Tower — zdjęcie dlatego, że Ewa codziennie przez ten most szła na drugi brzeg rzeki na zajęcia. „Wyobrażasz sobie, dziadku, co to było?" Zrealizowało się coś, co wydawało się fantazją. Ewa wspomina tutora — był zainteresowany nie tylko jej postępami, ale i samopoczuciem. Żadnych zawiści, żadnych intryg. Niektórzy tu podziwiają ją także za nazwisko: Ewa Infeld, wnuczka Leopolda Infelda, współpracownika Einsteina. Na drugim roku wybierają ją, cudzoziemkę, na „presidenta" klubu studenckiego. Musieli być z jej prezydentury zadowoleni, bo w następnym roku ponawiają wybór.

A potem Ewa prowadzi nas do Covent Garden (tu się kłania pan Pepys). Ogromna hala (którą stara się przypominać skromnie Hala Mirowska), otoczona krużgankami, w dole, pod nimi — restauracyjki, przy stolikach beztroska, pogoda, a ton nadaje śpiewak (tak, śpiewak — nie piosenkarz), cudownie podtrzymując kontakt z tymi pałaszującymi przy stolikach, oklaski, śmiechy, on u wyjścia z krużganka podaje ramię jakiejś nobliwej starszej pani, pomagając jej zejść, a kiedy już sprowadził panią na dół, klęka przed nią dwornie, ale jakoś tak, że to nie staje się kabotyńskim gestem, wygłupem, kiczem, ale prawdziwie wytwornym gestem. Ten Covent Garden, sympatyczna beztroska (chociaż płatna, młoda hostessa zbiera datki za pobyt i to jakby do kapelusza, „co łaska"), ten błaznujący z klasą śpiewak (może z tutejszej słynnej opery) to — wyznaję — było najtrwalsze wrażenie w zetknięciu z Londynem. Coś tak bardzo innego. Współczesne, a zarazem jakby z innej epoki. Jak czereda błazeńska ze *Snu*

nocy letniej — nie ateńska, jak dotąd przyjmowano, ale — jak przekonuje amerykański eseista Greenblatt — z szekspirowskiego Stratfordu.

Wreszcie — uroczystość Graduation. Docieramy metrem do Barbican. Schodami na dziedziniec pełen fotografujących się absolwentów w togach, najczęściej ci matematycy to Hindusi, wszyscy z aparatami cyfrowymi, ja ze starą poczciwą praktiką. Zbieramy się w ogromnej sali, publiczność rozsiadła się amfiteatralnie, zgodnie z wykupionymi (tak!) biletami. My z Madzią gdzieś daleko, rząd „Dżej". Wywołuje się kolejno absolwentów, wreszcie słyszymy, że proszona jest „Ewa Dżoana". Dostaje dyplom, dalej będzie studiować w Cambridge („Program Part III", z matematyki, tak ambitny, że nie chcą go nazywać magisterką, chociaż nią jest), a później w słynnej London School of Economics.

Po uroczystości można w tłoku zjeść trójkątne kanapki (bez smaku) i pić wino. Ewa, po kilku wesołych rozmówkach, zwraca togę.

Odprowadzamy Madzię na King's Cross Station, skąd pociągiem — przez tunel pod kanałem — wprost do Paryża. Ewa z rzeczami u mnie. Odwiedzamy kilkupiętrową księgarnię, gdzie Ewa kupuje jakąś matematyczną książkę, której tytułu nie umiem powtórzyć.

W Heathrow byłem jedynym pasażerem — może w dziejach tego lotniska — któremu pozwolono nie zdjąć butów do kontroli. Kiedy surowa strażniczka nakazała mi: „The shoes!", zrobiłem żałosną minę. „Tak trudno je założyć… — Dodałem, zamiast zapewniać, że nie jestem terrorystą: — Mam osiemdziesiąt pięć lat". Coś w tej strażniczce drgnęło — nie wiem, uczucie czy jakaś racjonalna myśl — przywołała skośnookiego kolegę z instrumentem do kontroli, strażnik zdobył się na to, by przykucnąć koło mnie, przesunął tym wihajstrem (słowo, które przewinęło się podczas

okupacji) wokół moich trzewików. Nie znalazł bomby! Byłem wolny. Podziękowałem rozumnej strażniczce i dołączyłem do Ewy, która sznurowała swoje długie cholewki.

Na tym kończą się moje relacje londyńskie. Zapewne więcej się zapisało w mózgu niż na papierze.

Sierpień

W nocy zastałem Renę, jak tkwi w tych swoich, jak my to nazywamy, „papierkach”. Nakrzyczałem na nią. Ona: „Nie krzycz na mnie. — Żałośnie: — Jestem bardzo chora. — Po chwili: — Jestem nienormalna”. Jak na to wpadła? To by świadczyło, że chwilami jest jasność. Objąłem ją, przeprosiłem, gładziłem po głowie.

I czy ja mogę podejmować się teraz jakiejś pracy? Podpisuję umowę na dziennik minionych ośmiu lat, ale nie będzie w nich tego lotu myśli, co w zapiskach z *Nie boję się bezsennych nocy*.

Pani Justyna Kawalec przesłała mi kopie recenzyjek z *Pingpongisty*. Dużo w nich śmiecia. Jak się okazuje, książka niełatwa do zrozumienia. Nawet, kiedy spojrzenie jest przychylne. Młodym recenzentom brak doświadczenia życiowego i wiedzy. Któryś pisze o Mike’u, że wrócił z Ameryki ocalony Żyd, czyli czytał na wyrywki, albo nie zrozumiał, bo to przecież on, A r y j c z y k, usiłował uratować pingpongistę Żyda. Recenzentka z „Lampy”, podziwiając zresztą opis „minety” (jej wyrażenie), którą robi Mike’owi prostytutka („nikt by opisać tak nie potrafił!”), jednocześnie o romansie „starców” (za takich uważa osoby w średnim wieku), doktora Wiernika i nauczycielki Maryjki, wykrzykuje: „Zgroza!”. Przykre i nieprawdziwe jest to, że pisząc *Pingpongistę*, wyzwalałem się od „przeżytej traumy”, jaką było noszenie munduru do końca stalinizmu.

Nigdy mi to nie przyszło na myśl. Żadnej „traumy” nie było, bo nigdy niczemu nie służyłem. Mundur (który zresztą rzadko zakładałem) to była tylko posada. Do pewnego momentu praca w tygodniku ilustrowanym wydawanym przez wojsko była najprostszym sposobem utrzymania się — nie mieliśmy mieszkania, stosunków, przyjaciół, mebli. Kiedy zdecydowałem się na to, by wreszcie wojsko opuścić, nie bardzo chcieli na to pozwolić, bo uważali — może nie całkiem bezpodstawnie — że jestem utalentowany. Zmienił się redaktor tygodnika, przyszedł z listem od Rokossowskiego pułkownik N. (ten sam, który w Sumach, jeszcze jako porucznik, nie chciał mnie przyjąć do redakcji gazety, patrz epilog *Najpiękniejszych lat*) — i natychmiast wyrzucił.

„Nie tłumacz się!” — pouczał mnie kiedyś Irek Iredyński. Ten wiedział, choćby z doświadczeń więziennych, jak ustawiać oponenta. Ale ja wiem, że tłumaczenie się kusi, że język obraca się, jakby był samodzielny. Myślisz: „nie mów, to niemądre”, a ty mówisz, brniesz dalej — sobie na szkodę. I tak można palnąć głupstwo, wiedząc, że to głupstwo. „S ł o w o t o w y d z i e l i n a” — do takiego poglądu doszedł Boy lekarz. I tu pytanie pod adresem głuchoniemych. I c h język — obserwuję to na placu Trzech Krzyży — to komunikacja czasem wesoła, ale czy można w języku migowym palnąć głupstwo? Czy słowa na migi to też „wydzielina”? Zapewne, wygłupić się można w każdy sposób, ale w języku migowym chyba trudniej.

W Klubie Księgarza o siódmej wieczorem, na spotkaniu promocyjnym Ludwika Stommy. Wprowadza KTT. Czyta Krystyna Czubówna. „Poziom” zapewniony. Z siedzącymi za mną paniami wspominamy tygodnik „Świat”, pani Dzitka pracowała w nim w pracowni graficznej na piętrze, do której reporterzy, krytycy, poeci i prozaicy, publicyści i szaradziści wymykali się,

żeby popatrzyć na piękne kobiety. (Które się chyba tą specjalną uwagą nie czuły „uprzedmiotowione”). Ile to lat temu było? Liczymy. Pięćdziesiąt pięć! Ona wspomina ostatniego sekretarza redakcji, Stanisława Ostrowskiego. Wymówiono mu pracę w „Żołnierzu Polskim” — „No co pan chce? z dowództwa AK i hrabia! «Świat» go przytulił chyba dzięki protekcji Koźniewskiego, z którym był zaprzyjaźniony”. Nie wiedziałem, że Staszek był hrabią. Zresztą, chyba on sam nie zanadto się tym swoim hrabiostwem przejmował. Był czarnowłosy, śniady, z kresowym orlim nosem — ten nos wzbudzał zainteresowanie szmalowników, opowiadał mi, pamiętam, jak zaczepił go taki, chciał mu zajrzeć w bramie do spodni. Staszek nie wdawał się w dyskusję, zapłacił, „miałem przy sobie pełno broni, rozumiesz, bezpieczniej było nie poddać się oględzinom”. Jak na hrabiego, Staszek szybko przekonał się do nowego ustroju — młodym akowcom, marzącym o silnym państwie, często się to zdarzało — wydał cienki tomik wierszy poświęconych budownictwu socjalistycznemu, niestety marnych; Matuch, omawiając kilka takich zbiorków, wykpił jakąś szczególnie niezręczną metaforę, Staszek słuchał tego czerwony na twarzy. Zdaje się, że poemaciki dla dzieci pisał całkiem zgrabne, miały sporo wdzięku. Kiedy został w tygodniku sekretarzem (przedtem pracował jako grafik, łamał numer), domagał się ode mnie często jakiejś prozy, „mamy świąteczny numer, daj nam coś”, i tak poszedł w „Świecie” *Bokser i śmierć*, poszły fragmenty *Skromnego chłopca w haremie*, później *Autobusy jak żółwie* i wreszcie cały *Kwiecień*, w odcinkach, z rysunkami pięknookiej Basi Baranowskiej, żony (wtedy) Adolfa Rudnickiego. (Nigdy nie przestała go wielbić, także po rozstaniu, mawiała do mnie: „Prawda, że Adolf jest genialny?”). Staszek, ożeniony z Alicją, bezdzietny, trzymał w szufladzie biurka zabawne zdjęcie mojego synka i czasem na nie popatrywał.

Przypomniałem sobie, że w 1948 roku, zaraz na początku naszej znajomości, która szybko przerodziła się w przyjaźń, Staszek Ostrowski podarował mi *Ocalenie* Czesława Miłosza (Czytelnik, 1945). Jedna z pierwszych książek wydanych po wojnie. I chyba najważniejszy, a pewnie i najlepszy tom Miłosza. Kiedy poeta odwiedził Polskę w czerwcu 1981, już jako noblista, pokazałem mu ten tom z wpisem Staszka: „Józkowi Henowi — z serdecznymi życzeniami Imieninowymi — Stanisław Ostrowski, 19/ 3/ 48”. Miłosz, chociaż zapowiedział, że nie będzie niczego podpisywał, był najwyraźniej poruszony, przejął ode mnie książkę i dopisał: „Czesław Miłosz — 8. VI. 81”.

Otwieram *Ocalenie* i czytam:

„PRZEDMOWA

„Ty, którego nie mogłem ocalić,

Wysłuchaj mnie.

Zrozum tę mowę prostą, bo wstydzę się innej.

Przysięgam, nie ma we mnie czarodziejstwa słów.

Mówię do ciebie milcząc, jak obłok czy drzewo”.

Jest północ, a ja czytam i w gardle mnie ściska:

„To, co wzmacniało mnie, dla ciebie było śmiertelne”.

A to?:

„Czym jest poezja, która nie ocala

Narodów ani ludzi?”.

Najważniejsze swoje pytania zawarł Miłosz już w tej *Przedmowie* do *Ocalenia.* Nie ma w niej żadnych modnych sztuczek, którymi przecież umiałby się posługiwać. Są przecinki, kropki i znaki zapytania. I czasem tradycyjne duże litery. „Poeta to drugorzędny” — odezwał się po Noblu wzięty krytyk poezji, który do pewnego czasu cenił słowne sztuczki. Może

się potem spotkali, poeta i krytyk? Może krytyk w końcu zrozumiał, na czym polega poezja…

Upał. Wstałem przed siódmą, patrzę: Rena wygrzebała z szuflady amaryl, zażyła. (Potem tłumaczyła, że się obudziła, coś trzeba było robić, rozumiesz? Rozumiem).

Z wózkiem na zakupy, kupuję wodę, szukam borówek amerykańskich, jedyny owoc, który mojej cukrzyczce jest dozwolony. Wspominam Uchańskiemu o moich kłopotach domowych, on na to, że właśnie pisze list do odpowiednich władz o przyśpieszenie mojej beatyfikacji.

Wczoraj, kiedy był u mnie Maciek, żebym mógł poćwiczyć przy nim na laptopie, Rena, w rozpinanym białym sweterku, gotowa do wyjścia, poprosiła o pieniądze na bilet. Dokąd? Do Nowego Sącza. Zmroziło mnie. Ona tę sprawę załatwi na miejscu. Chodzi o kawalerkę obok nas, po pani Lipińskiej, zaprzyjaźnionej z nami wdowie po płk. Wacławie Lipińskim, w oblężonej Warszawie prawie codziennym mówcy, skazanym na śmierć za tworzenie, po powrocie z Węgier, jakiejś konspiracji antyreżymowej. Bierut go ułaskawił za wstawiennictwem Tuwima — otóż dwadzieścia kilka lat temu administracja spółdzielni przejęła opustoszałe po jej śmierci mieszkanie, skrzywdzono tym samym jakieś pozostałe po Lipińskich sieroty — i to jest jej wina, Reny, ona ma wyrzuty sumienia, musi się wystarać, by oddano mieszkanie rodzinie — podobno są w Nowym Sączu. „Jak ty pojedziesz do Nowego Sącza, kiedy nie możesz sama przejść na drugą stronę ulicy? — Pojadę taksówką. — Tysiąc złotych w jedną stronę, ja nie mam takich pieniędzy. — Rena zwraca się do Maćka: — Pożycz mi! — Tłumaczymy, że nikt się o nic nie upominał, sprawa przedawniona, w Nowym Sączu nie zechcą z tobą rozmawiać. — To zadzwoń do tej adwokatki. — Podaje mi adres, coś nagryzmolonego. Nazwisko rzekomej

adwokatki należy do lekarki, kardiologa, jeśli jest to osoba, o której myślę. Rena, z uporem: — To można załatwić”. I znowu, że jej wina. Stale wymyśla sobie jakieś załatwiania, z których się nie wywiązała. Mówię do Maćka: „Zauważ, że nie ma agresji. Jest tylko upór”. Odwołałem pobyt w Konstancinie. To, co robię teraz — kwalifikowanie zapisków — mogę robić w domu.

Była chwila, kiedy Rena mnie przeraziła. Rozsiadła się u mnie w fotelu i powiedziała, i to bardzo stanowczo: „To ty na dworcu nie dałeś chłopcom jechać do Związku Radzieckiego. (W domyśle: i przez to zginęli). — Jakim chłopcom? — Twoim synom. — Renka — klaruję — mamy dwoje dzieci: Madzię i Maćka. — Ale masz synów, masz, i to wielu”. Wpatruję się w jej oczy, nic niepokojącego w nich nie widzę, no, może upór, jakaś pewność siebie, prawie nieruchoma. (Zdaje się, że istnieje taka kategoria: osłupienie). „Pociąg miał jechać na Ukrainę, do tego miasta, nie pamiętam — mówiłeś, że stamtąd pochodzi literacki ukraiński. — Połtawa. — Tak, Połtawa! A ty im nie pozwoliłeś jechać! (Zginęli przeze mnie). Ja pojechałam i pociągnęłam za sobą Ritkę. — I uratowałaś jej życie!… A potem przyjechałyście do Samarkandy — opowiadam, żeby przywrócić ją do rzeczywistości — i tam się poznaliśmy, i mamy dwoje dzieci, Madzię i Maćka. — Masz wielu synów — powtarza ona — i oni byli na dworcu”. Domyślam się, że ona bierze mnie za swojego ojca i tam na peronie w Nawarii, czy w okolicy, coś takiego się rozegrało, co skazało całą rodzinę na śmierć — wszystko przez ojca, który wolał synów trzymać przy sobie… Zapewnić im ojcowską opiekę… Dziesiątki lat Rena to w sobie tłumiła, teraz się to obudziło.

Rena wychodzi do swojego pokoju, ja relacjonuję krótko rozmowę Madzi. Mija kwadrans, może trochę więcej, Rena wchodzi. Mówi: „Zdaje

się, że wzięłam cię za swojego ojca. Ale tatko był w kapeluszu. Zrozumiałam, że to nie ty, bo ty nie nosisz kapelusza”. Po chwili: „Mnie się coś śniło”. Tak, rozumiem, we śnie nastąpiła identyfikacja ojca ze mną, tak bywa. Potem jawa była dalszym ciągiem snu. Powiedziałem z uśmiechem: „Nic dziwnego, że myślisz o mnie jako o ojcu, bo ja mam do ciebie stosunek ojcowski. — Objąłem ją. — Jesteś najbardziej nieznośną moją córeczką”.

To zaćmienie, jak na razie, do niej nie wróciło.

Wrzesień

P. Dariusz Bugalski, który prowadził spotkanie ze mną w Klubie Austriackim, bardzo przejęty jest *Pingpongistą* (jestem wdzięczny każdemu, kto akceptuje tę książkę — tyle jest nieporozumień i tyle uprzedzenia, i nierzetelności). Na sali około 40 osób, więcej niż się spodziewaliśmy. P. Bugalski zachęcał mnie do czytania — miałoby ono służyć udowodnieniu, że książka nie jest „tęczowa”, że zbrodnia pojawia się w każdym z 18 rozdziałów, czasem pod spodem, czasem na wierzchu. Stosunek autora do tego, co się wydarzyło, nie wyraża się w tym, że autor napisze: „Ja, Józef Hen, potępiam zbrodnię dokonaną na Żydach w Jedwabnem”. Przytoczyłem (chyba nie po raz pierwszy) powiedzenie René Claira: „Widz także musi mieć talent”, i odniosłem tę myśl do czytelników, „tak, powinni mieć talent, talent czytelniczy”.

Czytane przeze mnie fragmenty (w tym jeden zabawny: wizyta u rodziców nauczycielki, nie odczytałem tylko dramatycznego zakończenia rozdziału), a także komentarze p. Bugalskiego zaciekawiły obecnych, wciąż ktoś podchodził, pytając, kiedy książka wyszła, gdzie ją można kupić, nic o niej nie słyszeli. Tak wygląda informacja, tak wygląda dystrybucja.

K o n s t a n c i n. 17 września. Tego dnia w 1939 roku, podaje Teleexpress, Armia Czerwona zaatakowała Polskę, wbiła nóż w plecy walczącym z Niemcami żołnierzom polskim. (Shirer, historyk amerykański, podaje, że 14 września Hitler zaczął wycofywać z Polski część wojsk i przesyłać na front zachodni). A co się stało 1 września? „Wybuchła wojna”. Jak wybuchła, kto zaatakował, ilu Polaków zginęło — ani słowa. Komentator TVP mówi jeszcze, że 17 września to najważniejsza data w historii polskiej XX wieku. Ni mniej, ni więcej.

Moje sny teraz to jakieś nieudane zakupy, smażenie, gotowanie, wciąż coś mi się przypala albo wylewa. W nocy trzeba pilnować, żeby była ubrana, przykryta. Dwukrotnie wyciągałem ją, mokrą, wychudłą z wanny — nie potrafiła sama wyjść. Tydzień temu Rena powiedziała, że mamy odszukać dom Genki. Co to za Genka? Uratowała jej kuzyna Sewka i jeszcze kogoś z rodziny. Mieszka w Warszawie? Tak, w Warszawie, Ritka zna adres. Dzwonię do Ritki do Wrocławia: nie zna żadnej Genki. Ona była dentystką, przekonuje Rena, wystarczy zaadresować „Nawaria, zakład dentystyczny” i list dojdzie. „Renka, minęło prawie siedemdziesiąt lat, dentystka już dawno nie uprawia swojego zawodu, jeśli w ogóle jeszcze żyje”. Więc ona sama odszuka ten dom, „nasz dom”, przechodzi się koło rzeczki. „Renka, ale to przecież jest w Nawarii…” Tak, w Nawarii, ale Nawaria jest niedaleko, „wchodzi w obręb Warszawy” (jej słowa). Wie, jak trzeba tam iść, „to za ulicą — jak ona się nazywa? — mówiłeś o tej ulicy — aha, Rozbrat”.

Tworzy swoją własną topografię miasta, zmienną, dostosowaną do jej potrzeb.

Nazajutrz pod mój dom zajechał zabłąkany w Warszawie kierowca, p. Adam Maiński, by mnie zawieźć na spotkanie autorskie w Lublinie. Dwie i pół godziny spokojnej jazdy. Pracuje na poczcie, przeszło połowa pracowników to ludzie za biurkami. On sam próbuje sił jako autor, napisał powieść historyczną, z elementami fantazji, rzecz rozgrywa się w czasach przed Mojżeszem. Ja: „Czy pan uważa Mojżesza za postać autentyczną? — Tak — odpowiada bez wahania. — Ja też". Co więcej, według pana M., wiele wskazuje na to, że również praojcowie biblijni nie są tylko mitem, istnieli naprawdę, wiele szczegółów, konfliktów rodzinnych, nazw osad na to wskazuje. Podziwia amerykańskich „ojców założycieli", to niezwykłe zjawisko, taki zbieg wybitnych osobistości. Podziwia Talleyranda. Czy czytałem książkę Jeana Orieux? Czytałem i nawet korzystałem z niej. Także z książki tego samego autora o Wolterze. Ta mniej go interesuje. Swoją powieść wydaje sam. Na razie ma 2 księgarnie, które obiecały wziąć egzemplarze. Biedak — nie wie, co go czeka.

W Lublinie, w budynku sławnej przedwojennej jesziwy, zajmują się mną państwo Matraszkowie, matka i syn, p. Luba i Paweł. Po Lublinie, po dawnej dzielnicy żydowskiej, krążą wycieczki, na ogół młodzież, wcale nie Żydzi (bo skąd ich wziąć?) — nie wiadomo, czy wstąpią na spotkanie z nieznanym im autorem. Wewnątrz budynku odarte z tynku ściany, pod ścianą gruzy z cegieł, trwa remont. Podobno planują mykwę? Dla kogo? (Nie zabiorę w tej sprawie głosu; nie chcę być za pyszałka ze stolicy, przyjeżdża takie panisko, zaczyna pouczać, krytykować, zamiast pochwalić za to, że działają, coś robią, że im się chce).

Myślałem, że będzie najwyżej 20 osób, jest ponad 80, trzeba dostawiać krzesełka. Pani Luba, chociaż trochę stremowana, ładnie i kompetentnie mnie przedstawia (mówi, że przestudiowała kilkakrotnie mój biogram). Opowiada o *Nikt nie woła* i o *Oku Dajana*. Publiczność raczej inteligencka,

nie Żydzi, ale zainteresowani tematem Polacy. Opowiadam, jak powstał *Pingpongista*, o wymowie, o przesłaniu, czytam rozdział o Sadowniku, który zastrzelił dziewczynę na jej prośbę. Ustawia się cierpliwie kolejka z książkami po autograf. Jakieś przesympatyczne małżeństwo (on Sławomir, ona — ? — nie dosłyszałem) podeszło z kilkoma książkami. Jestem ich pisarzem. Nie zadzieram nosa, kiedy słyszę nadzwyczajne komplementy. Znajdą się przeciw nim dostatecznie jadowite opinie. „Przyjdzie walec i wyrówna…”

Młoda jasnowłosa dziennikarka telewizyjna, Ewa Hadrian, kiedy wychodzimy z jesziwy, bierze mnie pod ramię, żeby sprowadzić po poobijanych stopniach, z którymi stary autor miałby trochę kłopotu; jedziemy jej samochodem do kawiarni w starym budynku, z długim wąskim korytarzem i niskim stropem żeberkowym — i tu nagra ze mną rozmowę. Przedstawia się jako moja czytelniczka i od razu dodaje, że czytała *Pingpongistę* — no, może nie wypada za nią powtórzyć — niech to diabli, tym razem powtórzę!, czasem mi się to należy — czytała „z zachwytem”. Boże, jaki rozziew opinii między takimi czytelnikami a zawodowcami bez sumienia!… Których nie obchodzi, że swoją nierzetelnością kogoś krzywdzą — nie tylko autora, bo i czytelnika, i w końcu, o czym jeszcze nie wiedzą, siebie samych też.

Do Warszawy zabiera mnie swoim samochodem kolega p. Maińskiego. Tamten pracuje na poczcie, ten (również po studiach) w przemyśle spożywczym. Obaj mają samochody, czasem więc, w weekendy, dorabiają sobie taką usługą.

Obaj chyba nic mojego nie czytali, nawet zainteresowany historią pan M. Nie próbowali też być na spotkaniu, nie można mieć o to do nich pretensji — dla nich jestem tylko pasażerem, na szczęście kulturalnym, rozmownym, co chroni od zaśnięcia za kierownicą.

Taksówkarz, który mnie wiózł z Warszawy do Konstancina, pyta, co to jest ten Zaiks. Wyjaśniłem. „To znaczy, że pan coś tworzy? — Zdarza mi się — mówię. I dodaję, nie wiem po co: — Jestem literatem”. Moje nazwisko nic mu nie mówi.

Czytam ponownie (to znaczy może po raz trzeci, na ogół tekst wokół moich dawnych podkreśleń) pamiętniki Władysława Mickiewicza. Miał 23 lata, kiedy chyłkiem, z Konstantynopola, dostał się do Odessy, potem do Kijowa, Mińska, Nowogródka, Wilna i wreszcie do Petersburga. Przyjmowany ze wzruszeniem przez kresową szlachtę, marszałków, urzędników, z Odyńcem (przyjacielem ojca) na czele, z szacunkiem lub co najmniej z uczynnością przez władze rosyjskie. Wszystko dlatego, że syn Adama. I jak się zachowuje ten smarkacz? Jak typowy zachodni emigrant. Z wyższością i pouczeniami, jak ziemianin patriota powinien traktować władze rosyjskie. Pozwala sobie na afronty, bo tak mu każe honor Polaka. Nie przejmuje się tym, że goszczący go ludzie jakoś ułożyli sobie życie z policmajstrami i isprawnikami — on dumnie to odrzuca, „skreśla”, nie rozmawia, obraża. Ktoś mu klaruje (co on zresztą lojalnie cytuje w swoich pamiętnikach): „Pan sobie pojedzie, a my tu zostajemy”. W Petersburgu jednak zakochał się — z wzajemnością — w swojej kuzynce, której tata, Malewski, dawny przyjaciel Mickiewicza, filomata, był teraz dygnitarzem carskim, rektorem. I nic dziwnego, że nie chciał oddać córki lekkomyślnemu golcowi. W końcu jednak miłość zwyciężyła, panna Malewska pojechała do Paryża.

Uderzyła mnie ta emigrancka pycha młodego Władysława, chociaż właściwie czuję do niego sympatię. Był przyzwoity, postępowy, nie ukrywał swojej lewicowości, uczynny, miał niewątpliwe zasługi. Wydaje mi się, że Boy go skrzywdził w *Brązownikach*, przypisując mu nadmierne

ingerowanie w spuściznę epistolarną po ojcu. Można rzec: zrobił mu gębę. Z pamiętników wynika, że Mickiewicz ojciec przed wyjazdem do Konstantynopola przez całą noc przesiedział z 17-letnim synem przy kominku, wrzucając do ognia pisma, których wolał nie zostawiać po sobie.

Jednakże byłoby lepiej dla sprawy polskiej, gdyby polityką nie był się zajmował. Z poprzedniej lektury zapamiętałem, że kiedy we francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych (jako doradca podczas Wielkiej Wojny) usłyszał, że mowy nie ma, by granice przyszłej Polski sięgały po Dniepr, pan Władysław oburzył się i zapisał: „Noga moja tu więcej nie postanie!”.

Znowu patriotyzm emigranta, który o nic nie musi walczyć, Polska mu się należy taka, jaka była przed zaborami. Akurat w tej sprawie jego ojciec byłby na pewno bardziej ugodowy.

Październik

K o n s t a n c i n. O północy — telefon. Co się stało? Coś u Madzi? Dzwoni Różewicz. „Chciałem sprawdzić, czy naprawdę nie śpisz w nocy. Ale masz taki rześki głos. Co robiłeś? — Czytałem”.

W kilka dni później u niego na wódce pożegnalnej, całą godzinę — nazajutrz wyjeżdża. Wyznaję mu, że właśnie napisałem na maszynie tekst o Herlingu-Grudzińskim, „dość jadowity”, będzie w dziennikach. Różewicz zastrzega się, rozumiem to, żeby jego opinii nie publikować. To, co się mówi w cztery oczy, przy kieliszku czy przy zupie, nie musi być „uwiecznione”. Już Taine złościł się z tego powodu na Edmunda Goncourta: chcę odpowiadać za to, co piszę, a nie za to, co nagadam przy pieczystym.

Różewiczowi najwidoczniej było tych rozmów mało, bo zadzwonił jeszcze po kolacji, a później o dziesiątej wieczorem. „Nie śpisz? Ja słucham

Szopena — dobrze mi się myśli. — Przy rocku — mówię — pewnie byś nie myślał”.

Za kilka dni Tadeusz kończy 87 lat, za miesiąc ja 85. I tak sobie starczo narzekamy na gwałtowne odchodzenie tradycji kulturalnej, na uszczuplanie się wiedzy o ważnych zjawiskach. W quizie „Jeden z dziesięciu” p. Sznuk pyta finałową trójkę (a więc najlepszych!), z jakiego kraju był piosenkarz Maurice Chevalier? Milczenie. A przecież samo brzmienie nazwiska powinno było podpowiedzieć. Wystarczy mieć ucho — jeśli nie ma się wiedzy. (Dodam, że były po wojnie nowe filmy z Chevalierem i to bardzo popularne: *Gigi* i *Miłość po południu*, w którym gra ojca Audrey Hepburn i ma sceny z Garym Cooperem).

Wieczorami czytuję raz jeszcze — jakby powtórnie je odkrywając — szkice Boya z literatury francuskiej: *Mózg i płeć*. Boy wierzył, że istnieją w i e l c y pisarze, rasa pisarska, z wpisanym w mózg geniuszem (przy Balzaku, Stendhalu często używa tego słowa).

Tylko że siebie do nich nie zaliczał. Dla siebie pisarz nie jest „wielki” (jeśli jest, to znaczy, że coś jest nie w porządku z jego psychiką) — dla siebie pisarz jest zwykłym, ułomnym człowiekiem, ze znanymi słabościami, czasem znanymi tylko jemu.

W sobotę wieczorem wykańczamy resztkę wódki u Roberta Jarockiego. Kupił *Pingpongistę* dla Luśki Sztauberowej (opuściła Frankfurt, jest już w Paryżu).

W „Wyborczej” Tomasz Wołek bezlitośnie krytykuje naczelnego, Michnika (brawo, że naczelny tę krytykę zamieścił). Krytykuje za jego pochwałę postawy prezydenta Kaczyńskiego w Gruzji, z którego, napisał Michnik, jest dumny. On, Wołek, jest zażenowany, przemówienie tbiliskie

Lecha Kaczyńskiego było nieodpowiedzialne i głupie. Michnik jako rusofob — co mu wytyka Tomasz Wołek — proszę, tak toczy się światek. Jeszcze kilka lat temu mogło to wyglądać odwrotnie: Wołek atakowałby Rosję, a Michnik oskarżałby go o rusofobię.

Madzia przekonuje mnie telefonicznie, że stan Reny się poprawia. Nie ma już tego błądzenia myślą po wyfantazjowanej topografii, nie szuka Nawarii i rodzinnego domu w obrębie Warszawy. Odbiera telefony, pamięta o lekarstwie.

Z Tel Avivu dzwoni Gabriel Moked, mój przyjaciel, profesor literaturoznawca, naczelny almanachu „Jerusalem Review". Dostał *Pingpongistę*, czytał całą noc. „To silne" — mówi. Słowo „silne" albo „silniejsze od wielu innych" powtarza kilka razy. Jestem poruszony. Tak się bałem, że to do niego nie trafi. Do tylu nie trafiło…

Mamy z Reną stawić się u pani doktor na Mokotowskiej, za placem Zbawiciela. Rena z laską, ja trzymam ją pod rękę. Równo o piątej jesteśmy na miejscu.

Pani doktor, kiedy słyszy, że jest poprawa, pewne objawy się cofnęły, wydaje mi się speszona. Bo ona zapowiadała, że leki zahamują postęp choroby, ale na powrót do poprzedniej formy nie ma co liczyć. Żeby stwierdzić jej stan, pyta Renę o datę, jaki dziś dzień, miesiąc — Reny nigdy to nie interesowało, ani jej własny dzień urodzenia, pilnowałem tych dat ja. Jaki mamy miesiąc? Reny to nie interesuje. „No to jaka pora roku? — pyta pani doktor. — Widzisz przecież — wtrącam — liście na chodniku. — Tak, widzę, jesień".

Iwona Smolka dzwoniła, żeby zaproponować mi „jubileuszowe” spotkanie w Śródmiejskim Domu Kultury. Ale przecież ja mam 7 listopada „jubileusz” w Klubie Księgarza. Nie szkodzi, to jest zupełnie inna publiczność. Potrzebni są dwaj laudatorzy i aktor. No, za aktora mogę być ja sam, ale skąd wziąć laudatorów? Nie ma takich — w Warszawie. Iwona czytała *Pingpongistę*, „bardzo do mnie ta książka przemówiła”. Wymienia parę nazwisk — nie, akurat do nich książka „nie przemówiła”. „Nie martw się — pociesza ona — u nas zawsze jest frekwencja”.

Do Konstancina. Halina Kwiatkowska, samotnie siedząca przy stoliku, na mój widok: „Jesteś nareszcie!”.

Przed samą kolacją zasiadam do maszyny, by wpisać następny fragment do *Dziennika*. Jak to już zauważyłem (w rozmowie ze Stasińską) na maszynie tekst jest twardszy niż w rękopisie, na laptopie zimniejszy niż na maszynie. Krysia Kofta, która to słyszała, jest tego samego zdania: w rękopisie dziennik bardziej żyje.

Proces Jaruzelskiego. Akt oskarżenia w stylu Andrieja Wyszynskiego, który, oskarżając wybitnych działaczy partyjnych, też mówił o „związkach przestępczych”. (Nie porównuję tego z sądownictwem hitlerowskim — nie znam — zresztą żadne sądy nie były im potrzebne: zabijali bez sądu).

Bardzo racjonalny artykuł Jerzego Jedlickiego o tym procesie: WSTYD. Ten „Wstyd” w tytule to konkluzja — w artykule tego typu stwierdzeń nie ma, są argumenty. Zmieniłbym tytuł. BEZWSTYDNI — to lepiej oddaje, o co chodzi. (Chyba powinienem dodać uwagę, że miałbym się o co z Jaruzelskim pokłócić, co mu wypomnieć).

Miejmy nadzieję, że dzieci tym prokuratorom z IPN kiedyś ten bezwstyd wypomną.

Król gór, amerykański film o dzielnym, inteligentnym chłopcu, matka w szpitalu, gruźlica, jest wielki kryzys, ojcu udaje się zostać komiwojażerem zegarków — chłopiec jest sam. Zły policjant szarpie go za ucho. Zadziwiające, ilu jest w pobliżu złych ludzi, ile ludzkiej złośliwości pokazują tego typu amerykańskie filmy. Trudne przebijanie się do dorosłości. Zdaje się, że gwiazdą przewodnią tych opowieści jest *Dawid Copperfield*. (Czy nie dlatego szczęśliwe zakończenie u Dickensa, co zauważył chyba Orwell, to nareszcie bezczynność, spokój w głębokim fotelu, drzemka, po przebudzeniu cygaro i płonący poncz).

Ale i w autobiograficznej prozie Uniłowskiego (*Dwadzieścia lat życia*) jest dużo ludzkiej złości. No i oczywiście w *Życiu Kamila Kuranta*. W *Nowolipiu* nie. *Nowolipie* jest o szczęśliwym dzieciństwie, które wydawało się naturalne. Dopóki nie pojawił się Zbrodniarz.

Wczoraj taksówkarz, mężczyzna po pięćdziesiątce, spóźnił się 15 minut: zamiast na Matejki, zajechał na Moniuszki. Rozgadaliśmy się. Moje nazwisko nic mu nie mówi, ale jego Ali (partnerka), pewno tak, pracuje w IBL-u, „może nawet pana opracowywała”. Nie, to była inna. Wyjął kalendarz i poprosił, żebym się wpisał, pokaże Ali.

Za zawiedzenie klienta zostanie zawieszony przez korporację na kilka godzin, będzie bez „kursów”. Zadzwoniłem do korporacji, żeby mu wybaczono — ja, klient, nie poniosłem żadnego uszczerbku. „Nie możemy — usłyszałem — taki jest regulamin”.

Czytanie, urywkowe, wspomnień Magdaleny Samozwaniec. Galeria dziwaków, jakby naturalny wyląg w dworkach szlacheckich. Przypomina to pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego (wuja Conrada) — tam też ci dziwacy w dworkach, oddalonych jeden od drugiego, kiszenie się we własnym sosie,

otoczenie chłopskie, obce — może ta izolacja, skazanie na samotność powodowała dziwaczenie… Prawie jak na bezludnej wyspie.

G d y n i a. Sobota. Wczoraj p. Krystian Nehrebecki zabrał mnie samochodem z Warszawy. Jazda niezła, dwa krótkie postoje, cały czas rozmowa. Nie znał jeszcze niedawno moich książek, to Ludwik Stomma mu doradził: „Sięgnij po to". Zaczął od *Pingpongisty*. „Już pierwsze zdania przekonały mnie: to pisał profesjonalista". Następnie *Nowolipie* — zdaje się, że zrobiło na nim wrażenie, przytacza różne epizody.

Zajeżdżamy do hotelu Gdynia, w którym zatrzymują się podczas festiwalu filmowcy. Po piątej nadjeżdża p. Krystian, przebijamy się z trudem przez zakorkowaną Gdynię, w Wejherowie jesteśmy o czasie. Krótkie wypowiedzi dla telewizji — i na salę. Mam w pamięci wejherowską klęskę sprzed dwóch lat, przyszło pięć osób, teraz jest nie najgorzej, chyba ze 30.

Spotkanie trwało ponad półtorej godziny. Potem podchodzono z książkami. Pan Krystian sprzedawał *Nowolipie* — tylko to szło. Podeszła dziewczyna z zaczytanym *Crimenem*: „Moja ukochana książka". (Na ogół wolą ją mężczyźni). Inna, chyba 50-latka, ze starym, broszurowym wydaniem opowiadania *Źrenice jego oczu.* „Marzyłam, że kiedyś pana spotkam i pan mi podpisze. Ile razy to czytam, wybucham płaczem". (W 1956 roku było tłumaczenie chińskie — ciekawe, myślę, czy jakaś Chinka też, czytając, zapłakała). Podchodzi dziewczynka z *Nowolipiem*, żebym napisał: „Dla dziadka Heńka". Musi ona tego dziadka Heńka bardzo kochać. Jej koleżanka też „dla dziadka". I wreszcie młoda osoba z przeczytanym już *Pingpongistą*. Po komplemencie (że „jednym tchem") zapytuje: „Jak się książka sprzedaje?". Ciekawe, dlaczego ją to interesuje.

G d y n i a. Niedziela. Pan Krystian prowadzi mnie w samo południe do księgarni w imponującym Centrum Handlowym. Nie ma nikogo mimo rozwieszonych plakatów. Przybyła jednak pewna drobna kobieta, z kapelusikiem nasuniętym na oczy — przybyła z niespodzianką. Otóż ona poznała pewną panią profesor, Irenę Czajkowską, z którą w końcu zaprzyjaźniła się, i ta pani profesor twierdziła, że chodziła ze mną do szkoły pedagogicznej w Dąbrowicy na Wołyniu. I że byłem jej wielką miłością (choć platoniczną). Co więcej, widziała mnie po wojnie w mundurze, „był taki piękny". (No tak, rzeczywiście zakochana). Nie śmiała podejść.

Kto to był? W klasie były tylko dwie miejscowe dziewczyny, dwie Żydówki: jedna duża i postawna, urodziwa, dobrze ubrana, druga mała, chuda, niełądna (mówiąc otwarcie i niezbyt elegancko) i biedna. „Duża i postawna — mówi ta moja czytelniczka. — Wołkowyska! — wykrzyknąłem. — Judyta Wołkowyska! Miała ładne uda. — Zgadza się!" Nigdy nie podejrzewałem, że się we mnie podkochuje, jej się podobał Frusowicz ze wsi ukraińskiej (wspominam go z wdzięcznością już w *Nowolipiu*), duże chłopisko z długimi ciemnymi rzęsami, które ozdabiały jego oczy, częstowała go sznytkami, a kiedy dziewczyna podkarmia chłopaka, to wydawało mi się, że to coś znaczy. W niej kochali się Pietia Titow i Eli Wajnberg, którzy, dziwna rzecz, na tle wspólnego kosza zaprzyjaźnili się ze sobą. Te uda — kiedy je zauważyłem? Na krótko przed końcowymi egzaminami Judyta zaprosiła mnie do domu, żebyśmy się razem uczyli. Mieszkała z rodzicami, byli uchodźcami z jakiegoś żydowskiego miasteczka, ale żyli solidnie, po mieszczańsku. Kiedy siedzieliśmy obok siebie, zajmując się jakąś fizyką czy matematyką, Judyta, w spódnicy do kolan, założyła nogę na nogę, i wtedy pokazały się pięknie toczone uda. Ona pamiętała tę wizytę, wspominała mała pani, pamiętała, że mama poczęstowała pana kruchymi ciasteczkami własnego wypieku.

Wołkowyska! Wspominam o niej w *Najpiękniejszych latach*. A więc przeżyła! Chwała Bogu. Ani w głowie mi było dostawiać się do niej, ja tęskniłem do przebywającej w warszawskim getcie Giny. „Zdaje się — na to mała pani — że ona o tym wiedziała i dlatego nie ujawniała swojego uczucia”. Możliwe, że ciekawiłem ją w ogóle: byłem najlepszym uczniem w klasie, piszącym, wygłosiłem świetny referat (po ukraińsku!) o zdobywaniu Arktyki. Nauczyciele — Ukraińcy lub Rosjanie z Czernihowa i z Horodni — wyróżniali mnie. Pozwalano nam z Bieżuńskim śpiewać publicznie dżezowe amerykańskie piosenki.

Co się stało z tą drugą dziewczyną, małą, brzydką i biedną Sarą Mudryk — nie wiem i chyba nigdy już się nie dowiem.

Po bibliotece w Gdańsku-Oliwie — Pruszcz. Dojeżdżamy na czas. Jest osiem osób plus dyrektorka i pracownice, spotkanie odbędzie się wokół stołu przykrytego białym obrusem, kawa, herbata, ciastka, jakby wspólny podwieczorek. Szkoda, że nie zgromadziło się więcej osób, bo spotkanie było ciekawe, tok wypowiedzi swobodny. Pan Krystian, którego być może znudziło już literackie dookoła Wojtek, tym razem skupił się na dorobku scenariuszowym. *Nikt nie woła*, *Kwiecień*. Moja polemika z bzdurnymi propagandowymi twierdzeniami płk. Załuskiego (że dzięki krwi przelanej w ostatnich dniach wojny otrzymaliśmy granice nad Nysą). Parę zdań o Przymanowskim, scenarzyście *Czterech pancernych*, i o tym, że Hulewiczowa, jego żona, powiedziała mi: „Szarik nam wyszczekał willę”. O *Crimenie* wspomina p. Krystian. O tym, że były tylko dwie recenzyjki. Ja o tym, że gdyby Umberto Eco, który wydał *Imię róży* siedem lat później, napisał swoją powieść po polsku i do tego jeszcze podpadł władzy, jej losy nie byłyby lepsze niż *Crimenu*.

I tak docieramy do Władysława Jagiełły. O tym, jaki był naprawdę. O anatemie rzuconej na serial za ujawnienie zainteresowania Jagiełły husytyzmem i o walce prymasa Oleśnickiego z królem-dobroczyńcą — o władzę. Zabiera głos pewien chudy pan, który zwierza się, że niedawno zmienił wyznanie (jest teraz zielonoświątkowcem) i dobrze się orientuje w dziejach husytyzmu. Przytaczam opowieść Jagiełły z początku serialu o tym, jak książę Witold wciąż mylił się, w którą stronę ma się przeżegnać, bo tyle razy zmieniał wyznanie. A potem, wśród ogólnego śmiechu, dialog Jagiełły z umierającym Witoldem (Holoubka z Michałowskim), kiedy wspominają, kto kogo pobił.

Jakaś korpulentna pani, starsza, o ładnych, delikatnych rysach, która przedtem zastrzegała się, że spieszy się na autobus, dziękuje za spotkanie, ściska obie dłonie, cieszy się, że została.

P. Nehrebecki usiłuje poruszyć temat „Hen i kobiety”, ale mu się wymykam.

Niedziela. Rena sama w domu. Dzwonię: amaryl zażyła, śniadania jeszcze nie jadła.

Madzia napisała artykuł.

W a r s z a w a. Piątek, 31 października. Wczoraj wieczorem nieoczekiwanie zadzwonił Różewicz. „Chciałem usłyszeć twój głos”. Ja o tym, że nie odzywałem się, bo brakło mi słów. On to dobrze rozumie. (Kilka tygodni temu, kiedy w Konstancinie Tadeusz obchodził urodziny, we Wrocławiu zmarł jego starszy syn, Janek). „Chyba się tego nie spodziewałeś — mówię. — W Konstancinie twój nastrój wydawał się dobry. — Nastrój — na to on — jest często przykryciem tego, co się w nas naprawdę dzieje”. Wspomniałem mu o spotkaniach na Wybrzeżu: „głównie

z kobietami z uniwersytetu trzeciego wieku”, i że tam usłyszałem, że nasze pokolenie wyróżnia się „hartem”. To pozory, według Różewicza, pod spodem jesteśmy delikatni. Kończy rozmowę szczerym życzeniem: „Bądź zdrów!”.

Listopad

Wracam do spotkań na Wybrzeżu.

W niedzielę w południe w bibliotece klubu Marynarki Wojennej. Niespodzianka: sala zapełniona, ponad sto osób, niekoniecznie są to wojowniczy marynarze, przeważnie kobiety. (Kierowniczka, miła, fertyczna pani, sygnalizuje mi z osobistą satysfakcją, że obserwuje się powrót do książki). Pan Krystian zaciera ręce: sprzedał 30 egzemplarzy. Znowu ktoś — i znowu młody człowiek — podchodzi z *Królewskimi snami* i mówi: „Ja sobie to wciąż podczytuję”.

Na obiad, po raz trzeci, do Restauracji w Ogrodach. Mówię: „Panie Krystianie, w umowie nie ma, że firma mnie żywi. — Jest, jest” — uspokaja moje nieczyste sumienie p. Nehrebecki. Kelnerka, osoba zaprzyjaźniona, namawia nas na kaczkę. Po obiedzie dwie godziny w pokoju hotelowym. Z zapakowaną walizką schodzę na dół. (W domu okazało się, że zostawiłem w pokoju piżamę; ja też, jak Gałczyński, zostawiam po sobie ślad).

Jedziemy do Sopotu, w bibliotece odbędzie się ostatnie spotkanie. Jest ta pani od Judyty Wołkowyskiej; do wiązki moich kluczy dopina, niejako w imieniu Judyty, metalowe serduszko. Żebym pamiętał.

Wszystkie spotkania mi się zlały, nie potrafię przywołać w pamięci, co i jak na którym mówiłem. Najważniejsze, że panie wyrażały zadowolenie.

Wieczorna jazda samochodem do Warszawy. Pan Krystian prowadzi szybko i pewnie. Przed północą jestem w domu. Rena śpi. Rozścielam sobie pościel, coś przegryzam, coś piję. Chyba był to udany weekend. Jutro mam płacić za telewizję i telefon.

Krzyczałem. Darłem się. Chciało mi się tłuc talerze, rozbić szyby. Była druga w nocy. Dostałem szału. Zupełnie jakbym miał do czynienia z normalną kobietą. Niepotrzebnie krzyczałem. Ona ma swój własny, wykreowany przez siebie świat. System wartości, w którym się liczą sprawy maniakalne. A ja krzyczę, bo nie mogę żyć samą tolerancją, pogodzić się z jej obojętnością na otaczający świat.

Zupełnie jakbym miał żyć i żyć. A przecież przez ostatnie trzy dni (notuję to w nocy z 20 na 21 list.) tak się złożyło, że byłem codziennie na cmentarzu. We wtorek (18 XI) tłumy odprowadzały Rakowskiego. Nad grobem przemawiał Kwaśniewski. Po nim Daniel Passent. Odwiózł mnie z cmentarza p. Mrówczyński. „Ostatnio — mówię — odwoził mnie właśnie Rakowski”.

Nazajutrz — w deszczu — kilkadziesiąt osób na pogrzebie Juliana Konara (czyli Kubusia Kona z Nowolipia 53). Ani jednej znajomej twarzy. Długi przemarsz główną aleją do grobu. Wydawało mi się, że powinienem nad grobem coś powiedzieć, wspomnieć, że odszedł „ostatni z Nowolipia”, ale wdowa się nie zgodziła, może tego właśnie nie chciała. Nie chciała tego, co go łączyło z jego zadziorną (jak pamiętam) młodością, wykreśliła z jego życia tę młodość. Nie domyślała się, że odetchnąłem z ulgą, bo obawiałem się, czy ja wypowiem tych kilka zdań, z których każde powinno coś znaczyć.

I wreszcie dzisiaj — pogrzeb Stanisława Różewicza. Deszcz, wiatr, ja na szczęście w nowej kurtce, którą kupił mi, z okazji moich urodzin, dumny ze

swojej sytuacji finansowej mój syn. Prócz urzędowego mówcy, minister, Janusz Majewski, Bajon. Trochę znajomych ze świata filmu. W kondukcie łapie mnie pod rękę synowa Tadeusza, od miesiąca wdowa, przypomina, że poznaliśmy się podczas uroczystości wręczenia Nike dla Tadeusza (odbierał wydawca). Jest spokrewniona z krakowskimi Infeldami, więc przez Ewunię, w jakiś sposób, chociaż daleki, spowinowacona i z nami. Po złożeniu urny z prochami Stanisława do grobu podchodzi do mnie Janek Budkiewicz, kiedyś mój asystent przy kręceniu *Autobusów jak żółwi*. Odwiezie mnie. W samochodzie wspominamy Łódź, „Honoratkę", Ewę Frykowską i jej przyjaciółkę Jolę, Hankę Iżykowską, Rymkiewicza, który wydawał się miłym chłopcem („oszalał" — krótko ocenia Budkiewicz), ja o Zbyszku Rogowskim i o jego obłędzie, bo te szalone artykuły antysemickie, które przed śmiercią pisywał, ku zaskoczeniu tych, którzy znali go i przyjaźnili się z nim, panowie i panie, wśród nich mające doń słabość Żydówki, to mógł być tylko obłęd. Zmiany w mózgu.

Deszcz. Wiatr.

Nie notowałem prawie trzy tygodnie, chociaż dużo się działo, także w myśli, ale nie potrafiłem się zmusić. Za to, kiedy mogłem, dopadałem laptopa, aby coś jeszcze nanieść z *Dziennika*. Czy to coś warte? Czy kogoś zainteresuje? Wystrzegam się plotek (a odniósłbym sukces, gdybym je przytaczał!). I pikanterii. Czeka mnie tyle pracy — nie wiadomo po co.

Spróbuję wrócić do łóżka.

Jutro — do Krakowa. Podobno zaśnieżony. Wczoraj nadałem 9 listów z podziękowaniami za życzenia urodzinowe, niektóre do nieznanych mi osób. Po zakończeniu laptopowania, po napisaniu listu do p. Jackowskiej z Poznania myję ludwikiem naczynia.

Dziś telefon od Janusza Beera z Waszyngtonu. Dostał „Przegląd” i „Aneks” z okolicznościowymi artykułami o mnie. Zauważył, że odzywa się na temat mojego 85-lecia tylko „jedna strona”.

Gdyby tak było!… Kompetentna i wyspecjalizowana dziennikarka proponowała w zaprzyjaźnionym tygodniku, do którego od dziesięcioleci jestem przywiązany, wywiad ze mną z okazji „jubileuszu”. Odmówiono jej. Była szpalta z notatką zaczynającą się od słów „Znany pisarz…”. „Znany” — to najgorsze, co można wymyślić. Przyzwoiciej byłoby bez określenia. A nawet wypadłoby mocniej: „Józef Hen ukończył 85 lat”. Ale oni uważają, że jakiś epitet jest potrzebny. Jak tu wybrnąć? Napisz: „znany”.

Pociąg do Krakowa — wg specjalnego rozkładu jazdy (Dzień Kolejarza) — odjeżdżał z 40-minutowym opóźnieniem. Podczytuję, przygotowując się do spotkania, *Bruliony profesora T.* Także dlatego, że kilka dni temu rozmawiałem o *Brulionach.*.. z „Matyldą”. Rozwodzi się. „Jest tak, jak napisałeś. To prorocza książka”. Powiedziałem jej, że wszyscy mówią, w przeciwieństwie do niej, że „Matylda” jest „urocza”. Obiecuje sobie przeczytać książkę raz jeszcze, już na spokojnie. Parę osób zna i ceni *Bruliony*…, ale nie oszukujmy się, książka nie zaistniała. „Ach, gdyby pan ją napisał po angielsku…”, powiedział z westchnieniem pewien wybitny erudyta. Możliwe, że moje „proste piosenki” nie są takie proste, są zbyt wieloznaczne, by mogły do nierzetelnych oceniaczy dotrzeć.

W Krakowie na peronie czeka p. Piotr Marecki. Zawozi mnie na ulicę Lubicz, co wywołuje w mojej pamięci „Dom Żołnierza” w styczniu 1945, jeszcze z napisem SOLDATENHEIM, a później teatr Adwentowicza, w którym także bywałem.

Spotkanie ze Szkołą Scenarzystów Filmowych. Sala pełna, ponad 100 osób, twarze inteligentne, oczy uśmiechnięte, widać zainteresowanie. Na

dany znak witają „pana profesora” oklaskami. „Oklaski zostały spowodowane (nie użyłem słowa „wymuszone”), a profesorem nie jestem”. Śmiech, oklaski. Powiedziałem: „Nie mogę państwa nauczyć pisania scenariusza, tego nie da się nauczyć, mogę podzielić się swoimi doświadczeniami. Są one trojakiego rodzaju: literackie — ze współpracy z reżyserami — i administracyjne. Tym ostatnim doświadczeniem nie warto się zajmować, wszystko dziś wygląda inaczej”.

Krótko o kolejnych, znanych im zresztą filmach. O wiele więcej o *Don Gabrielu*, który wzbudził zainteresowanie — szczególnie pomysł, by wykorzystać konflikt Irzykowskiego z Boyem. O tym, jak bym skonstruował scenariusz według *Pingpongisty*, jak by wyglądała opowieść w porównaniu z powieścią. Czy wspomniałem o scenariuszu z *Brulionów*? Chyba tak. O tym, że producent postulował, bym zamienił w nim Lenina na Bieruta. (Śmiech). Nie zgodziłem się i do realizacji nie doszło.

Gdzieś chyba w czwartym rzędzie siedziała ślicznie i inteligentnie uśmiechająca się dziewczyna, naturalne ciemnoblond włosy, w ręku trzymała *Pingpongistę*. Wyraźnie chciała mi uśmiechem dodać ducha.

Kilka naturalnych pytań, np. jak znoszę odejście przez reżysera od scenariusza; ktoś pyta o *Dwa żebra Adama* — skąd taki pomysł. Podpisuję kilka indeksów; przerwano to, bo spóźniłbym się na pociąg. Podeszła ta przemiła dziewczyna z *Pingpongistą*. Jest zachwycona książką. (Słyszysz, kmiotku, co inni sądzą?) Jak podpisać? „Marzenie”. Więc tak podpisuję: „Marzenie”, i to wszystko. Nic więcej o niej nie wiem.

(Ale którejś nocy mi się śniła. Wyglądała inaczej niż na tym spotkaniu, fryzura blond w kędziorkach, ale ja mimo to miałem świadomość (we śnie!), że to ta dziewczyna z *Pingpongistą*, i że to ona tak delikatnie mnie całuje. Takie kostiumy nawleka na pojawiające się osoby sen. Tak inna, ale jednak ta. Pouczające).

P. Piotr Marecki, organizator tej uczelni, wydawca (przysłał mi potem dwie książeczki Mariana Pankowskiego), odprowadził mnie na dworzec, przy pożegnalnej herbacie mówił, że musi obejrzeć *Don Gabriela*, może przeprowadzi ze mną rozmowę dla „Kina”.

Pankowski — tak jak się spodziewałem — bardzo dobry. I obolały.

Niewiele odnotowałem z tego nieszczęsnego „jubileuszu” w Klubie Księgarza. Dlaczego „nieszczęsny” — nie powiem. Ważne, że byli ludzie, którzy chcieli tam być. Kilkadziesiąt świetnych i sympatycznych nazwisk.

Stock, whisky, wino. Kwiatów zatrzęsienie — w tym „urzędowe” — od ministra kultury, od p. prezydent stolicy, od aktorów. Rozdało się je hojnie między potrzebujących (Madzia: „W domu mam kwiaciarnię”). Grażyna Barszczewska odczytała kapitalnie *Pochwałę wieku dojrzałego* Boya. Potem, przy poczęstunku i winie, zaintonowałem do niej — i kilka osób to podchwyciło, w tym Alfred, jej mąż — „Sierdce, tiebie nie choczetsia pokoja…” Nie wiedzieliśmy, że to jest filmowane. Nazajutrz pokazano to w Teleexpressie: Józef Hen na swoim jubileuszu śpiewa po rosyjsku.

To był piątek, 7 listopada. Nazajutrz, w dniu urodzin, w Zamku Ujazdowskim inauguracja przeglądu filmów. Najpierw *Fotografie mojego taty*, dokument Maćka, potem, tak jak sobie życzyłem, *Don Gabriel*. Rewelacja! Obecni na sali, chyba z 50 osób, zdumieni — nie wiedzieli, że istnieje tak świetny film! I co dla mnie najbardziej satysfakcjonujące: wierny scenariuszowi. Znakomita rola Pawlika, obsada utrafiona, widać, że aktorzy świetnie się czują w swoich postaciach: Krafftówna, Śmiałowski,

Lutkiewicz, wszyscy. I ja, i Maciek stwierdzamy zgodnie, że to jest najlepszy film według mojego scenariusza.

Grudzień

W nocy będę miał dyżur w radiowej Jedynce. Dziennikarka, która to wymyśliła, znana mi od lat, powiedziała, że mogłaby ze mną rozmawiać „na klęczkach”. Ja na to: „Nie jestem aż tak niski, żeby musiała pani do rozmowy przyklękać”.

Starość, sformułowałem to dzisiaj, niekoniecznie nas w środku zmienia — zmienia się świat dokoła nas: schody stają się wyższe, zakupy cięższe, krawężniki w gorszym stanie, druk bledszy, aktorzy mają gorszą dykcję… Świat się zepsuł.

Podczas „dyżuru” nocnego było kilka telefonów, niektóre poruszające; pan Przemek słuchał, jadąc samochodem, żeby nie zasnąć; rozmowa, twierdził, podniecająca; wracał z wizyty u dziadka, z którym czuje się związany, dziadek opowiada mu prawdę o tamtych czasach. Telefon z Toronto, więc aż tam dociera Jedynka, dzwoni p. Rafał, pyta, czy znałem Tyrmanda i dlaczego nie zrobiłem scenariusza ze *Złego*, który chciano u mnie zamówić. Próbowałem wyjaśnić — nie wiem, czy p. Rafał był usatysfakcjonowany.

Dzwoniłem do Różewicza. Zgaszony. „Jestem do niczego”. Po ciosie, jakim była śmierć syna, mówi, ten drugi cios, odejście brata, jeszcze mocniejszy. Czy się zobaczymy? Kto wie.

W Kaliszu — spotkanie autorskie w Muzeum. Jest nie więcej niż 30 osób. Arek Pacholski, który spotkanie prowadzi, proponuje, żebym coś

z *Pingpongisty* przeczytał. Czytam fragment pierwszego rozdziału. (Może przekonany przez Gabiego Mokeda, który właśnie ten rozdział chce dać w „Jerusalem Review”). Wyczuwam podczas czytania, że u słuchaczy narasta zainteresowanie, doktor Wiernik wprowadza swoją zagadkę jak w kryminale. Potem studentka Arka przepytuje mnie z *Brulionów*…

Kolacja u Jędrzejaków — ona, pani Ela, bardzo się postarała. Miękkie kawałki duszonego indyka, wyborna sałatka z zieleniny z oliwkami. Najpierw whisky, potem czerwone wino. Arek wraca do siebie, a my we troje, przy koniaku, gadamy i gadamy. Dowiaduję się, że Wiktorowi ktoś powiedział, że w „pewnym kręgu” (wiadomo jakim) jest „lista tych, których się nie czyta” i ja na niej jestem. Co ja na to? No cóż, to przykre. Ale zarazem powód do dumy.

Przed laty, pamiętam, czołowy autor z tego „pewnego kręgu” bronił w telewizji atakowanego przez ciemnotę Boya. Bronił z ogromną emocją, słuchałem tego trochę zaskoczony, że to właśnie on. Co się zmieniło? Nie Boy. On się zmienił.

Czasem takie wciąganie na listę „tych, których się nie czyta”, może być podszyte antysemityzmem. Ale trudno to udowodnić.

Rozstaliśmy się z gospodarzami prawie o pierwszej w nocy. Śpię, jak zwykle u nich, w pokoiku urządzonym na poddaszu i raz po raz, mimo że się tego wystrzegam, uderzam głową w pochyły sufit. Nazajutrz serdeczne pożegnanie. Od Wiktora dostaję kalendarz na rok 2009 z reprodukcjami jego obrazów.

Po trzeciej jestem w domu. Do kina Muranów, na pokaz filmu *Nikt nie woła,* po którym ma się odbyć „spotkanie z twórcami”, spóźniam się celowo, bo nie chce mi się oglądać od początku. Pani Chojna znajduje dla mnie w ciemności miejsce, siadam i widzę na ekranie piękną, wzruszającą

Zosię Marcinkowską. Kilka razy wzruszam się potrójnie: za postać z filmu, za Renę, która była jej pierwowzorem, i za Zosię, która tak tragicznie odeszła. Ile lat by dziś miała? Chyba siedemdziesiąt.

Film mocno oklaskiwano. Po projekcji Kutz bryluje z mikrofonem na proscenium, tworzy mitologię tego filmu, nie wymieniając ani razu nazwiska scenarzysty, autora powieści. Wreszcie pani Chojna ujawnia, że na sali jest scenarzysta, Józef Hen, prosi na scenę. Gromkie oklaski. Nie będę wytaczał sprawy po 50 latach, postanawiam, to bez sensu. Powiedziałem, że oklaski świadczą o trwałości artystycznej filmu. I o sile opowieści miłosnej — bo jest to przede wszystkim o niej, o dziewczynie, która — najpierw w życiu, a potem w powieści — była moją dziewczyną. Opowiedziałem, to mi było wolno, jak doszło do napisania scenariusza z niewydanej powieści.

Kiedy wywołało się z sali Henryka Boukołowskiego, zapytałem go: „Czy oglądając ten obraz teraz, po raz pierwszy od trzydziestu lat, byłeś z siebie zadowolony?”. Odpowiedział bez wahania: „Tak, zdecydowanie”.

Rena robi postępy — dzięki lekowi i opiece. Przypomina sobie jednak wydarzenia, których nie było, które sobie tylko wyobraziła. Jej mózg tworzy coś na jawie, jak tworzy mózg we śnie. (O snach na jawie wspominał już Montaigne, był bardzo przenikliwym psychologiem). Narzeka, że w nocy głośno grają w kawiarni pod nami, nic podobnego się nie dzieje, ona jednak słyszy granie, „idź, porozmawiaj z nimi!”, obiecałem, że to zrobię, potem powiedziałem, że rozmawiałem, a oni tłumaczyli, że muzycy ćwiczyli i to jest wyjątkowe.

Więc skłamałem. „Prawda was wyzwoli”. Zależy jaka prawda. Kłamstwo bywa dobrodziejstwem (wiem, że nie mówię nic nowego). Była zresztą

amerykańska sztuka *Dzień bez kłamstwa*, Boy ją recenzował, w której te sprawy, w sposób komediowy, poruszono.

W kilka dni później w kawiarni naprawdę grali, mocno i do drugiej w nocy, ale Rena nic nie słyszała. Bo to było prawdziwe granie.

„Ta książka jest moim ukochaniem”, powiedziała podczas fety na Zaciszu pewna pani, która zakupiła *Pingpongistę* w Empiku. Kilka dni temu coś podobnego powiedziała mi podczas otwarcia wystawy „100 lat kina polskiego” młoda i urodziwa Aleksandra Engler. Zdumiona, że recenzent nie widział dramatyczności, która kryje się pod prostą i sarkastyczną narracją. Dobre wiadomości o odbiorze *Pingpongisty* w Izraelu miała dla mnie p. Beata Stasińska. „To świetnie, mówię, strasznie potrzebuję dobrych wiadomości”.

W Czytelniku obcałowaliśmy się przedwigilijnie z Konwą. Pytam: „Jak spędzisz święta?” On, rozpromieniony: „Marysia przyjechała!”.

Beata C. dzwoni dość nieoczekiwanie, żeby mnie zawiadomić, że zaliczyła *Pingpongistę* po raz drugi. „Ciebie trzeba czytać co najmniej dwa razy, bo przy drugim razie można zauważyć pewne odcienie i aluzje”. Ma zapalenie płuc. To stan u niej prawie chroniczny. Synowie kupili choinkę, zrobili zakupy, poczuwają się do pomocy finansowej.

Opowiadanie (dłuższe), które mnie kusi, to opowieść (przytoczona przez Boya) o pomocniku, adepcie pióra, którego Balzak wziął do siebie, dał mu wikt i opierunek, budził go w nocy: „Mam kłopot, wymyśl coś!”, aż tamten uciekł, nie wytrzymał tej katorgi. Dla siebie, w opętaniu twórczym — może by wytrzymał. Ale zmusić mózg do tworzenia dla k o g o ś — za wikt i opierunek — nie, to męka.

Sięgnąłem do Boyowskiej biografii Balzaka — jak to napisane! Jaka wciągająca narracja!…

2009

Styczeń

K o n s t a n c i n, sobota. Przyjechałem wczoraj, przywiózł mnie Maciek, który bardzo spokojnie prowadzi swoją niedawno kupioną dacię.

Przed odjazdem do Konstancina prawie dwie godziny z młodą doktor polonistyki, p. Karoliną Famulską. Ma sporządzić moją sylwetkę dla „Słowa Żydowskiego”. Jest z Torunia, przenoszą się z mężem do Warszawy, zadowolona, że dostała etat. (Dopisek późniejszy: wkrótce uciekną do Lublina). Zaczęła mnie czytać: najpierw *Nie boję się bezsennych nocy*, dalej *Najpiękniejsze lata*, *Nowolipie*, *Oko Dajana*, zaczęła *Pingpongistę*. I oto, co ją zdumiewa: w ciągu pięciu lat studiów polonistycznych nigdy nie słyszała mojego nazwiska. Hena nie było. (Podobnie Marzena na studiach w Łodzi).

W weekend po sylwestrze (który przebiegł u nas spokojnie, w restauracji pod nami nie było zabawy) wymusiłem na sobie felieton, zamówiony przez redakcję miesięcznika „Auto motor i sport”: *Ballada o cudzym samochodzie*. Zwierzenia wdzięcznego pasażera. Redaktor Semp telefonuje z Wrocławia, że felieton OK. W ten sposób dorabiam sobie na życie. Zadzwoniłem do Madzi: „Choroszo napisał starik”. Madzia zadowolona, że przypomniałem w felietonie Lucjana Wolanowskiego, także jako autora.

Odnotowuję tu swoje małe prywatne porażki i zwycięstwa, podczas gdy w Gazie toczy się wojna o życie. Wojna, którą zaczęli fanatycy nienawiści

z Hamasu. Zgromadzili rakiety, mają ich tysiące, lekkie, łatwe do przemieszczenia, atrakcyjne zabawki — jak tu ich nie użyć? Zerwali zawieszenie broni, kierując się pełną nienawiścią i zręczną retoryką (którą „użyteczni idioci” kupią) i zaczęli ostrzeliwać żydowskie miasta i osiedla. Czy nie wiedzieli, że będzie odpowiedź? Że zginą niewinni ludzie? Ależ tak. Im więcej ginie przy tej okazji dzieci, tym lepiej dla „sprawy”. Życie współziomków niewiele ich obchodzi. (Zostaną „męczennikami” i będą w raju).

Rzeczniczka armii izraelskiej przypomina tym, którzy chcą jej w ogóle słuchać, że hamasowcy gromadzą dzieci w szkołach, posługują się cywilami jako żywą tarczą. „Nie mamy wyboru: musimy ich atakować gdziekolwiek są”.

Maciek zadzwonił. Jest wzburzony, bo znany i właściwie zaprzyjaźniony historyk zaatakował *Don Gabriela*; powiedział, iż najlepszy dowód, że film antypolski, to fakt, że został nakręcony „według lizusowskiego opowiadania Putramenta, opublikowanego we Lwowie w 1940 roku”. Czytałem wtedy to opowiadanie, podziwiałem dramatyczność narracji, nie dostrzegłem w nim nic lizusowskiego. Nie mówiąc już o tym, że opowiadanie Putramenta to tylko jeden z epizodów filmu, którego zasadniczą nicią jest domniemana opozycja Irzykowski– Boy; germanofil a francuski oświeceniowiec — i jak to się ujawnia i skutkuje podczas kampanii wrześniowej. Dziwne, że profesor tego nie zauważył. A przecież tyle o Boyu pisał…

Trochę pychy nie zaszkodzi. Do diabła ze skromnością! — wyrywało się z głębi duszy Gombrowiczowi. Więc ta pycha stąd, że z jakichś powodów kartkowałem moją książkę o Montaigne’u. I oto, co zauważyłem: stałą obecność autora — myśl Montaigne’a staje się bodźcem do moich

własnych myśli. Przymierzanie rozważań Montaigne’a do naszych doświadczeń i dzielenie się wątpliwościami. Czytelnik nie musi wiedzieć, dlaczego książka mu się podoba. Najczęściej uważa, że dlatego, iż obcuje z Montaigne’em. Ale obcuje i ze mną, nie zauważając tego.

Nigdy nigdzie tej książki nie nagrodzono. Kiedy pewien młody literat warszawski omawiał w „Kulturze” paryskiej (pod pseudonimem oczywiście) książki z tej czytelnikowskiej serii, mojego *Montaigne’a* pominął. Dlaczego — nie wiem, nigdy go o to nie zapytałem. W „Twórczości” *Montaigne* nie był „książką miesiąca”. Był rok 1978. Mogę więc powiedzieć — i tu miejsce na pychę — nie napisałem „książki miesiąca” — napisałem książkę na dziesięciolecia.

W niedzielę brałem udział w „Dniu z Wojciechem Hasem” w TVP Kultura i mówiłem o *Rękopisie znalezionym w Saragossie*, przy którym (dość przypadkowo) byłem kierownikiem literackim. Uderzyło mnie, że eksperci literaccy mówili o dziele Hasa uczonym, uniwersyteckim językiem, tak jakby mieli do czynienia nie z filmem, który ma się podobać publiczności, ale z rozprawą doktorską.

W najbliższą niedzielę „Dzień z Januszem Majewskim”. Będę rozmawiał z Olgierdem Łukaszewiczem o *Lekcji martwego języka* (wg książki Kuśniewicza). Oglądałem w swoim czasie ten film w kinie i byłem pod sporym wrażeniem. Teraz oglądaliśmy to w Konstancinie na DVD z Krzysztofem Gradowskim i panią Renią. To jest film, stwierdziliśmy, który wymaga ciemnej sali, dużego ekranu — i skupienia. Film o umierającej Austrii. Jesień. Umierają drzewa, umiera porucznik. Ale przedtem rozstrzeliwuje rosyjskich szpiegów. Absurdalność tego zabijania, śmiertelnego rytuału wojennego, który wciąż jest spełniany, do ostatniej chwili.

Jest wpół do jedenastej, a Rena jeszcze śpi. Wczoraj wieczorem weszła do mnie i powiedziała coś dziwnego: „Przyszło mi na myśl, że powinieneś się ożenić”. Objąłem ją i pocałowałem. „Nie gadaj głupstw”. Ale ona mówiła dalej: „Nie musisz formalnie. Możesz sobie wziąć kobietę bez formalności”. Powiedziałem jej, że widziałem taki rysunek amerykański: starzec klęcząc, z bukietem w ręku, oświadcza się młodej kobiecie: „Czy zechce pani być wdową po mnie?”.

W tym, co mówiła, nie było złośliwości, była życzliwość, nawet odcień czułości — przyszło jej na myśl, że mnie jest ciężko, że potrzebna mi, także dla bliskości fizycznej, kobieta, żona. I było też przebywanie w wykreowanym przez nią świecie. Jutro będzie w innym…

Kiedy Barack Obama miał zostać zaprzysiężony, posadziłem Renę przed telewizorem: „Popatrz! To jest nowy prezydent Ameryki!”. Chyba doceniła historyczność tego faktu. Sprawdzi się czy nie, ale Ameryka przez sam ten fakt już będzie inna.

Luty

Znowu w Konstancinie.

Te zapiski będą nieuporządkowane, niechronologiczne, ot tak, jak przyjdą na pamięć, według jakiejś swoistej, chwilowej ważności (zapewne; bo czasem łatwiej odnotować rzeczy nieważne, błahe). Zacznę od tego, że Szymborska przysłała mi swój ostatni tomik wierszy, *Tutaj*, z dedykacją: „Ulubionemu Józefowi Henowi”.

O tym jej tomiku była lekceważąca recenzja w „Dzienniku”. Młoda, pewna siebie polonistka napisała, że to tomik niepotrzebny, Szymborska nie

ma już weny poetyckiej, pisze wiersze „po to, żeby były drukowane”. Oburzył się Jerzy Pilch i napisał jeden ze swych najlepszych felietonów.

Magdalena Samozwaniec opowiada, jak Lilka (czyli Maria) przerażona była, kiedy jakaś znana jej Rey napisała sztukę, być może dobrą, i dała na mszę, żeby jej się nie udało! Czy Jezus przyjmuje modły o to, żeby komuś zaszkodzić?

Norman Davies, bardzo pracowity historyk, który schlebia Polakom, przedstawiając katastrofalną decyzję o powstaniu warszawskim jako słuszną, zamieścił w „Polityce” artykuł o genezie konfliktu bliskowschodniego. Winni są oczywiście Żydzi, ich państwo w ogóle nie powinno było powstać, Balfour zadeklarował nie państwo, ale „siedzibę narodową”. Miały, zgodnie z uchwałą ONZ, powstać dwa państwa, a powstało tylko jedno: żydowskie. Pan Davies nie pisze jak historyk, ale jak propagandzista: pomija to, co nie zgadza się z jego tezą. Ukrywa fakt, że Arabowie nie godzili się na państwo żydowskie, mało tego: nie chcieli także państwa palestyńskiego, Jordania, Syria i Egipt chciały tych ziem dla siebie. Nie było wtedy jeszcze pojęcia „narodu palestyńskiego”.

Powstało państwo żydowskie i „natychmiast wybuchła wojna”. Słyszę takie sformułowanie nie po raz pierwszy: wrogo nastawieni wobec Izraela publicyści, powiedzmy otwarcie: antysemici, piszą „wybuchła wojna”, posługują się zręcznym kłamstwem: wojna nie „wybuchła”, tylko pięć państw arabskich napadło na państwo Izrael nazajutrz po powołaniu go do życia. Panie profesorze, zniekształca pan historię. Nieładnie.

Któregoś wieczoru dzwoni Marian Grześczak: „Dostałeś «Reymonta», razem z Karaskiem; pieniądze niewielkie, ale nagroda prestiżowa”.

Dowiaduję się, że laureatami tej nagrody są: Konwicki, ks. Twardowski, Kapuściński, Marek Nowakowski, Janusz Krasiński, chyba i Lem.

Przychodzi od rzemieślników pismo o nagrodzie. Grześczak poufnie ujawnia, że wysuwano mnie już w ubiegłych latach, ale za każdym razem przepadałem. Z Rzeszowa list od Zbigniewa Domino, w którym pisze, że z powodu choroby nie mógł brać udziału w obradach jury, ale przesłał pismo, że popiera moją kandydaturę i przypomina, że dwukrotnie wysuwał ją zmarły niedawno Andrzej Braun. To teraz już wiem wszystko…

Telefon od Konwickiego: dzwoni z gratulacjami. Konwa zna moją sytuację, nie trzeba mu nic tłumaczyć. Teraz, mówi, może się sypną nagrody. „To, że ty nic nie dostawałeś, wyglądało na jakąś zmowę”. Użył tego słowa. Sypną się, bo „nagrody dostają stale ci sami”. Bardzo sympatyczny telefon.

Zmarła Joanna Guze (lat 90), często występująca w moich zapiskach — to jako despotyczna w głoszeniu poglądów eseistka, rozmówczyni, to jako wyśmienita tłumaczka Constanta, Goncourtów, Camusa, autorka inteligentnych wyborów.

Nazajutrz po jakiejś awanturze, Rena już jej nie pamiętała. Pozwoliła sobie dać lekarstwo. Czy dać jej tabletki przeciw agresji? — zastanawiamy się z Madzią. Nie, po kilku godzinach jest łagodna — to był wybuch.

Minął jeszcze jeden dzień i jestem już „Ciupuś”. Sąsiadce powiedziała, że jestem „nadtroskliwy”.

Odnotowałem, że schorowani starcy obojętnieją na śmierć znajomych. Trudno nawet to skupienie na własnym istnieniu nazwać egoizmem — to coś innego, coś w rodzaju uwiądu uczuć.

I myśl: Dopóki się przejmujesz czyjąś śmiercią, czyimś odejściem z twojego kręgu, należysz jeszcze do klanu żywych. Jesteś w pewnym sensie młody.

Marzec

Widzę, że w notatkach pominąłem opis wręczenia mi Nagrody im. Reymonta. 5 tysięcy złotych, tyle samo dostał Krzysztof Karasek. Nagrodę za najlepszą książkę roku dostała przemiła i utalentowana Anna Janko. O mnie ładnie, treściwie, przenikliwie mówiła Iwona Smolka. Jakiś młody człowiek odczytał list od Ewy Junczyk-Ziomeckiej; miał też ze sobą stary egzemplarz opowiadań *Krzyż Walecznych*, żebym wpisał mu dedykację. Poeta Irakijczyk Hatif Janabi, który zna się z Maćkiem, dał mi tomik swoich wierszy.

(Zajrzałem do tego tomiku. Wiersze spodobały mi się. Pisał je po polsku, co jest zadziwiające. Coś w tej liryce, w samym rytmie, jest bliskowschodniego, pomyślałem o Hafizie, którego znam tylko z *Historii Tadżykistanu* Gafurowa — chociaż Hafiz pisał po persku, nie po arabsku, a na pewno nie po polsku).

P. Piotr P. opowiadał, że słuchał *Ziemi obiecanej* przez radio. Leje się z tej książki antysemityzm. No cóż, endek. Ale i u socjalisty Żeromskiego, konkurenta Reymonta do Nobla, są nutki antysemickie. Jak wynika z książki Marci Shore *Kawior i popiół*, bywają one także u komunisty Wandurskiego; łączyło się to z jego megalomanią, z zazdrością o sukcesy skamandrytów i futurystów. Nie ma takich nutek u Sienkiewicza. No i oczywiście u Orzeszkowej i Konopnickiej. No i co teraz? Nie brać nagrody dlatego, że jej patron był antysemitą? To nie on mi dał nagrodę, lecz Związek Rzemiosła, co prawda za trzecim podejściem.

Maja uważa, jako „czysta Polka”, że na moje niepowodzenia ma wpływ pochodzenie. „Jesteś Żydem — powiedziała dzisiaj — dla nich to się liczy, nie ma co ukrywać”. Żydem, który zamiast trzymać się tematyki żydowskiej, tragedii żydowskiej — jak Hanka Krall, Edelman, Stryjkowski — pisze o Stanisławie Auguście, Boyu, Jagielle, o szlachcie (*Crimen*), o żołnierzach nad Nysą.

Kilka dni temu Rena, po zjedzeniu na śniadanie pstrąga w galarecie, powiedziała, że w tej galarecie jest opisana historia naszego sąsiada, którego wyrzucono z mieszkania; być może śniło jej się, że galareta do niej przemówiła, we śnie to możliwe. Bruno Schulz by jej pozazdrościł.

W Internecie Maciek znalazł kilka dobrych, dużych recenzji z *Pingpongisty,* m.in. p. Ryczkowskiej w lubelskim „Akcencie”. Jedna z recenzji kończy się opinią, że *Pingpongista* powinien być lekturą obowiązkową. Dobra recenzja Maxa Fuzowskiego w „Twórczości”. Cieszy, że p. Max wspomina *Opór*, mówi o charakterze „unikatowym” tej powieści. (Muszę przeczytać, wielu epizodów już nie pamiętam. Pamiętam, że uważałem za swoje osiągnięcie, iż w tym ludzkim szaleństwie, jakim jest wojna, biorą udział niczemu niewinne konie, jest krowa i zdziczały ze strachu — a może z głodu — kot).

Kilka dni temu p. Ania Marszewska, kierowniczka księgarni na Wiejskiej, dzwoniła, że Kutz będzie podpisywał książkę Aleksandry Klich o sobie. Że byłoby miło, gdybym przyszedł. Przyszedłem, jest z 12 osób, z tego połowa to fotografowie. Ale jest też Janusz Palikot, zaprzyjaźniony z Kutzem i, jak się okazało, właściciel tej księgarni. Przedstawiamy się sobie, ja pytam, czy *Pingpongista* do niego dotarł. Tak, dotarł. I prawie

wybuch: „Świetna książka, świetna, ważna.(…) I jaki film można z niej zrobić!”. Jeszcze coś na ten temat, jesteśmy obfotografowani, potem pani Ania przynosi mi jego książeczkę: *Płoną koty w Biłgoraju*. Palikot podpisuje, wstawiając słowo „zażenowany”.

Teraz to czytam. Podoba mi się narrator tej książki. Nie mizdrzy się, mówi o sprzecznościach moralnych, ale i zwycięstwie woli życia i działania. Podoba mi się, że pisze z sentymentem o nauczycielach ze szkoły podstawowej i z gimnazjum. O profesorach uniwersyteckich — o tym, co im zawdzięcza. Nie odkuwa się na nich, jak Putrament na swoich: nie wspominał z wdzięcznością ani jednego.

Szczerze, przyjmując winę na siebie, pisze o swoim rozwodzie. Z miłością i dumą o synach. Jest i parę uwag płynących z doświadczeń życiowych, z refleksji nad nimi — świeżych.

Poszeptywano w księgarni, że chce kandydować na prezydenta. Nie wróżę mu sukcesu. Popularność nie oznacza, że wyborcy zobaczą w nim prezydenta. Tu stosuje się inne kryteria.

Od pewnego czasu czytam przed snem opasłe *Dzienniki 1927–1969* Anny Kowalskiej. Budzi sympatię. Przede wszystkim dlatego, że umiała krytycznie, trzeźwo oceniać swoją twórczość. Być może współżycie z Marią Dąbrowską pozbawiało ją złudzeń co do jakości własnych książek. Tamta ją gniotła. W życiu też. Zapiski Kowalskiej mimo woli potwierdzają, że „Maryjka” była wredną wydrą, złym człowiekiem. Od Anny żądała pochlebstw i podporządkowania się. Nienawidziła jej córki Tuli i dawała temu wyraz. „Niegodziwa kobieta” — tak oceniła ją Krzywicka. Anna Linke, żona Bronisława, świetna tłumaczka, której wydawało się, że „Mańka” się z nią przyjaźni, była zaszokowana, kiedy ukazały się po raz pierwszy dzienniki Dąbrowskiej, mocno przecież jeszcze okrojone. „Jak ci

się podoba — pytała mnie — obsesja Mańki na punkcie Żydów?” Na każdym zebraniu liczyła, ilu „Jews” bierze w nim udział.

Nie wiedziałem, że się upijała. Ciśnienie dochodziło do 220. Podczas otwarcia Domu Pracy Twórczej w Oborach (październik 1948) Anna Kowalska mnie poprosiła, żebym zrobił jej zdjęcie z p. Marią. Stanęły na tle pałacu, wzięły się pod rękę. Pstryknąłem, było zdjęcie, ale gdzieś się zapodziało.

Cały czas intensywnie opracowuję dziennik. Może dlatego nie mam ochoty (skoro nie ma też luzu), by wpisywać do brulionu czegoś na bieżąco. Ta książka zamknie moje zwierzenia na temat własny i ludzi (co też jest wyznaniem osobistym). Mózg pracuje nieźle, pobudza refleksje podczas przenoszenia notek na laptop. Nowych w y d a r z e ń — w moim wieku — nie ma sensu odnotowywać. Co prawda Camus powtórzył za Delacroix, że „dzień nie odnotowany jest dniem straconym”, ale był wtedy młody i początkujący.

Jest jednak pewna satysfakcja, która kusi, żeby ją odnotować: *Pingpongista* w y j d z i e w e F r a n c j i w wydawnictwie Editions des Syrtes. Dowiedziałem się o tym najpierw przypadkowo, od tłumaczącej książkę Agnieszki Wiśniewskiej, która bardzo się zdziwiła, że nic o tym nie wiem. Wydawca polski mnie nie informował.

Którejś soboty w Zaiksie — podczas uroczystości wręczania odznaczeń i wyróżnień. Mogę powtórzyć to, co Montaigne o swoim honorowym obywatelstwie Rzymu: że jest to kwintesencja próżności, ale czułby się źle, gdyby tego obywatelstwa nie dostał. Ja nic nie dostałem — wiem: marność nad marnościami, a jednak… Ale p. Słodowy, który znany jest z tego, że cudownie uczy telewidzów, jak sobie samemu coś zmajstrować, obsypał

mnie komplementami, szczególnie za *Mojego przyjaciela króla*, wysłał synowi egzemplarz za granicę. Ja mówię Jackowi Bocheńskiemu, że pięknie napisał o książce Marka Edelmana, głos mi się przy tym załamuje, wspominam wzruszenie, z jakim ten tekst Jacka czytałem.

Kwiecień

Jest po ósmej, zasiadam do notesu, wyjątkowo, bo jestem poruszony przypuszczeniem, że „nasz" Pijaczek nie żyje, że zmarł w pożarze, który był na Wiejskiej, gdzie zginęło dwóch pijaczków. Kiedyś mówił mi, że ma na Wiejskiej kumpla i że u niego spędzi Boże Narodzenie. Pytałem go po świętach, jak mu przeszły. Dobrze, nie samotnie.

Od pewnego czasu go nie widuję. Jest ciepło, słonecznie — więc dlaczego? Może wyjechał? Chyba jednak nie żyje. Ulica jest wolna, można przez nią przejść, nie płacąc myta. Prawie za nim tęsknię — i za tym mytem, czasem tak irytującym.

Właściwie ten jego rychły koniec przewidywałem. Jeśli celem życia jest picie — i tylko picie — to jest to zbyt mało, by podtrzymać instynkt samozachowawczy. Nie mają go i giną — nie będąc motylami.

K r a k ó w. Niedziela. Jestem tu sprowadzony przez młodych filmowców, którym przyszło na myśl, że mogliby zrobić remake *Prawa i pięści*. Hotel, na Kazimierzu, nazywa się Eden, jest koszerny, na śniadanie zieloności, sery, jajko na twardo. Pokój prymitywny, przy biurku taboret, a nie krzesło, nie ma na biurku lampeczki. Przenoszę nocną lampkę na biurko, żeby tych kilka słów napisać.

Eden — czyli raj. Przypomina się dowcip uchodźców na stronę sowiecką w 1939 roku, piszą do rodziny: „Żyjemy jak w raju. Chodzimy boso i jemy jabłka". I na zakończenie: „Dobrze nam tak".

Na dworcu czekała na mnie wczoraj panna Anna Kenig, która zastanawiała się nad pochodzeniem swojego nazwiska, zwróciło jej uwagę, że to samo nazwisko nosi bohater *Prawa i pięści* (ksenofobi rosyjscy, przekładając *Toast*, zmienili je samowolnie na bardziej słowiańsko brzmiące „Koniuch"). Pani Anna studiuje na UJ filmoznawstwo — przydzielone do polonistyki. W Księgarni Hetmańskiej znaleźliśmy ostatni egzemplarz *Pingpongisty*, kupiłem i dałem p. Annie z dedykacją: „Dziękując za Kraków".

Rozmowy z młodymi ludźmi o remake'u. Nic z tego nie będzie, patrzymy na tę możliwość inaczej, ja i oni. Mniejsza. Przychodzi p. Anna i prowadzi mnie do kina Uciecha na *Wojnę polsko-ruską*… Było, minęło, nie ma się co wypowiadać. Może tylko powtórzę, że naturalizm języka nie jest konieczny do pokazania rzeczywistości i świadczy o brakach warsztatowych twórców filmu. Jeśli celem jest w r a ż e n i e obcowania z chamstwem, brutalnością, głupotą wreszcie — to można to pokazać środkami sztuki. Poza tym miotanie się tych prymitywów mnie nie interesuje. Jestem człowiekiem starej daty, przyznaję, wytrzymać w tych bluzgach 90 minut — to było ponad moje siły.

Pani Anna, wolontariuszka, wykupiła mi bilet powrotny do Warszawy. Po lunchu w jakiejś włoskiej restauracji (bez risotta!) poszliśmy z nią spacerkiem na dworzec. Czekała, aż wsiądę do wagonu i nawet sprawdziła przedział.

W Warszawie, przy kolejce do taksówek miejskich, stał młody strażnik, pilnował porządku. Zaskoczył mnie pytaniem: „Jak minęła panu podróż z Krakowa?" Zrobiło się ciepło.

Pijaczek ożył! Ja z pretensją: „Gdzie się pan podziewał? Martwiłem się o pana. Bo na Wiejskiej dwaj panowie się spalili. — To nie u nas — na to

on. — U nas było spokojnie”.

Na Czerskiej, w siedzibie „Wyborczej”, wieczór promujący eseje Henryka Daski, wydane pośmiertnie, *Odlot malowanego ptaka* (zestawił Michał Komar). Za barierką wita mnie Michnik, podbiega Agata (Tuszyńska), całuje i prowadzi do pierwszego rzędu, obok jej matki.

Michnik, niespecjalnie się zacinając, opowiada o Dasko i jego książce. Jakaś dygresja dotyczyła losu „dąbrowszczaków”, którym prawica w III RP chciała odebrać prawa kombatanckie, a przecież oni pierwsi walczyli z faszyzmem. Mimochodem rzucił, że to podejście endeckie.

Kiedy schodził z podium między nas, „szarą maść” (jak mawiał mój przyjaciel z wojska), podszedłem do niego i spytałem: „Nie wiem, czy pan wie, że narrator *Milczącego między nami* jest dąbrowszczakiem”. Na to Michnik, niemal patetycznie: „Panie Józku, pan był zawsze….” — nie pamiętam, jakiego słowa użył, ale dodał jeszcze coś bardzo pochlebnego.

Później rozmawialiśmy przy winie. Powiedziałem mu, żeby się zainteresował „Stolicą”, jest tam mój fragment o Brandysie i Herlingu. On: „O Brandysie, o Herlingu — to przecież dla nas! Dlaczego pan nam tego nie dał? — Bo ja daję swoje teksty tylko tam, gdzie mnie zapraszają”. On w pierwszej chwili prawie oburzony — jak to? mają dzwonić i zapraszać? Ale po chwili chyba połapał się, o co chodzi. „Niech pan coś da. Bezpośrednio do mnie”. Ja, że mam taki kawałek o Gombrowiczu. Gombrowicz? Bardzo dobrze. Ja: „Niedawno było moje 85-lecie, całkowicie przez was zignorowane. Żadnej informacji”. Przeszliśmy do innych tematów. Opowiadam o tym, jak o drugiej w nocy, do drukarni, w której przygotowywaliśmy do druku kolorowego „Żołnierza Polskiego”, przyszedł Borejsza z gościem, to był syn Roosevelta, Elliott. W książce W *jego oczach* opisuje, jak Stalin zauroczył jego ojca. Nagle Michnik

mówi: „Z powodu tego 85-lecia jest mi naprawdę przykro. To powinno było zostać odnotowane”. Ja na to: „Jeśli panu jest przykro, to mnie to wystarcza. Dziękuję”.

Do domu odwiózł mnie („tradycyjnie”) Janek Ordyński.

W domu, jak zwykle z piątku na sobotę, huczne granie w restauracji pod nami. Jednostajne dudnienie, tylko to dociera jako „muzyka”. Moje postanowienie: przeczekać, trudno, Rena nie słyszy.

Ale nie o tym dudnieniu chcę pisać, ale o CISZY. Kiedy dociera do mnie, że przestali huczeć, że jestem w ciszy, wrażenie się staje trochę niesamowite. Jakbym się znalazł w pustce, s ł y s z y s i ę pustą przestrzeń.

Gdyby nie ten hałas, nie odczuwałoby się po nim takiej materialnej ciszy.

Odczuwa się dziwność. I pewną unoszącą się lekkość.

Maj

Jest po czwartej nad ranem. Ten notes czekał, żeby odnotować w nim kilka wydarzeń — jakaś impreza, jakaś rozmówka, jakieś niepowodzenie.

Nie śpieszyłem się do tego, pochłonięty pracą. Zasiadam do notesu dlatego, że obudziło mnie słabe wołanie Reny. Myślałem, że jej się coś śni, uporczywie i nieprzyjemnie, należałoby ją obudzić, ale nagle usłyszałem wyraźnie: „Pomóż mi”. Siedziała w korytarzu na podłodze. Pomogłem jej wstać (jest teraz trochę cięższa, bo nieźle jada, a ja słabszy). Podprowadziłem ją do tapczanu, przykryłem i zgasiłem światło. Może będzie spać.

Jedno jest pewne: Rena nie może być sama. Jeśli ja wyjadę, to Madzia musi nocować u nas.

Pod koniec kwietnia dzwoniła do mnie Ewa Szprynger z prośbą, żebym otwierał, jak co roku, festiwal „Motywy żydowskie” w kinie Muranów. I żebym coś opowiedział o tym miejscu, w którym festiwal się odbywa. Mówiłem więc o kinie Fama na nieistniejącej już ulicy Przejazd, w którym odbywały się premiery filmów w języku żydowskim. Były beznadziejnie schematyczne, ubogie myślowo, nie ciągnęły mnie. Dziś są ciekawostką. Nie lubię mistyki judaistycznej, dybuków… Oczywiście, to nie był czas ani miejsce, by się dzielić z publicznością moimi osobistymi odczuciami. Ten ciążący na tych filmach, głównie zresztą za sprawą scenarzysty, ciemnogród, ma dziś znaczenie wyłącznie historyczne — jako świadectwo oportunizmu producentów. Albo — jeśli jest odkrywcze psychologicznie (co może się zdarzyć) — jako coś w rodzaju kina fantasy. Na ogół w poważnie ujętym dramacie teatralnym było upokorzenie człowieka, wykazanie jego niemocy wobec wyroków Losu (Boga). Boy recenzent widział tu podobieństwo do tragedii greckiej. Nie byłoby to zaskakujące — obie mitologie w tym samym okresie tak samo wyobrażały sobie dolę człowieczą: jako igraszkę sił wyższych.

Weszliśmy na scenę razem z Kubą Morgensternem, ja zacząłem od tego, że kiedy sześć lat temu pierwszy raz otwierałem festiwal, wbiegłem żwawo, a dzisiaj pani Fajkowska musiała wnieść mnie na swoich plecach. Powiedziałem, co było planowane, także o kinach Riwiera i Maska na Lesznie, o pobliskim barze Central, w którym jadał Bashevis Singer, wspominał go w swojej prozie…

Był gościem festiwalu Adam Holender, znakomity, światowej sławy operator amerykański (*Maratończyk*, *Nocny kowboj*), który w 1961 roku, kiedy kręciliśmy z Wadimem Berestowskim *Bitwę o Kozi Dwór*, pracował jako fotosista i podczas plenerów chętnie dożywiał się zupą, którą mu odstępowała Rena. Przywitaliśmy się serdecznie — i pogadaliśmy.

Holender pytał o Maćka, który miał wtedy 6 lat, zapamiętał, że kiedyś powiedział: „dziś powietrze takie tłuste”. Nic mojego chyba nie czytał. Dałem mu *Pingpongistę* i obiecałem, że przyślę kopię filmiku Maćka *Fotografie mojego taty*. (Co wykonałem).

W TVP Kultura wieczorem „Rozmowy istotne”, w reżyserii Piotra Śliwowskiego. Nie wszyscy znajomi mają ten kanał. Marzena nadała SMS-a, że „mądre i dowcipne” i „ładnie wyglądałeś”. Wyglądałem okropnie. Ale jej się podobało — jakże mogło być inaczej, skoro o niej tam mówię, że pojawiła się „zjawiskowo piękna”.

Nazajutrz, przed ósmą rano — telefon. Dzwoni pani, która przedstawiła się „Rymkiewicz”. (Są więc bardzo rozmaici Rymkiewiczowie). Już kiedyś chciała do mnie dzwonić — po przeczytaniu *Montaigne’a*. Teraz dzwoni, bo przed chwilą oglądała „Rozmowy istotne” (czyli to na jakimś kanale rano powtórzono) i jest poruszona. Szczególnie opowieścią o tym, jak w Samarkandzie szliśmy z Reną do kina boso, i jeszcze o tej liście „najuboższych”, na której mnie umieścił Janusz Atlas, i o mojej reakcji na nią.

Czerwiec

Ten miesiąc to dla nas czas rocznic, urodzin (dzieci i wnuków), wydarzeń.

8 czerwca dopisałem w *Dzienniku* do szkicu „Opinie z Jasnej Polany” informację o liście Tołstoja do Sienkiewicza (opublikowałem go w „Nowinach Literackich” w 1957 roku, wraz ze swoim komentarzem i artykułem o „Kalendarium” sienkiewiczowskim Juliana Krzyżanowskiego). Po tym dopisku uznałem, że *Dziennik na nowy wiek*

(taki tytuł woli p. Stasińska) jest zakończony i przesłałem go mailem p. Monice.

Nazajutrz mail od niej: „Czyta się FRENETYCZNIE!”. Co w tym kontekście znaczy „frenetycznie”, nie do końca wiem, chyba to, że trudno się oderwać.

Ewa miała w Cambridge ostatni egzamin. Więc jest już magistrem! Master of advanced science.

Telefon do p. Bohdana Zadury, poety, który jest naczelnym redaktorem „Twórczości”. Odniósł się bardzo sympatycznie do pytania, czy „Twórczość” reflektowałaby na fragmenty *Dziennika*. Chciałby je dostać na swój adres mailowy przed „długim weekendem”. Wysłałem mu, dzięki pomocy Maćka, wybrane fragmenty: notatki o Tołstoju w Jasnej Polanie i o czytaniu *Bez dogmatu.*

Tego samego dnia, kiedy przesłałem *Dziennik* do Moniki, byłem w Pen Clubie, Leopold Unger odbierał nagrodę braci Pruszyńskich. (W moim *Dzienniku* jest sporo o Mieczysławie; prosił mnie, żebym redagował jego pamiętniki). Unger, dziękując, wygłosił pochwałę patrona nagrody, Ksawerego Pruszyńskiego. Ponieważ Julia Hartwig leży w łóżku zagipsowana, byłem na sali chyba jedynym człowiekiem, który znał Ksawerego osobiście i nawet przeszedł z nim na ty.

Bardzo przyjemna propozycja od p. Doroty Pohoreckiej z firmy audiobooków „Heraklion”, bym to ja czytał *Nowolipie.* Podpisaliśmy umowę w kawiarni Czytelnika. Pani Dorota przyniosła mi odbitki ksero większą czcionką, żebym nie męczył się z odczytywaniem. Zerknąłem na to: zadanie niełatwe. Trzeba czytać w sposób prosty, jak dla znajomych

przy stole, bez zgrywy, ale też nie zaprzepaszczając humoru, zdań smutnych czy wręcz elegijnych. Będę zajęty.

Lipiec

Od p. Zadury mail, że *Dziennik* pójdzie „ścieżką szybkiego druku” — już w sierpniowym numerze. Ucieszyłem się. Zadzwoniłem do Maćka, Madzi, a później zreflektowałem się: czego ja, u diabła, tak się cieszę? Równo 60 lat temu „Twórczość” zamieściła moją prozę — były komplementy od Gałczyńskiego, młodego Lema — i to naprawdę było osiągnięcie dla początkującego literata. To, że pisarz z ponad 60-letnim dorobkiem tak reaguje na akceptację tekstu w „Twórczości”, po latach dyktatury Berezy, latach odtrącenia, świadczy o ranie czy skaleczeniu, które się nie zabliźniły. Na tym się teraz przyłapałem.

Dwukrotnie w nocy zastałem Renę siedzącą w korytarzu na podłodze; nie upadła — osunęła się. Ale sama nie potrafiłaby się podnieść.

Obiecałem, że jak *Dziennik* wyjdzie (projektowany jest w styczniu 2010), pojadę z nią do Nawarii. Może do tego czasu zapomni. To nie jest podróż niemożliwa, tylko bardzo trudna: dwoje starców zdanych na siebie.

Urządziliśmy z okazji urodzin Madzi, Maćka, Tomka i Julka zbiorczą kolację w barku Za Piecem na Mokotowskiej. Poszło nieźle. Ja z Tomkiem piliśmy wódkę, inni białe wino, Ewa colę. Rena zjadła świetnie przyrządzoną solę. Poczuła się szczęśliwa, kiedy Julek podbiegł do babci i nagle pocałował. Powtarzała, wciąż zadziwiona: „On mnie pocałował, widzieliście?”.

Powiedziano w Czytelniku, że jakaś entuzjastka chce mnie koniecznie poznać. Podszedłem do niej, ona z wyciągniętymi w moim kierunku rękami

wykrzyknęła: „*Kolumbowie*! Jaka cudowna książka!”. Ja, spokojnie: „To nie ja, to Romek Bratny”. Ona, po chwili, machnąwszy ręką: „Pan też jest niezły…”.

(W krzyżówkach zdarza się, że przypisują mi autorstwo *Lotnej*; „Hen” to bardziej krzyżówkowe nazwisko niż „Żukrowski”).

Ale było i prawdziwe osiągnięcie: Chłodziarz, który pracował nad naszą lodówką, opuścił cenę z 250 do 200 złotych, kiedy dowiedział się, że to ja napisałem *Życie Kamila Kuranta*. (Ja — nie Bratny i nie Żukrowski!). Wykrzyknął: „Rodzice cały czas płakali!”.

Wydawnictwo uległo moim argumentom — dostałem wiadomość, że *Dziennik* wyjdzie jeszcze w tym roku! Redaktor Adam Pluszka przysłał wydruk — naniosłem wszystkie potrzebne poprawki.

Czytam grubą i b. treściwą książkę Magdaleny Grochowskiej *Giedroyc* — dobrze napisaną — potwierdza to, co, trochę intuicyjnie, pisałem o emigrantach londyńskich, o Lechoniu, o „self-indoctrination”, o tym, jak sobie wyobrażali życie po powrocie. Moje uwagi rozrzucone są po *Nie boję się*… Na szczęście jest o tym mowa i w *Dzienniku*. Głupie i haniebne było to, co luminarze krajowi pisali w 1951 roku o Miłoszu jako o „zdrajcy”. Nigdy nic takiego nie przyszło mi do głowy, nigdy nie zdjąłem z półki *Ocalenia*. Pamiętam, że powiedziałem wtedy do fanatycznej towarzyszki w randze pułkownika, kiedy oburzona dzieliła się ze mną tą wiadomością: „Musiał mieć swoje powody”.

Madzia przypomniała mi, że mówiłem ze śmiechem, że w 1953 roku, kiedy zmarł Stalin, nie mieliśmy jeszcze telefonu i to było bardzo wygodne, nie mogli żądać ode mnie, żebym się „wypowiedział”. A może dzięki temu, że nie byłem kimś znacznym. Ale byli tacy, znaczni czy nieznaczni, co się pchali do „Nowej Kultury” — biegli z wierszami, z wypowiedziami, ze słowami bólu — chcieli zaistnieć, chcieli, żeby partia ich zauważyła.

W Śródborowiance, której właścicielem jest gmina żydowska jeszcze z przedwojnia, na promocji książki Piotra Pazińskiego *Pensjonat*, akcja toczy się właśnie w tej Śródborowiance. Znajome ściany, bo i ja tu kilka razy pisywałem, tu napisałem pierwsze rozdziały *Najpiękniejszych lat*, znajome sprawy, znajomi ludzie. Przyszła mieszkająca w Śródborowie Grażyna Kukowska z p. Alikiem, przyniosła mi bukiet kwiatów leśnych. Rozmowa z Janem Gondowiczem, komplementuje mnie za fragmenty *Dziennika* opublikowane w „Midraszu", co mnie ucieszyło, bo nie brak mi wątpliwości, a jego opinię cenię. Była obecna p. Halina Bortnowska, działaczka, można wyrazić się mocniej: bojowniczka Otwartej Rzeczpospolitej. W samochodzie rozmowy o antysemityzmie i o obojętności prokuratury i sędziów na to przestępstwo.

Kilka trudnych dni z Reną. „Straciłam dzieci". Przez dwa dni nie chciała jeść. „Nic od was nie wezmę!" Wyprowadzi się — ma dokąd. Poczułem się nieszczęśliwy, bezradny. Wszystko moja wina! Dzień przedtem mówiła, że jestem dla niej dobry, pocałowała mnie w ramię. A kilka dni temu nawet: „Jestem dumna, że mam takiego męża". Teraz chce umrzeć, popełni samobójstwo, już ma żyletkę.

Przyszła Ewunia, wyglądała ślicznie, namówiła Renę do zjedzenia croissanta, potem podała babci następnego. Zjadła.

Teraz jest względnie normalnie.

Upały. Ona się prawie nie rusza. Nie interesują ją spacer, park, gazety. Ale przypomniała sobie, że Leszek Kołakowski, który kilka dni temu zmarł, jest autorem wesołej książki dla dzieci.

Sierpień

Jest po piątej, ja w Sheratonie. Nie żebym czuł potrzebę odnotowania czegoś — raczej czułem potrzebę pójścia „między ludzi”. Jest pusto, przy stoliku tylko jeden siwy pan (pewnie młodszy ode mnie o 20 lat). Na zewnątrz upał — tu klimatyzacja. Pod parasolami ani jeden stolik nie jest zajęty. I chyba nie dlatego, że upalna niedziela — bywalcy Sheratonu uciekli nad morze, jeśli nie bliżej, do Konstancina — także, a może przede wszystkim dlatego, że na placu Trzech Krzyży nieustanny huk, świętowanie katastrofy powstania warszawskiego. Zrobią jeszcze z tego dzień wolny od pracy, ludzie będą „świętować”, to znaczy byczyć się, grillować, pić… Kaczyński głosi, że dzięki temu powstaniu Polska jest niepodległa. „Co ma piernik do wiatraka” — mógłby powiedzieć ktoś, kto wie, jak toczy się światek, jak toczyła się historia, czym się zajmowała w Jałcie i Poczdamie Wielka Trójka.

Znajoma pani mówi, że nikt nie zwraca na te głupoty uwagi, ale nie patrzyłbym na to tak optymistycznie, dzieciom w przedszkolu, w pierwszych klasach podstawówki można wmówić każdą głupotę. Dzisiaj w TV oglądałem fragmenty dokumentu Ewy Ewart o ogłupiałych nastolatkach palestyńskich. Z ogniem w oczach mówią o 72 hurysach cudnej urody, które czekają na bohatera w raju. Właściwie trudno takiego samobójcę uznać za bohatera, on nie poświęca życia! On przechodzi do lepszego świata.

Moja codzienność teraz to śledzenie Reny, opieka i pielęgnacja. Śnią mi się dania, które dla niej obmyślam, jest ich niewiele, bo ona wciąż coś wyklucza. Jej kłopoty fizjologiczne (nie wspominając już o psychicznych), kiedy bywa ich świadoma, wprowadzają ją w całkiem zrozumiały stan depresji, chce umrzeć, ja mam dać jej pigułkę. „Nie chcę cię martwić” — powtarza i dalej swoje. Ja: „Nie chcesz, ale martwisz”. „Upiję się” — powiedziałem do Madzi. Madzia to zaaprobowała. Zrobiłem sobie kanapki ze śledziem i pomidorem (jak u mamy na Nowolipiu). Nalałem sobie stocka trochę więcej niż zwykle. Poczułem to, ale się nie upiłem. Jakaś ulga była. Powiedziałem Renie: „Upiłem się. — Dlaczego? — Żeby się nie martwić. I będę to robił stale”. Ona: „Jeszcze tego mi brakowało”. Zdaje się, że to właśnie podziałało. Dzisiaj była grzeczna — *good girl* — nie męczyła.

Jeszcze coś o Ewuni. Ojciec dał jej pieniądze, żeby mogła sobie wynająć kawalerkę. Wczoraj z Madzią zrobiły pierwsze przenosiny. I oto wieczorem Ewa się rozpłakała. To, czego niby chciała, stało się, tak jej się zdawało, symbolicznym, wcale niechcianym przełomem. Utratą matczynego domu. Madzia uspokoiła ją: „Nic nie tracisz. Traktuj to mieszkanie jak dziadek Konstancin. Miejsce do pracy, schronienie”.

Powiedziałem do Madzi: „Podoba mi się to, że się rozpłakała”.

Dzisiaj w wydawnictwie u p. Adama Pluszki, przejrzeliśmy moje uwagi. Dołączyłem do *Dziennika* polemikę z Kołakowskim, coś jeszcze o Herlingu i Giedroyciu, notkę o tym, że o jakości życia w społeczeństwie nie decyduje spokojna większość, ale agresywna mniejszość.

Ostatniej nocy odkryłem, że Rena leży naga, bez żadnych zabezpieczeń. Obudziłem ją, chcę jej założyć koszulę. Ona: „Po co mam coś zakładać, przecież ja nie żyję — położyłeś mnie na marach”. Musiało jej się śnić… (…) Madzi nie ma — w podróży na Krym. Nie będę jej psuć nastroju — na pytanie, jak się czuje, Madzia odpowiedziała: „Wspaniale”. Dzwonię do Maćka — na szczęście jeszcze nie śpi, mogę się użalić nad sobą.

(Przypomniałem sobie, że coś podobnego opowiada w swoich pamiętnikach Ilja Erenburg. Rok chyba 1919, Luba chora na tyfus, jest w malignie, on zdobywa z trudem jakieś jedzenie dla niej, a ona: „Po co mnie karmisz? Przecież ja nie żyję”).

Nad ranem Rena już nie mówi, że nie żyje, powtarza tylko, że mam pomóc jej umrzeć. Ale lekarstwo zażywa, a potem nawet zjada śniadanie.

Pomyślałem sobie, że te częste pożary w domach starców są może nie rezultatem podpalenia przez złych ludzi z zewnątrz, ale że podpalają sami pensjonariusze, z maniakalnym rozmysłem, przeciw innym — i przeciw sobie.

Wczoraj była Ewa, pomagała. Opowiadałem jej o pani Kosibowej, naszej współlokatorce z Krakowa, tęgiej, pełnej życia, malowniczej postaci. Pytam Renę: „Pamiętasz panią Kosibową?”. No pewnie, była prawie oburzona. Zaczęła się jednak upierać, że p. Kosibowa miała męża… Niemca. Fantazjuje, pomyślałem, ale po chwili uprzytomniłem sobie, że ta fantazja była z jakąś rzeczywistością związana: młody Kosiba, Bolek, który przywoził z Niemiec, ze strefy radzieckiej, maszyny w ramach przyznanych Polsce reparacji, przywiózł też sobie żonę, młodą Niemkę, z którą Rena się szybko zaprzyjaźniła.

O Kosibach, pochodzących z Jasła, mógłbym napisać malownicze wspomnienie. Kiedy w mieszkaniu na św. Marka dostałem przydział na

pokój, p. Kosibowa krzyczała, że przydział jest nielegalny, ten pokój jest ich, „mój syn wkrótce tu będzie i pana wyrzuci”. Nie dam się wyrzucić, postanowiłem sobie, jakiś kwaterunek mi się do cholery należy. Na noc zamknąłem drzwi, położyłem pistolet pod poduszkę — będę się bronił! Rano obudziło mnie pukanie. Wstaję, otwieram drzwi, na progu stoi tęga współlokatorka z tacą. „Przyniosłam panu śniadanie”. No i była miłość, także z Bolkiem, jej synem. Sprowadziłem z Warszawy mamę, pokochały się z p. Kosibową. A potem repatriowała się Rena i p. Kosibowa zaopiekowała się nią, uczyła ją gotować.

Kosibowie mieli w Jaśle hotelik. Do baru na dole przychodzili Niemcy, pili, bawili się, o Kosibach w mieście źle mówiono. Pod latarnią, jak wiadomo, najciemniej. W barze hałasowali Niemcy, a na piętrze Kosibowie przechowywali dwanaścioro Żydów. Wszyscy przeżyli. Wiem o tym, bo kiedy się wprowadziłem, Kosibowie dostawali z Ameryki listy i paczki.

Chyba zamknąłem tym *Dziennikiem* mój dorobek literacki. Nie przewiduję, żebym cokolwiek ambitnego miał napisać.

Czuję coś w rodzaju pustki. Budzę się i wiem, co wcale nie jest rozkoszne, że nie mam żadnych zadań — poza domowymi. Nie mam też po co otwierać laptopa. Już nie będę czytał *Dziennika*, nic skreślał, nic dodawał. Tekst zamknięty.

Rena, przed chwilą: „To Madzi dziś nie będzie?”. Czas jest dla niej magmą. Dzień i tydzień znaczą to samo. Wciąż jej się powtarza, że Madzia będzie za dwa tygodnie, za dziesięć dni, za osiem… Ona nie przyjmuje do wiadomości tego, że Madzia zasłużyła na urlop, że cieszy się nim, jest w lepszym nastroju.

W nocy budzę się (świadomie) na najdrobniejszy szelest, czekam, siedząc na tapczanie, aż wyjdzie z łazienki. Skoro się z tym pogodziłem

— że tak musi być — nie uważam się za męczennika. Trudno, nikt inny tego za mnie nie zrobi.

Nie, nie jestem „święty”, jak wmawia mi Uchański. Jestem n o r m a l n y. I dzięki tej normalności robię to, co robię.

Rena płacze, że obca kobieta zabrała jej syna — zupełnie, jakby to wciąż był ten sam mały Maciuś. W ten sposób objawia się zapętlenie czasu, wydarzeń, odczuć. Nie ma chronologii, nie ma przeszłości — ani przyszłości. Wszystko jest teraz albo przed chwilą, albo za chwilę.

Co do *Dziennika*, to wiem, że odsłoniłem się w nim, jak bokser, który opuścił gardę. Wiem, nieżyczliwi będą mnie atakować, że publikuję pochlebne czy nawet entuzjastyczne opinie. (Nie wiedzą, że najważniejsze, najmocniejsze — tu kilka świetnych nazwisk — pomijam, cenzuruję). Nie zwrócą uwagi, że cytuję różne szyderstwa, tych nie cenzuruję, i to one, te szyderstwa, są punktem wyjścia, utwierdzeniem się w rzeczywistości, to one powodują, że mam prawo wykrzyczeć: „Nie wszyscy tak myślą!”.

Przypomina się rosyjskie porzekadło: „Bjut — i płakat’ nie dajut”.

Przypomniało mi się nazwisko czeskiego dziennikarza sportowego, któremu zawdzięczam — od wyścigu kolarskiego Warszawa–Praha w 1948 roku — że nie całuję kobiet w rękę: Trousil. Moment przełomowy: przedstawił mi, chyba w Libercu, żonę, ja się pochyliłem, żeby, jako dobrze wychowany Polak, pocałować jej dłoń, ona zaczęła mi ją wyrywać, ja zawzięcie, siłą, przyciągnąłem ją do ust, postanawiając już w trakcie zmagania z ręką Czeszki: nigdy więcej! Te zmagania z ręką pani Trousilovej pokazywałem w Warszawie młodziutkiej Alinie Janowskiej, wykrzyknęła: „Mógłbyś to pokazywać u nas w kabarecie!”.

Zadzwoniłem do Uchańskiego, by zapytać go, czy zgadza się, żeby jego zdjęcie było w *Dzienniku*. Zgadza się i mówi: „Sprawa nagrody jest na dobrej drodze”. (Idzie o wskrzeszoną Nagrodę Literacką m.st. Warszawy). Nazajutrz byłem u niego. „Nagroda jest — powiedział. — Nareszcie jakiś dobry pieniądz”. I skomentował: „Sprawiedliwości dziejowej stało się zadość”. Wręczenie ma nastąpić 17 września. To była jego propozycja, poparta przez pewne życzliwe osoby. Na razie o tym milczymy i nie obcałowujemy się. Coś przykrego może jeszcze się wydarzyć — ktoś może zaszkodzić.

Wrzesień

Nie obserwuję u siebie euforii, zadowolenie jest, owszem, ale nie skaczę z radości. Rozpatrujemy z Wiesławem praktycznie: czy będzie nagłośnienie (może nie być), czy będzie wzrost sprzedaży. Boję się o *Dziennik*. Jest wyzwaniem wobec pewnych mitów, stereotypów, przesądów. Kazimiera Szczuka rozmawiała z Marią Janion o Wrześniu, o literaturze poświęconej mu. Wspomina się oczywiście *Polską jesień* (J.J. Szczepański), *Lotną* (W. Żukrowski) — nie wydaje mi się, by pani profesor Janion słyszała o *Oporze* (jedyna powieść, która opowiada dzieje kamienicy podczas wrześniowego oblężenia), by czytała *Nowolipie* czy *Najpiękniejsze lata*. Trochę to dziwne, bo zaprzyjaźniona z nią poetka, Małgorzata Baranowska, mówiła mi, że *Nowolipie* to dla niej bardzo ważna książka.

To, co pani Janion mówi o antysemityzmie, o endeckości współczesnej Polski — jest odważne i niezależne. Więc tym większa gorycz.

Dlatego tak ważna staje się ta nagroda m. Warszawy. „Będziesz musiał coś powiedzieć” — uprzedza mnie Wiesław. I co ja, u diabła, powiem? Na pewno nie to, że jestem „zaskoczony”… Chyba powiem, że „ta nagroda dobrze świadczy o jurorach”.

W parku sesja zdjęć do wywiadu dla „Mody na Zdrowie”, który przeprowadziła Aśka Tomczak. Potem autoryzacja tekstu. Zadziwiające, wywiad niezły — o starości, powściągliwości i o radości życia. Podobno naczelna zachwycona: „Nic głupiego nie powiedział”.

Korespondencja z Andrzejem Wajdą, który pisze do mnie w sprawie *Pingpongisty*, że konstrukcja i dialogi sugerują raczej możliwość adaptacji teatralnej. Myślę, że to pozory. Są dialogi, ale nie ma teatralnej dramaturgii. (W teatrze telewizji to by się udało: wystarczą gadające głowy). Kino — tak! Wiem, jak to zrobić. Gdybym był o 15 lat młodszy, powiedziałem komuś, sam bym to wyreżyserował.

P. Ziółkowski podrzucił książkę Krzysztofowi Krauzemu, który teraz przewodniczy jury na festiwalu w Gdyni. Ale wiem, że nic z tego nie będzie. Krauzowie mają swoje projekty. *Dziennik* stanie się mimochodem świadectwem rozwiewania się kolejnych upajających perspektyw, tego, jak padają projekty: od serialu o Stanisławie Auguście aż po *Świece na wietrze* wg Grigorija Kanowicza.

Madzia była z Reną u lekarza, potem zaprowadziła ją na badania urodynamiczne, które m.in. wykluczyły infekcję dróg moczowych, ale wykluczyły też możliwość operacji. Stan psychiczny Reny jest lepszy, więcej pamięta, przyznaje, że „jesteś dla mnie dobry”, od kilku dni czasem coś przeczyta.

Po latach znowu czytam *Zniewolony umysł* Miłosza. Kilka dni temu zwierzyłem się z tego w Czytelniku Henrykowi Berezie, recenzując krótko: „Ale klasa!”. Gałczyński, na trzeźwo, powinien mu był być wdzięczny za

analizę jego poetyki, talentu twórczego. Jest podziw, zrozumienie — ani śladu zazdrości. Jest świadomość, że „ja, Miłosz, tak nie potrafię — jestem inny”.

Pięknie pisze Miłosz o miłości, o kobietach. Jego podziw dla kobiety to podziw dla postaci, urody, ciała, sposobu poruszania się, czyli jest prawdomówny. Feministkom to się może nie podobać — mężczyzna jest tu zafascynowany ponętnością kobiety — o jej duszy, wnętrzu, inteligencji na razie nie myśli.

Ponętny tyłek (zdaje się, że lubił to słowo, smakował je, udzielając wywiadu Kasi Janowskiej) sugeruje mężczyźnie — tak to już jest — piękno „wewnętrzne”. Otrząśnięcie się następuje po przebudzeniu. Jak to powiedziała Rita Hayworth: „Idą spać z Gildą — budzą się ze mną”.

Dla dzieci starzenie się, słabnięcie fizyczne i umysłowe rodziców jest czymś łatwiejszym do przyjęcia — jest zgodne z naturą, z kalendarzem. A cóż dopiero dla wnuków. Dziadkowie — to inne pokolenie, odchodzące.

Inaczej dla męża. To katastrofa pięknej, najbliższej kobiety. Nie prawo natury, z którym musimy się godzić, ale okrucieństwo natury. Bolesny wyrok — bez odwołania.

Z Tadeuszem Górnym w Czytelniku, ma dla mnie zaproszenia na czekającą mnie uroczystość. Plotkujemy, to znaczy, przepraszam, dzielimy się prawdziwymi informacjami, raczej pikantnymi. Kiedy chcę płacić za kawę, pani Jadzia oświadcza: „Pan nie płaci, kawa na koszt firmy”. Oto bardzo wymierna korzyść z bycia nagrodzonym.

Nogi obolałe, gdzieś koło szóstej pospacerowałem w kierunku placu Na Rozdrożu, czerpiąc przyjemność z kroczenia nowym chodnikiem.

Przypomniałem sobie w cieniu drzew, jak Mirek Chojecki zaprosił mnie na scenę jako „wielkiego polskiego i wielkiego żydowskiego pisarza”. Gdyby teraz tak się wyraził (ale po moim proteście już się tak nie wyrazi), powiedziałbym: „Z tą «wielkością» nie będę polemizował — proszę bardzo, może tak zostać; ale co innego z tym «żydowskim pisarzem» — do literatury żydowskiej nic nie wniosłem; natomiast do literatury polskiej być może coś wniosłem: chyba właśnie tę moją osobność (jak to określiła pani Stasińska), inność wywodzącą się z Nowolipia, taki niemal mefistofeliczny duch przeczenia, duch niezależności”.

Październik

Wszystkie myśli, skojarzenia, gorycze i zachwyty zetlały, ulotniły się. Pamiętam, że kiedy w dzień po nagrodzie (uroczystość w czwartek, 24 IX) w jakiejś notatce relacjonowano, co mówił „wzruszony autor”, prostowałem wobec bliskich, zwierzałem się: n i e b y ł e m w z r u s z o n y! Niby dlaczego? Dostałem wreszcie tę warszawską nagrodę, która mi się od lat należała; co innego, kiedy dużą nagrodą zaskakuje się kogoś u początku drogi. Jest w tej nagrodzie i trochę smutku, jest w miodzie gratulacji i sporo dziegciu. Kilka gratulacji miłych i cennych (np. pani Janowska <„Kasia”>, Ireneusz Kania).

Przerywam pisanie, czuję się zmęczony. Trochę w tym apatii.

Przedwczoraj zmarł Marek Edelman. Pamiętam bardzo intymne rozmowy — od razu, jak tylkośmy się poznali, w Łodzi, w szpitalu, w którym kwalifikował chorych na serce do operacji by-passów. Zawiozła nas do Łodzi, mnie i Emila Guikovaty’ego z „L’Express”, Hanka Krall. Jeszcze przed swoją książką o Edelmanie, na razie po wywiadzie z nim w „Odrze”, który zrobił na mnie — i nie tylko na mnie — ogromne

wrażenie (stąd moja propozycja dla Giko). Hanka pytała mnie wtedy: „Józek, napisać o nim książkę?”. O Edelmanie kardiochirurgu. „Ależ tak, napisz, koniecznie!”.

Nasza rozmowa, moja z nim, świadczyła o natychmiastowym zaufaniu, bliskości, i to na tej zasadzie, że on z gimnazjum Spójnia, a ja od Kryńskiego. Potem bywało różnie, raz nawrzeszczał nawet na mnie, bo byłem innego zdania niż on. Co prawda, upomniany przez Hankę Krall, od razu przeprosił.

Nie podzielałem też jego „bundowskiej” orientacji, której nie potrafił się wyrzec po wojnie. Bund, czyli socjalizm w masach żydowskich — teraz w Polsce bez Żydów? Coś poza rzeczywistością.

Jutro przychodzi ekipa wymieniać rury kanalizacyjne. Jakby mało było trudności, czeka mnie jeszcze to. Kilka dni temu, kiedy pytano mnie, czy cieszę się z nagrody, odpowiadałem: „Jak tu się cieszyć, kiedy zlewozmywak jest zatkany”.

Notatka o tym, że „często wszystko zwala się naraz, szczęście i nieszczęście” — jest bardzo prawdziwa i dotyczy ostatnich tygodni. Szczęście — bo *Dziennik na nowy wiek* cieszy się powodzeniem, czasem słyszę o „zachwycie”, i to z ust dziennikarek od „kultury”. Skąd taka reakcja — nie wiem. Przecież to tylko dziennik, surowizna.

Wracam do tej notatki o nieszczęściu towarzyszącym szczęściu. Nie można wtedy smakować zwycięstwa. Porażkę, owszem, odczuwać można. Jak najbardziej.

Sensacją towarzyską stał się do pewnego stopnia wywiad, którego udzieliłem Donacie Subbotko dla „Dużego Formatu” „Gazety Wyborczej”.

Pewnie dlatego, że sporo w nim nieujawnionych dotąd szczegółów. Na przykład: jak udało mi się nie wstąpić do partii. Tytuł wywiadu: „Lekkie swędzenie sumienia”. Rezultat pięciu godzin rozmowy z p. Donatą w Czytelniku.

Telefonował Jurek Press z Tel Avivu, on i żona wzruszeni. A ja, jak zwykle, miałem początkowo kaca, widziałem błędy, skróty, niedopowiedzenia.

Na Woronicza nagrywanie rozmowy o *Dzienniku* dla TVP Kultura, prowadzi ją Jerzy Sosnowski. (Aranżuje ją p. Zuza Strońska; to wtedy nieostrożnie ujawniła, że jest „zachwycona”). p. Sosnowski ma już egzemplarz książki. Atakuje mnie za czułe, jak mówi, wzmianki o Kwaśniewskim. Jestem zaskoczony, bo raczej spodziewałem się z jego strony profesjonalnego krytyka, ataku literackiego. (Po nagraniu, na korytarzu, powiedziałem mu: „Był w Jedwabnem. On jeden”. Kiwnął głową. Zrozumiał).

Z egzemplarzem *Dziennika* na Smolną, do Wiesława. Od razu wziął się do czytania. Nazajutrz dzwoni. Skończył późnym wieczorem.

Wieczorem — do Mai (która złamała nogę w kostce), z koniakiem i dwoma egzemplarzami *Dziennika*, ten drugi dla Agnieszki Wiśniewskiej, kilka dni temu oddała wydawnictwu Des Syrtes tłumaczenie *Pingpongisty.* Koniak miał powodzenie.

W domu kultury Centrum, w Alejach Jerozolimskich, na wieczorze poetyckim Julii Hartwig. Znajome twarze. Kiedy wychodziliśmy, prof. Michał Głowiński rozmawiał ze mną o moim ostatnim wywiadzie (chyba w Stołecznej „GW”), zwrócił uwagę na pewne bliskie mu sformułowania.

Czytałem właśnie wczoraj jego artykuł „Retoryka nienawiści”, z którego dowiedziałem się o artykule Marka Nowakowskiego: domaga się sądzenia, karania, lustrowania. Ewolucja, której się po Marku nie spodziewałem.

Listopad

Któregoś wieczoru (chyba jeszcze w październiku) dzwoni Aleksander Kwaśniewski. Najpierw gratuluje mi nagrody i przeprasza, że nie mógł być obecny. Potem gratuluje *Dziennika*, właśnie go przeczytał i dziękuje za to, że o nim wspominam. „Ależ, panie prezydencie, tam są uszczypliwości. — Jakie tam uszczypliwości!… Że «palnął?» No, palnąłem”. Po chwili: „A wie pan, co mnie wzruszyło? Że mamy tego samego idola tenisowego. — Tilden? — pytam, wspominając mistrza, który w latach trzydziestych pierwszy zorganizował zawodowy „cyrk” tenisowy. — Ależ nie. Pete Sampras! To mnie ucieszyło. Jakaś wspólnota. Wyjeżdżam teraz na kilka tygodni. Jak wrócę, to niech Ordyński zorganizuje nam lunch. Trzeba sobie porozmawiać”. (Dopisek: do tego lunchu nigdy nie doszło, Kwaśniewski zajął się uwięzioną Julią Tymoszenko).

Tych lekceważonych przez niego „uszczypliwości” jest całkiem sporo, niektóre dotyczą polityki zagranicznej — to, że potrafi je przyjąć i docenić wszystkie inne miejsca, świadczy jednak o klasie. O uznaniu mojego prawa do własnego zdania. Do krytyki.

Było po 11 wieczorem, kiedy przerwałem pisanie. Wstałem od biurka niezmęczony, lekki, bez dolegliwości. Zadziwiające, pomyślałem, czyżby dlatego, że pospiesznie pisałem? Więc jednak taka praca (skoro nazywamy to pracą) ma efekt terapeutyczny?…

W nocy przypominałem sobie epizody, pewne twarze z promocji książki w Klubie Księgarza. Jakaś para w średnim wieku, która opowiada, że ich

syn chwycił *Nowolipie* i już się z tą książką nie rozstaje. „Cieszę się — mówię — że *Nowolipie* trafia do młodzieży. — On ma trzydzieści dziewięć lat” — prostują rodzice i to właśnie, że taki dojrzały mężczyzna przygarnął tę książkę, wydaje im się (mnie też) godne zauważenia.

Podchodzi jakiś starszy, elegancki pan i pyta cicho, dyskretnie: „Czy pan czasem nie czuje żalu do Miłosza, że on dostał Nobla, a nie pan?”. Nie parsknąłem śmiechem. Odpowiedziałem z powagą: „Nie, ani przez chwilę. Nobel dla Miłosza bardzo mnie ucieszył. — Dodałem: — Nigdy nie miałem szans i teraz też ich nie mam. Nie ma moich książek po szwedzku. — To trzeba, żeby były. — Po szwedzku lub po angielsku” — tłumaczę rzeczowo, bo nie mogę mojemu wielbicielowi powiedzieć, że nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, żebym mógł dostać Nobla. Mnie nigdy, ale — jak się okazuje — kilkorgu moim czytelnikom tak. Nie wiemy, na jakie przygody natrafiają książki w wyobraźni czytelników. Jedni nas flekują — inni stawiają na piedestale.

Poinformowałem któregoś dnia Renę, gdzie się znajduje. Jesteś w twoim mieszkaniu — podałem adres. Dziś odwiedziła cię wnuczka, był też Maciek. „Dziś” jednak nic nie znaczy. „Za tydzień” czy „za godzinę” znaczy to samo (czyli niewiele).

Rena pyta, w której klasie jest Maciuś.

Księga Estery, a właściwie, tłumacząc z hebrajskiego, Zwój Estery. Piękna dziewczyna, córka Mordechaja, wybrana na cesarską żonę po egzekucji na cesarzowej Waszti, wyszła za mąż dla „kariery”. Oddawała swoje ciało przysłowiowo głupiemu Kserksesowi. Nie ma w tej purymowej opowieści ani słowa o tym, aby go pokochała.

Ale jest o tym, że to ona, jej uroda, uratowała Żydów od Zagłady.

Prostytucja małżeńska była przyjęta jako naturalna — od cesarzowej po zniewoloną komornicę i parobka.

Czytam coś Turgieniewa — i zachwycam się swobodą narracji.

Grudzień

W Bibliotece Narodowej dziesięciolecie „Nowej Polszy”. Przy winie p. Kulerski o wywiadzie Donaty Subbotko: oni to dadzą po rosyjsku.

Miriam Harel napisała, że tłumaczy wywiad na hebrajski. Wśród jej przyjaciół z Kiryat Bialik, którzy już nie czytają po polsku, zainteresowanie.

Rena, płacząc: „Napiszę do sąsiadów w Nawarii, żeby pomogli mamci tu przyjechać”.

Namawiam ją, żeby poszła do fryzjerki na Wiejską, ja ją zaprowadzę. Dała się zaprowadzić. Spodobała się potem sobie. „Dziękuję — mówi — żeś mi rozkazał”.

Dzwoni Krystyna Janda. Zastanawia się, czy nie wystawić *Siatki na motyle* (druk w „Dialogu” w grudniu 1972). Chwali konstrukcję i dialog, ale obawia się, że to za mało ostre jak na dzisiejsze czasy. „Odezwę się”.

Różewicz pyta, czy napisałem scenariusz do takiego filmu partyzanckiego *Kwiecień*. Nie słyszał o tej książce! Przesyłam mu ją.

P. Jan Grabowski z Gdańska mocno o *Dzienniku*: „Powinien być jak Biblia w każdym inteligenckim domu”.

Rena opowiada, że płakała, bo jej Mama rozmawiała z Madzią i prosiła, żeby Rena do niej przyjechała. I Rena tego nie zrobiła — z mojej winy — pojechałem z nią tylko do Krakowa, dalej już nie chciałem.

Przebadała p. Helen Fisher 40 tysięcy osób i doszła do wniosku, że miłość to chemia — estrogen, testosteron, dopamina etc. Nie zauważyła twórczej roli przypadku, strategii, podstępów, sentymentu, szczęśliwej sposobności, roli złudzeń, perwersji, przywiązania, snobizmu, kokieterii, gry — można wyliczać w nieskończoność.

Gdyby to było takie proste, dobierałoby się pary w laboratorium. Kiedyś komputer dobrał idealną parę. Po roku rozwiedli się.

I na co idą uniwersyteckie (to znaczy nasze) pieniądze!

W nocy — buch! Coś się zwaliło. Rena w kuchni na podłodze. Nic sobie nie zrobiła.

W kilka dni później — nad ranem: „Pomóż mi”. Z trudem ją podnoszę i prowadzę do łóżka. Daję amaryl. Rena pyta, co z „mamcią”.

Mama Agnisi ją straszy, że jej izraelski wybraniec to: 1) terrorysta, 2) handlarz żywym towarem, 3) handlarz organami. Ja: „Jeśli handlarz żywym towarem, to przyszłość przed tobą”. Agnisia ze śmiechem: „Już za późno, nie mam szans”.

Ostatni dzień roku. Mroźno. Podobno gdzieś ludzie się bawią. Madzia zadzwoniła o dziesiątej wieczorem. Nie będzie czekać do północy, składa życzenia i idzie do łóżka. W mieszkaniu zimno. „A czy masz dobrą kołdrę? — Mam dwie kołdry”. No to w porządku.

Dzwoniła Beata — nie mogła doczekać się jedenastej, by zadzwonić z życzeniami o tej samej porze, kiedy przed 15 laty zadzwoniła po raz pierwszy. Mąż był wtedy w swoim pokoju, ona siedziała w fotelu z moją książką (chyba z *Odejściem Afrodyty*) i sączyła koniak. „Świetny sylwester”

— powiedziała. Dzisiaj, kiedy dzwoni do mnie, jest pięknie ubrana i nie ma kto jej powiedzieć, jak ładnie wygląda. „Ja mogę ci to powiedzieć, bo jako pisarz mam spojrzenie wieszcze. — Masz, dziękuję”.

2010

Styczeń

Już po północy. Zrobiłem harcerzyka, nakroiłem kawałki jabłka, postanowiłem, że tak wejdziemy w Nowy Rok.

Rena chciwie wypiła swoją porcję harcerzyka. Pytała, gdzie są dzieci. Zaczęła się kanonada.

Te dni, a także podczytywanie *Dziennika*, uprzytomniły mi, że mam w swoim otoczeniu niemało sprzyjających mi ludzi. Którzy nie tylko mnie czytają, ale potrafią cieszyć się z sukcesu. *Dziennik*, o dziwo, uczynił mnie jeszcze bliższym. I trzeba dodać do nich wszystkich nieznanych mi czytelników, którzy książkę wykupili.

Wczoraj dzwonił Różewicz. Jest pod wrażeniem artykułu Bronisława Łagowskiego („Pisarz, który za dużo wie” — to niby ja). Mówi, że mi zazdrościł, czytając ten artykuł. „Teraz już nie wypada ci narzekać”.

Przypomina się to, co powiedział August Bęc-Walski, szlachecki bohater rysunków Charliego (Karola Ferstera) w pierwszych latach „Przekroju”. Mówił, zaiste w wieszczym przeczuciu: „Dopóki można narzekać, to jeszcze nie można narzekać”.

(Wciąż przypomina mi się ta młoda pani w Sheratonie, która chciała mi oddać swoją różę, kusząc — jakże domyślnie i przemyślnie: „Od młodej dziewczyny”. Co za świadomość tego, kim się jest — dla tego starego

pana! — m ł o d ą d z i e w c z y n ą, dobrem określonym przez te dwa słowa).

W nocy zajrzałem do Reny. Nie spała. Zaczęła płaczliwym głosem prosić: „Ja chcę do Nawarii”. Mówię, że Maciek nas zawiezie na wiosnę. Jej niepotrzebna wiosna, pojedzie taksówką. Myślałem, że chodzi o odwiedzenie miejsc jej dzieciństwa, ale nie, to nie to, ona chce się pokazać „mamci”. „Przecież mamcia nawet nie wie, że ja żyję”. Znowu płacze. Mówię, że pojedzie pociągiem. Ale do pociągu musiałbym ją doprowadzić, a do taksówki tylko wsadzę. Wróciła dawna topografia: Nawaria jest niedaleko stąd, mogłaby pójść pieszo.

Mówiłem, że zrobimy naradę rodzinną, jak to załatwić. Ona: „Jesteś dla mnie taki dobry, a tak prostej rzeczy nie chcesz dla mnie zrobić”. Więc ja, jak do kogoś rozsądnego: „Widocznie to nie jest takie proste”.

Przyszło mi na myśl, że — jeśli ona się będzie upierać przy swojej rzeczywistości (co nie musi się stać, jutro jej mózg może pracować inaczej, może wrócić do rzeczywistości realnej) — trzeba będzie temu się poddać, powiedzieć, że mamcia wie, że ona żyje, przesyła pozdrowienia i prosi, żeby się o nią nie martwiła.

„Czy mamcia dowiedziała się o twoich sukcesach? O nagrodach?” Tak, ta pani, z którą się skontaktowałem, miała jej to wszystko opowiedzieć.

To ją na chwilę uspokaja. Ale zaraz zaczyna się wszystko od nowa. Miała taką cudowną mamcię i ona, jej córka, w ogóle o nią nie zadbała. „Mamcię wszyscy lubili. — Po chwili: — Mnie też lubili”. I to ja jej nie pozwoliłem wejść do domu, kiedy byliśmy w Nawarii. „Ja nigdy nie byłem w Nawarii”. Ona wie, że byłem. „Renka, poznaliśmy się w Samarkandzie”. „Dwoje dzieci umarło z głodu”. (To możliwe). „Mamcia chce mnie zobaczyć!”

„Zobaczycie się” — zapewniam i w tej chwili prawie tak myślę. Po tamtej stronie najbliżsi się zobaczą.

Czytanie *Armii konnej* Babla. Opowiadanie *Zdrada*. Obsesja zdrady — już wtedy. Babel zauważył ją i w misternej opowieści, humoresce niemal, wyłożył ją. Literatura ostrzegała. Ale ostrzeżeń literatury nikt nie brał pod uwagę.

We wszystkich tych opowiadaniach jest triumfujące życie. Do którego przynależy i śmierć. Wszystko odbywa się po prostu, jak zjawisko w przyrodzie. Kozak kona, jego żona rżnie się z jego przyjacielem — nie z podłości, z prostoty serca, on i tak kona, „daj ty mi”, mówi przyjaciel — i ona daje. A do męża konającego mówi: „Do jutra umrzesz”. Po prostu. Nie ma kultury obłudy (delikatności). Może to być dopisek do eseju o szczerości.

Krzywicka w swoich pamiętnikach opowiada, jak odwiedzający ją Boy karmił hodowanego przez nią indyka, jak się z nim zaprzyjaźnił. Bywał także u Krzywickich w Leśnej Podkowie pewien znajomy lekarz, bodaj dr Kamiński. Kiedyś zaprosiła Boya na obiad, zapowiedziała, że będzie pieczeń z indyka. Boy chwilę milczał, potem odezwał się: „A pieczeni z doktora Kamińskiego nie będzie?”.

W tej reakcji na egzekucję indyka wyraża się dyskretnie, bo Boy nie lubił manifestować pewnych uczuć, jego stosunek do zwierząt, humanizm człowieka (chociaż — podobnie jak odczuwający więź ze światem natury Montaigne, więź i zobowiązania — zjadał jednak ze smakiem krwisty befsztyk). Był to humanizm bez żadnego pitu-pitu, bez pieszczot, bez obłudnego zaangażowania. Zamiast tego: męska lojalność, solidarność,

p a r t n e r s t w o. Stosunek do zwierząt pozbawiony ckliwości, za to dżentelmeński.

Człowiek nie nosi ze sobą pamięci swojej twarzy — widzianej w lustrze.

Kiedy spotka na ulicy kogoś podobnego do siebie, nie wykrzyknie: „On wygląda zupełnie jak ja!”. To inni mu powiedzą: jesteś podobny do…., co go zdziwi i raczej zrobi mu się przykro. Nie chce tego podobieństwa.

Rena przychodzi do mnie i pyta: „Czy Dzidzia pije z butelki? Powinna pić”. A co ona je? Może by z nią spała? Mówię, że je to co my. Że skończyła Cambridge. No to co? Ma pić z butelki.

Kiedy tłumaczę, że Dzidzia to już Ewa, dorosła panienka, Rena mówi, że jej chodzi o tę małą. (Taką świadomość podwójnego świata dobrze oddał w *Stu latach samotności* Márquez). Dzidzia jest jednocześnie dorosła i mała, wszystko dzieje się razem. Rena boleje: „Nie wykonuję wobec niej obowiązków”.

Nazajutrz Rena szuka czegoś w moim fotelu. „Szukam dziecka”. Potem: „Czy to chłopiec, czy dziewczynka?”. To dziecko, którego szuka, jest już jej — jest nasze.

Zbigniew Kamiński i jego żona w śnieżny wieczór zabierają mnie ze sobą do Łomianek, do Toeplitzów. Krzyś Toeplitz kończy dziś „dwie siekierki” — 77 lat. Jest Daniel Passent z żoną, Mikulski, Olga Lipińska, Danuta Waniek, córka Krzysia (z mężem). I jest kobieta o przecudownym uśmiechu, koleżanka szkolna Bożeny Toeplitz, pani Małgorzata T., która zaprasza mnie, żebym obok niej usiadł, nic mojego nie czytała, ale może dzięki temu rozmowa była ożywiona. (Zawsze kiedy patrzę na tak piękną kobietę, zastanawiam się <ostatnio — dawniej się nie zastanawiałem> nad

ambicją artystyczną natury, nad jej umiejętnościami rzeźbiarskimi; skąd natura wie, jak ukształtować dziewczynę, narysować ją tak, by zniewoliła męskie oczy. Słodycz uśmiechu, anielskość niemal, a przy tym nie zapomina — mówię o artystce naturze — o zadaniach kobiecych tego tworu, o ponętności: kiedy pozowaliśmy do zbiorowej fotografii, ja obok niej, dotknąłem niechcący (słowo daję — niechcący!), dotknąłem więc jej dupy („biodra” — sprostowała ona, bynajmniej nie oburzona, że została „uprzedmiotowiona”), był to zad wydatny, mocny, poczułem prąd w palcach. Pani Małgosia („Małgosieńka” — chociaż nie przeszliśmy na ty) mieszka w Kalifornii, jej mąż jest znanym amerykańskim aktorem, gra na ogół bandziorów, sadystów i, jak z reguły w aktorstwie, jest prywatnie, według niej, wrodzoną łagodnością. Złapał ją teraz telefonicznie (jednak niespokojny), dzwoni z Hawajów. Rozmawiają i ona w pewnej chwili mówi: „Jest tu pewien pisarz, który jest mną zauroczony”. On, wielkodusznie (i sprytnie): „Dobrze go rozumiem”.

Poprosiłem Toeplitza, żeby mi pokazał, gdzie pracuje. Był tym najwidoczniej poruszony. Zaprowadził mnie na poddasze, tu ma gabinet. Dwa biurka, w tym jedno z laptopem. Porządek. Trochę intymnej rozmowy. Zdjęcie rodziców. Schodzimy na dół na kieliszek wódki, pod śledzia, uznaliśmy, że to nam się należy.

Pani Małgosieńka ofiaruje się odwieźć mnie do domu. „Nie mogę z panią wracać — powiedziałem — bo będę zachowywać się nieprzyzwoicie i wjedziemy w drzewo”. (Śmiech). Do domu odwieźli mnie Kamińscy.

Luty

Drugie spotkanie to jak druga książka — może się nie udać. Z p. Małgosią u Bliklego. Mam dla niej książkę. Uzgadniamy, które książki

prześlę pocztą. Nie powiedziała mi, że w jakimś filmie grała epizod u boku męża (tak twierdzi p. Piotr).

Telefon od prof. Bralczyka. Ma za sobą *Dziennik*. Dzwoni, żeby mi powiedzieć, że czytał do szóstej nad ranem.

Noc. Rena posłusznie pozwala sobie założyć co trzeba. Przykryła się. Zgasiłem światło. Będę czytać Passenta.

Spać, nie spać — nie jest to takie ważne. Również i „nietwórczość". Nie mam żadnych twórczych planów — prócz uzupełniania notatek.

Rano, o wpół do ósmej, głos Reny wyrywa mnie z dziwnego snu (kupuję z pewną energiczną kobietą bochenek chleba — bez kolejki! We śnie wojna trwa): „Pomóż mi!". Leży koło tapczanu na podłodze, „uderzyłam się w nos", spoglądam: nie ma śladu, zapewne trochę zabolało, podnoszę ją (mimo jej protestów: „nie powinieneś tak dźwigać"), ale ja znalazłem sposób, by z mniejszym wysiłkiem najpierw posadzić ją na tapczanie.

Dziś pani M. odlatuje. Zapakowałem stare (lżejsze) wydanie *Montaigne'a,* dodałem *Mirę L.* z „Czechowem", jutro prześlę je do Beverly Hills, gdzie mieszka. W restauracji grają. Ale mnie to nie przeszkadza. Nie śpię chyba z innych powodów.

Na ulicy wysoki facet, który uważa, że powinien mi się przedstawić. Jest synem pułkownika. Rozmowa jak między sąsiadami, a pod koniec nagle on: czy nie mógłbym mu pożyczyć 5 złotych? Odda! „Powiem prawdę: na piwo".

Wieczorem telefon. „Pan Józef? Tu Małgosieńka”. Ma wyrzuty sumienia, że nie zatelefonowała przed wyjazdem, ale była w takim rozgardiaszu… Teraz dzwoni „ze słonecznej Kalifornii”. Mąż ma mieć za kilka dni operację. „Kilka dni temu wysłałem pani *Montaigne’a*”. „O!” (Amerykańskie). Trochę o tym, że ma się ukazać *Twarz pokerzysty.* „Niech pan koniecznie zarezerwuje dla mnie egzemplarz”. Na pewno będzie. „Wbiła mi się pani w pamięć”.

Z Mają w domu kultury w Alejach Jerozolimskich na spotkaniu z jubilatem Bohdanem Zadurą. Kiedy byliśmy przy herbatce, p. Zadura przyprowadził do mnie młodego kolaudatora, p. Borowczyka, bo ten chce mi podziękować za *Dziennik*, ogromne wrażenie, świetna literatura. (To, że *Dziennik* jest literaturą, i to świetną, to coś nowego, słyszę to chyba po raz pierwszy). „Opłaciło się przyjść” — mówię dziękując.

Pani Dorota M.-G. przywiozła korektę *Twarzy pokerzysty.* Przeczytałem dwieście stron. Mówię do Maćka: „Zdolny kiedyś byłem”.

USG Madzi nie wykazało żadnych schorzeń.

Amerykański egzamin Ewy: 800 punktów na 800 możliwych.

Ktoś — krytyk? recenzent? polonista? — zamieścił wzburzony na blogu — a może w piśmie? — artykuł, w którym napadł na mnie za to, że polemizuję, wyobraźcie sobie państwo, z… (ten wielokropek jest jego) Gombrowiczem. Nikt by się bardziej nie zdziwił takim oburzeniem niż sam Gombrowicz… Inny atak: jak śmiem mieć jakieś pretensje do Marii Janion. Cenzury nie mamy i najwyraźniej niektórzy czytający nie mogą tego odżałować.

Wersalka, która kilka dni temu nie chciała się rozłożyć i musiałem spać na zwężonej (czując się jak w pociągu do Taszkientu w drodze na komisję andersowską, kiedy położyłem się na wąskiej pochylonej półce na bagaże, co groziło, że przez sen spadnę na tych wygodnickich na dole), sama się naprawiła. Dlaczego się zepsuła, dlaczego naprawiła — nie wiem, rzeczy też mają kaprysy, ale czasem odzywa się w nich sumienie.

Nieogolony. Wiesław dzwoni, że w „Nowych Książkach" jest recenzja z *Dziennika*, „życzliwa" — komentuje. Skoro „życzliwa", to wiem, czego się spodziewać. („Jesteś pan łobuz i świnia. Z poważaniem: Życzliwa").

Przed kolacją rozmowa z Reną, która prowadziła ją całkiem normalnie. Zapowiedziałem, że jeśli ja dokądś wyjadę, będzie tu sypiać Ukrainka, żeby w nocy nie była sama. „Masz ciężkie życie — powiedziała. — Nie, mam dobre życie. Jestem otoczony rodziną, którą kocham, oni mnie też, chociaż ważniejsze jest to, że ja kocham". Mówię, że Maciek i Madzia pomagają mi, kiedy tylko mogą. Ona: „Tylko ja ci nie pomagam. — Po chwili: — Ale ja jestem chora. — Tak, chora, ale pod dobrą opieką". Jedyny jej odlot to pytanie: „A co na to mąż Madzi?".

Wieczorem zadzwoniła Grażyna Barszczewska, żeby mówić o *Nowolipiu*. Śmiała się i płakała, czytając. Kapitalny jest opis moich doświadczeń aktorskich, ta próba „pogłębienia" granej postaci.

W nocy, rozbudzony przez Renę, czytam dodatek „Kultura" do „Dziennika", dobrze robiony, z wiarygodnymi, profesjonalnie napisanymi omówieniami.

Platforma Obywatelska chce udzielić szesnastolatkom czynnego prawa wyborczego. Akurat w tym czasie odnotowano kilka ohydnych przestępstw

szesnastolatków, dla których przewidziane są obniżone kary z powodu niepełnoletności. Do karty wyborczej, do decydowania o składzie parlamentu są pełnoletni, a kiedy zabijają nożem policjanta — już nie.

W środę miała się pokazać Ukrainka Daria, żeby omówić ewentualne nocowanie u nas. Ale noc z wtorku na środę była taka, że uświadomiłem sobie, iż nikt mnie przy Renie nie zastąpi, nikt nie da rady, zwłaszcza młoda, pogrążona w mocnym śnie kobieta. Musiałbym wciąż odrywać się od Konstancina, żeby czuwać, pomagać, zaopatrywać. I gdybyż mnie kusił jakiś projekt „twórczy” — ale na nic takiego się nie zanosi. Żeby nie biadolić, nie dawać pokarmu „Życzliwym”, powiem coś takiego: Mogę czuć się usatysfakcjonowany — tak, to przyjemna niespodzianka — że niektóre pozycje, choćby takie *Nowolipie*, przebiły się do młodego czytelnika.

O tym, że ktoś oburza się, iż polemizuję z samym Gombrowiczem („wyobraźcie sobie państwo!”), mówiłem w Centrum Informacji im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego podczas wieczoru autorskiego. (Prowadził Tomasz Zapert, czytała Joanna Dukaczewska). Powtarzam tezę, że odmawiać komukolwiek prawa do polemizowania z Gombrowiczem, to by zadziwiło przede wszystkim jego samego. Ten pan zarzuca mi, że śmiem atakować „emigranta wojennego”, ja, który przesiaduję w kawiarni. No, z tym moim przesiadywaniem w kawiarni, i to podczas wojny, to się ten pan rzeczywiście wybrał. Trudno, nic o mnie nie wie, trzeba wybaczyć. Ale to Gombrowicz przesiadywał w kawiarni, zawsze miał „stolik”, już przed wojną, a podczas wojny także w Argentynie. Co nie wyklucza dobrego pisarstwa — w końcu Proust też nie przeżył jakichś niebezpiecznych przygód, chociaż odsłużył rok w wojsku. I tu dygresja, że jako żołnierz

Marcel był w swoim roczniku sklasyfikowany na przedostatnim miejscu — zawsze mnie korciło, żeby się dowiedzieć, kto to był ten ostatni, ten żołnierz, jeszcze gorsza fajtłapa od Marcela Prousta.

Rena dopytuje się, czy małżeństwo Madzi jest udane. Staram się jej wyjaśnić jak jest. Madzia uważa, że niepotrzebnie. „Odpowiadaj: udane”.

Po południu robię Renie jajecznicę. Rogalik, odrobina pomidora, kefir. „Dobry obiad? — Znakomity. — Ładnie jesz — pochwaliłem ją — to mi ułatwia życie”. Ostatnio czasem całuje mnie w rękę.

Dzwonił pewien były pułkownik, prosi o numer telefonu Ritki we Wrocławiu. Dowiaduję się, że nie ożenił się z Ritką dlatego, że podkochiwał się w Renie. „Bardzo mi się pańska żona podobała. — Mnie też”.

Marzec

Dziś po obiedzie dzwonię do Madzi. „Mam dwie wiadomości; najpierw ta wiadomość ważniejsza: mama zjadła kluski z serem”. Madzia w śmiech. „A ta druga? — Pan Joachim Russek zaprasza do Krakowa, do Centrum Kultury Żydowskiej. Temat: *Dziennik*. Nazajutrz ci z „Kuźnicy” zechcą przeprowadzić rozmowę, z cyklu: „Trzech na jednego”. To ma być w kwietniu, Madzia będzie nocować u nas, „tylko nie wyjeżdżaj tego dnia do żadnego Paryża”.

W Czytelniku nowy portier, starszy pan, pyta: „Pan się nazywa Iwaszkiewicz? — Nie, Hen”. Zdziwiony. „Jak? Hen?” Akurat nadszedł Konwicki. Chyba w niezłej formie. Rozśmieszył go ten „Iwaszkiewicz”.

Wpół do dwunastej. Obudziłem się z koszmarnego snu. Przez drzwi do mieszkania wsunięto trupią czaszkę z jakiejś masy, zapowiedź, że mnie zabiją. Rena zapaliła w przedpokoju światło, zirytowałem się. Kiedy rozkruszyłem tę maskę, wytworzyła się duża dziura, a przez nią odezwał się młody napastnik. Mówię, żeby zostawili mnie w spokoju, bo piszę książki o dobrych ludziach. „Na przykład o kim? — O królu Jagielle. — To był dobry człowiek?” Już miałem udowodnić, że dobry, kiedy obudziłem się, bo Rena wstała i podreptała do łazienki.

No i ten młody napastnik ze snu nie doczekał się wyjaśnienia…

Rena zajmowała się dziś „papierkami”. Co nas cieszy. Bo przez kilka tygodni nie była niczym zainteresowana. Spała. Świat zewnętrzny był przeżywany we śnie.

Latam za „Czcigodnego Starca”, do czego nie jestem przyzwyczajony. W Oborach zawsze byłem nie tylko ten młodszy, ale ten ustępujący miejsca, ten, który przynosi, jest uprzejmy — z szacunku dla pozycji rozmówcy. Tak samo w autobusie: ja jeszcze niedawno ustępowałem miejsca, czasem mam ochotę i dziś się poderwać — teraz mnie ustępują i to wcale nie takie młode panie. (Co się stało?!) Madzia mówi, że jeśli dzięki pozycji „Czcigodnego Starca” mogę być obsłużony „podwodą”, to ona nie ma nic przeciwko temu.

Fotografia maszerujących żołnierzy północnokoreańskich. Tłum kroczący w nogę, napięte twarze — liczy się tylko to: marsz w kolumnie.

Kto tym chłopcom wmówił, że mają s ł u ż y ć? Że są tylko mięsem armatnim? Dla jakiejś abstrakcji.

Dlaczego nie pomyślą, że u r o d z i l i s i ę p o t o , ż e b y ż y ć, a nie umierać na czyjś rozkaz, z czyjegoś wymysłu? Czy nigdy się nie zbuntują?

Kwiecień

Piątek, 9 IV. Pogrzeb Krzysztofa Toeplitza. Byłem chyba najstarszym jego uczestnikiem.

Zaiksowcy w komplecie. Klub Księgarza: Lam, Rodzeń, Baczyński, Passent. Jest Kwaśniewski, Szmajdziński, Jaruga-Nowacka, Osiatyński, Reykowski, Uchański. Jacek Bocheński, Szulkin. (Są i Werblany i ktoś jeszcze z takich). Grońscy, Głowacki z Oleną, Fogtt, Gruza, Ewa Frykowska, Górny, Skąpski, Olga Lipińska.

Madzia o tym, że przyjęcie urodzinowe u niego, to sprzed kilku tygodni, było świadomym pożegnaniem z przyjaciółmi.

10 IV, sobota. Gdzieś o wpół do dziesiątej włączam telewizor i wiadomość: „LECH i MARIA KACZYŃSCY NIE ŻYJĄ”.

Katastrofa. Samolot rozbił się, podchodząc do lądowania w Smoleńsku. Nikt nie przeżył. Prócz czołówki PiS, zginęło też kilka wybitnych osób, które wczoraj były na pogrzebie Toeplitza. Wśród tych, którzy zginęli — 91-letni prezydent na uchodźstwie Kaczorowski.

I teraz: co wypada, a co nie wypada. Nie wypada przypominać, jaka to była prezydentura. Zagraniczne stacje nie muszą się temu podporządkowywać, przypominają, że był zwolennikiem kary śmierci.

Dzwoni z Krakowa p. Joachim Russek. Moje spotkanie w centrum Kultury Żydowskiej musi zostać odwołane.

Englert o „przełomie” Putina na skutek przejęcia się katastrofą. On, aktor, widział w jego twarzy, kiedy obejmował polskiego premiera, szczere wzruszenie. Powinien sobie przypomnieć, że decyzja o poprawie stosunków z Polską zapadła wcześniej. (Przybycie na Westerplatte. Spotkanie z Tuskiem w Katyniu. Zaproszenie oddziałów polskich i Lecha Kaczyńskiego na święto 9 maja). Daje mu ta katastrofa zarazem możliwość edukowania swojego społeczeństwa. Nareszcie, bez obaw, może pokazać zbrodnie Stalina: film Wajdy *Katyń* pójdzie w centralnym kanale. Przedtem bywał z tym ostrożny.

Ale i Englert, i Monika Olejnik nie rozumieją, że nie emocje, choćby najsilniejsze, rodzą politykę — to polityka wykorzystuje emocje. Gdyby emocje nie zgadzały się Putinowi z celem politycznym, stłumiłby je.

Pralnia „Alba” zbankrutowała. Opiekunka Reny wraca z niewypraną bielizną.

Ma być pochowany na Wawelu!… Obok monarchów, Piłsudskiego, Mickiewicza, Słowackiego.

Jakaś pani o dźwięcznym głosie („moje nazwisko nic panu nie powie”) dzwoni, że teraz, po przeczytaniu *Dziennika*, będzie szukać moich książek w bibliotekach. Przedtem nie czuła takiej potrzeby. Podkreśliła w *Dzienniku* to, co piszę o postaciach agresywnych politycznie. Absolutnie trafne. I jest przerażona — co to będzie?

W Czytelniku przy „stoliku Berezy” ktoś, nie byle jaka głowa, ze zdumieniem: „Nie ma tego, kto osobiście zdecydował o Wawelu, każdy się wypiera”.

„GW” cytuje fragmenty (…) Krasnodębskich, Rydzyków, Pospieszalskich… Oszalały z nienawiści Rymkiewicz.

A ja planowałem książkę pogodnych, beztroskich opowiadań. Jakby rodzaj zapisu na ostatnie lata. I nawet miałem tytuł: BEZCHMURNE NIEBO.

Co za ironia z tym „bezchmurnym niebem”!… Pył wulkaniczny z Islandii pokrywa niebo Europy. Od kilku godzin wiadomo, że Obama na pogrzeb nie przyleci (czego należało się spodziewać). Podobnie chyba Angela Merkel. Pani opiekunka, która jest zielonoświątkowcem, jest przekonana, że z tym pyłem „taka była wola Boga”.

„Wysokie Obcasy” o prezydenckiej parze. Ach, ach, cóż to za małżeństwo! Jak się kochali!… On jej kupował broszki… Tańczyli ze sobą. I w ogóle… Ach!

Słodkie tekściki jak dla „Płomyka”.

Uroczystości pogrzebowe w Krakowie. W kościele Mariackim — Miedwiediew, Janukowycz, Kwaśniewski. Nie ma Wałęsy. I tych, którzy — usprawiedliwiając się pyłem wulkanicznym — nie dotarli. Nie przyleciał Obama, Sarkozy, Angela Merkel, Berlusconi, książę Karol, król Szwecji, król Hiszpanii itd.

Na Rynku w Krakowie tłum manifestuje ze sztandarami Solidarności. Zaczęła się, uważam, kampania na rzecz kandydatury Jarosława Kaczyńskiego.

Jadę do Holiday Inn na spotkanie z Krystyną, dzielną „żoną żeglarza”, jak o sobie mówi, w której jest coś fascynującego. Mąż, powiada, teraz

w Kalifornii, wzburzony „Wawelem”. „Nie wiem — wstawia ostrożnie — co ty o tym myślisz. — Ja tak samo jak on”.

Mocny numer „Przeglądu” — w dużej mierze poświęcony temu, że kardynał Dziwisz i media wciągają ludzi do kampanii na rzecz PiS-u. Widacki o tym, że kard. Dziwisz zdemaskował, iż w Polsce jest tylko jeden Kościół — toruński. Rozmowa z Januszem Czapińskim. Łagowski zauważa nacjonalistyczne uwagi w przemówieniu premiera w Katyniu. (Putin udał, że tego nie dostrzega). (Muszę przyznać, że przenikliwy p. Łagowski wychwycił to, czego ja nie wychwyciłem. Nie wszystko mi się w przemówieniu podobało, ale pogodziłem się z tym, że Tusk uznał, że taki ton i taka treść są właściwe dla tej chwili).

Mam wygłosić formułę otwarcia Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Żydowskie Motywy. Przyjeżdża po mnie Andrzej Titkow, w marynarce i w krawacie. „Ojciec dyrektor”, Mirek Chojecki, w rozpinanym swetrze i w dżinsach. Jak za czasów Solidarności. Okazuje się, że znowu mam otwierać z Wajdą. Mówię mu przed wejściem na scenę: „Nie przejmuj się idiotami, świetnie, żeś to powiedział”. (O „Wawelu”, krytycznie).

Film dokumentarny *Zwyczajny marzec* Marii Zmarz-Koczanowicz. Wybuchy śmiechu, kiedy przemawia (z pasją) Gomułka. Zastanawiam się, jak ten film odbierałby jego syn. Idiotyzm i podłość całej tej akcji (z których zapieniony Gomułka nie zdawał sobie sprawy). Prymitywizm tych ludzi. Haniebny upadek.

Titkow odwozi mnie do domu. Rena w porządku.

Dzikie żądania, żeby Bronisław Komorowski, który będzie do wyborów tymczasowym prezydentem, „wypełniał wolę zmarłego prezydenta” (!),

czyli swojego przeciwnika politycznego! Żeby nie podpisywał ustawy, na którą głosował. Taki szantaż moralny. I do tego pretensje, nawet publicystów, że przemawiając, wykonując swoje obowiązki, nie ujawnia żadnych emocji, nie płacze. (Ale i Jarek nie płakał).

W „Rzeczpospolitej” szalony (i grafomański) wiersz Rymkiewicza do Jarosława Kaczyńskiego, żeby ratował Polskę przed łajdakami. „GW” dała mu nagrodę Nike za chudziutki tomik w tym samym roku, kiedy kandydowało *My z Jedwabnego* Anny Bikont.

Słuchałem w Muzeum Literatury swoich nagrań z lat 1980, 1984, 1990. Te nagrania nie robią dziś na mnie tego wrażenia co dawniej. Wtedy była w nich przekora, świeżość. Poszedłem o wiele dalej, wyraziściej, no i literacko lepiej w kolejnych tomach *Nie boję się…* i w *Dzienniku na nowy wiek*.

Charakterystyczne, że w 1984 roku nie mówię ani słowa o *Oku Dajana*, Giedroyciu, paryskiej „Kulturze”. Bo to wciąż było zakonspirowane, chociaż ubecja od paru lat wiedziała, że „Korab” to ja.

Jak na tę wiedzę, byli wobec mnie raczej łagodni, w końcu jakoś tam do tego Paryża wyjeżdżałem — ktoś się za mną wstawiał? — może to był Putrament? a może uważali, że mam poufałe stosunki z Iwachą? Przy Jaruzelskim mógł to być mój zapalony czytelnik Wiesław Górnicki… A może uznali, że mój dorobek jest znaczący i lepiej czasem odpuścić?… W każdym razie mogło być gorzej.

W 1978 roku — teraz to sobie przypominam — nagle okazałem się cenny jako ten „umiarkowany”, ktoś z boku, kiedy partia, po fatalnym dla niej zjeździe katowickim, chciała poprawić stosunki z literatami, zwrócono się do Żółkiewskiej, żeby zechciała znowu być prezesem Oddziału Warszawskiego, a ona: dobrze, ale pod warunkiem, że wiceprezesem będzie

Hen (wszystko jak w marcu 1968), a ja powiedziałem: dobrze, mogę być wiceprezesem, jeśli Żółkiewska będzie prezesem. No i stało się…

Z Moniką u Stasińskiej. Szybko uzgodniliśmy, że *Nowolipie* i *Najpiękniejsze lata* będą w jednym tomie, ale jako dwa odrębne tytuły. I bez ilustracji. Niestety, dopiero w przyszłym roku. „Mam obowiązek długo żyć".

Słyszę postukiwanie widelca o talerz: wiem, Rena skończyła śniadanie (kalafior), mogę podać lek i picie (woda zabarwiona kawą).

Taksówką do kina Muranów, by obejrzeć dokument *8 historii, które nie zmieniły świata*, opowiadam tam swoją zwięzłą historię i ja. Ten film dostaje dwie nagrody, w tym nagrodę publiczności. Co im się tak spodobało? Wrażliwość tej publiczności — i jurorów — są swoiste, młody reżyser, p. Krankowski, chyba dobrze ją odgadł.

Na koniec komplement, który mnie zaskoczył i sprawił, nie ukrywam, ogromną przyjemność: mój sukces aktorski. Rozelśniona pani dziękuje mi za czytanie *Nowolipia*. „Czyta pan rewelacyjnie! Kupiłam sobie audiobook. Kiedy mam czas, słucham Hena".

Kraków, godz. 15.00. Od godziny mniej więcej w Hotelu Polskim Pod Białym Orłem, który darzę sentymentem.

(Warszawski ranek bez przygód. Telefon z Krakowa od p. Russka. Uspokoił się, że nie nawalę. Dla Reny na śniadanie jajecznica. Bardzo istotna notatka, bo jajecznicę mogę dać tylko raz na kilka dni).

Wczoraj na Czerskiej — na promocji książki Michała Głowińskiego *Kręgi obcości*. Obcość to pochodzenie — i nie tylko, bo klaustrofobia

i „jestem gejem”, wyznaje to w tej książce, „nie musiałem o tym mówić, to chyba było jasne”. Jak dla kogo, ja się nad tym nigdy nie zastanawiałem… Pisze dobrze, bardzo po prostu, nie ma w jego stylistyce śladu „inności”. Jest profesjonalistą.

Kraków. Za trzy godziny mam tu wieczór. Rynek w słońcu, zatłoczony. Kraków zmieniony. Jama Michalika na Floriańskiej pusta, jakaś para je spóźniony obiad. Tam, gdzie był „Żywiec” — sklep i „kebab”, przy którym pożywia się młodzież.

Przychodzi do hotelu p. Joachim Russek i zawozi do Centrum. Czekamy na spotkanie, siedząc na tarasie, przy irish coffee. Czy ktoś przyjdzie, niepokoję się. Dzwonił p. Ireneusz Kania, że ma w tym samym czasie swoje spotkanie. Pojawia się na tarasie Andrzej Kurz i zaraz po nim paryżanin Ludwik Flaszen, witamy się ze szczerą radością. Ja mówię, ile mu zawdzięczam jako niemiłosiernemu krytykowi schematyzmu i „wszystkoizmu” (bodajże on to słowo wymyślił) w prozie lat pięćdziesiątych.

Plotkujemy. Flaszen kończy 80 lat — forma znakomita. Myślałem, że podczas wojny był w Samarkandzie, uczył się w polskiej szkole (do której ja nie mogłem się dostać). Ale nie, uczył się w Andiżanie, a nauczycielem polskiego był niewiele od nas starszy Henryk Markiewicz. Daję mu *Pingpongistę* i *Najpiękniejsze lata*, przy których skreślam cudzysłów wokół tytułu, cudzysłów dała Nina Smolarowa, jak mówię, dla „pieriestrachowki” (asekuracji). Zadziwia ich to słowo, nie znali go. Kurz, który przeczytał *Dziennik*, pamięta, że czasem moja „nadmierna” znajomość rosyjskiego powodowała kłopoty. Ale czasem też ratowała — stało się tak właśnie tu, w Krakowie, w 1945 roku, na moście w Dębnikach, kiedy pijany lejtnant przyłożył mi zimną lufę nagana do skroni.

Na spotkaniu osób rzeczywiście niewiele, nie więcej niż 20. Są dwaj publicyści ze „Zdania”, jest p. Zosia Radzikowska, jakaś pani wpina mi medal za „wybitną twórczość literacką i ochronę pamięci żydowskiej”. Potem okazało się, że „jakaś pani”, to pani Ruth Buczyńska, mecenas, której adres i telefon dostałem w swoim czasie od Mrożka, kuzynka rzeźbiarki Wandy Ładniewskiej, tej, która opiekowała się osamotnionym Boyem we Lwowie (poznałem ją w Paryżu).

Wieczór był treściwy. Czytałem jakiś bardziej „uniwersalny” zapis z *Dziennika*. Potem fragment, który zatytułowałem *Prawo do bólu*. Czułem, że tekst robi wrażenie. Nie było oklasków, tylko cisza. W części, którą nazwałbym polityczną, a którą zainicjowała publiczność, wspomniałem hasło trzy „P”: Patriotyzm, Pamięć, Polska — to są ogólniki, każdy może je powtórzyć. Wspomniałem ZPP Wandy Wasilewskiej, księży patriotów, łajdackie towarzystwa patriotyczne w XVIII wieku i to, co o patriotyzmie powiedział doktor Samuel Johnson. A potem, że był w Krakowie humorysta Bogdan Brzeziński (Flaszen, słysząc to nazwisko, energicznie pokiwał głową), który napisał humoreskę ze słów wyłącznie na „p” (bez obscenów!) i podpisał ją: Pogdan Przeziński.

Jaka książka najważniejsza? Wolę ich nie hierarchizować, ale — jeśli już muszę — to *Nikt nie woła.*

Zapytanie o Koraba. Przytaczam epizod, kiedy siedziałem z Piotrem Rawiczem w kawiarni uczęszczanej przez pracowników wydawnictwa Gallimarda, wbiegł Erik Veaux („Jestem z nim zaprzyjaźniony!” — wykrzykuje Flaszen) z egzemplarzem „Les Temps modernes” w ręku i krzyczy do Piotra: „Czytałeś to? Formidable!”. Piotr pyta mnie: „Wie pan, kto to napisał? — Tak, wiem. — Może mi to pan powiedzieć? — Mogę. Ja”. Piotr ciężko westchnął. „Niech pana Bóg chroni” — powiedział.

Flaszen o tym, że czytał mojego *Montaigne'a* i *Błazna*. Komplementuje, „chce się czytać", mówi. Ja opowiadam o Władysławie Żeleńskim, bratanku Boya, a potem o moim żalu, że ja tyle napisałem o Boyu, a Boy o mnie nic. Wybuch śmiechu.

Miłość a przyjaźń. Powtarzam tezy z *Dziennika*. Że można kochać bez wzajemności — przyjaźń jest bardziej wymagająca: nie istnieje bez wzajemności. Panie kiwają głowami.

Sympatyczne śniadanie w hotelu. Panienka: „Czy chce pan coś ciepłego?".

Wygląda na to, że p. Russek poprosił o szczególne względy. Wybrałem parówki — nie wiem, czy aby nie zawieść dobrej woli dziewczyny, nie powinienem był trochę pokaprysić.

Trzej dziennikarze (politolodzy) ze „Zdania" w moim apartamenciku, rozmowa, którą nazywają „Trzech na jednego". Panowie Chudziński, Komorowski i Ratkowski, chyba najlepiej w moim dorobku zorientowany, wgryzł się w *Bruliony…* Rozmowa łatwiejsza niż się obawiałem, może zbyt łatwa, moi rozmówcy nie przyduszali mnie, nie prowokowali, wydaje się, że okazywali zbyt wiele szacunku dla autora *Montaigne'a*. Bardziej od poglądów fascynowały ich moje przeżycia. Będzie można coś dopisać w korekcie.

W restauracji Carlito z p. Markiem Kotem i p. Irkiem Grinem, sławnym w Krakowie scenarzystą, żeby zastanowić się nad nową wersją (remake) *Prawa i pięści*. Nie dążyłem do tego spotkania, wiedziałem, że nie ma żadnej płaszczyzny porozumienia. Usłyszałem, że postacie z *Prawa i pięści* są zbyt skończone, nie można do nich nic dodać, a oni chcą dać postaci archetypiczne. Archetyp bandziora, archetyp Żyda, Rosjanina etc. Ja na to, że nie zastanawiałem się nad archetypami, ale nad konkretnymi ludźmi.

Przypomniał mi się asystent Laco Adamika, który zniszczył scenariusz *Crimenu*, miażdżąc mój prymitywizm Arystotelesem, a któremu ja przypomniałem, że Arystoteles nie chodził do kina.

Maj

Notatka o spotkaniu jeszcze kwietniowym. Do Polski przyjechała moja nieznana mi osobiście tłumaczka amerykańska, pani Krystyna Boron. Mieliśmy się spotkać już przed tygodniem, ale w przylocie przeszkodził jej, niczym samemu Obamie, ów unoszący się nad europejskim niebem pył wulkaniczny z Islandii.

Jak wygląda? Spodziewam się rosłej, zażywnej sześćdziesięciolatki. Rano telefon: dziewczęcy głos, „przyjechałam nieco wcześniej”. To ona, czeka w taksówce. Kiedy się pokazuję, biegnie ku mnie szczupła dziewczyna, puszystowłosa, mniej więcej blondynka. Padamy sobie w objęcia, całujemy się.

Dysponuję: jedziemy do restauracji Jerozolima, tej ze śpiewającymi kelnerami. Jest godzina 13.00, pusto. Mam dla niej kilka książek, a także film Maćka *Fotografie mojego taty*. Ona ma ze sobą mój *Dziennik* (który przestudiowała już do połowy) i *Pingpongistę*.

Opowiada mi, jak na mnie trafiła. To był czysty przypadek. Była u chorej obłożnie mamy w Białymstoku, chciała jej coś poczytać, wzięła *Nie boję się bezsennych nocy*, zaczęła czytać — i zdumiała się: jak to możliwe, że ten autor (tu epitety, które przez skromność opuszczę) jest w świecie nieznany! Zaczęła rozpytywać. W Instytucie Książki podano jej telefon p. Moniki. Zapytała ją, która książka mogłaby liczyć na sukces w Stanach. Odpowiedź była: *Nowolipie*. Dostała książkę, czyta — i jest pewna sukcesu. Pyta mnie teraz, jaka mogłaby być następna książka? *Milczące między nami*, jeśli to ma być coś współczesnego, lub *Nikt nie woła*, szkoda

tylko, że nie wydano jej 30 lat temu, odniosłaby międzynarodowy sukces. Powiadam jej o złośliwych przygodach tej książki. (Dopisek: są dosyć szczegółowo zrelacjonowane w posłowiu do obecnego wydania w Wydawnictwie Literackim).

Deszcz. Budzę się przed dziewiątą. (Rena w nocy zachowywała się „przyzwoicie". „Sowiestno" — powiedzieliby Rosjanie. Jakby świadoma, że nie powinna przyczyniać kłopotu. Sowiestno? Jak to przetłumaczyć na polski? „Sumiennie"? „Sumiennie" wykonywało się pracę. Lub knociło się „bez sumienia". Był „bez sumienia" wobec kogoś, komu należał się bardziej serdeczny stosunek. „Na moje sumienie!" — zaklinali się żydowscy kupcy po obniżeniu ceny tak, że już więcej opuścić nie mogą. „Nie jestem królem waszych sumień" — to Zygmunt August. Więc co to jest „sumienie"? Po rosyjsku „somnienije" znaczy „wątpliwość". „Sumować się" — w polszczyźnie znaczyło „martwić się". Jakiś proces w mózgu, który w końcu — zgodnie z tym, jak znaczenie słowa przeobraża się — prowadzi od zmartwienia, poprzez wątpliwości, do „wyrzutów sumienia". Ktoś to tak sformułował: żeby mieć wyrzuty sumienia, trzeba sumienie mieć. Czyli jakieś szlachetne uwrażliwienie).

Opowiedziałem Renie o spotkaniu z Tłumaczką. Zaczęła się martwić: „Ale ona nie ma gdzie spać". Nie pomagały zapewnienia, że na pewno ma. Ma przyjaciółki. (Jej przyjaciółką jest urocza Anna Romantowska, która nawet przekazała pozdrowienia dla mnie). Rena nie ustawała: „Zadzwoń do niej, zaproś ją". Zostało w niej z czasów samarkandzkich, że jeśli ktoś przyjeżdża, trzeba zapewnić nocleg. „Dzwoniłem do niej — powiedziałem. — Jest w willi swojej przyjaciółki, w Józefowie". Kłamstwo, Jak to często bywa, uratowało sprawę. Kłamstwo, podejrzewam, bliskie prawdy.

Telefon od Janiny Paradowskiej: chciałaby 3 maja, w rocznicę Konstytucji, porozmawiać ze mną w Superstacji. *Mój przyjaciel król* — to bliska jej książka. Zgoda, porozmawiamy.

Rena bezradna i bezbronna, wzruszająco bezbronna. Dzisiaj rano, płacząc: „Babcia umarła". Pytam: „Czyja babcia?". „Moja. To taka była dobra kobieta". Ze snu budzi się jako małe dziecko, już nie o głodującej mamie mówi, tylko o babci. Jakbym to przed nią ukrył. „ Ona tak mnie kochała. — Któż by ciebie nie kochał? Twój mąż cię kocha, dzieci, wnuki". Ostrożnie napomykam, że zmarła kilkadziesiąt lat temu. „Była już stara. — Po chwili dodaję: — My też jesteśmy starzy". Pyta, skąd wiem o jej śmierci. Kłamię (bo kłamać trzeba): „Ritka tam była, rozmawiała z ludźmi". Ona pojedzie do Nawarii, przywiezie ciało babci. „Nie płacz — proszę — wiem, że może potrzebujesz płakać, ale kiedy ty płaczesz, to i mnie się chce płakać".

Uspokajam ją. Przynoszę truskawki.

Rola smakołyków w budowaniu nastroju.

Uroczysta trzeciomajowa zmiana warty u Grobu Nieznanego Żołnierza. Komorowski przemawia. Mówi o tragedii w Smoleńsku. Nie wymienia nazwisk ofiar, nie rozczula się jedynie nad śmiercią prezydenta. Od tego są tamci.

Tak, od tego są tamci. Nastawiłem Teleexpress: Komorowski i władze państwowe zignorowane. Jedyne złożenie wieńca — to Jarosław Kaczyński. W tym dniu, mówi spiker, myślimy o bolesnej stracie. I o woli prezydenta, który rok temu tu przemawiał. I nadają… zeszłoroczne przemówienie Lecha Kaczyńskiego. TVP w ich rękach! Dzięki porozumieniu pisowców z Napieralskim. Wystrychnęli go na dudka.

Rena, późnym wieczorem, jeszcze w moim fotelu: „Umyjesz mi zęby, żeby ci, co będą mnie nosić, nie czuli złego zapachu”. Potem, już w łóżku: „Ma być na cywilnym, nie na religijnym”. Udaję, że nie rozumiem. „O czym ty mówisz? — O cmentarzu. — Nie trzeba o tym mówić”. Ale mówi i to spokojnie. Właściwie bardzo dzielna.

Skoro i tak nie śpię, to odnotuję, że w poniedziałek, 3 maja, pani Janina Paradowska prowadziła ze mną rozmowę w Superstacji. Nie szczędziła we wstępie, przedstawiając mnie, ciepłych słów, pokazała książkę o królu. Rozmowa nasycona treścią, może o kilka minut powinna być dłuższa.

Spać nie mogłem nie z powodu Reny, ale przypominając sobie wszystko to, czego nie powiedziałem, a powinienem był. Na przykład, że do Targowicy przystąpił gen. Dąbrowski. Że Targowiczanie to byli kuzyni lub szwagrowie twórców konstytucji. Że Szczęsny Potocki był wściekły, że król przystąpił do Targowicy. To wszystko jest co prawda w mojej książce, ale inni ludzie czytają, a inni oglądają.

Weszła Rena. Siada w fotelu. Przykrywam jej nagie uda koszulą. „Dlaczego nie powiedzieliście mi, że mamcia jest umierająca? Chciałam jechać do Nawarii, nie puściliście mnie”. Wczoraj tak cały wieczór i też u mnie w fotelu. Może to polubiła — w tym miejscu i ten temat… Męka. „Dużo ludzi musiało być na pogrzebie. Polacy ją lubili”. Rzeczywistość nie istnieje, nie ma Niemców, morderców, szmalcowników, Zagłady. O babci — wczoraj — że była elegancka, umiała szyć. I mamcia umiała szyć, „szyła dla mnie”. Mamcia była piękna. (No, wyobrażam sobie!) „Wszyscy chwalą swoje matki, ale moja — z płaczem — była wyjątkowa”. Niełatwo było ją uspokoić. Z trudem namówiłem ją do nalewki. Powiedziała jednak, podnosząc kieliszek: „Za moją mamę”. Kiedy pochwaliłem się, że w sobotę

zrobimy uzbecki płow (pilaw), zareplikowała całkiem przytomnie — i gniewnie — „Płow mnie nie interesuje”.

Z Waszyngtonu dzwonił Janusz Beer. Ma wiadomość od swojego przyjaciela, że świetnie mówiłem o *Królu*. Chce numeru mojego telefonu, żeby mi to powiedzieć i podziękować. Nawet nieskłonna do komplementów „Zosia” (imię umowne), która przypadkiem trafiła na tę rozmowę, komplementowała: „Dobrze mówiłeś”.

Te wszystkie filmiki, wywiady, wypowiedzi etc. nie są dla mnie, tylko dla nich, ludzi, którzy zawodowo muszą coś robić, a ja powoli zostaję wykreowany — przez despotyczny Czas — na nadający się obiekt. On dużo pamięta — jest świadkiem — opowie.

Dzień zacząłem od obcięcia Renie straszliwych paznokci. Nie buntowała się. Kiedyś obcinałem paznokcie mojej śpiącej w wózku wnuczce. Teraz — bezradnej jak niemowlę żonie.

Niedziela. Dzień zwycięstwa. Parada w Moskwie — z polskimi żołnierzami. Komorowski obok Miedwiediewa. Rena pamięta, że na wiadomość o końcu wojny w Nawarii płakała. „Nie — prostuję — płakałaś w Taszkiencie”. Ona, z uporem: „W Nawarii!”. Taszkientu, w którym studiowała, nie pamięta, nie było go.

Rena chce wejść na krzesło, żeby przyjrzeć się górnej części swojego pięknego gobelinu. Upiera się jednak: „Nie, to nie moje. Nie mów nikomu, że ja to robiłam”. Jej nieoczekiwana aktywność fizyczna jest niebezpieczna. Przenoszę krzesło do pokoju-graciarni.

Madzia u mnie, robimy płow. Rena ma dobry obiad.

Dzwoni pani Ewa T. — to ta, która miała rodzinę na Solnej 9, w domu, w którym mieszkała moja babcia. Chce się spotkać, żeby mi pokazać zdjęcia cioć, mamy (jako dziecka). Mówię, że to bezcelowe, bo kiedy przychodziłem na Solną, miałem 5–6 lat, nikogo nie poznałem. Ale przecież opisałem drukarnię, która tam była! Nie opisałem. Ona: „Na pewno!”. Ja: „Chyba znam swoją książkę; opisałem to, co było na Nowolipiu 53: wytwórnię materaców i wytwórnię luster (pamiętam, jak powlekało się tafle szklaną czerwoną minią)”. Ona, zmieszana: „Może czytałam o tym w innej książce, tyle czytałam…”.

Pani Ewa T. mówi, że jest moją fanką. Chce mi podziękować za *Króla*, także w imieniu nieżyjącej już Mamy. Zna prawie wszystko, co napisałem, nawet *W dziwnym mieście* (1954), „to świetna książka, sama prawda, zadziwiająca jest perfekcja młodego przecież autora”. A to niespodzianka! Muszę kiedyś do tej książki zajrzeć.

Mail od pani Krystyny Boron: jutro odlatuje, a za kilka dni wraca do pracy nad tłumaczeniem *Nowolipia*. Dostaję jej adres amerykański: stan Maryland, więc niedaleko Janusza Beera.

Maryland, Maryland… To jakoś łączy się z moim dzieciństwem. (Kiedy się przeżyło tyle lat, nie ma takiej wiadomości, która z czymś by się nie łączyła). Aha, już wiem: nazwa „Maryland” pojawia się na pudełku po cygarach, które palił Daubrecque, ohydny szantażysta z powieści Leblanca *Kryształowy korek* albo *Lista dwudziestu siedmiu*, ten wstrętny, wiecznie spocony drań omal zmusił do uległości w oddalonym zamku, do którego ją porwał, piękną hrabiankę Klarysę, ale w ostatniej chwili uratował dziewczynę zafascynowany jej urodą Arsène Lupin, dżentelmen włamywacz; pana Daubrecque’a Lupin nie zabił, wiadomo, że nie lubił

mokrej roboty, obezwładnił go chloroformem. I co się okazało, że „lista dwudziestu siedmiu” aferzystów przy budowie Kanału Panamskiego wcale nie była w pudełku, tylko dobrze przechowana… w kryształowym oku szantażysty. Tak się pisało książki! Czytałem *Kryształowy korek* trzynaście razy.

Czytam, z poręki Madzi, *Historię Brazylii* Marcina Kuli. Kula wychwytuje z lubością paradoksy państwa niewolniczego, chociaż niewolnictwo było w nim bądź zabronione, bądź ograniczane. Społeczność bez białych kobiet. O tym, jak znalezienie złota niszczyło uprawy trzciny cukrowej.

Rano dzwonił Jurek Stawiński. Ma kłopoty z czytaniem, kupił sobie moje audiobooki, słucha *Boya*, gratuluje mi. „Jestem zadowolony” — dzwoni po to, żeby mi to powiedzieć. Boy w jego życiu to ktoś ważny. Jako nastolatek chodził ze swoim ojcem, profesorem, na premiery teatralne, widywał na nich Boya.

Wchodzę do Reny i co widzę — leży na podłodze obok tapczanu. Nic sobie na szczęście nie uszkodziła. Nie udaje mi się jej podnieść. W końcu dzwonię do Maćka, żeby przyjechał. (W nocy słyszałem huk, trzask, zrywam się przerażony, ale Rena stoi spokojnie w korytarzu, wokół niej stos książek, które niechcący potrąciła, zbieram je bez pośpiechu). W pewnej chwili wpadam na pomysł, jak posadzić Renę na tapczanie. Dzwonię do Maćka, który jest już w samochodzie, że może wracać do domu.

W kraju powódź — poważniejsza niż kiedykolwiek, podobno, od 1844 roku. Ciekawe, że we wspomnieniach wojennych nie ma żadnych

wzmianek o jakiejś powodzi — jakby Natura uznała, że należy armiom pozwolić się zabijać, pociągom dojeżdżać z ofiarami do Oświęcimia i Treblinki.

Kilku osobom mówiłem, że ta powódź jest bardzo pouczająca — dla tych, którzy są zdolni do refleksji, do ogarnięcia rzeczywistości. Bo powódź, która jest katastrofą autentyczną, nie rozdymaną, ustawia właściwą hierarchię spraw: życie, dobytek, utrata wszystkiego, rozpacz — to jest ważne, a nie międlenie hasła „Polska jest najważniejsza", które nie ma żadnego pokrycia i każdy może je powtarzać.

W sobotę 15 maja p. Grupińska zawiozła mnie do Pałacu Kultury, przy stoisku wydawnictwa „Anczyc" miałem podpisywać *Twarz pokerzysty*, ale też i 10 sztuk *Króla*. Wszystkie podpisałem. Zdarzali się czytelnicy, którzy przychodzili ze swoimi egzemplarzami, jakoś mnie odszukali, mimo iż najbardziej opiniotwórcza gazeta nie wymieniła mnie wśród tych, „których autografy mogą państwo otrzymać". Przyszedł pan, który prosił, by podpisać książkę „Dariuszowi Nowackiemu". Nie do wiary! A on jeszcze dodał, że uwielbia *Nie boję się bezsennych nocy*. Nawet tak! Patrzę na niego i myślę: czyżby pan D.N., krytyk z „Wyborczej", który zawsze szydzi z mojego pisarstwa, zdobył się wreszcie na to, żeby przyjść, wyrazić skruchę i wyznać (poufnie, pewny, że go nie sypnę), jak bardzo lubi mnie czytać? Ale nie ma tak pięknie — to jest inny Dariusz Nowacki. No i dobrze, że ten inny Dariusz Nowacki, można rzec, ten właściwy, istnieje i rozumie, co czyta.

W następną sobotę znowu podpisuję *Twarz pokerzysty*, tym razem przy stoisku Ars Polona. Obok Bohdan Butenko, do którego jest nieustanna kolejka babć, matek i nawet przyszłych matek. Wspominamy tygodnik „Świat", w którym 50 lat temu poznaliśmy się (jak on twierdzi).

Tego dnia ogłoszono 20 nominacji do Nagrody Nike, wśród których nie znalazło się miejsce dla mojego *Dziennika*. Ale ja to przewidywałem — i zareagowałem wzruszeniem ramion.

Słusznie, bo podchodzą czytelnicy z różnymi książkami, ale najczęściej właśnie z *Dziennikiem*. Jak ta młoda kobieta, która, przejęta nim, uświadomiła sobie, że nie zna moich powieści. „Pani strata" — mówię. Ona: „Tak, moja strata". Ktoś mówi, że trzy razy czytał *Montaigne'a* i zeszło na to, że teraz czyta *Próby*. „To chyba dobrze się stało" — mówię z uśmiechem.

Wczoraj telefon do Różewicza i Arkadiusza Pacholskiego. Nie, nie zalało ich.

Moje osiągnięcie: udało mi się namówić Renę, by nie kładła się w wannie, ale poddała się natryskowi, stojąc w niej. Odczuła to jako przyjemność. Powiedziała tylko: „Masz ze mną kłopot". A później spytała: „A o ciebie kto dba? — Ja!" — odpowiedziałem.

Pani Judyta Urszulak, która z polecenia prof. Romana Zawadzkiego sporządziła mój „Portret psychologiczny" — poczytawszy *Nie boję się…*, *Dziennik*, wywiady — stwierdziła pod koniec swojej pracy, że „jako pisarz tworzący w PRL-u" Hen jest „w pewnym sensie postacią tragiczną". No, przesada. Nigdy w tych kategoriach o sobie nie myślałem.

Biorę na siebie dobrowolnie pewne trudne zadania. Zaprowadzę Renę na Wiejską do fryzjerki. Najpierw natrysk, potem ubieranie, wreszcie idziemy, Rena z laseczką kroczy całkiem „szparko" (jak Kiemlicze z rannym Kmicicem). Wyszła z zakładu ładnie ostrzyżona, z delikatnie brązowymi włosami.

(Dopisek w 2014 r. Nie ma już na Wiejskiej tego zakładu fryzjerskiego, jest sklep „Zagłoba, alkohole świata”, czynny całą dobę).

Sobotni kiermasz książki na Mariensztacie. W stoisku Iskier zastaję Maję. Atmosfera trochę jak podczas imprezy w małym miasteczku.

Pojawia się p. Jan Car, wierny czytelnik od kilkudziesięciu lat, tym razem podpisuję coś dla jego żony. Z *Królewskimi snami* pani, która okazała się Czeszką. Z torbą pełną książek do podpisu pojawia się p. Czekierda, który napisał do mnie kilka listów. Nareszcie konfrontacja — nie wiem, czy to dobrze dla autora.

Czarnowłosa, czterdziestoletnia, niewysoka kobieta, okrągła na twarzy i okrągła w sobie, siada obok mnie i pyta: „Ożeni się pan ze mną?”. Jej matka energicznie potakuje. Bo ona by chciała takiego męża jak ja. Ale z wysoką emeryturą. (Matka znów potakuje). Polecam jej Głowę. (Jest tutaj, słucha, jak Olena śpiewa na estradzie stylizowane pieśni ukraińskie). Trochę przyjemnego wygłupiania się. Ona: czy nie znam jakichś wdowców? Ona by chciała kogoś takiego jak Andrzej Łapicki.

Do domu zawozi mnie Maja. Ale nie może dowieźć, bo Wiejska zablokowana przez demonstrującą młodzież: domagają się wolności palenia marihuany.

Czerwiec

Wchodzę w nocy do Reny — i co widzę: leży w poprzek tapczanu, głowa za nim. Starałem się zachować spokój, ułożyłem jej głowę na poduszkach i jaśku. Ona mówi o tym, że pełno tu ludzi było — kto ich wpuścił? Nie wiem, czy to funkcjonowanie chorego mózgu, czy po prostu jej się to śniło.

Czasem wracam do Russella, do *History of Western Philosophy* — i coś teraz też podkreślam. Na przykład upór Sokratesa, by poddać się wyrokowi śmierci przykładnie, heroicznie; dopisuję, czy kto wie, czy impulsem nie była gigantyczna próżność. Tak rozumiany Sokrates może być jedną z postaci w s p ó ł c z e s n e j sztuki.

Zapiski z czarnych skrzynek tupolewa ujawniają to, czegośmy się domyślali: że zawinił pierwszy pilot. Podjął decyzję o lądowaniu, mimo wezwań z wieży, by się wzniósł. „Pull up! Pull up!” Drugi pilot zakomenderował: „Odchodzimy!”. Nie słychać reakcji kapitana.

Kiedy, jak się wydaje, chciał się wznieść, było już za późno, samolot był poniżej drzew. Któryś z pilotów dwukrotnie zaklął. Już wiedział, że giną.

Korzystam z okazji, że Rena idzie do toalety, i rozkładam czyste, dobre prześcieradło. Potem ona mówi: „Nie wiemy, gdzie jesteśmy”. Wyjaśniam, że wiemy, w swoim mieszkaniu. Wymieniam nazwę ulicy, jej ona nic nie mówi. „Skąd się tu wzięliśmy? — To nasze mieszkanie. — A kto tu przedtem mieszkał? — Nikt, zawsze było nasze. Popatrz: nasze książki. Shaw, Hemingway, *Ulisses*. Dickens po rosyjsku. Poznajesz?” Przykrywam ją kołdrą. „A ty gdzie jesteś? — ciekawi ją. — Też tutaj, w pokoju obok. Mam biurko, telewizor, maszynę do pisania”. Nie gaszę światła, zaczekam z tym do świtu.

Notuję: „Dzięki Renie dowiedziałem się czegoś o sobie”.

Otwieram gazetę, a tam tytuł: JERZY STAWIŃSKI NIE ŻYJE.

Dziesięć minut temu Rena zawędrowała do mojego pokoju, mówiąc od progu: „Jutro się wyprowadzam”. Jest jakaś ona, jakiś mój romans — nie chciała jeść śniadania. „Ani się waż! — w oczach złość — dlaczego nie pozwoliłeś mi jechać do Nawarii?” Dlaczego o n a sprzedała jej sukienki? Rena zakłada spódnicę (chociaż z trudem) — ma dokąd iść, ma dom… Gdzieś po osiemnastej, trochę udobruchana, zgadza się na pstrąga w galarecie, siedzę przy niej, a ona mówi: „Mam dobrego tatę”, potem: „dbaj o siebie”, potem: „mam tylko ciebie” — czemu ja zaprzeczam, nie chcę być za ojca, „masz dzieci, Maćka i Madzię, tylko że są bardzo zajęci”.

Po kilku godzinach wraca tamten koszmar. „Jesteśmy małżeństwem — przypominam. — Od kiedy? — Od sześćdziesięciu lat, od Samarkandy. Masz osiemdziesiąt siedem lat. — No to co? — Nie zaczyna się w tym wieku nowego życia”.

W nocy wchodzę do niej, bo słyszę, że wciąż mówi (słyszę: „nie dyskutuj ze mną”), zapalam lampkę, oczy ma zamknięte — czy to mówienie przez sen?

Nie ma w tym mówieniu żadnej dramaturgii. To choroba. A w chorobie nie ma logicznej konstrukcji, zagadki, kulminacji, analizy psychologicznej. Choroba jest kapryśna i nieprzewidywalna.

Druga powódź. Zalane Jasło.

Rena spokojnie spała. Lekarstwo. Jajecznica. O wyprowadzaniu się ani słowa.

Później do mnie, z sympatycznym uśmiechem: „Czy pan wie, czyją jestem córką? Jestem córką Józefa Hena. To literat. Dobry, wie pan? Niedawno dostał nagrodę”. Chce tego „pana” przekonać do swojego taty.

Dwukrotnie zastałem ją leżącą w poprzek tapczanu.

U Russella fajna uwaga o późnych stoikach: Epiktet był niewolnikiem, Marek Aureliusz imperatorem — poglądy mieli jednakowe.

Magdalena Środa powiedziała przed laty, podczas naszej nocnej rozmowy radiowej, że jestem pod wpływem… Epikteta. Uznałem, że bardzo to dla mnie pochlebne, chociaż nie wiedziałem, co Epikteta wyróżniało. Teraz wiem: niewola. Tak jak Ezopa.

Ostatnio, podczas promocji książki Krysi Kofty u Fukiera, przypomniałem o tym pani profesor. I skomentowałem: To, że niewolnik i cesarz mają te same poglądy, sprzeczne jest z formułą „Byt określa świadomość”. Świadomość, podbudowana rozumowaniem, może wyrastać ponad byt.

Dziś pogrzeb Stawińskiego. Dżiba zwolniła mnie z uczestnictwa. „Będzie tłum, siedź w domu”. Będą akowscy towarzysze broni z „Baszty”.

Wczoraj wieczorem, zamęczony przez R., dzwonię do Madzi: „Przyjedź wreszcie, do cholery!”. Madzia rozumie, że jestem u kresu sił.

Nie bardzo jej się z matką udaje. Rena o tym, że mogę sobie iść, że ona chce swoich nawaryjskich pieniędzy, chce klucza. Madzia pyta, czy nie zje jajecznicy. Jajecznica chwyta. Robi się bardziej rodzinnie.

Rano Rena jakby nie pamiętała swojego buntu. Posłusznie i potulnie robi wszystko co trzeba. Pozwala sobie pomagać. Już nie jestem wróg.

Dochodzę do wniosku, że ona ma cztery wymienne światy.

1) Świat mniej więcej rzeczywisty, chociaż bardzo ograniczony niepamięcią. Ten, w którym jest u prawdziwej siebie. I właśnie w tym świecie, w którym jest świadoma swojej choroby, chce odebrać sobie życie.

2) Świat, w którym żyje Mamcia albo w którym Mamcia zmarła, a ona nie była na pogrzebie. Ma dom w Nawarii i może tam wrócić.

3) Świat jej nieznany. Nie wie, gdzie jest. Skąd się wzięła w tym domu. Ja jestem obcy pan, chociaż podobny do jej ojca, Józefa Hena, znanego literata. (Tu konieczność pochwalenia się ojcem przed tym obcym panem).

4) Świat, w którym rzeczywistość jest znienawidzona. Ja mam romans z „tą panią". Ona chce rozwodu. „Nie możesz tu mieszkać". „Nie pomagaj mi". Gniewna.

To mija, czasami nawet — jak teraz — z godziny na godzinę.

Wiem już, że przekonywanie, mój krzyk, płacz, błagania — nie mają sensu, najlepiej w ciszy czekać, aż przejdzie z jednej (nie)rzeczywistości do innej, mniej męczącej.

Wczoraj wieczorem, popłakując nad wspomnieniem matki, mówiła: „byłeś dobrym tatusiem", „kocham cię, tatusiu", i całowała mi ręce.

Jest czwarta nad ranem, kiedy słyszę odgłosy kroków — początkowo myślę, że coś się dzieje u sąsiadów nad nami — a to R. krąży i sprawdza, czy nie ma w mieszkaniu t a m t e j. Całkiem dzielnie się porusza.

Lipiec

Wyjadę na kilka dni do Konstancina. Nie wiem, czy Madzia da sobie radę, ale zapewniała, że tak.

Rena spała długo, spokojnie. Chciałem sprawdzić, trochę zaniepokojony, co się z nią dzieje, zapalam u siebie lampkę, wchodzę do niej — widok przerażający: Rena leży na podłodze, krzesło, które miało chronić brzeg tapczanu, wywrócone. Udało się ją podnieść na tyle, by mogła usiąść na tapczanie. Nie umiała wyjaśnić, co się stało, od jak dawna leży, dlaczego nie zawołała. (Może nie wiedziała, gdzie jest i kogo ma zawołać).

Przyniosłem jej wodę i pokrojone na kawałki jabłuszko z truskawkami. Chciwie wypiła i zjadła.

Selekcjonując swoje kartki, znajduję zapiski ze *Złotej gałęzi* Frazera (warto do niej wrócić). Przydadzą mi się do od lat zamierzonego opowiadania o sprzedawcy snów.

K o n s t a n c i n. 9 rano. Przed chwilą dzwoniła Madzia. Głos dobry, świeży. „Teraz się kąpiemy”.

Nie byłem tu chyba z rok. Różnica jest głównie we mnie: chodzę ciężko, nogi się męczą, a wtedy szukałem pretekstów do dalszych tras. Nie wiem, czy uda mi się dotrzeć do mojej alejki brzozowej.

Spałem spokojnie, po raz pierwszy od kilku miesięcy. Na pewno potrzebuję tych kilku nocy. Niespokojny byłem tylko o Madzię. Ale jej głos był pełen energii — niewykluczone, że jest zadowolona z siebie.

Ewa dzwoniła do niej z lotniska w Londynie — właśnie odlatuje do Tajlandii, z przesiadką w Indiach.

Tuż przed wyjazdem dostałem od pani Krystyny tłumaczenie rozdziału „Dyrek” (nie znalazła na ten epitet odpowiednika w amerykańszczyźnie). Zdążyłem przeczytać i przesłać uwagi.

W ostatnich dniach Rena była posłuszna, dość rzeczowa, wiedziała, że ja to ja. „Za bardzo się o mnie starasz — mówiła — musisz wypocząć”, czasem tylko w nocy nie wiedziała, gdzie jest. (Ale i ja, kiedy się budzę w nocy, nie od razu wiem, że jestem w Konstancinie, w domu Zaiksu).

Powiedziałem Różewiczowi, że pomaga mi to, że mieszkanie jest małe, do tego jeden pokój na noc zamykam; w dużym mieszkaniu, takim jak jego, byłyby dodatkowe niebezpieczeństwa.

Wybory prezydenckie. Uniknęliśmy katastrofy. A było chwilami groźnie. Prezydentem jest Komorowski. O którym myślę — wbrew różnym mądralom — że na to stanowisko się nadaje. Lepiej, żeby nie starał się być dowcipny, populistyczny — to nie jego styl, ani taki, na który jest teraz zapotrzebowanie. Niech będzie spokojny, rozsądny i dostojny — taki powinien być.

A jednak prawie połowa uprawnionych Polaków na Kaczora głosowała. Jedni, bo nie lubią Komorowskiego (nie wiem dlaczego; aha, wiem — bo wolą Kaczora), drudzy, że nie pamiętają Ziobry, Macierewicza, chirurgów w kajdankach, intryg i obelg (w czym celował Dorn), ataków na Trybunał Konstytucyjny; jeszcze inni — i takich jest dużo — chcą właśnie takiego państwa, które uosabia Kaczyński: nienawiści, podziału, narodowo-katolickiej dyktatury. I oczywiście wrogiego wobec Unii Europejskiej z jednej strony, a Rosji z drugiej. Wciąż insynuują, że w sprawie tragedii smoleńskiej „jest coś do ukrycia”, Polska powinna prowadzić własne śledztwo, w ich gazetkach piszą wprost, że piloci mogli być „zagazowani”.

Poranna rozmowa telefoniczna z Madzią. Mama po amarylu i kąpieli. Ale są objawy, że nie rozpoznaje córki. „Dziękuję pani” — mówi. Pytała: „A przedtem gdzie pani mieszkała?”.

Nie rozpoznaje córki, ale nie zapomina form grzecznościowych.

P. Monika przyjeżdża do Konstancina z umową na *Nowolipie. Najpiękniejsze lata*. Ulga. Jedziemy do cukierni Buchmana; przy kawie proponuję przejście na ty.

Od wczoraj Madzia jest już wreszcie córką. Przez dwa dni p. Ola z Madzią sprzątały. Madzia chce wyrzucić lampowe, nieużywane dziś radio; „czy to jest zabytek?” — pyta. W pewnym sensie jest.

Ofiaruję bibliotece konstancińskiej na Grapie *Najpiękniejsze lata*. Kilka moich książek mają. Dodaję im jeszcze *Montaigne'a*. W małym lokalu biblioteki duży ruch, to pocieszające. Pewna pani w bibliotece zauważyła, że Kaczyński mówił o „poległych" w katastrofie i to „męczeńską śmiercią". Przypomina, że Janusz Palikot, twierdzi o „moralnej odpowiedzialności" Jarosława za śmierć brata.

Rozmowa z Beatą C. o dramatach gejowskich, także o perwersyjnych, masochistycznych tęsknotach niektórych kobiet (o czym ona wie od swojego syna, psychoterapeuty) — wyznają, że chcą być poniżane, szarpane za włosy, rzucane na podłogę. „A ty?" — pytam. Beata w śmiech. „Nie mam takich marzeń. Mnie wystarczy to, co dostaję".

Rysiek Rokicki, do niedawna totumfacki w Zaiksie, teraz emeryt, ucałował mnie trzykrotnie na powitanie (zniżając się do mojego poziomu, bo jest o głowę wyższy), a potem: „Zrobiłem sobie festiwal Hena", ma 10 moich książek, łącznie z *Dziennikiem*, a jak czegoś nie ma, to pożycza sobie w bibliotece na pl. Bankowym. Stwierdzamy z Madzią — przedtem z Moniką — że sprzedaż książek, dość skromna, nie świadczy o liczbie czytelników, moi czytelnicy to na ogół nauczyciele, urzędnicy, nie starcza im na książki, wypożyczają je w bibliotekach albo wypożyczają sobie nawzajem.

W a r s z a w a. Upał, podobno 34°C. Radzą ludziom w pewnym wieku (więc niby i mnie) nie wychodzić z domu. Wyszedłem jednak, udało mi się dostać rogalik dla Reny.

W tym upale w stolicy parada gejów i lesbijek z kontrmanifestacjami wszechpolaków, odtwarza się („rekonstrukcja historyczna") rzeź i płonące

zabudowania, podczas gdy w zachodniopomorskim mamy prawdziwe pożary i burze, łamiące się gałęzie, a w Gdańsku chowają, uroczyście, księdza Jankowskiego, którego sławi abp Głódź i zastrzega: „Nie mówmy o nim, że był kontrowersyjny”. Racja, księże arcybiskupie, nie był „kontrowersyjny” — był całkiem jednoznaczny. Zarazem chciwy handlarz. Że był kapelanem Solidarności? Bo akurat był wtedy w Gdańsku: gdyby miał probostwo w Bochni czy w Chrzanowie, nie zrobiłby kariery.

Wstąpiłem do Czytelnika: Fogtt, Bereza, ks. Luter. Przeżywamy „poległych”, „męczeństwo” i inne jadowite deklaracje. Z dnia na dzień mocniejsze. Ktoś przewiduje: „Nigdy porażki nie wybaczą”. Tym bardziej że Kaczyński przegrał minimalnie, już się widział prezydentem, przygotował nawet wystąpienie inauguracyjne (ostre). Teraz punkty tego przemówienia ujawnia kawałkami.

W „Szkle kontaktowym” p. Sianecki zwraca uwagę pani, która się dodzwoniła, żeby nie mówiła o „paranoi”. Ale to j e s t paranoja, bardzo wyraźna, stan psychiczny, który pozwala na przebiegłość i świadome insynuacje.

Mnie, autora książki o Stanisławie Auguście, dziwi, że nikomu, kto jest przeciw demonstrowaniu przed Pałacem Prezydenckim, przeciw upieraniu się, że ma tam stać krzyż (który przynieśli harcerze), nie przychodzi na myśl, że te demonstracje to przejaw typowego warcholstwa, nieuznawania potrzeby szacunku dla władzy państwowej. Jest prezydent, jest premier, jest prezydent miasta Warszawy i ich wola nie ma żadnego znaczenia — ma być tak „jak ja chcę”. Bo „ludzie tego chcą”. Albo nawet, że „Naród” tego chce. Więc ci opętańcy to „Naród”, 38 milionów? Jakaś pani wykrzykuje, że ona będzie bronić krzyża do śmierci. Nikt nie powie: „A umieraj sobie, paniusia, nie szantażuj nas swoją śmiercią!”. Tak, stare warcholstwo.

Przypomina się poseł Suchorzewski, który groził w sejmie 3 maja, że zamorduje swojego synka — jest tu ze mną, proszę patrzeć — jeśli król zaprzysięgnie konstytucję. Król zaprzysiągł, synkowi nic się nie stało, a pan poseł, który przedtem chciał iść „na Moskala", później, kiedy ambasador Bułhakow pozwalał mu wygrywać duże sumy w karty, przystąpił do Targowicy.

Renę coraz trudniej żywić, kolejno z jakiegoś dania rezygnuje. Madzia — w tym upale — zagoniona zresztą przez swoje sprawy — wzięła na siebie zakupy. Pamiętam, że przed wojną na Nowolipiu mówiono, że dla osób zagrożonych psychicznie lipiec jest niedobry, czują się gorzej.

Sąsiadka, pani Małgorzata, która trochę przy Renie siedziała, usłyszała, że Rena pamięta ją z Nawarii. W nocy chciała iść do domu — „zamów mi taksówkę" — nie rozpoznała ani swojego mieszkania, ani chyba mnie. Teraz, jak podaję jej picie, jagody ze śmietaną, wie chyba, gdzie jest. Wczoraj, kiedy zrobiliśmy jej kąpiel pod prysznicem, na pewno miała poczucie rzeczywistości, system obronny działał, gdy, niepewna swoich nóg, wychodziła z wanny.

Wieczorem deszcz, u Madzi przyjaciółka, obie przyjmują deszcz z entuzjazmem. Można nareszcie oddychać.

Nie wpisałem tu, że Rena miała do mnie pretensję, że nie wpuściłem do domu jakiejś dziewczynki, a ta mała nie miała gdzie się podziać. „Jest za drzwiami, czeka" — powiedziała, a kiedy na chwilę spuściłem R. z oka, podeszła do drzwi, otworzyła je: korytarz pusty. Zmieniłem taktykę, mówiłem, że dziewczynka jest już bezpieczna — u kogo jest? — u przyjaciół. Później Rena opowiedziała Madzi, że to była muzułmanka,

uciekła z domu, miała na sobie czador, ale można było dostrzec, że jest piękna.

Ciekawe, skąd się wzięła taka postać w wyobraźni Reny. Ze snu? A może z mojego *Nikt nie woła*? Jest tam taka mała Uzbeczka, stoi przed namiotem, wyciąga rękę i uporczywie powtarza jedno słowo: „Nan”. Chleb. Bożek, chociaż sam głodujący, nie wytrzymuje i daje jej, zły na siebie, chleb.

Przyglądałem się dwóm „Lożom Prasowym” w telewizji. Janusz Rolicki uważa, że retoryka Kaczora to ostra frustracja po przegranych wyborach. Ktoś inny: być może on uważa, że ta demonstrowana przed wyborami „polityka miłości”, mowa o „przyjaciołach Moskalach”, to był błąd — przy retoryce agresywnej byłby wygrał. Jedna opętana pani przy krzyżu: „Będziemy go bronić nawet tysiąc lat!”. Zamierzenie bardzo śmiałe.

Przegrał. Nie pomogły maski: odwoływanie się do lewicy, do Gierka, wycofanie się z języka o „postkomunizmie”. Przegrał o niewiele — trzech punktów procentowych mu brakowało. Tym gorzej. Gdyby przegrał wyraźniej, łatwiej by się z tym pogodził. Ale skoro był już tak blisko… Zaczął mówić o „zbrodni smoleńskiej”, potem tłumaczył, że mówił o „zbrodni” nie w sensie prawnym, „bo takich dowodów nie mam”, ale „potocznym”, jako o ciągu wydarzeń ohydnych, które do katastrofy doprowadziły. Nadal to jest insynuacja, ale bardziej ostrożna, „za rękę mnie nie złapiecie”.

W sensie „potocznym” rzeczywiście można coś nazwać „zbrodnią” mimo braku cech przestępstwa. Na przykład rozkaz wydany do powstania w Warszawie nazywa się często „zbrodnią”. Nawet wydanie córki za mąż za łobuza z pieniędzmi może ktoś nazwać zbrodnią.

We współczesnych *Biesach*, gdyby taką powieść pisać, nie ma Stawrogina, a wszystkie postaci z powieści Dostojewskiego, łącznie z Wielkim Inkwizytorem, są skarlałe, małoduszne i tylko zdolność do obłudy, przeinaczania rzeczywistości, zbliża je do małych demonków.

Dramat w Duisburgu — podczas parady miłości. Dramat znamienny dla naszych czasów. Właściwie słowo „naszych" jest nie na miejscu, bo to już nie moje czasy, nie moich dzieci nawet. To dramat miliardów tłoczących się na planecie, zapełniających pustkę i bezcelowość, szukających emocji grupowej, zapomnienia w rytmach, w zbiorowym zwijaniu się ciał.

Muzułmanie nie mogą — wbrew temu, co usiłują powiedzieć — okazywać wyższości. Setki ich ginie w dorocznej pielgrzymce do Kaaby. To jest taka sama śmierć, jak ta w Duisburgu, w podobnych okolicznościach i nawet motywy podobne: zapamiętanie w idolatrii.

Powiedziałem Madzi — po uruchomieniu ciśnieniomierza: „Jestem mistrzem w naprawianiu sprzętów, które się nie zepsuły". Madzia roześmiała się, jak grzeczność nakazuje.

Znowu zła noc. Jacyś ludzie koczują pod naszymi drzwiami; to grupa lekarzy, trzeba do nich wyjść, jest wśród nich Ritka, też lekarz — ona musi się ubrać — trzeba dać im swetry — nie wolno mi zasnąć, bo ona może podejść do drzwi. Krzyczę, chociaż wiem, że to bez sensu. Z trudem znajduję estazolam, przepoławiam, daję z wodą jako lekarstwo „urologiczne" i ona posłusznie przełyka.

Za oknem deszcz. Druga w nocy. Przekonuję Renę, że ci ludzie są urządzeni, już w hotelu, z Ritką rozmawiałem telefonicznie. „Po tym lekarstwie trzeba się położyć" — przekonuję. Udało się. Jest powrót do

rzeczywistości. Słyszę: „Zmęczony jesteś”. Madzię wczoraj spytała: „Czy twój mąż jest taki dobry jak mój?”.

Ciekawe, czy pół tabletki zadziała. Jest cicho. Słyszę deszcz.

O szóstej nad ranem zwlokłem się, żeby zajrzeć do R., spokojny że tabletka podziałała, ona śpi — a tu „ojej!” wykrzyknąłem. Rena leży obok tapczanu na podłodze, na kołdrze, z którą widocznie się osunęła. Nie wzywała pomocy, może właśnie dlatego, że leżała na kołdrze, mogło jej się to wydać naturalne.

Kiedy ja byłem w Czytelniku z p. Izą Mrzygłód, żeby złożyć dedykację na pięknie oprawionym wydruku mojej sztuki *Justyn! Justyn!* dla córki Zbyszka Flisowskiego (to skomplikowana psychologicznie historia, nie sposób jej w dwóch słowach opisać), Madzia wykąpała mamę. Wydobycie z wanny nie poszło jej łatwo. Rena nie pamiętała, że leżała na podłodze, ale pamiętała, że krzyczałem na nią, „pierwszy raz mój mąż na mnie krzyczał”.

W Czytelniku starsza pani, krótko ostrzyżona, w okularach, całuje mnie dwukrotnie, mocno. Kto to jest? Aha, Maria Iwaszkiewicz, córka Jarosława. Mówię o niej pani Izie. Ona: „Dotknęłam legendy”.

W poniedziałek ma przyjść do Reny z przychodni lekarz pierwszego kontaktu. Myślę o tej wizycie z niepokojem.

Moje szczęśliwe chwile: w sklepiku w Alejach Ujazdowskich udaje mi się dostać dwa croissanty.

Sierpień

Dzisiaj Ujazdowskie zablokowane — z powodu uroczystości rocznicowych. 1 sierpnia. Wzdłuż jezdni kolorowe, baloniaste ogłoszenia: Fiat, BGŻ, deweloperzy. To dla uczczenia powstania. Wczoraj Grzegorz Schetyna mówił, że gdyby nie było powstania, nie byłoby Polski

niepodległej. To taka sama *political correctness*, czyli propagandowe gadanie, jak twierdzenie płk. Załuskiego, że granice na Zachodzie dostała Polska „dzięki krwi przelanej nad Odrą i Nysą”.

Jutro Rena ma być odwieziona do szpitala — na kompleks badań. Tak zarządził młody, ambitny lekarz pierwszego kontaktu.

Telefon do Różewicza. Głos dźwięczny. „Wywołałem cię swoimi myślami”. Mówi, że Ryszard Przybylski napisał świetny szkic o *Kuszeniu świętego Antoniego* — to tytuł opowiadania Flauberta. Więc ja o tym, że w *Najpiękniejszych latach* jest rozdział pod tym tytułem, tyle że nie wszeteczne kobiety mnie kusiły, ale wypchany plecak Edka M. Potem wspominamy genialne opowiadania Tołstoja: *Ojciec Sergiusz* i *Śmierć Iwana Iljicza*. Ja o tym, jak Lew Nikołajewicz, już 70-letni, przeczytawszy domownikom w Jasnej Polanie *Ojca Sergiusza*, przymknął oczy i powiedział: „Choroszo napisał starik”.

Obudziłem się o siódmej. Mieszkanie duże, puste. Dziwnie się czuję: żadnych obowiązków. Mojej podopiecznej nie ma. Wczoraj transportem sanitarnym zawieźliśmy ją do szpitala. (W sanitarce pytała siedzącej obok Madzi: „A gdzie jest pani Madzia?”). W szpitalu wie, gdzie jest, wykonuje posłusznie wszystkie polecenia. Najpierw u internisty. Pobranie krwi na cukier — i jak uderzenie obuchem: 418! A myśmy dawali jej owoce, białe pieczywo, pierogi.

Potem w gabinecie neurologicznym. W szpitalu obserwuje się intensywną krzątaninę. Są spokojni, rzeczowi, sympatyczni. Rena będzie przyjęta na neurologię. Trzeba czekać, na razie leży na noszach na korytarzu. Madzia z nią zostanie, namawia mnie do powrotu do domu.

Nie czuję się w porządku wobec Reny. Nagle moje życie stało się w y g o d n e. Bez zobowiązań. Bez konieczności zajęcia się nią. Czy kimkolwiek innym. (Więc dlaczego łzy?).

Nie chce mi się z nikim rozmawiać, uprawiać to, co się nazywa wymianą myśli. Kiedy jednak kogoś spotykam, zachowuję formę, swobodę, gram swoją rolę. Życie towarzyskie.

Robię to i owo, herbatę, kolację — zajmuję się sobą. Czy takie życie ma sens?

I oto nadchodzi list. Od czytelniczki (Jolanta W.). „Zaheniło" ją, pisze, na amen. Zaczęło się rok temu, w ciężkiej depresji, kiedy kupiła *Dziennik*. I odtąd czyta wszystko, niektóre rzeczy (np. *Montaigne'a*) znała już przedtem, teraz do tego wraca. „Po *Pingpongiście* nie mogłam się uspokoić". Ale najbardziej wstrząsnął nią *Król*. (Tu komplementy, których nie wypada mi przytoczyć). Ale też: „Czytałam z bezsilną złością, jak bardzo tutejsza nacja jest nieredukowalna, nieucząca się na swoich błędach".

Zaprzysiężenie Bronisława Komorowskiego. „Krzywoprzysięstwo" — to „Nasz Dziennik". Jarosław K. na uroczystość nie przyszedł. „Komorowski został prezydentem przez nieporozumienie". Kiedy wszyscy obecni w sejmie wstają, by uczcić nowego prezydenta, pękata Beata Kempa, filmowana od tyłu, z szerokim zadem, wybiega ostentacyjnie z sali i widać to: biel bluzki przebija się przez szpaler ciemnych garniturów. Epizod komiczny i zawstydzający. Po latach sama się sobie będzie dziwiła, a jeśli ma dzieci, spotka się z wyrzutami: „Mamo, jak mogłaś?!".

U Reny z Maćkiem. Leży przywiązana do łóżka. Kontakt lepszy, do Maćka się uśmiecha, mnie spytała: „Jadłeś śniadanie?”. Spogląda na mnie i nagle się odzywa: „Dobra koszula”.

Na korytarzu dopędza mnie jakaś ciemnowłosa, niska, raczej krągłolica kobieta. Okazuje się, że to moja czytelniczka. „Ale kim pani jest?” Lekarką. Czytała właśnie *Dziennik*. Ach, i Boya. Kupuje moje książki na Allegro.

Część tej rozmowy odbywa się w sali nr 5, gdzie leży Rena. Pielęgniarka informuje, że cukier był 107. Więc normalnie. Poimy Renę wodą z butelki. Niewygodnie. Zostawiam pokrojony pomidor w pojemniczku.

Wieczorem straszna ulewa. Burza z piorunami. Dziwne, że żadna stacja nie podaje, co się dzieje podczas nawałnicy z „obrońcami Krzyża”. Gdzie się schronili?

Nazajutrz też o tym nikt nie wspomina. W południe jedziemy z Maćkiem do Reny. Zastajemy Madzię. Maciek dokarmia Renę pomidorem. Przynoszą obiad: jakaś szara zupa, drugie danie też nie zachęcające. Reny nikt nie karmi, podobno dlatego, że jesteśmy my, rodzina.

Sąsiadująca chora mówi, że Rena po burzy była podniecona, nie spała, rzucała się.

Jest po jedenastej w nocy. Jutro znowu będę u Reny. Codziennie będę. Możliwe, że świat urojeń, w którym przebywa, ratuje ją. Dzięki niemu szpital jej nie upokarza.

Mnie wciąż intryguje — pytanie to stawiałem już w wydanym *Dzienniku* — czy Kaczyński wierzy w te absurdy, które insynuuje. Jeśli wierzy, to gorzej, bo to znaczy, że żyje urojeniami.

(Leszek Miller sądzi o tym inaczej. „Ta agresja, atak na Komorowskiego — to zimna kalkulacja. — Dodaje: — Ale błędna”).

Katastrofalna powódź w okolicach „mojego” Lwówka Śląskiego. Jak miałkie, głupie wydać się muszą tam — i może nie tylko tam — wykłócania się o „Krzyż”.

Ból głowy. Nie wiadomo, jak ją ułożyć. Nie mogę zasnąć. Przed oczami zagłodzona Renka. Wiem, że ten ból to od zwyrodnienia kręgów szyjnych. Wiem, ale jeśli?… Trudno się oprzeć takim obawom.

Z Maćkiem do szpitala. Rena mocno śpi. Cukier w normie — 114. Kupuję w szpitalnej aptece tabletki, które mają uśmierzyć ból głowy. Potem wracamy do Reny. „Chcesz pić?” Kiwa głową. „Chcesz kefir?” Kiwa głową. Karmię ją pokrojonym pomidorem.

Kontakt niełatwy. Widok przywiązanej do łóżka Reny przygnębiający. Opowiada coś o Nuchimie — wiem, to piekarz z Nawarii. I o jakimś Pinkasie. „Pan go chyba nie znał”. Nie wie, kto ja jestem.

Dałem pani Emilii, tej lekarce, która mnie czyta, *Milczące między nami.* Trochę zażenowana. „Jak się dostaje książkę, to trzeba przeczytać — mówi uśmiechając się. — I pochwalić” — dodaję.

Przejęty, wzburzony — jak wielu znajomych — podburzanym, ale i opętanym zbiegowiskiem (staram się o łagodne słownictwo) przy „Krzyżu”. Tchórzliwością władzy. Dziewczyna, która krzyczy: „Moje serce każe mi bronić krzyża! Serce!”. Paniusiu, chciałoby jej się powiedzieć, kogo obchodzi pani serce? Tu idzie o państwo, które niszczą warchoły!… W „Wyborczej” komentarz Waldemara Kuczyńskiego. Myślimy podobnie. On krytycznie o „mięczakach” z rządu i policji.

K o n s t a n c i n. „Nie można śnić cudzych snów”, tak kiedyś napisałem. (Chodziło chyba o indywidualność bliźniaków). Dziś mogę to odczuć. Jesteśmy z Reną oddzieleni przez nasze mózgi — nie łączą się ze sobą, nie splatają, nie wspomagają się. Każde jest oddzielnie.

„A gdy będę siwa, siwiuteńka — czy będziesz pamiętał, że byłam panienka?” Tego, co się dzieje ze starą ukochaną, piosenka nie opiewała. Najwyżej drwiąc: „Był sobie dziad i baba…”. O przemiany, które nastąpią na skutek miażdżycy, dziewczyna, jeszcze piękna, bajecznie kolorowa, w piosence nie pyta.

Zdany na siebie. Ale i dbający tylko o siebie. Skazany na egoizm. Moje dzieci uważają, że tak trzeba: tato, dbaj o siebie. Ale sumienie mam jakieś nieczyste.

Kilka dni temu, jeszcze w Warszawie, dzwonek domofonu. Do mnie? Męski głos: „Przywieźliśmy panią”. Nie uprzedzili, dobrze, że byłem w domu. Panowie z transportu sanitarnego wnieśli ją sprawnie, położyli na tapczanie. Miała na sobie nieznaną mi bluzkę i spódnicę. „Czy trzeba to zwrócić?” Machnęli ręką. Więc szpital, żeby ją przewieźć, dał jej coś ze swoich zapasów.

Rozdzwoniłem się: „Mama jest!” („Winston is back!”).

Ból głowy ześliznął się w ramiona. Aha, mięśnie, ordynuję sobie majamil. Jest lżej!

Po co to zapisywać?

Może to… 15 sierpnia, uroczystości na pl. Piłsudskiego. Prezydent Komorowski przejmuje zwierzchnictwo nad wojskiem. Całuje sztandar. Chóralne powitanie: „Czołem, panie prezydencie!”. Defiladę reprezentacyjnych jednostek zamyka świetnie wyglądająca orkiestra. Jest

prezydent, jest państwo, są przyjęte reguły. Myślę z satysfakcją o wściekłości nienawistników. Nie przejdzie im przez gardło „pan prezydent”, wciąż tylko „ten pan” albo „pan Komorowski” (to już najgrzeczniej). Jarek usunął ze swojej świadomości, że jego brat nie miał szans na reelekcję.

Tak, pomyślałem, dokonała się we mnie pewna przemiana. Los Reny, decyzja rodzinna o umieszczeniu jej w Domu Opieki (Vigor) w Legionowie, uświadomiły mi, że inaczej patrzę na moje uczestnictwo w literaturze, na związane z tym ambicje.

Oczywiście, będę trwać, będę jadać coś smacznego, np. dziś kupiłem małą wiśniówkę, może obejrzę mecz, może jakiś film (większość filmów mnie niecierpliwi). Skoro jestem, pewne zachowania są konieczne. Egzystencjalny automatyzm.

Łatwo o łzy. Teraz też. (Idzie o nią, nie o mnie. O ten jej daleki odjazd).

Konsekwencja na opak: „Przestaję popijać, bo popijanie podnosi mi nastrój”. Nie chcę tego. Nie wolno uciekać od lamentu.

Dziś 19 sierpnia. W 1942 roku był to jeden z najbardziej dramatycznych dni mojego życia. Odrzucony przez komisję andersowską — z kategorią „D”. Ale, jak to już nieraz doświadczyłem — nie tylko ja, wielu ludzi coś podobnego mówiło — porażka, upokorzenie zapewne uratowały mi życie. Nie biłem się o Monte Cassino. Samarkanda, szkoła pedagogiczna, fabryka — i Rena.

Profesorowi Januszowi Kuczyńskiemu szurnąłem. Proponował mi, żebyśmy podyskutowali o „wartościach”. Pani Alicja, jego żona, jak się

o tym dowiedziała, podobno go obsztorcowała. „Nie rozumiesz w ogóle realiów życia”. I do mnie: „Moja wina”.

Dziś przyjedzie po mnie do Konstancina Maciek, pojedziemy prosto do Reny, do Legionowa. Pakuję się. Zaopatruję się w pieczywo.

Obiad z Ritą Marianowicz i Jackiem Bocheńskim, który przyjechał wczoraj. Jacek pyta Maćka, czy będzie mógł się z nami zabrać do Warszawy. Maciek, elegancko, że to będzie przyjemność.

W a r s z a w a. Jest poniedziałek, wpół do dziesiątej rano. Już trzy noce w domu. Rena w Domu Opieki w Legionowie, do tego namówiły mnie dzieci. Mieszkanie stało się za duże, czasem słyszę kroki sąsiada z góry i wtedy przez chwilę zdaje mi się, że Rena wstaje z tapczanu. Dzisiaj obudził mnie jej głos, całkiem donośny: „Słuchaj!”. Znane, pospolite omamy słuchowe.

Zasnąłem mocno. I sen treściwy i zapamiętany. Bardzo rzadko pamiętam sny, dlatego te głupoty zapisałem.

Odnotuję to, co było w piątek, kiedy dojechaliśmy z Maćkiem do Domu Opieki. Pokój na piętrze. Akurat pielęgniarka zmierzyła jej ciśnienie — idealne: 120 na 70. Rena nie śpi. Porusza nieustannie nogami, to dobrze. Próbujemy rozmawiać. Pielęgniarka pyta: „Czy wiesz, kto to jest ten pan?”. Rena, szeptem: „Dziennikarz”. „Blisko”, mówię do pielęgniarki. „A jak się nazywa?” Rena, bez wahania: „Józef Hen”.

Poziom cukru: około 300. Lekka poprawa, bo było blisko 400. Posiłek jadła. Próbowali ją posadzić na foteliku, ale z miejsca się z niego ześlizguje. Źle wygląda, bo nie ma założonych zębów. Co przywieźć? Wodę i chusteczki do mycia.

Nazajutrz (w sobotę) z Madzią i Elą do Legionowa. Wieziemy pstrąga w galarecie i borówki, bluzki i kapcie. Rena śpi. Żadna próba kontaktu się nie udaje. W nocy szarpała na sobie wszystko. Nad ranem dali jej tabletkę uspokajającą. Ma gorączkę, podano jej antybiotyk, na noc dostanie kroplówkę. O żadnym dodatkowym posiłku nie ma mowy. Rena wciąż w prostracji, oddycha z otwartymi ustami. Zabieramy bluzki do prania. Na schodach rozpłakałem się.

Przerwałem notatki, zadzwoniłem do dyrektorki, „wiadomości mam niepomyślne", gorączka, może być zapalenie oskrzeli, cukier wysoki. Lekarz będzie do piętnastej. Nie powiedziała, że od trzynastej. Mamy z Madzią co najmniej godzinę, z którą nie wiemy, co robić. Rena wciąż w prostracji. Siostra oddziałowa domaga się uzupełnienia opłaty miesięcznej.

Lekarz, dr Traczyk: Stan jest ciężki, boimy się zapalenia płuc. Dostaje mocny antybiotyk. Jeśli będzie działać, to w ciągu czterech dni powinna nastąpić poprawa. Jeśli nie będzie, można spodziewać się najgorszego.

Ostatni cukier: 260. Nieźle, stwierdzamy obaj z ulgą.

Wczoraj, w niedzielę, pielęgniarka informowała nas telefonicznie, że stan jest dobry, cukier 136, nie ma temperatury, jest niezły kontakt. Ja to przekazałem moim. To była pomyłka: pielęgniarka podała dane tej drugiej kobiety z pokoju Reny, maniaczki, która jednak fizycznie jest zdrowa. Dzięki tej pomyłce spędziłem spokojnie noc.

Myślę o tym „najgorszym". O Renie: może dobrze, że ona nie wie, co się z nią dzieje? Pytam pielęgniarki: Czy ona w tym stanie fizycznie cierpi? Nie wiadomo.

W nocy wciąż o tym. Ale może będzie poprawa. Rano zadzwonię.

Przed chwilą dzwonił Tomek. Niepokoi się o mnie. Jak spałem? Czy może przyjść? (Przedwczoraj rozwieszał mi pranie).

Rano, w jego obecności, dzwonię do Legionowa. Jedna rzecz pocieszająca: nie ma temperatury. Cukier wysoki. Nadal brak kontaktu. — Czy cierpi? — spytałem. — Nie, nie ma takich objawów.

Teraz burza. Uprzedzają, żeby nie wychodzić z domu.

Różewicz, wysłuchawszy opowieści o Renie: „W gruncie rzeczy jesteśmy monogamiczni”.

Środa. Rena śpi, oddycha z otwartymi ustami. Nie ocknęła się dotąd po tej tabletce „uspokajającej”. Co jej dali? Dostaje tlen, wodę z kroplówki, posiłek z sondy. Czy jest warzywem? Temperatura 38,4° C, cukier 460. Twarz mi się wykrzywiła, nie mogę powstrzymać płaczu, mówię do siostry oddziałowej: „Przepraszam”. Nie dziwi się, że tak reaguję.

Jest tylko to: nieprzytomna Rena. A przecież zajmuję się z konieczności sobą. Jem spaghetti, nawet coś wypijam, wczoraj rozwiesiłem kolorowe pranie, umyłem głowę.

Wieczorem dzwoniła Maja.

Grażyna Barszczewska ofiaruje się wozić do Legionowa.

26 VIII, czwartek

Rena zmarła.

Wróciła do Nawarii.

Tomek nocował u mnie. Do wpół do trzeciej wciąż paliłem światło. Bałem się, że to go budzi. Mówi, że spał mocno.

27 VIII, piątek.

Dziś w domu pogrzebowym, do którego ją przewieziono. Zeszliśmy z Elą do chłodni, by na nią popatrzeć. Już jej ciało się nie męczy. Szepnąłem: „Śpij spokojnie, należy ci się to”. Dotknąłem jej czoła: mokre, w kroplach szronu.

„Jaki napis ma być na szarfie?” — pyta młoda dziewczyna, która załatwia pogrzeby, pomaga wybrać trumnę, dla niej to codzienne zajęcie. Podyktowałem: „Najukochańszej — Najbliżsi”. Zapisała.

Natłok myśli. Wyrzuty sumienia, że zachowuję się prawie normalnie. Nagle myśl, że Rena oskarża: „Pozbyliście się mnie”. (Takich myśli pojawia się dużo, lepiej ich nie zapisywać. Wojna umarłych z tymi, którzy pozostali przy życiu).

Powinienem odnotować, jak mi pomagają przyjaźni ludzie. Kiedyś, może…

Dają do zrozumienia — przyjaciele, którzy starają się o grób — że to ma być Aleja Zasłużonych — dla mnie. To jest temat godny Tołstoja, jakaś *Śmierć Iwana Iljicza*. Próżność i wieczność, ale także przyziemność, praktyczność — ktoś za nas wszystko organizuje, występuje z podaniem, zbiera urzędowe podpisy.

Z Tomkiem, który wrócił późno z koncertu Marthy Argerich, a będzie spał u mnie, najpierw oglądanie „Szkła kontaktowego”, potem ożywiona rozmowa po jego pytaniu, czy wyjazd do Niemiec po wojnie był pewnym przeżyciem, kto to był Putrament, jaką rolę odgrywał, więc ja o Inter Nationes, o ludziach, z którymi się podczas wycieczki przedolimpijskiej zaprzyjaźniłem, o pamiętnikach Władysława Mickiewicza, *Fantazy* jako dramaturgiczny szkic realistycznej powieści, o Jeleńskim, o stypendium —

rozmowa z zabawnymi anegdotami. Jakby nic się nie stało. Ot, nie ma Renki. Rozumiem, że dla pokolenia wnuków to wydarzenie, które jest w kolei rzeczy. Ale ja? Czy to w porządku — takie oderwanie się? Taka żywość umysłu?

Zapewne jest tu wpływ jego młodości, mojego zderzenia z młodością. Młodość — powiew czegoś wiosennego. Zapomnienie? Nie, nie ma zapomnienia, ani przez chwilę.

Sobota. Po ósmej. Rano, w łóżku, formułując tych kilkanaście zdań, które powiem u grobu Reny — wybucham płaczem. (Więc to ożywienie w rozmowie z Tomkiem — było wyrwą, chyba naturalną — w tym stanie nieustannego żalu, poczucia winy, nad którym nie panuję).

Przed chwilą wysokie ciśnienie.

Wrzesień

Ostatnie dwie noce — sam w domu, zwolniłem Tomka z obowiązku towarzyszenia mi.

Wczoraj w banku — dokonać przelewu dla domu pogrzebowego. Wskazuję p. Małgosi, kasjerce, na czyje to konto. Sam ze sobą jestem spokojny, ale kiedy komuś, kto o żonę pyta, odpowiadam: „Zmarła”, twarz mi się wykrzywia i oczy wzbierają łzami. I tak powinno być.

Tak chciałem, żeby się odezwała. Żeby w tych ostatnich dniach wiedziała, że jesteśmy przy niej, że ją kochamy.

Te biurokratyczne procedury, mówiłem to komuś dawniej, komu zmarł ktoś bliski, konieczność wszystkich tych praktycznych czynności, pomagają zapanować nad rozpaczą, odrywają od niej.

3 września, piątek

Wczoraj odbył się pogrzeb.

Prócz rodziny było 13 osób.

Nie padało, a kiedy uroczystość się skończyła, zza chmur wyjrzało słońce i oświetliło trumnę Reny. I białą szarfę z napisem: NAJUKOCHAŃSZEJ — NAJBLIŻSI.

Powiedziałem tylko kilkanaście zdań, zwróconych do tych, którzy się wokół jej trumny zgromadzili, i zakończyłem tak, jak o tym chciałem myśleć: „Wróciła do Nawarii”. A potem zwróciłem się do niej i tu głos mi się załamał: „Reniątko, śpij spokojnie”. Przywołałem spłakanego Maćka, stanął obok mnie, wyjął z kieszeni kartkę z hebrajskim tekstem i odczytał kadysz. Ja w tych miejscach, gdzie się należało, odzywałem się „amen”.

Kiedy żegnaliśmy się, Alfred, mąż Grażyny Barszczewskiej, upomniał mnie: „Trzymaj się!”. Powiedziałem: „Moje poczucie winy polega na tym, że się trzymam”.

Ale to prawda. Dotychczas moje trwanie, od początków, było nieustannie aktywne, wciąż nowe rubieże do zdobycia, była celowość — miłość, rodzina, literatura, świat zewnętrzny, moje jakieś uczestnictwo w nim, refleksje, notatki, wszystko po coś. Gromadzenie książek. Już większość z nich nie jest mi potrzebna. Co z nimi zrobić?

Wczoraj, po pogrzebie, rodzinny poczęstunek. Coś niby stypa. Odzywki żartobliwe, kwitowane śmiechem — przy befsztykach i schabowym (przynieśliśmy z Tomkiem z Czytelnika). Stock i likier migdałowy.

Stopnie żalu zależą od pokolenia. Inna jest rozpacz męża kochanka, inny smutek dzieci (straciły matkę), a inny wnuków (odeszła stara, schorowana,

choć bardzo kochana babcia — proces naturalny).

Tomek znowu u mnie sypia.

6 września. Dochodzi dziewiąta wieczorem. Wczoraj zwolniłem Tomka z obowiązku sypiania u mnie. Wyjeżdża na konferencję do Bolonii, niech zajmie się sobą — i matką.

Jednak nie mogłem spokojnie popaść w sen — sam, w tym za dużym teraz mieszkaniu. Zamknąłem drzwi do mniejszego pokoju. O pierwszej w nocy chyba się zasnąć udało. Sen był zły, krzyczałem, krzyczałem na Renę, tę sprzed 30 lat, krzyczałem wzburzony, z powodu jakichś domowych spraw. Obudziłem się, jest druga w nocy — ja zły na siebie, że śni mi się złość na nią. Sen psychoanalitycznie niewytłumaczalny. Może jako „resztka dnia", bo czytałem wczoraj notatki o niej, o jej chorobie, o tym, jak wzięła mnie za ojca, który nie pozwolił się swoim synom ewakuować. A mózg, w swojej sennej twórczości, wszystko przetwarza.

O drugiej w nocy uruchomiłem ciśnieniomierz: tak, wysokie ciśnienie, 170, zażyłem tabletkę.

Madzia u mnie. Wybieramy trochę bluzek, kurtek, których nie chcemy zachować, Madzia wrzuci je do pojemników z używaną odzieżą.

Ta trzeźwa rzeczywistość, te wymogi egzystencji, mycie zębów, golenie się, ubieranie — chwilami wydaje mi się, że słyszę jej wyrzuty: „wygodnie wam beze mnie". Z tymi uczuciami może będzie się zmagał mój Czarownik Papuas.

W przedpokoju na wieszaku wisi, jak zawsze, zgrabne paletko z paskiem, to, w którym chodziła do fryzjerki, a obok jej czarna torebka, w torebce

zostaje kartka, którą tam kiedyś włożyłem, z wypisanym adresem i numerami naszych telefonów — na wypadek, gdyby nie wiedziała, gdzie jest, jak trafić do domu.

Uchański dzwoni codziennie. Dziś wymógł na mnie, mimo deszczu i zimna, żebym przyszedł, pod pretekstem, że ma butelkę whisky od Doroty i Jurka z Katowic. Oni oboje są w Ameryce. Pokazuje mi nekrolog w „Przeglądzie": „Józefowi Henowi i Magdzie Hen". Dławię wzruszenie. Wiesław pyta o moje mieszkanie. „Zostań w nim. Przeprowadzka to straszny wysiłek". W domyśle: chroń je dla dzieci. Mówi też o tym, że nagrody — z wyjątkiem Nike — nie mają wpływu na sprzedaż książek. „Utrafiłeś" — ja na to.

Deszcz. Mroczno. Zapowiedzieli się policjanci z Radomia. Będą pytać, czy zatrzymany przez nich przestępca nie próbował czegoś u mnie wyłudzić. Bo moje nazwisko i telefon jest w jego notesie. Proszę spojrzeć, jest notatka: „Żona warzywko". Poczułem się absurdalnie dotknięty: Rena nie była „warzywkiem". Żyła tylko w innych rzeczywistościach, myślała i mówiła.

Policjanci rzucają na stół pęki kluczy. Czy jest wśród nich jakiś mój? Nie ma. Na pożegnanie daję im *Twarz pokerzysty*, coś dla nich: bohater prowadzi śledztwo.

Tomek dzwonił z lotniska: jak się czuję, czy w porządku?

Wieczorem — Janek Ordyński: „Gdybyś czegoś potrzebował…".

Czuję ciepły, opiekuńczy stosunek przyjaciół.

Opowiadanie o Czarowniku oddala się. Nie potrafię zebrać kartek z odnotowanymi urywkami.

Pijaczek, wczoraj. Chciałem mu dać pstrąga, którego kupiłem dla Reny. Umówiłem się, że będzie o wpół do trzeciej przed bramą. Jest zimno. Ulica pusta. Pijaczek wystawił mnie do wiatru. No tak, pstrąg — po co mu pstrąg? On woli złotówkę — konkret — na wódkę.

Muszę jednak napisać to opowiadanie o Czarowniku (będzie miał na imię Matuzalem). Dać upust temu, co się we mnie (Czarowniku) dzieje.

„Der Zauberer", Czarownik — tak rodzina nazywała Tomasza Manna, autora *Czarodziejskiej góry*.

I ja sam, w zakończeniu „Z księgi drugiej", stanowczo się wypowiedziałem: „Literatura to czary…".

Madzia i Ewa przebierają w rzeczach. Gromadzą paczkę dla pani, która opiekuje się jakimś gimnazjum w Płońsku.

Telefony: Barszczewska, Ordyński — czy czegoś nie potrzebuję. Są do dyspozycji. Maja: może wybierzemy się w niedzielę na spacer w Alejach? Może. Z Waszyngtonu dzwoni Janusz Beer. Opowiadam mu, co mówiłem na pogrzebie. I że był kadysz — choć Rena była niewierząca.

Wiadomość z sekretariatu Zaiksu, że ma być posiedzenie Funduszu Popierania Twórczości. Najchętniej bym zrezygnował z uczestnictwa. Madzia stanowczo, że powinienem nadal brać w tym udział. I ona, i Ordyński, i Uchański namawiają do czynnego życia.

Jarosław Kaczyński. (Nie, nie dzwonił do mnie, przepraszam, jeśli komuś się to tak kojarzy). Polska, według niego, nie jest państwem suwerennym, to kondominium niemiecko-rosyjskie. Dlaczego? No bo zła umowa gazowa. (Zapomniał, że w tym niesuwerennym państwie on był

premierem, a jego brat prezydentem). I jeszcze, że symbolem Solidarności nie był Wałęsa — symbolem był jego brat Lech.

Wierna pani Elżbieta Jakubiak zawieszona. Za „postawę”: kogoś tam broniła, kogo należało krytykować. Jeszcze niedawno zdumiała mnie wykrętami w obronie swojego Prezesa. Akurat we wczorajszej „Polityce” cytuje się, co mówi o Prezesie: jaki piękny mężczyzna, coraz piękniejszy — te oczy! ta inteligencja!

„GW” cytuje, co wymyśla na prezydenta „Gazeta Polska”. (Wraca do mnie krótka i dosadna konkluzja, którą zamieściłem w *Dzienniku*: POLSKA ZŁYCH LUDZI). Więc prezydent to „Komoruski”, „Komuchowski”, „priezidient polskoj riespubliki” (ros. alfabetem). O Tusku podobnie. Lubią taplać się w błocie.

Rena wciąż obecna. Kiedy wychodzę i przekręcam dwukrotnie klucz w zamku, jakoś mimo woli myślę, że Rena będzie zamknięta. Tak samo wieczorem, kiedy nastawiam telewizor, odruchowo go ściszam, żeby jej nie budzić.

Pięćdziesiąt lat temu, pisząc *Kwiecień*, przydałem kpt. Hyrnemu taki odruch: dzwoni telefon, zajęty czymś Hyrny rzuca: „Odbierz”, dopiero po chwili uświadamia sobie, że Jasiek nie żyje.

Chyba po raz pierwszy we współczesnej Polsce na czele dużej partii jest człowiek, który żyje urojeniami i który zarazem podziwia siebie, swój talent. Ktoś może zaoponować, że bez wiary w siebie nie da się uprawiać polityki. Ale to nie wyklucza trzeźwości i gry fair. Nie widzę u niego traumy, której domyślają się życzliwi. Wystarczy przyjrzeć się, jak przemawia. Z jakim wyrachowaniem. Jak podoba się sobie.

To opowiadanie o Czarowniku czasami bardzo się rozwija — siadaj i pisz — po kilku godzinach się zwija, ulotniło się to, co narosło. Mgła. Wiem, o co chodzi…

Trudny dzień, bo łatwy. Bez obowiązków.

W nocy przyszła mi do głowy dodatkowa puenta do opowiadania, dwa zdania o miłości. Puenta przewrotna i chyba poruszająca. Zapisałem.

W PIW-ie, na Foksal, otwarcie kawiarni zamurowanej represyjnie 42 lata temu. Posadzono mnie w pierwszym rzędzie. Znajomych twarzy mało. Ale jest Uchański, Grzegorz Gauden, Gogolewski. Do drugiej sali przeciska się Maja. Nie ma pani Blanki, czyli tej, która kawę parzyła i książki sprzedawała. Prowadzi Jerzy Kisielewski, wspomina Andrzej Dobosz. Ponad półtorej godziny na temat Słonimski i ja. Codziennie bywał tu trzy godziny, siedział przy Słonimskim, słuchał — i milczał. Pan Jerzy wywołuje mnie. Mówię trzy minuty. Zaczynam od tego, że i ja tu bywałem, ale „nie mogłem bywać tyle, co pan Dobosz — jestem prozaikiem". Śmiech, zrozumieli. Wspomniałem, że spotkanie bohatera *Mgiełki* z dziewczyną odbyło się właśnie tu, na Foksal. Dwa „opasłe tomy" wydane przez PIW, o których mówił p. Dobosz, to *Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców*, dzieło Zawadzkiego (ps. Puchatek), które „znam prawie na pamięć, pomogły przy pisaniu książki o królu". I jeszcze o *Próbach* Montaigne'a: wydano je w nakładzie 5000 egz., kupiłem te trzy tomy z przeceny; kiedy po latach je wznowiono, nakład był 20 tys. egz., sprzedawano spod lady. Nie powiedziałem, skąd się wzięła moda na Montaigne'a.

Pod moją nieobecność nagrał się Różewicz.

Od rana czytam nadesłany mi przez p. Krystynę przekład rozdziału *Moje doświadczenia z kobietami*. P. Krystyna proponuje inny tytuł rozdziału, ten podobno dla Amerykanów źle brzmi, np. *The Fair Sex*. Proponuję *The Fair Sex and Me*, żeby uratować coś z osobistej relacji i w tonie półserio.

Po szóstej dzwonię do Różewicza, kilka minut powściągliwej rozmowy. Dwóch rozumiejących smutek i wagę słów starców. „Więc jesteś sam? — domyśla się. — Sam”.

Potem bezsenna noc. Zasypiam przed szóstą, budzę się o dziewiątej.

Z Madzią i Elą u Reny. Deszcz. Grób zmalał. Kładziemy dwie różyczki, poprawiamy zapadłą w grunt tabliczkę, żeby było widać, że leży tu „Irena HEN”. Zdejmujemy ze zwiędłego wieńca szarfę z napisem, będzie przechowywana w domu.

Zostawiamy Renę w deszczu, chwilami rzęsistym.

Sobota, Jom Kippur.

Wczoraj z Madzią i Elą do synagogi na odsłuchanie pięknego Kol Nidre. Jest Ewa i Maciek z Julką, którą kobiety zabierają ze sobą na górę. Nie ma tłoku, można się przekonać, jak mało jest Żydów, tym bardziej, jeśli się uwzględni osoby nieżydowskiego pochodzenia, które przyszły na Kol Nidre z różnych powodów: przez solidarność, zainteresowania judaizmem, powiązania rodzinne, przez ciekawość. Jest Konstanty Gebert, brodaty, obchodzi ławy, udzielając życzeń (bo w Jom Kippur Bóg pieczętuje wyroki przebaczenia). Do mnie podchodzi naczelny redaktor „Charakterów”, nie jest Żydem, jest czynnym działaczem w kręgu ludzi dobrej woli. Ja byłem chyba jedyny w czapce, mojej fidelówce, nie w kipie.

Ławki niewygodne, wąskie, oparcia pod kątem prostym, bez uwzględniania budowy człowieka; mówię do Janka Jagielskiego: „Wygląda

na to, że projektował te ławki Wyspiański”.

Kol Nidre — ach, gdzież mu do tego, co wykonywano w prostej bóżnicy na Nowolipiu, jak to opisałem w książce.

Odwiozła do domu mnie i Madzię w ten świąteczny wieczór p. Karusia, reprezentantka Jointu na Europę Środkową. Jej grzech… W domu Madzia: „Grzeszymy?”. Robię kanapki z sardynką. Mój Boże, tyle się w życiu nagłodowałem, że powinno mi to wystarczyć na wszystkie dni postów. Wybaczone mnie, moim dzieciom i pokoleniu wnuków. Także ta kropla hennessy.

Spodziewałem się klapy podczas imprezy w kawiarence literackiej Joanny Klimas na Nowolipkach, poproszono, żebym był obecny ze względu na adres. Nie było klapy, kilkadziesiąt osób słuchało Jacka Leociaka (kompetentny i wciąż pełen pasji), a potem mnie. Madzia spytała: „Jak było?”. „Aż za dobrze. — Dlaczego za dobrze?” Bo było dowcipnie, błyskotliwie, raz po raz wybuchano śmiechem. Tak jakby dramatyczne odejście Reny nic we mnie nie zmieniło. Teraz, kiedy to przepisuję, myślę sobie: człowiek jest jaki jest, najtrudniej (co nieraz odnotowywałem) jest iść przeciw sobie. (Chyba że uprawia się pozerstwo — znam takich). Nikt na sali nie wiedział o śmierci żony — nie domyślali się, że coś przeżyłem.

Leszno 56. O tym domu mówił pod koniec swojej opowieści p. Leociak. Nie wierzyłem własnym uszom: ależ to dom, w którym mieszkała Gina. Leociak mówił o księgarzu, który tam mieszkał, a ojciec Giny, p. Rachman, miał drukarnię na Elektoralnej 5, Monolit. Moja opowieść o zdjęciu Giny i jak mi się ono przysłużyło na granicy niemieckiej (patrz *Nowolipie*). „Miłość się opłaca” — powiedziałem. „To dobra puenta” — podchwycił p. Leociak.

Liściki do Elfi i Birgitt z informacją o odejściu Reny. Uderzyło mnie, że dwoje serdecznych przyjaciół (dwie przyjaciółki) — to Niemki.

Przed sejmem — i niejako przed moim domem — trzy autokary z przybyłymi manifestantami. Czytam: „Ruch Suwerenności Narodu Polskiego”. Noszą czerwone płaszcze z białymi orłami i wizerunkiem Jezusa. Transparent: JEZUS KRÓLEM POLSKI. Należałoby się modlić do Jezusa, by przyjął tę nominację, bo jest całkiem możliwe, że nie zechce.

Dziennikarz, zawodowy przepytywacz, laureat, mówi: „Dwoje chłopców”. Minister powiedzenie Zygmunta Augusta „Nie jestem królem waszych sumień” przypisuje Władysławowi IV.

Z Moniką w kawiarni W biegu café na pl. Trzech Krzyży. Podpisuję rozliczenie. Monika pyta, czy mam jakieś plany literackie. Może cd. dziennika? Podobają jej się projekty nowych opowiadań: o sprzedawcy snów i o Kubusiu, i artyście. Może sprzedawcę snów dać do „Przekroju”? Naczelną jest teraz pani Kasia Janowska.

26 IX, miesiąc temu zmarła Rena.

Od wczoraj czytanie zeskanowanych przez wydawnictwo *Nowolipia* i *Najpiękniejszych lat*. Książka będzie liczyła ok. 370 stron. To i owo w *Nowolipiu* wykreśliłem. W rozdziale o „tych z Radzynia” dopisałem nazwisko: Cukierowie. Wieczorem był Tomek. Jedliśmy zupę, którą nazwałem „cebulową”. Prawie sybarytyzm. Bo jeszcze i ballantine.

Wciąż mi się zdaje, że Rena robi mi wyrzuty — uzasadnione.

Życie toczy się bez niej. „Niepotrzebna wam jestem”.

Myślę o Czarowniku — i o Niej. Przyszło mi do głowy, że Czarownik, łowiąc duszę chorego, wykonuje ruchy taneczne. Taniec, sądzę, był w rozwoju człowieka wcześniejszy od pieśni. Mowa ciała — do ludzi i do duchów. Z dzidą u boku.

Rena tam — pod tym zielonym kocem, którym zakład pogrzebowy nałożył na jej grób (wmawiając nam, że to jest „sztuczna trawa") — jakby świadoma była, że jest przykryta byle jak…

I wciąż myślę o tych jej ostatnich dniach — bez kontaktu, w prostracji, łowiącej oddech otwartymi ustami. Co się wtedy działo w jej mózgu? Może jednak śniła? Może była w Nawarii, małe dziecko u spódnicy mamy?

Moje słowa są bezsilne. Widzę ten zielony koc pokrywający jej grób i to boli.

A na ulicy dostrzegam mijające mnie kobiety. Zauważam mimochodem urodę, wdzięk…

Telefon do Krakowa, do Zulka Lewickiego, żeby zawiadomić go o jej odejściu. Tłumię płacz. (Wciąż jeszcze). On: „Jestem wstrząśnięty". Pamięta ją dobrze z czasów krakowskich, kiedyśmy obaj pracowali w „Żołnierzu Polskim". Coś mi kiedyś szepnął o jej urodzie.

Dzwoni pani dyrektor nowej biblioteki w Wawrze. Podobno czytelnicy życzą sobie na otwarcie spotkania akurat ze mną. Powodzeniem cieszą się szczególnie *Dziennik…* i *Król*. Umawiamy się wstępnie na 7 listopada. „A honorarium?" — pyta pani. — To już wy wyznaczacie. — Aha, my". Będzie miała nad czym się zastanowić.

Z *Portretów na marginesach* Jarosława Iwaszkiewicza, książeczki, którą złożono pośmiertnie z różnych strzępów jego wypowiedzi o ludziach, dowiedziałem się, że Jerzy Zarzycki (reżyser filmiku *Komedia z pomyłek* — mój scenariusz wg Sienkiewicza) przechowywał w małym mieszkanku w Brwinowie Żydów. Ogromna zuchwałość, podziwia Iwaszkiewicz, bo właściwie nie było jak ich ukryć. Podejrzewać mógł np. sklepikarz, bo Zarzyccy kupowali dużo chleba.

Znałem Zarzyckiego, ceniłem, ale pojęcia nie miałem, że na coś takiego się odważył. Nigdy się tym nie chwalił.

W Domu Literatury rozmowa z Zofią Posmysz, której opowiedziałem o mojej roli w nadaniu *Pasażerce* (filmowi Munka, którego nie dokończył) ostatecznego kształtu. Szkoda, że nie zadbałem, by odnotowano to w czołówce tego tak ważnego filmu. Ona o tym moim udziale nie wiedziała, nikt z nią, autorką książki i scenariusza, niczego nie konsultował.

Październik

Podczas mżawki — z Maćkiem, Anią i Tomkiem — u grobu Reny. Maciek i Tomek zdjęli zielony koc, mający być „sztuczną trawą”. Jest teraz naga gliniasta pryzma, a na niej tabliczka: „Irena HEN”. Ania zasiewa środkiem wrzos, po bokach gałązki bluszczu. Czy się przyjmie? Zapalamy znicze.

Tuż przed jedenastą wieczorem nastawiam kanał „Kultura”, koncert Vladimira Horowitza w Białym Domu. Zaprosił go zaraz po objęciu prezydentury (pechowej) przezacny Jimmy Carter. Witając Mistrza, powiedział, że zrealizowało mu się marzenie.

Mam i ja, dzięki telewizji — i Carterowi — koncert w domu. Najpierw Sonata b-*moll* z *Marszem żałobnym* (którego nie chciał grać w niczyim domu Artur Rubinstein). Wysłuchuję go bez przesądnego lęku, żałoba wkroczyła do mojego domu, jest oswojona. Długie chude palce Horowitza na klawiaturze — chyba ich kształt pomaga wirtuozowi w opanowaniu niesamowicie trudnej technicznie gry.

Dwa popularne walce, a po nich mocny polonez A-dur, po którym są frenetyczne oklaski. Kończy się to o północy, dobry sposób spędzenia bezsennej nocy.

I chyba następne dwie godziny też bezsenne. Czytam wywiad z Raczkowskim i Gondowiczem (na temat tęsknoty polskich pisarzy za Noblem) o Żeromskim, że w Sztokholmie byli przerażeni jego stylem. Gondowicz to przerażenie podziela.

Pod wulkanem, film Johna Hustona z Albertem Finneyem i Jacqueline Bisset. Przejmujący, ale oczywiście nie może dorównać książce, trzeba się z tym pogodzić. I ta piękna Bisset — po latach jej aktorstwo, może dawniej niedoceniane właśnie z powodu niezwykłej urody — uderza subtelnością, szlachetnością, inteligencją. Naturalnie, to zasługa reżysera, który wiedział, co można z niej wydobyć.

Jedyne, na czym mi zależy, to na upowszechnieniu książek. Są do czytania. Do przemyślenia. Ale właśnie to, upowszechnienie, zależy niekoniecznie od jakości książek. Jakiś hurtownik zwrócił wydawnictwu niesprzedane egzemplarze *Montaigne'a*. Moja wina? Montaigne'a?

Pamiętam, że w Samarkandzie Rena kiedyś się odezwała: „Wolałabym, żebyś został inżynierem. — Dlaczego? — Mniej byś cierpiał".

Przeczuwała, że nie będę miał łatwego życia.

Wieczorem rozmowa telefoniczna z Kretą. Yannis mówi, że lekarz badał przebywającą tu Madzię, stwierdził przemęczenie. Czy ona musi wracać? Czy nie może zostać dłużej? Zgadzam się natychmiast. „Of course, she can stay, she is a free person”.

Będę zdany na siebie, ale radę sobie dam.

Podlewałem dziś nasze kaktusy na balkonie (jeśli to są kaktusy).

Dzwoniła Grażyna Barszczewska. Za kilka dni premiera opery *Pasażerka.* Ona gra aufseherkę, wrzeszczy po niemiecku — chociaż nie zna tego języka. Pomyślała sobie, że ten spektakl byłby dla mnie teraz nieodpowiedni — jak ja myślę? Tak, wolę teraz tego nie oglądać.

Unikam towarzyskich imprez, zwłaszcza śpiewanych. Nie pójdę nawet na recital umiłowanej Sławy Przybylskiej, chociaż poświęcony jest Sendlerowej. Przekazaliśmy z Madzią komitetowi budowy jej pomnika po 100 złotych, więc nasz udział jest zaznaczony.

Brak mi siły woli, żeby zasiąść do załatwiania korespondencji; co prawda, nie jest łatwa, mam wyrazić podziękowania.

Obiecałem sobie, że zacznę jutro opowiadanie, ale chyba nic z tego nie będzie.

Nie, nie mogę Czarownikowi przekazać swoich odczuć: jesteśmy z różnych cywilizacji, dziedziczymy inne pojęcia, inne słownictwo, inne uzależnienia. Inne miejsca zamieszkania, sprzęty, odzież (on prawie nagi). Inne odruchy. Czego innego się wstydzimy, czego innego unikamy; inaczej traktujemy płeć. Inna wspólnota z kobietą.

Wielki Duch inaczej stworzył nasz świat, a inaczej jego świat.

A jednak chcę, żeby on, Czarownik Matuzalem, przekazał czytelnikowi rozterkę i ból, które odczuwam ja, wielkomiejski Europejczyk. Z wsiowym słuchaczem Radia Maryja łatwiej by mi było znaleźć styczne odczuwania niż z moim Papuasem.

Wtedy, podczas wojny, w głodzie i poniewierce, każdy zdobyty kawałek placka, każda menażka kaszy — wszystko było celowe. Nie dać się zagłodzić. Każde przebudzenie, każdy dzień przybliżał do celu. Przemyć twarz w strumyku. Radość świeżego poranka. I tak przetrwać. Wygrać wojnę. Wrócić.

A potem — już na miejscu — radość powszedniego dnia — z nią, z dziećmi, ze świetnymi ludźmi.

Teraz jest też przebudzenie, też następny dzień, ale teraz to jest uciekające życie, nieciekawe, bo cel, jeśli nawet jest, to zamglony… Jak przez starcze oczy.

W nocy pomyślałem, że dotknąłem tym zapisem tego, co najbardziej istotne. Trafne. Tak to właśnie jest. To przeżywam… Sam z sobą. („Dla obcych ludzi mam twarz jednakową / Ciszę błękitu…”).

Myślałem (naiwnie), że zacznę dziś opowiadanie. Mowy o tym nie ma, skoro jestem czymś innym zaabsorbowany.

Pani Ola, sprzątaczka, urocza Ukrainka, powiedziała wczoraj z uśmiechem: „Wszystko się ułoży. Ożenimy pana”.

Nie chciało mi się odpowiadać.

Czarownik wie, że „życie toczy się dalej”. Że zobojętnienie jest nieuchronne.

Ale czasem nurtuje mnie coś przeciwnego; nie, to się nie stało, Rena jest, trzeba jej zrobić kolację, podać leki. Jej śmierć — to tylko sen.

Notatka o tym, dlaczego Tusk nie zdymisjonował Radziszewskiej. Dlatego że się od niego tego domagano — wyszłoby na to, że usuwa ministrów pod naciskiem mediów. Gdyby było ciszej wokół tej pani, gdyby nie wysuwano kategorycznie hasła „Radziszewska musi odejść", miałby szanse podjąć decyzję suwerennie.

Środa, 6 X. Czekam na SMS od Madzi, że jest już w Warszawie.

Wczoraj, przed południem, ZACZĄŁEM PISAĆ! Jak zawsze, wiecznym piórem. Potem małe zakupy, gazeta, drzemka — i znowu pisałem. Jest chyba z pięć stron maszynopisu. Chwilami zabawne, kiedy ujawniają się paradoksy w myśleniu. Kto lepiej ocenia istnienie — cywilizowany świat czy te prymitywne istoty?

Po piątej po południu w administracji domu na 11 piętrze, żeby poinformować urzędniczki o tym, że zmarł lokator, moja żona. Wiedziały: czytały nekrolog. I znowu, kiedy mówiłem o śmierci Reny, wezbrały łzy. One to zauważyły. Ja, rozedrganym głosem: „No widzicie, panie, jak to jest, długo nie można się otrząsnąć".

W nocy przyszło mi na myśl, że pod koniec opowiadania, kiedy Czarownik mówi, że nie rozumie słowa „miłość", powinien wytrzeć załzawione oczy.

Niedziela, 10 X. Wczoraj przed siódmą wieczorem zakończyłem opowiadanie *Długa, chyża łódź* i postawiłem datę. Ma chyba nie więcej niż 12 stron maszynopisu. Nie wiem, co jest warte. Opowiadanie dialogowe — niemal słuchowisko. Bez komentarzy autora, dramat wynika ze słów postaci. Czyli liczę na wrażliwość i inteligencję czytelnika. Czasem ta

inteligencja prowadzi czytelnika do nadinterpretacji: domyśla się tego, o czym autor nie pomyślał, kreuje coś, co odczytuje w sobie. To akurat nie szkodzi. Ważne, że opowiadanie go inspiruje. Czy tak się stanie z *Długą, chyżą łodzią* — nie wiadomo.

Problem był — żeby się wyrazić po uniwersytecku — semantyczny. Jeśli nawet pewne pojęcia do Czarownika docierają, jeśli pewne rozterki i zamyślenia odczuwa, to brak mu języka, żeby je wyrazić. I odwrotnie: ponieważ te pojęcia w jego języku nie istnieją, to nie mogą do niego dotrzeć.

Jeśli dodać do tego *Niebo naszych ojców*, to można powiedzieć, że stałem się piewcą ludzi prymitywnych (być może bardziej przeze mnie wykreowanych niż rzeczywistych — dzisiaj, w kilkadziesiąt lat po ukazaniu się *Złotej gałęzi* Frazera, podpatrywanych przez kamery telewizyjne i oglądających telewizję). Przyszło mi na myśl, że to dlatego ich postępowanie tak mnie zajmuje, że docieram dzięki nim do rzeczywistych archetypów. Osłonki są cienkie, przejrzyste — nie można twierdzić, że ich nie ma, że ich umysły są nagie — zawsze były jakieś osłonki. Możemy dzięki nim, jeśli tylko przenikniemy przez ubóstwo pojęć słownych, zedrzeć nasze własne osłonki, całą tę cywilizowaną powłokę, ujrzeć swoje dusze nagie.

Do izby Czarownika, w której wisi krzyż, Ludzie nie przychodzą modlić się, błagać o wybaczenie, przychodzą kupować sny. I pomyśleć, że wcale nas tyle nie różni. Szczególnie świata pielgrzymek, zdrowasiek, litanii, kultów i przesądów — tyle że tamte przesądy nie są przesycone nienawiścią, są ze strachu przed Nieznanym, z pokory wobec Tajemnicy — te nasze są ze wściekłości, z pragnienia zemsty, unicestwienia.

Dzisiaj rano, przed Pałacem Prezydenckim, uczestnicy uroczystości, rzekomo ku czci tych, którzy w katastrofie pod Smoleńskiem „polegli”,

intonując „Boże, coś Polskę” (czy zdają sobie sprawę, że to hymn ku czci cara Aleksandra I, koronowanego na króla Polski?), śpiewali: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”.

W czwartek, o pierwszej, Nobel dla Maria Vargasa Llosy. Esemes od Marzeny, przypomina Nobel 2004 roku, którego ogłoszenia byliśmy świadkami w Sztokholmie. „Czy dotarło do ciebie — esemesuję — co się w moim życiu stało? — A co się stało? — Rena zmarła”. Po chwili telefon od Marzeny: zrozumiała, że potrzebna jest rozmowa, nie esemes.

Komentarz do wypowiedzi i wywiadu pani Fotygi. Po co z tą (…) robić wywiady. Aha, bo ona to teraz „zagraniczna twarz” PiS-u. Polską rządzą wywiady obcych państw, dowiadujemy się, Polska straciła suwerenność, Putin z Tuskiem przeprowadzili zamach na prezydenta. „Czyli można powiedzieć, że Tusk ma krew na rękach? — Tak”. Obecny podczas tej rozmowy Poncyljusz nie chce do jej słów się odnieść. Ale dziennikarz komentuje, że skoro ona jest „twarzą”, a on wciąż jest w PiS-ie, to znaczy, że ona mówi i w jego imieniu.

Mam przepisywać — nie przepisuję. Boję się przystąpić do nadania ostatecznego kształtu. Pisałem ochoczo — wiadomo, dialogi. Można mazać, dopisywać, to tylko dla mnie. Za przepisany tekst — odpowiadasz.

W środę z Maćkiem gdzieś przed drugą po południu — u Reny. Jest chłodno, ale słonecznie. Biedniutki ten grób, samotny gdzieś w końcu alei (obok, po sąsiedzku, Jurek Stawiński). Maciek podlewa pędy bluszczu, zapala znicze, ja kładę znowu białą gałązkę chryzantemy. Tabliczka z napisem błyszczy w słońcu. Tak mi się zdaje, że Rena wie, że ją odwiedzamy, jest cichutka, potulna.

Opowiadanie przepisane na laptopie. Wczoraj je korygowałem… To i owo wykreśliłem, to i owo przestylizowałem. Jest chyba zbyt zwięzłe, za bardzo liczy na współpracę czytelnika. Dialog, który wydawał mi się dramatyczny, bolesny, dla czytelnika szybko przemyka — jak to dialog. Będę musiał opowiadanie jeszcze raz przeczytać — już nie nastawiając się na korektę.

Z Marzeną w kawiarni PIW-u „Opasły Tom”. Chyba nie kontaktowaliśmy się ponad rok. Pojutrze leci do Stanów, na pokazy *Ślubów panieńskich*, współpracowała z Bajonem przy scenariuszu. Opowiadam jej o roli, jaką odegrali Górny i Skąpski w staraniach o grób dla Reny. I o nekrologu Hanny Gronkiewicz-Waltz.

I wreszcie ona, z triumfem: „Józiu, jestem wolna! To wspaniałe uczucie. Nie wyjdę za mąż!”.

Zgadzamy się, że nie emocjonują nas żądania ślubów przez pary homoseksualne. Niech sobie to załatwiają, jeśli koniecznie tego chcą. My z Reną, mówię, nie mieliśmy ceremonii ślubnej. Nigdy jej nie przysięgałem: „I nie opuszczę cię aż do śmierci”.

Wczoraj telefon ze Związku Niewidomych. Podjąłem się nagrać czytanie *Pingpongisty.* Trzeba się śpieszyć, póki jeszcze mój głos jest znośny.

Sława Przybylska przesłała mnie i Madzi CERTYFIKATY SZCZODROŚCI i dwie płytki z jej piosenkami.

Dziś odczułem całą sytuację tak, jakby Rena tylko wyjechała. Wszystko toczy się w domu prawie normalnie, ale bez niej, bo musiała wyjechać. Madzia przytaknęła, bo tak jest — wyjechała. (Mówi się przecież: „Odeszła”).

Długą, chyżą łódź przekazałem elektronicznie Madzi i Maćkowi. Madzia zareagowała entuzjastycznie. Maciek: „Popłakałem się”. Zobaczył w opowiadaniu Matkę. Zastanawia się, jak to odbiorą obcy, np. Monika. Dodał: „Nawet gdyby to miało być nasze rodzinne opowiadanie, to warto było napisać”.

Odczuwałem, że nazbyt skrótowo, właściwie jak oświeceniową powiastkę dydaktyczną, potraktowałem żądanie Czarownika, by Jafet ściął drzewo i z pnia wydrążył sobie łódź. Dopisałem dwa zdania: sprzeciw chłopca, że to ciężka robota, a on przecież łódź „kupił”; „kupiłeś sen”, tłumaczy Czarownik Matuzalem, i teraz ma być ciężka robota, dużo potu.

Odezwała się wieczorem Maja. (Dostała opowiadanie już w wersji uzupełnionej). „Przeczytałam”. Chwilę zbierała słowa. Wreszcie: „Jest smutne i piękne”. Potem: „Piękny hołd złożony Rebece”. Chyba to ją najbardziej poruszyło. „Chciałabym, żeby mnie ktoś tak kochał”. Pytam, czy nie odczuwała, że to jest nazbyt pośpieszne, skrótowe. „Nie, wszystko jest perfekcyjne. Piękne”.

Ale to nie znaczy, że panie postmodernistki będą czytać z równym zaangażowaniem. Testem będzie odbiór opowiadania przez czytelnika zimnego, obojętnego, może nawet niechętnego.

Niedzielny obiad u Madzi z zaproszonym p. Erykiem. Rozmawiał długo telefonicznie z Ewą, jest zachwycona swoimi studiami w London School of Economics. Chętnie by tam robiła doktorat. Chociaż sądzi, że udał jej się egzamin na doktorat w Stanach.

Zadzwoniła wreszcie pani agentka, Monika, wyrwała mnie spod natrysku. „Napisałeś piękne opowiadanie”. Poczułem ulgę, jej sąd jest

bardzo istotny. Decyduje o tym, czy warto, by opowiadaniem się zajmowała. Będzie usiłowała dobrze je sprzedać. Może do „Wprost”.

Uchański: „To coś nowego u ciebie — stajesz się pisarzem fantasy”. Nie, nie zgadzam się: opowiadanie jest realistyczne.

Wieczorem (u niego jest popołudnie) telefon do Janusza Beera z Waszyngtonu. Jest poruszony opowiadaniem. „Dałem do przeczytania żonie. Rano powiedziała mi, że się popłakała”. Powtórzyłem to Maćkowi: więc wzruszenie może być nie tylko rodzinne; może ono nastąpić, kiedy czytelnik w jakiś sposób zidentyfikuje się z postacią, przejmie się nią.

Wstąpiłem do księgarni na Wiejskiej, powiedziałem pani przy kasie: „Przysłałem tu kilka dni temu panią Chodakowską, bo chciała kupić *Dziennik*. — Była, kupiła. — O, to się cieszę, że to mieliście. — Stale mamy” — usłyszałem. Jest w ciągłej sprzedaży. Na to solidnie zbudowany pan, siedemdziesięciolatek ze stertą kupionych książek: „Pan Hen zaleca tylko swoje książki. — No pewnie — na to ja. — Konkurencji nie należy zalecać. — A czy książki swojego przyjaciela Tadeusza (Konwickiego) pan zaleca? — Tych nie trzeba zalecać — odpowiadam. — Same się zalecają. — O, jak pięknie!” — zawołała żona tego pana. A on spytał: „Mogę mu to powtórzyć?”.

Wczoraj wziąłem na trudną chwilę mojego *Błazna…* Otworzyłem w środku: „benedyktyn” Boy podczas wojny. Przypomniałem sobie, jak pewien młodociany recenzent w „Śląsku” obliczył na komputerze, ile zdań na pewnej stronie jest nie moich, ale Boya. Niby co za sztuka! (W biografii Wiktora Hugo, *Olimpio,* André Maurois przytacza długie listy swojego bohatera, jego żony, Sainte-Beuve’a, ale cóż, w zacofanej Francji nikomu nie przyszło na myśl obliczyć to na komputerze i zakwestionować

autorstwo Maurois). Tak, pomyślałem, współudział Boya w książce o nim jest znaczący. „Wspólnik” jednak tak świetnie pisze, że czytelnik na tym nie traci.

Jeremi Przybora po śmierci Alicji zanotował: „Życie jako forma spędzania czasu przestało mnie interesować”.

Jest coś, co nadawałoby życiu sens: twórczość. Ale czy będzie?

Kaczyński w sejmie mówił o tym, że TVN powinien zlikwidować… „Szkło kontaktowe”, bo jego tam obrażają. Mentalność rozkapryszonego dziecka. Owszem, dzwonią tam widzowie, czasem jakieś świry — na ogół przeciw rządowi, ale i czasem przeciw niemu, np. żeby ten pan się leczył. Dziennikarz nie zawsze zdąży upominać.

Zapisałem kiedyś, że jest obawa, iż Polska dostanie się „w ręce złych ludzi”. Miałem na myśli PiS. Teraz Kaczor mówi, że Platforma to „partia złych ludzi”. (Czyżby ze mnie ściągnął?).

Przed chwilą uświadomiłem sobie, że sekretarka w moim telefonie informuje: „Tu (…) Irena i Józef Henowie”. Nie będę tego prostować. Niech tak zostanie — przynajmniej czas jakiś.

Dzwoni Monika. Wiadomości niezbyt pomyślne. „Wprost” nie chce mojego opowiadania do świątecznego numeru — woleliby coś „polskiego”. Gdyby się lepiej wczytali, może przyszłoby im na myśl, że „sprzedawanie snów” jest bardzo polskie. I że w numerze bożonarodzeniowym jest jak znalazł.

Madzia, po fryzjerze i manicurzystce, przed niedzielnym odlotem do Paryża, odwiedza mnie, zakupy, pogaduszki. „Nie budź mnie jutro — mówi, odchodząc. — Mogę spać, ile chcę”.

Rozmowa z Agnisią S. Dziwnie się czuje, kiedy natrafia w *Dzienniku* na siebie. Więc ja coś takiego mówiłam? I to już tak zostanie? Potem o swoim obecnym związku z Izraelczykiem. Kochają się, ale związek niemożliwy, on wciąż w podróży, ona byłaby skazana na pobyt w jakimś wynajętym przez niego mieszkanku. Jej środowisko, praca, rodzice, przyjaciele, otoczenie kulturalne — wszystko jest tutaj. „Ach, gdybyś ty był o czterdzieści lat młodszy!”.

Z Tomkiem przy grobie Reny. Tomek zmienia patyk, do którego przybita była tabliczka „Irena HEN”, na większy, brzozowy, jak na grobie partyzanta. Zapalamy znicze, podlewamy bluszcz, wrzosy, wszystko się trzyma — kładę białą chryzantemę. Rena śpi spokojnie, wydaje się pewna, że o niej pamiętamy.

(Obok, na grobie Stawińskiego, też jeszcze bez pomnika, trzy świeże żółte chryzantemy; ktoś odwiedził).

Na Wiejskiej spotykam dziarsko kroczącego Konwickiego. Pyta, czy ktoś się mną zajmuje. Tak, mam dobre dzieci, dobre wnuki, chociaż teraz akurat są za granicą. „Tylko mieszkanie mam za duże”. Na to on: „Ja też mam za duże mieszkanie”. W chwilę później, na tejże Wiejskiej, rozmawiam o tym z p. Hellingiem z Norwegii, przyjacielem Holoubka i Tadzia. Zwierzam mu się, że na noc zamykam jeden pokój, zmniejszam mieszkanie. On: „Tadeusz tak samo, zamyka jeden pokój”.

W książce Mariusza Szczygła *Zrób sobie raj* (którą nabyłem jako czechofil) czytam długi rozdział o buntowniczej poezji filozofa Egona Bondy'ego. „Nasrać", „gówno", „nocnik", do tego „wejdźcie mi do dupy" itd. — wyraz tego buntu nie wydaje mi się ani poetycko, ani filozoficznie wynalazczy. Nie mam gustów fekalistycznych.

Dwie godziny z p. Diatłowickim w Czytelniku. Podjął się zrobienia filmu o mnie dla Muzeum Historii Żydów. Wydaje się, że nie zna większości moich książek, a jeśli niektóre czytał, to nie pamięta. Prowadzę go do domu po książki. Dziwne uczucie, że można do mnie przyjść, filmować, jest pusto. Daję mu *Nowolipie*, *Najpiękniejsze lata* i *Oko Dajana* (do zwrotu). I trochę wywiadów.

Przed chwilą telefon z Wilna (p. Leśniewski), że wydawnictwo Uniwersytetu Wileńskiego chce wydać *Mojego przyjaciela króla.* Zadzwonią. Być może, uprzedza ten pan, będą się ze mną porozumiewać po rosyjsku. Przypuszczalny nakład: 1000 egzemplarzy. Jeśli porównać liczbę ludności na Litwie (czytającej po litewsku) i w Polsce, to to wcale niemało. Honorarium? Jakiś ryczałt.

Pomyliłem godzinę wieczoru pamięci Toeplitza, przyszedłem prawie o godzinę za późno; wspinając się po schodach, słyszę, że ktoś mówi o Krzysztofie, to był Stefan Bratkowski. Sala pełna. Udało mi się znaleźć krzesło na końcu, gdzie siedzieli zaiksowcy i Urban.

Przy winie Bożena Toeplitz (na bardzo wysokich obcasach), ucałowanie i jej: „Cieszę się, że przyszedłeś". „Rewelacja!" — mówi o *Dzienniku* ktoś, o kim myślałem, że jako autor go nie interesuję. To zresztą możliwe, dzienniki czyta się inaczej, także jako dokument — o czasach i ludziach.

Janek Ordyński odwozi mnie i Uchańskiego do domu. Wiesław o opowiadaniu: „Genialne! (Lubi sprawiać przyjemność). Masz wielbiciela jezuitę. Był wczoraj u mnie Oszajca. Zachwyca go *Pingpongista*. Mówił, jaka to ważna książka. I wcale nie o postać księdza mu idzie”.

W domu, późnym wieczorem, przesyłam Oszajcy *Długą, chyżą łódź*.

Przed chwilą dzwonił Diatłowicki. Najbardziej wzięły go *Najpiękniejsze lata*. Porównuje to z Hrabalem, ale z Hrabalem w nienormalnych czasach. Interesuje go, kto to jest ten N., który zawsze mnie wyrzucał.

Listopad

O drugiej w nocy nie mogłem już znieść tego huku dochodzącego z dołu, ubrałem się i zszedłem. Otwieram drzwi do lokalu: huk ogłuszający. Przecież oni, uczestnicy, też nie powinni tego wytrzymywać. Chodzą w holu wte i wewte podchmielone panienki z obnażonymi ramionami, na głowach mają rożki. Diabliki z Halloween? Króliczki z Playboya? Przychodzi do mnie „dyrektor” (powiedzmy), młodzieniec w swetrze. (Tak, coś się zmieniło: dyrektor już nie jest w smokingu, a święto zmarłych nie jest obchodzone w milczeniu i smutku). Mówię spokojnie: „Złamaliście prawo. Przekraczacie wszelkie normy”. On obiecuje wyciszyć.

Minęło kilka minut i huk zmatowiał. A ja nie mogę zasnąć, biorę sobie do picia wrzątek (czyli kipiatok) i czytam La Bruyère’a *Charaktery.* Jego spostrzeżenia są ciekawe dla studiujących epokę, czasem przebija trochę salonowej egzotyki. Na przykład zachowanie dworzanina, jak raczył zbliżyć się do mieszczan. Molier to właśnie pokazał — szalbierstwo szlachcica i głupotę pana Jourdain, zachwyconego odkryciem, że mówi prozą.

W Klubie Księgarza — „Warszawska premiera” dla Andrzeja Walickiego za książkę *Idee i ludzie. Próba autobiografii*. Tym razem przyszedłem za wcześnie, ale nie ja jeden, jest nas na zapleczu kilka osób, rozmowa pełna anegdot — konkurs szopenowski, Artur Rubinstein i Jaroszyńscy, Rubinstein i dialog z Tomaszem Mannem, Rubinstein i pani Wertheim i jej córki (w pałacyku róg Pięknej, obok mojego domu). Nie są to żadne niedyskrecje, wszystko opisał sam Rubinstein.

Siadam w drugim rzędzie, obok Paweł Kozłowski, który przyprowadził pewną inteligentnie wyglądającą pięćdziesięciolatkę o interesującej urodzie. To żona profesora Walickiego, Joanna Schiller de Schildenfeld, czyli tak jak Leon Schiller. I to o niej ma być ten zapis. Bo rozmawialiśmy przy winie i okazało się, że zna wszystko (prócz, niestety, *Pingpongisty*, nawet o nim nie słyszała): *Króla*, *Błazna*, *Dziennik* („ależ oczywiście!”), „a wie pan, co mną najbardziej wstrząsnęło? *Milczące między nami*”. Paweł Kozłowski tego nie zna. Pani Joanna była redaktorką książki Walickiego, jej nazwisko jest wśród spisu pracujących nad jej wydaniem.

Madzia przesłała *Długą*, *chyżą łódź* Lidce Jankowskiej do Stanów. Jej odpowiedź: „Madziu, to opowiadanie podrapało moją duszę i nawet liście nie pomagają. Bardzo piękne”.

„Bardzo piękne” — napisała też Donata Subbotko. Domyśliła się, że weszła w nie Rena.

I Janusz Majewski. „Przejmujące — napisał, i bardzo intymne”. Dziękuje za dopuszczenie go do najbardziej intymnych przeżyć.

Prócz gazet, które na ogół tylko przeglądam, czytałem w nocy *Idee i ludzie* Walickiego, a potem, gdzieś koło pierwszej w nocy *Małą maturę* Janusza Majewskiego.

Całą noc padał deszcz — i wciąż pada. Spotkanie w Wawrze (właściwie w Aninie), na które mnie zawiozą po obiedzie, zapowiada się z fatalną frekwencją.

Gdyby te notatki były do „druku”, do przyszłej książki, rozpisałbym się o tym, co przekazuje ze stalinizmu i odwilży Andrzej Walicki o heglowskim fanatyzmie Krońskiego, on sam, Walicki, też długo nie rezygnował z Hegla. Jego żona, moja czytelniczka, mówiła z entuzjazmem o Russellu, a przecie to on napisał o Heglu (co ja przytaczam w moim *Dzienniku*), iż najlepszym dowodem idiotyzmu filozofów jest to, że ten „stek bredni” brano długo poważnie.

Co do Krońskiego (zaprzyjaźnionego podczas okupacji z Miłoszem, w *Rodzinnej Europie* nazywany jest „Tygrysem”), przypomniało mi się, jak w Oborach, po przeczytaniu *Skromnego chłopca w haremie*, powiedział mi, że nie spał całą noc, zastanawiał się, kim ja właściwie jestem, nie mógł mnie do żadnego nurtu włączyć, wreszcie zdecydował, że jestem „neorealistą”, jak filmowcy włoscy. Przyjąłem to bardzo dobrze.

8 XI. Dziś są moje urodziny. Telefon ze Stowarzyszenia Filmowców. Sekretarka mówi: „Piękny wiek”. Dla solenizanta nie ma pojęcia „pięknego wieku”: każdy wiek jest naturalny.

Całą noc padał deszcz. Wczoraj, w niedzielę, było trochę przejaśnienia. Maja zawiozła mnie na cmentarz. Grób Reny rozwalony. Niczym nieprzykryta glina rozpada się, wytworzyła się dziura z boku, odpadły kawałki z tyłu. Nie mieliśmy łopatki, próbowałem zgarniać glinę do dziury nogą.

Dzwoniłem dziś rano do domu pogrzebowego z reklamacją. Przed chwilą rozmawiałem z Maćkiem. Przyjechał na cmentarz jakiś pan samochodem,

powiedział, że jest pod spodem płyta, na Renę nic się nie leje; zajmie się tym grobem za kilka dni, przy okazji jakiegoś pogrzebu, uformują go na nowo.

(Wciąż mam ten rozwalony grób przed oczami).

To teraz o sobotnim wieczorze w Aninie, w nowo otwartej Bibliotece Publicznej im. Gałczyńskiego. Nie uda mi się, nawet nie będę usiłował odtworzyć atmosfery tego wieczoru. Kiedy pani Szpindla, zapraszając mnie, mówiła, że czytelnicy chcą spotkania właśnie ze mną, myślałem, że mi schlebia, ale okazało się, że to prawda, było ponad 60 osób, moi czytelnicy i nawet entuzjaści. Jedna pani w pierwszym rzędzie mówiła dłużej, wymieniła kilka książek, ale najbardziej przejął ją *Dziennik*: rozrzucone myśli, refleksje, odkrywcze (tak ona uważa), które tworzą eseje; dla niej fascynujące jest też to, że można prześledzić, jak powstają kolejne książki.

Przeczytałem z *Nowolipia* fragmenty rozdziału „Michalin” (w końcu niedaleko Anina), o tym, jak robiliśmy z bratem przedstawienie, ja jako Chaplin; wesołość coraz większa, ja sam też się śmiałem, czytając, czego dobry aktor nie powinien robić.

Pani Barbara Szymczak z Falenicy, która uprosiła kierownictwo, żeby jej pozwolono prowadzić spotkanie, powiedziała, że *Pingpongista* nią wstrząsnął. Każdy pozytywny głos o tej książce jest dla mnie szczególnie cenny. Jakaś pani bibliotekarka mówiła, że wprawdzie nic mojego nie zna (wzbudziła zgorszenie), ale czytała recenzje w Internecie, wszystkie dobre, i nie powinienem się skarżyć. Ja: „Porozmawiajmy o faktach. *Król* nie wszedł do finału Nike, *Boy* też nie. (Szmer na sali). Żadna z trzech ostatnich książek nie była nawet nominowana”. Kiedy więc inna pani (parę słów o niej: emerytowana nauczycielka, p. Mostowiczowa, Dołęga-

Mostowicz był stryjem jej męża, a ona sama — podkreśliła to — pochodzi od wileńskich filomatów, przodkiem był rektor Szymon Malewski), kiedy więc dziwiła się, że nie mam Nobla, powiedziałem: „Nigdy mi Nobel przez myśl nie przemknął — ja chciałem być w finale Nike”. (Wybuch śmiechu).

Ta pani z pierwszego rzędu (okrągła buzia, w okularkach) narzekała na brak indeksu nazwisk, niektóre osoby udało jej się rozszyfrować, „ale proszę powiedzieć, kto to jest ten Edek, który mówi o miłości i przyjaźni. — Nie mogę rozszyfrować Edka, bo wtedy rozszyfrowałaby się Matylda”. Podziwiała, mówi, że nie mszczę się na tych, którzy mnie skrzywdzili, nie ujawniam ich, zachowuję dyskrecję. Ja: „Czasem ta dyskrecja, przemilczenie są swoistym odwetem”.

Dzwoniła p. Nina, podała mi adres mailowy, przesłałem jej opowiadanie.

Taksówką na Podwale, by przejść Piekarską do Rynku, do Klubu Księgarza, na uroczystość „Premiery Roku” dla Kiry Gałczyńskiej za autobiografię. Ma po wypadku unieruchomione nogi, wnoszono ją po stromych schodach na salę.

W domu jestem o dziewiątej wieczorem. Ośmieliłem się zadzwonić do Walickich — odebrał on. Zdaje się, że szczerze się ucieszył. Powiedziałem, że czytam jego książkę i natrafiam na znajome postacie: Ulama, Berlina, o których narrator *Brulionów* mówi, że słuchał ich wykładów. Profesor twierdzi, że miał kiedyś *Bruliony*. Ja przez chwilę o tym, że mnie „ukąszenie heglowskie” nie dotyczy, nigdy przez to nie przeszedłem. Nic takiego mi nie groziło, nie studiowałem, mogę powtórzyć za Gorkim, że przeszedłem przez „moje uniwersytety”.

Pytam, gdzie mogę podrzucić książki obiecane żonie. On: „A wie pan, gdzie jest Pałac Staszica?”. Och, znam go dobrze, bohater *Odejścia*

Afrodyty tam właśnie pracuje. Wspomniałem też, że w tej powieści posłużyłem się biografią jego ojca, przypisałem ją ojcu narratora, a także konfliktem z jego młodą żoną Krystyną, zaciekłą zetempówką, dla której on był za mało ideowy, zbyt „obiektywny", tylko że po latach przedzierzgnęła się u mnie w katoliczkę („wróciłam do korzeni"). On: „I tak było". Ja: „Nic o tym nie wiedziałem, wymyśliłem to; bo skrajność, nietolerancja — i tu się z profesorem zgadzamy — jest w charakterze". On, pod koniec rozmowy: „Musimy się koniecznie spotkać, porozmawiać".

Książka Walickiego dała impuls gonitwie myśli nad sobą, nad moją drogą życiową. To, do czego panowie profesorowie i doktoranci (wtedy, z rosyjska, „kandydaci nauk") dotarli z trudem, zmagając się ze sobą (Kroński długo upierał się przy heglizmie i zwalczał w publicystyce „odwilż"), do krytyki „konieczności dziejowej", „nieuchronności", a więc i „pogodzenia się z rzeczywistością", które głosił Hegel (*pour le roi de Prusse* — co intuicyjnie od razu wyczuł Mickiewicz, romantyk i głosiciel misyjnej roli narodu polskiego: wysłuchawszy wykładu Hegla, odnotował go jako „nudziarstwo") — ja doszedłem sam, od razu, fundamentalnie przeciwny, własnym poczuciem rzeczywistości i zgodnie ze swoim charakterem, który nie mógł uznać szantażu totalitarnego. „Pogodzić się z rzeczywistością", owszem, można, czasem trzeba, czasem nie ma innej możliwości, ale nie dlatego, żeby być w zgodzie z Heglem. Przeczekać, tak. Dotrwać do bardziej sprzyjających okoliczności. A te wszystkie bajki o „triadzie", które studenci tak pokornie przyjmowali!…

W swojej książce *Idee i ludzie* — autobiografii przecież — Walicki nie krępuje się przytaczać pochwały różnych autorytetów (autorytetów prawdziwych!), badaczy; jakiś specjalista mówi o „silnym wrażeniu", jakie

uczyniły jego wczesne prace. Przytaczanie tych opinii nie jest chwaleniem się, jakby to zakwalifikowała nasza stolikowa pani Verdurin, skoro zawiera prawdę, i jest istotne dla jego biografii naukowej. To, co zalecała pani Verdurin, było hipokryzją, dotyczyło wyłącznie osób, które nie były jej faworytami, udzielała koncesji na mówienie o swoich osiągnięciach tym, w których widziała ozdobę „stolika" i chwałę koterii.

W środę (10 XI) od rana uroczystości przy odsłonięciu pomnika ofiar smoleńskiej katastrofy. Córki i żony działaczy PiS-u wypowiedziami swoimi najwyraźniej kontynuują ich partyjną działalność. Są zawzięte, szerzą insynuacje, dając do zrozumienia, że coś nie tak, że może ich dobijano, duszono, truto, że powinno się ponownie robić sekcje zwłok.

A jutro prezydent Komorowski przyjmie zmianę warty, wygłosi okolicznościowe przemówienie. Będą odznaczenia i nominacje. Oni zaś tam znowu zaśpiewają: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie".

Pani Nina dzwoni, że się popłakała, czytając *Długą, chyżą łódź*. Czytała ją trzy razy. Nazwała ją „piękną i przejmującą b a ś n i ą". Nastąpiło w niej coś w rodzaju identyfikacji z Rebeką („pięknie pan o niej napisał"). W małżeństwie bywa różnie, ale ostatnio, po wypadku samochodowym, kiedy nie mogła chodzić, a mąż gotował, nosił ją do łazienki, poczuła, że on ją kocha.

Przychodzi pewien pan po worki z rzeczami po Renie (tymi, których nie nosiła, nie budzą sentymentalnych skojarzeń), zaniesie je jakiejś rodzinie, gdzie jest ośmioro dzieci.

Mail od p. Joanny Schiller-Walickiej. Dziękuje za „wzruszające i pełne głębi opowiadanie. Choć niewielkie, w prostej formie porusza sprawy

zasadnicze dla każdego i w każdym wieku”.

Więc jest niedziela. Ja sam. Madzia we Wrocławiu, dziś wraca. Jest słonecznie i to niezwykle jak na listopad, pokój Reny w mocnym świetle, które zagląda aż do korytarza (dawniej mówiło się „przedpokój”, nasza głuchawa praczka mówiła „przezpokój”). Nie wyjdę dziś. Mam czytać zadaną mi przez p. D. broszurę Artura Sandauera *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku*. Sandauer cytuje ohydne żydożercze artykuły z przedwojennych pism endeckich — cenzura to przepuszczała — można wpaść w depresję, zapoznając się z tym. (Jedwabne, Kielce były zwiastowane przez takie artykuły, takie słownictwo, ale, rzecz znamienna, Sandauer nie wie nic o Jedwabnem, o procesie sprawców zbrodni, były jakieś nic nie znaczące notatki nonparelem, na spotkaniu w Aninie pytano mnie, jak zareagowałem na Jedwabne, odpowiedziałem, że dowiedziałem się o tym dopiero w 2001 r. z okazji odsłaniania pomnika i książki Grossa *Sąsiedzi*; nie dodałem, że gdybym w 1945 r. wiedział, moje życie — i Reny — mogłoby się potoczyć inaczej).

Ten endecki język, który przytacza Sandauer, trwa — tyle że nie ma Żydów — to język obelg, szantażu, bezkarnej insynuacji, ohydny język opętanych nienawiścią polityczną skrajnie prawicowych, „patriotycznych” gazet, nie muszę ich tu wymieniać, oni dobrze wiedzą, co czynią.

Sandauer, pisząc o Żydach ginących w getcie, przytacza *Campo di Fiori* Miłosza z roku 1943 i dodaje, że ten wiersz „uratował honor literatury polskiej”. To prawda, ale szkoda, że przy tej okazji nie uderzył się w pierś i nie przeprosił za to, że półtora roku wcześniej (broszura A.S. jest z 1982), kiedy Miłosz dostał Nobla, powiedział: „Poeta to drugorzędny”. Pierwszorzędny był dla niego wtedy tylko Białoszewski — po tym coś się w jego stosunku do p. Mirona zepsuło.

We wtorek od jedenastej kręcenie filmu dla Muzeum Historii Żydów. To znaczy p. Diatłowicki przepytuje, a ja gadam. Po raz wtóry o tym samym, ale nieraz trzeba prostować, ponieważ pan D. jest przekonany, że wszystko wie, a w gruncie rzeczy tak mu się tylko zdaje. Na przykład kiedy mówi, że po wojnie Żydzi zapisywali się do PPR, wciąż wierzyli w komunizm. Ależ skąd, odwrotnie, podczas wojny, będąc w Rosji, przestawali wierzyć w komunizm, większość z nich po wojnie od razu wyjechała na Zachód, a ci, co zostali, żywili początkowo nadzieję, że „tutaj będzie inaczej", „Stalin się zmienił" (w co uwierzył także Roosevelt). Do partii zapisywali się młodzi akowcy i to nie ze strachu, ale w nadziei na silne państwo. Wymieniam niektórych.

Kiedy pytam pana D., czy czytał *Nikt nie woła*, odpowiada: „Widziałem film". „Przecież to zupełnie co innego!" — wzburzył się Maciek. P o ż y c z a m panu D. *Nikt nie woła, Teatr Heroda*, *Nie boję się bezsennych nocy.* I jak ktoś z taką niewiedzą chce robić o mnie film… Kiedy mówię, że musimy kończyć, bo jadę na cmentarz, on wykrzykuje: „Będziemy kręcić na cmentarzu! — Mowy nie ma! — Ja na to. — Nie wszystko jest na sprzedaż!".

Wiadomość z Wilna (po rosyjsku), podpisana przez panią Jurgę Girgantaite, że wydadzą *Króla*, „to nam zapełni białą plamę w historii Litwy". Nakład: 1000 egz. Madzia w moim imieniu odpowiada mailem po rosyjsku: „Ja sogłasien. Żełaju uspiecha".

W pałacu Staszica u p. Schiller-Walickiej, z *Brulionami…* i *Pingpongistą.* W IBL, w sekretariacie, zostawiam *Nowolipie* dla prof. Aliny Brodzkiej, bo z udzielonego przez nią wywiadu dowiedziałem się, że

przed wojną wypożyczała książki w tym samym „Renaissansie” na Lesznie co my.

Monika zapowiada, że opowiadanie zamieści grudniowa „Lampa”. Pismo środowiskowe, podobno czytane.

Wczoraj oszust. Postawny, dobrze ubrany mężczyzna, niby z telewizji kablowej, by załatwić wymianę dekodera. Nie wylegitymowałem faceta, przedstawił się jako „Stanisław Majewski” (poznałem w Bratysławie takiego partyzanta słowackiego, Polaka o tym samym imieniu i nazwisku, dziennikarza), a ja, nieuleczalnie ufny, uwierzyłem. Wyłudził pieniądze, podał dzień i godzinę, kiedy się pojawi, nic nie podpisał, nie ma po nim śladu. Madzia mówi, że może nie oszust, może się pojawi. Na to jest 5 procent szans.

Bez humoru, nie dlatego, że straciłem trochę pieniędzy, ale że dałem się nabrać. W dwie minuty po jego raczej pośpiesznym wyjściu, przyszło mi już na myśl, że to sprytny oszust, inteligentny, sprawnie oddziałujący na psychikę. Przeglądam papiery na biurku, nic nie wziął, jest tylko jakiś papierek z moim podpisem. Zniknął.

Czytam w dalszym ciągu (na polecenie pana D.) broszurę Sandauera o pisarzach polskich pochodzenia żydowskiego w powojennej Polsce. O trudnościach, kompleksach, maskach. Ostatni rozdziałek jest próbą zanalizowania — „obiektywnego” — jego własnej postawy. Jest to trochę „łapanie ryby przed niewodem” — odpowiedź na nieuchronne pytanie: a ty? co z tobą?

To oczywiste, że czytając, czasem myślę o sobie i wydaje mi się, że mnie te kompleksy, przypisywane przez Sandauera innym, nie dotyczą, że moje

„ja jestem ja” było zawsze bezpośrednie; czasem nie afiszowałem się swoim pochodzeniem, ale też nigdy go nie ukrywałem.

Są tam u p. Artura zdania kategoryczne, niekoniecznie prawdziwe: „Do żydostwa swojego można tylko — albo się go zaprzeć, albo je eksponować”. (Moja odnotowana refleksja: „To by było istnienie dla innych — nie dla siebie”).

Dostrzega u omawianych pisarzy, kiedy porzucają partię, nie autentyczny przełom, ale — fałsz, udawanie, spryt. Szczególnie u Kotta, Ważyka, Rudnickiego. Jest mściwy, bo grupa „Kuźnicy” go tępiła. (Pamiętam powiedzenie: „Żyją jak Kott z Sandauerem”). Nie zauważył u Adolfa Rudnickiego głębokiego przeżycia, np. opowiadania *Ginący Daniel* albo publikowanych w „Świecie” *Niebieskich kartek*. Przyznaje jednak, że *Kartka znaleziona pod murem straceń* wstrząsnęła słuchaczami.

W zastanawianiu się Miłosza (bardzo racjonalnym, moim zdaniem) nad słownictwem dzieciństwa pisarzy pochodzenia żydowskiego widzi odcień antysemityzmu. Bez sensu. (12-letni Czesiek, podobnie jak 12-letni Jędrek Kijowski, antysemityzm odrzucili dzięki mądrym nauczycielom).

Walicki — to lektura w dalszym ciągu ciekawa. Miał trudny życiowo, trudny dla sumienia moment, po Marcu 1968, kiedy był faworyzowany, awansowany — moczarowcy znaleźli „goja”, naukowca na poziomie, i to polemizującego z „heglistami”. Nieważne, ile z tego rozumieli. Baczko, Orlański, Kołakowski, znając jego czystość moralną, niezaangażowanie, sposób myślenia — udzielili mu rozgrzeszenia: bierz to, nie dopuść do upadku nauczania filozofii.

Ewunia u mnie. Czekamy na przybycie „Oszusta”. Nie przyszedł. „Oszust” okazał się oszustem bez cudzysłowu. „Ewunia, spaghetti? — Nie

za dużo”. To danie symbolizuje dla niej Warszawę i odwiedziny u dziadka.

Pan D., ze złośliwym uśmieszkiem mówi (sprawia mu to satysfakcję): „Wszystko, co pan pisze, to fakty, które pan przeżył. Pan NIGDY NIC NIE WYMYŚLIŁ”. Jak to? A *Bokser i śmierć*? A *Prawo i pięść*? A *Twarz pokerzysty*? A *Niebo naszych ojców*? A *Crimen*?! A dialogi Jagiełły z Witoldem w *Królewskich snach*? Długo nie mogłem się uspokoić. Dość charakterystyczny przypadek, kiedy ignorancja ośmiela do wygłaszania bzdur.

Prawda, dla oceny wartości utworu nie ma żadnego znaczenia — wymyślone czy autentyczne.

U Bliklego spotkanie z panią Helen Jordan z Australii, wdową po Aleksandrze Jordanie Lutosławskim. To syn Wincentego, z którego „życia w czystości” Boy szydził już w *Słówkach*, a w latach trzydziestych, na prośbę autora, napisał rozkoszny szkic o jego autobiografii *Uroczy znachor*. Stanisław Wasylewski, kiedy jako wydawca namawiał Lutosławskiego, by napisał o swoim życiu, ten spytał: „O którym?”. Wierzył w reinkarnację, pojechał do Hiszpanii, by znaleźć kobietę, z którą spłodzi „Czterdzieści i cztery”. Aleks urodził się z matki Hiszpanki i on był tym „44”. Pani Helen, przemiła australijska blondyna, oczytana w literaturze francuskiej (studiowała w Lozannie) i urzekająco naiwna (ale bez ciągot do znachorstwa). Jest pewna, że przyjaźniliśmy się z Aleksem, on to chyba tak przedstawiał, a to nie była przyjaźń, bywał irytujący, ale pewnie nie dawałem mu tego odczuć, może nawet bywałem miły.

Pani Helen chciałaby naprawiać świat, pogodzić Izraelczyków z Palestyńczykami, podziwia zresztą jako ludzi mężów stanu Rabina i Peresa. Powtarzam jej to, co w mojej obecności powiedział w Warszawie Peres: że nie należy dążyć w rozstrzyganiu spraw do „sprawiedliwości” (bo

to oznacza wieczną wojnę), należy dążyć do kompromisu. I jeszcze powiedziałem, że wolę, by Izraelczycy przeżyli z brzydkim, powiedzmy, wizerunkiem, niż żeby zostali wymordowani z wizerunkiem pięknym i subtelnym.

Zmywam naczynia, chowam garnki, przecieram kuchnię, porządkuję talerze — właściwie po co? Mógłbym równie dobrze trwać w bałaganie, niedomyty, nieogolony, nie zmieniając gaci i skarpetek. Kiedy Zyzio Kałużyński mówił, że sprzątanie jest przesądem, wystarczy przesuwać kurz pod ścianę (nie pamiętał, że są ludzie uczuleni na kurz), jeśli więc tak mówił, to może dlatego, że był samotny. Odkąd Eleanor go opuściła, odeszła do Forda, forma życia przestała mieć znaczenie. Jako nałogowy czytacz żył już tylko, obcując z książkami, filmem, sztuką.

Uchwała Dumy rosyjskiej: uznają, że mord katyński nastąpił z rozkazu Stalina i innych przywódców radzieckich i że ZSRR był państwem totalitarnym.

Przypomniałem Madzi i Maćkowi, że jeszcze przed katastrofą smoleńską, w związku z wyświetlaniem filmu Wajdy w telewizji moskiewskiej, mówiłem, że Putinowi i Miedwiediewowi idzie o sprawy wewnętrzne, o destalinizację, a jeśli idzie o demokrację, to taką, jaka w tym kraju, według nich, jest możliwa. Gdyby im na tym nie zależało, nie byłoby tego seansu w telewizji. Nie byłoby też teraz uchwały Dumy. Wobec Polski wystarczyłyby gesty.

B r w i n ó w. 29 XI. Od wczoraj śnieg i ujemna temperatura. Nagrywamy z panem D. dalszy odcinek filmu, tym razem w rozmowie z panią, która nas gości, architekt Justyną Zawadzką. On, także architekt, p.

Wyszyński. Zaczytane *Nowolipie* i *Nie boję się…* Na początku nagrałem „deklarację”, dosyć gniewnie, tyczącą tego, co w prozie „wymyśliłem”. Pan D. tłumaczył, że z jego strony był to żart. Jeśli żart, to świadczący o braku szacunku, o poczuciu wyższości. Nie, to nie był żart, powiedział tak, bo nie zna mojego dorobku, ale to mu nie przeszkadza, należy do tych, którzy szybko formułują wnioski, podziwiając samych siebie, swoją inteligencję, przenikliwość i niezawodną trafność domysłu.

Przywiózł mnie do Brwinowa p. Machnowski, operator, w towarzystwie Iriny, młodej ładnej dziennikarki z Brześcia („Wieczernij Briest”). Oboje odjeżdżają przed obiadem, bo ona za godzinę ma pociąg do Brześcia.

Obiad — we czworo (niech będzie utrwalony!): wątróbka, grzybowa, kotlety mielone (na moją cześć! dostaję kilka kotletów do domu). Ziemniaki. Wino. Dobrotliwie potwierdzam panu D. kilka udanych uwag (a w ogóle przypominam mu hebrajskie porzekadło: *marbe dworim — marbe sztut* — im więcej słów, tym więcej głupstw) i przechodzimy na ty, bez ślinienia się. Było jednak przez niego obcałowywanie, kiedy dowiózł mnie do domu i zakończył: „Kocham cię”.

Grudzień

Mail od wydawnictwa poznańskiego dla dzieci G&P: mają jubileusz i chcieliby z tej okazji wznowić „pańską uroczą książeczkę”, idzie o *Bitwę o Kozi Dwór.* Strasznie miło mi się zrobiło — i z powodu oceny tej napisanej chyba z 55 lat temu książeczki, i tego, że będzie przypomniana. Spotykałem czytelników, którzy kontakt z moją pisaniną zaczynali od *Bitwy o Kozi Dwór*, pamiętają ją. Podałem wydawnictwu telefon Moniki, niech z nią rozmawiają. Ucieszy się.

O swoich lekturach między północą a drugą w nocy nie będę pisał, chociaż i to czytanie nie jest bez refleksji. Zwykle zaczynam od przejrzenia (tylko przejrzenia) gazety. Dzwonił Maciek, że w „Polityce” jest coś wstrząsającego; okazało się, że było drugie Jedwabne, torturowanie, gwałcenie i wreszcie wydanie Niemcom 30 Żydów w Gniewczynie; Madzia mówi, że nie chce o tym czytać, ja też się nie śpieszę. Najpierw autobiografia Walickiego, a potem mój *Błazen* — wciąż błyskotliwy, mądry i dobry Boy.

Pani Anna z nowo otwartego Centrum Kultury Jidysz zawozi mnie taksówką przez zaśnieżone, mroźne ulice do ich lokalu na ulicę Andersa. Nie zwierzam się ze swoich wątpliwości co do celowości nauki języka jidysz — rozumiem, że to, co powstało w tym języku, może budzić zainteresowanie, badania dzieł i przeszłości są oczywiście konieczne, mój sceptycyzm dotyczy przede wszystkim twierdzenia o „rozwoju kultury jidysz”, kultury bez populacji. W spotkaniu uczestniczyło dwanaście osób, na ogół nie Żydzi, może zadziwić, że w taką pogodę jednak przyszli.

Najpierw wyświetlono trzy dziesięciominutowe dokumenty przedwojenne: *Warszawa*, *Lwów* i *Wilno*, z narracją po żydowsku i z napisami po angielsku. Potem ja — o mojej Warszawie: Leszno, Nowolipie, Nowolipki itd. — z licznymi dygresjami i anegdotami. M.in. o chrześcijańskiej szkole żeńskiej na tym samym dziedzińcu co nasz „Kryński”. Między innymi nigdy nie ośmielaliśmy się do tych panien się zbliżać, baliśmy się jakiegoś afrontu, i o tym, że po latach, kiedy poznałem pewną starszą panią, absolwentkę tej szkoły, usłyszałem: „A myśmy tak czekały!”. (Tu wybuch śmiechu).

Przed południem nadeszła pocztą z Wilna umowa po angielsku na *Króla*, podpisana „rector”. Okazuje się, że wydawcą jest Wileński Uniwersytet

Pedagogiczny. Czyli coś dla nauczycieli i studentów.

Książka Janusza Głowackiego *Good night, Dżerzi* wyszła w cyklu „Nowa polska proza”. W tym cyklu, jako „nowa polska proza”, są Ziemkiewicz i Wildstein.

W nocy czytam na przemian Walickiego i Głowackiego.

Sodomę, o której mówi w swojej powieści Głowa, wspomina też ksiądz w moim *Pingpongiście.* Kiedy ksiądz przypomina Mike’owi, że Abrahamowi, który targował się z Bogiem, żeby występne miasto uratować, nie udało się znaleźć dziesięciu sprawiedliwych, Mike, jak czytelnik tej powieści powinien pamiętać, odpowiada: „A może byli ci sprawiedliwi, ale bali się ujawnić?”. Otóż w tej biblijnej opowieści o Sodomie jest jeszcze inny epizod, będący metaforycznym pouczeniem: to żona Lota, która obejrzała się (wbrew zakazowi) za siebie — ostatni rzut oka na to, co zostawiła, na miasto, w którym spędziła dzieciństwo, wyszła za mąż, urodziła córki, prowadziła dom; zamieniona została w słup soli. Pan Bóg jest tu przeciw „polityce historycznej”. Nie oglądajcie się za siebie — patrzcie w przyszłość. Twórzcie nowe życie. I Lot zapładnia swoje córki. Tworzenie nowego życia nie jest łatwe, trzeba zburzyć bariery — ale ono musi być.

Znalazłem kartkę z notatką o Czarowniku, której nie miałem pod ręką podczas pisania. Nie ma tych słów w opowiadaniu. Np. o tym, że „kiedy Czarownik mniej wierzy w swoją moc, może zrobić więcej dla ludzi”. Albo: „Dusze mają swój własny lot: stąd — dotąd. A myśl, jak ją uwolnisz, poleci dalej”.

Przemówienie Maria Vargasa Llosy w Sztokholmie, z okazji przyjęcia Nobla. O czytaniu. O fikcyjnych postaciach, które zaistniały w życiu chłopca: D'Artagnan i trzej muszkieterowie, Jean Valjean; gdy pani Bovary się truje; gdy Anna Karenina rzuca się pod pociąg, a Julian Sorel idzie na szafot, odczuwa się to w każdym zakątku świata (powinien dodać: wszędzie, gdzie jeszcze czytają). Wylicza: Balzac, Tołstoj, Conrad, Mann (wg mnie: obaj Mannowie), Cervantes, Dickens, Flaubert, Faulkner, potem Sartre, Camus i Orwell. Wśród latynoskich mistrzów jest Cortázar, Fuentes, nie pomija także Márqueza, którego podobno kiedyś spoliczkował. I ci, którzy uczyli go pojmowania historii: Raymond Aron, Jean-François Revel, Isaiah Berlin, Erich Fromm, Karl Popper. „Moi" autorzy! (J.F. Revela poznałem kiedyś w redakcji „L'Express", zamówił u mnie artykuł). Peruwiańczyk należy do e u r o p e j s k i e j wspólnoty kulturalnej — pewnego pokolenia, może trzeba dodać dla ostrożności. Brak mi w tym wyliczeniu — wśród mistrzów prozy — Czechowa (co nie znaczy, że go nie zna). A wśród myślicieli Bertranda Russella, no i, niestety siłą rzeczy, Boya-Żeleńskiego.

Nie mam ochoty pójść na pewne spotkanie do Pen Clubu. Madzia namawia: „Idź". To mi przypomina p. Cogito Herberta: „Bądź wierny Idź". Różewicz ma rację, twierdząc, że to nic nie znaczy. Do tego stopnia jest to opływowe, że chętnie posługują się tym cytatem pisowcy.

Słychać bębnienie deszczu o daszek za moim oknem.

Było przełamywanie się opłatkiem w Sejmie w obecności prezydenta Komorowskiego. Nie przyszedł na nie Kaczor ze swoimi posłami. Oczywiście, padały uwagi o tym, że w dniu, w którym zwierzęta mówią ludzkim głosem… Ale ja wyjątkowo go pochwalę. Po co ta obłuda, po co to

symboliczne godzenie się na trzy minuty z kimś, komu się jak najgorzej życzy?

Ja zostałem zaproszony na sobotni „opłatek” do hotelu Victoria przez filmowców. Nie będzie tam wprawdzie ludzi, którym źle życzę, ani którzy mnie źle życzą, niemniej sytuacja jest przymusowa, podejdą tacy, których nie mogę sobie przypomnieć, coś nas może kiedyś łączyło, ale teraz nie pamiętam co.

Tomek przyniósł odbitki zdjęć Reny, które Ela, jego mama, zeskanowała. Jej portret ustawiłem na szafce u mnie, obok przedwojennego zdjęcia mojego cwaniackiego brata, a zdjęcie z Madziulką na Wiktorskiej w jej pokoju. Jeszcze niedawno uważałem, że żadne zdjęcia nie są potrzebne, że w moim mózgu jest jej obraz żywszy i trwalszy niż na papierze. Nie rozumiałem, czemu Ruth obstawiła zdjęciami Julka całe mieszkanie na Mommsenstrasse, od łazienki do sypialni. Didier, jej zięć, był zdumiony: „Przecież on na nią tak wrzeszczał!”. Nie chciała tego pamiętać — i bardzo dobrze. Po jego śmierci kultywowała (albo przynajmniej usiłowała kultywować) to, co w ich związku było wspólne i mocne.

Teraz jestem gotów sprostować swój stosunek do roli fotografii. Jej zdjęcia, spojrzenie tej pięknej dziewczyny, tak żywe, tyle ma urody, że staje się obecna. Wystarczy zerknąć na nie, na to jak ona ku nam spogląda — kiedyś wydawało mi się, że melancholijnie, teraz, po powiększeniu, widzę w tych oczach leciutki uśmiech… „Jestem”.

Po osiemnastej Janek Ordyński zawozi mnie i Uchańskiego na Woronicza, na konferencję „Dress for Success”, którą organizuje Dorota Stasikowska-Woźniak ze swoim śląskim sztabem. Janek komplementuje mnie za wywiad w „Zdaniu” („Trzech na jednego”): świetny! Wiesław:

„Świetny? Genialny!”. (Przeczytałem go ponownie. Większość przytoczonych faktów — może nawet wszystkie — mój oddany czytelnik mógłby znać z moich książek i wywiadów: dzieciństwo, oblężenie w Warszawie, wojna, przygody powojenne, dramat Marca. Dla tych, którzy tego nie znali lub nie zapamiętali, wypowiedzi mogły być „odkrywcze”. Ale nie dla mnie). Na pewno miłe było to, co powiedział za kierownicą Janek Ordyński: że w „Odrze” jest dobra recenzja Mieczysława Orskiego z *Dziennika*, w której ciepło pisze też o innych książkach. (Kupiłem „Odrę” nazajutrz. Recenzja nosi piękny, aluzyjny tytuł: „Nasz przyjaciel pisarz”. Dla mnie ważne jest, że p. Orski upomina się o uznanie dla *Brulionów*…, gorszy się tym, że moje książki nie były nawet nominowane do Nike, dwukrotnie podkreśla, że moje pretensje do recenzentów są „zasadne”. Przy okazji kupiłem autobiografię Vargasa Llosy *Jak ryba w wodzie*. Cieszyłem się na dobrą lekturę. Rozczarowałem się. Zupełnie jakby ten świetny pisarz do tej książki się zmusił. Narracja bez urody literackiej).

Trzeba dokończyć wczorajsze notatki. Najpierw krótko o konferencji kobiet, której byłem, z kaprysu Doroty, gościem (czy „honorowym”? — raczej zwykłym). Podeszła do mnie szczupła dziewczyna z długimi włosami blond, przedstawiła się i powiedziała, że polecono jej się mną zajmować. Usiedliśmy w drugim rzędzie (pierwszy to białe fotele) i ona w pewnym momencie mówi: „Niestety, muszę się przyznać, że nic pańskiego nie czytałam”. Coś jej mówiły tytuły filmów, no i nazwisko Kutza jako reżysera.

Przyszła Jolanta Kwaśniewska — opowiadała, jak dojść do sukcesu, ubierając się ze smakiem, stojąc odpowiednio przed przyszłym pracodawcą — zapomniała tylko dodać, że najpierw dobrze by było wyjść za mąż za zdolnego polityka, który zostanie prezydentem.

Właściwie to, o czym podczas tej konferencji się mówiło, jest sprzeczne z postulatami feminizmu, co jest tym bardziej zastanawiające, że organizatorki są działaczkami feministycznymi na Śląsku.

Dzwoni literat, dobry tłumacz z wielu języków, także egzotycznych, informuje, że szykuje tom o pisarzach polskich pochodzenia żydowskiego. 150 nazwisk. O niektórych, zapowiada, będzie ostro krytycznie. Dopytuje się o *Prawo i pięść* — myśli, że to o Żydach. Pytam: „Czy zna pan *Nowolipie*? Nie, nie zna! A bierze się za taki temat. Co to jest? — pyta. Staram się w dwóch zdaniach scharakteryzować. On bąka: „Może to miałem w ręku, ale mam kłopoty z pamięcią". Całkiem możliwe. I z taką wiedzą, z taką pamięcią literat opracowuje tom na trudny, delikatny zarazem temat i obiecuje sobie, że niektórym przyłoży, potraktuje „ostro krytycznie".

Wczoraj, w niedzielę, do południa gotuję. Rosół, kiełbasa w sosie pomidorowym, obieram ziemniaki, dodaję kupionego w sklepie kotleta mielonego. Mówię do Madzi: „Wyraźnie widać, że zajmuję się kuchnią po to, żeby nie pisać". Ona: „Znam to dobrze". (Przypomina mi się, jak kiedyś w Oborach wszedł do mnie Artur Międzyrzecki, zobaczył, że piorę skarpetki, i powiedział: „Wszystko, żeby nie pisać?").

Śniła mi się kilkakrotnie Rena. Tej nocy była przymilna, kochająca. Leżała na moim tapczanie, koszula ze zbyt dużym dekoltem. Mówię: „Musisz się ubrać". (Bo w pokoju byli ludzie). Budzę się, jestem tam, gdzie byłem we śnie, na swoim tapczanie, więc nie od razu uświadamiam sobie, że to był sen. I myślę, że w ostatnich miesiącach jej mózg działał jak we śnie. W naszych snach rodzice żyją, są młodzi, sprawni, i tak było z Reną,

kiedy myślała o Nawarii, o mamci, o tatku, za którego brała mnie. Nikt nie został zamordowany, wszyscy żyją i czekają na nią.

Którejś nocy — samotny, ale przecież otoczony widmami i borykający się z myślami, z odczuciami, które trudno zdefiniować — na skrawku papieru gorączkowo notowałem: „Tylko miłość, notuję, ratuje od bezsensu istnienia. Usprawiedliwia je". (Nie wiem, czy teraz bym tę notatkę potwierdził). Tym trudniej, kiedy się odchodzi, opuszcza się tych, których się kocha. Odchodzi się niekoniecznie ze śmiercią, czasem wcześniej. Kocha się mózgiem — ciało w miłości pośredniczy. Kiedy więc mózg wpycha świadomość w inne światy, nieznane, obce, gdzie nie ma swoich? Gdzie błąkamy się we mgle? Gdy dla ludzi rzeczywistych, tych obok, nie ma uczuć?

Twórczość? Sztuka? Prestiż? Ale dla kogo? Żeby powiedzieć sobie: ALE JA!?…

Literat odczuwa swoją sztukę inaczej niż muzyk czy malarz. Tamten może się upajać tworzywem — tym, co słyszy, widzi — literat pracuje pojęciami, fedruje w słowie, tworzenie musi mieć sens. Musi być dla kogoś.

Sen, w którym jestem w Oborach, w towarzystwie, i łapię się na tym, że gdzieś zostawiłem komórkę. Dzwoniłem pod swój numer, by komórka się odezwała. Milczy. Dzwonię do hotelu, do Henryka Sienkiewicza, u którego ostatnio byłem. Odpowiada, że nie ma mojej komórki u niego. Budzę się z ulgą, że nigdzie jej nie zostawiłem, jest ze mną.

I myślę: taka jest logika snu. Sienkiewicz jest ze świata fantazji, ale moje myślenie jest racjonalne; skoro byłem u niego, to trzeba zadzwonić i sprawdzić. I jeszcze, że we śnie nie dziwi mnie, iż z p. Henrykiem jestem w stosunkach koleżeńskich.

Wczoraj choinka u Madzi. (…) Od Eli dostaję coś, co wygląda na obraz. Zdejmuję opakowanie i wyłania się… duża fotografia Reny w złoconej ramie. Wzruszenie.

W domu stawiam portret (na razie) na jej tapczanie, opiera się o ścianę. Ale dziwna rzecz, bardziej powodują jej obecność te mniejsze portrety, bez ramy, bez szkła.

Dzisiaj wciąż podsypiam. Trzy godziny oglądam *Pożegnanie z Afryką* Sydneya Pollacka, wg książki Karen Blixen. Mądry, przejmujący film, ze zwięzłymi dialogami, z niedopowiedzeniami, które są pełne treści. I jak sfotografowany! Jak zagrany! (Meryl Streep, Robert Redford, Klaus Maria Brandauer). Miałem rację, kiedy zwracałem uwagę zadufanym krajowym Europejczykom, że Hollywood w ciągu bez mała stu lat istnienia wniósł bogate wiano do kultury współczesnej, wszyscy coś zawdzięczamy amerykańskiemu filmowi (tworzonemu często przez wychodźców z Europy), setki filmów, które stały się klasyką, aktorów, którzy wpisali się w naszą wyobraźnię.

Książka Marka Radziwona o Iwaszkiewiczu (którą dostałem w prezencie od W.A.B.) ciekawa, dla mnie jak dotąd szczególnie, bo tkwię wciąż w jego ukraińskiej młodości, która jest mi bliska i zrozumiała. Iwaszkiewicz wspomina z sentymentem swoje rosyjskie gimnazjum w Kijowie, pamięta świetnych, oddanych nauczycieli — zgadza się to z moimi doświadczeniami z Dąbrowicy i z Samarkandy.

Madzia z Ewą u mnie. Madzia przywiozła małą ramę ze szkłem, żeby oprawić zdjęcie Reny. Mówię: „Nie, to zdjęcie bez ramy, zwyczajne, jest o wiele lepsze, złocenie oddala ją”. „Dziadek ma rację” — stwierdza

stanowczo Ewa. „Popatrzcie — mówię — jakie to żywe, jakby była tu obecna”. Mówię to i wybucham niekontrolowanym szlochem. Obie mnie obejmują.

Marek Radziwon o Iwaszkiewiczu. 24-letni Jarosław przenosi się z Kijowa do Warszawy. Chroni się w niej przed rewolucją. Odtąd Kijów już nie będzie miastem z dużym polskim ośrodkiem kulturalnym. W Kijowie podczas wielkiej wojny działał teatr Stanisławy Wysockiej (w którym grał sam Iwaszkiewicz), wywodził się z Kijowa Brzechwa, więc i jego kuzyn Leśmian, chyba Stanisław Zieliński, spędził w nim dzieciństwo Władysław Smólski, autor *Losów dziecka*. (Także i po rewolucji mniejszość polska nadal była tu znaczna — pamiętam, że w 1939 roku docierał do Lwowa kijowski dziennik „Głos Radziecki”; i jeszcze w 1949 roku, kiedy byłem jako dziennikarz z wycieczką w Kijowie, zdarzało mi się w sklepie załatwiać zakupy po polsku). W Warszawie Iwaszkiewicz jest przedstawicielem poznańskiego „Zdroju”. Radziwon opisuje szczegółowo zatarg pieniężno-prawny z Hulewiczem. Ma dokumenty, więc je wykorzystuje.

Poznaje „pikadorczyków” — Tuwima, Słonimskiego, Lechonia. Nie dowiadujemy się, jakie było pierwsze wrażenie przy spotkaniu z nimi. Ani jak oni widzieli tego prowincjusza z Ukrainy. Jakie słowa padły. Ale wrażenia ze spotkania utalentowanych warszawskich rówieśników na pewno są, trzeba ich poszukać — bo one dla czytelników są ważniejsze niż kłopoty z Hulewiczem.

Telefonów z okazji kończącego się roku było sporo. Dzwoniła p. Agnieszka Kosińska, która sekretarzowała Miłoszowi w ostatnich czterech latach jego życia, od której już przedtem miałem sympatyczne czytelnicze

sygnały. Obiecaliśmy sobie wzajemnie przysłać swoje książki po świętach — ja *Bruliony profesora T.*, ona — sześć rozmów z Miłoszem. Usłyszałem, ku swojemu zaskoczeniu: „Ale Miłosz to nie jest mój autor. — Po chwili: — Może to lepiej”. Zgodziłem się z tym. Obiecała zdobyć dla siebie mój *Dziennik*, w którym często pojawia się Miłosz i to jako „mój autor”.

Szedłem, śpiesząc się, na spotkanie z Moniką, kiedy zadzwonił telefon: Ewa Wontor z Wrocławia. „Potrzebuję twojej rady. — Mów. — W nocy zmarł Adam”. (Jej rozwiedziony mąż, którym w jego chorobie opiekowała się). „Och! — wydobyłem z siebie. — Jego ostatnią wolą było, by pochować go w Częstochowie obok rodziców. Bo wtedy, mówił, «będziecie dbać o grób moich rodziców». Jak ja to mam załatwić? Czy ja muszę tę jego wolę spełnić?” Wiem, że mam zdecydować natychmiast — i bez wahania. „Nie musisz! Grób jego rodziców możesz odwiedzić dwa, trzy razy w roku i zadbać o niego. Czy on to wyraził na piśmie? — Nie, tylko powiedział. — Więc nie musisz. Powiedział raz to, raz tamto”. Ewa dziękuje mi. Wie, dlaczego do mnie dzwoniła — żebym ja za nią zdecydował. Zresztą on ma brata, rodzinę, która grobem rodziców powinna się zająć.

Potem myślę: Gdyby powiedział, że chce leżeć obok rodziców, to nad jego życzeniem należałoby się zastanowić. Ale on przyznał, że chciał na niej coś wymusić.

Wysłałem *Bruliony…* p. Kosińskiej. Wiejska opustoszała. Kioskarka skarży się, że tylko czasem ktoś się pojawi, Sejm zawieszony, świętowanie trwa.

Siedzimy z Moniką w Czytelniku. Pusto, jesteśmy sami. O pół do dwunastej wchodzi Bereza.

2011

Styczeń

Jest szósta po południu. Od kilku dni nie mogę się zebrać w sobie, by zapisać kilka wydarzeń — nie brak ich, chociaż być może nie są warte odnotowania. Ale chwileczkę — i to mówi mąż doświadczony, którego pewni ludzie nawet mają za „mędrca”? Co to znaczy „warte odnotowania”? Wydarzenie polityczne, jakiś nowy podłoidiotyzm? Śnieżyce, trzęsienia ziemi, powodzie? To odnotują i beze mnie. Doświadczenie, także mojego *Dziennika*, podszeptuje, że warte utrwalenia są wydarzenia na pozór nieważne, ot błahostki. One kiedyś opowiedzą o życiu, o codzienności, o zmaganiu się z inercją, z poczuciem bezsensu.

Wczoraj wpadła Ewunia, rozmawialiśmy o tym, czy mogę wydać następne lata *Dziennika*, jego główną postacią musiałaby być Rena, jej ostatnie miesiące, w upokorzeniu, w przechodzeniu z półobłędu do stanu świadomości, do rezygnacji. Zastanowimy się za dwa lata — na to z wnuczką oboje się zgadzamy.

Po raz pierwszy od wielu lat miałem powitać Nowy Rok bez Reny. Początkowo Madzia planowała pobyt z Ewunią u mnie. Ale mieszka daleko, po północy mogłyby mieć kłopot z zamówieniem taksówki, przekonałem ją, żeby została z Ewą w domu. Przyszła Ela z Tomkiem, oni mieszkają dosyć blisko, przynieśli bagietki, baleron i ogórki konserwowe. Tomek zażyczył sobie śledzia z pomidorami. Jest stock, nalewka i trochę

whisky. Uczta! Rena na czarno-białych zdjęciach jakby obecna, nie tak jak ci na fotografiach rodzinnych w kolorze sepii, łagodnie uśmiechnięta, z błyskiem w oku, a zarazem z zamyśleniem…

W dzień sylwestrowy, po południu, dzwoniłem do Różewicza. Rok 2011 — to będzie rok jego 90-lecia. „Polityka” poświęciła mu 4 kolumny. Tadeusza zirytowało, że napisano, że dostał od miasta willę. Nie willę — piętrowy domek. A jego mieszkanie miasto sprzedało.

Z Konstancina dzwonił Jacek Bocheński, od kilku lat, po śmierci Lidki, samotny; oni tam, mówi, często mnie wspominają. Przed jedenastą dzwoni, jak w każdego kolejnego sylwestra, Beata C., zaczęła w 1995 roku, czyli teraz to już po raz szesnasty.

Mail z Australii od Mai ze zdjęciem na leżaku na plaży (+30°) z rozchylonymi kusząco udami. Telefon od przemiłej, serdecznej Justyny Kawalec z W.A.B., od Wiktora Jędrzejaka (przysłał swój malarski kalendarz), także od Agnisi Sikorskiej (obiecuje sobie przeczytać wreszcie przesłane jej opowiadanie).

Dziś dzwoniła p. Maria Paczewska, nauczycielka, którą Rena przygotowywała do egzaminu z rosyjskiego; była w listopadzie na cmentarzu, odnalazła grób Reny, „piękne miejsce”; obiecałem jej przesłać książkę Reny *Krosno i rama* (pod panieńskim nazwiskiem: Irena Lebewal), gdzie jest jej zdjęcie na tle gobelinu.

Z Paryża dzwoni Zosia Żyła, z którą przed laty w Paryżu przyjaźniliśmy się; teraz chciałaby ożenić swojego syna, matematyka w Bostonie (rocznik 1985), z naszą matematyczką Ewunią (na razie w LSE). „Świetna byłaby para!” Jej córka zakochała się w Beduinie! „Izraelski? — Nie, egipski…”. Chodzi w długiej sukni. Sama wybrała sobie los.

Tomek i Ela przed pierwszą odchodzą, Tomek o siódmej rano ma odlot do Londynu. Ewa dała mu klucz od swojego pokoju w Londynie.

Na przylot Tomka Angole sumiennie odśnieżyli lotnisko. Dostaję od niego zwięzłego SMS-a: „Heathrow”. W dwie godziny później: „U Ewy w pokoju”.

W jednej i tej samej sprawie dzwoni najpierw Uchański, a kwadrans później p. Rodzeń. W plebiscycie czytelniczym Klubu Księgarza na „warszawską premierę 25-lecia” *Mój przyjaciel król* jest wśród czterech zwycięskich pozycji; prócz *Króla*, *Słownik mitów i tradycji kultury* Kopalińskiego, *Imperium* Kapuścińskiego i *Encyklopedia Warszawy* (nie wiedziałem, że coś takiego wydano). Niestety, mówi Wiesław, nagroda pieniężna nie jest przewidziana.

Książka 25-lecia!… Więc coś gdzieś się przebiło. Mój *Montaigne* nie był w „Twórczości” nawet książką miesiąca. Powiedziałem kiedyś z pychą (moi czytelnicy już chyba to znają), jednak powtórzę: „I słusznie. Bo to nie «książka miesiąca» — to książka dziesięcioleci”.

Jakby specjalnie do tej dyskusji z samym sobą doszedł mail, który dostałem pod koniec roku od nieznanego mi nadawcy. „Witam! (Wiem, że to przyjęte, ale nie bardzo mi się to spodobało). Jestem świeżo po lekturze pańskich wspaniałych zapisków zgromadzonych w *Dzienniku na nowy wiek*”. Wie, że moje „b. bogate i twórcze życie literackie… nie przez wszystkich jest zauważone”. On sam ma 15 lat (!). Chciałby mieć w przyszłości taki stosunek do świata jak ja. Teraz pragnie poznać inne moje „utwory prozatorskie”. Podpisane — inaczej niż brzmi adres mailowy: Przemek.

„Przemek” pisze to, co autor chciałby usłyszeć. Czy to nie kawał jakichś znajomych? Bo skąd zna mój adres mailowy?

Właśnie to pytanie mu przesłałem. Odpowiada, że adres przekazał mu Maciek, z którym poznali się na Facebooku. Adres mailowy daleki od jego inicjałów, bo nie chce się w takiej korespondencji ujawniać. Prosi o książkę z dedykacją, zaznacza, że koszty zwróci.

A dziś rano Madzia przekazała mi maila nadanego jej z Paryża przez Yolę Buszko, żonę Francuza, której Madzia dała *Le joueur de ping-pong*. „Książka twojego ojca (…) prawdziwe ptasie mleczko, w kręgu żabojadzkich znajomych kolejka znaczna. Dziękuję”. Co prawda, lepiej by było, gdyby ustawiła się kolejka do księgarni.

Czytałem w nocy *Le jouer…* — to mi się niewątpliwie przyda dla czekającego mnie wywiadu po francusku. Kiedy o wpół do drugiej próbowałem zasnąć, poczułem ciężar uciskający serce. Glucardiamid nie pomógł, ucisk trwał. Pomyślałem sobie: trzeba się odprężyć, obejrzeć coś miłego. Zasiadłem przed telewizorem. Nie było nic, absolutnie nic, co ktoś cierpiący na bezsenność z przyjemnością by obejrzał. Wróżka, reklamy filmików i rozmów porno, jakieś okropieństwa i *Rosemary’s Baby*, też coś stanowczo nie na tę porę.

Rano — wysokie ciśnienie, ponad 180. Od Marty Fox wspaniały mail na temat *Długiej, chyżej łodzi*. „Zaczęłam płakać w połowie i beczę dalej. Mądra przypowieść, piękny podarunek dla «Rebeki». (…) Twoje opowiadanie powinny wydrukować wszystkie gazety literackie i kolorowe pisma (…). Lovjam Cię (!)… Twój martafox”.

Wczoraj z Maćkiem na cmentarzu, było słonecznie, droga między grobowcami odśnieżona, nieślisko, grób Reny pokryty wysokim śniegiem, położyliśmy wianuszek z gałązek świerkowych, zapaliliśmy znicze.

Spotkanie krótkie, ale przynoszące ulgę — że grób w porządku, Rena zadbana.

Opowiadam Maćkowi, z jakim smakiem jego mama jadła jajecznicę — i moja uwaga: że smakowite jedzenie (a repertuar mieliśmy niewielki) przywracało ją do rzeczywistości, wiedziała wtedy, kto daje, dlaczego, czuła opiekę, a na pytanie: „Jak smakowało", odpowiedź: „Wszystko, co dajesz, jest znakomite".

Rozmowa z p. Rolandem Baumannem dla wychodzącego w Belgii miesięcznika „Regards" (był po wojnie taki francuski tygodnik, który do naszej redakcji docierał), pisma, jak redakcja informuje, „laickich Żydów". Przeczytał *Le joueur de ping-pong*, podobają mu się dialogi, uderzyło go, że tyle jest momentów zabawnych. Wyjaśniam, a on to rozumie, że nie jest to epicki opis zbrodni, jest to książka o bestialstwie (*bestiality*), zjawisku zaraźliwym (*contaminous* — on kiwa głową) i o ludziach, którzy d z i s i a j, 60 lat po wydarzeniach, muszą żyć z ciężarem zbrodni, która się dokonała w ich miasteczku. On wspomina postać Księdza — przecież ten rzeczywisty był zupełnie inny. Tak, przyznaję, stworzyłem go (*I created him*). Ale takie jest prawo pisarza. Wedrzeć się do mózgu i odkryć to, co przed samą postacią jest ukryte. Bez tego prawa nie byłoby *Zbrodni i kary* Dostojewskiego.

Rozmowa telefoniczna z Pomianowskim. Jest starszy ode mnie i wciąż w świetnej formie. Według niego, Vogelmann i jego „La Giuntina" we Florencji (wydawca włoskiego *Nowolipia* i *Oka Dajana*) jest czynna, „poślij mu francuskiego *Pingpongistę*, ja do niego zadzwonię". Pyta: „Jesteś sam? — Sam". — Musi ktoś z tobą być w nocy. Mówię ci to jako lekarz. — Nie jest łatwo wpuścić kogoś do mieszkania. — Czy dotarło do ciebie — pytam — moje opowiadanie o sprzedawcy snów? I tu podnosząca

na duchu odpowiedź: „Tak, dotarło, zamieścimy przekład w «Nowej Polszy»”. Dzwonię z tą wiadomością do Madzi. Ogromnie usatysfakcjonowana. Maciek oczywiście też.

Mail od p. Doroty Pohoreckiej, która załatwiała ze mną wydawanie audiobooków dla Heraclonu. Przejęta opowiadaniem. „Płakałam nad utratą bliskich nam osób. (…) Moja dziesięcioletnia córka wzruszona *Nowolipiem* (!!), chłonie moje opowieści o panu, to taka wartościowa lekcja życia dla nas”.

Nie wiem, czy to jest taka korzystna lekcja życia. Są chyba bardziej pożyteczne wskazówki dla zmagania się z rzeczywistością. Co jest wystarczające dla mnie — nie musi być wystarczające dla innych.

Dzwoni Maciek, że „odkrył” *Twarz pokerzysty.* Świetna książka! O jej wznowieniu — po 4o latach! — nie było ani jednej informacji. Ci, którzy omawiają polskie kryminały, nie wiedzą, że był taki tytuł.

W poniedziałek ukazał się „Przegląd” ze szkicem Madzi: „Serialowe prawo do szczęścia”. Dzwoni Uchański z komplementami. Zdumiewa się: skąd ona to wszystko wie? Co oglądają kobiety w Afganistanie, co w Egipcie i jak musi się kończyć serial w Turcji. Odpowiadam: pasjonuje się tym… Potem rozmawiamy z Wiesławem o *Odejściu Afrodyty.* Rozmawiamy, bo telefonowała Monika, że poznańskie wydawnictwo audiobooków chce wydać właśnie tę powieść (dla Związku Niewidomych czytał ją znakomicie Krzysztof Kolberger).

Czyli — profesjonalnie — zapowiada się dobry rok, „owocowy” — jak to określał István, Węgier pracujący w Finlandii, który ukończył łódzką filmówkę.

Przebudzenia, a później bardzo szybki przebieg dnia, niemal błyskawiczny, i już wieczór — uświadamiają, że resztka życia ucieka z pośpiechem. Matematyka staje się nieubłagana. Ten upływ życia przyśpieszany jest przez zajmowanie się sobą — zakupy, przyrządzanie posiłków, dzienniki telewizyjne, przerzucanie gazet, odbiór telefonów, z których większość proponuje atrakcyjne okazje, „pański numer telefonu wylosował nagrodę" — słowem, tak traci się czas. Przydałby się ktoś, kto by to wszystko za mnie robił, ale zarazem nie zajmował czasu dla siebie, nie wymagał rozmowy.

Z wywiadu udzielonego przez sekretarza Szymborskiej, p. Michała Rusinka, dowiaduję się, że „ona nie chce żadnej służby", sama robi zakupy, sama przyrządza sobie posiłki. Jest zdjęcie, jak p. Wisława pisze w pozycji leżącej. Co pisze? Limeryki, notatki do wiersza. Tu jest właśnie różnica między pracą poety (ona sama wielkodusznie wątpi, czy to można nazwać pracą) a harówą prozaika. Trzeba siedzieć przy biurku, mieć przed sobą papiery, dokumenty, czytać, szukać, obcować z postaciami, autentycznymi czy wymyślonymi, zajmowanie się gospodarstwem to marnowanie czasu.

Z Madzią w kawiarni Czytelnik przy stoliku opuszczonym przez Konwickiego. Potem podchodzę do Głowackiego, który siedzi z córką, miło wyglądającą dziewczyną. Pozwoliłem sobie zwrócić mu uwagę, że w powieści o Kosińskim (*Good Night, Dżerzi)*, kiedy powołuje się na Mojżesza, popełnia błąd. Wyjaśniam, jak było i usprawiedliwiam się, że dwie pierwsze księgi Pięcioksięgu znałem na pamięć i to w oryginale. Mojżesza, dodaję, Bóg nie wpuścił do Ziemi Obiecanej. Wódz nie został wpuszczony! — i to jest ta wielka metafora. „Nie wiedziałem" — przyznaje Głowa zafrasowany. Autor, mówię, ma prawo popełnić błąd, ty nie jesteś

winien, ale ten pyszałek redaktor, który mnie pouczał, jak mam konstruować powieść, powinien był to sprawdzić.

O *Dżerzim* powiedziałem: „Maestria!”, i jeszcze: „Kiedy czyta się tę książkę, człowiek jest szczęśliwy, że mieszka w Alejach Ujazdowskich”. Zdaje się, że był tym zaskoczony. On jednak ten Nowy Jork znosi i lubi.

Coś jeszcze o Biblii. W Oborach Marek Hłasko, rozsławiony już *Pierwszym krokiem w chmurach*, wszedł po coś do mojego pokoju i zobaczył leżącą przy łóżku Biblię, opasłe ewangelickie wydanie w tłumaczeniu (katolickim) ks. Wujka. Wziął tom do ręki, popatrzył, dostrzegł tu i ówdzie podkreślenia. „To się da czytać? — spytał. — Jeszcze jak! — Pożycz. — Dobrze, ale do zwrotu”. Zamierzałem napisać sztukę o Mojżeszu, o dyktatorze, który musi poradzić sobie z niezdyscyplinowaną zgrają, która włócząc się po pustyni, skazana na nieapetyczną mannę, wspomina z utęsknieniem dobre, tłuste czasy w Egipcie.

Wkrótce po tej rozmowie Marek wyjechał do Paryża i już do Polski nie wrócił. A co z moją Biblią, z zaznaczonymi przeze mnie fragmentami? Zwróciłem się do Olimpii Grochowskiej, która opiekowała się zostawionymi przez Marka rzeczami. „Marek zabrał Biblię ze sobą” — poinformowała mnie p. Olimpia. Minęło parę miesięcy i przeczytałem w angielskim tygodniku, bodaj czy nie w „Observerze” (może się mylę, może to był „New Statesman”) wywiad z Markiem. Dziennikarz odwiedził go w hotelu, chyba w Niemczech, i zauważył na nocnym stoliku, tuż przy lampce, Biblię. Moja Biblia! — pomyślałem, właściwie dumny z tego, że do czegoś się przyczyniłem. Bo kiedy Marek pisał swoje opowiadania izraelskie, na pewno znajomość Biblii mu się przydała.

A ja ze sztuki o Mojżeszu i tak bym zrezygnował. Mam teraz dwa wydania Biblii, to drugie w najnowszym przekładzie to Biblia Tysiąclecia.

Czyta ją ksiądz Ziemek w *Pingpongiście* i zastanawia się nad goryczą Boga, któremu tak nie udał się jego stwór.

Kartka od Ireneusza Kani, że opowiadanie „piękne, poruszające”, przywodzi mu na myśl „poemat Miłosza o Eurydyce po śmierci Carol”. Obie te rzeczy „wyrosły z podobnego bólu” i „świadczą o sile artysty”.

„Piękne, poruszające” — dokładnie tych samych słów użył p. Liskowacki w swoim długim liście. Przy okazji wrócił do moich opowiadań (niektóre wymienia). Pani Jolanta, jego żona, załączyła kartkę, w której tuli mnie do siebie.

Godzina na Myśliwieckiej, na żywo dla „Radia dla Ciebie”. Właściwie to, co mówiłem, adresowałem do tych, którzy nie znają *Nowolipia* i innych książek autobiograficznych. Nie ma się czym przejmować — takich słuchaczy jest większość. Ilu ludzi nas słuchało — nie wiem, może tylko kilkadziesiąt osób, podobno jednak było „świetnie”. Pan Gaszyński, który to prowadził, nie wie nic o „Żołnierzu Polskim”, nie słyszał o moim debiucie, wyobraża mnie sobie jako byłego „wojskowego”, z konieczności więc zadawał naiwne pytania — i to było właśnie przydatne, przeżycie własne a wyobraźnia, dokument a fikcja. O nieobecności we mnie strachu. Czy zdarzało mi się być głodnym? Dobry sobie! Opowiadam o *Nikt nie woła*. O szkole pedagogicznej w Dąbrowicy i ile jej zawdzięczam. Kilka razy obaj wybuchaliśmy śmiechem. Na szczęście do pewnych zużytych przeze mnie epizodów nie musiałem sięgać.

Pytał o „ziemię niczyją” (w 1939 r.) i jak przedostałem się na Wschód. Nie czytał *Nowolipia*! (Na szczęście).

Pani Gaszyńska, miła, roześmiana, inteligentna (architekt krajobrazu), odwoziła mnie z Radia do domu. Mają dwoje dzieci po maturze, musiała

być bardzo młoda, kiedy wyszła za mąż. Za faceta z Trójki, który prowadził listę przebojów.

Dziś rocznica wyzwolenia Warszawy. W mediach i w kołach rządowych — milczenie. Boją się słowa „wyzwolenie”.

Bronisław Wildstein wstrząśnięty tym, że Szymborska dostała od Komorowskiego Order Orła Białego: trudno nie wspominać teraz, że pisała wiersze o Stalinie. Co za głupota! (Najpierw napisałem: „co za świnia!”. Ale pomyślałem sobie, że to, co p. Wildstein pisze o Szymborskiej, to przede wszystkim głupota, brak rozumienia, jak przebiegały ludzkie doświadczenia, „świństwo” jest już tylko konsekwencją).

Pan Jacek Trznadel w „Naszym Dzienniku” zamieszcza artykuł o „katastrofie” — tak, używa cudzysłowu! — smoleńskiej. Bo to żadna katastrofa — zamach. Była uruchomiona maszyna do wytwarzania sztucznej mgły. Elektronicznie unieruchomiono (z zewnątrz) wszystkie wysokościomierze.

W jakiś przewrotny sposób te brednie pana Trznadla cieszą. Bo dezawuują także te wredne ataki na Boya. Opętany.

Kontakty towarzyskie, także domowe, ludzi gromadzących się przy stoliku, nie miały nic wspólnego z uznaniem dla ich twórczości. Bywali u siebie, telefonowali, by rozmawiać o ostatnim meczu, spotykali się, by grać w brydża, zjeść razem, wypić — imieniny, Gwiazdka, sylwester, „jajeczko” — ale to, co jeden myślał o drugim, nigdy sobie nie powiedzieli. „Jaka to zła literatura!” — powiedział mi kiedyś o kimś Holoubek, wiedział, że go nie sypnę.

Moja półroczna obecność w Paryżu (X 1969–IV 1970) to był w pewnym sensie test: nikt z nich się nie odezwał, nawet kiedy bywali w tym czasie za granicą. Rena, zaniepokojona, domyślając się, co się we mnie dzieje, przybiegła do stolika, wymusiła, żeby ktoś do mnie napisał. Dostałem kartkę od Szymańskiej: „Okazuje się, że brak tu kogoś takiego jak ty”.

W nocy, wśród chaotycznych myśli, z których jedna zaczepia o drugą, każde wspomnienie powoduje napływ skojarzeń — coś o Iwaszkiewiczu. Dlaczego nie zrobił międzynarodowej kariery? Dlaczego jego proza — nie mówiąc już o poezji — nikomu na Zachodzie nie jest potrzebna? Bo to proza bez wiodącej postaci, bez bohatera, którego losy by przejmowały. Jednak pięknoduch. Nie ma u niego takiego napięcia narracyjnego — porównajmy tylko! — jak u Bellowa, Mailera, Hellera, Rotha, Irvinga, Updike’a — nie mówiąc już o pięciu wielkich, bądź co bądź, z grubsza jego rówieśników: Hemingwaya, Faulknera, Steinbecka, Caldwella, Dos Passosa. Nie napisał nic takiego, jak London, Dreiser, Malraux, jak Remarque. No i jak Tomasz i Henryk Mannowie. Można wyliczać jeszcze, każdy może dodać jakichś europejskich autorów z powodzeniem. Čapek, Graves, Cronin, Józef Roth, Arnold i Stefan Zweigowie. Nie, nie został „skrzywdzony”. Więcej miał zasług — chociaż i o to można się sprzeczać — jako działacz, redaktor, właściciel Stawiska, w którym udzielał schronienia potrzebującym.

Czerwone tarcze — tak chwalone — to proza dla ceniących nudziarstwo polonistów. Zdania toporne. Nie potrafiłem przeczytać więcej niż 30 stron. Próbowałem dwa razy. Jest kilka świetnych opowiadań, niektóre zawdzięczają swoją pozycję filmom, Wajdzie i Kawalerowiczowi. O sztukach on sam wiedział, że nie najwyższego lotu. „Oni tam gadają i gadają” — powiedział tak do mnie o *Lecie w Nohant*.

Dzwonił do mnie dziennikarz z „Angory”, polecony przez „Pieguskę”, z zapytaniem, czy interesują mnie gry losowe. Niewiele miałem mu do powiedzenia, prócz tego, że kiedyś (w gorączce!) wymyśliłem niezawodny system w totolotka. Dołożyłem do tego: była wtedy „zima stulecia” i najniższy poziom wpłat. A potem gorączka mi przeszła i z systemu zrezygnowałem. Pytał, na co bym wydał pieniądze, gdybym wygrał milion. Dałbym je swoim dzieciom. Ja już takich pieniędzy nie potrzebuję. „Jak to? Nie kuszą pana podróże, zwiedzanie? — Nie. Najlepszy sposób «zwiedzania», to żyć wśród tych ludzi, nie gapienie się na posągi. W Samarkandzie zaprzyjaźniłem się z rodziną tadżycką i byłem traktowany jak ktoś z rodziny. Egzotyczne podróże są dziś nieciekawe, świat został «zorbisowany». — To prawda — przyznał on, zna się go zresztą z telewizji. — Nie byłem w Stanach, ale dzięki kryminałom i filmom Allena znam takie miasta jak Nowy Jork, San Francisco, Los Angeles, Chicago, Las Vegas”. Pytał, nad czym pracuję, więc powiedziałem, że właśnie zakończyłem przegląd ostatniego rozdziału amerykańskiego wydania *Nowolipia*.

Wczoraj czytanie wydruku *Bitwy o Kozi Dwór.* Jestem, mówię, szczęśliwie zajęty. Nie mogę odczuwać osamotnienia i pustki.

Z Piwowarskim w Czytelniku. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, prawie 40 lat temu, to też był Czytelnik i pamiętam, jak z sąsiedniego stolika gapił się na niego zachwycony Stryjkowski. Piwowarski jest pod wrażeniem *Pingpongisty.* Chce to robić, właściwie normalne kino, ale

poprzez teatr telewizji. (Tak jak zrobiono *Mgiełkę*). Nie ma jednak pewności, że powiedzą: „Tak, róbcie”.

Luty

Dwa dni temu, w niedzielę, Maciek zawiózł mnie do Konstancina na spotkanie z Różewiczem, który zjechał z Wrocławia. Jak zwykle, mieszka w „jedenastce”. Trochę pogadaliśmy, potem Tadeusz wyciągnął whisky, piliśmy bez wody. On: „Może widzimy się po raz ostatni”. Ja: „Nie, dlaczego? Przyjadę do Wrocławia — może «Odra» mnie wezwie”. Różewicz uprzedził mnie, żebym więcej nie publikował notatek o nim. Ja, że w ogóle nie mam zamiaru nic publikować. (Obaj zmienimy zdanie).

Litwini przysłali honorarium za *Króla*. Planują wydanie w połowie przyszłego roku, tłumaczy Vytautas Dekšnys.

W „GW” na Czerskiej, na spotkaniu poświęconym 90-leciu Jerzego Pomianowskiego. O którym on sam na wstępie powiedział (zdaje się, że powtórzył po kimś), że to „próba generalna pogrzebu”.

Spróbuję coś odnotować. Jestem z Mają. Prowadzą nas do pierwszego rzędu. Za mną jakaś starsza para, ona ufarbowana na czarno, w nim odgaduję kogoś z dawnego wojska (był komandorem). Po komplementach pani pyta: „Nadal pan robi *Nie boję się bezsennych nocy*?”. Ja: „Nie. Teraz już się boję”. Jakieś dwie panie w drugim rzędzie kwitują to z sympatią. Po lewej stronie siada obok mnie p. Kasia Nowicka, ma dla jubilata kwiaty od ministra. Dostawiają dwa krzesła dla spóźnionych Wajdów.

Przedtem jednak, kiedy jeszcze zdejmowaliśmy palta, była rozmowa z Głowackim. Ja: „Chcę ci powiedzieć coś miłego”. Opowiadam, jak czekając na wiadomość, że Madzia wylądowała, niespokojny sięgnąłem po

Z głowy. To jest przy drugim czytaniu jeszcze smakowitsze. Nie interesuje już co, tylko jak. Kilka razy wybuchnąłem śmiechem. Ten śmiech chyba najbardziej go ucieszył. Wróciłem do tej rozmowy po panelowej gadaninie, po odśpiewaniu przez Olenę Leonenko kilku piosenek, kiedy staliśmy w tłumie popijającym wino. „Chcę ci powiedzieć, że zgadzam się z tobą co do Wyspiańskiego. — Nareszcie ktoś! — Kiedy czytałem, jak uwodzisz aktorkę, którą czekał występ w *Nocy listopadowej*, pomyślałem: Ale to straszna grafomania!”. On: „Lejesz mi miód na serce”. Opowiadam mu, że w *Odejściu Afrodyty* coś takiego mówi bohater o *Wyzwoleniu*. Ale, dodaję, mogłem się bronić: takie straszliwe bluźnierstwa rzuca postać, nie ja. „Ty takiej osłony nie masz”. (Teraz, przepisując to, pomyślałem, że reżyserzy teatralni, ci młodsi szczególnie, lubią grafomanię klasyków. Bo można się do tego dobrać, „przepisać” i jeszcze się zasłużyć: przecież to „klasyka!”).

Głowa zwraca uwagę na opalony biust Mai. „Gdzie się pani tak opaliła? — W Australii”. Ja tej opalenizny nie zauważyłem, On: „Bo ja mam spojrzenie z góry”. Maja zachwycona komplementem. Nareszcie wie, po co się tak w Australii smażyła.

Podchodzi Kwaśniewski. Wita się, „pamiętam, że miałem telefonować”. „Czytał pan prezydent *Pingpongistę*? — Naturalnie. — Aprobuje pan? — No pewnie. — Z uśmiechem: — W dwóch powieściach już jestem!” (Ta druga to *Bruliony*…).

Z Rotfeldem trochę o Szeptyckich, o *Dzienniku* (kupił go, czyta na wyrywki, zauważył, że jest sporo o Januszu Majewskim, żałuje, że nie ma indeksu).

Do uścisków podchodzi Teresa Torańska. Jest Sławomir Popowski, były korespondent PAP w Rosji, mamy o czym rozmawiać, jego ulubioną książką stały się *Najpiękniejsze lata* — nie, prostuje, przede wszystkim *Mój przyjaciel król*. Rozumiem: to podejście profesjonalisty, obie książki

zawierają mnóstwo informacji o Rosji. Rozmawiamy o porzekadłach rosyjskich. Wybuch śmiechu kwituje nauczone od Niusi Kamyszewej w Samarkandzie: „Wsiem dawat’ — nie uspiejesz wstawat’”.

Niusia Kamyszewa… Rena mi ją wybaczyła. A co by powiedziała, gdyby dotarło do niej, że pewne jej powiedzenie uratowało mi życie?

Nie jestem pewny, czy czytelnik kaleka, czytelnik niepełnosprawny, chce czytać książki, których bohaterem byłby kaleka. Że garbus chce czytać o szlachetnym garbusie, a karzeł o karle. Raczej woli czytać o bohaterze, któremu wszystko się udaje, o dzielnym i sprawnym uwodzicielu. Lubią westerny. Dawniej bohaterami byli Tom Mix i Douglas Fairbanks, później podziwiali przystojnego Gary Coopera, Errola Flynna, Johna Wayne’a, Clinta Eastwooda. Tak samo jak podziwia się koszykarzy i tyczkarzy. Bo podczas czytania (czy oglądania filmu) następuje proces IDENTYFIKACJI. Odbiorca wciela się w bohatera, to jemu samemu się udaje, to on świetnie ripostuje, żartuje, uwodzi. (Jeśli autor umie to przedstawić). Brzydule zachwycają się pięknymi aktorkami, krzywią się: „jak się ta Shirley czy Zośka (Loren) zestarzała”. Albo też: „I co oni w niej widzą?”.

Czy człowiek stary szuka książek, które przygotowują do śmierci? Moje doświadczenie ze schorowanymi czytelnikami *Nie boję się…* jest inne. Szukają takiej lektury, bo ona godzi z życiem, nie tragizuje, daje dystans. Spotykałem się z taką reakcją — i taką potrzebą — niejednokrotnie.

O pewnej pani:
Ma w sobie dużo kobiecości — prawie jak gej.

W nocy, chyba z niedzieli na poniedziałek, rozmyślając o Frau Goebbels, tej opętanej wielbicielce Führera, dzieciobójczyni, przyszło mi na myśl, że

gdyby któreś z jej dzieci się uratowało, zobaczyłoby, jak wyglądają Niemcy bez narodowego socjalizmu, jak bardzo obłąkani byli rodzice. I odtąd nie przestaję myśleć o tym opowiadaniu. *Ta szósta* — tak je w myśli nazwałem. Sięgnąłem po grubą książkę *Goebbels* R.G. Reutha (tłum. M. Misiorny), kiedyś chciałem ją wyrzucić — po co mi ten obrzydliwy Goebbels — okazuje się, że nie należy wyrzucać książek — póki tchu, nie wiesz, czy ci się nie przydadzą. Jednak obłąkani — i on, i Hitler żyli w ostatnich dniach w zupełnym braku poczucia rzeczywistości. Pletli o winie „międzynarodowego żydostwa", Hitler o tym, że on wcale nie chciał wojny, w 1939 było referendum, naród opowiedział się za twardą postawą — czyli wojną.

I ten Goebbels — szczęśliwy, że Hitler, w przeddzień samobójstwa, mianował go kanclerzem! — on, kuternoga z małej miejscowości, kanclerzem — na jeden dzień!…

Syn Magdy z pierwszego małżeństwa, Harald Quandt — ten się uratował, bo nie był z mamusią, był jeńcem brytyjskim w północnej Afryce.

22-letnia aktorka Lida Baarová, Czeszka, kochanka swojego partnera Gustawa Fröhlicha, odnajduje w sobie miłość do — no właśnie, do kogo? — do dyktatora przemysłu filmowego Rzeszy. Później, już grubo po wojnie, upiera się, że go kochała. Tak wolała to przedstawiać… Ach, i te jego zapiski z dzienników — jakie ma „złamane serce", bo musi się z nią rozstać.

Zbrodniarz ze „złamanym sercem". To obniża wagę, niezwykłość uczucia miłości. Można by się wstydzić, że bywało się zakochanym, skoro potrafił się zakochać także ktoś taki…

Ale może to jednak nie to samo uczucie…

Zwięzła informacja autora, że po samobójstwie Hitlera wśród personelu bunkra (ponad 200 osób) uczucie ulgi — pijaństwo — radość. Bali się, że Führer będzie żądał, by wszyscy popełnili samobójstwo. Nie zrobił tego. Z własnym samobójstwem też się wahał do ostatniej chwili. Bo może nadejdzie 9. armia? Gdzie się podziewa Wenck?

I jeszcze o tych dzieciach Goebbelsa. Okrutna Nemezis. Mordował długo cudze dzieci — aż wreszcie zamordował własne.

Przyszło mi na myśl, że zbyt duża wiedza na temat Goebbelsów może osłabić dramatyczność zamysłu. Trzeba skupić się na tym, co chcę pokazać, co powiedzieć… Choćbym nie miał na to potwierdzenia w dostępnych faktach.

21 lutego, poniedziałek. Wczoraj, w niedzielę po południu, zacząłem pisać to opowiadanie o córeczce Goebbelsów (Heidi), całkowita niespodzianka, pomysł naszedł mnie którejś nocy i już się nie odczepił. Tytuł (na razie): SZÓSTE, NAJMŁODSZE, zaaprobowany przez Madzię. (Jest we Wrocławiu, u ciotki).

Nazwisko radzieckiego dowódcy bunkra autentyczne, major Chasin, tak je pisze z niemiecka Reuth, naprawdę jest to chyba Chazin. Tylko wielbiciele Nadieżdy Mandelsztam wiedzą, że ta kijowianka była z domu „Chazin”. Drugie nazwisko rosyjskie, Chitrow, jest już całkowicie „moje”, tak się nazywał pewien szpakowaty już major, inteligent, z którym ja, wtedy osiemnastolatek, rozmawiałem podczas długiej podróży pociągiem z Ilecka do Taszkientu. Podał mi swój adres moskiewski — Nikitski Bulwar 10 — żebym go koniecznie odwiedził po wojnie. Próbowałem w 1956 roku,

ale nie było już po nim śladu. Ten adres przypiszę w opowiadaniu majorowi Chazinowi.

Wczoraj ugiąłem się (przez telefon): zgodziłem się na samotną podróż Madzi do Tajlandii na cały marzec. Odzyskała humor.

W nocy czytam *A Woman in Berlin*, dziennik anonimowej autorki, bystrej, niewątpliwie utalentowanej, inteligentnie komentującej. Dowiedziałem się od niej, że w środę, tego dnia, w którym zaczyna się moje opowiadanie (2 maja 1945 r.), padał deszcz. Ulice były puste, bo kobiety ukrywały się w piwnicach lub na wyższych piętrach. (Rosjanie nie lubili się wspinać po schodach — może bali się pułapki).

Dzisiaj przerwa w pisaniu — nie w myśleniu. Jest mróz, w dzień było słonecznie. Poszedłem do papiernika na pl. Trzech Krzyży (na poczcie), kupiłem 2 bloknoty i naboje do pióra wiecznego.

Będę musiał się pilnować, by w tym opowiadaniu się nie rozgadać, nie poddać się nabytej wiedzy (która zresztą jest wspólna wszystkim, którzy interesują się upadkiem Hitlera) — ważne jest to, co chcę wyrazić. Moi krytycy będą mi wytykać, że buduję akcję, dramat dusz, poprzez dialog. Ale narrator nie chce wydarzeń komentować, udziela głosu postaciom.

Powiedziałem sobie (i kilku osobom), iż pomysł jest tak ambitny, że jeśli wykonanie zawiedzie, opowiadania nie opublikuję. Bardijewski: „Żaden pisarz o twojej pozycji nic takiego (że może się «nie udać») by o sobie nie powiedział”. Usłyszałem od niego, że mój *Dziennik* jest u nich stale na widocznym miejscu, podczytują go sobie.

Rano telefon z Teatru Polskiego. Sekretarka łączy mnie z Andrzejem Sewerynem, który wczoraj przyleciał z Paryża. Pytam: „Czy ty mnie jeszcze pamiętasz? — No wiesz!…”. Czy miałby chęć i wolę, by coś przeczytać? Oczywiście. Opowiadam krótko o przygodach *Siatki na motyle* — w Teatrze Słowackiego w Krakowie i w Rozmaitościach u Jareckiego w Warszawie. Nie mówię o tym, że sztukę komplementowała Krystyna Janda, jego była żona. „Wiem, że chcesz robić prawdziwy teatr”. Roześmiał się. Rozmowa serdeczna. „Do zobaczenia, kochany”.

(Nazajutrz, w czwartek, tak jak umawialiśmy się podrzuciłem *Siatkę*… do sekretariatu. Dodałem do tego *Le joueur de ping-pong* dla jego frankojęzycznej rodziny. Młody człowiek, który teraz pracuje w sekretariacie, powiedział, że dyrektor odbierze przesyłkę w piątek, będzie ją miał na biurku).

Jest godzina 14.00, kiedy zwala się do mnie ekipa z telewizji, z kanału „Kultura”, 6 osób, przechodzimy do pokoju Reny, ale i tam robi się ciasno. Mam przez kilka minut mówić o przykazaniu „Czcij ojca i matkę” — to ma być taka refleksja przed odcinkiem *Dekalogu* Kieślowskiego, którego nie znam. W ogóle pomysł, by telewizyjnie wypowiadać się na temat Dekalogu, uważam co najmniej za nieskromny.

Mówię o tym, że akurat piszę opowiadanie, które skłania do refleksji nad tym właśnie przykazaniem. Opowiadam o matce, która otruła swoje dzieci. I co, czcić ją?

Potem o tym, że przykazania w Dekalogu są traktowane jednakowo, a przecież one nie są równoważne. Inne jest znaczenie przykazania „Nie cudzołóż”, a inne „Nie zabijaj”. Ale są kraje, gdzie cudzołożnicę się kamienuje, a zabójca chodzi w glorii bohatera. Zdarza się to i w Polsce.

Dekalog, tworzony trzy czy nawet cztery tysiące lat temu, odzwierciedla ustrój niewolniczy, władzę człowieka nad człowiekiem, obronę własności, władzę mężczyzny nad kobietą, ojca nad dzieckiem. (Abraham składający Izaaka w ofierze, do czego anioł Boży nie dopuścił — ta opowieść oznaczała przełom, odtąd mają być ofiary ze zwierząt, a nie z dzieci).

I jeszcze to, że dodałbym do Dekalogu dwa przykazania. Jedno (które już kiedyś przytaczałem): „Nie upokarzaj ani nie poniżaj bliźniego swojego". (W ustroju niewolniczym nie mogło ono zaistnieć). I drugie, w myśl zaleceń Janusza Korczaka: „Szanuj dziecko swoje". I cudze, oczywiście, też.

Wieczorem z Mają do Ateneum na *Sceny niemalże małżeńskie Stefanii Grodzieńskiej*, które wysnuła Grażyna Barszczewska z tekstów Grodzieńskiej (i Jurandota). Kiedy weszliśmy, dopadła mnie Sławka Łozińska, teraz dyrektorka, i wycałowała — na oczach pary bileterów. Odtąd byłem za głównego celebrytę, stale pod ostrzałem fleszów. Zwłaszcza kiedy przy szatni podszedł do mnie młody, postawny mężczyzna z *Dziennikiem* po podpis, wziął ze sobą książkę, bo wyczytał w niej, że jesteśmy z Grażyną zaprzyjaźnieni i domyślił się, że tu będę. Moje „celebryctwo" zakończyło się szczęśliwie, kiedy pojawiła się Jolanta Kwaśniewska.

Pocałunek od atrakcyjnej pani, która przypomina, że się znamy — tak, znamy się, pani Kanownik, przypominam sobie, że jej nazwisko mnie zaintrygowało, coś jak „czynownik". Jest Myśliwski z żoną. Jest Magda Umer. I jest p. Kukuła, dyrektor teatru radiowego, od którego dowiaduję się, że będą przygotowywać słuchowisko „według pańskiego magicznego opowiadania".

Spektakl przyjemny, świetnie grany (partnerem Grażyny jest Grzegorz Damięcki, wspominaliśmy przez chwilę jego przystojną babcię, Irenę

Górską, miała rólkę w filmie *Bitwa o Kozi Dwór*). Jakiś zrzęda mógłby narzekać, że teksty pani Stefanii bardzo „Przekrojowe”, błahe, sytuacje małżeńskie nieraz wykpiwane, ale precz ze zrzędami, była godzina zapomnienia, ulgi, był śmiech i oklaski. Potem winko, Grażyna wyszła do nas, ustawiła się kolejka do gratulacji i pocałunków.

Jest powodzenie, bilety wykupione do końca marca. Publiczność czegoś takiego łaknie.

W sobotę (26 II) intensywne pisanie opowiadania. (W nocy notatki). To dzień, w którym mija pół roku od śmierci Reny.

Dziś ostatni dzień lutego. Nie piszę — przerwa, dla bohaterów przeskok w czasie, ćwierć wieku, to ta część opowiadania, która zadecyduje o przesłaniu, które powinien sobie wyciągnąć czytelnik sam, mam nadzieję.

Gdzieś koło siódmej wieczorem przychodzi Madzia. Opowiadam jej o pewnym rozwiązaniu: bohaterka (Ruth — dawniej Heidi) zwierza się Chitrowowi z dwóch fascynacji miłosnych. Miłość — to jest aprobata życia, uczestnictwo w nim. Dziś przyszło mi na myśl, że ona uświadamia sobie ze zgrozą, że gdyby wtedy się nie uratowała, nie zobaczyłaby pewnych filmów, musicali, neorealizmu, Felliniego, *Rzymskich wakacji*, *W samo południe*, Beatlesów. Ten świat, bez Führera, nasz świat, nie jest idealny, o nie, ale jest ciekawy, ma osiągnięcia, bujność, można się zachwycić.

Marzec

Natrafiłem na półce na *Sto lat temu umarł Dostojewski* Adolfa Rudnickiego i podczytuję to. Nie ma dziś w tym tekście tej świeżości, sprzeciwu, ostentacyjnej przekory, co odczuwało się dawniej. Raczej świadectwo dotyczące osobowości samego Adolfa. Ciekawe, że mało go

obchodzi reakcyjność Dostojewskiego — na co dzień, w zapiskach. Zdaje się, że powątpiewa w ich szczerość. Że podejrzewa, iż kierował nim, Dostojewskim, strach — że wszystko się powtórzy, znowu będzie katorga.

Podlewanie kwiatów. Często odczuwam podczas takich czynności, że Rena mnie kontroluje: A kwiaty podlałeś? Jak ty to robisz?

A teraz w Polsce nowy wstrząs: Adam Małysz ogłasza koniec kariery, wkrótce odda ostatnie skoki. No, tutaj przynajmniej jest o kim mówić. Coś ten chłopiec zrobił, czegoś dokonał. Zaczynam nieśmiało przepisywać to, co już napisałem.

Przed odlotem Madzi po słońce do Bangkoku, przez Wiedeń, u niej na obiedzie (boeuf Strogonow). Nagotowała dla mnie cały garnek fasolki po bretońsku.

Spoglądam na jej wydrukowany bilet: „Madziu, nie ma tu Wiednia, lecisz przez Amsterdam”. Oczywiście, to wszystko jedno, tylko przesiadka, ale po wylądowaniu samolotu bardzo by się zdziwiła, że znalazła się w Amsterdamie, nie w Wiedniu.

Dzisiaj po południu dostałem od niej SMS-a: „Jest bosko”. Siedzi w ogródku w restauracji Guliver. Ciepło, u nich już zmrok.

Zakończyłem przepisywanie pierwszej części opowiadania. O jedenastej w nocy wstałem i poprawiałem ostatnie akapity. Bo dziewczynka w ogóle nie płakała. Teraz, podczas rozstania z rosyjskim majorem, płacze. A ja, który piszę z czułością o małej Goebbelsównie — czy to nie dziwne? Nie dziwne, mówi Maciek, dziecko to tylko dziecko.

Nie dla tych, którzy zabijali żydowskie dzieci.

W telewizji niezwykle ciekawy film *Blask* (*Shine*) z genialnym Australijczykiem, Geoffreyem Rushem, który gra wspaniałego, dotkniętego chorobą psychiczną pianistę Helfgotta. Straszny ojciec, despota, który, domyślamy się, zazdrości synowi talentu, kariery, dyktuje, wyklina, bije… Podłamuje jego psychikę. Autentyczny David Helfgott żyje, on i kobieta, która się nim opiekowała i wyszła za niego za mąż (także postać w tym filmie), przyjęli aktora u siebie, rozmawiali z nim o przeszłości. I co ciekawe, rzadkie, dla widza imponujące, Rush, jako już dorosły Helfgott, niektóre partie pianistyczne wykonuje sam!

Rozmowa z Rushem w *Dzienniku*. Mówi, że jego ukochany film to *Światła wielkiego miasta.* Mój też. I jeszcze *Dzisiejsze czasy.* Stawiam te filmy wyżej od *Gorączki złota.*

Przeglądałem *Nie boję się…*, żeby odszukać wizytę u Frieda. Piękna panorama Renu. A w trzecim tomie sympozjum (nie konferencja!) w Mülheim, w pałacyku Stinnesa. I ten pan, który poniósł mi walizkę do pokoju, a ja zastanawiałem się, czy dać mu napiwek, to był dyrektor. To tu, w Mülheim, Chitrow spotka się z Ruth.

Gdzieś po szóstej ciągnąłem opowiadania do końca epizodu z Wicky w sex show w Charlottenburgu. Potem jeszcze zainterweniowałem w dialog, żeby trochę zaniepokoić bohatera (i czytelnika). Była w tym sex barze jakaś „Teutsch”, ale inna, nie Niemka, czarnowłosa Rumunka, która śpiewała po rosyjsku *Oczi czornyje*.

W kanale „Kultura” — symfonie Mahlera pod batutą Bernsteina. Ach, jak on tańczy, dyrygując i panując nad orkiestrą, jak komentuje — nie, złe

słowo — sugeruje tę muzykę. Lubiła ją E.T., puszczała ją w swoim białym peugeocie.

A ja — prawie jak sama Joanna Guze — spędzam czas na słuchaniu i o g l ą d a n i u tej muzyki. Chociaż nie muszę. Ot, późny wieczór, po robocie — i myśląc o opowiadaniu.

Co prawda pani Guze bym nie zadowolił — według niej kulturalny człowiek powinien zacząć dzień od słuchania Bacha. Ja zaczynam od wiadomości i prognozy pogody.

Krótko przed wyjściem z domu spędzam trzy kwadranse na pisaniu opowiadania. I tutaj coś o mechanizmie twórczym, o podglądaniu, jak wyrasta obraz w mózgu. Już miałem napisać, że na lotnisku w Düsseldorfie powitał Chitrowa młody niewysoki chłopak w swetrze i w czapce cyklistówce, kiedy nagle pomyślałem: czemu tym wolontariuszem nie miałby być dystyngowany pan, dawny oficer Wehrmachtu. I od razu go zobaczyłem: wysoki, jedna ręka bezwładna, z czarną rękawiczką zamiast dłoni.

Teraz mnie kusi, żeby wolontariuszka z Berlina, Dorothea, spędziła noc z Żenią Chitrowem i paplała radośnie: „Widzisz, jak to dobrze być wolontariuszką?”. A on: „Jesteś najdłuższą kobietą, jaką miałem w życiu. — Chciałeś powiedzieć; najwyższą. — Nie, w łóżku nie jesteś wysoka — jesteś długa”. Muszę to przekonsultować.

Trzęsienie ziemi w Japonii. Tsunami. A Madzia jest na małej wysepce, po której wiele sobie obiecywała.

Wczoraj i przedwczoraj ciągnąłem opowiadanie. Teraz zaczynają się prawdziwe schody (konfrontacja po latach z dziewczyną) przede mną.

Niepokój o Madzię. Przysłała SMS-a, że przenieśli się z wysepki na ląd i to wysoko.

W poczcie „Nowaja Polsza” z opowiadaniem *Dlinnyj riezwyj czoł*n. Tłum. Marina Kurganska.

Skończyłem. Była dziewiąta wieczorem. To opowiadanie — *Szóste, najmłodsze* — przyszło mi nagle do głowy którejś nocy — trzy czy cztery tygodnie temu — i od razu zaczęło się rozwijać.

Jest chyba nieźle, chociaż temat zasługuje na bardziej dramatyczny, chwytający za gardło pochwałą życia, finał.

I tu mam notatkę o tym, co wielekroć powtórzone nie przestaje być prawdą (dla niektórych banalną): że prawdziwa praca twórcza wymaga uzbrojenia się w egoizm. Świat się wali, a twórca (zostanę przy tym słowie) musi się skupić na swojej robocie, inaczej nie można. Mój syn ma kłopoty, Madzia w Tajlandii, w Japonii straszliwa katastrofa, która nie dotyczy tylko ich — a ja piszę o małej Ruth, o tym, jak triumfuje wola życia.

Nie jest zresztą prawdą, że odgradzając się od tego, co się dzieje wokół, pisze się coś wyłącznie „ponadczasowego”. Nie! Teraźniejszość zawsze się w to, co piszesz, wdziera i pokazuje się między wierszami.

Postanowiłem nie angażować postaci Thomasa Harlana (z którym zaprzyjaźniłem się, kiedy przebywał miesiącami w Oborach): mogą być jakieś komplikacje z rodziną, zbyt to realne, zbyt autentyczne; jego pojawienie się w opowiadaniu jest naturalne, bo jego ojciec, Veit Harlan, reżyser filmowy, realizator antysemickiego *Żyda Süssa*, bywał u Goebbelsów, i sam dziesięcioletni jeszcze Thomas mógł tam bywać i widzieć nawet małą Heidi. Będzie w opowiadaniu ktoś o jego osobowości i biografii, z innym imieniem.

Laptop zaczął szaleć. Wyłączyłem i ponownie uruchomiłem, tekst ukazał się bez kursora — zamiast niego kropka. Przepisywałem dalej, chociaż śledzenie kropki było męczące, wymagało nieustannej uwagi.

Przepisywanie. Brak mi już tylko trzech stron, kiedy przypominam sobie: dziś spotkanie jubileuszowe Odrowąża-Pieniążka. Jestem nieogolony, nie szkodzi, to nawet zgodne z modą. Pędzę (śmiesznie tak określać starcze kuśtykanie) do autobusu.

Sala pełna. Usiadłem daleko, obok Uchańskiego. On: „Czekam na twoje opowiadanie. Strasznie jestem go ciekaw. — Ja też jestem ciekaw, co napisałem". Krasiński sam, bez Basi. Usiłuje być dowcipny: „Nic się nie zmieniasz. Jak Cyrankiewicz".

Tuż przed południem skończyłem przepisywanie. Cały czas przepisując, czułem spojrzenie niechętnej pani krytyk. Od tego styl drętwieje.

Obudziłem się po siódmej — i postanowiłem zacząć dzień. Wciąż w nocy niespokojny, właściwie przybity, że opowiadanie — tak ambitne — jest niewypałem. Właśnie dlatego, że nie na poziomie ambicji. Jakby odpowiedź na pytanie (czechowowskie), które człowiek sobie zadaje: co jest pięknego w życiu?

I oto o dziewiątej telefon. Uchański. „Opowiadanie jest wybitne! Nie dobre, ale wybitne! I zaskakujące. Wyszło ci prawie czterdzieści stron, dodałbyś parę — i byłaby książka".

Nie tylko ulga, ale i przewrót. *Vita Nuova*. Mogę posłać do „Twórczości" i do wydawnictwa.

Tuż przed obiadem długi mail od p. Joli Wrońskiej. Nareszcie kawałek mięsistej prozy z prawdziwymi postaciami. To, co pisze o opowiadaniu, świadczy o tym, że ona je odczytała. (Komplementy opuszczam). Przesłałem Madzi do Tajlandii jej list. Odpowiedź: „Wspaniale!”.

Mija kilka godzin i dzwoni Maciek. „Tato, to bomba!” Spotkanie dziewczyny z Żenią Chitrowem przyprawiło go o łzy. To świetna wiadomość, moment powinien być wzruszający — bałem się, że nie jest — ale mój wrażliwy syn przejął się.

To nie znaczy, że w kręgach tzw. opiniotwórczych ktokolwiek zwróci na opowiadanie uwagę. W „Przeglądzie” rozmowa z St. Beresiem (który 14 lat prowadził w telewizji rozmowy o książkach, teraz biadoli, że zlikwidowano mu audycję — lekceważenie literatury! — nie mogę podzielać tego biadolenia, nie wiem, co zlikwidowano, nigdy istnienie tej audycji do mnie nie dotarło), otóż ten Bereś mówi, że w Polsce n i e m a a n i j e d n e g o a u t o r a, który umiałby opowiadać, no, może Stasiuk… Co za pewność siebie! Co za pycha! (Jeden z siedmiu grzechów głównych)!

Dzwoniła p. Nina — to opowiadanie poruszające, właściwie wstrząsające.

Przyszło mi na myśl, że te entuzjastyczne reakcje są od osób życzliwych. Teraz istotne jest, jak opowiadanie odbiorą ludzie zimni, redaktorzy, rzeczowi i często znudzeni.

Serce pobolewa. Żyję w zbyt dużym napięciu.

Dzwonił Darek Sośnicki z W.A.B. Bardzo mu się opowiadanie podoba. Ale jest „łyżka dziegciu”: nie podoba mu się epizodzik w łóżku

Wolontariuszki z Chitrowem. „Niech pan skreśli — mówię z miejsca — ja też miałem wątpliwości”.

Poruszająca w „DF” rozmowa z profesorem Januszem Czapińskim. Budzi sympatię i podziw. Szczerość pociągająca, ale on, jako psycholog (co prawda „społeczny”) wie, że taka rozmowa bez szczerości straciłaby na wartości. Nie przypuszczałem, że ten mądry i wykształcony człowiek jest z „ludu”, miał głodne dzieciństwo i młodość. I ta matka, niepiśmienna, zapracowana, urodziła go, kiedy miała 40 lat; on, chociaż związany z nią, był trochę „synalkiem”, nie doceniał jej poświęcenia, histeryzował, kiedy chciała wyjść za mąż. Wyszła mając lat 70, on już był samodzielny. Dopadła ją choroba Alzheimera, w mężu znalazła opiekuna.

W nocy uświadomiłem sobie błąd, jakiego dopuściłem się w opowiadaniu. Ruth telefonicznie zapowiada, że kiedy spotka się z Chitrowem w Kolonii, będzie w kostiumie dżinsowym, „jak John Wayne”. Przy stoliku siedzi jednak młoda kobieta w sukience w kwiaty, ma opalone ramiona. (Takie pomyłki w prozie się zdarzają. Parandowski przyłapał na błędzie Sienkiewicza w *Quo vadis?*: kiedy Winicjusz poznaje św. Piotra, apostoł jest łysy jak kolano; kiedy Piotra ukrzyżowano, na oczy opadały mu gęste włosy).

Dzwonił Piwowarski: zaprasza na bankiet do Bristolu na cześć Claudii Cardinale. Mogę z kimś przyjść. Miałbym ochotę powiedzieć jej, ile straciła, że nie poznaliśmy się 30 lat temu.

Z „Twórczości” wiadomość od p. sekretarki, że opowiadanie pójdzie, „decyzja jest pozytywna”.

Telefon od Tomka — z Londynu — że wczoraj widział się z Ewą. (Jedli razem „śniadanie na trawie”). A dziś Ewa odleciała do Stanów, na rozmowę w sprawie studiów doktoranckich.

Wieczorem SMS od Piwowarskiego: „Bristol odwołany. C.C. chora.”. Oddycham z ulgą. Nie będę musiał zakładać wizytowego garnituru z krawatem. Możliwe, że i jej się nie chciało tego bankietu i wymyśliła chorobę. Rozumiem ją.

Niespokojny. Ewa w Stanach, na razie bez kontaktu. W południowej Tajlandii powódź. Chyba niegroźna, bo Euronews się nią nie zajmuje.

Kwiecień

Niedziela słoneczna. Ewa donosi, że „Dartmouth jest super!”. A więc dobrze wypadła. Rozstania będą teraz dłuższe. Telefon do Ritki do Wrocławia. Telefon do Różewicza, który nie może już czytać. Ale rozmowa ożywiona, śmiejemy się.

Telefon od Janusza Beera z Waszyngtonu. Zaczął czytać *Nowolipie* po angielsku. Uważa, że przekład jest ładny, książka powinna w Stanach uzyskać sukces.

Później przesyła mi kilka maili od p. Murawskiego, swojego przyjaciela, który z przyjemnością czytał *Nowolipie Street* (oryginału nigdy nie czytał), chwali przekład, znalazł kilka usterek, które ja przekażę p. Krystynie. Sądzi, że książka w Stanach „zrobi furorę”.

W poczcie jest lutowy numer „Points critiques” z dużym artykułem Rolanda Baumanna o mnie. W biografii są — co jest nieuchronne przy tak malowniczym życiorysie — jakieś błędy, ale analiza *Pingpongisty* wykazuje zrozumienie.

Dzwonię do Filmoteki Narodowej, do p. Wyżyńskiego, czy nie da się odnaleźć scenariusza *Naczelnik miasta Warszawy*, 120 stron o powstaniu styczniowym; czołowym, tragicznym bohaterem jest Stefan Bobrowski, wuj Conrada. Scenariusz zakontraktował zespół „Kamera” (pamiętam, że wymogłem na kierownictwie zespołu, by zakupiono prawa do książki Pawła Jasienicy *Dwie drogi*, niech sobie i on coś zarobi); planowano film poświęcony setnej rocznicy powstania, wiceminister Zaorski był bardzo podniecony, „uważam — powiedział — sprawę za pilną”. Nic z tego nie wyszło, bo Moskwa nieoczekiwanie zaproponowała, że „będziemy czcić powstanie razem”. Czyli bez szubienic.

Przy okazji dowiaduję się od p. Wyżyńskiego, że oni zebrali niezrealizowane scenariusze Stawińskiego, a teraz myślą o moich. Czy mam takie? O Boże, jeszcze ile!…

Po dwóch godzinach p. Wyżyński się nagrywa: jest! Mają to: *Naczelnik miasta Warszawy* — skseruje scenariusz i mi prześle.

Pracowicie nad *Szóstym, najmłodszym*. To i owo przeredagowałem. Dopisałem, że Żenia Chitrow zauważa, że Ruth ubrana jest inaczej niż zapowiadała: miała być w kostiumie dżinsowym, jest w sukience, „zmieniła zdanie, stojąc przed lustrem”, to go cieszy: kobieta. Przesyłam opowiadanie ponownie do „Twórczości” z dodatkiem: „redakcja ostateczna”.

Dzisiaj nie będzie maili od Madzi: jest już w drodze na lotnisko w Bangkoku, stamtąd — przez Amsterdam — do Warszawy.

W nocy wstaję z łóżka co godzina. Myślę niespokojny o tym, że Madzia już wyleciała z Bangkoku. O wpół do ósmej niewyspany wstaję. Madzia sygnalizuje, że jest już w Amsterdamie, w samolocie do Warszawy.

Maciek zawozi mnie do mieszkania Madzi, tam będę jej oczekiwał.

SMS: „Czekam na bagaż”.

Mija pół godziny, słyszę chrobot u drzwi: Jest!

Taksówką od Madzi na Wiejską. W kiosku widzę wystawioną „Angorę”, pismo, które kiedyś wydawało mi się sympatyczne, ze stürmerowskim rysunkiem na okładce. Dwaj Żydzi, stary i młody, tyłem (młodszy ma jarmułkę, starszy kapelusz), przed nimi Warszawa z Pałacem Kultury. Starszy mówi do młodego: „To wszystko kiedyś będzie twoje”. Nad rysunkiem tytuł: CO JESZCZE MAMY ODDAĆ ŻYDOM?

Ssanie w żołądku. Utrata humoru. Czy oni nie wiedzą, że chodzi o mienie zagrabione przez Niemców, a potem przywłaszczone przez rząd „ludowy” jako „mienie poniemieckie”? Nie, oni odwołują się do antysemickich uczuć: chciwi Żydzi chcą nam wszystko zabrać!

A potem oburzenie, kiedy mówi się o polskim antysemityzmie. Ciekawe, że na to, iż się antysemityzm dobrze sprzeda, liczy pismo, które, wydawałoby się, powinno antysemityzm tępić.

Wczoraj na poczcie: przesłałem do urzędu skarbowego rozliczenie za rok 2010, które zrobiła, jak co roku, Grażyna. Ostatnie sprawozdanie, w którym rozliczam się z dochodów wspólnie z Reną. Tam, gdzie miałby być jej podpis, Grażyna wpisała: „Zmarła” — i dalej data.

Jest już Ewa, od wczoraj po południu. Teraz śpi. Leciała z Bostonu z przesiadką w Londynie. Madzia czekała na nią na lotnisku. Byliśmy niespokojni, bo w Polsce wichura — i rzeczywiście samolotem mocno kołysało.

Pytam Madzię, co Ewa usłyszała w Dartmouth. Studia trwałyby 5 lat, równałoby się to habilitacji.

Hasło tego uniwersytetu to „Głos wołającego na puszczy”, czyli wołanie Jana Chrzciciela. Może być manifestacją dumy, ale przyjęło się, w Polsce przynajmniej, że to brzmi jak wołanie bez odzewu.

Te dni, między 9 a 12 kwietnia — pod znakiem pobytu Ewy. Zdecydowana na Dartmouth. Pięć lat studiów, ale dobrze płatnych, a najważniejsze, że ludzie mili. W niedzielę obiad u Madzi z jej Tatą.

W telewizji dzień żałoby, rocznica katastrofy smoleńskiej. Z tej okazji spalono przed ambasadą rosyjską kukłę Putina.

Mają nową zabawę: Rosjanie zdjęli z upamiętniającego tragedię kamienia tablicę w języku polskim o „zbrodni ludobójstwa”, umieściły ją tam samowolnie dwie zaciekłe wdowy, umocowano inną, okolicznościową, bez oskarżeń, w dwóch językach. Krzyk, że to policzek, prowokacja, niesuwerenność, prezydent nie powinien jechać na spotkanie z Miedwiediewem. „Szczęśliwy kraj” — powiedział wczoraj w Zaiksie na posiedzeniu Rady Stowarzyszenia znakomity gość, świetny konstytucjonalista — szczęśliwy, bo problemem są tablice, znicze, pieśni, podczas gdy inni mają trzęsienia ziemi, tsunami, bombardowania, strajki generalne, strzelaninę.

Na Krakowskim Przedmieściu transparenty: „PUTIN — morderca, TUSK — zdrajca”. Ośmiela do takich złowieszczych, bezczelnych transparentów bezkarność. Policja przecież ma zdjęcia tych, którzy oskarżają o zdradę premiera i prezydenta. Idiotka z kamerą w ręku wrzeszczy, że będą tu „do skutku”. To znaczy do czego? „Do dymisji Tuska”. Realia się nie liczą. Rzeczywistość musi być podporządkowana ich

woli. Bo oni to Naród i „tu jest Polska”, gdzie oni. Pojawiło się hasło: „Polsko, obudź się!” (…)

O wpół do dziesiątej przeziębiona p. Ola. Jedziemy na Długą, do urzędu wojewódzkiego, po zaproszenie, które wystosowałem dla jej siostry Oksany. Miła, młoda urzędniczka ma wszystko przygotowane. Składam trzy podpisy. Zaproszenie oddaję p. Oli. Telefon od Madzi, że są już z Ewą na lotnisku, w starym terminalu. Więc ja prosto spod urzędu taksówką na lotnisko. Madzia z Ewą w kawiarni. Nasze ukochanie odlatuje.

Z Madzią na spotkanie Ludwika Stommy w Muzeum Niepodległości. Taksówkarz, starzec, trochę już debilny, nie wie, gdzie to jest, ale kiedy wspominam, że to dawne Muzeum Lenina, zaczyna się orientować: aha…

Czyta Gosztyła. Przy winie kilka osób przypominało mi naszą znajomość, m.in. mieszkający w Polsce pisarz rosyjski, Dmitrij Jewstigniejew; mówi, że zachwycił go *Pingpongista*, ogromne wrażenie.

W Domu pod Królami, na posiedzeniu Rady Stowarzyszenia Zaiks. Rozmowa z Elżbietą (Bryłą) o tym, że ja, stary człowiek, okazuję się teraz, kiedy jestem samotny, obiektem zainteresowania niektórych kobiet, które chętnie dzieliłyby ze mną resztę mojego życia. „I ty się dziwisz?” — na to ona. I wylicza mi, dlaczego jestem, mimo swojego wieku, dla tych pań jako partner życiowy atrakcyjny.

W redakcji „Twórczości” przyjemny kwadrans, bo słyszę i od Bohdana Zadury, i od Komendanta: „Opowiadanie piękne” i „Będzie ozdobą numeru”. Nie ukrywam, że jestem szczęśliwy: opowiadanie tak trudne, tak

zuchwałe, tak zarazem poważne — łatwo było się potknąć. Zwierzam się: „Autor zawsze czuje się debiutantem”.

W banku — z opłatami. W tym mała sumka na „wioski dziecięce”. Nie wiem, dlaczego się temu poddaję, skąd ten przymus; może w samej tej nazwie — „wioski dziecięce” — jest coś, co budzi we mnie jakąś tkliwość. A przecież nie wiem, jak się w tych wioskach dzieci wychowuje. Może teraz, w czasie rekolekcji, opowiada im się, jak to „Żydzi zabili Pana Jezusa”.

Piątek. Odbieram naprawionego pilota do dekodera (40 zł). Zakupy (40 zł). Potem z Madzią i Elą taksówką na cmentarz. Wypisuję te koszty nie po to, żeby się poskarżyć, ale przeciwnie, by stwierdzić, że dobrze jest mieć trochę luźnych pieniędzy, starczy na zakupy, taksówki, obiad (Madzia przyniosła „na wynos” z sąsiadującej restauracji). To i owo podobno podrożało, ale ja się tym nie przejmuję, od tych 7 procent nie zbiednieję, nie zauważam tego także dlatego, że nie wiem, ile przedtem kosztowało.

I na kupienie książki, którą chcę mieć, też mogę sobie pozwolić (chociaż w zasadzie nadszedł w moim życiu taki czas, że myślę, jak się wielu książek pozbyć). Dziś kupiłem *Listy z podróży* Karela Čapka. Mam na półce sporo książek Čapka po czesku, ale o tej nawet nie słyszałem. Cieszę się na obcowanie z nim. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie *Meteor*, druga część trylogii powieściowej, którą czytałem jeszcze przed wojną. Nie tylko na mnie. Kiedy Ścibor-Rylski opublikował długie opowiadanie *Cień*, o człowieku, którego każdy widział inaczej, spytałem go poufnie: *Meteor*? Kiwnął głową i uśmiechnął się.

Ponad dwie godziny filmowania moich wypowiedzi w Zaiksie. Okazało się, że inicjatorom idzie o „sylwetkę twórczą”. Redaktor, który mnie indagował, był nieźle przygotowany — wiedział, co napisałem i co nakręciłem. (…) Podczas nagrania ów przepytujący młody człowiek powiedział, że dostałem mnóstwo nagród, w tym państwowe. Prostuję: nigdy nie dostałem nagrody państwowej. Zdarzało się, że dostawałem jakieś nagrody w konkursach, pod kryptonimem. Mówiliśmy o Boyu. Ja o recenzjach Boya, na które powoływałem się w rozmowie z Andrzejem Stawarem. Aż w końcu mój rozmówca zaprotestował: „Pan wciąż mówi o innych, a to ma być film o panu”. Kiedy to, jak na mnie wpływali inni, jak ich odbieram (ku jego zgorszeniu wymieniłem Leblanca!), jest tworzeniem się mojej osobowości. Świadczy o mnie.

Czytam Karela Čapka *Listy z podróży.* Włochy, najpierw Wenecja. Jest rok 1923 (rok mojego urodzenia), rządzą już faszyści. Ale Čapek się na nich początkowo nie natyka. Kiedy wreszcie widzi ich, bodajże w Ferrarze, podczas ich święta, w czarnych koszulach, przypominają mu czeskich kominiarzy.

Nie zauważała faszystów i faszyzmu we Włoszech Nina Berberowa ani goszczący ją w Sorrento Gorki. Widocznie w pierwszych latach nie wiało jeszcze grozą, a despotyzm Mussoliniego wydawał się korzystny dla Włoch, zrobi z tej niesfornej, utalentowanej zbieraniny nowoczesne państwo, myślało się.

Wtorek, 19 kwietnia. Dziś rocznica powstania w getcie. Nie uczestniczę w uroczystościach, są już dla mnie za trudne — ten dzień spędzam normalnie, dzień jak co dzień. Ale dobrze, że są uroczystości, akademie,

wieńce, przypomnienia. Jedni w tym uczestniczą z potrzeby wewnętrznej, tym tego dnia żyją, inni dlatego, że z tego żyją. Nie mam za złe.

Rano dzwoniłem do p. Kozieła, przedsiębiorcy kamieniarskiego, u którego zamówiłem pomnik na grób Reny. Wszystko, zapewnia, na dobrej drodze. Zadzwoni po świętach.

Nad ranem śniła mi się jakaś narada — niezwykle realistyczna, jak na sen — w sprawie zalecania książek do czytania. Zaleciłem… Sienkiewicza. Powoływałem się (we śnie!) na *Bez dogmatu* i na uwielbienie Boya dla tej powieści, kiedy był jeszcze studentem. („Boże, odpuść” — wyraził po latach skruchę).

To chyba była resztka rozmyślań dziennych o tym, że fabularzysta, tworząc, nigdy nie jest samotny, jest w dobrym towarzystwie swoich postaci. I przyszło mi na myśl — chyba to komuś powiedziałem — że Sienkiewicz świetnie się bawił, tworząc Zagłobę, Rocha Kowalskiego, Wołodyjowskiego, Rzędziana, a także „Kmicicową kompanię”.

Gorzej z tym było podczas pisania *Krzyżaków* — czuje się, że zadaje sobie dużo przymusu. Zbyszko i Maćko z Bogdańca to nie było towarzystwo dla niego. Lubił chyba Jagienkę.

Madzia przeziębiona, odebrało jej głos. Zawiozłem jej cytryny, mandarynki, serek, trochę pilawu, gazety. Taksówkarz, z którym rozmawiałem o Stefanie Bobrowskim, Naczelniku miasta Warszawy, przypomniał sobie, że jest ulica Bobrowskiego, znalazł ją w skorowidzu, niewielka, gdzieś na Ochocie, ale jest.

To mi przypomniało, jak pewna sekretarka instytucji kulturalnej, zapewne młoda panienka, kiedy jej powiedziałem, że Bobrowski był wujem

Konrada Korzeniowskiego, spytała, zadowolona ze swojej domyślności: „Tego biegacza?”.

Nie lubię pewnego typu wykształconych żydowskich panien. Nie lubię Hanny Arendt. (Uważam, że imiona Hannah, Sarah, z bezgłośnym „h”, które przeszło do angielszczyzny z transkrypcji hebrajskiej, należy odmieniać; nieodmienianie jest sztuczne, tworzy złą polszczyznę — mam nadzieję, że profesorowie Bralczyk i Miodek kiedyś mnie poprą). W uczuciu Hanny Arendt do Heideggera było coś z uczucia zakompleksionej inteligentki żydowskiej do „goja” — i to słynnego profesora.

Jak mogła kochać się w tym kombinatorze i karierowiczu, który wychwalał Führera („ma cudowne ręce”), propagował wśród studentów ideę Herrenvolku, chętnie ją przyjął, skoro do rasy panów należał. Przyznawał, że drażni go, iż najbardziej aktywni studenci filozofii to Żydzi. Kiedy Jaspers mu opowiedział, że jego żona Żydówka płacze, zareagował cynicznie: „Czasem dobrze jest sobie popłakać”.

Po trzech latach rektoratu i kariery — podobno, tak słyszałem — rozczarował się czy też, jak czasem mówią, częściowo „przejrzał na oczy”. Ale tak nie było, do końca wojny należał do partii. Aż tyle trzeba było filozofowi, by coś zrozumieć — na Nowolipiu byle furman, byle sklepikarz wiedział od razu, kim jest Hitler. Mógłby w tym pana profesora oświecić także syn naszego dozorcy, nie-Żyd przecież.

A po wszystkich obrzydliwościach, które głosił, ona jeszcze po wojnie do niego pisała, jeszcze zwierzała się z sentymentu i nawet się z nim spotykała. Jestem bliski miotania wyzwisk, z których najłagodniejsze by było: „głupie babsko”.

Temat jej pracy — o pojęciu miłości u św. Augustyna — potwierdza moją myśl, że pewni filozofowie kręcą się w kółko, piszą o sobie, piszą przyczynki do przyczynków, żyją w uniwersyteckiej enklawie, niewiele wiedzą o ludziach, głodzie, pragnieniu, o zamarzaniu, o ciężkiej pracy. Co św. Augustyn mógł wiedzieć o miłości? Na pewno mniej niż przejęty swoją dziewczyną tramp z Samarkandy.

Nie lubię tej pary.

Czytam na przemian *Listy z podróży* Čapka (tylko po kilka stron) i moje własne podkreślenia i uwagi na marginesie w książce Jasienicy *Dwie drogi.* Czasem spoglądam w telewizor, który obrabia widzów bębnieniem o beatyfikacji JPII lub sprawozdaniami z przygotowań do ślubu pewnej młodej pary w Londynie. Na froncie bliskowschodnim bez zmian. Na polskich drogach — trupy i ranni, żałoby narodowej się nie ogłasza.

Kilka dni temu oglądałem film Agnieszki Holland *Kopia mistrza*, zachwycił mnie warsztat reżyserski. Realizacja sekwencji, w której głuchy Beethoven dyryguje wykonaniem *IX symfonii* — mistrzowska. I przejmująca. W roli Beethovena Ed Harris, w roli Kopistki — urocza Diane Kruger, bardzo teraz wzięta trójjęzyczna aktorka. Byłaby — właśnie dlatego że Niemka — idealna w roli mojej Ruth. Nawiasem, pełne jej nazwisko to Heidkrüger, zawiera imię bohaterki mojego opowiadania.

O tym, co donosił czeskim gazetom Čapek z Anglii w 1924 roku, mógłbym napisać mały eseik. Jest sprawozdanie z Hyde Parku. Znamienna różnica z moimi obserwacjami zamieszczonymi w *Nie boję się…* Minęło ponad pół wieku, Londyn jest inny i Hyde Park jest inny. Od razu na wstępie notuję, że obserwuje się zderzenie czarnych mówców z białymi. Tego nie mogło być w 1924 roku — czarnoskórzy nie byli obywatelami W.

Brytanii, nie było ich w Hyde Parku, z ich późniejszymi problemami, z seksualnością, z szyderstwami z białych (impotenci!).

W niedzielę, po piątej, do Sheratonu z książką Jasienicy. W dużej kawiarni byłem sam jeden! Warszawa albo przy świątecznym stole, albo za miastem. Kelnerki, młode dziewczyny, uszczęśliwione, że ktoś się wreszcie pojawił, uśmiechnięte. Kobiety, która przed kilku laty ofiarowała mi różę „od młodej dziewczyny", a ja jej nie przyjąłem, nie było, nie przyszła na nieumówione spotkanie. Ale od czego telepatia?… Nie ma telepatii!

Wczoraj, w lany poniedziałek, po obiedzie (ragoût italiano z kluskami), opowiadam Maćkowi o dramatycznym, wzruszającym epizodzie z ragoût na pustynnej stacji Auchan-Garan, na dnie nędzy, kiedy kilku wileńskich Żydów z inicjatywy wysokiego przystojniaka (nazywał się Miśkin i to on zauważył, że ja i Danek nie zgłaszamy się do sprzedającej danie kucharki) zrobiło zrzutkę i wykupiło nam dwie porcje, nigdy tej zrzutki, o którą przecież nie prosiliśmy, nie zapomnę.

Po małej drzemce wybieram się na spacer do parku Ujazdowskiego. Nogi noszą mnie ciężko, kilka razy wypoczywam. Przysiadł się do mnie stary ochroniarz w żółtej kamizelce, emeryt, wyraźnie żądny rozmowy. Plac zabaw zapełniony rozradowanymi dziećmi. Rzeźba śpiącej piękności, Edwarda Wittiga, na miejscu. Za to brak na stawie kaczek. Kiedyś, kiedy przychodziliśmy tu z Ewunią, karmiliśmy je chlebem.

Spotkanie w Czytelniku z p. Ewą Caputa-Korzeniowską, nagrywa rozmowę dla swojego portalu w Kanadzie. Przyniosła butelkę jim beam. (W barku robi się kolorowo, bo jest też jack daniels i resztka martela). Kupiła *Dziennik* i już do niego zajrzała. Prowadzę ją na dziedziniec naszego domu, tutaj ona zaczeka na ławeczce.

Rzeczywiście, niełatwo o mnie pisać, dorobek bardzo różnorodny, nie da się zaszufladkować. Pytanie o tożsamość. No cóż, przyznaję, nie jestem takim Polakiem jak Rydzyk i Kaczyński, to mnie nie martwi, nawet myślę, że jestem lepszym Polakiem niż oni. Nie chcę „Polski złych ludzi”.

Pani Caputa wstrząśnięta tym, co widziała pod ambasadą rosyjską, poszła tam 9 kwietnia. Palono kukły Putina. Transparenty szkalujące premiera, rozmowy z ludźmi, od których słyszała: „rządzą nami Żydzi”.

Maj

1 Maja bez akcentów święta robotniczego. Napieralski w Szczecinie, zgromadziło się 200 osób. Podobno zrezygnował z pochodu „na znak protestu”. Na znak protestu organizuje się pochody, a nie rezygnuje z nich.

Zapomniano też o tym, że to rocznica wejścia Polski do Unii. I że otwarcie dla Polaków rynku pracy w Niemczech łączy się właśnie z tą datą.

O tym, że to także dzień urodzin Marzeny M. „świat” lepiej pamięta.

Ewunia przesyła zdjęcie z grzywką. Jest niespokojna, jak to wygląda. Ślicznie i interesująco.

Rano włączam telewizor — OSAMA BIN LADEN NIE ŻYJE. Udana akcja komandosów. Nie ukrywał się w pieczarze: mieszkał w willi zbudowanej jak forteca. Tuż obok pakistańskiej akademii wojskowej.

Wczoraj esemesy do „Szkła kontaktowego”, że nareszcie dzień bez Smoleńska. Nawet kilka dni: bo najpierw, niby baśń dla panienek, ślub książęcy w Londynie, wczoraj beatyfikacja, dzisiaj bin Laden. Można odetchnąć. Na szczęście dla pisowców w pociągu, którym wracali z Rzymu do Warszawy, spaliły się hamulce: hurra, mamy spisek! Tusk z Putinem zrobili zamach… Ale telewizje zajęte są czym innym — błogosławiony

z Wadowic, Dzień Flagi, bigoterie patriotyczne, ale bez ofiar katastrofy. A jutro 3 Maja…

Z samego rana niespodzianka: list mailowy od Agnieszki Holland. Jest w Nowym Orleanie. Przeczytała *Szóste, najmłodsze* od razu! Opowiadanie pasjonujące. Ale na scenariusz za chude. (Zgoda). Zbyt szybko — w opowiadaniu — Chitrow do niej dociera. Jej ewolucja (to błąd Agnieszki — trudno mówić o „ewolucji", dziecko dopiero odkrywało świat) jest arbitralna. Odpowiedziałem, że rozumiem jej zastrzeżenia i podzielam je. Prosi o numer mojego telefonu, pod koniec maja będzie w Warszawie, spotkamy się.

Straszliwe — chamskie, podłe, rasistowskie, łobuzerskie — teksty w Internecie atakujące Radosława Sikorskiego (można powiedzieć: ma za swoje — określił swoją posiadłość jako „strefę zdekomunizowaną", podczas gdy niebezpieczeństwo i plugawość czaiły się gdzie indziej, co on, polityk, minister spraw zagranicznych, powinien był właściwie ocenić), atakują jego żonę „Żydowicę", politykę prowadzi według zaleceń teścia, on sam to mason, ale także „Icek"…

W 1946 roku, kiedy zdecydowaliśmy z Reną po pogromie kieleckim, że nie wyjedziemy, nie myśleliśmy, że to będzie trwało jeszcze w XXI wieku — i to z nową siłą, podsycane przez podłych czy szalonych kreatorów nieistniejącej rzeczywistości, cynicznych dorobkiewiczów, którzy swoje robią świadomie, plugastwo dobrze się sprzedaje.

Po przeczytaniu felietonów Ludwika i Grońskiego w „Polityce", którzy demaskują, przygważdżają, ośmieszają tych, których wyśmiać trzeba, zanotowałem, wyrzucając sobie swój brak aktywności na tym polu:

„Użerać się, wytykać, prostować — to nie jest moje zadanie. Rozświetlać — to jest to, co powinienem robić”. (Ba, ale czy nie za dużo sobie przypisuję?).

Za polemikę w *Dzienniku* z Gombrowiczem zaatakował mnie ktoś w Internecie: jak śmiałem! Ja — pisarz „kawiarniany”. (Ja — „kawiarniany”!) Zaatakowałem męczennika-emigranta! Co ja wiem o pobycie na obczyźnie. (Czyli ten atakujący nic o mnie nie wie, o prawdziwej udręce na obcej ziemi, o nędzy, głodzie, beznadziei, nie może wiedzieć, że szepnąłem kiedyś do matki — leżąc nocą na polu śnieżnym, tysiące kilometrów od niej, wpatrzony w Wielką Niedźwiedzicę, która wskazywała kierunek do Warszawy — „po coś mnie urodziła?”). No i sam fakt, że komuś, choćby szaraczkowi literatury, odmawia się prawa niezgadzania się w czymś z Gombrowiczem, jest zjawiskiem kuriozalnym.

Mądrość, pomyślałem nie mogąc zasnąć, nie towarzyszy kronikarzowi stale. Zapaliłem lampkę, chwyciłem kartkę i długopis, zacząłem notować, nieudolnie, wiem, z trudem formułując to, co miałem na myśli. Refleksje, kiedy czytasz, ich rozgałęzienia, pogłębienia, nieoczekiwane skojarzenia, zaskakują czasem samego snującego wątek autora.

Potem, kiedy po latach to odczytujesz, zadziwia cię sformułowanie, o którym już zapomniałeś. Wiem, że to była chwila, moment nieoczekiwanego zaiskrzenia, więcej on nie musi się powtórzyć. Z takich wyselekcjonowanych chwil składa się literacki dziennik. Zapisałeś — i możesz się sobą podzielić z innymi.

3 maja przemówienie Komorowskiego, którego pewne akcenty mi się spodobały. Mówi o katastrofie po przyjęciu konstytucji spowodowanej przez tych, którzy zwrócili się przeciw swojemu państwu. O bólu, kiedy słyszy się w wolnej Polsce: „ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”.

Wspomina o konstytucji w niepodległej Polsce w 1921 r., prawdziwie demokratycznej — zapewniała równe prawa kobietom, równe prawa mniejszościom narodowym, ośmiogodzinny dzień pracy.

„Humaniści” się odezwali! Zabito bin Ladena — a gdzie prawa człowieka? Czemu śmierć bez sądu? Nie będę „na tych łamach” polemizował, udowadniał, że zrobiono dobrze. Wystarczy, że wykłócam się z nimi w nocy. Jeśli to nie hipokryzja, to na pewno brak trzeźwej oceny rzeczywistości. Zupełnie jakby mieli do czynienia z „obrońcą wolności”. (Niektórzy „użyteczni idioci” właśnie tak to formułują!).

Telewizje zajęte są sprawą przytłumiania ekscesów kiboli. Rzecz robi się poważna, bo „Gazeta Polska” bierze ich w obronę — rasistowskich transparentów nie zauważa — to znowu „obrońcy wolności”, zbuntowani przeciw rządowi zaprzańców.

Podczas bezsennej nocy sięgam po *Povidky z jedné kapsy* Karela Čapka, tym razem nie po to, by przybliżyć sobie język dla napisania listu do pani Lustigovej, ale dla czystej przyjemności, lektury opowiadań humorysty filozofa, utalentowanego mędrca, subtelnego psychologa.

Opowiadanie *Ukradziona lista*. Pułkownik Hampl ze sztabu generalnego dzwoni do Informacji, by pilnie przyszedł do niego płk Vrzal. Po godzinie płk Vrzal się melduje. Co się stało? „Dostałem pewną listę z wydziału C. Gdzie to schować? Żona poradziła: do puszki po makaronie, zamkniemy w spiżarni, tylko ona ma klucze. Nie ma tej puszki! Ktoś się zakradł i wyciągnął spis”. Złodziej wszedł do spiżarni, wycinając okno. Pułkownik Vrzal obiecuje zaangażować najlepszych agentów. Pułkownik Hampl poufnie: „Rozgłoście, że dam za spis dziesięć tysięcy koron nagrody”. Żona płacze, to jej wina. I oto przychodzi z policji niepozorny pan Pisztora.

„A pan tu po co?” — złości się pułkownik. „Bo u pana włamali się do spiżarni. A to już moja sprawa”. Spojrzał pan Pisztora na okno i mówi: „Aha, dłutem. To mógł zrobić albo Pepek albo Andrik. Ale Pepek siedzi. Czyli Andrik”. I to był Andrik. Rozczarowany, bo zamiast makaronu był jakiś notes. „Ten?” — pyta pan Pisztora pułkownika. „Ten! Dziękuję panu bardzo. Zechce pan przyjąć pięćdziesiąt koron”. Pan Pisztora trochę się krygował, bo co tam, od razu wiedział, że to Andrik, ale pułkownik nastawał, więc wziął. (Obeszło się bez udziału najlepszych agentów i bez dziesięciu tysięcy koron).

Kazimierz Korcelli, dramaturg, gawędziarz, działacz związkowy, chyba z ramienia ludowców, który na noc stawiał przy łóżku szklankę wódki, jak kto inny szklankę wody, na pewno nie znał tego opowiadania Čapka, kiedy mi opowiedział w Oborach gdzieś na początku lat pięćdziesiątych pewną przygodę literacką. Był w świcie Leona Kruczkowskiego z delegacją kulturalną do Kijowa. Nagle spostrzegli, że nie ma walizki Kruczkowskiego. Zniknęła! Pojechali na milicję. A tam towarzysz komendant naradza się ze swoimi. Jakże tak, zniknęła walizka szefa polskiej delegacji, ministra kultury, za wiele sobie pozwalają. Na to któryś ze śledczych: „To mogłaby być robota Kosti. Ale Kostia jest teraz w Odessie na gościnnych występach. Mógłby to być Żenia. Nie, Żenia siedzi. Stiopa! Tylko on”. Komendant: „To wy do niego. Walizka, powiedzcie, ma do drugiej być w hotelu! Nienaruszona! A nie, to chuże budiet!”.

Stiopa — sam ukradł czy zrobił to koleś — postarał się: przed drugą walizka Kruczkowskiego była w hotelu. Nienaruszona.

List od Bronisława Łagowskiego, w pewnej części bardzo osobisty. Zwierza się też, że wprawdzie ceni Czesława Miłosza za rozum, ale nie

wszystko mu się w nim podoba. Bo Miłosz przyznaje się do uczucia triumfu, kiedy konkurent popełnił samobójstwo. Myślę, że w tym przyznaniu się Miłosza jest pewna poza — widzicie, co potrafię? — jakaś dostojewszczyzna: „ja swinja, ja podlec” — i plucie w lustro.

Mnie nie podoba się w biografii Miłosza jego list, jako dziewiętnastolatka, do Iwaszkiewicza, jego „Kocham pana”. Marzy o spotkaniu z nim. Brzmi to, niestety, jak oferta. „Czy byli kochankami?” — pyta pani Donata Subbotko biografa, p. Andrzeja Franaszka. „Nie wiem” — brzmi odpowiedź.

A w wiele lat później, po tym jak Miłosz został na Zachodzie, Iwaszkiewicz odmówił mu publicznie podania ręki: „Tobie, złotko, ręki nie podam”. To jego „złotko” gdzieś u mnie jest. (Opowiadał mi pewien znajomy, jak pani, o której względy zabiegał, powiedziała do niego: „Witam cię, słoneczko”. Jestem słoneczkiem, cudownie, to coś znaczy. Ale potem byli w sklepie i usłyszał, jak pani zwraca się do sprzedawczyni: „Dziękuję, słoneczko”). Szkoda, że Iwacha zmarł pół roku przed Noblem Miłosza — ciekawe, jak by zareagował.

W niedzielę była p. Ola, która (co za postęp u tej uroczej skądinąd ukraińskiej dziewczyny!) tak się zaczytała we *Wdowie po Joczysie*, że przejechała stację metra. Teraz upomniała się o *Nowolipie*. Dałem, ale to naprawdę lektura nie dla niej. Żadnych odniesień do jej własnych doświadczeń, żadnych bliskich jej przekazów.

Kiedy ona sprzątała, ja wybrałem się z wózkiem do warzywnego sklepu na Mokotowskiej. Ładowałem już zakupy, gdy weszły dwie starsze panie, a jedna z nich do mnie: „Nie pamięta mnie pan? Jestem córką Ksawerego Pruszyńskiego. — Marysia! — Tak, Marysia. Ale genialna pamięć. — Nic genialnego w tym nie ma, to jest jedna z najważniejszych spraw mojego

życia”. Wracamy do naszego ty. Jej partner, znajomy mi p. Soyka, zmarł po 37 latach pożycia. Na trzy dni przed śmiercią poślubił ją, ślubu udzielił rabin (Czy przeszła na judaizm?). Zadzwoni do mnie, „musimy się spotkać”. Mój telefon jest w książce, nie zastrzegłem go. „Niech dzwonią — mówię, a właścicielka sklepu słucha z uwagą. — Albo powiedzą «ty agencie» albo «uwielbiam pana». Na to ta towarzysząca Marysi pani (starsza od niej): „Ja powiem to drugie”.

Ciekawe, co Marysia powie, jak zobaczy u mnie na ścianie portret jej ojca?

Mail od Janusza Majewskiego o *Szóstym, najmłodszym*. U Zosi odnowienie nowotworu. Mimo to opowiadanie przeczytał dwa razy. Musiałem go przekonywać, że w dacie kręcenia przez Veita Harlana *Żyda Süssa* nie ma pomyłki. Bo on ten film oglądał w Krakowie po wojnie (!), zastanawiał się, dlaczego to pokazują. (Wyświetlano za darmo niemieckie filmy w ramach „reparacji”. Ale dlaczego także hitlerowskie?). Czy Thomas Harlan naprawdę przyjeżdżał do Obór? I jeszcze: czy ta mała Goebbelsówna rzeczywiście przeżyła?

W banku po pieniądze dla kamieniarza z Powązkowskiej, który wykona pomnik na grób Reny. Zaprojektowałem tablicę przypominającą macewę, szczyt po lewej stronie złamany, a na samej tablicy faliste linie imitujące pisanie.

Madzia przesyła filmik o 92-letniej Ginger Rogers, jak tańczy ze swoim prawnukiem i wykonuje różne taneczne pas, w pewnej chwili nawet szpagat. Jeśli policzyć, to znaczyłoby, że kiedy tańczyła i śpiewała *The Continental* z Fredem Astaire’em miała najwyżej 18 lat. Chyba że sobie ostatnio kilka lat odjęła.

Wieczorem dzwonię do Różewicza, opowiadam mu o Ginger Rogers i jej szpagacie. Wspominam Minkiewicza, jak proponując mi bruderszaft, pocałował mnie w rękę. (No, swoje już Minio wypił). Różewicz o tym, że pocałowała go w rękę Agnieszka. „Nazwiska nie wymienię, ale jest na O.” Ja, kończąc rozmowę: „Cieszę się, że cię rozczmuchałem”.

Płyta na grobie już zainstalowana! Zadzwoniłem rano do p. Kozieła, pytam, kiedy instalacja, a on: „Już zainstalowane. — Jak to wygląda? — Pięknie wygląda. Oryginalnie”. Wezbrało wzruszenie. Umówiliśmy się na jutro, po pierwszej.

W czwartek, 12 maja, z gotówką dla p. Kozieła w kieszeni, jedziemy z Madzią i Elą do kamieniarskiej firmy na Powązkowską. Chcę płacić, p. Kozieł mówi: „Najpierw pan zobaczy”.

Jest pogodny dzień. Kupujemy białe chryzantemy i duży czerwony znicz. Nagrobek jest piękny, niebanalny (ta rozłupana z jednej strony macewa), ze wzruszenia ściska w gardle. Madzia bardzo poruszona. Dwukrotnie mówi: „Tato, piękny” — i za każdym razem całuje mnie. Dobrze, że kazałem dać napis: „Urodzona w Nawarii k. Lwowa”. Zdaje się, że Madzia zdaje sobie sprawę, że ta instalacja jest też dla mnie. Pomysł z falistą linią imitującą pismo na macewie, z jednej strony złamanej, sprawdził się i w estetyce, i w dyskretnej symbolice.

Obok leży Jurek Stawiński. Mówię do p. Kozieła: „Byliśmy kiedyś z żoną u niego na obiedzie, kiedy zjechała do niego teściowa z Gruzji. Teraz, leżąc obok siebie, mogą powspominać”.

W piątek, trzynastego, przyjeżdżają z Krakowa dwaj redaktorzy z portalu „Biblionetka”, Piotr Stankiewicz, bardziej okrągły na twarzy, i Szymon

Zając, który pisze pracę magisterską o Boyu, zna mojego *Błazna* na pamięć, pociągła twarz z czarniawym zarostem. Obaj dobrze przygotowani, prawie wszystko czytali. P. Stankiewicz mówi, że zaczął od *Crimenu*: „Byłem oszołomiony (…). Dlaczego tej książki nigdzie nie ma? Jeśli pan chce, to my ją wznowimy”. Nie ma przeszkód!

Rozmowa jest poważna. Pierwsze pytanie: „Czemu zawdzięczamy, że pan nie emigrował?”. Żonie, odpowiadam. I mojej naiwności. Nie przyszło mi na myśl, że po kilkudziesięciu latach w Polsce bez Żydów, antysemityzm będzie się wciąż ujawniał. Przypominam świetną formułę Marianowicza (z której już korzystałem): „Żydzi wyjechali — antysemici zostali”.

„Należałoby wypić — mówi p. Stankiewicz — za Żonę i za Naiwność”. Pan Zając jest zwolennikiem *Twarzy pokerzysty.* „Jakie dialogi! — I nagle: — Pan lubi dialogi? — Nie ja — odpowiadam. — Postacie je lubią”.

Pada pytanie o kobiety. „Jestem wrażliwy na kobiecość, jak każdy normalny mężczyzna”. Oni nie znają moich powieści „miłosnych”, w tym *Odejścia Afrodyty*. Daję im po egzemplarzu *Milczącego między nami.* „Nie, nie, panie Józefie, my kupimy. Po ile? — Powiedzmy po dwadzieścia. — Po dwadzieścia pięć” — na to oni, zaprzeczając, świadomie, stereotypowi o centusiostwie krakusów.

Jubileusz miesięcznika „Nowaja Polsza”. Najpierw informacja, że naczelny, Jerzy Pomianowski, jest w szpitalu, ale wszystko z nim w porządku. Przedstawicielka „Memoriału” opowiada o tym (co, jako młoda osoba, znać może tylko z ustnych przekazów), jak Rosjanie uczyli się po polsku, żeby czytać „Przekrój” i „Przegląd Kulturalny” — to był ich kontakt z Zachodem — mógłbym do tego dodać „Ekran” (mimo że bardzo partyjny, ale o filmach zachodnich informował) i „Świat”. (Tu przypomina

mi się rozmowa z Wiktorem Niekrasowem, autorem *W okopach Stalingradu*, który ten tygodnik abonował).

Zabierając głos w dyskusji, Adam Michnik powiedział, że jego zdaniem Stalin nie wierzył, że Niemcy zaatakują Związek Radziecki. Podszedłem do niego, kiedy przy winie stał z Rotfeldem i powiedziałem: „Stalin wiedział, że będzie wojna, on tylko miotał się między tą wiarą a nadzieją, że wojny nie będzie". Spytałem go, czy czytał *Najpiękniejsze lata*. Okazało się, że tak, w maszynopisie. Wierzyć mu się nie chciało, że we wrześniu 1940, w okresie bitwy o Anglię, w prasie radzieckiej przejawiała się sympatia po stronie angielskiej, publikowano reportaże z obrony przeciwlotniczej w Londynie, zdjęcia ślicznych angielskich dzieci obserwujących groźne niebo. W popularnym tygodniku „Ogoniok", pamiętam, było nawet opowiadanie o jakimś lotniku Sidneyu, który ginie, patrolując Kanał. (Przecież to jasne, że Stalin wolałby nie zostać sam na sam z Hitlerem). Przytoczyłem telefoniczną rozmowę Stalina z Erenburgiem z kwietnia 1941 roku (gdzieś ją już cytowałem). Stalin pyta, dlaczego Erenburg urwał pisanie *Upadku Paryża* (powieści antyhitlerowskiej). „Nie chcą mi tego drukować" — odpowiada pisarz. — A wy piszcie, piszcie, jakoś to razem przepchniemy". Erenburg odkłada słuchawkę, a Luba pyta: „Co powiedział Stalin? — Powiedział, że będzie wojna".

W rezydencji ambasady amerykańskiej, na Idzikowskiego, spotkanie z Timothym Snyderem, profesorem z Yale, specjalizującym się w zagadnieniach Europy Wschodniej. Wysoki, sympatyczny, elokwentny, pomaga sobie ilustrującą gestykulacją. Bałem się, że dostanę zapalenia płuc, bo szumiała klimatyzacja, zagłuszając przy okazji słowa profesora, a ja byłem spocony. Pod koniec odczytu szczupła, przystojna urzędniczka,

która siedziała w pierwszym rzędzie, poderwała się, wyszła do drugiego pokoju i wyłączyła tę okropną aparaturę.

Rozmowa z prof. Snyderem mogła właściwie utrącić „kompleks ubogiego krewnego” — zawsze czyhający na swoją chwile, kiedy spotykamy się z kimś z Zachodu. „Możesz mówić po polsku” — zachęcił mnie Zdzisiek Najder. Spytałem: „Czy pan wie, co to było Nowolipie?”. Wiedział. Przedstawiam mu się, a na to on: „Ja wiem, kto pan jest. — Od Adama Zamoyskiego? — Nie, czytałem pana”. Opowiadam mu o *Najpiękniejszych latach*, czego dotyczą, a jemu prawie oczy zabłysły. Mówię, że mogę mu przesłać elektronicznie *Nowolipie* po angielsku. „Wolę po polsku”. Dostaję wizytówkę z adresem w Yale.

Kupuję Gondowicza *Pan tu nie stał*, cieszę się na tę lekturę.

Z p. Maciejem Frankowskim, właścicielem wydawnictwa Erica, w Czytelniku. Przyniosłem mu egzemplarz *Crimenu*, na który zawarliśmy umowę. Termin: połowa czerwca. Jest dobrej myśli. Opowiada, że młodzi autorzy mówią czasem, że przygotowując się do powieści, trzeba przeczytać *Crimen*. (Chyba chce mi sprawić przyjemność). Dystrybutor, co ważne, gratulował mu projektu. Oby się sprawdziło.

Ciekawy wywiad z profesorem Snyderem w „GW”, w którym dobrze się wyraża o *Sąsiadach* J.T. Grossa. Jest też duży artykuł o Lilpopównach. Najmłodsza, Mania, która wyszła za Uniłowskiego, występuje w *Życiu Kamila Kuranta*. Krótkie i smutne miała życie, popełniła samobójstwo w Ameryce. A wkrótce potem zmarł syn Uniłowskiego, spadkobierca *Kamila Kuranta*.

Noam Chomsky, mój ulubiony profesor kretyn, się wypowiedział: „Wyobraźmy sobie, że oddział irackich komandosów ląduje na ranczu Busha, zabija go i ciało wrzuca do Zatoki Meksykańskiej”. Nie trzeba sobie tego wyobrażać, panie profesorze — oni to zrobili! Tylko mocniej! Zabili trzy tysiące ludzi, zwykłych pasażerów samolotów. Czy już rośnie miażdżyca, że pan usunął to z pamięci? Czy też usunął pan z pamięci, bo to się nie zgadza z pańskim humanistycznym bełkotem?

W Czytelniku, siedząc z Moniką, przypominam, co o Chomskim sądzi Francis Wheen („Jak brednie podbiły świat”), cytuje Orwella: „Tylko intelektualista może mówić takie idiotyzmy”. Monika zrobiła wielkie oczy, kiedy jej powiedziałem, że „nie jestem fanatykiem wolności słowa”. Przyzwoitość, lojalność, mądrość są ważniejsze niż to, żeby każdy mógł — w imię „wolności słowa” — wykrzykiwać najohydniejsze, najbardziej zbrodnicze hasła. Ten młody człowiek, który założył portal „Antykomor” i zrobił grę, w której wygrywa ten, kto strzela do prezydenta, uprawia łobuzerkę. A łobuzów należy tępić.

Sándor Márai zaczyna swój dziennik w 1943 roku. Ma 43 lata. Dlaczego dopiero teraz? Może dlatego, że dopiero teraz dla Węgra zaczyna się wojna. „Pan X”, informuje Márai, wraca z Włoch, które oczekują na inwazję. „Świat drży w posadach”. Dopiero teraz! „Pan X”, o czym się później dowiemy, to jego teść, ojciec L., czyli Loli, Żyd (o czym także dowiemy się później, kiedy zagrozi mu niebezpieczeństwo i zięć będzie usiłował go ratować).

Urodził się w 1900 roku, dwadzieścia trzy lata starszy ode mnie, ale, rzecz znamienna, lektury mamy często takie same, europejski kanon literacki trwał. Sainte-Beuve, Erazm, Stendhal, Shelley, *Kandyd!* Shawa — (tu błąd tłumaczki, Teresy Worowskiej, sztuka Shawa nazywa się *Kandyda*, bohaterką jest pani pastorowa), Goethe, Shelley, Szekspir,

Diderot, później Camus i Lampedusa. Wielcy Rosjanie: Czechow, Tołstoj, Dostojewski. Ale i Majakowski. W 1943 r. *Talleyrand* Duffa Coopera. I znowu bliskość, bo ja, jako piętnastolatek, zdążyłem przeczytać tę książkę, o której mało kto dziś wie, będąc jeszcze w gimnazjum. Márai: „najlepsza zbeletryzowana biografia, jaką kiedykolwiek miałem w ręce". Nie myli się, kiedy pisze o autorze jako o „rasowym angielskim dyplomacie". Ale chyba nie zauważył, że Duff Cooper był w ekipie Churchilla, premier powierzył mu na czas wojny brytyjską propagandę. I chyba bardzo osobista jest dla Máraiego taka uwaga: „Mądre i trafne, co pisze (Cooper) o potrzebie rozkoszy Talleyranda, o tej niezaspokojonej, nieubłaganej żądzy rozkoszy, która znajduje rozładowanie dopiero w pracy".

Czyta Conrada, „przez kilka nocy z rzędu. Tajemniczy i niepojęty". Myli się jednak, kiedy pisze, że ten „polski marynarz" nie znał francuskiego. Znał i to tak dobrze, że zastanawiano się w rodzinie, czy nie powinien pisać raczej po francusku. Wiadomo, że rozzłościł go francuski przekład *Szaleństwa Almayera* (a tłumaczył André Gide).

No i czyta Montaigne'a. „Rankiem (…) rozebrany, leżąc na pagórku wśród drzew owocowych (…). Ten idylliczny letni poranek zostaje mi podarowany w jednej z ostatnich, koszmarnych chwil tej wojny (1944 — J.H.) i nie potrafię się z tego powodu wstydzić".

Jeszcze w 1943 r. o pracy pisarskiej: „Nie żyję «jak w powieści», nie mam opadających loków i sumiennie płacę rachunki". Zwykłe życie. Ale zdyscyplinowane, „odmiana pracy przymusowej". I dalej: „Jem owoce, żeby móc pracować — choć nie lubię owoców; nie piję wina, żeby móc pracować — choć lubię wino".

W 1944 r.: „Zaczynam czasem rozumieć, co czuł Montaigne, pisarz, szlachcic i burmistrz (…) w okresie wojen religijnych".

„Dziś odebrano Żydom wszelką własność. Zamknięto wszystkie uczciwe gazety”. (Aha, więc przedtem jakieś były).

„Czegóż bym jeszcze chciał? Zobaczyć morze. Odwiedzić Paryż. Umrzeć w łóżku, jak Pan Bóg przykazał”.

W tym samym roku: „Wstyd żyć. Wstyd chodzić pod słońcem. Wstyd żyć”. Nie trzeba być aż pisarzem, by coś takiego odczuwać. Magdalena O., studentka prawa, urocza dziewczyna, z trudnym wiejskim dzieciństwem, która w *Nie boję się…* pojawia się jako Eulalia, spłakała się, czytając *Skrawek czasu* Idy Fink, i powiedziała: „Wstyd mi, że żyję”.

„Nie sposób rozmawiać z ludźmi. Podobnie jak nie sposób rozmawiać z szaleńcami czy pijanymi: węgierska klasa średnia upiła się problemem żydowskim”. Dalej myśl: „Ludzie nigdy nie są tak niebezpieczni jak wtedy, gdy mszczą się za winy, które sami popełnili”.

„X został deportowany do Polski”. Czyli na śmierć w Auschwitz. Wiemy już, że X to jego teść, ojciec Loli. Nadżupan, u którego Márai starał się, żeby 77-letniego starca nie wywozili, żeby pozostawili go w getcie, odpowiedział, że „nic nie może zrobić”. „To czemu nie ustępuje ze stanowiska?”

Chyba muszę zacytować to (wciąż rok 1944): „Czemu nie piszę? A jak mam pisać? Co sobie wyobrażają ci idioci (…), którzy podnoszą teraz przeciw pisarzom polityczne oskarżenie o «sabotaż twórczy»? Ja nie jestem sobą, kiedy piszę: to, co piszę, stwarza mnie, nie tylko ja tworzę dzieło”. I dalej o tym, że „pisarz jest włóknem nerwowym w duchowym organizmie i jeśli cały organizm jest zaatakowany przez chorobę, włókno nerwowe nie otrzymuje od reszty organizmu niezbędnego ukrwienia i przestaje funkcjonować”.

Ładne, ale można z tym polemizować. Każdy człowiek jest inny i każdy organizm twórczy funkcjonuje inaczej. To, co u jednych powoduje

zamieranie twórczości, innych może pobudzać do twórczości.

Ten 600-stronicowy polski tom to wybór, dlatego nie wiemy, czy pewnych uderzających nas pominięć dokonał sam Márai, od 1948 roku emigrant, czy też z tych czy innych przyczyn uznała za stosowne pominąć te zapisy pani Worowska. Nie ma wzmianki w wydanym dzienniku o śmierci Stalina. Nie ma o zamordowaniu Kennedy'ego. Ani słowa o wojnie sześciodniowej! Czy naprawdę pisarz uznał to za nieistotne, niewarte ustosunkowania się? Nie ma w dzienniku nic o sporcie, olimpiadach, nie ma mistrzostw świata w piłce nożnej. Emigrant czy nie emigrant, ale kiedy „nasi najlepsi!" — bo węgierska drużyna piłkarska, z Puskásem, Kocsisem, Hidegkutim była wtedy najlepsza na świecie — to byłoby dziwne, gdyby Węgier, choćby nie wiem jaki intelektualista, nie czuł z tego powodu satysfakcji.

26 maja. Dzisiaj miesięcznica (dziewiąta) odejścia Reny. Rano normalne czynności, z pewnym pośpiechem, bo o 10.45 mam być u lekarza w przychodni na Emilii Plater z tymi wynikami, które zdołałem zebrać. Młody doktor Maciej Grodzicki, geriatra, bardzo rzeczowy i czynny, zapytał: „Jak żona?". Pamięta, że kiedyś do niej przychodził. Trochę rozmawialiśmy na jej temat. Zaleca mi zrobienie tomografii płuca. Czy nie puchną mi nogi? Nie puchną. Czy nie mam duszności? Nie mam. Wśród zaleceń dla mnie doktor Grodzicki napisał: „Stała obecność osób trzecich". Nie powinienem być w nocy sam. Ela zapewnia: „Będzie Tomek". Ale ja myślę, że to przesada.

Jutro zjeżdża Obama. Nasze służby oczywiście są nadgorliwe. W Irlandii, w Londynie Obama ściskał wyciągające się do niego ręce gapiów. Debel w ping-pongu podczas grilla u Camerona ujawnił, że także premier W. Brytanii jest mańkutem. Podobnie jak Clinton. Wielu wybitnych

piłkarzy, pięściarzy, tenisistów to sportowcy leworęczni (lub „lewonożni”). (Ja sam jestem absolutnie praworęczny, ale lubiłem grać na lewym skrzydle i dawałem sobie z tym technicznie radę).

Wybrałem się do księgarni kawiarni Wrzenie Świata na jubileusz Helenki Stachovej. Helenka zarezerwowała dla mnie miejsce w pierwszym rzędzie, obok siebie. Salka pełna, krzesełka twarde, niewygodne. Okazało się, że to zarazem promocja świeżo wydanej pierwszej książki Mariusza Szczygła: *Niedziela, która zdarzyła się w środę*. Czytała, aktorsko się wyżywając, Zosia Czerwińska, z którą ponad pięćdziesiąt lat temu krzyczeliśmy oboje: „Gestapo! Gestapo!”, na milicję tłumiącą na Nowym Świecie młodzieżowe protesty przeciw zamknięciu „Po prostu”. Chyba to było to. Pamiętam, jak u nóg moich padł wystrzelony granat z gazem łzawiącym, odkopałem go w stronę milicjantów. Odtąd ilekroć się z Zosią spotykamy, zawsze czujemy się jak związani kombatanctwem.

Obama przy Grobie Nieznanego Żołnierza rozmawiał z uczestnikami wojny, przy pomniku Bohaterów Getta z wyselekcjonowanymi działaczami żydowskimi. Zdobywa przy okazji głosy (Polonii i Żydów) do reelekcji. Ale do wyborów jest ponad rok i wiele jeszcze może być wahnięć na huśtawce politycznej. Potem nieoczekiwanie pojechał do hotelu Marriott, zapewne żeby się odświeżyć, zajść do toalety, zmienić koszulę. Wieczorem do „Szkła kontaktowego” zadzwonił jakiś dowcipniś, że on wie, po co Obama zajechał do hotelu. Przedtem spotkał się z „pewną grupą” i musiał po tym spotkaniu umyć ręce. Miecugow, słysząc to, poszarzał. „Niełądnie pan powiedział” — odezwał się i przerwał rozmowę.

Namawiają do pisania wspomnień z pierwszych lat PRL, wydawnictwo zawarłoby umowę. Tytuł „BEZ NOWOLIPIA” właściwie zaakceptowany. W dużym bloku zapisałem kilka pierwszych zdań. Miało się to zacząć tak: „W Lubartowie nie mogłem zasnąć — przez tę poduszkę, którą uraczył mnie gospodarz, głowa tonęła w puchu jak w toni morskiej — bez oparcia. (…) Przez ostatnie lata za wezgłówek służyły mi najczęściej zwinięte w wałek spodnie, czasem wierzchy trzewików, a czasem mój własny łokieć. I żadnych problemów z zasypianiem nie było. (…) Tu, w Lubartowie, w sierpniu 1945 roku jest inaczej: zaczęło się.

A może ja niepotrzebnie obwiniam puchowość tej poduszki. (…) Od kilku miesięcy już w i e m. Tak, wiem, co się tam stało”.

Nie, nie mam ochoty tego ciągnąć. Pomyślałem sobie tylko, że ja — dzięki przeżytym latom — jestem kimś, kogo można nazwać Łącznikiem z pokoleniami, które przeminęły. Nie ma środowiska, z którym dawniej współżyłem, dla którego pisałem. Ten sam Nowy Świat, ale z innymi ludźmi, bez znajomych twarzy. W telewizji filmy — zagraniczne czy polskie — z aktorami, którzy już nie żyją. Ale na ekranie są żywi, zabawni. Holoubek, Gliński, Woszczerowicz, Mrozowska, Eichlerówna… Clark Gable, Marilyn Monroe, Gary Cooper, Fredric March, Paul Newman, Montgomery Clift, Spencer Tracy, Mastroianni… Działają, przekazują myśli, wzruszają.

Czerwiec

O wpół do dziesiątej u p. dr. Grodzickiego z wynikami. Jest zadowolony: wyniki wskazują na dobry stan, przyzwoitą pracę nerek, raczej nie ma tego zagrożenia, którego się obawiał i które cały czas było we mnie obecne. Nie powinienem, mówi, wychodzić w taki upał jak wczoraj. Ale wydawca, na to ja, miał czas właśnie wczoraj. On: „Wydawca powinien się dostosować do

pana — nie pan do wydawcy”. Wydawca prowadzi firmę, a ja prowadzę tylko siebie.

W „DF” czytałem z zadowoleniem, nawet z radością, felieton Krzysztofa Vargi *Planeta Grafomania* — o Larsie von Trierze. Grafoman, szarlatan, na którego „głębie” dali się nabierać krytycy snobi. Varga relacjonuje film *Europa*, sławiący bohaterską walkę Wehrwolfu z jankeskimi okupantami. Więc to, co von Trier kiedyś powiedział, że współczuje Hitlerowi, to nie był wygłup, ale — szczere… i głupie.

Madzia nigdy nie słyszała o Wehrwolfie. Maciek tak, słyszał, ale wie, że to był tylko mit, zamierzenie, które na szczęście — na szczęście dla Niemców — nigdy nie wypaliło.

Madzia, wychodząc ode mnie, mówi, spoglądając na pokoje: „Masz naprawdę ładne mieszkanie”. „Tak, wiem, że mam ładne mieszkanie” powiedziałem, bliski łez. I wtedy Madzia, poruszona, gładzi moje ramię, domyśliła się, co się we mnie dzieje.

Procesja z „relikwiami” Papieża, dzień dziękczynienia za beatyfikację. Młody konstruktor sporządził relikwiarz, niosą w procesji ząb, kroplę krwi i coś jeszcze. Będą się do tego modlić, żeby Jan Paweł II uzdrowił, dał szczęście. Mają lodówki, pralki automatyczne, kolorowe telewizory, laptopy z Internetem. Myślę o moich Papuasach z opowiadania *Długa, chyża łódź*, którzy przychodzili do Czarownika kupować sen.

Idę na pocztę, by odebrać pakiet. Listonosz, który zostawił w skrzynce zawiadomienie, zaadresował je: „Szef Hen”. Nieźle. Szef czego? Jan Widacki pisze — wiadomo o kim — „Szef wszystkich szefów”. Capo di tutti capi.

Pakiet jest z Australii, a w nim *Pan Tadeusz* po angielsku, tłumaczenie Marcela Weylanda, z rysunkami jego żony Philippy. Tłumaczenie staranne, opis „pól osypanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem” — godzien podziwu. Ale nigdy żaden przekład zachodni nie odda uroku Mickiewiczowskiego języka, to po prostu niemożliwe. Nie da się w angielszczyźnie odciąć epitetu od rzeczownika i wcisnąć między nie czasownik: „Co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie”. (Co za mistrzowska swoboda!)

Właściciel wydawnictwa Erika, p. Frankowski, dał mi wydaną przez siebie książkę *Ostatnia zbrodnia Stalina*. Rzecz o podłej intrydze Stalina oskarżającej o trucicielstwo żydowskich lekarzy leczących radzieckich przywódców. Autor, Jakow Rapoport, był jednym z głównych oskarżonych, wstęp napisała jego córka. Dla rodzin oskarżanych lekarzy sytuacja była pogromowa. Celem „uniknięcia pogromów” miano te rodziny wywieźć na Syberię, obozy były już przygotowane. Stalin nie wierzył, że ludzie mogą z własnej woli jechać na Syberię, dokądkolwiek, jeśli będzie tam można zarobić na życie, ułożyć je sobie. Wbił sobie do głowy, że imperia powstawały dzięki niewolniczej pracy. Ludzie nie boją się trudnych warunków (jak w pieśni: *Sibiri nie bojus’ ja*). Po wojnie, przypominam, kobiety z całej Rosji jechały do Workuty, bo tam byli mężczyźni, rozkonwojowani więźniowie czy zesłańcy.

Ale co za hipokryzja! Wysyłać na Syberię, żeby „ocalić przed pogromem”.

Jeszcze jedna rzecz w tej sprawie jest ciekawa: szybkość, z jaką po śmierci Stalina lekarzy uwolniono i rehabilitowano. Chruszczow, Malenkow, Mołotow, nawet Beria, chcieli pokazać, że oni z tą podłością nie mają nic wspólnego — to Stalin, tylko on.

(Wkrótce po tym była w jakimś postanowieniu mowa o szkodliwości „kultu jednostki”. Na festiwalu młodzieży w Bukareszcie — w roku 1953 — uderzające było to, że podczas gdy różne delegacje nosiły portrety swoich przywódców, tylko delegacja radziecka maszerowała bez portretów).

Wizyta w Iskrach. Dobrze nam się z Wiesławem gada. Dostaję książkę Andrzeja Dobosza *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*. Podejrzewam, mówię, że on mnie nie lubi i nie czyta. Wiesław o tym, że Paweł Hertz wyraził się o mnie: „Pisze pożyteczne książki”. Dla Hertza, neopozytywisty katolika, było to ważne kryterium.

Czytam Dobosza i Gondowicza na przemian. Chwilami są podobni do siebie, podobnie widzą świat i literaturę. I swoją rolę jako piszących. (Z tym że Dobosz w podejmowaniu tematu miał do pewnego stopnia łatwiejszą sytuację, wiedział, jakie jest jego zadanie: miał przeciw sobie system, cenzora, czasem i redaktora). Ich erudycja, rozrzutność bibliograficzna (w tym szczodrzejszy jest Gondowicz) mogą przyprawić o zawrót głowy. Ale to interesuje wtedy, kiedy temat interesuje, postać, którą podziwiają. Kiedy Dobosz przytacza z nabożeństwem i dumą listy Jerzego Stempowskiego, mnie to nie bierze, nie klękam przed Stempowskim (Giedroyc także nie). Podobnie kiedy Gondowicz (którego postawa jest mi bliższa, a dokonania wybitne) bawi się menu Witkiewicza. Nie jestem bezkrytycznym wielbicielem Witkiewicza.

Tej nocy, myśląc o nich, kojarząc ich niejako ze sobą, zastanawiałem się nad tym, dlaczego ci niezwykli erudyci nie dali własnego dzieła, jakichś współczesnych *Nędzników* na przykład, czy może czegoś w guście mannowskim? Dobosz wspomina, że zamierzał napisać powieść,

pertraktował z wydawnictwem. I gdzież ona jest, ta powieść? Może lepiej, że się nie ukazała.

Zanotowałem w nocy taką myśl:

„Z a d u ż o c z y t a j ą, za dużo o pisaniu wiedzą, by napisać własne dzieło. Wszystko już zostało napisane. Są nasyceni cudzym pisarstwem.

Bawią ich (i czasem dziwią) strzępy książek. Te strzępy powodują refleksje, skojarzenie goni skojarzenie, wytwarzają się glosy, uwagi, przypisy.

Żeby napisać dzieło, trzeba t r o c h ę n i e w i e d z i e ć. Wejść w lukę — wyobraźnią. Odrobina «ciemniactwa» nie zaszkodzi. Jeśli jest, oczywiście, to, czego nie znosił Irzykowski: talent. A co to jest talent? Tajemnica”.

Andrzej Dobosz w felietonie *Hałas* przytacza zakończenie narzekań Słonimskiego na puszczaną z gigantofonów muzykę na Krupówkach w Zakopanem. „…Po co zatruwać powietrze kraju rykiem muzyki mechanicznej? Głodu nie boimy się, bo Polska to kraj rolniczy. Z wojną damy sobie radę. Tylko z tym powietrzem to będzie najtrudniej”. I tu dopisek Dobosza: „Kronika tygodniowa, z której pochodzi ten cytat, wydrukowana była w 829 numerze «Wiadomości Literackich» z niedzieli 3 września 1939 roku”.

Nie spodziewali się wojny, wierzyli, że Hitler się wycofa. Nawet pakt Ribbentrop–Mołotow nie zakłócił ich beztroski, dobrego humoru — w felietonie interweniującym z powodu hałasu „z powietrza”. (My, gimnazjaliści, kopaliśmy wtedy na skwerach rowy przeciwlotnicze).

W kilka dni po ukazaniu się tego numeru (o którym w ogóle nie wiedziałem, że się ukazał) Słonimski, Tuwim i ich żony już byli uchodźcami. (Czy na Krupówkach przestano hałasować, nie wiem

— zapewne tak). Przez Rumunię dostali się do Paryża, o czym dowiedziałem się, słuchając paryskiego radia.

Kilka razy już sobie obiecywałem, że zaprzestanę notatek, ale rzeczywistość — że się tak wyrażę z pewną przesadą — jakoś mnie zobowiązuje do przełamania niechęci czy też zmęczenia, marazmu, a może przede wszystkim lęku przed konfrontacją z kartką papieru.

U dr. Grodzickiego (z Elą) z wynikami USG. Zadowolony. Daję mu książkę o Boyu. Zamiast dedykacji załączam receptę: „Co drugi wieczór 20 minut przed zaśnięciem”. Roześmiał się.

Nazajutrz o 8.15 ma być tomografia płuc na Chałubińskiego. W korytarzu kolejka. Z gabinetu wychodzi młoda, pyzata, jasnowłosa kobieta i zwraca się do mnie, żebym podpisał zgodę na użycie preparatu jodowego. Wyczytuję z kartki: mogą być skutki uczuleniowe, duszności, wymioty, wstrzymanie akcji serca. Ja: „Po co mi to?”. Ona, z uśmiechem: „Będziemy ratować”. „Nie chcę tego. Nie muszę mieć tomografii”. Ona: „Napisz tu, aniołku, nie wyrażam zgody. I podpis”. Zrobiłem tak. Po kwadransie ona znowu wychodzi: „Zrobimy ci, aniołku, bez kontrastu”. „I bardzo dobrze”.

Na korytarzu nieustanny ruch. Wielu pacjentów rozwożonych na wózkach. Młodzi pracownicy w zielonych kitlach raz po raz wprowadzają kogoś do sali radiologicznej. Wreszcie, po godzinie — ja. „Połóż się tu, aniołku, ręce do góry. Hen przez „ch”? — Samo ha”. Jak zwykle, moje nazwisko z niczym jej się nie kojarzy.

Najtrudniejsze było kilkakrotne nabieranie powietrza i niewypuszczanie go; jak zbawienie rozlegał się głos męski: „Można oddychać”. Kiedy to się skończyło i usłyszałem: „opuść nogi, aniołku”, i mogłem stanąć wyprostowany, powiedziałem do tej pani: „Przedstawię się. Jestem

pisarzem, scenarzystą filmu *Prawo i pięść*”. Jakby coś jej to mówiło. „I serialu *Życie Kamila Kuranta*”. Wykrzyknęła: „Oglądałam!”. Potem, że miło było poznać. (Już bez „aniołka”). Jutro o ósmej będzie wynik.

Skończyłem *Pan tu nie stał* Gondowicza, żałując, że książka nie jest grubsza. Kupiłem „Politykę” i „Wyborczą”, świąteczną, bo także na Boże Ciało. Jest tam bogaty w informacje szkic Michnika o Karolu Modzelewskim. Szkic jest polityczno-historyczny, niemniej brak mi jednego wątku: małżeństwa i rozwodu bohatera. Pamiętam ich oboje z Obór, ona bardzo piękna, on zakochany. Jest tam też szkic Andrzeja Garlickiego o wojnie fińskiej, zakończonej w marcu 1940, nareszcie z prawdziwymi wnioskami. Kilka drobnych nieścisłości.

A w Boże Ciało procesje, „lud wszedł do śródmieścia”, inaczej niż w wierszu Ważyka, znowu długi weekend, samochodziarze opuścili Warszawę, Polska unieruchomiona, biskupi atakują ustawę o związkach partnerskich, żądają zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej.

Nie ma tego święta w innych krajach Europy. Premierzy zbierają się w Brukseli, by podjąć jakieś decyzje w sprawie Grecji.

List od Bronisława Łagowskiego, w którym chwali artykuł Madzi o degradacji kultury francuskiej. Ma wątpliwości, czy mam rację, pisząc o Katarzynie, że grafomanka, pisać umiała. Tak, odpowiem, pisać umiała, mnie idzie o to, że miała mentalność grafomanki, tępiła ludzi z talentem.

Napisałem dość długi list do Andrzeja Garlickiego (niestety, bez kopii), w którym wyraziłem satysfakcję z treści jego szkicu i sprostowałem pewne nieścisłości. Otóż rangę marszałka wprowadzono nie wraz z przywróceniem epoletów po Stalingradzie, ale już w 1935 roku. Kiedy w 1939 roku znalazłem się w Związku Radzieckim, widziałem w gazecie zdjęcia pięciu marszałków. O Woroszyłowie śpiewano w jakiejś bojowej

pieśni, że „pierwyj marszał” poprowadzi do boju. Wydaje mi się, że nie zna *Najpiękniejszych lat*, a przydałyby mu się. Napisałem, że, jeśli zechce, książka, która wyjdzie w lipcu, jest do jego dyspozycji.

26 VI, niedziela. Dziś mija 10 miesięcy od śmierci Reny. We śnie wciąż jest obecna. Dwie noce temu podałem jej herbatę, usiłowałem wyskrobać resztki z sitka. A przecież Rena w ogóle nie piła herbaty.

W kawiarni na Hożej filmuje się rozmowę Ludwika (Stommy) ze mną. Na początku powiedział: „Byłeś moim idolem, zanim jeszcze poznałem Madzię” (w 1968, w liceum Reytana). A to coś nowego! „Tak, wyobraź sobie, takie wrażenie zrobiło opowiadanie *Bokser i śmierć*”. Zapytał, czy tam, na Syberii (nie byłem na Syberii, prostuję) czułem się Żydem czy Polakiem. „Czułem się Uchodźcą — odpowiadam. — To była taka narodowość: bieżeniec”.

Czy chciałem wrócić na Nowolipie, zamieszkać na nim? Nie, Nowolipia nie ma. Proponowano mi w tej dzielnicy przydział mieszkania. Nie zgodziłem się. Bałem się, że mieszkając tam, będę słyszał krzyki.

Trochę o tym, czy czuję obcość wobec tego, co się dzisiaj pisze. Tak, i nie jest to sprawa różnicy pokolenia, ale różnicy biografii. (Nasunęło mi się to najpierw po przeczytaniu wywiadu z Andrzejem Stasiukiem, potem z Marcinem Świetlickim — co czyta, co pije, jego stosunek do syna). Mówię o tym, że wśród wypowiedzi pisarzy współczesnych, czytających Wojaczka, Dylana, Stasiuk wymienia jeszcze Haupta, Płatonowa, nie widać wpływu literatury oświeceniowej, racjonalistycznej, Diderota, Constanta, Tocqueville’a, Poppera, Fromma, Berlina, Russella, Boya. Słonimski — owszem, egzystuje — jako dowcipniś.

Bardzo reklamowany serial *Rodzina Borgiów*. Sfabularyzowana ilustracja tego, co i tak wiadomo. Kiedy zapytano Jeremy Ironsa, aktora, którego bardzo lubię, dlaczego zgodził się na rolę zbrodniczego papieża, zaczął tłumaczyć, jakie to ważne, fascynujące, zamiast powiedzieć po prostu: „Bo mi świetnie zapłacono”. (Tak odpowiedział kiedyś Hemingway, kiedy go zapytano, dlaczego zgodził się na kiczowatą przeróbkę *Śniegów Kilimandżaro*).

Wyłączyłem telewizor (było po jedenastej w nocy) i położyłem się do łóżka z książką Andrzeja Dobosza. Tym razem czytałem z satysfakcją. „O listach”, „O podróżach”, „O bibliotekach”. Jednak powałęsał się sporo po świecie, zaglądając do przeróżnych bibliotek: w Kopenhadze, w Madrycie… Ja z zagranicznych bibliotek znam tylko (i wystarczy!) Bibliothèque nationale… (na rue Richelieu). — A czy zna pan, chciałoby się zapytać, bibliotekę więzienną w Strzelcach Opolskich?…

Wychodziłem spod natrysku, kiedy zadzwoniła komórka. Dzwonił Andrzej Garlicki. Dziękuje za list. „Oczywiście, pan ma rację”. Nie czytał *Najpiękniejszych lat*, chciałby je dostać, najlepiej na adres „Polityki”. Dziś przekazałem jego nazwisko Justynie Kawalec, dopisała je do gratisów.

(Przerwałem notatki, żeby obejrzeć Teleexpress — dzisiaj Polska przejmuje prezydencję w Unii Europejskiej, przyjechał Barroso, Rompuy; premier Węgier — bardzo rozgadany — wręczył Tuskowi pałeczkę sztafetową Unii; chmurne twarze zawistników z prawicowej opozycji, robią wysiłki, by wznowić oszczerstwo smoleńskie. (…) Prawda, wczoraj, w przeddzień objęcia prezydencji, Solidarność zorganizowała w pobliżu mojego balkonu huczną manifestację, ale nikt się tym nie przejął. Jedyna niewygoda — dla mnie — że wygłodniali uczestnicy manifestacji wykupili

w „moim” sklepie wszystkie kajzerki; sprzedawczyni, która kiedyś widziała mnie w telewizji, odstąpiła mi dwie bułeczki).

Muszę odnotować, że śnił mi się Dejmek — ale jako aktor, mój aktor. Ponieważ nie chciał się w czymś podporządkować, zawołałem ostro: „To ja tego nie reżyseruję!”. I odszedłem. Ciekawa zamiana ról przez sen.

Lipiec

Mam teczkę z listami od i do Reny, 1944–1948, te z czasów wojny i tużpowojennych, jeszcze sprzed repatriacji, trudno odczytać, bo Rena pisze je atramentem, który wyblakł, na ogół po rosyjsku (ze względu na wciąż obowiązującą cenzurę wojenną). Mój list do niej bardzo czytelny, ale żenująco emocjonalny, zapewnienia o miłości — Rena mogła się czuć tymi słowami zaszantażowana. Jest też o moim spotkaniu z Mamą i dopisek do Stelli w Ferganie z błaganiem, żeby pomogła Renie.

Ale jest i jej list późniejszy, z Leningradu, do którego pojechała z Krakowa na studia, list intymny, pełen tęsknoty, także fizycznej — okazało się, że półtora roku pożycia małżeńskiego nie było bez wpływu, rozbudziło kobiecość i słowo „kocham” też pada. Którego w tamtych listach, choćby krępując się cenzury, nie używała.

Z Uchańskim w klubie Krytyki Politycznej na Nowym Świecie, wieczór poświęcony 70-leciu rozstrzelania Boya-Żeleńskiego. Dla nich Boy to przede wszystkim walka z klerem, upominanie się o prawo do rozwodu, świadome macierzyństwo. Zostałem wywołany do wypowiedzi, co nie było planowane. Mniej więcej powiedziałem to, co trzeba było. Parę anegdot rozweseliło salę. (Ponad 100 osób). Powiedziałem, iż niepokoi mnie to, że współcześni obiecujący, 50-letni już teraz pisarze, nie wymieniają w swoich

lekturach Boya — jest Wojaczek, Dylan — lektur oświeceniowych w ogóle nie ma.

W skrzynce książka od Różewicza: *Wycieczka do muzeum*, proza. Przeczytałem z niej pierwsze opowiadanie, z czytelniczą satysfakcją, proza tak inna niż moja, czasami na granicy wiersza różewiczowskiego.

Spotkanie wieczorne u Bliklego z Tatianą, córką Henryka Dunajewskiego (kol. Świecy z gimn. Kryńskiego). Jest z nią p. Elżbieta, u której mieszka. Daję jej *Pingpongistę* po francusku, nareszcie jej frankojęzyczni synowie (jest ich trzech) coś mojego przeczytają.

Ma ze sobą zdjęcia ojca. Na niektórych Henryk i mer miasteczka, w którym znalazł się w Domu Seniora. Henryk zadowolony, bo dostał jakieś francuskie odznaczenie za udział w ruchu oporu — p o l s k i m, ale francuscy kombatanci to honorują. To jego zadowolenie, że został odznaczony, teraz, pod koniec życia, jako nieczynny już senior, godne jest filozoficznego zamyślenia.

W prasie, także w „Wyborczej”, ani słowa o Boyu-Żeleńskim, o 70-leciu rozstrzelania jego i profesorów lwowskich.

Wieczorem telefon do Różewicza, że książka do mnie dotarła i czytam. On przeczytał *Szóste, najmłodsze* — (co jest wyczynem, bo ma trudności z czytaniem) — zdaje się, że aprobuje; gdyby nie aprobował, nie krępowałby się tego powiedzieć. Mówi o „precyzyjności dialogu”. Żeby nakręcić film, trzeba będzie jednak sporo popracować, by nadać obrazom dzisiejszą dynamikę. Zapytuje, czy są w opowiadaniu elementy autobiograficzne. „Czy byłeś wtedy w Berlinie?” Wyjaśniam, gdzie byłem (pod Budziszynem), ale dodaję, że do prozy wcisnęły się moje inne

przywiązania i wspomnienia, nazwisko „Chitrow” i adres „Nikitskij Bulwar 10”.

W księgarni na Wiejskiej kupiłem Łagowskiego wybór felietonów z lat 2005–2010, *Symbole pożarły rzeczywistość*. Dość niepewnie zajrzałem do spisu treści — jest felieton *Pisarz, który za dużo wie*! Przeczytałem. I pomyślałem: to brzmi teraz mocniej, przekorniej niż półtora roku temu. Tak bardzo atmosfera się pogorszyła, tak bardzo dominacja obłudników, oportunistów się poszerzyła.

Cieszę się na tę lekturę. W kolejce czeka angielski Bertrand Russell, podczytuję prozę Różewicza, przede mną Montefiore, za mną Gondowicz. Pomyślałem: nieźle mi się powodzi, obcuję z mądrymi i utalentowanymi ludźmi. (Niestety, życie to nie tylko lektury).

Z Elą i Tomkiem taksówką do Madzi na urodziny Ewy. Kierowca, chyba sześćdziesięcioletni, rozgadany „liberał”, monologuje na temat gospodarki, wie jak było („węgiel oddawaliśmy za jedną trzecią wartości”, „Gierek katastrofalnie nas zadłużył”), wie jak jest i wie, co trzeba robić teraz. Wszystko wie, tylko samochodem źle zajechał i trzeba było korygować dojazd pod Madzi dom.

Nazajutrz rano Ewa w pociągu do Berlina, z laptopem, ale bez żadnego dokumentu, licząc na dobrodziejstwa układu w Schengen (paszport oddała do konsulatu amerykańskiego w oczekiwaniu wizy). No i przejechała. Europa nasza.

Znowu czytanie listów Reny z Leningradu (1949). Tęskni tak, że pisze: „Wygrałam los na loterii. Tak kochanego chłopca…”. To o mnie!… Z aluzjami także erotycznymi, delikatnymi, zaszyfrowanymi,

z wynalezionym słownictwem, jak często bywa w małżeństwach, że tylko ta para wie, na szto namiok. (Po polsku: do czego to pije).

(Pamiętam, że rosyjskie koleżanki, studentki, ją zapytały: „Renoczka, a co robicie wieczorem z mężem w łóżku?”. „Czytamy gazety”, odpowiedziała).

Dziś uroczystość w Jedwabnem. 70-lecie zbrodni. Trochę to lepiej ma wyglądać niż 10 lat temu, będzie biskup. To może i miejscowy ksiądz?… Tadeusz Mazowiecki odczyta oświadczenie prezydenta Komorowskiego, w którym przypomina się przemówienie Aleksandra Kwaśniewskiego, jego słowa „Przepraszam”. Przepraszał, co podkreślił, „w imieniu tych, których zbrodnia ta poruszyła”.

Było koło siódmej, kiedy w sklepiku w Alejach Ujazdowskich złapał mnie Tomek — świetnie, w samą porę, żeby mógł dźwigać moje zakupy. Jak zwykle z Tomkiem ożywiona rozmowa, chyba ze dwie godziny. Na kolację zaproponowałem parówki indycze (jak przedwojenne! — chwalę), do tego po łyku whisky. (Rozpijam wnuka). Opowiadam Tomkowi, jak przed wojną na Nowolipiu, w wędliniarni Warmana, kupowało się na wynos gorące parówki do papierka, panna Warmanówna dodawała musztardę także na papierku. Można też było zjeść na miejscu. Tomek mówi, że teraz na studiach historycznych jest moda na zajmowanie się takimi szczegółami — co i jak jedzono, czym się posługiwano. On sobie zapamięta te gorące parówki do papierka.

Wracam do swojej pozornej aktywności. Przeczytałem uważnie, z piórem w ręku, moje opowiadanie — i zaczęło mnie męczyć, że zakończenie stało się zbyt deklaratywne, zbyt wyrazista puenta, wyrazista i łatwa. Trzeba ją podważyć, pomyślałem, uciec od niej. Po końcowych słowach Ruth:

„Jestem córą Słońca”, powinien przywracać rzeczywistość przybysz z Moskwy: „Słyszysz? Grzmi. Będzie ulewa”. I ona wtedy, że to dobrze, niech będzie. Woła do męża: „Jimmy! Jimmy! Słyszałeś, jak grzmi?”. I przyszło mi na myśl, że ona dyryguje: „Zamknij okna! Będzie ulewa!…”. Tak lepiej: wkracza zwykłe życie, a kto szuka znaczenia pod spodem, może je sobie znaleźć w życiodajnej ulewie.

Wieczorem, w „Szkle kontaktowym”, Miecugow pokazuje fragment defilady wojskowej na Polach Elizejskich, w tle — Łuk Triumfalny; wszystko pod chóralną *Marsyliankę*. Miecugow, najwidoczniej pod wrażeniem, pyta kolegę komentatora: „No i jak?”. „Sztampa” — odpowiada tamten pogardliwie. A potem jeszcze: „Zna pan jakiegoś Francuza?”. No, może i sztampa, ale jaka! I ta *Marsylianka*, która tyle dla cywilizowanych Europejczyków znaczyła. Powiedziałbym temu panu (może się myląc), że zna wielu Francuzów — zna Tristana i Izoldę, Villona, Montaigne’a, Moliera, zna Balzaka i Wiktora Hugo, pewnie też Prousta i Camusa. Może słyszał o Pasteurze i braciach Lumière. Miecugow, który wydał mi się wzruszony, zachowania i nadętej parafiańszczyzny swojego komentatora nie skwitował.

Nazajutrz dzień zaczął się od miło. Dzwonił pewien nieznany mi pan (A. Czł.), „czytelnik” — przedstawił się, „ma pan tak młodzieńczy głos — zauważył — że nie byłem pewny, czy dobrze się dodzwoniłem”. Jest lekarzem, ma 68 lat, wykłada na uniwersytecie. *Dziennik na nowy wiek* zrobił na nim wrażenie, innych książek moich nie czytał, teraz się na nie rzuci, obaj zgadzamy się, ze śmiechem, że w *Dzienniku* jest wskazówka, które książki powinien czytać.

Idę na obiad do Czytelnika, zastaję Janka Ordyńskiego, opowiadam mu o telefonie od lekarza. On opowiada o swojej rozmowie z Timothym

Snyderem. Polecił mu książkę *Kawior i popiół* Marci Shore: „Dla pana to bardzo ciekawe”. Snyder pozwolił mu chwalić autorkę przez kilka minut, słuchał spokojnie, aż wreszcie powiedział: „Wiem, to moja żona”.

(Książka Marci Shore *Smak popiołów* (*The Taste of Ashes*), którą niedawno dostałem od Beaty C., zadedykowana jest czule po polsku: „Timuszkowi”).

Dzisiaj byliśmy z Madzią na cmentarzu. Dziewczyny umyły płytę. Ewa stwierdziła, że babcia ma piękny grób, podobała jej się nadłamana „macewa” z tymi nakreślonymi imitacjami pisma. I to, że u babci jest napis „Urodzona w Nawarii k. Lwowa”. Ja jej szepnąłem: — U mnie ma być „Urodzony na Nowolipiu w Warszawie”. Poruszona Ewa pogłaskała mnie po plecach, przyjęła to ze zrozumieniem.

Potem poszliśmy do bardziej cienistej alei, dziewczyny szorowały tam płytę grobową dziadka Ewy, Leopolda Infelda i jego żony Heleny.

„Zuzanna i starcy” — autor tej zbitki, może sam starzec, nawet na pewno starzec, znał to uczucie: starca stęsknionego do widoku powabnego kobiecego ciała. Dziewięćdziesięcioletni Czesław Miłosz zwierzał się Katarzynie Janowskiej: „Lubię patrzyć na kobiece tyłki”. W jego poezji nie ma prawie wątków erotycznych, dopiero 90-letni Miłosz zdobył się na wyznanie, a może dopiero jako starzec przyłapał się, że spogląda z lubością, a pewnie i z ciekawością, na ponętne tyłki. Lubił najoczywiściej to słowo, a pani Janowska z zadowoleniem je za nim powtarza.

(Opowiadanie o obcowaniu z kobietą — twierdził Montaigne — jest tak rozkoszne jak samo obcowanie z nią).

Czytam prozę Różewicza. Bardzo przeżywa żywoty wybitnych indywidualności pisarskich. Kafka, Byron, Fiodor Michajłowicz. Ja, prócz Boya, jego pisarstwa i jego roli historycznej, wolę obracać się wśród władców: Jagiełło, Henryk IV, Stanisław August. Podnieciłby mnie Lincoln, zapewne i Piłsudski, gdyby nie byli tak prześwietleni przez zastępy historyków i pamiętnikarzy.

Jednak opowieść Różewicza *Napiwek*, o Dostojewskim w Szwajcarii, który już wszystko przegrał, i o niej, Ani, która była jego ratunkiem (podczas gdy on tęsknił do Apolinarii, zapewne Nastasji Filipowny), to świetna proza, przejmująca, zwłaszcza w zakończeniu.

Na Wiejskiej zatrzymuje mnie sąsiad mieszkający nade mną, rocznik 1918 (starszy o 5 lat!), pyta, jak się czuje żona — opowiadam o tym, jak odeszła; stale jest ze mną myśl, że w domu, pod moją „nieprofesjonalną" opieką, jeszcze by żyła. Zapytuje, czy planuję przenieść się do jakiegoś zakładu opiekuńczego, bo on i żona coś takiego planują. Chce mi się powiedzieć: „A kto się będzie opiekował moimi dziećmi?".

Odnotowywanie spraw rodzinnych czy literackich czasami wydaje się małostkowe. Sprawy, które nikną wobec tego, co się w świecie dzieje. Od wczoraj w telewizjach tragedia w Norwegii.

O tym, że sprawcą morderstw mógł być neonazista, quislingowiec — pomyślałem od razu. W Euronews rozmowy z ocalałą na wyspie młodzieżą z Partii Pracy — otóż wszyscy rozmówcy mają wygląd nieeuropejski, do tej lewicowej młodzieży lgnęły dzieci imigrantów, chciały integrować się, zostać Norwegami. Myślę, że napastnik orientował się w ich pochodzeniu i jednym z motywów jego zbrodni był rasizm.

„GW” zamknęła numer dzisiejszy zbyt wcześnie. Nie tylko nie ma w nim jeszcze danych o ogromnej liczbie zabitych, którzy w Norwegii zginęli, ale jest i wpadka: nazbyt pospieszny komentarz, dlaczego Norwegia mogła „stać się celem ataku muzułmańskiego”. A przecież już po kilku godzinach można było domyślić się, że zbrodni dokonał neonazista, wróg islamu, a też — gdy idzie o zamordowanych na wyspie — opętany rasista.

Dalszy ciąg czytania listów Reny z Leningradu (który nazywałem „Reningrad”). Tęskni, kocha, nad łóżkiem ma moje zdjęcia. Niepokoi się, czy jej nie zdradzam (no, nareszcie zaczyna myśleć jak kobieta). Nosi obrączkę. Obrączka? Nigdy w Warszawie jej nie nosiła. Skąd się wzięła? Ach, przypominam sobie, Mama podarowała Renie obrączkę, żeby poczuła się żoną, jak Pan Bóg przykazał.

Świat jest szalony, naszpikowany złymi ludźmi, mordującymi dla przyjemności, świat pełen podłych osobników, którzy chociaż sami niekoniecznie mordują, ale szerzą nienawiść, celowe kłamstwa.

„GW” cytuje, co wypisuje się o mordercy w Polsce, na portalu Konserwatyzm.pl. To „człowiek związany z ruchami syjonistycznymi i wolnomularstwem…” W tych portalach „o nienawiści (Breivika) do muzułmańskich imigrantów nie ma prawie nic”. I jeszcze: „W sercu miłość do Izraela”. „Syjonistyczny fanatyk morduje w Norwegii”. Fronda.pl: „Dlaczego nikt nie wini masonów?”. Według innego portalu „wszystkiemu winna musi być Rosja”. Niezawodny Putin! Idzie o gaz — trzeba zdestabilizować Norwegię jako konkurenta na rynku.

W „Nowym Ekranie” jest jeszcze wymyślniejsza insynuacja: że „zamachy w Norwegii to akcja lewicowego norweskiego rządu. Do złudzenia przypomina p o d p a l e n i e R e i c h s t a g u i ma zniszczyć

europejską prawicę”. Wszystko, bo tak wygodne, do góry nogami: bo chyba wiedzą, że Reichstag podpalił Hitler, ich idol, i to żeby zniszczyć lewicę.

W „Polityce” zbrodniarz na okładce. Czy powinno się dawać takie okładki? Przecież on tego właśnie chciał: żeby świat się o nim dowiedział, o nim i o dokonanej przez niego zbrodni.

List od p. Jana Mazurkiewicza z Gliwic. Ciekawe, że ostatnio częściej się odzywają czytelnicy mężczyźni. Jak pisze pan M., moje rozmyślania pobudzają go do własnych refleksji. Zwierza się, że dziadkowie i rodzice w ogóle nie czytali, w domu nie było książek — on ich ma kilka tysięcy i nie ma dnia, żeby nie czytał.

Czytam uwagi Bertranda Russella o romantyzmie; przykładem nastroju i stereotypu angielskiego romantyzmu jest *Frankenstein* Mary Shelley. Romantyzm zachodnioeuropejski — z kultem narodu i rasy (choć nie rasizmu) jako charakteru narodowego, z pogardą dla kapitalizmu i finansów — prowadził nieraz do antysemityzmu. (Ale nie w przypadku Mickiewicza, który szukał ucieczki w mesjanizmie „Chrystusa narodów” i tworzył „legion żydowski”).

Czytałem to, co zanotowałem o płaczu Nałkowskiej, płaczu w samotności, nie na pokaz. Jest coś o tym w liście p. Mazurkiewicza. Prócz innych chwalebnych właściwości, które mi przypisuje, „głównie jest Pan znawcą ludzi”. Moje uwagi o kobietach, mężczyznach, miłości „zmuszają każdego w miarę inteligentnego człowieka do refleksji, konfrontacji i często do wspomnień”. (Od tego jest przecież literatura). Jeszcze raz komplementy i słowo: „Dziękuję”.

Myślę, że zajęłoby mnie pisanie powieści współczesnej, niepozbawionej pewnych realiów politycznych, ale głównie psychologicznej, z dramatycznymi konfrontacjami. Z akcją w latach 1989/1990, w mieście wojewódzkim. Pisać dla przyjemności, dla obcowania z tematem — i postaciami. Tytuł roboczy wypisany na kartce: *Zastępca*.

Sierpień

Stałem się bezwstydny. Piszę o swoich książkach bez przyzwoitej powściągliwości. Ale chyba w moim wieku, z takimi czytelnikami, z takim dorobkiem, mogę o nich pisać bez krygowania się, nie zważając na dąsy, lekceważenie pewnych panienek i nadętych postmodernistów.

Nie, nie mam mentalności grafomana. Potrafię zachować dystans. Ale też wiem, co to jest warte; wiem, kiedy mi się udało coś powiedzieć. I właściwie zachowuję się cicho, może nazbyt cicho.

Dzwonił p. Sośnicki, który, na moją prośbę, rozmawiał z dobrze mu znanym litewskim tłumaczem *Króla*, Vytautasem Dekšnysem. Wszystko w porządku, powiedział tłumacz, w wydawnictwie są zmiany personalne i stąd opieszałość w kontakcie. Nie dostali litewskiej dotacji rządowej, zwrócili się do polskiego Instytutu Książki, który dotacji udzielił. Brawo!

Macierewicz plecie dzieciństwa. Rosjanie (ich komisja MAK) chcą zaszkodzić polskiemu lotnictwu, bo się go boją, bo my mamy F-16! Coś na poziomie nierozumnego wyrostka. Ale są tacy (takie), którzy uwierzą — uwierzą we wszystko, co oskarża Rosję.

Kaczyński w Wałbrzychu otoczony przez wielbicieli. Babiny go całują. Jedna, kiedy on wsiada do samochodu, wykrzykuje: „Kochany! Uwielbiany!”. To jej zastępuje emocje, które przeżywała w młodości. Lub których nie przeżywała.

(Te dawne emocje, dawną głupotę, mogły wtedy zdobić młodość i wdzięk. Albo i nie, nic nie zdobiło).

Czytanie korekty *Crimenu*, którą podrzucił mi wydawca, p. Frankowski, miało pewien wpływ na dalsze moje plany: nie będę pisał powieści, którą zatytułowałem roboczo *Zastępca*. Nie osiągnę tego rozmachu, tej barwności, ani nie będę miał takich postaci jak w *Crimenie*. Ci dzisiejsi to nie są moi bohaterowie. Nie przeżywają rozpaczy, nie są tragiczni, a jeśli znaleźli się w beznadziejnej sytuacji, szukają ukojenia w wódce. (Tragiczny mógłby być jakiś wierzący w ideę ekskomunista, dostaje niezłą emeryturę, ale życie prowadzi pozbawione treści, pozbawione złudzeń — i co do społeczeństwa, i tej nieszczęsnej idei). A ci inni… Czytelnik *Crimenu* powie: „To już nie to”. I ja sam też tak powiem.

Wieczorem na antenie Jedynki „na żywo” przepytuje mnie (który to już raz) Magda Mikołajczuk. Zainteresowało ją, jak *Nowolipie* przyjęły wnuki, Ewa i Tomek, którym książka jest dedykowana. Stropiłem się. Uświadomiłem sobie, że nie wiem, czy ją w ogóle czytały, nigdy o tej książce nie było mowy. Powiedziałem: „To są bardzo taktowne osoby, nigdy nic krytycznego nie słyszałem”.

Sen o Renie. Były jednocześnie dwie Reny, jedna przede mną w czarnej sukience między krzesłami teatralnymi, druga gdzieś za mną — w jasnej, bodajże kwiecistej. Pytają mnie, z którą zechcę rozmawiać. To żadna trudność, mówię, wyjaśni jej się, że ma dwie osobowości. Występuje podwójnie.

Rozmowa w „Wyborczej” z Wiktorem Jerofiejewem o jego lekturach. Ucieszyło mnie, że wysoko ceni *Klima Samgina*. Nie sarka na Gorkiego (co

jest w modzie), ceni mistrzostwo.

„Czy nigdy pan nie próbował pisać po rosyjsku?” — pytano mnie kilkakrotnie w 2004 roku, podczas pobytu w Moskwie. Otóż myślę, że może potrafiłbym, technicznie dałbym radę, nikt by nie zauważył, że czegoś brak. A czego? Tego, co jest w mojej polszczyźnie. W polszczyźnie wyrosłem — rosyjski poznałem.

Mój język rosyjski z czasów, kiedy podczas „odwilży” zawarliśmy znajomość, wspominała po latach Zina Szatałowa: „Kakoj priekrasnyj!”. A ja sobie z tamtych czasów zapamiętałem powrót jej ojca do Moskwy po 18 latach pobytu w łagrze… Jego gniew, że ona krytykuje partię i Stalina! Spotykał się z uwolnionymi z łagru towarzyszami. Dawnych przyjaciół — tych, którzy będąc na wolności, zostali „rewizjonistami” — byli łagiernicy nie uznawali, zrywali z nimi stosunki.

Odwiedziła dziadka Ewa. Po obiedzie w Mołdawskiej dwie godziny rozmowy; o jej wyprawie do Dartmouth, o babci Renie, o wydawaniu dziennika. Ewa pokazuje mi na swoim minilaptopie pracę magisterską z matematyki, nad którą się trudzi, jakieś tajemnicze znaki i zagadkowe rysunki. Dzwonię do Madzi i mówię: „Wytknąłem jej błąd w wyliczeniach”. Madzia wybucha śmiechem. Podobnie na taką informację reaguje Tomek.

27 sierpnia, sobota. Wczoraj upłynął rok od odejścia Reny. Zgromadziliśmy się u jej grobu; ja z Madzią i wnukami, Ewą i Tomkiem, Maciek z Anią (dzieci są u jej matki w Łodzi). Maciek przemył płytę i macewę, Ewa mu w tym pomagała. Grób w słońcu piękny. Potem poszliśmy do grobu Infeldów, Ewa zapaliła dwa znicze.

Taksówką do mnie. Kierowca, nobliwie wyglądający sześćdziesięciolatek, westchnął: „Gdybym wiedział, że będę pana wozić,

wziąłbym ze sobą książkę”. Widział mnie w TV, jak wyświetlano dokument o Gerhardzie, mieszkał w sąsiednim domu. Opowiadam o tym, jak zajechała do ogródka pod moim balkonem milicja, jak ludzie przy stolikach mówili, że zamordowano pisarza. Ale ja przecież żyję. Ewa: „Myślałeś, że to o tobie? — Tak — jak powiedziano, że bardzo zdolny”. Wybuch śmiechu. Kierowca o tym, że po kilku latach okazuje się, że książka nie przetrwała: „zdolnym” — mówi o Gerhardzie — był na krótko. Mijaliśmy plac Krasińskich, Miodową, ja trochę komentowałem — tu stał Kiliński, tędy sunął tramwaj „zero”, a tu było moje gimnazjum — i wtedy kierowca o tym, że jego rodzina pochodzi z Dobrej, po wojnie były tam same gruzy, ale matka wróciła do tych gruzów, mogła mieszkać tylko tu, u siebie.

Dzwonił Konrad Szołajski, reżyser filmowy, twórca przekorny, rozmawialiśmy prawie godzinę, opowiedział mi niezwykłe dzieje pewnej rodziny. Najpierw, we Lwowie, byli to Holzmanowie, potem dla dwojga z nich, wyglądających najbardziej aryjsko — których rodzina postanowiła uratować — wyrobiono u księdza metryki chrztu, stali się Zofią i Edwardem Millerami. Mężczyzna, ten „Edward”, był mężem siostry „Zofii”, siostra siostrze odstąpiła męża, by oboje mogli się uratować. „Millerowie” zgłosili się na roboty do Niemiec, pracowali u bauera, tam w roku 1944 urodziła im się córka Danuta. Ale niepotrzebnie to wszystko opisuję, dzieje „Millerów”, bardzo poruszające, są własnością Szołajskiego, pisze scenariusz filmu paradokumentalnego, którego jednym z głównych narratorów będzie popularny, sympatyczny i bardzo kompetentny dziennikarz, syn Danuty; o pochodzeniu matki — i swoim — dowiedział się kilka lat temu.

To, co dotyczy mnie, to opowieść Danuty o jej ojcu „Edwardzie”, który po wojnie z pistoletem w ręku bronił opustoszałego Stargardu przed gangiem szabrowniczym. I stąd, z jej opowieści, ja miałem wysnuć *Prawo*

i pięść. Czy tak było? — zapytuje p. Szołajski. Nie, nigdy nie poznałem pani Danuty, wszystko w tym filmie przeze mnie wymyślone — pamiętam, kiedy na to wpadłem: w Grand Hotelu w Łodzi, czytając w łóżku angielską powieść, która zresztą z tym tematem nie miała nic wspólnego: *Garść prochu* Evelyna Waugha (tu i ówdzie o tym wspominałem). Zrozumiałem wtedy, w nagłym olśnieniu, na czym polegało polskie pionierstwo na Dolnym Śląsku: nie na wyrąbywaniu lasów, na zaorywaniu ugorów, ale na ochronie tego, co się zastało. Od razu wszystko zobaczyłem: konflikt, bohatera, któremu dałem nazwisko zaprzyjaźnionego metrampaża (Koenig), i wszystkich członków grupy operacyjnej, kobiety wyzwolone z obozów, z upokarzającymi doświadczeniami. Napomknąłem p. Szołajskiemu o tej starej kobiecie ze Lwówka Śląskiego, która opowiadała, że to ona jest „wdową po Joczysie", pan Hen do niej przyjeżdżał i ona mu wszystko opowiedziała. Uzgodniłem z jej bodajże bratankiem, który zapraszał mnie na spotkanie z nią, że oczywiście się z nią nie spotkam, ale też nie będę prostował: pozwólmy starej kobiecie żyć do śmierci z przeświadczeniem, że była bohaterką opowiadania, a potem filmu *Krzyż Walecznych*.

Jakaś ambitna plastyczka tka dywan z kobiecych włosów i mówi, że to ma być „oswajanie Auschwitz". Tak jakby „oswajanie" Auschwitz było czymś właściwym. To nigdy nie powinno być oswojone.

Podczytuję Boya — recenzje z dwóch przedwojennych lat. Rozum i pióro jak zawsze. Interesująca recenzja z *Obrony Ksantypy* Morstina (z którym łączyła go przyjaźń z krakowskich czasów). Próba przeniknięcia jej — i stanowcza obrona kobiety, która miała nieszczęście być żoną filozofa. Natomiast Sokrates… Widziałem tę sztukę w telewizji z Ignacym

Machowskim w roli głównej i wydał mi się uprzykrzonym, plotącym banały, zarozumiałym starcem.

Telefon od Różewicza. Nie, nie przysyłaj mi *Crimenu*, nie mogę czytać. Tylko jakieś krótkie notki. Później jego syn Kamil powiedział, że czytali o tej (…), co w „Wysokich Obcasach" mówi, że robi dywan z kobiecych włosów, żeby „oswoić Auschwitz". (Różewicz jest autorem przejmującego wiersza *Warkoczyk* — nie po to, żeby „oswoić", tylko raczej po to, żeby nie pozwolić „oswoić". John Osborne, słynny dramaturg, powiedział kiedyś, że ten *Warkoczyk* jest wart więcej niż cała poezja brytyjska razem wzięta). Tata się położył, informuje p. Kamil.

Ewa z Berlina, w odpowiedzi na moje pytanie, czy jest zadowolona ze spotkania z przyjaciółmi, odpowiada krótko, po swojemu: „Super!". Przekazuję to Madzi, która bała się jej rozczarowania. Za niecałe 2 tygodnie Ewa odlatuje do Stanów na studia doktoranckie, potrwają kilka lat.

Dzwonię do Madzi, żeby jej opowiedzieć, co czytałem o Stevie Jobsie w „Wyborczej", ale Madzia jest dobrze zorientowana. „Rzucił studia po semestrze". Mówię, że wyobrażam sobie kłótnie tego małżeństwa, które nie zechciało go, kiedy był dzieckiem, zaadoptować, bo woleli dziewczynkę. A oto ten niechciany chłopczyk kieruje firmą, którą sam stworzył i jest miliarderem. „Idiotko! — krzyczy mąż. — To przez ciebie!" (Albo przez niego: mężczyźni często marzą o córeczkach).

I jeszcze coś jest w tym pouczającego, prawda właściwie banalna: miliarder, szczęśliwy także w życiu rodzinnym — i rak trzustki. O tym, że nie należy nikomu zazdrościć, zwłaszcza pieniędzy, powiedziałem sobie już dawno temu. Nigdy nie wiadomo, czy miliarder nie zazdrości tobie.

W „Polityce” odpowiedź Kostka Geberta na obrzydliwy wywiad Baumana o Izraelu. Gdyby ona, pani Janka, żyła, możeby się do takich idiotyzmów nie posunął. Można go dopisać do tych zakompleksionych intelektualistów pochodzenia żydowskiego, którzy chcą zaimponować swoim „obiektywizmem”, do Chomsky’ego, Naomi Klein i kilkorga innych.

W „Polityce” powiedział, że po dwóch latach pobytu w Izraelu musiał z żoną wyjechać, bo nie mógł się pogodzić z nacjonalizmem. Gdyby był mędrcem, za jakiego go uważają i on sam siebie uważa, zrozumiałby, że ten „nacjonalizm” izraelski jest zupełnie innego rodzaju, nie jest wywyższaniem się, ale jest określony celem podstawowym: zbudowania siedziby narodowej, własnego państwa dla ocalałych z Zagłady Żydów, gdzie czuliby się u siebie, a nie na łasce innych narodów, tym razem na łasce arabskiej.

Znalazł się w małym, zagrożonym kraju, gdzie szło o to, by nie zginąć, gdzie nikomu jego mędrkowanie nie było potrzebne, potrzebna była solidarność wobec zagrożenia, na którą się nie zdobył. Prowincja! Daleko od Europy!… I wtedy dostał propozycję (czy też wystarał się o nią) od uniwersytetu w Leeds. No, nareszcie… I dlatego wyjechał, a nie dlatego, że nacjonalizm przyjmował „ze wstrętem”. W dwa lata po jego wyjeździe arabscy humaniści napadli na Izrael, była wojna Jom Kippur, w której samo istnienie państwa (i życie ludności) zawisło na włosku. Czy nic mu to nie dało do myślenia?

Wrzesień

Dziś rano, przecierając płytę kuchni, przyłapałem się na tym, że robię to wciąż, odczuwając wspólne z Reną gospodarstwo, robię to jakby i dla niej.

Wraca refleksja, że może dobrze, że w ostatnich miesiącach nie miała świadomości tego, co się z nią i wokół dzieje, była w świecie, do którego jej mózg się zabłąkał — dzięki temu nie odczuwała upokorzenia z powodu swojego stanu, wszystko stawało się naturalne. Kiedy odzyskiwała świadomość, prosiła o truciznę, pytała: „Po co ja mam żyć?”.

Z Haraldem Helfgottem, profesorem matematyki urodzonym w Peru, którego jako rodzinę mojego ojca (jej odnogi argentyńskiej) odnalazł na Facebooku Maciek, w restauracji Mołdawska, w sąsiedztwie naszego domu. Holuje go po Warszawie Tomek. Rozmawiają ze sobą po hiszpańsku, ale ze mną Harald, trzydziestoczteroletni szczupły szatyn w okularach, musi przejść na angielski. Nie bardzo mi to idzie. Mogę się usprawiedliwić, że w Londynie byłem tylko dwa razy po pięć dni i to rozmawiając głównie po polsku.

Po obiedzie herbata u mnie, przeglądanie książek, matematyk Harald jest nieźle zorientowany, nieobce mu są zainteresowania literackie, niespodzianką jest, że wie, kto to był Boy-Żeleński (pisarz rozstrzelany przez Niemców), imponuje mu zgromadzona u mnie klasyka rosyjska (w oryginale), bawi go dwutomowy wybór Hemingwaya po rosyjsku (to był przełom w jego odbiorze w Moskwie), a także opasły Wiktor „Giugo”, Stendhal (jest i całość po polsku), Proust w przekładzie Boya (i innych), Pinter po angielsku o Prouście. Harald nie zna Francisa Wheena (*Jak brednie podbiły świat*), polecam mu to i książkę Amerykanina Greenblatta o Szekspirze.

Dostaje ode mnie *Pingpongistę* po francusku. Zainteresowało go *Oko Dajana* wydane u Laffonta, obiecałem mu ksero.

Justyna Kawalec (tutaj należałoby zmieścić zdanie, jaka to miła dziewczyna, ale jakoś nie umiem tego zręcznie wpisać) zajeżdża pod mój

dom taksówką i zawozi mnie „służbowo”, bo zajmuje się w wydawnictwie promocją, na Foksal, do kawiarni księgarni PIW-u (dopisek po dwóch latach: już jej nie ma — żadnych książek, są tylko stoliki do wyżerki). Odbędzie się tu „warszawskie spotkanie”, moje i prof. Marka Kwiatkowskiego, transmitowane na żywo przez radiową Dwójkę, prowadzi Jerzy Kisielewski. Wydawnictwu idzie głównie o promocję *Nowolipia*, dla niektórych obecnych to premiera tej książki.

Czytałem, jak nieraz poprzednio, fragment kończący rozdział „Moje doświadczenia z kobietami”, o ostatniej przedwojennej plaży nad Wisłą, o śpiewających dziewczynach, które zginęły i wciąż śpiewają.

Kiedy opowiadałem o tym, że Tuwim wspominał ze mną swoje spotkanie z Majakowskim w Hotelu Europejskim, zdałem sobie sprawę, że dla większości obecnych niezwykłe jest to, że mówi do nich człowiek, który znał Tuwima.

Nazajutrz Uchański mnie spytał, dlaczego znowu czytałem ten właśnie fragment *Nowolipia*. „Bo mówił mi Kazik Brandys, że czytając go, spłakał się”. „Ja się też spłakałem — na to Wiesław. — I jakaś pani koło mnie uznała, że ma prawo popłakać”.

Z Berlina Ewa ma wrócić pociągiem. Będzie przed północą. Jak sobie da radę? Po północy dzwoni Madzia: Ewa już śpi. To i ja mogę odetchnąć. Poczytać, przypomnieć sobie uwagi Boya w recenzji z *Brata marnotrawnego* Oscara Wilde’a. Przypomniałem sobie, że w latach czterdziestych dość krytycznie oceniłem napór Wilde’owskich paradoksów w recenzyjce z tej sztuki, którą napisałem dla „Żołnierza Polskiego”, że są jak sygnalizowane przez bokserów ciosy: uwaga, leci paradoks. Przeczytałem, odprężyłem się — mogę zasnąć.

W telewizji szokujące zdjęcia z Jedwabnego: pomnik zamordowanych oblany zieloną farbą, na murku starannie wykaligrafowane napisy: BYLI ŁATWOPALNI, a obok NIE PRZEPRASZAMY. I swastyki. Sprawozdawcy mówią o emblematach „faszystowskich” — unika się słowa „hitlerowskie” — faszyzm włoski, zwłaszcza na początku, nie stosował antysemityzmu ani rasizmu. Policja wszczęła śledztwo, ale raczej niemrawo, żałośnie brzmi enuncjacja, że jeszcze nieznane są „motywy”. Używa się słowa „wandale”, jakby chodziło o niszczenie mienia. Episkopat milczy. Kuria łomżyńska też. Jakiś historyk, znany z reakcyjności (zapomniane słowo), twierdzi, że wszystkiemu winien jest J.T. Gross, jego oskarżanie („kłamliwe”) sąsiadów polskich. „Czyli winien Żyd!” — zauważa komentator z „GW”. Prezes Kaczyński widzi w tych napisach „prowokację, która ma pokazać, że w Polsce nie jest tak jak jest”. I zaraz coś o postkomunistach, z aluzją, że to pewnie ich robota, i że należy ich odsuwać od wszystkiego.

Jutro niedziela. Ciekawe, czy w kościołach będzie o tym mowa i w jaki sposób.

Tymczasem publicyści prawicowi krytykują „Wyborczą” za przesadną reakcję, Piotr Zaremba — czego się po nim nie spodziewałem, myślałem, że jest bardziej rozważnym komentatorem — napisał, że nie można sądzić narodu na podstawie grupki czy garstki, „która dokonała złego wyboru”. Ten „zły wybór” (pochwała morderstwa, fascynacja hitleryzmem) został przez Wojciecha Sadurskiego określony jako „eufemizm stulecia”.

Ale jest i pozytywna niespodzianka: red. Tomasz Terlikowski, zwykle obrońca najbardziej wstecznych wypowiedzi pewnych biskupów, potępił na swoim blogu to, co się stało w Jedwabnem, jednoznacznie: „Jest mi WSTYD”.

Można się zgodzić z przypuszczeniem, że niektórzy z tych młodych hitlerowców, którzy wyżywają się, drwiąc z męczeństwa, najpewniej podnieceni emocjonalnie („wyżywają się”, określa najtrafniej ich stan, „motywy”, stan upojenia może być i bez alkoholu), po latach, kiedy założą rodziny, będą się dziwić swojemu barbarzyństwu, ukrywać je przed dziećmi, wydorośleją. Chociaż niekoniecznie. Niektórzy nigdy nie wydorośleją, będą oszołamiać się we wywrzaskujących grupach do końca życia.

„Wyborcza” cytuje artykuł z prasy narodowo-katolickiej, w którym autor triumfuje, jak na patriotę przystało, z powodu wygranej Legii ze Spartakiem w Moskwie. Gdyby na tym poprzestał!… Ale nie, wyniku mu mało, porównuje piłkarzy Legii do bohaterów walki wyzwoleńczej, sławi ich, że upokorzyli „bolszewików”. No, ale zalał! Pomijam już to, że traktowanie piłkarzy moskiewskich, chłopaków, którzy zarabiają na życie kopaniem piłki, jako „bolszewików” jest idiotyzmem historycznym. Śmieszne — i bardzo dzisiejsze — jest to, że Spartak, jak każdy bogaty klub, chętnie angażuje cudzoziemców. Zdarzył im się kiedyś jakiś Polak, w Legii zaś w ogóle mało jest Polaków, jej „bohaterami” są na ogół asy z dawnej Jugosławii. Ale zacietrzewionym rusofobom wszystko kojarzy się z wojną polsko-bolszewicką.

Cimoszewicz o tym, co się stało w Jedwabnem. Mówi mocno i gniewnie. Rozczarowany jest postawą prezydenta, premiera, episkopatu, Kaczyńskiego. I tak jak ja zwraca uwagę na niewłaściwe użycie słowa „wandalizm”. „Wandalizm — to jest przewrócenie budki przystanku autobusowego. A to był czyn łajdacki”.

Pada deszcz. I to nie letni, ale „o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny…”. Czy dlatego co kwadrans odurza mnie sen? Otwieram oczy, czytam w „DF” rozmowę z Polką, która sprząta u Niemców, wytyka swoim chlebodawcom prostactwo, lenistwo, kobiety na płaskim obcasie, ona w szpilkach, na przyjęcia chodzą w dżinsach… etc. Wyszła za Włocha. Bawią jej obserwacje, trochę czytam i znowu odpływam. (Więc nie „odlot”).

Zaskakująca wiadomość od Uchańskiego. Jest propozycja, bym wygłosił w październiku wykład inauguracyjny w Akademii Teatralnej na Miodowej. Dzwoni rektor, Andrzej Strzelecki. Uzgadniamy temat: „Stanisław August Poniatowski — protektor teatru”. Kiedy na lotnisku opowiedziałem o tej propozycji Ewie, która odlatywała przez Londyn do Bostonu, była poruszona: „Super. Nie masz za dużo czasu”. Śmieję się: „Poczytam sobie moją książkę”.

11 września. Już wczoraj media żyły przede wszystkim rocznicą zamachów sprzed dziesięciu lat. Pamiętam, że w pierwszą rocznicę, na wernisażu zdjęć z Manhattanu p. Czaplińskiego, zapytany, czy świat będzie teraz inny, odpowiedziałem: „Nie, świat będzie taki sam”. Czy miałem rację? I tak, i nie. Człowiek jest wciąż taki sam, jest uzależniony od siebie, ale świat wokół niego się zmienia. Nie tylko pod wpływem zamachu, stale wiszącej groźby, ale i upływającego czasu, przemian technicznych i demograficznych. Mogą się zmieniać odruchy i obsesje. Na pewno jest to świat trudniejszy — pod każdym względem.

Wieczorem, po dziewiątej, dzwoni p. Andrzej Solecki z Brazylii, z Florianópolis. (U nich jest biały dzień). Czy może zająć cztery minuty?

Czytał, a właściwie słuchał *Nowolipia*, w wykonaniu Henryka Machalicy. Ma 68 lat, robi długie spacery, podczas których nie chce tracić czasu, więc słucha. Czy znam nazwisko Gleichgewicht z Wrocławia? Ma 93 lata, był jednym z założycieli KOR-u. Pan Solecki przesłał mu *Nowolipie. Najpiękniejsze lata*. I profesor się tymi książkami przejął. Powiedział mu, że tańczył z moją kuzynką, Judytą Cukier. Tak, mówię, kuzynka drugiego stopnia, piękna dziewczyna, w typie Audrey Hepburn, jest wśród śpiewających na plaży dziewcząt, o których mowa w *Nowolipiu*. Czy mógłbym zadzwonić do profesora Gleichgewichta? On, p. Solecki, sprowadza sobie książki przez pewną firmę dystrybucyjną. Teraz podczytuje *Nie boję się bezsennych nocy.*

Zadzwoniłem do profesora. Pół godziny rozmowy. O Judycie Cukier: „W życiu nie widziałem piękniejszej dziewczyny".

Dlaczego zginęła — ona i jej rodzice? Byłem u nich w listopadzie 1939, tuż przed opuszczeniem Warszawy, mieszkali na Nowolipkach. Jej ojciec, technik dentysta, wyrwał mi zręcznie ząb, żeby mi w moich wędrówkach już nie dokuczał. Przypuszczam, że z takim zawodem powodziło mu się w getcie całkiem nieźle. I to była ta pułapka, w której się znalazł (podobnie jak ojciec jasnowłosej Giny, jej przyjaciółki, tej, której zdjęcie pomogło mi przekonać do siebie strażnika niemieckiego na granicy, patrz *Nowolipie*). Gdyby ojciec Judyty miał mniej popłatny zawód, gdyby powodziło im się gorzej, gdyby dzielili los nędzarzy w getcie, opuściliby je, może na aryjskich papierach, może by przedostać się do Sowietów — tam była szansa przeżyć — choćby na Syberię (jak przeżyła moja siostra).

Posiedzenie Rady Zaiksu. Taksówkarz, który mnie wiózł, powiedział, że nie muszę się przedstawiać, on mnie rozpoznał, był w Teatrze Polskim na sztuce *Ja, Michał z Montaigne*. Pamięta, że z Holoubkiem. „To dwadzieścia

pięć lat temu, mówię. Jeszcze nie miałem wnuków”. „A ja jeszcze nie miałem syna”. Wszyscy, i wnukowie i syn, urodzili się w 1986 roku. „Rok Czarnobyla”. On to pamięta. Kobiety w ciąży były najbardziej zagrożone.

Posiedzenie Rady zaczęło się od pożegnania dyr. Witolda Kołodziejskiego, pełen energii, przechodzi z własnej woli na emeryturę. Przyszedł do Zaiksu w 1969 roku, chyba ja jeden na sali ten czas pamiętałem. Zrobił dla Stowarzyszenia dużo, najpierw dzięki swoim znajomościom, później, kiedy te znajomości się rozpadły, dzięki oddaniu, energii i fachowości. To by jeszcze nie wystarczyło, takie czasy — więc i dzięki zdrowemu rozsądkowi.

„Tatuś” — odezwała się wczoraj wśród rozmowy Madzia. I ja się wzruszyłem. Moje dziecko. Zwykle mówi: Mój ojciec to i to… A tu nagle — „tatuś”… Bez zastanowienia, spontanicznie, tak jak tego potrzebowała. Poczułem się usatysfakcjonowany: coś w życiu osiągnąłem.

A dziś raniutko pojechała autokarem na wycieczkę bałkańską. Niepokoiłem się o przeprawę przez serpentyny w austriackich Alpach. A oto SMS, że są już w Sarajewie, będzie zwiedzanie.

Z p. Dorotą Pohorecką w Czytelniku. Przyniosłem jej *Nowolipie*, ale okazuje się, że ona też kupiła, „Będzie dla mamy”. P. Dorota opowiada, że kiedy czytała *Długą, chyżą łódź* spłakała się. Więc nie tylko Maciek… Podpisuję prolongaty umów na audiobooki dla firmy, którą reprezentuje. Chcą odkupić od Związku Niewidomych i wydać *Pingpongistę* (w moim wykonaniu).

W „GW” rozmowa z Johnem Le Carré, którego odkryłem dla siebie dziesiątki lat temu. Niespodzianka: kończy 80 lat! Jakoś nie przychodziło mi do głowy, że dla niego czas biegnie tak samo jak dla mnie — autor (tak

jak umarli i wybrańcy bogów) pozostaje młody, ma tyle lat, ile miał, kiedy napisał ważną dla czytelnika książkę. Mądry fachowiec. Z takim dystansem, jakie powinno dawać doświadczenie. Pisze ręcznie, nie tylko nie używa komputera, ale nawet maszyny do pisania, więc chyba pisze czyściutko, mam nadzieję, że nie szpiegowskim szyfrem, żeby maszynistka mogła odczytać.

Dopiero później uprzytomniłem sobie, że przecież — mimo całego mojego podziwu dla niego — i sympatii — ja piszę o czym innym. Nie o mechanizmie państwa, tajnych służbach, intrygach politycznych, o bezwzględności podczas podejmowania trudnych decyzji — i o rozczarowaniach, tragicznych losach postaci działających. Piszę o egzystencji ludzkiej, o wzajemnych relacjach zwykłych ludzi, o miłości i porażce, o tym, co się w nas dzieje. A jeśli o władcach, albo wybitnych postaciach — to też zbliżając się do ich ludzkiego wnętrza (nie różnią się od nas). Co nie znaczy, że robię to zawsze świadomie, po prostu taki jestem, czynię to, co mi odpowiada, do czego skłania mnie temperament. I moja słabość.

W „Wysokich Obcasach” interesująca rozmowa z turecką pisarką (pisze po angielsku) Elif Şafak. (Rozmawiała, chyba w Stambule, Agnieszka Jucewicz). Czytałem, bo chciałem wiedzieć, co to znaczy być „turecką pisarką”. I to wymyślającą powieści. Wcielającą się w mężczyznę (*Iskender*). Tak bardzo chciała być „intelektualistką”, „czystym umysłem”, że stłamsiła w sobie kobiecość, „przestałam nawet miesiączkować”. Aż tu nagle miłość, dzieci, zwykłe życie, walka o czas — i chyba nareszcie ma o c z y m pisać.

Pytanie: „Lubi pani być z ludźmi?”. „Bycie pisarzem to niezwykle samolubne zajęcie, mamy wielkie ego”. Tak, dla pisarstwa trzeba się

poświęcić. Być współmałżonkiem pisarza — to niełatwa sytuacja.

Coś o postaciach. „Nigdy nie wiem, jacy będą moi bohaterowie, co im się przytrafi. To oni przychodzą do mnie, stwarzają się w trakcie pisania, mówią, w którym kierunku mam podążać". Hm… Może się coś takiego zdarzyć w trakcie pisania. Ale przeważnie jest inaczej: to autor o d k r y w a swoich bohaterów. Podpatruję ich, podsłuchuję, czasem się w nich wcielam, w chłopa przygłupa, magnata i w króla. Jest coś z aktorstwa w oddawaniu tego, co mówią postaci. Słyszę ich i rozumiem, wydobywam ich uczucia, także te najpodlejsze, najbardziej zakłamane. Bawię się ich obłudą.

Najbardziej zdumiewające u tureckiej autorki jest jej wyznanie, że „nie znoszę ciszy i sterylnych miejsc". Pisuje w zatłoczonych kawiarniach… „Dworce, lotniska to są dla mnie idealne miejsca do pracy. Albo piekarnie".

Bardzo to osobliwe. Ja taki zdolny nie jestem. Pisarstwo, proza fabularna — to przeniesienie się do innej przestrzeni, takiej, którą ma się na własność, za zamkniętymi drzwiami. Nie wyobrażam sobie pisania w obecności innego człowieka. Lion Feuchtwanger dyktował podobno swoją prozę maszynistce, ale to co innego, maszynistka to nie był „inny człowiek", jej funkcja była jakby przedłużeniem jego samego. (Wanda Wasilewska, co prawda, wyznała mi kiedyś — to było w jej pałacyku, Kijów, maj 1949, a ja byłem na wycieczce chłopskiej jako dziennikarz — że potrafi pisać, od razu na maszynie, także podczas przyjęć, przy gościach, ludzie piją, hałasują, a jej to nie przeszkadza, ona wystukuje swoje; miałem ochotę powiedzieć: „To widać").

Idealnym miejscem do twórczości, a nie jest to moje odkrycie, byłaby cela klasztorna. Albo też — to się zdarzało — cela więzienna.

Gdzieś koło szóstej dzwonek do drzwi. Spoglądam przez wizjer: w głębi korytarza stoi kobieta w ciemnym palcie. Otwieram drzwi — i czuję, jak

mrówki przebiegają przez ciało: stoi Rena. Palto, sylwetka, przechylenie głowy, ciemne włosy, to samo uczesanie. Zjawiła się! To trwa sekundę, dwie, ale wystarczyło na jakieś niesamowite przeżycie. I te mrówki (dreszcz) — to trwało dłużej. Pani odezwała się: „Przepraszam pana, pomyliłam drzwi”. Zamykam się, ale wciąż to przeżywam. Dzwonię do Maćka, żeby mu o tym opowiedzieć. Bo przez tamtą sekundę wydawało mi się, że tak może być: ona stoi, przypomina o sobie, „jestem!”.

Dwie godziny w Czytelniku z profesorem Gleichgewichtem. Ma 92 lata i jest pełen wigoru. Rozmowa łatwa. Łączy nas równoległe przeżywanie wydarzeń historycznych, pamięć o nich. Przyniosłem mu *Bruliony profesora T.*, spytałem, czy żona, Rosjanka, czyta. Czytała, teraz już nie, ma alzheimera. On był jeszcze w Rosji, kiedy zaczęło się atakowanie „kosmopolitów”. A potem sprawa lekarzy żydowskich, w których trucicielstwo lud uwierzył.

Wymienia *Prawo i pięść* jako swój ulubiony film. Zna też *Nikt nie woła*, ale nie zna, nie słyszał nawet o *Kwietniu*.

Po południu wydawca, p. Frankowski, przywozi egzemplarze *Crimenu*. Ładnie i solidnie wyglądają, druk czytelny. I najważniejsze, że jest znowu, po prawie dwudziestu latach *Crimen* wrócił! Powinienem się cieszyć, ale jakoś nie umiem.

Z Madzią konsultowaliśmy się w sprawie jej powrotu do domu. Nie jest łatwo się z Czarnogóry wydostać. Dziś Madzia wyjechała z Budwy autobusem do Podgoricy, stamtąd poleci do Lublany, z Lublany pociągiem do Wiednia, w Wiedniu przesiadka do Warszawy. Jutro wieczorem powinna już być.

W prawicowej gazecie (nie używa się słowa „reakcyjnej”) ogromnymi literami na pierwszej stronie: „JUŻ WIADOMO, ŻE SAMOLOT ZOSTAŁ ZESTRZELONY!”. Czy ludzie taką bzdurę (kolejną) kupią?

W drogerii na Wiejskiej jakaś starsza, raczej wysoka pani w okularach, nagle zwraca się do mnie: „Pisze pan coś nowego?”. Wspominam jej o promocji nowego wydania *Nowolipia* u Fibaka. A ona: „Pańskie nocne rozmyślania mam stale przy łóżku”.

Mimo wszystkiego wstrętnego, co się w kraju dzieje, tylko tu mam czytelników, i to takich, którym moja książka jest potrzebna. Dotarłem jakoś do nich — i to teraz, mimo milczenia prasy opiniotwórczej.

Październik

Promocja w Galerii Fibak na Krakowskim Przedmieściu. Było tłoczno, mimo że wiele osób nie mogło dotrzeć lub zrezygnowało z powodu zjazdu prezydentów i premierów (wśród nich Angela Merkel i Janukowycz). Była Beata C., pani Nina, pani Sąsiadka. Przyszedł Jacek Bocheński, stał, zabrakło krzeseł, był i Janusz Majewski. Niespodzianka to obecność prof. Żyżyńskiego, który kandyduje w Opolu z listy PiS-u jako Nr 1! Spotkanie b. żywe, były nawet głosy, że „urocze”, prowadził Jerzy Kisielewski. Czytałem fragment *Najpiękniejszych lat*, ten, gdzie występuje piękna, bosonoga wyrobnica i jej zaśliniony mąż przygłup, którzy oboje znaleźli się w *Crimenie*. Nie było nagłośnienia, ci, którzy tłoczyli się w drugiej salce, nie słyszeli. Nikt nie narzekał. Z Januszem Majewskim wspominaliśmy pewną pełną radości dziewczynę, która w Łodzi skończyła operatorkę. „Czy wiesz — wtrącam z należną melancholią — że ona musi już mieć osiemdziesiąt lat? Jeśli żyje i coś pamięta…”.

Madzia wreszcie u mnie. Opalona. Właściwie zadowolona, że miała męczącą podróż, dzięki temu coś przeżyła, będzie miała o czym pisać. Sięgam po słoweńskie wydanie *Jokohamy*, wydała Prešernova družba, znajdujemy w Internecie hasło „Prešeren” — jakiś Polak się z nim zaprzyjaźnił, coś takiego chodzi mi po głowie, ten Polak działał na rzecz świadomości narodowej Słoweńców — jest! Korytko, tak, Korytko ze Lwowa, z e s ł a n y przez Austriaków do Lublany za działalność konspiracyjną. No i mieli za swoje: nie mógł konspirować we Lwowie, to zabrał się do rozbudzania Słoweńców w Lublanie.

Jurek Hoffman, który zrobił przyjemność rusofobom swoją *Bitwą warszawską* — ostatni doprawdy człowiek, któremu wolno takie rzeczy uprawiać — gada głupstwa, broniąc swojego schematycznego scenariusza (recenzje są miażdżące), że to nieważne, „kino to widowisko” (oczywiście, pełne sale). Od razu nasuwa się riposta: Czy *La Strada* to nie kino? A *Dwunastu gniewnych ludzi*, gdzie akcja nie wychodzi poza jeden pokój? A filmy Billy Wildera? A *Nocny kowboj*? A Bergman, Antonioni? A nawet taki „niewidowiskowy” western jak *W samo południ*e?

Więc tak, wykład się odbył, w czwartek 6 X, o godz. jedenastej, w dniu, w którym w Sztokholmie za dwie godziny mają przyznać literackiego Nobla. Do Collegium Nobilium przywozi mnie taksówką student wiedzy o teatrze, p. Buchholz. Najpierw u rektora, podpisuję rachunki, dostaję honorarium, „no, to mogę uciekać”, mówię. Pojawia się rektor zaprzyjaźnionej wojskowej uczelni, generał dywizji — przed takim nie uciekniesz — jest i prof. Nałęcz, reprezentuje prezydenta, ale oczywiście i siebie.

Najpierw hymn, ordery, medale, potem przemówienie rektora Strzeleckiego, swobodne, dowcipne, pełen sarkazmu wobec stanu teatru

dzisiaj. (Kiedy studenci śpiewali hymn, ja głupi, nieuleczalny, wzruszyłem się po dawnemu, oczy zapełniły się łzami, na szczęście nikt tego nie zauważył; myślę, że nie bez wpływu była tu młodość i urok śpiewających, ich wstępowanie w życie, emocje, które przeżywali — patos tej chwili dla nich, trudnej chwili, trudnej i nieodgadnionej przyszłości).

Rektor wygłasza formułkę: „Otwieram rok akademicki". Potem zajmuje się mną: wylicza niektóre moje dokonania filmowe (zaczął od *Dwóch żeber Adama*, skończył na *Granicy* i *Starej baśni*). Zaprasza mnie do wygłoszenia wykładu. Postawiono na scenie stoliczek z krzesełkiem, będę mówił na siedząco (na stojąco, zza mównicy, nie byłoby mnie widać). Ponieważ rzeszę studencką mam za sobą, a wszystkich innych przed sobą, zaczynam od tego, że „chciałbym teraz być dwugłowy, ale dwugłowy bywa tylko orzeł". I jeszcze coś o tremie. Że w tym gmachu to zupełnie naturalne, Solski do końca życia miał tremę, ja będę udawał, że jej nie mam.

Jak było? Podobno profesorujący znakomici aktorzy byli zadowoleni. Nie brakło paradoksalnych stwierdzeń (które mnie samego zaskakiwały), informacji i anegdot, na które reagowano wybuchami śmiechu. Na ogół mówiłem do siedzącego w kącie Pszoniaka, który słuchał z roziskrzonymi oczami i bardzo żywiołowo odbierał. I tylko ja wiem, w którym miejscu nawaliłem, co z planowanego wykładu opuściłem, o czym zapomniałem.

Chyba mówiłem nie dłużej niż 20 minut, ale przez to nikogo nie zmęczyłem. Kiedy rektor mi podziękował i zwrócił się z czymś do studentów ku mojej chwale, ci poderwali się, zrobiono mi *standing ovation*. A ja, zamiast się wzruszyć, męczyłem się tym, że uciekło mi z pamięci nazwisko autora książki *Niemcewicz od przodu i tyłu* — dziura w głowie. A przecież pamiętałem je jeszcze kilka godzin temu. (Pamiętałem imię: Karol). Wieczorem odnalazłem je w posłowiu mojej książki o Królu: Zbyszewski, z dodatkiem — o jego błyskotliwej, ale paszkwilanckiej

książce — „oby była zapomniana”. No i to życzenie zemściło się na mnie: z a p o m n i a ł e m nazwiska.

Na korytarzu podbiegły do mnie z pocałunkami i uściskami sławy polskiego teatru. Więc Pszoniak, Maja Komorowska, Budzisz-Krzyżanowska, Sławka Łozińska. Na sali byli jeszcze Anna Seniuk, Olgierd Łukaszewicz, kilku rektorów innych uczelni. A także Lech Sokół, skandynawista, kiedyś „podopieczny” Zygmunta Łanowskiego i zarazem jego opiekun, przez pewien czas ambasador w Norwegii; od niego dowiedziałem się, że Nobla dostał właśnie zaprzyjaźniony z Łanowskim poeta Tranströmer. Kwiaty odstąpiłem Sławce Łozińskiej. Wieczorem zadzwoniła z podziękowaniem. Ja: „Był już najwyższy czas”.

Niedziela. Głosowanie. Lęk, że wygra „wódz”, że zło okaże się silniejsze. Ktoś zapowiedział w telefonicznej rozmowie, że wszystkich skreśli, bo już dosyć ma „mniejszego zła”. Ale w tych wyborach nie idzie o sympatie i niechęci. Jednak idzie o to, czy rządzić będą osobnicy o mentalności szturmowców. (Pani Ola, Ukrainka, radzi głosować na rząd, bo w ciągu tych czterech lat zdążyli się nakraść. Powiedzenie dokładnie jak z przedwojennego felietonu Słonimskiego).

Pani, która miała wszystkich skreślić, głosowała w końcu na Wandę Nowicką i Barbarę Borys-Damięcką.

Są wyniki: „wódz” i jego gwardia przegrali. Chyba to się już nie odmieni…

Późnym wieczorem dzwoni Różewicz, rozmawiamy o jego *Mojej córeczce*, emitowanej w telewizji, ze świetną obsadą (Trela, Zapasiewicz, Fronczewski, Jungowska, Królikowski, Agata Buzek). Dowiedziałem się,

że najpierw był scenariusz filmowy, miał kręcić Rybkowski, ale projekt nie przeszedł.

O Różewiczu jest teraz dużo, skończył 90 lat 9 października, w dniu wyborów. Ale Nobla dostał stary, na wpół sparaliżowany Szwed, próbki jego wierszy drukuje „GW”. Hm… Kryteria są dziś bardzo chwiejne. (A czy kiedyś było inaczej?) W „Przeglądzie” rozmowa z synową Tadeusza, Małgorzatą, która mówi, że Tadeuszowi zaszkodził u jurorów Nobla Miłosz, określił go jako ateistę. Chyba to nie mogło zaszkodzić. Jurorom ateizm nie przeszkadza: Elfriede Jelinek, Dario Fo, Harold Pinter, Vargas Llosa na pewno nie są wierzący.

Maciek zawozi mnie i Madzię na cmentarz, na pogrzeb Zosi Nasierowskiej. Po drodze, na rogu Elektoralnej, Maciek, zmieniając pasy, zderza się z jakimś rozpędzonym samochodem, który gwałtownie zahamował. Nikomu nic się nie stało, ale trzeci kierowca wezwał policję. Maciek musi czekać, a my z Madzią taksówką dojeżdżamy do cmentarza. Ja zostaję przy domu pogrzebowym, Madzia z pięknymi orchideami idzie do Reny. Świat aktorski niemal w komplecie. Przez chwilę pada grad. Wyprowadzają trumnę. Idzie za nią Majewski w towarzystwie synowych. Ładna siwa głowa na tle czerni. Dostrzega mnie stojącego z boku, dajemy sobie znak, że się widzimy. Madzia dzwoni, żebym nie szedł w kondukcie, czekał na nią, jest zimno, wiatr, powinienem z nią wracać do domu.

Pewien pan w średnim wieku, z wykształceniem akademickim, atakuje w rozmowie ze mną Stanisława Augusta, „to łajdak”, dziwi się, że ja go bronię, wydaje mu się, że go zna, ale nie wie, że zna go tylko ze złych stereotypów, „stłumił konfederację barską”, mówi. Ja na to: „I bardzo dobrze zrobił”, co go oczywiście gorszy, o fatalnej roli barszczan w drodze

do rozbioru pisał Cat-Mackiewicz („waćpanów to wina!”). On: „był kochankiem carycy”, „nie carycy, tylko wielkiej księżnej”, jest gotów przyznać mu zasługi dla rozwoju kultury, ja: „gdyby nie jego działalność, gdyby nie Komisja Edukacji Narodowej, Szkoła Rycerska, liczne akademie, inicjatywy, nie byłoby tego narodu”. I wreszcie: „Musi pan przeczytać moją książkę”. Wyjmuje notes i zapisuje tytuł.

Chociaż jest zimno i dziadek marznie, wybieram się do Domu Literatury na promocję książki Jacka Bocheńskiego *Wtedy*. To zbiór dwudziestu z nim wywiadów. Na sali trzydzieści kilka osób, na ogół znajomi, jest Julia Hartwig, Hanka Trzeciakowska, Ewa Koenig-Krasińska, Mirek Chojecki, Michał Jagiełło. Kiedy zaczęła się dyskusja, nie oparłem się pokusie, by zadać pytanie o książkę jego młodości, tę, „która może cię inspirowała, a może zdeprawowała”. Jacek wymienił tylko jedną: *Metamorfozy* Owidiusza (oczywiście w oryginale). Okazuje się, że nic nie studiował, filologii klasycznej uczył go ojciec. Miałem ochotę spytać: „A Conan-Doyle’a czytałeś?”. Potem z panem Lubczyńskim, który przeprowadzał niedawno wywiad ze mną, mówiliśmy o lekturze Leblanca, o książce *W walce z Sherlockiem Holmesem*. Zmagał się z nim Arsene Lupin, w rywalizacji niejako sportowej, żeby przekonać się, kto lepszy.

Kiedy kobieta wybucha: „Nienawidzę cię!”, to znaczy, że jest pogrążona w miłości, dotknięta i obolała w swoim uczuciu. Gdyby on był jej obojętny, nie byłoby wybuchu nienawiści — byłaby może gorycz, poczucie porażki, upokorzenia. (To niemało).

Przed jedenastą w nocy zaskakujący dzwonek telefoniczny: Różewicz. Chce wiedzieć, jak daleko mnie wywieźli. Nikt mnie nie wywoził, prostuję,

ja uciekałem. Więc dokąd najdalej? Uzbekistan, mówię, Samarkanda, jeszcze wymieniam Szachrysiabz, gdzie urodził się Tamerlan. Powtarza: „Uzbekistan”, jakby to była dziwna nazwa. („Bo jest dziwna” — uważa Madzia). Pisze mały poemacik: *Boję się bezsennych nocy*. Więc chyba wspomina w nim o mnie.

Rozmowa rzeczowa, o interesach, z uroczą młodą kobietą, po której myślę o miłych kobietach, z którymi rozmawiało się z przyjemnością, czasem jest to jakaś sympatyczna, uśmiechnięta urzędniczka, czasem sprzątająca pokojówka (ujmująca p. Dora z Obór, która niestety zmarła), Ukrainka p. Ola, kasjerki z banku… Kiedy się je wspomina, świat łagodnieje…

Camus zanotował, że „od miłości brzydkiej kobiety, jest tylko jedna rzecz gorsza: przyjaźń pięknej”. Był wtedy młodym autorem (nie zdążył się zestarzeć), nie doświadczył jeszcze tego, że sama obecność pięknej kobiety, jej miły, przyjazny uśmiech, jest satysfakcją.

I myślę o urodzie kobiet: skąd się to wzięło? Kiedy Matka Natura zdecydowała, że samice człowiecze będą powabniejsze od samców? Jak długo ta ewolucja trwała? Utracenie owłosienia, wydelikacenie rysów. Przecież nie zawsze tak było. Przecież nie we wszystkich gatunkach samica jest bardziej atrakcyjna od samca. W niektórych bywa odwrotnie. (Wśród ptaków, na przykład).

Przypominam sobie, jak spytałem pewną niesamowicie piękną Polkę w Izraelu, żonę korespondenta „Nouvel Observateur”, zaprzyjaźnioną z Idą Fink, co myśli rano, kiedy po przebudzeniu wchodzi do łazienki i widzi siebie tak piękną w lustrze. Odpowiedziała: „Myślę, jakie to ulotne”. (Od tej rozmowy minęło chyba 30 lat i pani mogła sprawdzić, czy jej obawy miały sens).

Był wczoraj taki moment, w fotelu, że rozmyślałem nad tym, że ta powieść współczesna, ten *Zastępca*, jest możliwa, widziałem sceny, słyszałem dialogi, narratorem byłby młody kronikarz miasta — wieczorem to odrzuciłem, potrzebna jest głęboka refleksja, doświadczenie, dramatyczny los samego kronikarza — więc może starzec skazany na to miasto — nie, pomyślałem, narracja odautorska, ja opowiadam, ja wszechwiedzący.

Ale chyba się na tę powieść nie zdobędę. Już nie zdążę. Już nie zechcę.

(Odrzuciłem to. Kiedy w kilka dni później pojawiły się w wyobraźni pierwsze sceny — dwa dialogi — pomyślałem, właściwie z autoironią: I znowu zacznie się jak powieść sensacyjna).

Przeglądam *Nikt nie woła*, część drugą, „W butach”, czyli to, co posłużyło za scenariusz. Nie do uwierzenia, ale najważniejsze kwestie bohaterki, momenty napięcia, dramatyzm sytuacji w fabryce, 30-kilometrowy marsz z sowchozu z menażką owoców morwy dla dziewczyny, jej biała sukienka, gdy Bożek jest usmolony, scena między Leną a Bożkiem w chacie Juli, kiedy ściskając mu uszy, ona obsypuje go pocałunkami, kiedy mówi: „Myślałeś, że pozwolę sobie ciebie odebrać?”, bójka z Uzbekami pod bramą bursy, która stała się zwrotem w jej uczuciu — wszystko autentyczne. I ten sąd… I przyłapanie nas przez dyrektorkę, kiedy zaczęła się malaria. Brnięcie przez trzęsawisko (dwukrotnie), przerzucanie butów ponad strugą… Cały ten dramatyzm, spięcia psychologiczne — wszystko w filmie zatarte.

Pół godziny drzemki, a potem *W samo południe* — który to już raz. Arcydzieło. Wciąż jeszcze. Każde ujęcie służy opowieści, jest przemyślane, żadnych dygresji, ozdobników, wszystko skadrowane w sposób najprostszy, zawsze jednak celowy. Kiedy pociąg się zbliża, rytm zdjęć staje się

dramatyczny, bez komentarzy, wszystko rozumiemy, przeżywamy, wystarczą spojrzenia. Wzruszyłem się, chociaż znam każde ujęcie, każde drgnienie twarzy Gary Coopera — tak jak się wzruszamy, słuchając dobrze sobie znanej genialnej muzyki.

Zadzwoniła Maja: „Oglądałeś *W samo południe*? — Tak — wydusiłem przez ściśnięte gardło. — Arcydzieło". Domyśliła się po głosie, że usiłuję ukryć wzruszenie.

Przy „stoliku Berezy" jest Kutz, gratuluję mu wyboru na senatora. Oto, co znaczy ogłada towarzyska — nie krzyknąłem (po pięćdziesięciu latach!): „Jak ta Mikołajska u ciebie gra!". A Kazio: „Wiesz, jaki rezultat miałem?". Ja: „Wszystko dzięki *Krzyżowi Walecznych*". On: „Żebyś, kurwa, wiedział. Konwa powiedział mi to samo: «To ja ciebie, kurwa, wymyśliłem»!".

Na cmentarzu tłumy, pogoda dobra, kupujemy kwiaty i znicze. Po drodze, w alejce artystów, zaraz za grobem Zembatego, odkrywam miejsce pochówku Juliusza Janickiego, adaptatora i reżysera *Mgiełki*, żył lat 79, myślałem, że młodszy. Dzwonił do mnie czasami, po jakiejś książce, czy wywiadzie telewizyjnym, który mu się spodobał. Jego śmierć niezauważona przez media, nie podaje się go w wyliczance tegorocznych odejść (nie „strat", skoro jest wspomniany Osama bin Laden cz Kaddafi, których trudno uważać za „straty"). Jego krzywda jako reżysera *Mgiełki* jest gniewnie opisana w *Nie boję się bezsennych nocy.*

Z cmentarza autobusem aż w Aleje. Wysiadamy przed SPATiF-em. Reklamują „brunch". A może zajść? W szatni jakiś szczupły, wysoki pan wykrzykuje: „Witam! — Dodaje z emfazą: «Crimen»!" Podbiega starsza, szczupła kobieta: „Nie poznajesz mnie? Irena Dziedzic. — Och, byłaś bardziej okrągła! — Odchudziłam się". Z Madzią Irena dobrze się zna

— z Zakopanego, kiedy Madzia miała pięć lat, była nawet bliskość, bo Irena podczas wycieczki do Strążyskiej nosiła zmęczoną dziewczynkę na ramionach.

Nazajutrz znowu w Klubie Aktora, tym razem z Mają. Szatniarz wita ją: „I znowu pani u nas jest!”. Ja prostuję: „Wczoraj była córka. Ta pani też jest córką, ale nie moją”. Ireny tym razem nie ma.

W niedzielę obiad u Madzi, w towarzystwie p. Eryka. Ewa telefonuje z Dartmouth, rozmowa przez Skype — widzimy ją! Pokazuje nam swój gabinet i śnieg za oknem. (O ten śnieg się niepokoiłem, bo w Nowym Jorku była zawieja, miasto częściowo sparaliżowane). Jakoś rozmowa zeszła na matematykę szkolną i ja przypomniałem, co w Krakowie w redakcji powiedział kiedyś młody Stanisław Lem, którego wciąż się trzymały sztubackie kawały: „Jeśli nie sprawia wam to różniczki, to mnie pocałkujcie”. Ewa parsknęła śmiechem. Dowcip opowiedziany wnuczce z odległości kilku tysięcy kilometrów i sześciu godzin różnicy czasu. Niezwykły świat! Ile w nim cudowności… Ile mogłoby być radości, gdyby nie łajdacy — zapewne w tej samej proporcji w stosunku do ludzi dobrych, przyzwoitych, co przed wiekami i tysiącleciami. Tak samo, jak mimo wykształcenia, niezwykłych umiejętności, głupota występuje w tej samej proporcji do mądrości, co w czasach prymitywnych. Z tym, że podłość i głupota są dziś bardziej niebezpieczne niż dawniej: mają groźniejsze narzędzia do objawiania nienawiści i mordowania.

Rozmowa z Vargasem Llosą w świątecznej „GW”. Sympatyczna. Dostrzega w sobie ewolucję pisarską: nie idzie o to, że rozczarował się do komunizmu i przekonał do wolnego rynku (ale z ograniczeniami, z konieczną interwencją państwa — nie wyczuwa, że ma spojrzenie na

świat człowieka o temperamencie czy uczuciach lewicowych), idzie o sam sposób pisania: z krętej prozy, z zamąceniami, z mglistością przechodzi do coraz większej klarowności — chce, żeby wszystko było dla czytelnika jasne. Myślę jednak, że Nobla zawdzięcza tamtemu pisarstwu, bardziej „krętemu”; że książka, której myśl jest, jak mówi, „klarowna”, byłaby przez szanownych jurorów mniej ceniona.

Wierzy, że książka się obroni, tak jak obronił się teatr mimo kina, film mimo telewizji. Ale zagrożenie jest. On sam musiał przekupywać dzieci, żeby czytały, płacił im za godzinę czytania. Ja swoich przekupywać nie musiałem, czytały od maleńkości. Madzia wcześnie dorwała się do Prousta i wychwytywała z niego pewne ironiczne uwagi o ludziach. Zapewne przy następnej lekturze, już bardziej dorosłej, zwracała uwagę na co innego. Maciek czytał, zanim jeszcze poszedł do szkoły. Przeniesiono go więc do drugiej klasy i przez to nigdy nie nauczył się ładnie pisać.

Listopad

Wspominam, jak dziwnie przebiegało odrzucenie sztuki o Montaigne’u w Teatrze Dramatycznym w roku 1977. Andrzej Szczepkowski gorąco ją popierał, Holoubek „zachwycony” — i nie chce tego grać. Szczepkowski, z którym spotkałem się w Skolimowie, zakłopotany: „Nie mam dobrych wiadomości”. Pewien wpływowy reżyser (zostawmy jego pamięć w spokoju) miał powiedzieć na kolegium: „Gdybyż to przynajmniej było o Kościuszce!”. W kilka lat później ten rzekomy przeciwnik wystawienia powiedział mi ze zdumieniem: „ I dlaczego oni nie chcieli wystawić pańskiej sztuki?”. Kto mówił prawdę? I jakiego rodzaju była to prawda? Ta rola w końcu dopadła Holoubka, kiedy przestał być dyrektorem teatru i znalazł się w Polskim u Dejmka.

Artur Sandauer przyznał się w rozmowie ze mną, że nie bardzo się orientuje w postaci Montaigne'a. Kiedyś Stryjkowski mi powiedział, że myślał, że Montaigne to inaczej napisany Monteskiusz. „Jednak — mówię, referując to Madzi — coś do kultury polskiej wniosłem".

Notatka, którą zrobiłem podczas lektury książki Andrzeja Dobosza *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*:

„Dobosz czyta Kanta i już wie, że o Kancie ma dyskutować z Baczką". To jest to. Filozofia żywi się filozofią. Filozofowie studiują siebie. A powinni żywić się życiem. I podsłuchiwać (obserwować) nie filozofów, nie swoich studentów i wykładowców, zawodowych mędrków, często tępych i głupich. Co spostrzegł już Molier.

Notatki sprzed 34 lat — jakie to pouczające. Jakieś nazwiska, które w tamtym okresie coś dla zapisującego znaczyły, dziś zapomniane, wytarte. Rena jest u jakichś Lefeldów, spóźnia się, ja krzyczę przez telefon rozjątrzony — kto to był? dlaczego do nich pobiegła? Jakiś Trzciński — z wydziału kultury KC, ktoś, kto wciągał na czarne listy, skreślał, zabraniał — Bystrzycka mnie z nim poznała — zobaczyłem grubaska, od którego zależało moje istnienie literackie, w ogóle go nie zapamiętałem, nazwisko się zatarło… To on podobno rozwrzeszczał się (wg obecnego przy tym Sprusińskiego), wyczytując moje nazwisko ze spisu tych, którzy podpisali protest przeciw zmianom w konstytucji. „Znowu pokazał oblicze wroga klasowego!" Co on teraz robi (jeśli żyje)? Co mówi? Jak wspomina?

A moja pamięć przypisywała ten wrzask Łukaszewiczowi, który był szefem tamtego aparatczyka (słowo wykreślane przez cenzurę). Dlaczego zostałem tak wyróżniony? Z powodu pochodzenia, które było dla nich jak

znalazł. „Robota syjonistów”. Powiedziałem sobie: więcej nie podpisuję, nie będę im robił takiej przyjemności.

Pani Kasia Sobol z telewizji (pamiętam, że wysoka i atrakcyjna), która podpisywała ze mną umowę na serial, powiedziała: „Tylko na litość boską niech pan nie podpisuje żadnych protestów przez pięć lat!”. A ja na to: „Przez trzy!”.

Środa, 9 listopada. Od wczoraj mam 88 lat. Różewicz, który dzwonił kilka dni temu (ale nie w związku z urodzinami, zwierzał się z kłopotów z pisaniem poemaciku *Boję się bezsennych nocy*: *Nie wierzę, że się nie boisz*): 88 — to są dwa supełki (czy kokardki); jak się je położy, oznaczają nieskończoność.

Jest trochę uczucia zaskoczenia z tego, że się skończyło 88 lat, brak przyzwyczajenia, matematycznie to wygląda dostojnie, patriarchalnie, ale ja się na patriarchę nie nadaję, w tym, co mówię, co opowiadam, przebija jakaś lekkość, niektórzy mówią: młodzieńczość. Prawda, że podczas ostatnich kilku nocy niespokojne było serce, na przemian migotanie i ucisk, nic nie zażywałem, gdzieś koło drugiej w nocy odpuściło.

Z Elą jedziemy do Radości na spotkanie autorskie w ramach organizowanego przez Joint w hotelu Boss konwentyklu, który nazywa się bodaj „Limud” (nauczanie? Słowo spokrewnione z „mełamedem”?). Nieporozumienia z obiecanym transportem, w końcu bierzemy taksówkę, zainteresowani czekają w krytym gontem pawilonie, podobno przedwojenny zabytek, bawi ich tymczasem prof. Grinberg. Wchodzimy, oklaski. Mówię: „Nie przepraszam za spóźnienie, bo to nie z mojej winy”. Śmiech, oklaski.

Czytam rozdział „Mieszańcy” z *Najpiękniejszych lat.* Podobno zarysowana w nim perspektywa: albo mordu przez sąsiadów rodziny

żydowsko-ukraińskiej, albo jej ocalenia, przejęła słuchaczy.

W pierwszym rzędzie siedział jakiś starszy osobnik w jarmułce i ponuro, z dezaprobatą — tak mi się wydawało — się we mnie wpatrywał. Jakże się myliłem! Kiedy prof. Grinberg wezwał obecnych do dyskusji, on jeden się zgłosił. Powiedział, że po wojnie był u nas w Krakowie, na ulicy św. Marka. (— Zgadza się? — Zgadza). I tam były dwie siostry, Rena i Ritka, i one mu opowiadały, że oddałem tej starszej buty. Cóż to była za piękna dziewczyna!… (Opowiedziałem zebranym, jak to było z tymi butami, i że potem znalazło się to w powieści i w filmie). Przed wojną on mieszkał we Lwowie na tej samej klatce schodowej co one, na Szpitalnej. I znowu: — Ach, jaka śliczna była ta starsza.

Potem, kiedy już pokrojono tort i odśpiewano *Sto lat*, ten pan podszedł do mnie, przedstawił się: Handwerker, ma 89 lat, czyli był w wieku Reny. — Jaka śliczna! (Wieczorem zadzwoniłem do Ritki. „Wszystko się zgadza”, powiedziała. Szpitalna, mieszkanie Zwerlingów, ich kuzynostwa, pan Handwerker. Pamięta go!…).

Przy długich stołach nakrytych białymi obrusami był lunch, samoobsługowy. Ja bez specjalnej ochoty na te dania, zjadłem trochę ryżu obsypanego szczypiorkiem. Naprzeciw słynna Kazimiera Szczuka. Nawet się uśmiechnęła. Nawet trochę rozmawialiśmy. *Nowolipie*? Moja książka? Pierwszy raz o niej słyszy.

Wczoraj obiad u mnie z Madzią, Elą i Tomkiem. Smażę kartofelki z cebulą i jabłkiem (mój wynalazek). Przychodzi kurier, wnosi kartonowe pudło, a w nim koszyk z delikatesami od W.A.B. Jest i „trójniak ziemiański” w białej butelce, myślałem najpierw, że to kefir. Przyniesiono też kwiaty od Perczyńskich z Holandii. Wieczorem, nieludzko zmęczony, idę na pocztę odebrać nalewkę przysłaną przez Ewę W. z Wrocławia. Jeśli

dodać do tego hennessy, które wczoraj dał mi Jurek Woźniak w Sheratonie, to należy stwierdzić, że zapas alkoholi się powiększa i ubarwia.

Wczoraj cały dzień przed telewizorem. ONR-owcy i Młodzież Wszechpolska na pl. Na Rozdrożu, o kilkaset metrów od mojego domu, ze swoimi kibolowymi bojówkami (tak jak przewidywałem) — atakują policję, która zachowuje się biernie, atakują dziennikarzy, podpalają wozy transmisyjne TVN24. Nie jest moim zadaniem wdawać się w refleksje na ten temat. Skoro wolno nawiązywać do nazwy rasistowskiego ONR, to jaką mogę dodać refleksję do tego, co już na ten temat pisałem. Chyba tylko wspomnieć, że rzecznik SLD oświadcza, iż pani prezydent Gronkiewicz-Waltz „nie powinna była dopuścić do konfrontacji". Niesłychane! Więc faszyści i rasiści mają demonstrować bez żadnego sprzeciwu ze strony antyfaszystów!… Bez żadnego „No pasaran!" I to ma być „lewica". Więcej lewicy niż towarzysz rzecznik prezentuje Frasyniuk, „przedsiębiorca".

Nad ranem śniło mi się coś „literackiego". Już prawie na jawie, odzywam się: „Co na to pani Beckettowa? — Trudne ma życie — niełatwo żyć z geniuszem". Zabrzmiało znajomo. Kto się skarżył na coś takiego? Urocza, młoda jasnowłosa dziewczyna, Krystyna B. To był rok 1982, wiosną, po moim powrocie z Paryża. I ta rozmowa weszła do *Odejścia Afrodyty.* Spotkana chyba w bibliotece, powiedziała: „Martwiłam się o pana". (To z powodu mojego wywiadu dla „Le Matin"). Mówiła — ona, konspiratorka: „Niech pan będzie ostrożny". Później, na ulicy, w chłodny dzień, zapytałem, co u niej. Niedobrze. Ciężko. Wtedy dodała: „Kiedy się żyje z geniuszem…". Wszystko spada na nią. Było zimno, włożyłem jej na głowę swoją futerkową czapkę, wyglądała prześlicznie. Uśmiechnęła się, wyczuła, że to ukłon dla jej uroku. Chyba ją objąłem.

Po kilku latach dotknął ją rak, odeszła.

Jedna z tych młodych kobiet, które dodają światu uroku. I które morduje złośliwa natura.

Kiedy mogę, czytam notatki z kolejnych minionych lat: 1979, 1980. Dużo śmiecia zapisywanego dla pamięci, żeby dzień nie uciekł, trochę sądów o ludziach i utworach, na ogół sprawiedliwych, a jeśli nawet niesprawiedliwych, pochopnych, to jednak własnych. Lepiej skreślić — nikomu to niepotrzebne. Również odnotowywanie różnych roszad personalnych — odszedł Iks, przyszedł Igrek — teraz, po trzydziestu latach, bez znaczenia, wtedy powodowało to emocje, komentowało naszą sytuację.

W zapiskach z 1980 roku odnajduję jakieś swoje wystąpienia, o których w ogóle zapomniałem. Na przykład na naradzie u tow. Karkoszki (chyba kierował warszawską partią). Ja, chociaż bezpartyjny, z obowiązku, bo prezes warszawskiego oddziału związku literatów. (Pamiętam za to, chociaż wcale tego nie zapisywałem, że bawiło mnie, iż „towarzysz Karkoszka" występuje już w pamiętnikach Paska: „Karkoszka, towarzysz pancerny").

Miła niespodzianka od p. Krystyny Boron z Ameryki. Jest *Nowolipie* na e-booku, można zamawiać w Internecie przez sieć „Amazon", załączona okładka, cena 13 $. Przesyłam wiadomość Januszowi Beerowi do Waszyngtonu, dzwoni do mnie, że zamówił dwa egzemplarze, na gwiazdkę dla synowych.

W dwa dni później coś jeszcze bardziej niespodziewanego: tłumaczka dostała opinię od Timothy'ego Snydera. Pisze, że odtąd żaden „memoir" o tamtych czasach nie może być porównany (compared) z tą książką, *generously detailed and beautifully crafted study of childhood by Jozef Hen. This is to be savored and treasured and preserved*.

W anglojęzycznym katalogu Instytutu Książki („New Books from Poland”) jest bardzo dobra, inteligentnie napisana recenzja Marka Zaleskiego z *Nowolipia. Najpiękniejszych lat* i fragment o spotkaniu ze „Spencerem Tracym”.

Przed chwilą było u mnie dwoje sympatycznie wyglądających świadków Jehowy. Ona, wysoka, młoda, ładna, zaczęła: „Czy powinniśmy być posłuszni Bogu? Bo nawet Jezus był posłuszny”. Powiedziałem, że z Bogiem jestem w dobrej komitywie (On: „To bardzo właściwy stosunek”), nie wyobrażam sobie, żeby Bóg był małostkowy. Co do „życia wiecznego”, to podzielam zdanie Artura Rubinsteina, że jeśli okaże się, że istnieje życie pozagrobowe, to będzie to przyjemna niespodzianka. Rozmowa zeszła na Pięcioksiąg, wspomniałem o targach Abrahama z Bogiem o sprawiedliwych w Sodomie i o tym, co napisałem na ten temat w *Pingpongiście*. „To pan pisze powieści?” — spytała dziewczyna. A on: „W księgarniach takiej książki nie widziałem”. Dałem mu *Pingpongistę*; tam jest ta problematyka, którą oni poruszają — grzech, wina, kara, sumienie. Dodałem z uśmiechem: „Książka chwilami jest frywolna”.

Wczoraj — nekrolog: „Zmarł Andrzej Mandalian. Powiadamiają rodzina i bliscy”. I to wszystko. W „GW” jednak artykulik ze zdjęciem. Urodzony w Szanghaju, ojciec Ormianin, matka polska Żydówka, oboje oddani komunizmowi. Ojca w latach trzydziestych, podczas „wielkiej czystki”, rozstrzelano. Po XX zjeździe, na którym Chruszczow mówił o zbrodniach Stalina, ojca zrehabilitowano. Mandzioch dostał na miejscu pieniężne odszkodowanie, za które przywiózł sobie, pamiętam to, moskwicza. Pośmiertny podarunek od ojca. Było między nami pewne oddalenie, oddalały mnie jego agitacyjne wiersze, które powinien był sobie darować. Przy „stoliku” był lubiany, Konwicki go adorował, czasem z nutą ironii,

Szymańska uważała, że jest przystojny. W życiu rodzinnym, małżeńskim, po różnych wpadkach, wylądował wreszcie szczęśliwie, ożeniony z Joanną Rapacką, lubiłem ją i ona mnie też. Powiedziała mi kiedyś, że jej matka lubi mnie czytać. Dodała z uśmiechem: „Nie tylko ona”.

Była bałkanistką, zdaje się, że i italianistką, mądra, uśmiechnięta, spokojna. Jej odejście było dla niego bolesną stratą.

Nie dzwonię do Konwickiego, bo co mu powiem? Patrz, Mandzioch wykorkował? Wiadomo, co o tym możemy myśleć — obaj. Sześćdziesiąt lat obok siebie…

Grudzień

W telewizji wmawiają Polakom, że najważniejszą sprawą jest losowanie piłkarskiego Euro, z kim Polska zagra w grupie, powołują znawców, ekspertów, ale i zamęczają tym także polityków, każdy musi się wypowiedzieć.

W „Polityce” rozmowa z niezwykłą osobą, ma 100 lat, nazywa się Wanda Błeńska, 42 lata leczyła w Afryce trędowatych. Nigdy nie wyszła za mąż. „Nie natrafiłam na właściwego mężczyznę”. A dzieci? Ależ miała dzieci! Dziesiątki, setki leczonych trędowatych dzieci, obdarzały ją miłością. Mówi z ożywieniem, stanowczo, żadnych oznak uwiądu umysłu.

Martin Pollack, pisarz austriacki, slawista, tłumacz, opowiada w „Wysokich Obcasach” o swojej nazistowskiej rodzinie z Linzu, o ojcu, okrutnym gestapowcu, którego nie znał, o dziadku, który chodził z Hitlerem do szkoły, o babce, zawziętej nazistce, która go utrzymywała podczas studiów, ale zerwała z nim, gdy wyjechał na studia do Warszawy. Czy czuje się winny z powodu zbrodni popełnionych przez ojca? (Udostępniono mu

jego teczkę, dowiedział się o wszystkim). Nie, nie czuje się winny, nie odpowiada za niego. Czytając ten wywiad, chwilami wydawało mi się, że czytam przypisy do mojego opowiadania *Szóste, najmłodsze*.

Kilka dni temu na Targach Książki Historycznej w Arkadach Kubickiego. Mam podpisywać *Króla*, który wyszedł osiem lat temu! Spotykam Bohdana Tomaszewskiego, wspominamy bieg na 5 kilometrów podczas festiwalu w 1955 roku, kiedy Chromik pokonał trójkę Węgrów z ówczesnym rekordzistą świata Iharosem na czele. (Poza tym byli jeszcze Tabori i Rózsavölgyi; wszyscy trzej mieli przedtem inne nazwiska, nie węgierskie, władze republiki ludowej zarządziły zmadziaryzowanie nazwisk i odtąd każdy Cohn był już Kovacsem, a Israel stał się Iharosem). Pan Bohdan relacjonował ten bieg w radiu i od tego zaczęła się jego pozatenisowa kariera sprawozdawcy.

Ktoś na targach przysiadł się, by porozmawiać o *Prawie i pięści*, bo ma zastrzeżenia do zakończenia: dlaczego Koenig pozwolił odjechać ostatniej ciężarówce z łupami? Staram się wyjaśnić, polecam przeczytać powieść.

Czytanie zapisków z lat 1980–1981. Odkrywam rzeczy, o których zapomniałem. Na przykład że Ścibor-Rylski, który spotkał się z Miłoszem w Sztokholmie, przekazał mi od niego pozdrowienia. „Dla ciebie i Konwickiego, więcej dla nikogo”. Miłosz dodał, żeby Ścibor uważał, by „nie było niepotrzebnych pozdrowień”.

Tadeusz Górny zawozi mnie na ul. Bokserską, do radia „Bajka”. Nie słyszałem o takiej rozgłośni, moi znajomi też nie. Nadają audycje dla dzieci, a po 22.00 dla rodziców. Kierują tym wszystkim młodzi zabiegani ludzie. Nagraliśmy trzy odcinki po kilkanaście minut, będą przerywane

muzyką. Górny zaczął od zacytowania Timothy'ego Snydera. „Czy w Polsce *Nowolipie* było tak samo przyjęte?" Książka miała i ma swoich entuzjastów — był nim m.in. Kopaliński (który porównał ją do wspomnień Nabokowa i Ingmara Bergmana) — ale w druku tego nie było.

Madzia przesyła swoje żywo napisane refleksje z Bałkanów.

Rano w telewizji *Śmierć prezydenta* Kawalerowicza. Chyba najlepszy jego film. Nie mogę się oderwać. Wszystko brzmi boleśnie aktualnie. Język, zacietrzewienie, warcholstwo, brak poszanowania dla urzędu. Zrobione z przejęciem. Ach, ten Jurek… Chyba jednak ma zagmatwany życiorys. Scenariusz inteligentny, postaci wypunktowane — zasługa Bolesława Michałka. Ale ten film pokazuje coś, czego dziś nie ma: pochód robotniczy w obronie prezydenta, śpiew „krew naszą długo leją katy", czerwony sztandar („bo na nim robotnicza krew"), nie okrzyki: „Precz z komuną!", jak wrzeszczą dziś związkowcy, bez sensu — wobec burżujskiego rządu.

Zmarł Adam Hanuszkiewicz, mój rówieśnik. Nasze drogi nieraz się plątały, jego dzieci (Kasia i Piotrek) przyjaźniły się z moimi. On reżyserował i grał (na żywo!) Marcela w moim spektaklu *Nie ma Albertyny.* Był to rok 1965. Podziwiałem go za to, że nauczył się ogromnego, niełatwego tekstu. W umówionych miejscach, gdzie obawiał się potknięcia, inspicjent dawał mu znaki. Żeby mieć czas na przypomnienie sobie tekstu, zaciągał się papierosem. Niepokoiło go, że robi to wbrew prawdzie, bo chory na astmę Proust nie mógł palić. Otóż nie, uspokoiłem go, palił specjalne papierosy przeciwastmatyczne.

W moim scenariuszu nie przewidywałem Albertyny na wizji: nie ma jej, to nie ma! Marcel monologował do cienia. Hanuszkiewicz pokazał piękną

twarz Hanki Milewskiej. I wygrał!

Widziałem w „Powszechnym” jego *Wesele*, zobaczył mnie na ulicy i wciągnął na spektakl. Grał Poetę, opierając się na lasce. Myślałem, że wymyślił sobie taki rekwizyt, ale nie, laska była dlatego, że grał z bólem ischiasowym w nodze.

Był bardzo konsekwentny w poszukiwaniu poezji zapomnianych romantyków, w ożywianiu jej.

W Domu Literatury spotkanie autorskie Julii Hartwig — poniekąd jubileuszowe, kończy 90 lat. Sala zapełniona. W pierwszym rzędzie, z boku, Koftowie, Łubieński i Michnik. Tak się złożyło, że wszyscy występują w moim *Dzienniku*. Michnik — do mnie — i z wyraźną emocją w głosie: „Panie Józku, czytam teraz po raz drugi pańskiego Boya. To genialne! Genialne — powtarza. — Jak to znakomicie napisane! Super!”. Nie mówię mu: „To dlaczego książka nie była nawet w finale Nike?”. Mówię: „Dziękuję”. I dodaję: „Szczęśliwy jestem, że to właśnie pan tak mówi”. Siedzę z boku, Julii prawie nie widzę, przede mną słup.

Pod ścianą Nasiłowska, obok niej jakaś pięćdziesięcioletnia chyba pani, płowowłosa, włosy przycięte nad karkiem, twarz piękna w sposób klasyczny, idealna polska uroda, smukły, lekko spiczasty nos, pani uśmiechnęła się do mnie i skłoniła w powitaniu głowę — więc się znamy, ale ja nie wiem kto to jest — pisarka? czytelniczka? urzędniczka? Kilka razy nasze spojrzenia się krzyżują. Ta pani mnie intryguje: nigdy jej nie widziałem, zapamiętałbym, to ona mnie rozpoznała. Spojrzenie osoby inteligentnej i spokojnie, poważnie myślącej. Ale takie wrażenia bywają mylące…

Idziemy z Mają na górę, na tzw. winko. Tajemnicza Płowowłosa znikła. Julia na dole podpisuje książki. Ja z Iwoną Smolką wspominamy literacką

wyprawę do Zamościa. Ona pamięta, co powiedziałem w autokarze (33 lata temu!): „Są pisarze, którzy nie zasługują na swoje dobre książki”.

Przyczepia się do mnie jakiś lalkarz z Krakowa, że ja w Krakowie byłem blisko władzy, byłem prezesem partyjnego klubu „Kuźnica”. Nie byłem w klubie „Kuźnica”, nie byłem prezesem, nie byłem w partii, Kraków opuściłem w 1947 roku. „Może pan mnie z kimś myli? — Rozmawiam z panem Henem, wiem”. I znowu, że byłem blisko władzy. Tłumaczę mu, że „bliscy władzy” byli tzw. belwederczycy, których Bierut zapraszał na spotkania, ja zapraszany nie byłem. „Ale tak o panu mówili”. Ja: „Jedni może tak mówili, drudzy mówili: «znowu pokazał oblicze wroga klasowego»; wszystko jest przemieszane”. Maja odciąga mnie od niego.

Telefon do Wrocławia, do Ritki, opowiadam jej o zbliżającym się wydaniu amerykańskim, ona na to: „Szkoda, że Rena o tym nie wie, ucieszyłaby się”. Madzia: „Ja myślę, że wie”.

Kierowca taksówki, chudy 60-latek, koścista twarz, rozgadany, być może na rauszu, powiada, że on ma swoich idoli, wylicza: Karol Wojtyła, prymas Wyszyński i… Anna Walentynowicz. Nieoczekiwanie jednak broni Jaruzelskiego. Gdyby nie stan wojenny, wkroczyliby Czesi i Niemcy z NRD i by nas wymordowali. Ruskich nie musiał zapraszać, Ruscy byli na miejscu. Pod koniec cytuje coś z Wyszyńskiego, coś o młodości, którą daje wiara. Ja cytuję Churchilla: „Młodość przychodzi z wiekiem”. On: „To zabójca”. Ja: „Tyle, co każdy polityk. Uratował Europę przed Hitlerem”. On powtarza: „Zabójca”. I wyjaśnia: „Zabił Sikorskiego”. Aha. On: „A pan myśli, że to była katastrofa lotnicza? — Katastrofa”. Jesteśmy przed moją bramą. On: „Wszystkiego dobrego panu życzę”.

Jestem umówiony z moimi wnukami na obiad. Najpierw pojawia się Tomek, Ewa trochę później. W Czytelniku pustawo, ale jest jeszcze — Kutz. Opowiada o cyfryzacji *Nikt nie woła*, używając przy tym swoich zwyczajowych przerywników. „Kaziu, mówię, dzieci słuchają”. Moje wnuki (wnukostwo?) się śmieją, ale coś w tym jest, nigdy takich słów z Reną nie używaliśmy, także u Madzi, u Maćka, u p. Eryka takich słów nie było. A i u państwa Cukierów — nigdy! Ojciec się gorszył, kiedy śpiewałem: „Już taki jestem zimny drań”.

(Słyszałem za sobą na ulicy, jak jakiś młodzieniec z emocją chwalił się przed kolegami: „Moja mama, kurwa, jak coś ugotuje…”).

Grzegorza Gaudena, który jest teraz dyrektorem Instytutu Książki, spytałem, czy wie, że w Stanach wychodzi *Nowolipie*. Nie wie. „Proszę natychmiast mi to przesłać, umieścimy wiadomość na portalu”. I, naturalnie, opinię Timothy’ego Snydera.

Ostatnio myślałem w związku z tym… o mamie. O ojcu mniej — chociaż Mirka kiedyś powiedziała mi w Dąbrowicy, że ojciec po cichu był ze mnie dumny, że taki „uczony”, zna Torę, coś pisze, drukuje. Mama chyba miała większe ambicje. Doczekała się w pewnym stopniu ich spełnienia. Wychodziły książki, były filmy, liczono się w środowisku z jej synem. W całej licznej rodzinie ja jeden byłem takim dziwnym osobnikiem, kimś, kto wyskoczył poza ten krąg, poza tę zwyczajność, przeciętne przyzwoite istnienie, z którego zresztą byli zadowoleni. Dla nich, aby uznali mój sukces, wystarczyłoby, żebym drukował felietony i artykuły w pismach, które czytali, podziwiali ich autorów — i popatrz, nasz mały też wśród nich jest.

Po dziesiątej wieczór dzwoni Różewicz. Skończył poemacik *Boję się bezsennych nocy*. Są dwie wersje: szersza i mniejsza. Mniejsza jest lepsza. „Umawiamy się, mówi, że tego nie opublikujesz. To będzie coś tylko między nami”. „Twoja decyzja” — na to ja. „Nie, twoja. Zadzwoń do mnie za dwie minuty, to ci przeczytam tę mniejszą wersję”. Dzwonię. Czyta… Że „hen, hen, daleko, w Uzbekistanie, w Samarkandzie…” I że w Konstancinie widzi mnie idącego pod rękę z królem Stanisławem, z Boyem — i z Monteskiuszem. Wysłuchuję i odzywam się: „Tadziu, tam jest u ciebie «Monteskiusz», a ja pisałem o Montaigne’u”. To była ulubiona książka jego brata Stasia. (Pamiętam, że obiecał ją przesłać Tadeuszowi. Nie zdążył).

Ściągam z półki egzemplarz. Jutro wyślę go pocztą do Różewicza. (On wie dużo o literaturze niemieckiej, czyta Nietzschego w oryginale. Ale to Nietzsche właśnie podziwiał Montaigne’a i cieszył się, „że ktoś taki żył”).

Tomek idzie do komitetu kombatantów żydowskich po paczkę świąteczną dla mnie. Znak czasu, w którym jest sporo ironii: kombatanci żydowscy dostają paczki świąteczne. Może to i racjonalne: w końcu to żydowskiemu małżeństwu urodził się syn. Trzeba jednak dodać, że te paczki sygnowane są przez niemieckie towarzystwo — jakie? — „Maximilian Kolbe Werke”. Patron: święty antysemita.

Inny znak czasu: w sklepie wśród wędlin jest karkówka wieprzowa… po żydowsku. No, tego jeszcze nie było. Mówię do młodej sprzedawczyni, że to zabawne, Żydom nie wolno jeść wieprzowiny. „Naprawdę? — dziwi się dziewczyna. — Dlaczego?”

Różewicz dostał już książkę o Montaigne’u, co go zmusza, jak mówi, do korekty wiersza.

Ja dostałem od niego jego tom *Wbrew sobie*, wybór wywiadów od 1947 roku. Będzie co czytać. Gdzieś w latach pięćdziesiątych pytają go, jaka będzie przyszłość młodego poety Herberta. „Za kilka lat nikt o nim nie będzie pamiętał”. Nie usunął tego, brawo. Musiał zdenerwować Włodzimierza Maciąga, któremu powiedział, że krytycy nie rozumieją literatury, że mają znaczenie dla wydawców, może dla czytelników, ale nie dla twórców.

To mi przypomina, co napisał o *Dzienniku na nowy wiek* p. Komorowski, publicysta ze „Zdania”, w obszernej, bardzo przychylnej recenzji. Zauważył zimny stosunek krytyki do mnie. Uważa, że sam sobie jestem winien. „Pisarz, który za dużo wie” — cytuje tytuł felietonu Bronisława Łagowskiego o mnie. A krytycy nie lubią, kiedy beletrysta wie więcej od nich. No cóż, zdarza się.

Za dwa dni koniec roku. Jedziemy z Madzią i Ewą na cmentarz. Pogoda jest dobra. Brak zimy zaczyna niepokoić, chociaż pan od pogody mówi, że bywały cieplejsze grudnie, kiedyś zanotowano nawet 20 stopni. Kupujemy iglasty wieniec ozdobiony jakimś barwnym mięsistym płatkiem. Zapalam znicz przy grobie Juliusza Janickiego, reżysera i adaptatora *Mgiełki*.

Czytam teraz zapiski z roku 1975. Podróż do Izraela (po śmierci mamy). Prawie w całości weszło to do *Nie boję się bezsennych nocy* i to do części pierwszej. Ale są zdarzenia, czy też osoby, o których nie chciałem lub nie mogłem wspomnieć.

W bibliotece uniwersytetu w Tel Awiwie (nie było go jeszcze w 1963, kiedy byłem w Izraelu poprzednio), gdzie pracowała moja siostra Stella, pracuje też Marko-Strauss, który przychodził do biblioteki literackiej w Warszawie, wydał książkę *Czysta krew* (był jako czysty „aryjczyk”, duże

chłopisko, w jednostce ukraińskiej i zapładniał zdyscyplinowane aryjki w akcji Lebensborn). Spotykam go i przekazuję sentymentalne pozdrowienia od kierowniczki w Warszawie. I słyszę zwierzenie, że był sowieckim szpiegiem, przesłał do Moskwy datę najazdu Niemców na Sowiety wcześniej niż Sorge. Ale Stalin z tego nie skorzystał. Niektórzy, może to wpływ chamsinu, a może wyobcowania, degradacji środowiskowej, dostają ostrej mitomanii.

A może te objawy były już wcześniej, w Polsce, i opowieść o „czystej krwi" też była wytworem fantazji?…

Kierowca taksówki, którą wracaliśmy z wigilii u Madzi z Tomkiem i Elą: „Już czterdzieści dwa lata męczę się z żoną. Koszmar. — Do Tomka: — Pan by godziny nie wytrzymał".

Omówienia opublikowanych właśnie *Dzienników* Iwaszkiewicza nie są dla p. Jarosława życzliwe. Zarzuca mu się oportunizm, próżność, no i interesowność materialną. Kiedy pisze o ludziach z KOR-u (to przeciw niemu komitet zawiązano — wszystko, żeby utrudnić mu sytuację!…) nie brak i nutek antysemickich. (Tu trzeba koniecznie przypomnieć, ilu literatów żydowskiego pochodzenia znalazło u niego w Stawisku schronienie). Daje wyraz swojej wściekłości i ciągłemu poczuciu krzywdy — on, dygnitarz właściwie, prezes ZLP, naczelny redaktor „Twórczości", miota wyzwiskami i zabawne jest, kiedy pisze o Andrzejewskim: „ten pedał". Paweł Smoleński — demaskuje Iwachę, człowieka doprowadzonego do depresji (w szkicu o znamiennym tytule *Widzę tylko to, co chcę*), jako tego, który wielu ważnych współczesnych konfliktów rzeczywiście nie zauważa, pisze, że Iwaszkiewicz zostanie dla niego jako autor *Panien z Wilka* i kilku opowiadań. Krzysztof Varga wyznaje, że nie

jest wielbicielem prozy Iwaszkiewicza. Ja myślę, że gdyby Iwaszkiewicz miał w swoim dorobku wielkie dzieło, utwór znany w całym świecie, jakąś swoją *Czarodziejską górę*, lub choćby dokonanie takie jak Andrzejewskiego *Bramy raju*, byłby mniej wrażliwy na honory oficjalne. Ale nie miał takiego dzieła, nie było go na nie stać. Nie obserwował ludzi, nie wychwytywał ich, nie słyszał, nie miał tego, co Tołstoj, Czechow, Gorki, stałej literackiej (twórczej) czujności na innych. Analizował przede wszystkim siebie, własne przeżycia i rozczarowania.

Potrafił jednak być samokrytyczny, na pisarstwie się znał, przypomnę, co powiedział mi, kiedy miałem robić adaptację do filmu telewizyjnego z jego *Lata w Nohant*: „Ale tam gadają i gadają…”. Nie był przywiązany do pierwowzoru…

W sobotę, w sylwestra, próbuję dzwonić do Zulka do Krakowa, mojego rówieśnika, z którym pracowaliśmy obaj w latach czterdziestych w „Żołnierzu Polskim”. Jest, odzywa się! Dlaczego poprzednio nie odebrał telefonu? „Kąpałem się. — Aha, kąpałeś się. To znaczy, że było dla kogo! — Żebyś wiedział!” I rozmowa o tym, jak seks wpływa regenerująco.

Po południu wpada Tomek — z życzeniami. Wśród różnych historyjek, które brzmią dziś paradoksalnie, szczególnie bawi go opowieść, jak pisałem rzekomy dziennik radzieckiego oficera, który szedł przez Polskę, „Notes lejtnanta Nikaszyna”. (Nikaszyn to nazwisko brygadzisty, Mordwina, z którym przetaczałem w Samarkandzie beczki w wytwórni win i wódek; w *Nikt nie woła* występuje jako Nisupin). W pewnym miejscu odnalezionego niby tekstu informuję: „Tu zdanie nie do odczytania, zamazane krwią”. Zrobiła się awantura: jakim prawem Hen przetrzymuje

u siebie takie ważne dokumenty, zamiast je oddać do Centralnej Biblioteki Wojskowej!

Opowiedziałem też Tomkowi o dwóch Koreankach w naszej klasie w szkole pedagogicznej w Samarkandzie, Kim i Coj, obie wyróżniały się, nosząc pantofle na wysokich obcasach, schludne, zadbane. (W okolicach Samarkandy było kilka kołchozów koreańskich, nieźle prosperujących, utworzyli je uchodźcy spod okupacji japońskiej). Napisałem artykulik udający reportaż z Korei, dane prawdziwe, wzięte z reportażu fotograficznego w czasopiśmie „Life”, pt. *Coj nie powrócił*. Autor: „Aleksander Żegań”. Ten „Żegań” pisał też z Konga, z Barbados, i był chętnie czytany.

Przed północą przyjeżdża Madzia, za szczęście rodzinne w Nowym Roku, za pamięć o Renie wypijamy piwo Hen’s Tooth, chyba imbirowe, nie smakuje nam, czeskie lepsze. O wpół do pierwszej udaje się zamówić dla Madzi taksówkę.

2012

Styczeń

W nocy czytam w „GW” rozmowę Anny Żebrowskiej z rosyjską pisarką Ludmiłą Ulicką. Wydała powieść *Daniel Stein, tłumacz* — o księdzu Danielu Rufeisenie. Poznałem go w 1963 roku, miałem liścik polecający od Julka Stroynowskiego (później, w latach osiemdziesiątych, Julek był w Kolonii redaktorem niemieckiego wydania pism Jana Pawła II). Odwiedziłem go w klasztorze w Hajfie, na górze Karmel, zostałem poczęstowany jarskim obiadem, były to smaczne pieczone bakłażany z farszem. Miałem chyba zapiski z tej rozmowy, ale nie mogę ich odnaleźć. Pamiętam, że zwierzył mi się, że nikogo na chrześcijaństwo nie nawrócił. Przybywali chętnie, głównie Arabowie, ale kiedy dowiadywali się, że nie uda im się otrzymać obywatelstwa francuskiego, znikali. Po obiedzie zrzucił habit, przebrał się w „cywilne” ubranie — bluzę khaki — i razem pojechaliśmy autobusem do miasta. W kilkanaście lat później spotkaliśmy się przypadkowo na lotnisku izraelskim, to on mnie rozpoznał. Dowiedziałem się, że dostał wreszcie obywatelstwo izraelskie, którego przedtem mu odmawiano. Ministrowie do niego pisali, że ma rację, obywatelstwo powinien dostać, ale trzeba sobie wtedy odpowiedzieć na pytanie: kto właściwie jest Żydem? Bo jeśli zmieniłeś wyznanie, to znaczy, że uznajemy cię za Żyda na podstawie rasowej, tak? A przecież są czarnoskórzy Żydzi z Etiopii.

Tłumaczowi *Króla* na litewski, p. Dekšnysowi, posłałem amerykańską recenzję z *Nowolipie Street* i wspaniałą wypowiedź Timothy'ego Snydera, pytając, czy go to zainteresuje. Odpowiedź raczej niespodziewana: *Nowolipie* czytał przed kilku laty, „piękna książka", są trudności z wydawaniem literatury z naszego obszaru. Ale „może tym razem się uda". Rozumiem, że wydanie amerykańskie może pomóc.

Nowy Rok, niedziela. Pracowicie, prawie do czwartej, zapisując to, co powyżej.

Ewa składała wizyty pożegnalne. Była i u mnie z pół godziny. Bo nazajutrz odlatuje o 7 rano przez Paryż do Nowego Jorku.

O piątej nad ranem dzwonię do moich panienek — są na nogach, Madzia pojedzie z Ewą na lotnisko.

Kiedy Ewa była już w Paryżu, udało się z nią porozmawiać. Nie zdążyła na samolot do Nowego Jorku, skierowano ją na Detroit. Stamtąd poleci do Bostonu. A z Bostonu autobusem do swojej uczelni.

Wśród nocy z półuśpienia budzi mnie mocny SMS: „Czekam na autobus w Bostonie". A więc loty ma za sobą!

(Jest czwartek i wciąż od niej nie ma nic. A wiemy, że od razu po przybyciu miała pierwsze zajęcia. Czy bagaż nie przepadł? Madzia — w przeciwieństwie do mnie, który, jak ten pisarz w wieży, „niepokój domowy mam we wnętrznościach" — jest spokojna, ma zaufanie do Ewy, doświadczona podróżniczka, wszystko co ważne ma zresztą ze sobą).

W kinie Kultura, zaproszony, razem z Kutzem, przez Akademię Filmu Polskiego. Sala pełna, sama młodzież. Głównie interesowało ich, kto te

filmy finansował. „Państwo” — odpowiedział Kutz. Na sali zbiorowe westchnienie.

Oglądamy *Krzyż Walecznych*. W pierwszej noweli drażni mnie (Maję, która nadeszła, też) sposób wypowiadania kwestii: takie toporne, głośne, ciosane wykrzykiwanie; niby, że tak mówią wojujący twardziele.

Z Kutzem na scenie. Czas, co naturalne, należy głównie do reżysera. Wyjaśniłem jednak, że pomysł filmu nowelowego nie był Konwickiego, tylko mój i to zainspirowany sukcesem *Paisy* Rosselliniego i *Naszymi czasami* Blasettiego. Opowiedziałem też, jak powstało opowiadanie tytułowe (luty 1953, jeszcze przed śmiercią Stalina), nie mogłem go nigdzie wydrukować, „ton minorowy” — żądano optymizmu i radości. Nie wiem, mówię, czy pan senator pamięta pewien epizod z komisji scenariuszowej *Nikt nie woła*. Był w tej komisji jeden z dyrektorów kinematografii, bardzo wpływowy towarzysz K., przedtem cenzor. Zapytał: „Dlaczego dziewczyna tego chłopca kocha? Niczym się nie zasłużył, nie jest przodownikiem pracy”. (Śmiech). Ja na to: „Ona go kocha, bo jego rolę będzie grał Gérard Philipe”. (Wybuch śmiechu). Ale grał Boukołowski.

Kutz przyznał, że osiągnięcia filmowe to była w dużym stopniu zasługa materiału literackiego, którym dysponowali, „film był zakładnikiem literatury”.

Pożegnanie z Kutzem i jego żoną było nareszcie serdeczne, bez zwykłych złośliwości. „Złote czasy” — wspominał Kutz na ulicy. Ja przypomniałem, że wśród ludzi filmu nie odczuwało się zawiści, przeciwnie. On: „Tak, cieszył każdy sukces, bo było wiadomo, że każdy sukces wspiera następny film”.

Ewa już na zajęciach w Dartmouth. Bagaż z lotniska w Bostonie przywieziono jej do domu.

Oglądałem spotkanie z Januszem Głowackim, a potem film o nim (który już chyba we fragmentach znałem) *Depresja mon amour*. Był moment, że się wzruszyłem — to epizod, kiedy Janusz czeka na recenzję po nowojorskiej premierze *Karaluchów*: będzie sukces czy gilotyna — i jest recenzja! Sukces! Nastąpiła identyfikacja widza (mnie) z bohaterem (Głowackim). A przecież mogło być inaczej, mógł być żal (nad sobą?), że nigdy takiego sukcesu nie miałem… Nie było żalu.

Film *Tylko miłość* — o małżeństwie, które nie umie się odnaleźć (a już najwyższy czas, mają dorastające dzieci), mieszkają oddzielnie, odwiedzają psychoterapeutę. Nic nowego: schemat w tego typu amerykańskich filmach. Ale tam jest jeszcze coś: genialnie przez Michelle Pfeiffer zagrany monolog podczas płaczu, zalana łzami, wydusza z siebie swój długo tłumiony żal, twarz w konwulsjach — no i wzruszyłem się (znowu!). To, co mi trochę przeszkadzało, to Bruce Willis jako pisarz. Nie jest zły, oczywiście, ale dla mnie niezupełnie wiarygodny. Czasami widzimy go, jak — niepodpatrzony przez nią — mięknie.

Dzwoniła Grażyna, bierze leki, nastrój jej się poprawił, jest ożywiona, opowiada mi filmy. Ja jej rewanżuję się, polecając te filmy amerykańskie, w których mężczyźni są mężczyznami, obejrzyj, mówię, *Good Night and Good Luck*, poświęcony walce dziennikarza Eda Murrowa z komisją McCarthy’ego. Przeczytała mi fragment artykułu Ziemkiewicza z „Rzplitej”. Znośny, chociaż jest w nim nacjonalistyczny samozachwyt. Na przykład że Polacy od wieków ratowali Europę, powstrzymali niemieckie parcie na Wschód, rosyjskie na Zachód. Nie, nie było w średniowieczu niemieckiego parcia na Wschód — to Polacy przyciągali po najeździe

tatarskim Niemców, dawano im przywileje, pozwalano urządzać się według prawa magdeburskiego, Konrad Mazowiecki sprowadził Krzyżaków. Wóz Drzymały, koloniści w XIX wieku, Bismarck — to już inna epoka, to zaborcze Prusy, graniczące z zaborem rosyjskim.

Noce trudne. Po kilka godzin przerwy we śnie. Rozmyślam o Montaigne'u, o jego ostatnich latach. Był o 30 lat młodszy ode mnie, ale schorowany, cierpiał na skutek bolesnej kamicy nerkowej. Uważał się za starca. A jednak — gdyby był lekarzem — „zapisałbym sobie miłość". I jeszcze te słowa o smakowaniu życia — teraz, kiedy jest nad grobem — każdej jego godziny. I nieśmiertelne zdanie prawdziwe, a jakże trudne przez moralistów do przełknięcia — że to nam, starym, przystoi lekkomyślność, „baraszkowanie", bo mamy już wszystko za sobą, już się nie naprawimy, „nie jestem tu po to, żeby nauczyć tego człowieka, ale żeby go dokończyć". Zdanie, które, kiedy przytoczyłem je podczas pierwszej rozmowy z Ewą T., zachwyciło ją.

A jednak nie do końca bym się zgodził z mędrcem z wieży. Życie, w każdym wieku, póki tchu, może nas karmić złudzeniami, zapominamy o arytmetyce lat, nie pomaga doświadczenie, świadomość, jaka jest rzeczywistość, wciąż coś wydaje się przed nami…

Zapiski z lat 1976–1977 pokazują, jak trudno było przebić mi się do czasopism z tekstem o Montaigne'u, czasem rozpaczliwie trudno. Są tego świadectwa w *Nie boję się bezsennych nocy* (wyd. 1987, świadczące, że przy Jaruzelskim cenzura zelżała, można było przynajmniej wspominać krytycznie miniony okres). I są świadectwa, mimochodem, o tępocie idealizowanego dziś Gierka, zwłaszcza w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Mówił „My" (władza) i „Wy" (społeczeństwo), nie czując, że tak dzieląc rządzących i rządzonych, demaskuje ustrój, pokazuje

jego antydemokratyczny charakter. Przytaczam w zapiskach powiedzenie pewnego ekonomisty (nie podałem wtedy nazwiska, był to prof. Fiszel-Kozłowski, autor podręcznika ekonometrii, skromny i dyskretny uczony), który zwięźle określił istotę autorytaryzmu w tym systemie: „Normalne jest, że parlament wybiera rząd — tu rząd wybiera parlament. Normalne jest, że Komitet Centralny wybiera Biuro Polityczne — tu Biuro Polityczne wybiera sobie KC”.

Niedziela — to dzień Orkiestry Owsiaka. Komuś to diabelnie przeszkadza. Nie brak podłości i insynuacji, nawet aluzji, że serduszka do nalepienia są czerwone. Słuchając tych zaciekłych demagogów, człowiek się czuje jak oblany pomyjami. I nie brak ludzi, którzy (sądząc po sobie) chcieliby, żeby ten Owsiak się nakradł, ma takie miliony — kto go tam skontroluje. Świat byłby wtedy prostszy, bardziej zrozumiały. To, że ta zbiórka może być uczciwa, pożyteczna, obraża ich, „święty to on nie jest”.

Ten chwalony przez moją przyjaciółkę Grażynę p. Ziemkiewicz pozwala sobie na jadowitą wypowiedź, że Orkiestra przypomina mu… akcje hitlerowskiego NSDAP. No cóż, reakcjonistom zdarzają się takie zawstydzające wpadki, bo są reakcjonistami. (Staram się nie używać mocniejszych słów, na które ta wypowiedź zasługuje i na które, przyznaję, mam ochotę).

Dzień po dniu ucieka — między porannym a wieczornym mierzeniem ciśnienia upływa kilka godzin — i zaraz noc, przebudzenie gdzieś o pierwszej lub drugiej, bezsenność do czwartej — kilka godzin snu i znów następny dzień — czas ucieka, czas tak cenny w tej późnej starości. Współczesność mi ucieka, kultura mi ucieka, ona sobie i ja sobie, nie interesuje mnie, co dzisiaj piszą, ja ich też nie interesuję, to obcy świat.

Wczoraj w antykwariacie koło mojego domu kupiłem wreszcie wystawianą od kilku tygodni książkę mojego polonisty, Ludwika Ratha: *Aleksander A.F. Bronikowski*. Lwów 1937. To jego praca doktorska. „Wydana zasiłkiem ministerstwa W.R. i O.P.” Dostałem od niego tę książkę — a może mi ją tylko pożyczył — takie między nami były stosunki, nauczyciela z uczniem. Wydała mi się napisana językiem sztywnym, pod promotora, którym był — jest dedykacja na stronie tytułowej — Juliusz Kleiner. Kierownikowi antykwariatu opowiadam, kim dla mnie był autor i że Niemcy go powiesili. Wymienia go wydana tuż po wojnie „Lista strat kultury polskiej”.

Egzemplarz nieprzecięty, w ciągu 75 lat nikt do książki nie zajrzał. Ale ja tę książkę chyba po wojnie miałem, kupiłem ją. Szukam na półkach: mam! Zniszczona, jak wypada. Więc są w domu dwie (Ten ostatnio kupiony egzemplarz zainteresował Tomka, może nawet go podczas studiów wykorzysta).

Zdjęcie pięknej dziewczyny z dzieckiem na ręku, Reny z małą Madzią — zdjęcie zachwyconej swoim szczęściem matki.

Te dzieci, spoglądając wstecz, chyba mają świadomość, że były otoczone miłością. A może szczęśliwe dzieciństwo to takie, w którym nie myśli się o miłości, nie zastanawia się: jest czy nie jest, ona po prostu jest — jako coś naturalnego.

Myślę o Koreańczykach. O tym, że mają zostać ukarani ci, którzy nie dość wyraziście objawiali rozpacz po śmierci Kim Dzong Ila. Podejrzewałem, przypatrując się tej sfilmowanej zbiorowej histerii, płaczących wojskowych i kobiet, w tym rzucaniu się na ziemię — teatr, może i z wczuwaniem się w rolę, przejęcie się nią. Teraz władze koreańskie

właściwie tę teatralność potwierdziły. Kto nie dość głośno płakał, z czyich oczu nie lały się strugi łez — naraża się na reedukację. Uczestnicy ceremonii żalu (rejestrowanej przez kamery), wojskowi i urzędniczki w mundurach, znają mechanizm, któremu podlegają, wiedzieli, jak się mają zachować.

A myśmy się dziwili. I myśleliśmy sobie, zgodnie z kanonem europejskim, a także tym, który upowszechnia heroiczny film, zwłaszcza amerykański: czy wojskowi, ludzie przeznaczani do walki, gotowi na śmierć, nie powinni w dramatycznym momencie zachować kamienny spokój? A jeśli już teatr — to czy ich twarze nie powinny zastygnąć w bólu? Trzeba pogodzić się z tym, że tam jest inny zwyczaj, inny teatr rozpaczy.

Teatr narzucanego obłędu? A co powiedzieć o teatrze, który uprawiano publicznie jeszcze kilkadziesiąt lat temu w środku Europy? Kiedy się ogląda rozjuszonego Hitlera, pajaca wrzeszczącego i wymachującego gwałtownie rękami, i te tłumy wykrzykujące *Sieg Heil! Sieg Heil!*, te wyciągnięte w upiornym, karnym balecie ręce, tłumy niedostrzegające groteskowości jego aktorstwa (dostrzegł ją geniusz Chaplina!), trudno powstrzymać się od tej samej myśli: obłąkani! Co się z tym narodem stało?! Nie ze wszystkimi, zapewne, dotarło to do nas, choć nie od razu. Czy są i w północnej Korei ludzie, którzy zachowali wewnętrzną wolność? Własną refleksję? I strzegą jej tajemnicy dla swoich bezsennych nocy?…

Już po czwartej…

Zaparzam sobie herbatę. Ktoś mógłby się dziwić: herbata rozbudza. Ale ja mam inne doświadczenie: herbata w łóżku powoduje odprężenie. Ogrzewa. Zasypiasz…

Spotkałem się w sobotę (Czytelnik jest nieczynny) w kawiarni W Biegu Café z prof. Zbigniewem Wierzbickim i młodą kobietą, to pani Dorota Giebułtowicz, najwidoczniej mu sekretarzująca, która mówi do niego „wuju”. Pan Wierzbicki, rocznik 1919, więc o cztery lata starszy ode mnie, przeprowadzał ze mną rozmowę dla wydawanego przez siebie dwumiesięcznika „BUNT młodych duchem”. Imponuje zaangażowaniem, orientacją i wyczuloną na realia inteligencją. Tematem rozmowy były sprawy tolerancji — na świecie i w Polsce w szczególności. Redaktor uważa, że rozmowa była ciekawa, prześle mi tekst do autoryzacji. W kilka dni później znalazłem w skrzynce 2 egzemplarze jego pisma. Dumna notatka: „Pismo niesubwencjonowane”. Materiały ciekawe, rewizje historyczne, porusza się sprawy drażliwe, często zabagnione. Kilka znanych nazwisk współpracowników „zbuntowanych duchem”.

Taksówkarz, chudy, koścista twarz, chyba siedemdziesięciolatek, kto wie czy nie podpity (niedzielny wieczór!), powtarza różne rozpowszechniane oszczerstwa (w które chętnie wierzy, domniemane łajdactwa rządzących sprawiają pewnym osobnikom satysfakcję), „prezydent z ruskiego nadania, premier Niemiec — no i jak może być dobrze?”. Nie wdaję się w dyskusję, chociaż może się domyślać, że moje milczenie, brak mojego „o, tak, tak…” oznacza, że nie ma zgody. Chcę być jak najszybciej w domu.

Sympatyczna rozmowa z p. Darkiem Sośnickim, redaktorem tomu opowiadań *Szóste, najmłodsze*. Czy jestem zadowolony? Tak, jestem, nawet bardzo, dziękuję mu, bo to on wybronił ten tom przed amputacją. Co dalej? Mówię o wznowieniu obu powieści *Teatru Heroda* wraz z *Nikt nie woła*, to przecież trylogia. Bardzo bym chciał, żeby te trzy powieści wyszły w pudełku na moje 90-lecie. Porozmawia z szefostwem. Czy zgodzą się?

To zależy od sprzedaży opowiadań, a przecież nie wiadomo, jak to pójdzie. *Teatr Heroda* powinien wznowić raczej Czytelnik, to jego pozycja, ale na pewno tego nie zrobi.

Do Bliklego o zmierzchu na spotkanie z Agnieszką Wiśniewską, tłumaczką *Pingpongisty*. Rozmowa z Agnes treściwa, dotyka istotnych spraw bytu literackiego, bo ona, zamieszkała w Strasburgu, niezupełnie jest zorientowana. Kończy tłumaczenie *Pięknych dwudziestoletnich* Hłaski, co jest zdumiewające, bo niby dlaczego to ma interesować Francuzów? Zdaje się, że pani wydawca, Vera Michalski (Noir sur Blanc) liczy na epizody izraelskie, buntownictwo Marka w Polsce i chyba romans (i małżeństwo) z aktorką Sonią Ziemann. Czy znałem Hłaskę? Można rzec, że byłem z nim zaprzyjaźniony. W stołówce literackiej doprowadziłem do spotkania jego z redaktorem Arskim, czego rezultatem były dwa świetne opowiadania zamieszczone w tygodniku „Świat".

Kiedy czekałem na Agnes, jakiś szczupły, szpakowaty pan przy sąsiednim stoliku opowiadał dwóm paniom o swoim koleżeństwie z córką — „tak, proszę pań" — Konwickiego, słyszę to mimo woli i myślę: Podrywa na Konwickiego — motyw, który nieraz wracał w *Nie boję się...* I to podrywanie przy stoliku obok na „Konwę" odnotowałem w dedykacji dla Agnieszki w tomie moich opowiadań.

Chyba nie odnotowałem, że w „Dzienniku Gazecie Prawnej" była recenzja z opowiadań. Bardzo sympatyczna — z końcową uwagą Malwiny Wapińskiej, że „fascynujące" opowiadanie tytułowe (*Szóste, najmłodsze*) kończy się zbyt gładko i cukierkowato. No tak, racja, samego mnie to trochę martwiło. Ale w opowiadaniu idzie o pozytywny stosunek do życia, o radość istnienia. Mocowałem się z tym zakończeniem, są tego ślady

w tym dzienniku. Inne opowiadania zawierają sporo goryczy, smutku i poczucia zła.

Kilka wieczorów temu dzwonił Różewicz. Prześladują go słowa piosenki: „Takie piękne masz oczy, takie piękne masz usta…”. Ale on nie umie śpiewać. (Dlatego, przypominam sobie, nie przyjęto go do szkoły pedagogicznej — nauczyciel musiał uczyć śpiewu). „Ty też pewnie nie masz słuchu” — mówi. Zaprzeczam prawie oburzony. „Nie, mam słuch, nie stuprocentowy, jak mój syn, ale całkiem niezły. I zawsze śpiewałem”. I zanuciłem tę piosenkę: „Takie blade masz usta / I pobladłe masz lica / Czy to prawda straszliwa / Czy też blask od księżyca?”.

W niedzielę opowiadałem o tym Tomkowi. „W Samarkandzie Uzbecy przezywali mnie War-War, bo wracając wieczorem pustą, obudowaną tylko lepiankami Piendżikencką, wydzierałem się, szczęśliwy, zakochany: «War-war, war-war, war-war! We hear in town Paris! War-war, war-war, war-war! Look on the ladies please!». Śpiewał to, jeżdżąc konno Don Ameche w komedii *Trzech i pół muszkietera* z cyrkowcami braćmi Ritz jako muszkieterami. Wyświetlano ten film w kinie Nawoi na Starym Mieście, oglądałem go 9 razy — Rena także kilkakrotnie — ta melodyjna amerykańska komedia była azylem w wojennej rzeczywistości”.

Rano dzwoni Uchański. „Masz «Przegląd»? Kup! Pisze o tobie Łagowski. Ciekawe, jak to przyjmiesz”. A to niespodzianka! Felieton Łagowskiego nosi tytuł: *Półprywatny list do Józefa Hena*. Ma formę niby-listu do mnie, ale porusza sprawy ogólniejsze, wytyka postsolidarnościowcom nierozróżnianie wojny od pokoju, od bezkrwawej walki z autorytaryzmem. (To Tusk miał nieszczęście powiedzieć, że wojna

skończyła się w 1989! Jak jednak zacietrzewienie — czy fałszywie rozumiana potrzeba polityczna — zamula jasność widzenia…).

Zaczyna się ten „półprywatny list” do mnie tak: „Dużo myśli zmieścił Pan w krótkim tekście *Prawo do bólu…*”. To, że on to zauważył — tekst krótki, ale nasycony myślą — jest dla autora największą satysfakcją, spełnieniem. (I pomyśleć, że tekst ten, napisany do folderu wystawy fotograficznej o getcie, panienki, które tę wystawę komponowały, odrzuciły. Na szczęście ówczesny dyrektor ŻIH, pan Feliks Tych, był innego zdania, wyraził się o tych paniach mocnym przekleństwem, tekst przyjął do druku, a ja wygłosiłem go podczas akademii rocznicowej w Teatrze Żydowskim, o czym jest zresztą mowa — wraz z przytoczeniem tekstu — w *Dzienniku na nowy wiek*, kwiecień 2003).

Luty

Rozmowa z p. Sośnickim. Przyznaje, że tom opowiadań wygląda niepozornie, mimo bogatej treści, i cena może odstraszać. Zwróci na to uwagę szefostwu. Co do propozycji z *Teatrem Heroda*, trzeba szefostwo wybadać. Obaj mamy wątpliwości. Ich zasada jest, niestety, odwrotna od żydowskich kupców przed wojną, którzy mówili: „Duży obrót — mały zysk”. Oni chcą szybko mieć liczący się zysk z małej sprzedaży.

Czwartek, 2 lutego. Wczoraj, przed dziewiątą wieczór, zadzwonił Tomek: „Czy wiesz, że Szymborska zmarła?”. Nie wiedziałem. Po chwili telefon: Magda Mikołajczuk z radia. Prosi o kilka zdań o Szymborskiej. Bardzo trudno o tym mówić. Czuliśmy bliskość, ale było i oddalenie, nie tylko czysto komunikacyjne. Otoczona środowiskiem, przyjaciółmi, których nie znałem. Czasem wydawało mi się — wbrew jej twierdzeniom, że jest wolna — że odwrotnie: jest na uwięzi. Otoczenie narzuca jej zachowanie. Nawet

chce jej się robić coś na przekór, wbrew otoczeniu — pokazać język. Kilka lat temu przysłała mi tomik wierszy *Chwila* z dedykacją — odszukam go, chce mi się ją czytać.

Prawie do północy oglądałem film Kolendy-Zaleskiej o niej. Są we Włoszech, głównie na Sycylii, w miejscowości Corleone, są i w Irlandii, w miasteczku Limerick, wypowiada się o jej wierszach Woody Allen.

Pewnych jej przyzwyczajeń nie rozumiałem i trudno mi je było podzielać. Przywiązanie do serialu *Isaura*. Słabość do Gołoty — podziw kobiety dla góry męskiego mięsa? A może to też pokazanie języka… Loteryjka. Obrona prywatności — tak, zrozumiałe, jest w tym mądrość, dostrzeżenie niebezpieczeństwa, że można doznać zawrotu głowy, potraktować siebie jako geniusza, a nikt tak jak sam twórca — jeśli ma poczucie rzeczywistości — nie zna jego słabości, wie, że odczytywanie w sobie wiersza, co inni nazywają natchnieniem, to zmaganie się z myślą, ze słowem, żeby było tak jak ja chcę, nie ulegać łatwiźnie.

Mam kilka nadesłanych przez nią kolaży, pewnie są w oddzielnej kopercie. Liścik, w którym pisała, że dobrze jej się żyje z moimi „bezsennymi nocami”. I liścik, że oboje lubimy Montaigne’a, Boya — „to chyba coś znaczy?” (Pisałem o tym).

Lubiłem czytać jej felietoniki o „lekturach nadobowiązkowych”. Umiała się dokopać jakichś interesujących wątków w książkach nieliterackich, w poradnikach, w przepisach kulinarnych.

Znalazłem tomik z dedykacją: „Józefowi Henowi z przyjaźnią! Wisława”.

Ten wykrzyknik po „z przyjaźnią” ma wyprowadzić to słowo z banalności, uniknąć jego degradacji, dobrze to rozumiem, sam czasem ratuję jakieś „serdeczności” czy zużyte „życzę” dodatkowym epitetem czy

podkreśleniem. Podpisała się bez nazwiska, to znamienne, u dzisiejszych młodych kobiet to niewiele znaczy, taki jest mailowy zwyczaj — w jej pokoleniu to sygnał bliskości. Dzwonię do Mai: „Mam dla ciebie Szymborską”. Ale nie ma w tym tomiku *Kota w pustym mieszkaniu*, a ona koniecznie chce to przeczytać. „Znajdę!” Zajrzę na półkę, gdzie wysoko stoją tomiki poetyckie w „celofanowej serii” PIW-u. Jest! (Seria wspaniała: mam Apollinaire’a, Cendrarsa, Eluarda, Baudelaire’a, Rimbauda, Valery’ego).

Czytam na wyrywki, nie po kolei, wiersze pani Wisławy. Wiersz, który zaczyna się od słów: „Umrzeć — tego się nie robi kotu”, nie jest jedynym utworem, w którym jest ból po śmierci Kornela Filipowicza. Na przykład *Pożegnanie widoku*: „Nie mam żalu do wiosny, / że znowu nastała…”. Albo: „Przyjmuję do wiadomości, / że — tak jakbyś żył jeszcze — brzeg pewnego jeziora / pozostał piękny jak był”.

Myślę o tym, że coś ją łączy z Różewiczem, stosunek do świata, historii, do Czasu, przemijalności, niepochwytności, tylko że u niej jest pogodzenie się z tym, że jest jak jest, patrzy na to z ironią („świat jest nienaprawialny”, jak orzekł Montaigne), podczas gdy Różewicz bywa dramatyczny, gniewny.

I wszystko to blisko mnie — nie na skutek przyjętej przeze mnie „filozofii życiowej”, twardych zasad, którymi się kieruję — ale na skutek tego, że jestem jaki jestem, inny być nie potrafię, gdzieś między łagodną rezygnacją Szymborskiej a gniewem Tadeusza.

Zawdzięczam temu nocnemu czytaniu wierszy Szymborskiej uspokojenie — nareszcie kontakt z literaturą z prawdziwego zdarzenia, z kimś, czyje słowa się chłonie. (Wczoraj Tadeusz Nyczek, kiedy go pytano, skąd ta popularność Szymborskiej, powiedział coś prawdziwego, coś, co zarazem ustawia tych skrobiących wiersze, którzy popularności nie

osiągają: „Bo jej wiersze o czymś opowiadają, coś się w nich dzieje, nie jak u tych, którzy łowią metafory”. Pracowicie, dodam, je budują).

Arthur Miller o swojej żonie Marilyn na kartce, którą ona znalazła: „Zostawia otwarte tubki z pastą do zębów, rozrzuca ubrania na podłodze, nie zakręca kranu w umywalce, nie gasi światła”. Nie trzeba koniecznie być gwiazdą, by mieć takie przyzwyczajenia. Myślę, że taki brak zdyscyplinowania życiowego narasta, kiedy za dom się nie odpowiada, kiedy jest służba, troskliwy mąż, ktoś sprzątnie, ktoś wyłączy światła, ktoś będzie pilnował kalendarza i zegarka. Marilyn, pilnowana czy niepilnowana, zawsze się do studia spóźniała.

Ewa M. dzwoniła z Wrocławia, że kupiła sobie *Szóste, najmłodsze*. Słowo „szóste” skojarzyło jej się, baptystce, z szóstym przykazaniem: „Nie cudzołóż!”. Wolałem jej nie wyjaśniać, o co w opowiadaniu chodzi. Lepiej, żeby czytelnika czekała niespodzianka.

Ktoś ze wspominających Szymborską przytoczył jej powiedzenie, że dwa najważniejsze słowa, które zna, to: „Nie wiem”. Otóż tak się złożyło, że te dwa słowa zamykają tom *Szóste, najmłodsze*. Czarownik Matuzalem, zapytany przez młodzieńca Jafeta, co to jest miłość, odpowiada: „Nie wiem… Nie wiem…”. Ciekawe, czy ktoś zauważy, że nie opowiadanie tytułowe zamyka tom, ale *Długa, chyża łódź*.

I jeszcze przypadek zbieżności okładek: *Szóste…* na tle ptaków locie — i jej *Chwila* dokładnie tak samo.

Kilka dni temu telefon od nieznanej mi osoby, głos młodej kobiety. Znalazła mój numer w książce telefonicznej. Przedstawiła się: Monika,

zdaje się, że nazwisko niemieckie, które znaczy „piękny kot”. Zaczęła mówić o etyce, o powinnościach, o wierze. Wspomniałem mimochodem *Pingpongistę* i mojego Księdza. Ponieważ wyznałem, że jestem niewierzący, spytała, czy utrata wiary to był proces, czy coś się stało. Odwołałem się do *Nowolipia*, w którym jest o tym mowa. Raz na moją perorę zareagowała: „Dokładnie to samo mówił Jezus”. (Tomek wybuchnął śmiechem, kiedy mu to zacytowałem). Spytała, czy znam Pismo Święte. Teraz będę mogła wreszcie zacząć, pewno pomyślała. I chyba ją oszołomiło, kiedy usłyszała, że Pięcioksiąg znam w oryginale, po hebrajsku, a dwie pierwsze księgi znałem na pamięć. „Zna pan hebrajski? — Uczyłem się w szkole”. I wtedy ona: „Jestem świadkiem Jehowy. — Domyśliłem się. — Czy mogę jeszcze kiedyś do pana zadzwonić?”. Zgodziłem się. Może lekkomyślnie, bo przecież nie mam wolnego czasu.

A kusi mnie, żeby wkroczyć na tę zamyśloną powieść, zamyśloną nawet nie w konturach, ale jako pomysł, punkt wyjścia do fabuły, *Zastępcę*. Żeby wejść w tę fabularną rzeczywistość, trzeba by się odciąć od różnych bieżących spraw, uruchomić wyobraźnię, znaleźć się w ciszy, spacerować samotnie w alei brzozowej (a przecież to już nie te nogi), więc jednak Konstancin… Chyba niewykonalne…

Bo i po co? Jeszcze jeden tytuł, jeszcze jedna pozycja? Ze szkodą dla poprzednich tytułów. Jakbym je sam lekceważył…

Teraz myślę, że poznanie Pięcioksięgu po hebrajsku, a potem Księgi Jozuego, Sędziów, Ksiąg Samuela, Księgi (Zwój) Rut, Ksiąg Królewskich, wzbogaciło bardzo wyobraźnię — co za dramaty! Ile postaci! (Ile scenariuszy! — cieszyli się hollywoodzcy producenci). Dziecku podarowano skarb — i to mimochodem.

Rozmowa z p. Janem Widackim, chętnie się spotka, umówiliśmy się, że prześlę mu mojego *Montaigne'a*. Kiedy został po upadku PRL wiceministrem spraw wewnętrznych — zwierzył się — problemem była współpraca z ludźmi dawnego reżymu, czyli właśnie to zderzenie — psychologiczne, nie polityczne — które byłoby nicią przechodzącą przez moją powieść. Pytam go, czy widział w telewizji posła, który, po dwutygodniowym areszcie za awanturnicze blokowanie sądu, wykrzyczał, że był „więźniem politycznym", że nastaje „okres więźniów politycznych!". Widacki oglądał go. „To głupiec".

Sobotę spędziłem pracowicie, nie wychodziłem nawet po gazetę (i obeszło się). Długi list (4 strony mojego „firmowego" papieru) do Bronisława Łagowskiego. Są w nim dzieje tego mojego tekstu, który go poruszył (*Prawo do bólu*). Jest o pewnym niemądrym mędrcu. O „BUNCIE młodych duchem". O tym, że w Ameryce ma wyjść *Nowolipie Street*.

A jednak, chociaż Maja zabrała mi Szymborską, czytałem w nocy jej wiersze… z zachowanego 15 lat temu dodatku do „Wyborczej" na gazetowym papierze, kiedy dostała Nobla. Kilka wierszy chwytających czytam z podziwem i przejęciem, kilka chwytliwych, to znaczy z pewnym „chwytem".

Obudziłem się, coś zaczęło chodzić po głowie, myśl o starzeniu się Boga.
Najpierw zanotowałem: „Bóg dotknięty artretyzmem".
I zaczęło się:
„Sklerotyczny,
Może cierpiący na alzheimera,

Nie rozpoznaje swojego tworu.
Skąd się tu wzięliście?
Wcale was nie chciałem.
Rozmnożyliście się i jesteście
Jak ziarnka piasku nad morzem.
Co mówicie? Że ja to powiedziałem? Kiedy?
Nie pamiętam”.

Potem przyszło mi na myśl, że najpierw Narrator spotkał Boga. Dopisałem:

„W starym ogrodzie, gdzie obok dębów rosły oliwki,
Bóg kulał, tknięty artretyzmem”.

W dodatku „Ale Historia!” jest opowieść o pojedynku Leona Chwistka wiosną 1914 roku na szable w obronie honoru narzeczonej, Olgi Steinhaus, siostry słynnego matematyka. Otóż ja tę panią poznałem 40 lat później w Ustroniu Morskim, w pensjonacie Zaiksu. Było słonecznie, na plaży mnóstwo obnażonych, opalonych ciał, a ja spędzałem czas tylko z nią, z mądrą panią Chwistkową. Opowiadała mi o Boyu we Lwowie. Niestety, nic wtedy nie notowałem. O mężu: „On mnie tak strasznie zdradzał!”. Po chwili: „I wie pan co? Teraz myślę: dobrze, że zdążył sobie użyć”.

W nocy czytałem *Przyczynek do biografii* Jana Kotta, szukając wzmianek o jego żonie, Lidii Steinhaus, córce matematyka. Świetna lektura, choć chyba mnóstwo zmyśleń. Ale jak to napisane!

W nekrologach kondolencyjnych po śmierci generała Sz., zamordowanego przez własnego syna, powtarzają się „wyrazy współczucia r o d z i n i e i bliskim”. Więc i temu synowi, który zadźgał tatę nożem?

Przypomina mi się przedwojenna anegdota prawnicza, którą opowiadał mi Lucjan Wolanowski. Jest proces osobnika, który zamordował ojca i matkę. Obrońca w swoim przemówieniu końcowym: „I proszę, by Wysoki Sąd wziął pod uwagę, że oskarżony jest sierotą”.

Telefon od Ewy Wontor z Wrocławia: w pisowskim „Uważam Rze” jest dobra recenzja z opowiadań. Dzwoni też w tej sprawie sąsiadka, p. Konarska. Słyszała o tej recenzji w „Dwójce”, w przeglądzie prasy. Pyta, czy książka jest już w sprzedaży.

Nie mam czasu się tym zająć, wybieram się do Pałacu Prezydenckiego na spotkanie (tzw. noworoczne) prezydenta z twórcami.

W sali na piętrze (za Radziwiłłów — sali teatralnej) tłoczno, nigdy aż tylu twórców nie było za czasów Kwaśniewskiego. Po przemówieniu prezydenta (krótkie, rozsądne, z unikaniem wielkich słów), ktoś z twórców odpowiada, też krótko, ugodowo. Intermezzo muzyczne: przy fortepianie Janusz Olejniczak, Sławka Łozińska, jego była żona, oklaskuje go. Zaproszenie na poczęstunek.

Dotarłem do prezydenckiej pary (nie było trudno). Przedstawiłem się. „Chciałem, panie prezydencie, wyrazić wdzięczność za to, że objął pan patronat nad wystawą poświęconą królowi”. On o tym, że przełom w stosunku do Stanisława Augusta jest konieczny. Usłyszałem: „Wiele panu zawdzięczamy”. (Ale z tego nie wynika, że książkę czytał — wie o niej). Powiedziałem, że ma w swoim otoczeniu „wybitną osobistość, która jest zwolennikiem Króla — i książki o nim”. „Kto? — Premier Mazowiecki”. Nigdy na ten temat nie rozmawiali. Ja: „Pan, panie prezydencie, najlepiej wie, co to są oszczerstwa”. Kiwa głową, uśmiecha się smutno. Pani prezydentowa przez cały czas rozmowy słuchała uważnie i też kiwała głową z aprobatą. A ja myślałem, że państwo prezydentostwo, skazani na

rozmowy, nie mogą się pożywić, jak to robi ze smakiem i z satysfakcją tłum twórców.

Kiedy wychodziłem, dopędza mnie Beata Stasińska, dziś znowu naczelna W.A.B. „Gratuluję!” — woła ze śmiechem i całujemy się serdecznie. Gratuluje recenzji w „Uważam Rze”. Pytam o możliwość wznowienia *Teatru Heroda*. Wszystko zależy od sprzedaży opowiadań — tak, ja też o tym wiem. „Pędzę do fabryki — mówi p. Beata — podpisać umowę na *Nie boję się*... A pan? — Do autobusu. — Da pan radę? — Oczywiście”.

Podczas naszej rozmowy, już za salą bankietową, słyszymy paniczny okrzyk — upadł Andrzej Łapicki — nagle zobaczyłem, co mi grozi — żona i para rozmówców rzucają się, by go podnosić. Wstaje, jest wyprostowany — ona uspokaja otoczenie — możliwe, że on się tylko potknął, o rozłożony tam chodnik.

Recenzja w „Uważam Rze” spora, z dużym zdjęciem, na którym jestem roześmiany. Recenzent, Wojciech Lada, podobno radiowiec, nie zgadza się na pomniejszanie mojego dorobku, dlatego nie „mistrz krótkiego opowiadania”, ale „m.in. mistrz krótkiego opowiadania”, bo przecież i powieści, i biografie. Zatrzymuje się nad opowiadaniem tytułowym, komentuje je i kończy: „Świetne opowiadanie”. Ale „prawdziwa perełka” to według niego *Niebo naszych p r z o d k ó w* (zamiast „ojców”) z 1964 roku — data jest nie bez znaczenia. Wynika z tego, że ten pan mnie rozumie, rozumie, co czyta (co nie wszystkich recenzentów cechuje), bo i ja uważam, że w tym właśnie opowiadaniu najpełniej się wypowiedziałem. Wskazówką może być to, że nadało ono tytuł tomowi opowiadań, który ja sam wydałem.

Kilka rozmów telefonicznych, w których komentowano wydarzenie, jakim była ta recenzja. Dlaczego o n i ją dali? „Uznali, że mogą, skoro nie

jesteś platformersem” — to pogląd bliskiej mi osoby. Ktoś inny: „Może chcą pana pozyskać?”. Absurd. Tomek: „Nie chwali cię «Wyborcza»; może chcieli pokazać, że stać ich na neutralność”. I to prawie reguła: w „moich” pismach — w „Polityce”, w „Przeglądzie”, w „Wyborczej” — nie ma nic. W „Tyg. Powsz.” pewno też nic nie będzie. A może, myślę, p. Lada uznał, że chce o tym napisać, jest o czym, przyniósł do redakcji recenzję i tam zdecydowali: dajmy to, nam to nie zaszkodzi. „Dobrze się stało — mówi Tomek — tak czy owak poszerza się krąg czytelników”.

W poniedziałek nowy Łagowski. Felieton pt. *Literacka polityka*. O ustawianiu przeszłości literackiej pod kątem tego, co dzisiaj jest „politycznie pożądane” (trochę to z konieczności wulgaryzuję). Jest o pretensjach do Iwaszkiewicza, że tego czy owego nie podpisał, nie protestował; że nie wiadomo, jaki był stosunek p. Wisławy do upadku rządu Jana Olszewskiego. (Jakaś posłanka zaatakowała p. Wisławę, że chociaż Nobla dostała za wiersze pisane po polsku, to poetką polską nie była, nie ma u niej wierzb! Ładnie to wykpiwa Krzysztof Varga w „DF”, cytuje jakiś wiersz Szymborskiej, w którym jest brzoza — tak, brzoza, a to teraz najważniejsze dla Polaków drzewo).

Uchański: „Zarwałem przez ciebie noc”. Niby zna te opowiadania, ale narracja jest taka, że jak przeczytał pierwsze zdanie, musiał czytać dalej. „Thank you waszu mat’”, jak powiedział nie pamiętam kto, nie pamiętam kiedy i gdzie.

W bibliotece Domu Literatury, kiedy przeglądałem swoją teczkę z wycinkami, siedzący obok pan przedstawił się i powiedział: „Muszę się z czegoś zwierzyć. Kiedy skończyłem czytać *Króla*, rozpłakałem się”. Powiedział jeszcze (ku mojemu zaskoczeniu), że żałuje, iż przestałem

reżyserować, *Autobusy jak żółwie* to było naprawdę coś nowego. (Gdybym tracił czas na starania o realizację kolejnych scenariuszy, starania często beznadziejne, nie byłoby *Króla*. Czyli: albo–albo). Pół godziny później młoda dziennikarka z TVP2 powiedziała, że jak skończyła czytać mojego Boya, to się rozpłakała. A dziś p. Piotr Perczyński przemailował z Holandii, że w samochodzie słuchał, jak czytam *Nowolipie*, i dojechał do pracy zalany łzami. *Au diable!* Producent łez? Muszę przyjąć, że tego rodzaju płacz jest ozdrowieńczy, oczyszcza duszę…

W „Dużym Formacie" jest rozmowa z p. Zofią Bartoszewską — okazją jest 90-lecie męża. (30 lat pracowała w PIW-ie, 45 są już małżeństwem).

Czytam ten wywiad i myślę: dlaczego ludzie nie chcą ujawniać tego, co czasem jest w nich najbardziej interesujące? Dlaczego silą się, by przedstawiać siebie jako cierpiętników sowieckiego totalitaryzmu? Dowiadujemy się, że trudno było wydać w całości Trylogię, zakazano *Ogniem i mieczem*, żeby Ukraińcy się nie obrazili. Fantazje! Jedną z pierwszych inicjatyw PIW-u, jeszcze w latach czterdziestych, były *Dzieła zebrane* Henryka Sienkiewicza pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. Wydano wszystko! Miałem, oczywiście, Trylogię w tym wydaniu (kartonowa okładka w czerwonoburym kolorze), ale po latach kupiłem sześć tomów w twardej okładce (PIW 1967) i komuś tamte ubogo wyglądające egzemplarze oddałem.

Łączy się z tym pewien epizod z mojego życia. W roku 1949, w sierpniu, byłem na wczasach w wojskowym domu w Juracie (o czym wspominam w szkicu *Cenzor, mój czytelnik*). Była tam też Lena Strażewska z 9-letnim synkiem, atrakcyjna kobieta, córka generała Strażewskiego, dowódcy Okręgu we Wrocławiu. Otóż pani Lena, z którą dużo rozmawialiśmy, powiedziała mi kiedyś, że marszałek Rokossowski, wciąż jeszcze wtedy

nudzący się w Legnicy, zwierzył jej się, że bardzo chciałby przeczytać Trylogię po polsku. „Nie ma sprawy — obiecałem atrakcyjnej pani. — Załatwię”. W Warszawie opowiedziałem o jego życzeniu w PIW-ie. Przesłali mu te tomy natychmiast.

Kilka miesięcy później Rokossowski został polskim ministrem obrony narodowej i marszałkiem Polski. Opracowanie graficzne tygodnika „Żołnierz Polski” robił wtedy Kazimierz Holewiński, polecony nam przez Jurka Karolaka. Byliśmy w przyjaznych, otwartych stosunkach, na tyle otwartych, że patriotycznie usposobiony Holewiński mówił mi, że wiadomo, iż marszałek Michał Żymierski, minister obrony, to aferzysta, że w Paryżu był sowieckim agentem. I oto teraz ten Holewiński, wpatrując się we wciąż jeszcze wiszący na ścianie portret Żymierskiego, przesyłał mu całusy i to ostentacyjnie.

To mną prawie wstrząsnęło, bo ileż ta reakcja uczuciowa — wobec wczorajszego „aferzysty”, „szpiega” i „zdrajcy”, teraz odchodzącego — mówiła.

Kiedy Rokossowski został marszałkiem Polski, dowodzący prasą i propagandą Jakub Berman, nie bardzo zorientowany w heraldyce, uznał, że dwa „s” w jego nazwisku to rusycyzm i nakazał pisać „Rokosowski”. Co na to nowy marszałek Polski? Nie wdawał się w dyskusje, załatwił to po swojemu. Opowiadał mi kolega Urniaż, dziennikarz z „Polski Zbrojnej” w stopniu majora, którego oddelegowano do gabinetu Rokossowskiego na sekretarza (chyba prasowego), że szef zadysponował: „Majorze, potrzebna mi pieczątka z nazwiskiem. I pamiętajcie: przez dwa es”. Miałem akurat dyżur w drukarni przy łamaniu naszego tygodnika. Opowiedziałem o tym życzeniu zecerom. Uwierzyli mi. Tego wieczoru we wszystkich drukowanych tam pismach przywrócono właściwą pisownię.

W „Przeglądzie” — dobry wywiad Andrzeja Romanowskiego. Zmusza mnie do rozmyślań nad *Zastępcą*. Czy ja to kiedyś napiszę? Czy nie za późno do pracy nad fabułą? Postaci i spięcia między nimi już mnie nie nękają.

Nie podobało się p. Romanowskiemu (mnie też nie!) twierdzenie Ewy Milewicz, że „lewicy mniej wolno”. Nie zgadzał się również z Nowakiem-Jeziorańskim, kiedy „wyrażał radykalne hasła przeciw SLD. W demokracji każdemu wolno tyle samo, co jest określone w prawach i w d o b r y c h o b y c z a j a c h”.

Przypomina, że podczas uchwalania ustawy o IPN Kuroń, Mazowiecki i Geremek wstrzymali się od głosu. O błogosławionym papieżu: „Wszystkie nominacje biskupie (…) są autorstwa Jana Pawła II; zrozumiałe więc, że wielu zastanawia się, w jakim kierunku (…) sterował polskim Kościołem”.

Wczoraj wieczorem w lokalu Skwer, przy pomniku Mickiewicza, na promocji książki Krystyny Kofty *Mała encyklopedia małżeńska*. W barze czekał na rozpoczęcie spotkania Wiesław Uchański, solidnie, wieczorowo ubrany. Ustąpił mi połowę swojego grzanego wina. Zeszliśmy na dół. Tu wycałowała mnie Teresa Torańska — z jej wybuchowej serdeczności mogę być dumny.

Książka Krysi odniesie sukces, jest bezpruderyjna. Na przykład rozdział *Dziewictwo*. Wolałbym tego nie słuchać przy pełnej sali. Zdaje się, że Krysia sama była zażenowana, bo powiedziała: „To jest jednak książka do cichego czytania”.

Potem tak zwane winko. Głowacki, Henryk Sawka i Marek Przybylik. Natykamy się na rodzinną trójkę: Ela, Tomek i jego Kasia. Jakiś siwowłosy

70-latek ściska mi gorąco dłoń i wykrzykuje: „Cieszę się, że pan jeszcze żyje!”. Odpowiadam: „Ja też się cieszę”.

Znalazłem taką starą karteczkę, świstek, na którym skrobnąłem: „Potrzebny był dla wdrożenia pieriestrojki jakiś d o b r y S t a l i n, a był tylko d o b r y G o r b a c z o w”.

I znalazłem zapis, chyba sprzed dobrych trzydziestu lat, odnotowujący spotkanie z Adolfem Rudnickim, przypadkowe, w banku. „Ucieszyłem się”, piszę. Mimo wszystkich jego słabostek — któż ich nie ma! — jest to ktoś, z kim można porozmawiać i czyj dorobek jest nie byle jaki. Niektóre opowiadania noszą znamiona wielkości. Ludzi ze środowiska denerwuje, a czasem śmieszy, że Adolf sam o tym tak mówi — nie jest to przyjęte. W jego wypadku mnie to nie gorszy. Prowadzi samotniczy tryb życia, bez laurów, honorów, bez rodziny (dopisek: pod koniec lat osiemdziesiątych pojawiła się młoda dziewczyna i odmieniło się jego życie). Jedynym zadośćuczynieniem jest jego własne dzieło. Mówi: „Nie ma drugiego takiego jak ja”, co ludzi drażni, ale to przecież prawda, on jest naprawdę i n n y, każdy zresztą prawdziwy twórca jest i n n y. Usłyszałem: „Czy wiesz, że utrącili mi Nagrodę Nobla?”. Może to być złudzenie, ale może być i prawda. Nobel dla Rudnickiego — czemu nie? Jego dzieło jest tak samoistne, tak ważkie, tak tragiczne… Gdyby było popierane, dostałby tę nagrodę!

Potem, w związku z kultem pewnych poetów: „Kult trupów”. Autor trzech wierszy zostaje otoczony kultem, pod warunkiem że młodo umrze. „Powodzenie literackie — ja na to — to loteria”. On: „Tak, ale loteria, w której się szachruje, a numery są odpowiednio znaczone”.

Dzwoniła, co jej się rzadko zdarza, B.Z. I rzadko jej się zdarza, żeby mnie komplementowała. Tym razem, proszę, zdobyła się na telefon. Jest pod wrażeniem opowiadania *Szóste, najmłodsze*. Znała jego początek z mojej kawiarnianej relacji. „Wspaniale ci się to rozwinęło!” Potem: „Czy tę *Łódź* napisałeś po jej śmierci? Tak myślałam”.

Marzec

Ostatni dzień lutego był dla Warszawy dniem kataklizmu. Mecz! Ulice wokół Stadionu Narodowego zablokowano na wiele godzin przed meczem, na Saską Kępę wpuszczają tylko tych, co są tam zameldowani, co jest oczywistym naruszeniem zwykłych ludzkich praw. Jak to? Nie mogę iść do swojej konkubiny (dawniej mówiło się: kochanki) — albo do przyjaciela — albo w interesach — dlatego że ktoś postanowił, że tu odbędzie się mecz? To jest pomysł na film katastroficzny: nie *Płonący wieżowiec*, nie *Posejdon*, ale MECZ. I to mecz bez znaczenia: Polska gra z Portugalią. Cristiano Ronaldo nie strzelił gola. Gole strzela w Realu, gdzie wspiera go świetna drużyna.

Nazajutrz na krajowych kanałach telewizyjnych dalszy ciąg kataklizmu futbolowego — w ramach systematycznego ogłupiania społeczeństwa. Kiedy chcę się dowiedzieć czegoś więcej o świecie, nastawiam „Euronews”. W Europie też było sporo piłki, i to dobrej, ale jakoś nikomu nie przyszło do głowy, że mecz Niemcy–Francja czy Rosja–Irlandia to najważniejsze wydarzenia medialne.

Po północy, obudziło mnie parcie na żebra w klatce piersiowej. Możliwe, że winna była pogoda, mżawka, skoki ciśnienia. Dawniej rozgryzłbym cordipin, teraz staram się go unikać, bo dr Grodzicki mnie do niego zniechęcił. Czytam więc w „DF” rozmowę z kompozytorem z góralskiej

muzykującej rodziny. I czytam — zdumiony i rozeźlony — że serenady Schuberta nie lubi, bo „sentymentalna”. No i niech mu będzie; „sentymentalna”, proszę bardzo, ale to i tak jeden z najpiękniejszych utworów, jaki skomponował geniusz ludzki. Snobizm bywa naprawdę bardzo urozmaicony, demaskował go po mistrzowsku Proust, kiedy kazał Orianie powiedzieć: „Beethoven — jakież to nudne”. Z pewnością przygrywki na weselu góralskim są mniej „sentymentalne” niż serenada Schuberta.

Paweł Smoleński pisze o winiarzu z Izraela (rodem z Dzierżoniowa, a więc emigrant z 1968), który sobie przypisuje inicjatywę produkowania wina w Izraelu. Gdyby Smoleński znał moje *Nowolipie*, dowiedziałby się o pięknookim Chaskielu, który przed świętami zbierał zamówienia na koszerne wino „Karmel”, i nie dałby się na tę mitomanię nabrać. Podczas wizyty w 1963 r. piłem izraelskie brandy „777”, bardzo w świecie cenione.

Ale po co takie świadectwa? Wystarczy zajrzeć do Biblii, prawda? Poczytać sobie o ululanym Noem. Wino wytwarzano tam, nie czekając na przybycie odkrywcy z Dzierżoniowa.

Notatka o tym, że w lokalu wrocławskiej „Gazety Wyborczej” dwukrotnie już wybito szyby. Naczelnego redaktora atakowano. Policja umarza śledztwo, bo „nie ma dowodów”. W portalach nacjonalistycznych odnotowują te ataki z triumfem, Roman Zieliński (autor książki *Jak pokochałem Adolfa Hitlera*) cieszy się, zapowiada, że ta akcja obejmie całą Polskę, będzie to dla Żydów „noc kryształowa”.

Polska jest krajem, w którym prawo nie jest egzekwowane, podpalacz wychodzi za kaucją na wolność, kibole obrzucają racami szkółkę piłkarską, Żydom zapowiada się „noc kryształową”, kocha się Hitlera — i wszystko

jest nieważne, sprawy są umarzane albo ich się w ogóle nie wytacza. Jan Widacki przypomina, że p. Ziobro zdążył obsadzić pisowcami prokuraturę. Ja dawno temu stwierdziłem w wywiadzie — i to we Wrocławiu właśnie — że jeśli sędzia orzeka, że głoszenie hitleryzmu stanowi „małą szkodliwość społeczną", to znaczy, że on sam, sędzia, też jest taki.

Nie można słuchać tego wieczornego ple-ple komentatorów, coś o parówkach, o pieskach i ptaszkach, szczególnie niecierpliwi to, kiedy się wie, jak trudna jest rzeczywistość — w Polsce i na świecie.

Na szczęście jest trochę lekkoatletyki — halowe mistrzostwa świata w Stambule. Turcja! Technicznie zawody w ultranowoczesnych warunkach.

Przypomniałem sobie coś z Samarkandy, co nie weszło, a może powinno było wejść, do *Nikt nie woła:* o tym, jak siedząc na stołeczku naprzeciw Registanu, ogłaszał się facet, który na podstawie analizy pisma powie ci, kim jesteś. Grafolog. Brał próbki pisma wraz z adresem i po 20 rubli. Zaryzykowałem. Co świadczyło (jak i moja ówczesna podatność na propozycje wróżbiarzy) o stanie ducha bliskim depresji. Naturalnie „grafolog" był oszustem — co zresztą podejrzewałem.

Doświadczenie doświadczeniem, ale nic w nas do końca nie zostaje usunięte, żadna naiwność, żadne złudzenie nie rozwiewa się całkowicie, osobnik szczyci się tym, że dojrzał („od dziś wiem, co o tym myśleć"), ale jakaś szczypta dawnego w nim pozostaje. I resztki dawnej wrażliwości, dawnych przywiązań nagle się budzą — i doprowadzają do łez.

„Zastępca" myśli: „Może Boga należałoby wychować? Przyuczyć do dobroci? Może on chce, by było Dobro, ale nie wie, czym ono jest?".

Wprawdzie pisma opiniotwórcze nie zauważyły wydanych opowiadań, ale zdarzają się ciekawe oceny w portalach. Inny świat, w którym wciąż z trudem się poruszam, trzeba się z nim oswoić. Odkryłem w portalu „Baby NA KAWIE" wyśmienitą recenzję Moniki Zalewskiej-Biełło. Pisze, że „co wieczór, kiedy dom pogrąża się w ciszy", czyta jedno opowiadanie. I nie boi się już bezsennych nocy… Ale kto zagląda na tę stronę? Jest jednak dopis: „Przekonała mnie pani. Sięgnę po tę książkę".

Ma być w kinie Kultura pokaz zrekonstruowanego cyfrowo filmu *Nikt nie woła*. Na zaproszeniu zaznaczono, że będą obecni twórcy: Kazimierz Kutz, Jerzy Wójcik i i n n i.

Sala nabita, kolejka do szatni. Dla nas, „twórców", z dwojgiem aktorów (Krafftówna i Boukołowski) przygotowano plastikowe krzesełka na scenie.

(Kiedy to piszę, dochodzą mnie spod sejmu jakieś okrzyki, to Kaczor urządza manifestację przeciw „złemu rządowi", jak z uporem powtarzają jego młodzi, cyniczni współpracownicy).

Kutz mówi o „rewolucyjności" dokonanej przez siebie roboty. O tym, że film był przez prasę atakowany (?). I nie miał prawa wyjazdu 25 lat.

Kiedy po Krafftównie poproszono o zabranie głosu mnie, powiedziałem swoje możliwie zwięźle. Najpierw, że spodziewałem się, że będę mówić p o p o k a z i e, byłoby łatwiej. „Chciałbym krótko opowiedzieć, jak doszło do tego filmu, który państwo zobaczą". Były cztery etapy. Najpierw — życie. Potem — powieść. Potem — scenariusz. I wreszcie — film. Kiedy wspomniałem o dziewczynie spod Lwowa w Samarkandzie i o naszym związku, który trwał ponad sześćdziesiąt lat, usłyszałem szmer na sali. Oczywiście książki, która posłużyła za podstawę do scenariusza, cenzura nie puszczała, czekała na „prawo wyjazdu" 33 lata. (Szmer.

Zrozumiano polemikę z Kutzem. On ją docenił: „Dobry jesteś”, powiedział).

Mówiłem o tym, co przeszło z mojego życia do filmu. Zebrani zrozumieli, że gdyby nie przeżycia, nie ta zabroniona powieść (a po niej scenariusz), nie byłoby „rewolucyjnego” filmu. I kiedy powiedziałem, że na zaproszeniu, w którym mówi się o twórcach, ja jestem wymieniony jako „i inni”, był wybuch śmiechu i oklaski.

W Czytelniku, z tulipanami, zaprasza Krysia Kofta. Przy stoliku ks. Luter i Janusz Głowacki. Obaj zachwycają się filmem. „Mikołajska świetna”. (Jak w przedwojennym polskim filmie — takie jest moje zdanie). Zgorszeni, kiedy mówię, że „film mógł być lepszy”. Wiadomo, scenarzysta zawsze narzeka. Jednak Głowa uważnie wysłuchuje, kiedy ja mu przytaczam dwie sceny zmarnowane. (…) „Ale dla ciebie to sukces — mówi. — Sala pełna”. „Młodzież — przypominam mu. — Właśnie, młodzież”.

Był w południe telefon (na szczęście nie „imieninowy”) z miesięcznika „Pani”: pan Inkwart. (Coś mi to nazwisko mówi, saga rodu Seyss-Inquart, z których jeden był Polakiem, inny, przywódca hitlerowców austriackich, został chyba powieszony w Norymberdze). Mój rozmówca pracuje nad reportażem o maturach w życiu pisarzy. „Ale ja nie mam matury”. „O tym możemy porozmawiać”. Wskazuję mu na *Nowolipie* i *Najpiękniejsze lata*, gdzie ta sprawa jest poruszona. „Mam tylko małą maturę”. „To świetnie. Właśnie chcemy udowodnić, że mała matura była trudniejsza od dzisiejszej dużej”. Zapytałem, co na tę rozmowę naczelna, pani Domagalik. „Pańskie nazwisko było pierwsze, jakie padło z jej ust. Powiedziała, że musimy z panem rozmawiać”. A to niespodzianka! Pierwszy kontakt od wielu lat.

Prawie dwa tygodnie nic nie notowałem. Nie z lenistwa i nie z natłoku wydarzeń. Chorowałem. Spróbuję odtworzyć niektóre dni.

W Czytelniku rozmowa z p. Pinkwartem (nie „Inkwartem”, jak mi się zdawało — szkoda, byłaby inspiracja do drastycznej fabuły). Inteligentny, przystojny. Rozmowa o małej maturze (*Nowolipie)* i jak nie dotarłem do „attiestata zriełosti” (*Najpiękniejsze lata*). Przyniosłem *Szóste, najmłodsze.* P. Pinkwart uważa, że powinienem książkę zadedykować „Szefowej”, tzn. p. Małgorzacie Domagalik. Napisałem: „…może dla wytchnienia… może dla pożeglowania po innych falach…”.

Sobota. Doktor Zgoda stwierdza zapalenie oskrzeli. Wypisuje antybiotyk. Madzia przed trzecią zmierza do apteki po wykup recept. (Lekarz powiedział, że istnieje niebezpieczeństwo, co było dla mnie nowością, że po przebudzeniu, w momencie zejścia z tapczanu, spadnie mi gwałtownie ciśnienie — poniżej stu! — może zakręcić się w głowie, lepiej odczekać, siedząc, po dwóch minutach wszystko powraca do normy).

Tomek leci przez Bolonię do Florencji, na rozmowy o doktoracie.

W środę „Polityka” z artykułem Madzi *Prawa za brawa*, rozdział z historii walk o prawa autorskie. Ładnie złamany. Nareszcie wyraźny sukces. Uchański zachwycony.

Pani Krystyna Boron prosi, żebym napisał krótki tekst o sobie i *Nowolipiu*, ona przetłumaczy; Julia Kolberger nagra moją angielszczyznę, będzie rozpowszechniana płytka.

Zażywam ostatni antybiotyk. I piszę ten tekst dla pani Krystyny. Staram się, by utrafił w sposób odczuwania anglojęzycznych odbiorców. W związku z tym jest trochę zabawy, niemal aktorskiej, wcielam się

w skrybę nowojorskiego, choć nie w bohatera Woody Allena. Odpowiedź pani Krystyny: „Bardzo to dobre”.

Dostaję przekład mojej wypowiedzi. Z Waszyngtonu dzwoni Janusz Beer, ma kilka uwag. Brak w tekście informacji, że Nowolipie było żydowskie. Proponuje zamiast „hilarious” — „amusing”.

Kwiecień

Do „Szkła kontaktowego” ktoś przysyła SMS-a: „…rządamy”. Prowadzący nie reaguje, przyjmuje „rządanie”. Posyłam SMS-a: „Dlaczego nadajecie SMS-y z błędami ortograficznymi?”. Nie nadają mojego SMS-a.

SMS-y z błędami ortograficznymi powinni odrzucać! Niech się ludzie starają… (Przypomina się *Bankructwo małego Dżeka* Janusza Korczaka: podanie małego Dżeka zostało przez instytucję państwową „odrzucone z powodu błędów ortograficznych”).

Chyba dwa tygodnie temu w „Polityce” rozśmieszająca rozmowa Jacka Żakowskiego z Seksuologiem. Seksuolog prowadzi „badania” zachowań Polaków w łóżku. Jakoś nie przychodzi mu na myśl, że ludzie ukrywają swoje zachowania, krępują się zachceń, kłamią. Seksuolog jest zmartwiony, że badani rzadko używają wibratora, rzadko uczestniczą w seksie grupowym, prawie nie znają seksu analnego. Daleko nam do postępowej Europy! — biada. Szczególnie martwi go niski poziom seksu analnego — straszliwe zacofanie! Myślę, że Żakowski nieźle się bawił, rozpytując Seksuologa.

Bardzo chętnie zaglądam do *Dziennika* Máraiego. Niby co mnie z nim łączy — Węgrem pochodzenia saskiego (co podkreśla — unikając zresztą słowa „Niemiec” — ojciec Grosschmid — chyba „Márai” najpierw było

pseudonimem literackim, zanim stało się nazwiskiem). Rok 1943, od którego zaczynają się zapisy — raczej łagodny, prawie pięknoduchowski. Ani słowa o żonie i dziecku. Tylko pisanie. Wszystko się zmienia w roku 1944. Mordowanie Żydów (przez Węgrów faszystów). „Wstyd mi żyć". (Ale o tym już pisałem). Wchodzą Niemcy. Zbliżają się Rosjanie. Dom zbombardowany. Przenosi się z L. (żoną) i synkiem na wieś. Wchodzą Rosjanie.

Dziwni ci Rosjanie. To że łakną zegarków, butów, odzieży, czasem kobiet — tego się spodziewano. Zmieniają się jednak nagle, kiedy p. Sándor ich informuje — zna to rosyjskie słowo — „ja pisatiel". Od razu szacunek. Pisatiel! Dla Rosjanina to ktoś szczególny, namaszczony. (Jak Tołstoj, Czechow, Gorki. Jak Puszkin i Jesienin). Kończy się rabunek. Komandir rozdaje dzieciom landrynki. Rabuś, który przedtem zmuszał go do noszenia worka z bochnami chleba, zatrzymuje się. Pisatiel? Nie będziesz tego dźwigał! Wyjmuje bochen chleba, kroi go na pół i ofiaruje pisarzowi. A worek dźwiga sam.

Czekałem na zapis z r. 1953. Śmierć Stalina. Co prowadzący dziennik zapisze? Może to, że uczczono pamięć Stalina w ONZ? To mogłoby pisarza rozwścieczyć. Nie ma żadnej notatki (przynajmniej w wyborze dokonanym przez tłumaczkę). Márai jest teraz z rodziną w Ameryce. Śmierć Stalina niczego w ich życiu nie wywraca. Jest daleka i bez znaczenia. Gdyby był na Węgrzech, kiedy ogłoszono by śmierć przywódcy, który zawisł nad ich życiem, przydusił je i naraz odszedł — jego pióro by to odnotowało.

Przejmująca opowieść o procesie László Rajka. O tym, jak go przyjaciel namawiał, by przyznał się do zbrodni — dla dobra partii — wyrok śmierci zostanie odwołany. Zrobił to, czego partia chciała — i nagle zrozumiał, że go oszukano. „Wyprowadzić skazańca" — zadysponował „przyjaciel". W dwa dni później go powieszono.

Madzia na obiedzie. Przyniosła gazety. Zaglądam (co raczej czynię rzadko) do nekrologów. Ktoś przesyła wyrazy współczucia dla Marysi Ciesielskiej z powodu śmierci Witolda Lesiewicza. Dzwonię do Maćka. On: „Musisz iść na pogrzeb”. Zadzwonić do Marysi? Skontaktuję się najpierw ze Stowarzyszeniem Filmowców. „Czy coś wiecie?” Urzędniczka sprawdza. Po chwili: „Pogrzeb odbył się w marcu”. W prasie ani słowa! Zmarł reżyser z nie byle jakim dorobkiem. Dzwonię do Marysi. Pogrzeb odbył się w Białymstoku, gdzie mieszkała jego matka, pewnie jest tam grób rodzinny; pamiętam, że nie chciała przenieść się do Warszawy, w Białymstoku czuła się bliżej Wilna. Mówię do Marysi: „Kochałem go”. Ona: „On ciebie też kochał”. (Więc nieprawda, że między reżyserem a scenarzystą musi być konflikt). „Czy jesteś otoczona opieką, przyjaciółmi?” „Tak. Przez dwa tygodnie była u mnie Agnieszka. (Córka, mieszka w Londynie). A ty jak?” Wspominam, że miałem zapalenie oskrzeli. „Ale się trzymam”. „Tak, trzymaj się”.

W prasie nie było nic. A przecież *Kwiecień* to jeden z czołowych filmów tamtego czasu — życiowa rola Piotra Pawłowskiego (niedawno zmarł), kreacje Pieczki, Bąka, Tadeusza Kondrata. No i serial *Doktor Murek* z Jerzym Zelnikiem. Cóż, Witek nie należał do koterii (w swoim czasie przyjaźnił się z Munkiem), nie b y w a ł.

A teraz ja muszę zadbać o siebie. Krople do oczu. Herbata. Egotyzm — z konieczności. Z nawyku. I siłą bezwładu.

Szukałem w indeksie *Dziennika* Máraiego nazwiska „Miłosz”. Nie ma! Czy nic go, emigranta, nie obchodził *Zniewolony umysł* czy *Rodzinna Europa* (pozycje dostępne po francusku)? A przecież on sam wygłaszał, jako „Ulisses”, co tydzień felietony w Wolnej Europie. A Nobel dla

Miłosza? Powinien, wydawałoby się, wzbudzić jakąś reakcję. Może poczucie krzywdy…

Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że w *Dzienniku* — i nie jest to chyba wina tłumaczki — nie ma ani słowa o kinie. Jest w Ameryce, i to z kilkunastoletnim Janosem, a kino jakby nie istniało. A przecież lata pięćdziesiąte — to *Bulwar Zachodzącego Słońca*, *W samo południe*, terror Komisji ds. Badania Działalności Antyamerykańskiej, wyjazd Chaplina, kolejne filmy Billy Wildera, James Dean, pojawienie się Marilyn Monroe. Jest skupiony wyłącznie na literaturze, na prozie przede wszystkim. Bardzo ciekawe, przenikliwe spostrzeżenia o Ameryce. Ale kino? Nie, to jakiś niższy gatunek sztuki, prawdziwy artysta nie powinien się nim zajmować. W Los Angeles nie wspomina o istnieniu Hollywoodu. Tego, co Ameryka podarowała światu.

Nie interesuje go więc rola, którą odegrali w kinie Węgrzy, szczególnie Żydzi węgierscy, czy pokrewni im kulturowo Żydzi wiedeńscy, czy rodowici Niemcy. Różni Curtisowie (Kerteszowie), bracia Korda, Leslie Howard czy Ernst Lubitsch, Fritz Lang i Marlena Dietrich — emigranci przecież, tak jak on.

W posłowiu do *Wyznań patrycjusza* tłumaczka Teresa Worowska informuje, że L. (czyli Lola, Ilona) była Żydówką. Początkowo Sándor i ona żyli ze sobą po ślubie cywilnym, ale mogło to się stać przy wzroście antysemityzmu niebezpieczne, Ilona Mitzner przeszła na katolicyzm i w ten sposób Márai łatwiej mógł ją chronić.

Z artykułu Krzysztofa Vargi dowiedziałem się, że Ferenc Molnár był Żydem, nazywał się Neumann. Nigdy bym się tego nie domyślił!… W Polsce przedwojennej, o czym Varga zapewne wie, sztuki autora *Chłopców z Placu Broni* wystawiano z powodzeniem. Boy na ogół go chwalił.

A z b. interesującego artykułu Magdaleny Grochowskiej o Kuśmierku dowiedziałem się — również zaskoczony — że jego żona, którą poznał jako Szczygielską w peperowskiej konspiracji, kiedy oboje mieli po 17 lat — była Szapiro z domu, co mu wyznała. Żył z nią do samej śmierci. Myślę, że ubecja pojęcia nie miała o jej pochodzeniu.

Miałbym o nim dużo do opowiedzenia. Poznaliśmy się chyba w 1950 roku, kiedy odwiedziłem na Wiejskiej redakcję „Odrodzenia". Był Konwicki i Kuśmierek opowiadał nam, jak Woroszylski atakował jego opowiadanie o stosunkach na wsi i powiedział, że to „głos wroga klasowego". Przeskoczę do r. 1982. Był koniec lipca, szliśmy ulicą, tą samą Wiejską, Józek miał ze sobą zębatą piłę; spotkaliśmy bardzo zemocjonowaną panią, którą dopiero co (22 lipca) wypuszczono z internowania w Gołdapi, i ona, zachłystując się swoją odwagą, opowiadała, jak w „internacie" pyskowała ubekom. Podejrzewałem ją, niedawno jeszcze kochankę członka Biura Politycznego, że była wtyczką. Józek słuchał jej opowieści z wyraźną zazdrością. „No i popatrz — poskarżył się — a mnie nie aresztują". W kilka tygodni później aresztowano go. Powiedziałem wtedy do Madzi: „Załatwiła mu!". Siedział, wg Grochowskiej, do grudnia.

Około pierwszej przyszła pani Julia Kolberger z kamerą. Spojrzała na zdjęcie Reny i krzyknęła: „Jaka piękna!". Piękna i szczęśliwa — na tym zdjęciu. Pani Julia przekazała serdeczne pozdrowienia od mamy, Anny Romantowskiej. Nagraliśmy moją angielską opowieść o książce *Nowolipie Street*. Jakoś to poszło. Mówiłem wprost do kamery, zerkając — świadomie — do tekstu, który powinien być widoczny.

Dałem p. Julii tom *Nowolipie. Najpiękniejsze lata*, czyli ten, o którym mówiłem. Na jej prośbę zadedykowałem matce, pani Ani. Może

przeczyta…

Dużo było „wydarzonek” — można i trzeba, przynajmniej niektóre z nich, odnotować dla pamięci. Ale ciosem — uderzeniem — był „poemat” (trudno go określić bez cudzysłowu) Güntera Grassa. Czy to objawy miażdżycy? Czy spodlenia? Czy lewackiego sprytu? A może ocknął się w nim esesman?… Chyba wszystko razem: starcze rozmiękczenie mózgu z chciwością, by w ostatnich godzinach wpisać się do lewackiego antysemityzmu. Bo ogłuchł i oślepł. Nie dociera do niego to, co wypowiadają ajatollahowie, odrzuca złowieszczą retorykę Mahmuda Ahmadineżada, nie było nic takiego. (…) Przypominają się ci paryscy lewicowcy, którzy witali przewrót Chomeiniego jako zwycięstwo „sprawiedliwości społecznej i tolerancji”.

Zdaje się, że ja w *Dzienniku* zanotowałem, że 16-letni esesman Grass miał szczęście, że nie był ze swoim batalionem we Lwowie, bo mogłoby się zdarzyć, że przyszły noblista Grass rozstrzeliwałby Boya-Żeleńskiego.

Telefon od p. Julii Kolberger: prosi o adres mailowy, prześle mi nagranie. Jak wyszło? Pani Boron jest zadowolona. Mama dziękuje za książkę z dedykacją, bardzo była poruszona.

Przesyłam nagranie Madzi. „Fajne”. Madzia umieszcza je na Facebooku i przesyła Ewie do Dartmouth. Wieczorem wpada Tomek, oglądamy nagranie razem. Wyszło nie najgorzej: „aktorstwo” powściągliwe, bez patosu, powiedziałbym: przygaszone.

U Madzi łączymy się przez Skype’a z Ewą, w pokoju ma słońce, przegryza jabłko, widzi nas przy stole, wygląda ślicznie, wznoszę jej zdrowie stockiem. Na moje nagranie trochę narzeka: angielszczyzna

w porządku, ale zbyt często widać, jak zaglądam do tekstu. To było zaplanowane, tłumaczę.

Wieczorem telefon od Janusza Beera. Obejrzał nagranie. W zasadzie jest zadowolony — szkoda, że pisząc o rodzeństwie, nie podaję ich imion. Nie, mówię, ta informacja dla odbiorcy amerykańskiego nie jest konieczna, konieczne było to, żeby podać, że rodzinę wymordowano, ojca tuż przed końcem wojny, została jedna siostra i spotkana na ulicy matka. Obiecuję mu przesłać miesięcznik „Pani".

Późnym wieczorem — niespodzianka: dzwoni Różewicz. „Nie wiem — mówi — co ty obchodzisz — paschę czy co innego — ale składam ci życzenia". Głos ma mocny. Powinienem kupić nowy numer „Odry", jest tam jego poemat. Zawiadamiam go o niespodziewanej propozycji z „Pani". Temat jest mu bliski, też ma małą maturę, też uważa ją za ważną. Ma nadzieję, że spotkamy się w kwietniu w Konstancinie. Mówię mu trochę o zapiskach Máraiego, „są tam fajne spostrzeżenia". Różewicz: „Nie używaj słowa «fajne»; w języku młodzieży wszystko jest «fajne»". „Masz rację".

Na początku tygodnia esemesy od Agnisi S. z Aten. Najpierw, że leniuchuje na plaży w słońcu. Nazajutrz: „Ateny są piękne i tętnią życiem!" (Mimo oszczędności rządowych i masowych protestów). Dalej w tym duchu: „Szkoda, że nam przyszło żyć w melancholijnej szerokości geograficznej, a do tego w Warszawie, która, ze smutkiem stwierdzam, jest jednak prowincjonalna i zasępiona. Ściskam cię".

Na co ja: „Polki bywają zachwycające". Ciekawe, co odpowie. Ona: „A znajdzie się Polak nietuzinkowy i inspirujący". Jednak! Okazuje się, że istnieje coś poza słońcem i plażą.

Márai. Czytam jego *Dziennik* z szacunkiem i zrozumieniem. Tak, to pisarz. Obserwuje świat przenikliwie, wrażliwie i mądrze. Nie ujawnia prawie swojego życia osobistego, ale ujawnia osobiste widzenie świata, ciągłą czujność twórcy, prozaika. I nie ma znaczenia, czy to przeszło do jakiejś powieści — w istocie, czy to konieczne? Tworzenie postaci, ich perypetii?… Świat obserwowany istnieje w dzienniku jak w powieści, bohaterem jest narrator, zapisywacz, myśliciel. On.

O Henrym Millerze — już w Ameryce, r. 1959. „Pisarz, którego książki o tematyce erotycznej mogły się przez długi czas ukazywać jedynie w Europie… jest teraz wiodącym autorytetem na rynku seksualnej powieści brukowej. Jego utwory napisane z wymuszoną dosłownością, pełne mętnych wywodów, u d a j ą c e e r o t o m a n i ę (podkr. J.H.), sprzedawane są teraz w tanich wydaniach. (…) Ale to wszystko tylko interes, starannie obliczony na zbijanie pieniędzy”. Márai nie mógł znać biografii Henry’ego Millera, którą sporządził Frederick Turner pt. *Renegade*, a wydał uniwersytet w Yale. Zabrała się do niej w „New York Timesie” Jeanette Winterson, autorka pamiętnika *Why Be Happy When You Could Be Normal?*. Pan Turner, pisze pani Winterson, umieszcza Millera w folklorze amerykańskim obok Tomka Sawyera i Hucka Finna. Młody Miller, syn krawca z Brooklynu, niemieckiego pochodzenia (co recenzentka zaznacza nie bez powodu), w Ameryce bez sukcesów, został sprowadzony do Paryża przez żonę June, której pozwalał zarabiać na ich życie, sprzedając ciało. Miller, pisze recenzentka, „miał wprawdzie obsesję na punkcie «męskości», ale nigdy nie czuł potrzeby zarabiania na swoje utrzymanie lub utrzymanie swoich kobiet”. Porażki jego pierwszych powieści, pełnych nienawiści do cudzoziemców, Żydów i do samej Ameryki, uprzytomniły mu, że samo głoszenie nienawiści do sukcesu nie wystarcza. Los kobiet nigdy go nie obchodził. Nigdy, pisze pani Winterson,

nie pomyślał, że jak bardzo by mężczyzna nie był biedny, zawsze mógł kupić jeszcze biedniejszą kobietę dla seksu. Nie przyszło to, pisze recenzentka, do głowy także jego biografowi, który nazywa Millera „seksualnym łowcą przygód". Artykuł bezlitosnej p. Winterson nosi tytuł: *Reewaluacja amerykańskiego klasyka*.

W świątecznej „GW" artykuł Adama Leszczyńskiego o rozmowach Timothy'ego Snydera z Tonym Judtem, mędrcem, nieuleczalnie już wówczas chorym. Snyder przyjeżdżał do Judta na rozmowy do Yale. (Powstała z tego książka rozmów *Rozważania o wieku XX*). „Dlaczego — pytał zatroskany Snyder — przyzwoite społeczeństwo odchodzi w przeszłość?" „Mój" Snyder! Martwimy się tym samym.

Przepiszę (za Leszczyńskim) pewną wypowiedź Judta. Otóż Norman Davies, tak u nas popularny, jest w oczach Judta „lekko absurdalną figurą (…) sfrustrowaną wykluczeniem z Oxfordu", jego książkę *Europa* Judt uważa za „potwornie niemądrą" apologię polskiej historii.

W świątecznej „GW" Katarzyna Wiśniewska, młoda dziennikarka, która specjalizuje się w obserwacji krętych ścieżek publicystyki katolickiej — i w prostowaniu ich — relacjonuje wywiad abpa Jana Michalika dla „Rzplitej". „Abp Michalik żyje w kraju, gdzie n a r ó d w y m i e r a, a ci, co się ostali, bywają złodziejami". Arcybiskup: „Dzieci rodzicom ukradła nowa rzeczywistość, ulica, system wychowawczy". Kradnie się też — relacjonuje K.W. — „historię narodowi". Abp: „Niektóre środowiska intelektualne czy dziennikarskie zachęcają do wstydu za wszystko co polskie, narodowe".

Wczoraj późnym wieczorem SMS od Beaty C.: jest przerażona tym, co się dzieje przed Pałacem Prezydenckim. Zemocjonowany tłum,

nienawidzący (wszystkiego i wszystkich), podniecający go świadomie Główny Agitator. Dzwonię do niej i uspokajam. „To happening — mówię — pokrzyczą, wyładują się — i rozejdą. Na wieczność tam nie zostaną”.

Obłąkani wyznaczyli sobie spotkanie na Krakowskim Przedmieściu. Jakiś starzec demonstruje sklejoną z kartonu „bombę”: ma mieć „kolory niemieckie, żydowskie i rosyjskie”. Ale zabrakło mu farb „żydowskich”. Jan Pietrzak, którego pamiętam jako całkiem normalnego uczestnika środowiska, śpiewając, wykrzykuje: „Kto nam nie pozwala żyć w takiej Polsce, jakiej chcemy?!”. „My”! Wódz zapewnia, że zwyciężą, stworzą IV RP! A wtedy wszystko wyjaśnią, wszystkich rozliczą…

Beata nalega: „Zapisuj! Utrwal! Prowadź dziennik do końca roku!”.

Kamery lepiej zapisują, lepiej utrwalają. Coś tam w dzienniku będzie, ale nie dla historii — będzie jako świadectwo, w czym żył autor. Jakie drzwi powinien był zatrzaskiwać (czego nie robił).

Pamiętniki (trochę starcze) Henryka Józewskiego, który, wyznaczony przez Piłsudskiego na wojewodę wołyńskiego, starał się coś zrobić dla poprawienia współżycia polsko-ukraińskiego.

Natrafiłem na niesłychaną wiadomość. Kiedy Armia Czerwona w 1920 roku była pod Warszawą, przywództwo endeckie przesłało Fochowi memoriał, że Piłsudski jest „płatnym agentem bolszewizmu”. Józewskiemu pokazał to (czy powiedział) Jodko-Narkiewicz. Potem Wieniawa potwierdził: „Tak, znamy ten dokument”.

Zawsze dla pewnego typu opozycjonistów charakterystyczna jest gotowość oczerniania przywódców własnego kraju wobec zagranicy! Szukanie u niej poparcia, lizanie jej butów… To pewnie ten dokument miał w pamięci Piłsudski, kiedy grzmiał na „ohydnego, zaplutego karła”, który idzie w ślad za nim.

Piłsudski lubił, w intymnym kręgu, przytaczać rosyjskie porzekadła. Bo też język rosyjski jest szalenie przyczepny, wiem coś o tym, jest obrazowy, bogaty w idiomy. Józewski zapytał kiedyś Naczelnika o zdrowie (czego Piłsudski nie lubił). Marszałek odpowiedział z uśmiechem: „Niesmotria na niemiedlennuju pomoszcz wracza, bolnoj wyzdorowieł".

W całości jednak te pamiętniki, chwilami przejmujące, są nazbyt egzaltowane, wiele też jest powtórzeń, zwłaszcza w peanach na cześć Marszałka. Wydaje się, że Józewski po wyjściu z polskiego więzienia (już w PRL) żył tym kultem jak wspomnieniem ukochanej kobiety, która odeszła przedwcześnie… Często siadywał na ławeczce w Alejach Ujazdowskich, w pobliżu Belwederu.

Rano radosny mail od p. Krystyny Boron. Jest recenzja *Nowolipie Street* w sieci Clarion Review, świetna, ciepła, oznaczona pięcioma gwiazdkami (*five stars out of five*), czyli najwyższą notą. Podpisana przez Emily Adams. Podobno autorka pisze bajki dla dzieci. I chyba nie jest przypadkiem, że przytacza moją niefortunną przygodę podczas przedstawienia *Jasia i Małgosi* we freblówce, kiedy zafascynowany papierowym księżycem przestałem machać skrzydełkami.

Pewien zapis w *Dzienniku* Máraiego zaskoczył mnie. Przyznaje się do czegoś, co dotychczas było pomijane, przesłonięte uwagami prozaika profesjonalisty, wrażliwego obserwatora świata i kultury. Nic tylko doznania artystyczne, refleksje itd. Aż tu jest rok 1970. Márai kończy 70 lat. „W ciemności czasem pojawia się pytanie: właściwie jaki był «sens» tego wszystkiego? «Bóg?» Cisza. «Ojczyzna?» Głęboka cisza. «Literatura?» Ironiczna cisza. Potem, jak błysk zapałki w ciemności: «Chwila». (…) I były oślepiające chwile, które można ująć jednym

słowem: «Rozkosz». Tego było najwięcej i to było najlepsze. Cielesna rozkosz — uderzenie prądem, jak powtórne narodziny. Namiętność ciał. (I co więcej: czułość ciał). Wszystko inne blednie przy tym”.

W ten sposób złożył hołd L., swojej żonie kochance.

Przypomniało mi się (i jest o tym mowa w *Dzienniku na nowy wiek*), że kilku starców, osiemdziesięciolatków, zwierzało mi się — mimo że nie było to przedmiotem rozmowy — że mają kochanki. Nie potrafili się oprzeć potrzebie ujawnienia tego. (To chyba Fontenelle zauważył, że szczęście, sukces, o którym nikt się nie dowiedział, nie daje pełnej satysfakcji). Trudno o większe usatysfakcjonowanie w tym wieku. Kobieta, jej ciało — trudno o większy dar.

Wieczorem w piątek (trzynastego, ale w ogóle nas to nie interesuje) do Mai z piersiówą francuskiego brandy. Przeczytała *Twarz pokerzysty.* Zdemaskowany „Złowrogi” ją zaskoczył. Dowiaduje się, ile w tej wymyślonej historii jest szczegółów z życia, autentyzmu w realiach, ile osób, które znałem i wykorzystałem w powieści: „Mongoł — Tancerz”, „Skorpion”, kobieta w pociągu (fryzjerka z Bytomia, w życiu nic więcej nie było, ale ją zapamiętałem, nawet nazwisko), no i kalendarzyk „SS” z portretem Himmlera, który zabrałem z opustoszałych koszar w Neuhammer („Nowomłoty”).

Kosztowna luksusowa wycieczka statkiem śladami „Titanica” każe raz jeszcze zastanowić się nad zagadkami psychiki ludzkiej. Skąd ta potrzeba, żeby poczuć się jak oni — i nie zatonąć, oczywiście. Dlaczego właśnie „Titanic”, a nie tragedia któregoś z krążowników, który zatonął podczas wojny? Rozpoczęła tę potrzebę po części legenda, uporczywe nawracanie

do tej właśnie katastrofy, reklama, moda. Ale jak mocno w tych ludziach, którzy płacą grubo za ten rejs, ujawnia się wieczny homo ludens, jakie niemal dziecięce akceptowanie umowności. Nie da się ukryć: to zabawa, podniecająca, stać nas na nią! Seks na niby-„Titanicu” — coś odnawiającego! A potem: byliśmy tam! Nakręciliśmy! Popatrzcie: tu George przechyla się przez burtę: żegnaj, kochanie, ja tonę!

Próżność, niebezpieczna cecha, może też obrócić się w Dobro: kiedy pochlebiając swojej próżności, człowiek dobro czyni.

O moim niedzielnym „mistrzowskim wykładzie” (tak to się nazywa) w Krakowie nie warto dużo mówić. Czekałem na wyznaczoną godzinę w Klubie Pod Jaszczurami. Otwarte drzwi, wietrzenie „naturalne”, odczuwam chłód. „Wie pani — mówię do miłej Moniki O., która się mną zajmuje — czym różniły się dawne kawiarnie krakowskie od dzisiejszych? Że było cicho, żadnej muzyki, i że stoliki były przetarte, nie tak jak ten, klejący się od jakiegoś soku”.

Do salki, w której mam mówić, trzeba wspiąć się schodami na trzecie piętro. Pusto, zjawiają się dwie dziewczyny, w końcu jest 10 osób (połowa adeptów, informują mnie — reszta się rozchorowała). Wśród nich p. Awdiejew, ale nie ten krakowski — to reżyser mieszkający w Holandii, najlepiej w tej gromadce w sprawach kina zorientowany.

Tematem były moje doświadczenia scenariopisarskie. Także o scenariuszach niezrealizowanych, choć zatwierdzonych. O porażkach (*Crimen*, *Hania*, *Jokohama*). Spojrzenie na zegarek: trzeba kończyć, bo nie zdążę na pociąg do Warszawy.

A honorarium? A zwrot kosztów za przejazd? Wszystko pójdzie przelewem. No, ale dwoje młodych ludzi, p. Horodyski i ładnie

uśmiechnięta Monika, odwiozło mnie na dworzec, czekali ze mną na pociąg na peronie i dopilnowali, żebym wsiadł do właściwego wagonu.

W przedziale zastaję leżącą 60-letnią (tak ją oceniam) panią w białym spodnium. Zrywa się. „Może pani leżeć” — mówię. Nie, pani siada, otwiera teczkę z dokumentami, uruchamia laptopa. Wdajemy się w rozmowę. Ona uważa, że powinienem pić co najmniej półtora litra wody w ciągu doby. Aha, lekarka. Zgadłem: jest profesorem, pracuje także w szpitalu. Ma pacjenta, który powtarza, że się dobrze czuje — nie wie, że ma tylko kilka miesięcy życia przed sobą. „Mówić mu czy nie mówić?” — pytam. W tym przypadku — nie! Ona czasem płacze nad nim, wraz z jego żoną. Pani zgadza się ze mną, że bywają chorzy, którzy chcą się pożegnać, przyjąć namaszczenia. Jedzie z Zakopanego, w Bukowinie odziedziczyli dom z ogrodem, ale jest sopocianką, dobrze zna Wałęsów, podziwia ją, Danutę, wydała bardzo interesującą książkę, „musi pan przeczytać”. Zna też Kaczyńskich, lubiła panią Marię. Rozmawiamy o aktywnych intelektualnie starcach, daję za przykład Grodzieńską i pewnego przyjaciela z Paryża, który mając 102 lata reagował na dowcip (bratanek Boya), nie wymieniam Różewicza, strzegę się, żeby nie domyśliła się mojego zawodu. Kim jestem — ot, ktoś, kto dość dużo wie, chyba historyk. Ja się chwalę moimi wnukami, Tomek ma na mnie czekać na dworcu, Ewa to doktorantka z matematyki, ani słowa, że jest wnuczką Leopolda Infelda. Ona, że jej córka zna osiem języków. O Ewie mówi stanowczo: „Nie wróci!”.

Kiedy pojawiła się tęga, sympatycznie uśmiechnięta kelnerka z baru z herbatą dla pani i z mentosami dla mnie, nie potrafiła odczytać na opakowaniu, ile te mentosy kosztują. „Tu coś jest napisane” — powiedziała. „Tak, KISS ME. To znaczy: pocałuj mnie. Czy to pani wystarczy?” Roześmiała się. Ja: „Może być pięć złotych?”. Tak, wystarczy.

Kiedy żegnaliśmy się z panią profesor, życzyła mi, żebym nadal był w takiej formie, w jakiej jestem.

Na dworcu czeka Tomek, tak jak się umówiliśmy. W domu nastawiamy „Szkło". I widzimy, jak Girzyński krzyczy: „Tusk jest kolaborantem i zdrajcą!". Odpowiada mu Szejnfeld: „Tutaj powinna wkroczyć prokuratura". I że „podłość i nikczemność sięgnęły dna". Tak, coś niesłychanego! Kiedy kibole wrzeszczą „zdrajcy!", to nazywa się ich chuliganerią, zakłócają porządek publiczny, sprawa dla służb porządkowych. Co innego słowa o zdradzie w ustach posła — to już rzeczywiście sprawa dla prokuratury.

Do uchwały skierowanej do rosyjskiej Dumy, która miała domagać się oddania wraku tupolewa, posłowie PiS-u dodali skargę na swój rząd, skargę do obcego mocarstwa, „do cara" — takiej aluzji użył premier. Czy zrobili to specjalnie, żeby uniemożliwić głosowanie własnego projektu — czy z głupoty?

Uroczyste wręczanie medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawanego przez jerozolimski Yad Vashem odbywa się tym razem w senacie, na drugim piętrze, w sali im. Wł. Raczkiewicza. Zostałem zaproszony jako zaprzyjaźniony z ocalonym przez przyjaciela fotografikiem Hanem-Górskim, od lat już nieżyjącym. (U Stelli w Tel Avivie wisiało zrobione przez niego moje zdjęcie, chyba rok 1949!; u mnie wisi piękne zdjęcie zamyślonej Reny). Ratował go Kazimierz Seko — wspomniałem o nim i o jego żonie w *Nie boję się…*, był na moim spotkaniu autorskim w Katowicach, potem ja u nich, chyba na obiedzie. Adam Han-Gorski (już bez „ó"), uratowany jako dziecko przez niejakich Witzów i który poznał swoich rodziców dopiero po wojnie, światowej klasy skrzypek (uczeń Jaschy Heifetza) przytulił się do mnie wzruszony,

obcałowaliśmy się. Poznał mnie ze swoją efektowną żoną Amerykanką, Myrną. Inaugurując uroczystość, p. Adam grał utwór będący wariacją *Kol Nidre*, tragicznej pieśni Sądnego Dnia. Pani Seko, też wzruszona, wyciągnęła z kosza pełnego kwiatów, które dostała, piękną bladożółtą różę, prawie białą, i wręczyła ją mnie. A potem zajęła się mną jedna z organizatorek uroczystości — nie wiem dlaczego spośród licznych zaproszonych akurat mną — czy wyglądam na kogoś, kim trzeba się zaopiekować? a może tak dostojnie? — odprowadziła mnie do windy, zjechała ze mną na dół, przyniosła mi z szatni kurtkę i czapkę, odprowadziła do wyjścia.

Posłałem Hanowi-Gorskiemu i jego żonie Myrnie recenzję z „Clarion Review". Od niej natychmiast nadszedł mail: „*What a wonderful Review!*". Już zamówiła *Nowolipie Street* w sieci „Amazon". (Zarobiłem 20 centów).

„Prezydent został zamordowany" — tak wręcz mówi Antoni Macierewicz. A jego Szef: „To się rozstrzygnie w sądzie. Będą wyroki". Macierewicz przewiduje wojnę z Rosją. Szef tak daleko nie idzie. Chce wygrać wybory, odwołując się do rusofobii, do uczuć nienawiści. „Ohyda" — ocenił Leszek Miller.

Rozmyślania o chorobliwej próżności, takiej, co opanowuje całą osobowość, czyni z paranoika osobistość groźną dla otoczenia. Myślałem o opowiadaniu o człowieku, który ucieka przed własną próżnością, „ucieka przed sobą" — jak mówi — postanowił wieść życie nowoczesnego Robinsona. Nie będzie miał przed kim się popisywać. (Zapomniał o tym, że można się popisywać przed samym sobą). Komórka mu się wyładowuje — nie ma tu gdzie naładować — tłumaczy w pożegnalnej rozmowie żonie. „A łódź? — Zatopiłem".

Czy to opowiadanie, czy sztuka telewizyjna? Bo Robinsona nachodzi ekipa.

A zakończenie? Ląduje jakiś Breivik, zabija Robinsona i zachwycony sobą zawiadamia świat: „Zabiłem! Prześlę wam SMS-em swoje zdjęcie!”.

Próżność broni swojej pozycji. Nie znosi tych, którzy Próżnością gardzą.

W Stołecznej „GW” artykuł *Wibrator pani domu*. Dwie młode kobiety piszą o tym tak, jakby szczytowanie, orgazm — także u mężczyzn — wystarczył dla satysfakcji z życia seksualnego, wszystko jedno jakie, może być mechaniczne, może być masturbacyjne. Partnerstwo, uczucie, potrzeba bliskości, akceptacji, potrzeba kochania — i bycia kochaną — nie ma o tym wzmianki, bez znaczenia. (A co z masochistkami czy sadomasochistami — tym też wszystko załatwi wibrator?). Nie wspominają te panie (nie wiedzą?) także o tym, że onanizujący się — niezależnie od płci — zwykle wyobrażają sobie przy tym kogoś, z kim przeżywają rozkosz. (Zdarza się, że mężatki, zażywając rozkoszy z mężem, wyobrażają sobie, że mają w łóżku tego, do którego naprawdę tęsknią). Rzecz się wyjaśnia: te młode kobiety są właścicielkami sex shopu, rozprowadzają wibratory i inne gadgety (coś, co nazywają „dildo”, pojęcia nie mam, co to jest) — i zarabiają na tym. Czyżby to była zapłacona reklama?

W Teatrze na Woli na uroczystości przyznania Januszowi Tazbirowi Nagrody Literackiej miasta Warszawy. Julia Hartwig zaprasza, żebym usiadł obok niej. Jest z nią, jak zwykle, młoda, miła „panna teatrolog”, chyba odgrywa rolę opiekunki. Pytam Julię, co z Danielą (urodziła się tego samego dnia co mój Maciek, i w tym samym szpitalu). Przyjechała na Boże Narodzenie. „Amerykanka” — mówi Julia z rezygnacją. Nie wiedziała, że Rena zmarła. „Jak sobie dajesz radę?” „Mam dobre dzieci i wnuki”.

Z dawnych laureatów jestem tylko ja. Tazbir, odbierając nagrodę, zebrał huczne oklaski — także dlatego, że opowiedział kilka zabawnych anegdot.

Rozmowa Pawła Smoleńskiego z Tomasem Venclovą. Litewski poeta z zazdrością mówi o tym, jak świetnie sobie układają Finowie stosunki z mniejszością szwedzką. (Zauważyłem to, będąc w 1974 roku w Finlandii; wprowadzili m.in. obowiązkową naukę języka szwedzkiego w szkole, co pozwoliło im się wykręcić od języka rosyjskiego). „Narodowy" kompozytor fiński, mówi Venclova, Sibelius — to Szwed. Mannerheim, generał, który wygrywał na froncie z Sowietami, nie znał słowa po fińsku. On, Venclova, Miłosz, Brodski usiłowali jakoś wpłynąć na porozumienie litewsko-polskie, ale nie bardzo się to udaje. Venclova cytuje powiedzenia Lloyda George'a z 1920 chyba roku: „Wilno to miasto zamieszkane w połowie przez Żydów, w połowie przez Białorusinów; a wykłócają się o nie Litwini i Polacy".

I jak przypis do tej rozmowy wiadomość wieczorna w moim komputerze, coś naprawdę radosnego: tłumacz litewski, Vytautas Dekšnys, zawiadamia, że złożył już w wydawnictwie maszynopis przekładu *Mojego przyjaciela króla*! Przy takim stanie stosunków polsko-litewskich ukazanie się po litewsku książki o królu Rzeczypospolitej Obojga Narodów — to rewelacja! Przesyłam maila tłumaczowi: „Wspaniała wiadomość!".

Kilka dni temu do „Szkła kontaktowego" zadzwonił stary, obłąkany nienawistnik. „Przeczytajcie ostatnią stronę «Naszego Dziennika»! Po upadku samolotu 17 osób jeszcze żyło! Borowcy ich wystrzelali. A potem zabito borowców. Taka jest prawda!" — krzyczał. Opowiedziałem to Mai. Najpierw się roześmiała — i była to reakcja zdrowa — ale potem się przejęła: „Chory naród! Wciąż nienawiść, kłamstwa. Boże!".

Wczoraj w Czytelniku, kiedy Janusz Głowacki samotnie dojadał obiad i przywitaliśmy się, powiedział: „Dawno cię nie widziałem”. „A ja kilka razy wpadałem tu, żeby porozmawiać z tobą o czymś…” „I zapomniałeś o czym”. „Nie, nie zapomniałem, ale tyle się wydarzyło, że to się stało błahe. Chciałem cię zapytać o głupoty Pietrzaka”. Janusz zareagował tak, jak się spodziewałem. I dodał: „Ale co powiesz o Iksie? Zaciekły pisowiec!”. Widzi moje zdumienie. Rozkładamy ręce.

Stwierdziliśmy oboje z Madzią: najprościej powiedzieć, że to przytulisko frustratów. Ale jak może ktoś tak oczytany jak Iks, chyba zawsze racjonalista, nie widzieć, co to „przytulisko” cechuje: nienawiści, ksenofobii, religianctwa, idiotyzmów politycznych, bzdur o „zamachu”. Frustraci, owszem. Ale Iks nie powinien się czuć w dzisiejszej rzeczywistości pokrzywdzony: wydano mu książkę („wybór erudycyjnych zapisków”), dostał nagrodę, jest zapraszany do elitarnych paneli. Ale poczucie krzywdy może odczuwać każdy, także ktoś, kto w oczach innych uchodzi za uprzywilejowanego.

Im bardziej w lata, tym bardziej Márai staje się zaciekłym emigrantem. Musi sobie wciąż udowadniać — jak każdy polityczny emigrant — że dokonał właściwego wyboru. Ponieważ Kassa to teraz Koszyce, atakuje Czechów za przemianę jego rodzinnego miasta. Najwyraźniej Słowacy to dla niego Czesi — właściwie nie odróżnia ich.

Ale zdarzyło mu się też coś takiego: wspominając z sentymentem monarchię Habsburgów, pisze, że ich panowanie roztaczało się nad… Warszawą. Lwów czy Warszawa wszystko jedno, jakieś polskie miasto.

Od kilku dni zajmuję się korektą na wydruku *Nie boję się bezsennych nocy*. Okazało się to bardziej żmudne, niż przypuszczałem. Skończyłem. Nie bez obaw, że jest tam sporo nazwisk, które nic już czytelnikom nie mówią i coraz mniej będą mówić. Nawet dla 40-letniego już dziś czytelnika. Wydrzyński, Galis — odeszli w niepamięć. Degal, Kedar Nath, Barbara Sowińska… Chwilami może się wydawać, że to księga epitafiów. Czyli dla książki, dla mojego czytelnika, jeśli tekst go pociągnie, nie powinno być ważne o kim, ale co, ale jak.

Tomek opowiedział o nowych obłąkanych wersjach „ludu smoleńskiego". Otóż wszystkie ofiary zabito w Warszawie, do samolotu pakowano trupy. Na miejscu podstawiono jakiś lipny samolot. Nie można nawet podziwiać tych fantazji, nie da się ich jakoś zszyć, nie odpowiadają na pytania: kto? po co? w czyim interesie? (Wiadomo, Ruscy — z Tuskiem do spółki).

Wczoraj do „Szkła kontaktowego" dzwonił chyba ten sam nienawistnik co zawsze. No i dobrze, dał pokaz nie tylko nienawiści, ale i ciemnoty, braku elementarnej wiedzy. „Nie będę święcił tej waszej majówki. Pierwszego Maja nie, bo to komunistyczne święto. Trzeciego Maja nie, bo to święto komunistycznej konstytucji, cenzurowanej w Moskwie". (Nie w Petersburgu?). Każdy, komu o tym opowiadam, wybucha śmiechem. Katarzyna jako komunistyczna władczyni! Konstytucja wzmacniająca władzę monarchiczną — jako wytwór komunizmu. Więc Targowica to był sprzeciw wobec komunizmu?… Ale może on w ogóle myśli, że 3 Maja to święto peerelowskiej konstytucji (cenzurowanej na Kremlu), może on nie wie, że był jakiś Stanisław August, Sejm Wielki, Katarzyna? Może dla

niego wszystko zaczyna się od Gierka, a po nim władzę przejmują kolejni komuniści. Aż do Tuska włącznie?…

Maj

Wspomnienia Karla Poppera, *Nieustanne poszukiwania. Autobiografia intelektualna*. Autor znakomitego *Społeczeństwa otwartego i jego wrogów* trzykrotnie spotykał się z Einsteinem w Princeton; rzucam się na to, by zobaczyć wielkiego człowieka z bliska. Ale nic takiego nie ma — Popper nie miał żadnych skłonności do obserwacji, żadnych słabostek reporterskich, każde spotkanie to dla niego spór naukowy: zderzenie zwolennika determinizmu (Einstein) ze zwolennikiem indeterminizmu (Popper). Einstein jako człowiek, jego życie — dla Poppera nie istnieje.

Kilka dni temu oglądałem przez kwadrans jeden z ostatnich filmów o Sherlocku Holmesie. I pomyślałem sobie, że to strasznie niewdzięczna rola. Aktor musi nam pokazać, że Sherlock myśli, i to genialnie, marszczy brwi, wybałusza oczy — i w rezultacie wygląda jak głupiec. A sama akcja — żeby trudniej było zagadkę rozwiązać — zawiła, bo tak chce scenarzysta (nie tak zdolny jak Conan Doyle) — bez sensu.

Ta powieść, o której myślałem, pod kryptonimem „Zastępca”, trochę się rozwija, coś zaczyna się między postaciami dziać. Ale dziś uprzytomniłem sobie, że umieszczenie akcji w roku 1989, w momencie transformacji ustrojowej, dramatycznym dla Zastępcy, oddali ją od dzisiejszego czytelnika, uczyni z niej „pamiątkę minionej chwili”, tyle się od tego czasu zdarzyło, tyle nadziei się załamało, wizji nie spełniło, tak inne są teraz konflikty — i realia, realia też, a może przede wszystkim — komputery, komórki, Internet, inny kontakt z Europą, ludzie inaczej się poruszają, inne

mają ambicje, inne plany. 1989 rok — to tak jakbym pisał powieść o dworku gdzieś w cichej prowincji. Uciekł mi temat? A właściwie — dlaczego tak tego nie pisać? Niech to będzie powieść o ówczesnych pragnieniach, o nadziejach, bohaterowie nie znają przyszłości (choć główną postacią kobiecą jest zawodowa wróżbiarka), czytelnik przyszłość zna, czytelnik po ćwierćwieczu westchnie melancholijnie: „inaczej to wszystko poszło".

Z Mają na obiedzie w Rozdrożu pod zieleniejącymi drzewami. Na zewnątrz kolejka do lodów. Kiedy wychodzimy z restauracji, wciąż ta sama kolejka do lodów. Tylko że stoją w niej już inne osoby. Opowiadam Mai o wspomnieniu Boya, jak po latach niebytności znalazł się ponownie gdzieś na tatrzańskiej hali i zachwycił się: wszystko to samo, jak wtedy gdy bywał tu ze swoim kuzynem Tetmajerem — niebo, hala, „ten sam kierdel owiec". I po chwili uprzytomnił sobie: to były i n n e o w c e. Opowiadam Mai o znakomitej mikropowieści Emmanuiła Kazakiewicza: *Gwiazda*. Po roku nieobecności w jednostce, narrator, korespondent wojenny, znów towarzyszy temu samemu batalionowi saperów. I uświadamia sobie, że to inni żołnierze — pod tym samym numerem batalionu. Tamtych, których znał, już nie ma. Między wymianą osób w kolejce po lody a zarżniętymi owcami — i saperami, którzy polegli — jest na szczęście różnica. Wszystko płynie — ale tym razem miło i optymistycznie.

„Skleroza" — powiedział Máraiemu lekarz o L. „Miażdżyca" — tak określił stan Reny geriatra. Stronice o chorobie L., o jej omdlewaniu, padaniu, konieczności podnoszenia jej — czytałem ze ściśniętym sercem. Chwilami tak to przypominało Renę, jej padanie, moje wysiłki, by ją podnieść.

Ale miałem lżej niż on, Márai. Rena nie omdlewała, osuwała się, padała, ale była przytomna. L. głucha i ślepa, nic nie mogła pomóc, on sam, Sándor, prawie oślepły, z trudem się poruszał. Ja wciąż silny, nawet Rena to zauważyła. Ale zbieżności i tak nie brakuje. Szpital nie chce L. wypuścić, trzeba jej zapewnić „profesjonalną opiekę” (oczywiście wysoko płatną). Ja też zgodziłem się na „profesjonalną opiekę” w Legionowie. I tam w ciągu kilku dni — zmarła. Wciąż wraca do mnie myśl, że pod moją „nieprofesjonalną”, ale czułą, wnikliwą opieką nie dostałaby zapalenia płuc, jeszcze by żyła.

Czasami i L. odzyskiwała jakąś półprzytomność. Nagle przerywała milczenie, żeby powiedzieć Sándorowi: „Uważaj, żebyś nie trafił w złe towarzystwo”.

Jego uwaga: „J e s t b a r d z o p i ę k n a, piękno przemijania jest czasami bardziej przekonywające niż młodość, piękno pełnej, triumfalnej kobiecości”. Mogę się tym zdaniem zachwycać, ale wolę go nie komentować. Tak ją widział, na wpół ociemniały, tak zapisał w swojej księdze i tak niech zostanie.

W grudniu 1985 zapisuje: „Odraza i wstyd, kiedy myślę o «pisaniu». P i s a ł e m d l a n i e j każdą linijkę. Dziś nie ma dla kogo pisać. To zaskakujące”.

Tego też wolę nie komentować. Tak on sobie to wyobrażał w ostatnich jej dniach — i w ostatnich swoich latach. Tak zapisał. I tak to w księdze zostanie.

Ściągnąłem z półki tom w wydaniu Ossolineum: Sainte-Beuve *Wybór pism krytycznych* — w opracowaniu Anny Tatarkiewicz. Dobre, treściwe, kompetentne. Okazało się, że przed laty ten tom czytałem, są moje podkreślenia. Sainte-Beuve zachwyca się Stendhalem (którego z uporem

nazywa „Beyle” — jego pseudonim, „teutoński”, uważa za dziwaczny), tak, zachwyca się, ale jako przewodnikiem po Włoszech i sztuce w ogóle. Z przekąsem pisze o powieściopisarstwie Stendhala: *Czerwone i czarne* — nie wiadomo, co oznacza tytuł. Julian — głupi, prymitywny oszust, kończy (słusznie) na szafocie. (Czytałem *Czerwone i czarne* po rosyjsku, w Samarkandzie, podczas nocnego dyżuru w komendzie obrony „przeciwlotniczej” — był taki rytuał, dyżur nocny, jak w każdym mieście, mimo że Samarkandzie nie mógł grozić nalot — czytałem z zachwytem). Zdaje się, że S.-B. nie podobało się polityczne, niemal partyjne zaangażowanie powieści. Nie ma też wiele dobrego do powiedzenia o *Pustelni parmeńskiej*. Miłość księżny Sanseverіny do siostrzeńca jest wymyślona, niemożliwa, podobnie hr. Moska, premier. Bitwa pod Waterloo — tak, to niezłe, przemieszanie wspomnień p. Beyle’a z bitwy pod Marengo, w której brał udział. Sainte-Beuve zna artykuł Balzaka, w którym ten zachwyca się *Pustelnią parmeńską* i list wzruszonego tym artykułem Stendhala. Ale Balzac krytyka nie przekonał, nazwał jego artykuł „bombą przesadnych pochwał” i, wg przypisu tłumaczki, „sugerował niesłusznie, że artykuł ten był opłacony przez Stendhala”. Przyznaje wielkodusznie S.-B.: „Powieści jego, jakie są, takie są, ale nie są gminne”. (Może warto dodać, że w tym czasie, kiedy Stendhala we Francji jeszcze nie ceniono, w Polsce znalazł się czujny profesjonalista, który go zauważył i napisał o nim szkic — był to Józef Ignacy Kraszewski).

To, co krytyk u pana Beyle’a chwali, czyli jego artykuły podróżnicze, strony poświęcone sztuce włoskiej, chyba rzadko ktoś dziś czyta. Czyta się wciąż (mam nadzieję) jego dwie lekceważone przez S.-B. powieści, także inne książki: *Pamiętnik egotysty*, *Armancja*, *Życie Henryka Brulard*, *Lucjan Leuwen*, *Kroniki włoskie*, szkice *O miłości* (których za życia autora

sprzedano 20 egzemplarzy). Być może na popularność dwóch wielkich powieści Stendhala wpłynęły filmy — kreacje Gérarda Philipe'a.

A o samym Sainte-Beuvie mało w Polsce kto wie. Klasyka francuska nie ma dziś wzięcia. Nie ma na nią snobizmu. Zainteresowanie zdążyło objąć jeszcze Camusa. Prezenterzy telewizyjni francuskiego nie znają — nie wymaga się od nich tego najwidoczniej. Francuskie nazwiska często wymawiają z angielska.

A jednak Sainte-Beuve na półkach polskich bibliotek istnieje — jako postać literacka. Bo jest książka André Maurois o Wiktorze Hugo, chętnie czytana — i w niej S.-B. żywy, zakochany w żonie wielkiego pisarza, nienawidzący go, cierpiący, jadowity. Czasem szczęśliwy.

Tomek zwrócił wczoraj dwa tomy *Mimesis* Ericha Auerbacha (tłum. Zbigniew Żabicki). Pamiętam z tego dzieła piękny, niemal sentymentalny szkic o Montaigne'u, z którego z rozkoszą skorzystałem. Będę po te szkice sięgał podczas bezsennych nocy.

Noce nie były jednak tak bezsenne, bym musiał zaglądać do Auerbacha. Przeczytałem szkic pierwszy: *Blizna Odyseusza*, gdzie ciekawe jest porównywanie narracji Homera z narracją biblijną (Starego Testamentu) — „Elohisty", taką nazwę stosuje wobec domniemanego autora Auerbach — z opowieścią o ofiarowaniu Izaaka, które Bóg w ostatniej chwili powstrzymał. Auerbach na pisarstwo „Elohisty" patrzy podobnie jak ja w *Dzienniku*, kiedy szykowałem się do *Pingpongisty*, w notce: „Co czyta Ksiądz?".

Dzisiaj będę podpisywać książkę na stoisku Stowarzyszenia Pisarzy. W specjalnym dodatku „GW" informacja, że „Józef Hen będzie

podpisywać książkę *Mój przyjaciel Idzi*”.

Ten, kto to składał, czyta książki i pamiętał tytuł tomu Kopalińskiego.

Beata C. telefonuje, by podzielić się wrażeniami z wycieczki na Białoruś. Jest zadowolona, przewodnicy na poziomie, opowiadają o partyzantce żydowskiej pod Nowogródkiem. W miesięczniku „Pani” natrafiła na świetną notatkę o opowiadaniach. „I twoje zdjęcia — piękne!” Przesada. Wyglądam na nich młodziej, niż mam lat: nie na 88, ale na 80. Szczeniak, rzec można.

Do Pałacu, na kolejny dzień podpisywania, najpierw w Iskrach, później u p. Grupińskiej; przywożą mnie z półgodzinnym opóźnieniem, co ma swoją dobrą stronę: kilka osób czeka w kolejce. Opowiadam komuś, że Wojtek Żukrowski miał taką metodę: każdego amatora podpisu o coś rozpytywał, wymieniał uwagi i w ten sposób tworzyła się kolejka — coś dla mediów. Ja taki przebiegły nie jestem: podpisuję błyskawicznie i robi się pusto.

Przyszło dwóch panów bez książek, chcieliby podyskutować. Jest młody ambitny krytyk literacki z Przemyśla, Przemek, pytam: „Już po maturze?”, „Nie, jeszcze dwa lata”. Jest młodziutka panienka, która kupuje *Króla*, pytam: „Liceum?”. „Druga gimnazjalna”. „W drugiej gimnazjalnej miałem trzynaście lat. A ty?” „Też trzynaście”.

I przyszedł mężczyzna ze szpakowatą bródką, przedstawił się: Ogonowski. Ach, pamiętam, dostałem od tego czytelnika miły list. Przyszedł podziękować za moją odpowiedź. „Że też pan to zrobił…” Uważa, że to coś niezwykłego. Nie wiem, co odpowiedzieć. Kiedy piszę list, nie przychodzi mi do głowy, że adresat może się poczuć

„zaszczycony”. (Tak, ten mój list do p. Ogonowskiego — sprawdziłem to przed chwilą — pisany jest na luzie, właśnie jakbym z kimś rozmawiał).

Pani Grupińska sprowadza mnie na dół do swojego stoiska, mam podpisywać *Twarz pokerzysty.* Jest pan Rafał, jej mąż, i córka, Antosia, chyba dziewięcioletnia, która ze skupioną miną odnotowuje sprzedaż i w ogóle bardzo zaaferowana, świetna zabawa w sklep — i to autentyczny!

Już piąta po południu, przerzedziło się w korytarzach, kiedy zasiadłem na stoisku W.A.B. Jednak „sesja” była interesująca. Czasem zjawiał się ktoś, kto *Szóste, najmłodsze* kupił dawniej. Małżeństwo z dwiema córkami: wczoraj tata czytał im na głos opowiadanie *Bokser i śmierć* — straszne napięcie, musiał przeczytać do końca — i jaki film można by zrobić. „Był film. Słowacki”. „Ale go nie wyświetlano”. „Wyświetlano. Ale pana nie było jeszcze wtedy na świecie”.

Poznaniak, który ma zamiar wydać almanach, będzie w nim opowiadanie *Człowiek, który miał powiesić Greisera* — czy to opowiadanie jest w tym tomie? Jest. Dla niego najważniejszą moją książką jest *Montaigne*.

Nauczycielka francuskiego, była na moim wykładzie w Akademii Teatralnej (o Stanisławie Auguście). Nazywa się… Szymborska. Żadnego pokrewieństwa. Podpisuję. Zainteresował ją *Dziennik na nowy wiek,* w którym podobno jest sporo teatraliów. Wraca do mnie z kupionym egzemplarzem, śmieje się: „Otworzyłam w byle jakim miejscu — i co widzę? Jest o Szymborskiej!”.

Po zakończeniu podpisywania troje młodych ludzi prosi mnie o wywiad dla swojego portalu. Redaktor, który będzie ze mną rozmawiał, dziwi się, że nie odmówiłem. Ja: „Muszę coś robić, żeby zaistnieć”. On, jeszcze bardziej zdziwiony: „Pan nic nie musi robić”. (Jeszcze raz stwierdzam, że mam kłopot ze sobą. Nie doceniam, mówią, osiągniętej pozycji. Ale to ja mam rację: wszystko jest takie względne…).

Przyjeżdża po mnie z Radia p. Sielicki, adaptator *Długiej, chyżej łodzi*. Mam nagrać dwa fragmenty z *Nie boję się bezsennych nocy* tyczące snów, p. Sielicki je znalazł, wejdą do słuchowiska jako głos autora.

Jest już Franciszek Pieczka, ucieszyliśmy się z tego spotkania — on będzie Czarownikiem, świetnie.

Chyba dobrze to odczytałem, starałem się nadać intymny ton, jakby zwierzenia, odkrywania dziwności, reżyser (p. Modestowicz) był zadowolony, Pieczka powiedział: „Szedł pan jak burza". Czy to znaczy, że dobrze, czy że szybko?

Tomek przyniósł powiększone zdjęcia Reny, m.in. to jedyne z Nawarii. Jaka piękna! Jaka inna od tych nawaryjskich koleżanek! Opalona, śniada, uwodzicielsko się uśmiecha. Popatrz, mówię do swojego wnuka (deprawując jego niewinną duszę), dziewczyny umieją się uśmiechać na zawołanie. „Proszę o uśmiech" — mówi fotograf. Ja się wykrzywiam, a dziewczyna zawsze się uśmiechnie. Każdy aktor ci powie, że śmiech jest trudniejszy od płaczu. Dziewczyny umieją to zagrać.

Tak zwane media wytykają posłowi Niesiołowskiemu, że źle potraktował namolną dziennikarkę, przegonił ją. I nawet premier (który akurat przebywał w Kanadzie) ma żądać od niego, żeby tę nachalną wydrę przeprosił. Jakby zapomnieli, że to żadna „dziennikarka" wykonująca swój zawód, ale bezczelna propagandystka jednej partii (co zauważył, bodaj jedyny, Wojciech Maziarski), pracująca *pour le roi de Piss*. Prowokacja jej się udała. Jej partia żąda głowy Niesiołowskiego, robią z igły widły. Sprytne chłopaki, sami nie wierzą w to, co wygadują. Potępiając język

premiera, zapominają (świadomie oczywiście), że w telewizji nazwali Tuska „kolaborantem i zdrajcą”.

Wczoraj obiad u Madzi. Łączy się z nami z Dartmouth Ewa. Bardzo stęskniona za domem. Ma dużo roboty, ale skarży się: „Nie mam motywacji”. Ja na to, że „my cię wspieramy i czekamy na dobre wyniki”. Jej tata: „No widzisz, masz motywację”.

Tęgi taksówkarz, któremu opowiadam o cudzie, jakim jest kontakt skypowy z wnuczką w Ameryce, mówi: „Panie, to jest tylko wierzchołek góry lodowej. Amerykanie po cichu już osiedlają inne planety. Mają tam kolonie! I to poza naszą galaktyką”. „Ojej, to strasznie długa podróż”. „Kilkadziesiąt razy szybciej od szybkości światła”. Mają więc odpowiednie pojazdy. I wszystko w tajemnicy przed nami… Wiara w amerykańską wyższość techniczną pomieszana z pewnością, że świat jest przez tych podłych kapitalistów oszukiwany. Czy to nie ktoś od teorii spiskowych? Nie, to nie to! Bo kiedy mówię, że czułem zazdrość, gdy zobaczyłem po raz pierwszy ludzi szybujących na paralotniach, i pomyślałem, że mogły one być i tysiąc lat temu, szybowce też, on od razu, z gniewem w głosie: „Kościół nie dopuszczał!”. To dlaczego rowery nie zostały skonstruowane w XVIII wieku, skoro były już mechaniczne maszyny tkackie. Bo jeszcze mentalność nasza, mówię, do nich nie dojrzała.

Telefon do Różewicza. Nie wychodzi z domu, bo we Wrocławiu temperatura sięga +40°C. Lekarka powiedziała, że dla starszych ludzi to niebezpieczne. Noce są zimne — może być szok termiczny. Pyta, jak się czuję, jak sobie radzę.

Kaczor ogłosił, że zawiesza walkę polityczną na czas piłkarskiego Euro. I że kibicuje drużynie narodowej i tylko tej. Sukces piłkarzy będzie wspólnym sukcesem. Wytłumaczono mu widocznie w ostatniej chwili, że wezwanie do bojkotu turnieju piłkarskiego zostanie w społeczeństwie źle przyjęte. Jego młodzi zaufani pomagierzy komentują to mocniej — obaj tak samo, więc to uzgodnione — „nie pozwolimy Tuskowi s p a p r a ć święta piłkarskiego". Cynizm zatykający dech w piersiach.

Tusk, brawo, nie polemizuje z bredniami i chamstwem. Może kiszki w nim się przewracają, ale nie ujawnia tego. Niepotrzebnie dziś powtórzył, że Niesiołowski powinien przeprosić „dziennikarkę" Ewę Stankiewicz. Dodał, co prawda, że ma teraz poważniejsze sprawy niż rozmowa z Niesiołowskim.

Wahałem się, czy iść na spotkanie (promocję książki) Wiktora Osiatyńskiego w Trafficu. Wyszedłem z domu, nie najlepiej się czując. Pamiętaj, mówiłem sobie, ile masz lat. To wiek, który rzadko kto osiąga. (Właśnie zmarł Bolesław Sulik, 83 lata. Pamiętam, jak zajął się mną, przez sympatię, bez obowiązku, w Londynie w r. 1978, zaprowadził mnie do BBC, to była jego inicjatywa). Wzmocnię akcję serca glucardiamidem. Stałem przez chwilę niezdecydowany. Powiedziałem na głos: „Nie daj się" — i ruszyłem w stronę Pięknej, do przystanku autobusowego.

Warszawa świętuje upał. Wszystkie chodniki Nowego Światu zastawione stolikami. Dużo tych stolików i na Chmielnej. Sporo cudzoziemców. Nowy Świat — to ich trasa spacerowa. Od Zamku, hoteli aż po Aleje Jerozolimskie.

Odpuściło. W Trafficu windą na trzecie piętro. Jest komplet uczestników, dostawia się krzesełka. Irena Kowalik postarała się o krzesełko i dla mnie. Na scence z Wiktorem tylko Uchański. Osiatyński, jakby powtarzając za

Montaigne’em i Proustem, uważa, że nie można zawsze potępiać kłamstwa, bywa użyteczne — i mówienie (co dla niektórych uszu mogło zabrzmieć bluźnierczo), że „tylko prawda” — „to bzdura”.

Białym volkswagenem do Falenicy — na spotkanie poświęcone promocji „linii otwockiej”. Czytałem fragmenty *Nowolipia* o wakacjach w Michalinie. Architekt, który zajmuje się rejestracją ocalałych drewnianych budynków, zwykle z werandami, zwanych żartobliwie „świdermajerem”, domagał się ratowania „zabytków”, według jego określenia, których jest na całej linii około sześciuset. Powiedziałem na zakończenie imprezy, że my w Michalinie czy w Świdrze pojęcia nie mieliśmy, że mieszkamy w zabytkach. (Co sala przyjęła dobrze). Żeby te budynki stały się „zabytkami”, trzeba było wymordować mieszkańców, a budynki rozebrać.

Był taki film Michaiła Romma, dokument nakręcony po wojnie, *Zwyczajny faszyzm*. Wspomniałem o nim Tomkowi i dodałem, że najbardziej zapamiętałem humorystyczne zdjęcia dygnitarzy hitlerowskich: zawsze gdy stoją uroczyście, sztywno, zasłaniają dłońmi swoje genitalia. Jakby się o nie obawiali.

Nie wiem, czy tytuł felietonu Janusza Andermana *Zwyczajny faszyzm* to przypadkowa zbieżność, czy też autor świadomie nawiązywał do tamtego filmu, w pewnym okresie niemal kultowego. Rzucam się zawsze na felietony Andermana, ponieważ on rejestruje, przytacza apokaliptyczne brednie i podłości, które mnie sprawiają masochistyczną rozkosz. Nie do uwierzenia, co w pisuarach się wypisuje! I to bez reakcji premiera, może to mądrze z jego strony.

Słowa ich przywódcy, że „chamstwo” Tuska jest „na poziomie marzeń Adolfa Hitlera o Polakach”, „rozwinęła twórczo” „Gazeta P.C.” uwagą, że

„przeciwnicy obecności krzyża na Krakowskim Przedmieściu” przypominali „zajadłość bojówek SA”. „Jerzy Jachowicz (…) zwrócił uwagę na podobieństwo charakterologiczne Donalda Tuska do przywódcy III Rzeszy”. „Oskarżanie opozycji o zdradę — relacjonuje Anderman — jest tym samym, co «sprawność Führera w oskarżaniu przeciwników politycznych czy Żydów o najgorsze zbrodnie…»”. Nacisk Tuska na PR, relacjonuje Anderman, „przypomina (…) ministerstwo propagandy Goebbelsa”. Tusk wspiera złodziei — „tym samym biernie (jednak biernie — nie czynnie, J.H.) staje się złodziejem”. Ale oni mają nadzieję, że to się zmieni, że teraz będzie inaczej niż ostatnio, kiedy „większość wyborców (…) głosowała na hochsztaplerów lub ludzi wysługujących się Moskwie bądź Brukseli”.

Dosyć tego. Nie należy nadużywać rozkoszy.

Czerwiec

Madzia od wczoraj w Egipcie. Odlot był o piątej nad ranem. Tej nocy obudziłem się o drugiej. Postanowiłem już nie spać. Herbata, telewizja. Film *Syreny* z Cher i Winoną Ryder (nieuświadomioną córką; obawia się, że jest w ciąży, bo się całowała z chłopakiem — chyba to przesadna „niewinność”). O trzeciej dzwonię do Madzi. Potem dzwonię jeszcze, żeby nie zapomniała komórki. Jestem nieuleczalny i być może irytujący. Przed piątą od niej telefon: „Jestem już w samolocie. Wszystko w porządku”. Ale i tak długo nie mogłem zasnąć — mimo uspokajających lektur. Zwariowana noc.

Po dziesiątej Madzia: „Jestem już w autokarze”. Wieczorem: „Wszystko w porządku. Idę spać”.

Przed chwilą mail od Madzi: spała 14 godzin. „Grupa na poziomie — to ludzie, którzy uciekli przed piłkarskim EURO. Zaraz idę na plażę”. Jutro jadą do Luksoru i Teb. „W hotelowej TV rosyjska Jedynka i TV Polonia”.

W rozmowie telefonicznej z redaktorem M., który chciał, żebym napisał dla jego czasopisma kilka stronic o Stanisławie Auguście, jakoś zeszło na osobę J.M. Rymkiewicza, autora książki *Wieszanie*, z którą, twierdzi redaktor, musi się liczyć. Jego sprawa — ja nie muszę. Przytaczam, co o synu Rymkiewicza, filozofie Wawrzyńcu, napisał w „Polityce” Passent. (Był to miły chłopczyk, Wawrzek, czasem do stolika czytelnikowskiego przyprowadzał go tata, ulubieniec Szymańskiej, on także wówczas wydawał się miły). Otóż ten niegdyś miły chłopczyk, teraz tłumacz i znawca Heideggera (nigdy go nie lubiłem i nie mogę wybaczyć Hannie Arendt, że z nim sypiała), twierdzi — przytacza Daniel — że „żyjemy w Polsce porozbiorowej”, „zepchnięci do roli kolonii albo granicznej prowincji imperium”. Passent stwierdza, że heideggerysta W.R. „należy do szkoły filozoficznej PiS”. „Judasz został autorytetem moralnym”, orzeka filozof. A skoro tak, to „taka jest logika symboliczna — ręka zostanie podniesiona przeciw Chrystusowi”.

Relacja Passenta z dyskusji w „Teologii Politycznej” przypomniała mi fragment rozmowy w „Rzepie” z p. Ewą Stankiewicz, tą „bezideową” dziennikarką, którą miałby przeprosić Niesiołowski. Powiedziała w nim, że „żyjemy w Polsce w niewoli”; red. Mazurek, bardzo stanowczy prawicowiec, ale przy zdrowych zmysłach, powiedział, że on nie czuje się, żeby był w niewoli; na co p. Stankiewicz: „To pan ma wyjątkowe szczęście”.

Telewizja BBC nadała film, w którym pokazuje rasizm i antysemityzm w Polsce, rozwydrzenie kiboli i ich bezkarność. Zrobiła się awantura — rasizm jest wszędzie, awantury są wszędzie, w Wielkiej Brytanii też. Wojciech Maziarski dziękował wczoraj BBC za poruszenie tej sprawy: nareszcie się o tym mówi. Tak, mogę dodać — rasizm i rozwydrzenie są wszędzie, ale w Polsce są bezkarne. I w Polsce jest radiostacja nienawiści („miłości bliźniego"), wspierana przez część biskupów. Na tym polega różnica. I na tym polega niebezpieczeństwo.

W polskim świecie politycznym — i mediach — burza, bo Obama, mówiąc o Janie Karskim, wyraził się, że informował o „Polish death camps". Przeczytał z promptera, ale myślę, że i on, i ci, co to napisali, wiedzą, że te obozy śmierci (zagłady) nie były polskie, tylko na terytorium polskim. Leszek Miller nawet palnął — dziwne jak na tak doświadczonego polityka — że Rotfeld powinien był, „na znak protestu", nie przyjąć wręczonego mu dla Karskiego odznaczenia. Amerykanie — i także sam Obama — wyrazili „ubolewanie" (regret), ale w Polsce żąda się słowa „przepraszam" i żeby Obama nie w liście, ale sam, osobiście przepraszał. Funkcja słowa „przepraszam" jest inna w polszczyźnie, inna w angielszczyźnie. „I am sorry" (na ulicy „sorry" — tu, jak się kogoś potrąci, w obu językach funkcja podobna) — to nic wielkiego. „Ubolewanie", „żal" w języku dyplomatycznym znaczą więcej.

Pan W., były wiceminister w rządzie PiS, ten, który wykrzykiwał dramatycznie: „Nie zabijajcie nas!", powiedział, że jeśli chodzi o gafę Obamy, nie jest tu wykluczony wpływ… Żydów. Mimo wszystko wydawało mi się, że ten pan, aspirujący do pewnego poziomu, takiej obsesji jest akurat pozbawiony. Jak to nic nie można wiedzieć….

Przypomniałem sobie w nocy, że nie odnotowałem promocji książki p. Wolańskiego o Eugeniuszu Bodo. Odbyła się tydzień temu w kinie Atlantic późnym wieczorem. Bywałem w tym kinie przed wojną, ale rzadko, bo było drogie, „zeroekran", 1 zł 09 gr — dlatego 9 groszy, a nie dziesięć, bo od 1 zł 10 groszy było wyższe opodatkowanie. Z tego samego powodu w tych tanich kinach, do których chodziłem, Promień, Riwiera, Maska, bilet kosztował 54 grosze. Co irytowało mojego tatę, bo uważał, że 50 groszy na kino całkiem by wystarczyło. Mirka, która rozporządzała taty bieżącą kasą, zawsze mi podsuwała ile trzeba.

Siedziałem obok p. Andrzeja Kotkowskiego, który miał film o Bodo reżyserować. Zostałem zaproszony do zabrania głosu (jako autor nienapisanego scenariusza), powiedziałem, że cieszył mnie ten temat, miałem podpisaną umowę, napisałem nawet kilka epizodów, ale musiałem urwać, bo producent, pan z Kalifornii, chciał wytrzasnąć od instytucji państwowej pieniądze na koszty scenariusza, co mu się nie udało. Dzięki temu niepowodzeniu zyskałem czas na napisanie *Mojego przyjaciela króla*. Wspomniałem też, że moim zdaniem do tragicznego losu Boda (autor książki odmienia „Body", niby prawidłowo, najlepiej chyba w ogóle unikać odmieniania) przyczynili się urzędnicy Ambasady Polskiej w Kujbyszewie, którzy zamiast upomnieć się u władz radzieckich o „wielkiego polskiego aktora" (co po umowie Sikorski–Majski było możliwe, nawet naturalne), przysłali mu kwestionariusz do wypełnienia. Podejrzewam, powiedziałem, że uznali go za „kolaboranta", jeździł z orkiestrą Warsa po ZSRR i prowadził konferansjerkę po rosyjsku. Skoro Polacy się o niego nie upomnieli, to dla Rosjan ze swoim szwajcarskim paszportem był podejrzany. Byłem tam wtedy, w tych innych czasach, włóczyłem się po Związku Radzieckim bez dokumentów i nikt mnie nie aresztował, nie

oskarżał o szpiegostwo (przedtem to się zdarzyło, patrz *Najpiękniejsze lata*). Zdaje się, że słowa „byłem tam wtedy” zrobiły wrażenie.

A to niespodzianka! Gdzieś koło południa dzwonek do drzwi: doręczyciel trzyma dużą i ciężką paczkę. „Z W.A.B.? — Z USA” — odpowiada ten wysoki, chyba 30-letni mężczyzna. Podpisuję, daję zasłużony napiwek i mówię: „Dla mnie to wielka radość. — On, jak człowiek dużej kultury, z uśmiechem: — Dzielę z panem pańską radość”.

NOWOLIPIE STREET już w domu! Książka w kartonowej okładce, pięknie wydrukowana, niedroga: 16 dolarów. Jest i dedykacja: *For Ewa and Tomek.*

Szukam miejsca na półce, żeby wzbogacić ją przekładem angielskim. (Poprzednio po angielsku było tylko opowiadanie *Bokser i śmierć* w „Literary Review” uniwersytetu Dickinson i *Western* w almanachu The Mainstream).

W „Wyborczej” artykuł Pawła Smoleńskiego: *Wszyscy moi ukochani Żydzi* — tekst chyba w zamierzeniu, wobec tego co modne, przekorny: dobrze o Izraelu. Zapowiedź jego książki: *Balagan*. Ciekawe, czy zna źródłosłów tego słowa. Przed laty we Wrocławiu opowiadałem o nim prof. Miodkowi, był wdzięczny: „Czegoś się dowiedziałem”. „Gan” to ogród, biblijny raj to „Gan Eden”. „Baał-hagan” to po hebrajsku „właściciel ogródka”, „bałaganczik” — tak nazywano w Rosji teatrzyk ogródkowy. Paweł Smoleński podaje, że to słowo „balagan” przeszło do współczesnej hebrajszczyzny dzięki polskim pionierom — może i tak, ale najpierw przeszło do polszczyzny ze strzępów hebrajskiego, którym posługiwano się w diasporze.

Janusz Majewski pamięta ze Lwowa słowo „bałagulcy”, tak nazywano rozhulanych młodziaków. Tadeusz Bobrowski (wuj Conrada) w pamiętnikach pisze, że rozwydrzoną szlachecką młodzież nazywano „bałagulszczykami”, ale nie wydaje się, by wiedział, że słowem „bałaguła” Żydzi określali zawodowego furmana, przewoźnika. „Baał” — wiadomo, właściciel, pan, nawet (w pogaństwie) bóg, a „guła” to wóz.

Rano dzwoniła z Krety Nika. Opowieść o sytuacji osobistej Anastazji, jej córki. Jej dziecko (dwa i pół roku) jest faszerowane czterema językami: grecki (Anastazja, jej matka i dziadek Yannis), angielski (to ona, babcia Nika), włoski (ojciec i babcia Włoszka, potworna „mamma mia”) i polski (gosposia). „Brak tu hebrajskiego” — mówię, bo Nika ma obywatelstwo izraelskie. „Tak, wiem, ale nie ma gdzie go wcisnąć”.

Obudziłem się przed siódmą. Herbata. W telewizjach informacje i kontakt z widzami, jakby były to głupie przedszkolaki. Kto nie jest jeszcze zdziecinniały, prezenter postara się, by był, i widać, że jest zadowolony z siebie, ze swojej swady, ze ściąganiem poziomu do zabawy międzylekcyjnej. Ma być w EURO mecz Polska–Czechy. „O wszystko” — mówią. Wątpię, by Czesi tak samo się w związku z tym meczem wygłupiali. Wygrają, przegrają — to nie jest katastrofa narodowa.

Spikerka całkiem poważnie, bez uśmiechu, mówi, że mecz z Czechami może mieć „znaczenie historyczne”. Co w tym będzie „historycznego”? Że Polska po raz pierwszy wejdzie do ćwierćfinału mistrzostw Europy. Całkiem serio! Można rzec, że ambicje historyczne tej pani są niezbyt wielkie: ot, ćwierćfinał.

Media świadomie rozgrzewały emocje, przedstawiały mecz z Rosją jako wojnę polsko-rosyjską, co usprawiedliwiało kiboli, bronili honoru Polski

przed „najazdem rosyjskim”, „ratowali honor Polaków”, jak oznajmił pewien radny warszawski.

Kibice irlandzcy nie przejęli się jakoś wysoką porażką swojej reprezentacji z Hiszpanią (0:4), uśmiechnięci bawili się razem z Hiszpanami — po to tu przyjechali, na zabawę i piwo, które okazało się dwa razy tańsze niż w Irlandii.

Przed drugą po południu spotkanie z Agnisią S. w kawiarni na ulicy, na rogu Nowego Światu i Foksal. Ona, spóźniona — jak na piękną kobietę przystało — przyjechała taksówką. Wygląda prześlicznie. Ona: „Jeszcze parę lat”. Nie, wygląda lepiej niż kilka lat temu. Ma problemy do rozstrzygnięcia — boi się podjęcia decyzji. Prosiła, żeby o rodzaju tych problemów nie było nic w moich zapiskach. Więc nie będzie. Nalega, żebym ofiarował jej — z czułą dedykacją — *Nowolipie Street.* Chce to przeczytać po angielsku.

Taksówkarz, tęgawy facet o dużej łysej głowie, zaczyna niespodziewanie mówić, jakim wspaniałym wynalazkiem jest rower. (Ja: „Tak. Ale mógł być skonstruowany dwieście lat wcześniej”). A teraz są takie na trzy biegi, leciutkie, bo nie ze stali, rama ceramiczna. Radzi mi kupić sobie trzykołowy rower z silnikiem elektrycznym. „Gdybym ja był premierem — mówi — skończyłoby się z kupowaniem ropy!” Takie to fantazje objawiają ludzie, których nikt by o to nie posądzał.

Pani Krystyna Boron przysyła mail ze Stanów, w którym pyta, czy może przekazać mój adres elektroniczny panu generałowi Rowny. Załącza jego list z biografią. Nie podaje daty urodzin, ale sądząc z biografii ma co najmniej 95 lat. Jego ojciec urodził się w Polsce, on sam, mając lat 19,

studiował przez rok w Krakowie. I zaraz wstąpił do wojska (amerykańskiego). W roku 1936 był w Berlinie w mundurze wojskowym podczas igrzysk olimpijskich. Wystąpił z wojska w stopniu generała lejtnanta. Potem był doradcą Reagana i prowadził z jego ramienia pertraktacje rozbrojeniowe z Kremlem. „Był jedną z najważniejszych postaci w otoczeniu Reagana” — przypomina sobie Madzia. I ten człowiek chce teraz ze mną korespondować — nie wiem po co. Sądząc po recenzjach z *Nowolipie Street*, pisze do p. Krystyny, książka jest świetna, on ją sobie kupi. (Znowu zarobię 20 centów).

Taksówką na Czerską, do Agory, tam odbędzie się spotkanie z Tatianą Kosinową, autorką książki *Polski mit. Polska w oczach sowieckich dysydentów*, która wyszła w Polsce nakładem Biblioteki Nowej Polszy. Pani Kosinowa jest młoda, chyba nie przekroczyła czterdziestki, o „polskim micie” dowiedziała się, robiąc wywiady z dawnymi opozycjonistami. Przeprowadzając wywiady, uczyła się od swoich rozmówców historii. Omawiają książkę Andrzej Friszke i Piotr Mitzner. Pytają, czy był jakiś wywiad, który nie wszedł do książki. Tak, L. nie chciała go autoryzować. Autorka zamierzała przytoczyć jej wypowiedzi z lat pięćdziesiątych, kiedy była zaciekłą komunistką, i L., później zaciekła antykomunistka, nie chciała, by je przypominano. (Życie lubi pewne schematy, stale się to obserwuje: można zmienić front, przejść na drugą stronę, ale charakter się nie zmienia — jeśli ktoś był zajadłym, to nadal będzie zajadłym, nigdy do mądrości nie dojrzeje, coś z tego uwzględniłem w *Odejściu Afrodyty*). Pamiętam, że w czasach gdy była młodą aktywistką, jej mąż, młody chłopak, również zajadły aktywista, skarżył mi się, że stale chodzi głodny, w domu nigdy nie ma nic do jedzenia. Rozwiedli się. A ona, która mogła się

podobać, wyszła za liryka, łagodnego młodzieńca, także po rozwodzie, zapewne skuteczniej starającego się o zaopatrzenie domu.

Tuż po dziewiątej rano nieoczekiwany telefon: Monika. Z dobrą wiadomością: dzwoniła do niej p. Nyczowa — Wyd. Literackie, chce wznowić *Nikt nie woła*. „W przyszłym tygodniu przyślemy ofertę, będziecie z niej zadowoleni".

Mail od p. Krystyny, że gen. Rowny przysłał jej nagrany dysk, absolutnie nieczytelny. Może ma już trudności z mówieniem…

Wczoraj z Jankiem Ordyńskim u Kwaśniewskiego w jego biurze w Alei Przyjaciół, by dać mu *Nowolipie Street.* Najpierw powitała nas radośnie pani Jola, która w tym samym lokalu ma swoją fundację, Kwaśniewski na luzie. Przeczytał dedykację: „Jolancie i Aleksandrowi Kwaśniewskim w Alei Przyjaciół…". (Nazwę tej uliczki wykorzystałem też, ale w inny trochę sposób, w dedykacji dla Janka). „Będę w Stanach kupował książkę i rozdawał" — obiecał Kwaśniewski.

Zadanie odrobiłem. Pozory aktywności. Mogę pomyśleć o obiedzie.

Ciekawy wywiad z Polką, która nauczyła się języka jidysz (czyli po prostu żydowskiego) i nie udaje, że „kultura żydowska rozkwita" dlatego, że jakieś zespoły korzystają z dawnej muzyki klezmerskiej.

Wywiad z Etgarem Keretem. Przekroczył czterdziestkę, ma syna, zmienił się jego stosunek do świata, nie tworzy już „czarnej literatury", jest u progu

czegoś nowego. Przyjechał do Polski na futbol. Jest kibicem Hapoelu (socjalistycznego) przeciw Makabi (burżujskiemu).

Lipiec

Upał. Prawie nie wychodzę. Był przedwczoraj Tomek, przyniósł pieczywo, ogórki, kapustę kiszoną.

WL potwierdza decyzję wydania *Nikt nie woła*. Kto napisze wstęp? W końcu ustalamy, że ja, ale chyba to będzie posłowie. Proponują warunki dużo korzystniejsze niż W.A.B. I szybkie wydanie.

Pranie.

Do Czytelnika po obiad na wynos. Puchy. Tylko kilka stolików zajętych. Ten, przy którym siadywał zmarły kilka dni temu Henryk Bereza, jest „wolny". Bereza jaki był, taki był, ale wokół niego się trochę środowiska skupiało (Fogtt, ks. Luter, Głowacki, Kutz, czasem Marzena z Bajonem, czasem, kiedy wpadała z Paryża, Krysia Mierzejewska, wciąż z piękną buzią).

Przychodzi Gruza, siada przy stoliku, który kiedyś zajmował Mietek Jahoda. Pytam, czy czytał nekrolog ministra kultury poświęcony Berezie. Nie czytał. Jest, że wybitny krytyk, „odkrywca Marka Hłaski i Edwarda Stachurskiego"(!). Podobno minister z powodu tego „Stachurskiego" (a nie Stachury) dostał szału. Powtórzyłem to, co kilka dni temu powiedziałem Jackowi Bocheńskiemu: Marka Hłaski nikt nie odkrył, on sam się odkrył. Jeśli ktoś na początkującego Marka zwrócił uwagę, to raczej Newerly — jako opiekun Koła Młodych.

Dzisiaj podobno rekordowy upał. Czytam *Opowiadania odeskie* Babla. Czytam, siedząc w fotelu, bo książka jest tak ciężka, że nie da jej się trzymać w rękach w łóżku. Niezwykłe. Zmysłowość, mięsistość tej prozy. Opis kobiet, wymioniastych, chciwych męskiego ciała, wszystko rozbuchane, ociekające wilgocią, kolorami, opisuje ich krowiastą samiczość, chociaż nie zapominają o tym, czego chcą, są chciwe, despotyczne, jak trzeba to i pokorne. I to „oko słońca", które to chowa się za morzem, to ślizga się po ziemi… Triumf natury w jej najprostszym wydaniu. Jeśli czasem jakieś zdanie się powtarza, to jak w wierszu. Jak refren.

W fotelu okrutne opowiadania Babla, w łóżku — recenzje Boya. Z tomu *Murzyn zrobił…*, ostatniego, który ukazał się przed wojną. Nadal wspaniała lektura, obcowanie z mądrym, pobłażliwie uśmiechniętym człowiekiem. Pomyślałem jednak: dla kogo dzisiaj jest ta proza? Kto ją weźmie do ręki? Kto sobie powie: jak dobrze być w jego towarzystwie!? Dla dziennikarzy Boy to tylko facet, który awanturował się o świadome macierzyństwo, o partnerskie związki, o in vitro (chociaż wtedy nieznane). No i autor zabawnych, pikantnych wierszy. Dla poetów — tłumacz Villona.

Co za szczęście, że napisałem o nim książkę, którą 50-letni poloniści chętnie czytają. Ale kto przeczyta (z niewątpliwą korzyścią dla siebie) 18 tomów recenzji teatralnych? Mniej więcej od lat 10 gotów jest dwutomowy wybór recenzji, chyba z 250. Zrobiłem go dla PIW-u. Teraz, kiedy PIW jest w likwidacji, a krytyką zajmuje się pokolenie, dla którego autorzy, reżyserzy, aktorzy, o których pisze Boy, to odległa przeszłość — nie mam śmiałości zaproponować tego wyboru jakiemuś borykającemu się z finansami wydawnictwu. Ale nie jest przeszłością to, o czym pisze Boy. Pewne streszczenia i rozważania brzmią zdumiewająco aktualnie. Boy

zachwyca się np. sztuką Denisa Johnstona *Księżyc w żółtej rzece*. O czym to jest? Rzecz dzieje się w Irlandii w 1920 r. po uzyskaniu niepodległości. Dawni bojownicy o wolność nie mogą odżałować czasów, w których konspirowali, rzucali bomby, mieli po co żyć! Teraz trzeba zajmować się nudną administracją. Stan psychiczny jak w Polsce po transformacji 1989 roku. Chcieliby sądzić, wieszać, mścić się, a tu trzeba pracować, gospodarzyć, dyplomatyzować.

Wspaniała jest opowieść Boya o Judycie ze sztuki Giraudoux. Z konkluzją, że Leon Schiller nic z niej nie zrozumiał, nic z paradoksu historycznego; z zabawy autorskiej, z jego nasyconej sceptycyzmem ironii robi tragedię mistyczno-klasową. Jest też recenzja, która miażdży mistyczno-grafomańskie ciągoty Juliusza Osterwy. *Ciuciubabka Osterwy* — tak zatytułował Boy recenzję. A wszystko to wobec sławnych artystów, z którymi na co dzień był zaprzyjaźniony!… Zwalczanie kabotynizmu i grafomanii, zwłaszcza tych największych firm, było dla niego sprawą dla zdrowia kultury najważniejszą. I czy mógł nie być znienawidzony?

Nadal upał. Wieczorem przychodzi Tomek, przynosi pomidory i czereśnie. Na szczęście nie ma czasu (a może i ochoty) zaglądać do *Nie boję się…*, dzięki czemu mogę mu bezkarnie opowiadać — o Pruszyńskim (zwracam jego uwagę na *Różaniec z granatów*, w którym ujawnia się jego stosunek do wojny domowej w Hiszpanii). O tym, jak wilnianin Aleksander R. mówił: „Proszę pana, ja jestem najlepszym poetą polskim”, Himilsbach to samo o sobie jako o prozaiku (ale jednak po wypiciu ćwiartki); i krótka opowieść o Marcelinie Grabowskiej, która, kiedy jej tłumaczyłem, że teatr wystawiać musi też klasyków, wykrzyknęła: „To ja jestem klasyk!”.

Na ogół twórcy — prozaicy czy dramaturdzy — czerpią z życia dla literatury. Boy odwrotnie: czerpie z literatury, by przyjrzeć się życiu. Bo życie dla niego to była bardziej praca: w domu biurko, wieczorem — fotel w teatrze. Godzinnym wytchnieniem była kawiarnia: towarzystwo Tuwima, Słonimskiego, Irusi. Przyglądając się sztuce, widział w tych ludziach miotających się na scenie, motywy, bodźce, których nie dostrzegali autorzy. Dramaturg powołał postaci do życia, nakreślił ich sytuacje, konflikty, ale to nie znaczy, że wszystko zrozumiał (powtarzam się: na to, że Boy wykłóca się z postaciami, a niekoniecznie z autorami, zwróciłem uwagę w książce, np. relacjonując recenzje z *Nory* Ibsena czy z pewnej sztuki O'Neilla).

Streszczenia kolejnych sztuk Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej ujawniają, że ta Kossakówna, będąc oczywiście uzdolnioną, była zwyczajnie głupia. Głupota gęsi, rozkapryszonej, egoistycznej, zakochanej w sobie (patrz: recenzja z *Nagrody literackiej*).

I przypomina się (co już odnotowałem), co opowiada jej siostra Madzia: że kiedy konkurentka, a chyba zarazem i przyjaciółka, miała wystawić swoją sztukę, Lilka dała na mszę, żeby sztuka zrobiła klapę. Ale ta wiara, że można sobie wymodlić niepowodzenie konkurentki — czy to nie jest poziom głupiej gęsi z pensji żeńskiej?

Sen sprzed kilku nocy, który niezupełnie się zatarł. Jestem na takim ogrodzonym placyku, w głębi tłum, groźne zbiorowisko młodych ludzi. Za chwilę na mnie ruszą. Obok mnie ich przywódca, blondyn z kędziorkami, loki wokół głowy. Uśmiecha się z satysfakcją: zaraz zobaczysz! Próbuję go przekonać, że to mu nic nie da. I nagle dziewczyna, która stoi u wyjścia, uchyla furtkę i szybko do mnie: „Niech pan wychodzi…". Wymykam się, ona natychmiast zamyka za mną furtkę. Widzę na szarym jak popiół nasypie dwa rozwidlające się tory tramwajowe. Tam pójdę.

Po przebudzeniu myślę o tej dziewczynie, która we śnie postanowiła mi pomóc. I myślę, że należałoby ją, dziewczynę ze snu, włączyć do „Księgi dobroci”, księgi upamiętniającej ludzi, którzy mi pomagali, jest ich całkiem sporo, może powstać krzepiąca książka.

Nie mogłem sobie przypomnieć, jak miał na nazwisko nasz uroczy rusycysta w uczelni pedagogicznej w Samarkandzie — imię i otczestwo tak, pamiętam: Iwan Pietrowicz. Ale nazwisko, czemu zatraciłem jego nazwisko? Wspominaliśmy go często z Reną, jego kulturę, schludność, wiedzę (w Leningradzie był zapewne profesorem; szeptano, że podczas oblężenia rodzina zmarła z głodu). Nosił krótką, siwą bródkę. Dziewczęta w klasie narzekały, że nic nie rozumieją z jego wykładów. Wyróżniał mnie, zorientowanego w literaturze, czasem nie ukrywał, że prowadzi wykład tylko dla mnie. *Pana Tadeusza* przeczytał po polsku — „ach, eta Zosja”, zachwycał się delikatnością dziewczyny. Opowiadał nam, że był kiedyś w tundrze syberyjskiej w ekipie, która zajmowała się językiem Tunguzów czy Samojedów, Rena jedyna mogła sobie przypomnieć jego nazwisko. Nagle mam: ORŁOW! (wymawiało się: Arłow). (Czy nie z tej hrabiowskiej rodziny?). Rena miałaby prawo go nie lubić (ale lubiła), bo krytykował jej stałe spóźnianie się na zajęcia. Widzę przez okno w klasie, jak Rena i Ritka śpieszą spóźnione i słyszę, jak obserwujący je Orłow mówi: „Idut naszy kisiejnyje baryszni”. Myślałem, że powiedział coś kąśliwego, że „kisiejnyje” ma związek z kisielem, kwasem, niechlujstwem. Dziś zajrzałem do słownika. Wręcz odwrotnie: „Kisiejnyje baryszni” — to „muślinowe panny”, sama delikatność, arystokratyzm — spóźniają się, bo taki jest ich kaprys. Szkoda, że Rena o tym się nie dowiedziała — ona, tak ubogo, niearystokratycznie ubrana.

Iwan Pietrowicz nic sobie nie robił z tego, że pewne nazwiska pisarskie były przez władze źle widziane. Pamiętam, że powoływał się na krytyka Annienkowa. Kiedy mówił o Gogolu, o jego kompleksach i strachach, powoływał się na książkę emigranta Mereżkowskiego *Gogol i czort*. Odgrywał nawet ją dla nas jak świetny aktor: oto Gogol za biurkiem, a za plecami jego nachyla się Diabeł i diablim językiem podpowiada mu, co ma pisać.

Ja po latach, chyba w roku 1960, w mieszkaniu Julka Stroynowskiego, wspomniałem tę książkę Mereżkowskiego w rozmowie a ambasadorem Austrii w Polsce, p. Verostą, który był namiętnym „gogolistą", zamierzał nawet o Gogolu napisać książkę. Niewykluczone, że odegrałem scenkę przekazaną nam w klasie przez Orłowa. Zdobyłem sobie tym Mereżkowskim wdzięczność pana ambasadora, pośredniczył w przekazaniu opowiadania *Bokser i śmierć* naczelnemu wiedeńskiego miesięcznika „Forum", p. Kantorowiczowi (pisał i tłumaczył jako Torberg). Opowiadanie zamieszczone w „Forum" zainteresowało z kolei wydawnictwo Langen Müller Verlag w Monachium, wydali tom moich opowiadań (1964) *Der Boxer und der Tod.* Był ten tom „książką tygodnia" w „Spieglu". Tak toczy się życie: mojemu rusycyście, jego opowieści o Mereżkowskim, zawdzięczam po latach wydanie tomu opowiadań w liczącym się niemieckim wydawnictwie.

Wstaję po siódmej. Herbata, ciśnienie, lekarstwa, krople. Tak upływa życie: od lekarstwa do lekarstwa. Od piątkowych gazet (z programami TV) do czwartkowych (kiedy programy się kończą i można już te gazety wyrzucić).

Najczęściej powtarzane przez prezenterów TV zdanko w związku z jakimś meczem to „trzymamy kciuki". Okazuje się, że niektórzy kibice

w to wierzą i naprawdę trzymają przez cały mecz kciuki.

„Przyzwoici”, „szlachetni” — ale przecież nie nieomylni. W uczynkach mogą się pomylić i ci „przyzwoici”, i ci „szlachetni”. (I w ten sposób, ponieważ mamy do nich zaufanie, zaszkodzić bardziej od tych, w których przyzwoitość nie wierzymy).

Michał Sobelman, rzecznik prasowy ambasady izraelskiej, dobitnie i słusznie zareagował w „Przeglądzie” na artykuł pewnego pana, który podpisuje się „Leszek Konarski”, w którym ów pan napadł na ambasadę izraelską, że nie podoba jej się „debata” w jakiejś szkole na temat Palestyńczyków i że żądała jej odwołania. Nie, mówi rzecznik, „wyraziliśmy tylko zdziwienie”. Bo na tę debatę zaproszono dwóch ekspertów, z których jeden, Farys, twierdzi, że „naród żydowski nie istnieje” i że to „syjoniści sfinansowali Holokaust, aby mieć pretekst do utworzenia państwa”. Co do tego drugiego uczestnika „debaty”, to już miałem kiedyś okazję wytknąć mu podłość (i tępotę) bodajże w *Nie boję się…*

Co na to ów rzekomy „Leszek Konarski”? Nie ustosunkowuje się do wypowiedzi p. Farysa, tylko pisze, że ambasada ma pretensję o „zaproszenie do debaty niewłaściwych, zdaniem ambasady, prelegentów”. W ten sposób sprawę szerzenia oszczerstw p. Konarski umiejętnie rozmiękczył — ambasada chce dyktować, kto nie może być prelegentem. Proszę nie przesuwać sprawy na inny temat, proszę nam powiedzieć, co pan o tych twierdzeniach sądzi? Czy uważa pan, że oskarżenie, które nawet Goebbelsowi nie przyszłoby do głowy, mieści się w granicach jakiejkolwiek debaty?

Podłe wypowiedzi, trzeba to podkreślić, nie zostały wcale wymyślone dzisiaj. Przytacza ich sporo Ostrogorski w *Dziejach Bizancjum*. Być może umieli się nimi posługiwać i ludzie epoki kamiennej. Pan Farys z jego twierdzeniem o finansowaniu Holokaustu przez Żydów mieści się na pewno w czołowej ósemce.

I jest w tym jeszcze jedna ponura rzeczywistość. Ci dwaj panowie, pan Farys i ten drugi, dziennikarz z pretensjami, oferują swoje wykłady w szkołach, zatruwają młodych ludzi nienawiścią, pogardą i antysemityzmem. I robią to bezkarnie, w ramach „edukacji” i „etyki”.

Wieczorem *Murzyn zrobił…*, recenzje z roku 1937. Jest bezlitosny wobec nieporozumień inscenizacyjnych. Albo dla fałszywego ujęcia roli (np. przez Węgrzyna, właśnie dlatego, że go bardzo cenił). Wielcy to byli aktorzy, więksi niż ci z pokolenia powojennego, ale zarazem bardziej intuicyjni, kabotyńscy, urodzeni komedianci, wspaniali, ale nie tak inteligentni jak Holoubek, Łapicki, Hanuszkiewicz, Stuhr. Kłopot był z Adwentowiczem: świetny, inteligentny, subtelny aktor, ale podkopywała jego teatr żona, Irena Grywińska — ona dyktowała, co i jak wystawić, osadzała siebie w rolach, które były nie dla niej, co Boy wytykał bez litości.

Adwentowicz był wobec niej uległy, kochał ją, chyba trochę jej się bał, jej humorów. Tak się złożyło, że jechałem kiedyś z nimi pociągiem w jednym przedziale, z Krakowa do Warszawy, pewnie w roku 1948. To była wtedy wielogodzinna podróż. Ona niemiła, warcząca, jakby on był winien wszystkim niewygodom. „Połóż się, kochanie, śpij” — uspokajał ją. Położyła się na ławie, on podłożył jej coś pod głowę i przykrył pieczołowicie płaszczem. Kiedy ona się uspokoiła, on usiadł u jej nóg, spojrzał na mnie i zrobił porozumiewawcze oko: mamy od baby spokój! Ale chyba ją jednak bardzo kochał.

Czytam teraz recenzje z 1935 roku. Myślę o tym, ile postaci, ile komplikacji rodzinnych, dziwadeł, poznałem dzięki Boyowi, dzięki temu, że tak konsekwentnie streszcza sztuki, o p o w i a d a je, także te najbłahsze (najbardziej bodaj pouczające). Wyraźnie traktuje to jako swój recenzencki obowiązek. Ale zastanawiam się — po raz pierwszy — czy byli z tego zadowoleni dyrektorzy teatrów. Czy nie obawiali się, że przyszły widz powie sobie: aha, to już wiem, jak to się kończy, ona go zamorduje; albo: ona rzuci się pod pociąg albo: odnajdzie zagubione uczucie, wiem wszystko, nie muszę tego oglądać. Nie protestowali jednak panowie dyrektorzy, nie mówili: panie Tadeuszu, utrąca nam pan publiczność. Przeciwnie, cieszyli się, że recenzja (jeśli nie miażdżąca) w ogóle się ukazała. Bo do teatru chodziło się nie po to, by dowiedzieć się kto z kim — szło się na aktora (czasem na wydarzenie). Szło się na Osterwę, Junoszę, Jaracza, Eichlerównę, Solskiego, Malicką, Zelwerowicza, Ćwiklińską. Pamiętam, tuż po wojnie, kiedy wielki aktor wkraczał na scenę, zrywały się oklaski. Pamiętam takie entrée Zelwerowicza w *Panu Damazym*, Ćwiklińskiej bodajże w *Skizie*.

Kto z kim? Przecież widz teatralny dobrze wie, jak kończy się *Hamlet*, *Otello*, *Makbet*, jak kończy się *Edyp*, co stanie się z Anną Kareniną czy Damą Kameliową. Jak potoczą się *Zemsta* i *Śluby panieńskie*. Czyli widza na ogół interesuje nie c o, ale j a k.

Teraz chodzi się na reżyserów. Udało im się tak przekształcić teatr. Trzeba zobaczyć Warlikowskiego, Jarzynę, Lupę, Klatę, Zadarę, niedawno jeszcze Grzegorzewskiego, Jarockiego.

19 lipca, czwartek. Kupiłem ciętą różę, białą, i wsadziłem ją do umieszczonego na parapecie okna dużego wazonu, w którym stoją zaschłe

mieczyki, ostatnie kupione dla Reny. Bo dziś jest nasza rocznica, 69 lat temu, nad ranem… Przez wąskie okienko zaglądało do izdebki słońce. Mała Nisso przyniosła w misie wilgotne od rosy białe owoce morwy. Potem było tak jak w *Nikt nie woła*: ja przejeżdżam obok naszej kibitki na ciężarówce z beczkami, Rena na progu, w dresie, uśmiecha się i rozczesuje włosy.

W „Przeglądzie” gniewny list Ludwika Stommy — jego reakcja na owo liczenie Żydów we władzach powojennych w artykule Krzysztofa Pilawskiego. Myślimy tak samo: „prowokacyjny” w zamyśle tytuł książki Pawła Śpiewaka *Żydokomuna* jest, pisze Ludwik, „szkodliwy społecznie”.

Przed wieczorem zadzwoniłem do Ludwika, żeby porozmawiać o jego liście. „Ach, więc to wydrukowali” — ucieszył się. Był podobno wzruszony, że zadzwoniłem.

Idę na zakupy — i co widzę w księgarni na Wiejskiej? Małą książeczkę *Prawo i pięść*. Z nazwiskiem autora. To niespodzianka, bez uprzedzenia, bo zapowiadali wydanie na październik. Przyspieszyli pewnie dlatego, że książka sensacyjna, w wymiarze kieszonkowym — w sam raz na wakacje. Książka już w księgarniach, ale zaliczki (mizernej), którą przewiduje umowa, nie przysłali. No i egzemplarzy autorskich też nie.

Obliczyłem, że jeśli sprzeda się przewidywany pierwszy nakład (co wcale nie będzie łatwe) otrzymam 3600 zł brutto. Akurat w TV wciąż mówi się o tym, ile dostaje miesięcznie przewodniczący jakichś agencji, członek rad nadzorczych, niejaki p. Śmietanko (nomen omen): ok. 60 000 zł. Otóż żeby taki literat jak ja, z niezłym nazwiskiem, ale nie tak pokupny jak Larsson czy Grochola, zarobił tyle, musiałby w ciągu miesiąca wydać d w a d z i e ś c i a k s i ą ż e k i w s z y s t k i e s p r z e d a ć!… A pan

minister Rostowski sięga jeszcze po nasze „koszty uzysku”. Egzemplarze gratisowe uznaje, chyba pierwszy raz od czasów Gutenberga, za „przychód”. Egzemplarze, którymi przecież autor nie handluje, ofiaruje je przyjaciołom, a czasem recenzentom w celach promocyjnych. (Należałoby, panie ministrze, obłożyć „przychodem” tych, którzy od autora dostają książkę gratis). Mało co świadczy równie dobitnie o obojętnym, jeśli nie wręcz niechętnym stosunku tych finansowych „liberałów” do kultury, do „twórców”, które to słowo w ich ustach pobrzmiewa pogardliwie.

Zadzwoniła do mnie pewna pani, przedstawiła się jako Hanna U., jest profesorem w Stanach, była wczoraj na Karowej, w Domu Spotkań z Historią, wyświetlano *Krzyż Walecznych*. Szczególnie przejęła ją nowela *Pies*. Ona była w Oświęcimiu, widziała takie niemieckie psy. Czy to gdzieś można przeczytać? Tak, można, podaję tytuł tomu: *Szóste, najmłodsze*. „Biegnę zaraz kupić. Zofia Posmysz (z którą ona się przyjaźni) mówiła mi, że pan napisał coś autobiograficznego. — Tak, *Nowolipie*”. Ona będzie tego szukać, jedzie do Krynicy, będzie miała co czytać.

Skoro była w Auschwitz i zna się z Zofią Posmysz, to ta pełna wigoru kobieta ma 85 lat co najmniej. Starzejemy się niewątpliwie bardzo różnie. Na Węgrzech zaaresztowano właśnie przestępcę wojennego: ma 97 lat, podczas wojny nadzorował deportację do Oświęcimia Żydów z Koszyc (mógł wśród nich być teść Máraiego), 15 lat temu wrócił z Kanady na Węgry i cały czas żył sobie spokojniutko pod własnym nazwiskiem. Nikt zbrodniarza nie ruszał. Dopóki nie odkrył tego wiedeński Instytut Szymona Wiesenthala. Aresztowano zbrodniarza w 97. roku życia.

Gdzieś w połowie dnia wiadomość: zmarł Andrzej Łapicki, nad ranem, we śnie. Młoda dziewczyna, teatrolożka, która wyszła za niego, została

wdową. Kiedy się z nią żenił, kilka lat temu, wydawał się pełen wigoru, ironicznie traktował tych, którzy się dziwili jego małżeństwu.

Znaliśmy się, oczywiście, znałem i aprobowałem jego aktorstwo, inteligentne, powściągliwe, wyczulone na komediowość. Kiedyś, podczas obiadu z Konwickim w Czytelniku, powiedział pogardliwie o Boyu: „On popierał tylko farsy", czyli mylił się gruntownie. Znał zapewne z lektury pierwsze wieczory *Flirtu z Melpomeną*, czyli te krakowskie, kiedy Boy zwalczał krakowską bigoterię, pruderię i hipokryzję. Inaczej było już w Warszawie, co jakoś do Łapy nie dotarło. Nie wiedział o walce Boya z idiotycznym repertuarem Teatru Letniego.

Konwicki stracił partnera do obiadu. Będzie odtąd jadał samotnie.

Wspominałem kiedyś, że narodziły się we mnie obawy, czy Boyowskie streszczanie sztuk nie szkodziło frekwencji, nie uderzało w kasę, więc odnotuję, iż sam Boy miewał czasem wątpliwości. Wyraził je w recenzji z dwuosobowej sztuki Somina *Zamach* (1936, Jaracz i Eichlerówna). „Ja sam waham się, czy mam wyrazić tę prawdę: w sztukach tego rodzaju (dziś nazwalibyśmy je thrillerem — J.H.) wszystko polega na zaciekawieniu, sumienność sprawozdawcy bywa uważana za najgorszy rodzaj niedyskrecji". Powie więc dużo, ale nie wszystko. (Powiedział wszystko). Tłumaczy się, że bywają czytelnicy kryminałów, którzy zaglądają na koniec książki, żeby dowiedzieć się, kto zabił, a potem spokojnie już czytają, jak do tego odkrycia doszło. (Coś w rodzaju metody filmów o poruczniku Columbo).

Dziś, w niedzielę, z Madzią i Tomkiem na cmentarzu. Po drodze do Reny zapaliliśmy znicze u grobu Szymanek-Deresz, Juliusza Janickiego i Zembatego. Madzia umyła płytę nagrobną matki. Do wazonu wstawiliśmy

lilie, zapaliliśmy znicze. Wracaliśmy boczną, cienistą aleją, by zerknąć na grób Infeldów, dziadka i babci Ewuni. Obok płyta Kuryluków, Karola i Marii, jakaś kobieta uprzątała ją. Zaciekawiła się: „Czy pan ich znał?”. „Och tak, jego jeszcze z Lublina, oboje z Krakowa, od 1946 roku”. Ona znała tylko ją, Marię, już tęgą od lekarstw. „Była piękną kobietą” — powiedziałem.

Pamiętam Marię Kuryluk z niebieską opaską nad czołem, spod której lśniły jej piękne, czarne oczy. I kto by pomyślał, że w tych oczach czai się choroba psychiczna. (A może to jednak odezwały się dramatyczne przeżycia podczas okupacji, stałe zagrożenie — Kuryluk ją uratował). Leczył ją dr Ałapin, w którego wierzyła. Potem, kiedy po marcu 68 r. Ałapin emigrował do Londynu (a mąż, zaszczuty przez moczarowców, zmarł), poczuła się opuszczona, załamała się, było coraz gorzej, idąc Wiejską, miała wzrok nieobecny, już mnie nie rozpoznawała (a może nie chciała nikogo rozpoznać).

Chyba pod koniec 1950 roku lub na początku następnego, kiedy podczas zebrania sekcji prozy poświęconego wyjazdom literatów „w teren” (referentem był Ścibor, świeżo po napisaniu *Węgla*) sprzeciwiłem się bezsensownemu, wygłoszonemu w tonie agitacji wiecowej, żądaniu Tadeusza Borowskiego, by pisarze w terenie „wysoko nieśli sztandar swojego posłannictwa literackiego”, a ja, stojąc między ławkami, powiedziałem, że „jeśli kolega Borowski wyjeżdża w teren, żeby nosić sztandar, to niech go sobie nosi — ja, gdybym wyjechał w teren, to po to, żeby się czemuś przypatrzyć, dowiedzieć, a w jaki sposób to wykorzystam, co się uda, to już jest sprawa mojego warsztatu”. Otóż po tym moim sprzeciwie pani Maria podeszła do mnie, żeby mi podziękować za to, że się Borowskiemu przeciwstawiłem.

Było mi w ogóle przykro z powodu ewolucji Borowskiego, bo to ja właśnie w krakowskim „Żołnierzu Polskim”, od pierwszego nadesłanego nam jego maszynopisu, zachwycałem się opowiadaniami oświęcimskimi, nalegałem na ich druk w naszym tygodniku, co wcale nie było wtedy oczywiste. (Márai był wstrząśnięty „obozową” prozą Borowskiego). A kilka lat później — kiepski agitator, niemądry felietonista. I śmierć, zatrucie gazem. Czy samobójstwo? To nigdy nie zostało rozstrzygnięte.

W którejś tam z kolei recenzji z *Głupiego Jakuba* Rittnera (maj 1936) mędrzec Boy zajmuje się „prawdą” (w imię której buntował się „głupi Jakub”). Jakże to dalekie od rzuconego przez papieża ogólnika: „prawda was wyzwoli!”. „Nie sądzę — to już pisze Boy — aby prawda była tak blisko spowinowacona z prostotą; aby prości ludzie tak bardzo łaknęli prawdy. (…) Głód prawdy bywa raczej produktem kultury — może perwersji — intelektualnej…” I dalej: „Dziś owo pojęcie «prawdy» jest prawie całkowicie wycofane z obiegu. Idee, hasła, które dziś władają światem, nie mają nic wspólnego z prawdą — i nie chcą mieć. To słowo prawie nic dziś nie znaczy”.

Pod miażdżącą recenzją ze sztuki *Złoty wieniec* (1936) zanotowałem taką refleksję:

„Ciekawe, czy krytyczne uwagi Boya, recenzenta z jakiegoś mało liczącego się dla dostawców europejskich kraju (chociaż wypłacającego niezłe tantiemy), docierały do autorów na Zachodzie, w tym angielskich, i to tak wziętych jak Somerset Maugham, Noel Coward, Eugene O’Neill, a także Marcel Achard i kilku innych Francuzów, którym krytyk z Warszawy wytykał fałsz, idiotyczne zachowanie się postaci, a nieraz i brednie. O jakiejś scenie ze sztuki Cowarda Boy pisze, że jest wręcz «wstrętna». Nie jest niemożliwe, że opinie Boya docierały do autorów

węgierskich, których sztuki, będące czasem zręczną podróbką komediopisarstwa paryskiego, chętnie wystawiały teatry warszawskie. Bus-Fekete, Fodor (jego *Maturę* sfilmowali Francuzi), a zwłaszcza sympatyczny Ferenc Molnár, autor *Chłopców z Placu Broni*. Do jednego autora obcego, krytyka recenzenta znad Wisły, na pewno dotarła: do Miroslava Krleży, z którym Nałkowska przeżyła romans i którego sztukę *Baronowa Lenbach* przetłumaczyła; Boy, mimo całej sympatii dla Nałkowskiej (obok której zasiadał w Akademii Literatury) był dla utworu Krleży bez litości".

O dziesiątej wieczorem oglądanie uroczystości otwarcia igrzysk olimpijskich w Londynie. Bardzo pouczające. Bez lordów, generałów, ministrów, chociaż, rzecz prosta, z Elżbietą II. Program, można rzec, populistyczny: taki jest dzisiejszy świat, taka kultura, takie brytyjskie społeczeństwo. Więc rock, jazz, James Bond (Daniel Craig) opuszczający się na murawę z helikoptera, Harry Potter — a Szekspir? — owszem, Szekspir stale obecny, wciąż jest nasz; fragment *Burzy* recytuje Kenneth Branagh; humor to wygłupy i miny Atkinsona — Jasia Fasoli.

Zafascynowany oglądałem przemarsz ekip olimpijskich, 204 reprezentacje, czasem grupki z państw wysepek gdzieś na Oceanii, są i Papuasi. Ciekawiły mnie ekipy z państw arabskich i muzułmańskich w ogóle, łatwo było wywnioskować, w których z nich jest tolerancja i świeckość: zawodniczki niekoniecznie z chustami na głowie. Liban, Egipt, Libia, Maroko. Jakaś samotna zawodniczka z Afganistanu. Okutana w chustę pierwsza w historii igrzysk zawodniczka z Arabii Saudyjskiej.

Irytowali polscy komentatorzy. Zamiast skupić się na tym, co widzimy (np. przemarsz olimpijczyków z Uzbekistanu, Kirgistanu, nawet Turkmenistanu), gadali i gadali, głównie o tym, ile który zawodnik zarabia. Nie skomentowali tego zjawiska, że w reprezentacji RPA byli prawie sami

biali (podczas gdy wśród Amerykanów połowa to byli czarnoskórzy) albo że w Zimbabwe Rodezji była dobrze przyszłość wróżąca mieszanina ras.

(Rozmawiałem dziś rano z Różewiczem. Zaczął od tego, że w oglądaniu przeszkadzali mu komentatorzy. Panowie, warto wyciągnąć wnioski).

Oglądałem do drugiej w nocy.

Czytam Brunona Schulza *Sklepy cynamonowe*. (Zostałem zaproszony do Wrocławia na obchody w związku z rocznicą jego tragicznej śmierci). Proza kreślona piórem poety. Odnotowuję kilka uwag, które może tu kiedyś wpiszę. Na przykład tę, jaki wpływ na widzenie ścian, mebli, świat zjaw, miało oświetlenie: kopcąca lampa naftowa, świece, cienie płyną w chybotaniu się płomieni. Gdyby pokój oświetlony był lampą elektryczną, nie byłoby tej tajemniczości, świata cieni.

Dzisiaj znowu upał. Nie wychodzę. Czytam Schulza. Opis demencji ojca — kliniczny; coś dla psychiatry i geriatry.

W dalszym ciągu Schulz. „Skrzydlaty” ojciec. Opis niemal magiczny, ale Schulza nie opuszcza poczucie rzeczywistości. Notuję, że opis zjawisk atmosferycznych przypomina Babla. Odkryli to dla siebie w tym samym czasie i będąc w podobnym wieku. Ale u Babla jakieś uwagi o słońcu wschodzącym czy zachodzącym („liże ziemię”) służą tylko umiejscowieniu akcji — dla Schulza opis jest samą akcją, poetyckim zapisem barw życia, jest to proza czujnego malarza, nieustannie odbierającego napierające barwy.

Wiem, jak napisać posłowie do *Nikt nie woła*. Mam już pierwsze zdanie.

Sierpień

Którejś nocy podejmuję decyzję, że nie wezmę udziału w panelu „schulzowskim” we Wrocławiu — to nie jest odpowiednia chwila na dzielenie się wątpliwościami. Na przykład że jego list do Tuwima wydał mi się kabotyński — to nie jest list literata, który dziękuje mistrzowi (jak podobno zamierzał) za uznanie, to jest popis. I oto Gombrowicz w swojej wypowiedzi o Schulzu cytuje pewną inteligentną panią („spotkałem ją w 18-tce — relacjonuje jak wiarygodny reporter G. — wysiadła na przystanku przy Wilczej”), która twierdzi, że Schulz to „albo zboczeniec, albo pozer”. Pozer, tak — to o wiele trafniejsze określenie niż „kabotyn”. (Idzie o osobowość, oczywiście, nie o prozę).

Zdumiewające, jak Boy odgadł skazę psychiczną nieznanego mu przecież Juliusza Wirskiego na podstawie jego sztuki. Pisał o „neurastenicznym” widzeniu świata, o trudno uchwytnym „chaosie myśli”. A my, w Domu Literatury, podczas zebrań byliśmy świadkami tego „chaosu myśli”, zaburzenia psychicznego, kiedy Wirski dorwał się czasem do głosu. Recenzowana przez Boya sztuka była antykapitalistyczna — przed wojną, czyli nie było w lewicowości Wirskiego oportunizmu. O czym wrzeszczał na zebraniach literatów? Nie pamiętam. Jaką stronę reprezentował? Siebie. Swoją krzywdę, to na pewno.

Oglądam film *Uwolnione uczucia* (w oryginale: *Uncorked*) z aktorką, której twarz, piękna, inteligentna, wydaje mi się znajoma, już wiem, że ona kocha, do czego nie chce się przyznać — chcę, żeby jej się udało — i kiedy ona wyznaje jemu miłość — nareszcie — jestem wzruszony. Czyli

mechanizm odbioru odwrotny niż u widzów muzułmańskich: jeśli aktorka się podoba, widz arabski (przynajmniej tak twierdzi Omar Sharif) uważa ją za swoją narzeczoną i pocałunek na ekranie ocenia jako zdradę. Tfu!

Aktorka nazywa się Julie BENZ, ur. w 1972 roku.

Rano Monika przysyła mailem umowę na *Nikt nie woła*. Akceptuję ją z jednym zastrzeżeniem. Wychodzę po sobotnią „Wyborczą". Czytam wywiad ze Stasiukiem, który mówi o swojej „wieśniackości", o tęsknocie do dawnej wsi, z tytłającymi się w błocie świniami. Podobało im się, kiedy żyli oboje w Mongolii, nauczyli się biesiadować, kucając („człowiek najpierw kucał, zanim usiadł na krześle"). Zdaje się, że pisze teraz o swoim dzieciństwie.

Zabawna uwaga Stasiuka, że na szczęśliwe „wieśniackie" życie składa się także niemycie się, np. przez cały tydzień. Zapach naturalny — taki jest wniosek — nie jest zapachem złym. (Tu przypomina się anegdota o jaśnie panu, który chciał koniecznie wiejskiej dziewki; kiedy lokaje zameldowali: „Jaśnie panie, Maryśka czeka już wymyta", pan zawarczał: „Psiakrew, znowu mi ją zepsuli!").

Upał. Wyszedłem jednak rano po prasę. W „Przeglądzie" jest wzburzająca opowieść o tym, jak Braniccy sięgają po Wilanów — kiedyś twierdzili, że chcą tylko pamiątek rodzinnych, teraz chcą wszystko. (Także to, co im dała caryca?).

W dodatku „Ale Historia!" (do „GW") artykuł Roberta Stefanickiego o dwóch z Hiroszimy — o Amerykaninie, który rzucił bombę, i o Japończyku, który ją przeżył. Paul Tibbets, o którym, pamiętam, krążyły wieści, że nękały go wyrzuty sumienia i że wstąpił do klasztoru, naprawdę utrzymywał, że bomba uratowała miliony istnień, bez niej doszłoby do

inwazji amerykańskiej na Japonię, zginęliby żołnierze obu armii, zginęliby mieszkańcy w dywanowych nalotach. (Wydaje się jednak, że sztabowcy japońscy — podobnie jak Hitler — nie doceniali talentów amerykańskich, ich wyższości technicznej, przemysłowej i wreszcie militarnej). Drugi bohater artykułu, Japończyk Yamagushi, został na obrzeżach Hiroshimy uniesiony podmuchem bijącym od wybuchu. Stracił dom, postanowił przenieść się do rodziny… w Nagasaki. I znowu trafił pod bombę — i znowu przeżył. Wyszedł z tej podwójnej katastrofy, twierdzi, jako nieugięty pacyfista. Trzeba się pogodzić ze zwycięzcą, trzeba wyrzec się siły zbrojnej. Od rządu japońskiego domagał się uporczywie, by go uznano za ofiarę dwóch bomb atomowych. Przyznano mu ten przywilej po kilkudziesięciu latach.

Posłanka Krystyna Pawłowicz. Jej zachowanie, pyskówka, której nie potrafi (a może i nie chce) pohamować, przypomina przekupki z Gnojnej, handlujące śniętą rybą i pestkami. Ale tamte przekupy nie były profesorami, nie uczyły studentów prawa, ledwo potrafiły się podpisać.

19 sierpnia. Równo 70 lat temu przeszedłem komisję andersowską w Szachrysiabziu. Prawie zawsze, gdy widzę tę datę, przypomina mi się tamto. Przełomowy moment w mojej włóczędze, ucieczkach, bosiactwie. Tak się złożyło, że właśnie dziś jest to na powrót bliskie — znowu jestem w orbicie tamtego czasu, dzięki pisaniu posłowia i lekturze *Nikt nie woła*.

Zacząłem: „Najpierw było życie — potem pisanie. Najpierw ucieczka ze stalingradzkiego batalionu pracy, żeby dotrzeć do armii Andersa, gdzieś w Uzbekistanie — tak, najpierw głód, nędza, upokorzenia. I znowu batalion pracy, ale tym razem dobrowolnie. Żeby przetrwać. To ten batalion

w Angrenie pod Taszkientem, który czytelnik poznał, i ci ludzie ze wspólnego namiotu, występujący w książce pod własnymi nazwiskami…”.

Piszę dalej o nowej ucieczce („formalnie dezercja, za którą groziła czapa”), dotarcie do armii Andersa, dramatyczna komisja — już wiadomo, że ostatnia — kolejne upokorzenie — ale wreszcie jakiś dokument, świadectwo istnienia, i do tego nieoczekiwany dar niebios: mundur, płaszcz, buty, wspaniałe angielskie buty, całkowita odmiana. A potem już Samarkanda, szkoła pedagogiczna, fabryka. I Ona.

Przez kilka kolejnych dni ciągnę to posłowie. „Temat czekał — wspominam. — Nie myślałem o nim — nie był czas po temu”. Nastał rok 1956, czas „odwilży”, u nas i w Moskwie, przede wszystkim w Moskwie. Nikita Chruszczow wygłasza na zjeździe partii przemówienie o zbrodniach Stalina. Redaktorzy tygodnika „Świat”, widząc we mnie „sowietologa”, uznali, że powinienem pojechać do Moskwy jako ich korespondent. Udało mi się uzyskać zgodę na odwiedzenie Uzbekistanu. Mój mały triumf: obdartus, włóczęga wraca po dwunastu latach do miejsc dramatycznych przeżyć (…), wraca z neseserkiem w ręku, jako pisarz i korespondent (z akredytacją), ze wścibską, sprawnie fotografującą retiną.

Z dawnej załogi fabryki (win i wódek) — piszę — prawie nikogo nie ma, rozjechali się (wyliczam niektóre osoby) — a co z Niusią? — wyszła za mąż za jednonogiego blacharza Sieriożę, pojechali całą rodziną na Syberię, do której Andriejewna (matka Niusi) tak tęskniła. Zastałem na szczęście Asrora (w powieści Karim z czajchany) i to w dawnym domostwie, wcale mu nie zaimponowałem odmianą mojego losu, on swój awans życiowy — z ucznia bednarskiego na nauczyciela — uważał za bardziej znaczący, „ty zawsze książki, zawsze pisanie”, przypomniał i jeszcze dodał: „Miałeś piękny płaszcz”. Objąłem ramionami jego cudownej dobroci matkę, Szarofat-apę, bardzo teraz wzruszoną.

Spotkania. Poświęcę temu sporo miejsca. I ciśnieniu wspomnień. Wędrowałem samotnie, nostalgicznie — tego w posłowiu nie pominę — tymi samymi wąskimi, krętymi uliczkami, przez które prowadziłem moją dziewczynę, pośród lepianek pozbawionych okien, wspomnienia mnie nie odstępowały, przeżywałem wszystko raz jeszcze, gorycz i szczęście, i już wiedziałem, że będę o tym pisać, nie ucieknę od tego.

Muszę jednak wrócić do rzeczywistości. Jako korespondent miałem określone zobowiązania. Z reportaży zamieszczanych w prasie uzbierał się tom *Skromny chłopiec w haremie*. Był to bestseller — częściowo zapewne dzięki tytułowi, ale chyba także dlatego, że czytelnicy wiedzieli, iż jest w tej książce prawda. Rosja i Azja Środkowa zobaczone od wewnątrz — bez agitki i bez zacietrzewienia. Żaden korespondent zachodni nie miał na to szans. Żaden nie znał Asrora i dziewcząt ze szkoły pedagogicznej. Nakład szybko się rozszedł, ale o dodruku, poinformowano mnie, nie ma mowy, „odwilż" się skończyła. Tym bardziej że w „Litieraturnoj gazietie" ukazał się długi artykuł atakujący *Skromnego chłopca*: *Na czyj młyn?* (*Na czju mielnicu?*). Wiadomo na czyj — Józef Gen został w tym artykule zdemaskowany jako „burżuazyjny nacjonalista. (…) (W połowie lat sześćdziesiątych w kawiarni literackiej usłyszałem nieoczekiwane komplementy za *Skromnego chłopca*… od Bogdana Czaykowskiego, młodego poety z grupy londyńskiej — wtedy bodajże profesora w Univ. of British Columbia w Vancouver. „Czytał pan to? — zdziwiłem się. — Tak, po angielsku". Rozmowie przysłuchiwał się Jurek Krzysztoń, który mnie z Czaykowskim poznał. „Po angielsku? Nie było takiego wydania. — Owszem, było. Pentagon wydał książkę dla swoich pracowników jako druk wewnętrzny i ktoś znajomy mi ją pożyczył". Może ten atak w „Litieraturce", pomyślałem, spowodował ich zainteresowanie. *You never*

can tell. Szkoda tylko, że skąpiradła nie przysłali mi egzemplarza i małego honorarium).

Wyjechałem do Obór i zacząłem pisać. Pojawił się tytuł *Nikt nie woła.* Nie będę tu przepisywać z posłowia wszystkich perypetii tej książki. Może to? Nie mogła się ukazać, ale „to nie znaczy, że książki nie czytano". W Oborach maszynopisy krążyły z pokoju do pokoju. (Niektórzy je chomikowali). Pamiętam długą rozmowę z Andrzejem Stawarem, wtedy bodaj najwybitniejszym krytykiem literackim, marksistą źle widzianym przez władzę, zakończył ją tak: „Niech pan przeniesie akcję do innego kraju, na przykład do francuskiego obozu pod Algierem. Z tymi realiami n i g d y jej panu tu nie wydadzą. Szkoda książki".

Mijały lata. Powstał podziemny „Zapis", wydawano książki w drugim obiegu, których fatalny druk, na powielaczu, psuł wzrok gorliwym czytelnikom. Wiktor Woroszylski, który czytał swojego czasu *Nikt nie woła* w maszynopisie, zwrócił się do mnie po tekst dla „Zapisu". „Witek — powiedziałem — ja mam w Czytelniku *Montaigne'a.* Przecież oni to zatrzymają! Wydasz mi Montaigne'a?" Nie, nie wyda. Montaigne drugiego obiegu nie interesuje.

Trzeba było Okrągłego Stołu w 1989 roku, wyborów, transformacji ustrojowej, by *Nikt nie woła* mogło się wreszcie ukazać. Zajęło się powieścią Wydawnictwo Literackie, to samo — piszę w posłowiu — które teraz dociera ze wznowieniem do Ciebie, czytelniku. Jak się czułem, trzymając po 33 latach egzemplarz w ręku? Po tak długim czekaniu uczucia są złożone, satysfakcja niełatwa. Cały czas nurtuje świadomość zmarnowanej egzystencji tej książki, czasu jej niedostępności, a więc i niemożności podzielenia się z czytelnikiem moim fundamentalnym doświadczeniem. Przecież po to została napisana!

Cztery dni pracowałem nad tym posłowiem, jeszcze konsultowałem je z Tomkiem, który mnie odwiedził, także z Madzią. Szło o to, co ma być w ostatnim akapicie: pytanie czytelniczki, pani Gurwic, czy wiem, co się stało z tą dziewczyną, która w Samarkandzie odprowadzała Bożka do pociągu, czy też dialog z Karwańskim, który był pewny, że ja dla wydania książki dużo złagodziłem. Rosło we mnie przekonanie, że lepiej, bardziej osobiście, wzruszająco zabrzmi pytanie o dziewczynę i odpowiedź: „Jest babcią moich wnucząt". Moi „konsultanci" też się ku temu przychylili. Posłałem tekst Monice. Nazajutrz rano nadeszła odpowiedź: „Tekst piękny, wzruszający, kończyłam ze łzami w oczach". I jeszcze pewna nieoczekiwana pochwała: „Ile w tobie jest spokoju!!!". Chyba chodzi jej o to, że brak w tym tekście o powieści, która przez 33 lata nie mogła się ukazać, całkiem uprawnionej wściekłości, nie miotam ciężkich słów.

Ale już się nie mogłem odczepić od wspomnień. Opowiedziałem Madzi o trudnościach z wydaniem książki, o których w posłowiu nie wspomniałem. Na przykład że odmówił wydania Giedroyc, bo książka, ze względu na ujawniony andersowski antysemityzm, nie odpowiadała mu politycznie. I o tym, że podziemny „Zapis" w końcu jej też nie wydał, mimo wpłaconej zaliczki. „Wszystko przez tę komisję andersowską" — zwierzyłem się pewnemu koledze. „Nie, to nie to — powiedział kolega, który dobrze redaktorów znał. — Idzie o to, że za dobrze piszesz o Rosjanach". Na litość boską, o jakich Rosjanach „za dobrze piszę"? Nie o rządzących! Piszę o ciągnących ze mną taczki w strojbacie, piszę o Biezzubowie, o Niusi, o jej przedobrej matce Andriejewnie, o szoferce Fieni i jednorękim Pawliku, o Wierze Antonownie.

Wznowienie *Nikt nie woła* — teraz, z tym posłowiem — stanowi jakby klamrę tamtego przeżycia. Zamknięcie kilkudziesięcioletniej walki.

Właściwie to 70 lat, które wciąż nie raczyły dać mi satysfakcji. Teraz koniec tych zmagań. Uspokojenie.

A zarazem, myślę, cóż za władza pisarza! Był sobie jakiś Łaboresznych, był komandir Steinkopf (Niemiec), brygadzista Zinatulin (Tatar), byli ci ludzie z fabryki, Niusia, Andriejewna, ciocia Niura — dawno przeminęli, kości spróchniały, nikt o ich istnieniu by się nie dowiedział — jacy byli, czego chcieli — a przecież są, żyje o nich pamięć, dzięki mnie, dzięki ich uczestniczeniu w życiu autora.

Kiedy po 33 latach ukazała się książka, pewien wpływowy redaktor sprzeciwiał się recenzowaniu w jego gazecie, powiedział mi, że ta książka to „kit". Zapamiętałem to wyrażenie, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Dlaczego „kit"? Nie wyczuł, że to naga prawda — czasem może nazbyt naga. A może nie chciał tej prawdy? Może była niewygodna? Kiedy piszę o „klamrze" i o „uspokojeniu" nie mam na myśli, że spodziewam się triumfu książki. Mam na myśli koniec moich zmagań o nią. To, że teraz po prostu zaistnieje.

W recenzji z *Don Carlosa* Fryderyka Schillera Boy pisze: „Filip II nawet bez nienawiści byłby zawsze monarchą — ale czym bez nienawiści byłby Hitler?". Był rok 1932, Hitler nie zdobył jeszcze władzy, ale Boy wiedział już, kim jest, rozumiał, na czym polega jego sukces, ku czemu Niemcy zmierzają.

Wyczuwał niebezpieczeństwa. W tym samym roku 1932 sceptycznie pisał o jakiejś pacyfistycznej sztuce Shawa, cytując jego apele, demonstrował ich płaskość i banalność. Bo co taki Shawowski pacyfizm właściwie oznacza: — Oddajcie, Polacy, Niemcom k o r y t a r z i dajcie nam święty spokój!

26 sierpnia. Dzisiaj druga rocznica.

W takim notatniku musi się być szczerym. To nie znaczy, że ma się odnotowywać wszystko, co sobie człowiek pomyśli — nie, takiego obowiązku nie ma — ale nie wolno swoich uczuć zmyślać, nie należy refleksji komponować, żeby było z nimi bardziej do twarzy. To jest wstęp do tego, co chcę wyznać: że mam czasem takie uczucie, jakbym był nie w porządku wobec Reny. Że żyję. Żyję i życie lubię. Wszystko prawie normalnie. Nawet zachwyt dla piękna kobiet, dla ich kształtów. Zmysłowość w dłoniach. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. A może ma, może stary mężczyzna, wciąż myślący, reagujący, bardziej docenia urok i wdzięk kobiety, ich spojrzenia, dotyk — i ponętność…

Ale zarazem czuję wokół siebie, w mieszkaniu, obecność Reny. Nie tylko dzięki zdjęciom, na których jest uśmiechnięta lub zamyślona, ale też dzięki tej niewielkiej przestrzeni, w której przebywam, gdzie ona jest w tylu przedmiotach, we wszystkich zakamarkach. I w mózgu, w obrazach, które się w pamięci wyświetlają jak na ekranie. Czytam coś bulwersującego w gazecie, napada mnie jakaś refleksja, przypomina się anegdota — i od razu odruch, żeby się z nią podzielić, powiedzieć: „A pamiętasz…?”.

Wczoraj u Madzi na obiedzie. Młody kierowca, który mnie zawiózł, mówił o odbudowie Warszawy — jego ojciec, powiada, wspominał, jak szedł ścieżką między gruzami. (Ja też). Podziwia tamto pokolenie, które wzięło się do odbudowy. Wyliczam nazwiska niektórych architektów — już przed wojną stanowili zespół przy Starzyńskim: Jankowski, Knothe, Pniewski, Zachwatowicz (niektórzy byli w oflagu), Hryniewiecki, był między nimi i Marian Spychalski. „Dzisiejsze pokolenie — mówi kierowca — by się na to nie zdobyło”.

Inny kierowca, ten który woził mnie z powrotem do domu, po sześćdziesiątce, siwy, opowiada o starych, niedołężnych pasażerach, czasem z objawami demencji, którym trzeba pomagać. Jako puentę przytacza zakończenie wiersza Tuwima *Nauka*: „Proszę! Zostaw mnie na drugie życie, / Jak na drugi rok w tej samej klasie”. Ten Tuwim w jego ustach mi zaimponował, poetę by ucieszył. Musiał przerwać studia, bo mama sobie życzyła, by został — jako siódme dziecko — księdzem. Przez to mało miał doświadczeń z kobietami. „Panie, gdybym był znowu młody, tobym przyduszał kobiety”.

Mówię do Madzi, że mój główny kontakt ze współczesnością, to rozmowy z taksówkarzami. (Których dawniej, kiedy byli to często emerytowani ubecy, wystrzegałem się, można było usłyszeć coś ze spuścizny endokomuny, wolałem milczeć).

Czytam *Do następnych mistrzostw* Eshkola Nevo. Nevo jest pełnym temperamentu pisarzem hebrajskim, ale polskie wydanie jest przekładem z angielskiego („Word Cup Wishes”), niewątpliwie za zgodą autora. Tłumaczenie dobre, inteligentne, polszczyzna swobodna.

To, co w tej powieści jest uderzające, to że ta młodzież izraelska jest taka zwykła, taka dzisiejsza, nie ma w niej nic neurastenicznego, nic dramatycznego, przejmuje się najbardziej futbolem, kibicuje drużynie Makabi Hajfa (są mieszkańcami Hajfy i telavivianami pogardzają), podrywają sobie dziewczyny, ale przyjaźni nie zrywają. Przeczytałem 80 stron i jak dotychczas nie padło słowo „Arab”. W pewnym momencie domyśliłem się, że zastępuje je słowo „miejscowi”. (Chyba były to odwiedziny w arabskiej kamienicy, gdzie „śmierdziało szczynami”). Nie ma jednak dla nich takiego problemu. Problemem jest praca, służba wojskowa,

przyjacielska solidarność, miłość, może i rodzina. Futbol, ale chyba głównie jako więź. Coś jak dla Amerykanów baseball.

Boy, w pewnej recenzji o ewolucji obyczajowej: „Bo za moich czasów…”. Jak to? Więc te czasy, w których pisze recenzje, już nie są j e g o? Czasy, w których codziennie odwiedzał Ziemiańską, spotykał się z Tuwimem, Słonimskim, Francem Fiszerem, kochał się z Ireną Krzywicką, były jakąś daleką wyspą, na której ku własnemu zdziwieniu się znalazł? „Jego czasy” — to te, z których przywędrował, czasy, kiedy był studentem, spotykał się „u Turula” — to Przybyszewski, Dagny, Grzymała-Siedlecki, Makuszyński, K.H. Rostworowski, „Czas” i Starzewski (Dziennikarz z *Wesela*), no i Wyspiański, i dom Pareńskich. Wszystko to odpłynęło w przeszłość, i to bardzo szybko. Przyśpieszyła odejście tego lądu (zdawałoby się stałego) — wojna. Po niej — odzyskanie Niepodległości. Utrata Krakowa. *Znasz-li ten kraj?* Kraj za mgłą…

Książka Eshkola Nevo chwilami mnie niecierpliwi. To, co dla tych czterech przyjaciół jest ważne, czytelnika nie zawsze interesuje. Niby to wszystko psychologicznie prawdziwe, narrator spostrzegawczy, ale jest w tym wszystkim jakaś błahość, beztroska — co dobrze świadczy o życiu w tym kraju, o tym pokoleniu, są u siebie, do rządu mają zaufanie, do zagrożenia przyzwyczaili się, nie mają na tym punkcie obsesji — „Jakoś to będzie”, bardziej przejmują się słabą grą Makabi Hajfa. Może dlatego, że to tacy inni Żydzi, nowi, nie tragiczni, mają te książki powodzenie w świecie. Ale mnie przygody tych czterech młodych ludzi przestały interesować. Nawet ich miłości nie potrafią u mnie wzbudzić zaciekawienia, brak im

dramatyzmu. Muszę wierzyć na słowo — przejąć się nie mogę. Może to jednak pewien niedowład sztuki pisarskiej.

Wrzesień

Nazbyt lekkomyślnie oceniłem jakiś czas temu opowiadania Etgara Kereta (*Nagłe pukanie do drzwi*), że talent, ale nie ma o czym pisać — to nieprawda, te krótkie opowiadania pokazują rzeczywistość w sposób wyrafinowany, są w nich ludzkie dramaty. A że nie unosi ich polityka ani zagrożenie militarne, tylko codzienność — to dobrze. Błogosławiona codzienność, kiedy można się nią przejmować.

Pożyczyłem w naszej bibliotece *Żar* Máraiego (tłumaczenie Feliksa Netza). Czytam. Spokojna proza doświadczonego profesjonalisty. Nie ma nic zbędnego. Opisy wnętrz, ludzi raczej w guście Flauberta. I nic dziwnego, że Márai nie ceni zdobyczy Joyce'a — dla niego to ciekawostka, z której nie ma zamiaru korzystać, „już przebrzmiała".

Był zawziętym emigrantem. Myślę, że przesadził, kiedy w latach 80. odmówił wydawcy węgierskiemu zgody na opublikowanie w kraju swoich dzieł, „dopóki są tam wojska sowieckie". (Czy sądził, że jego odmowa przyspieszy ich usunięcie?) Te wojska nie wtrącały się (o ile wiem) do życia kulturalnego na Węgrzech, gdzie swoboda wypowiedzi była porównywalna z Polską, a nawet większa niż w Polsce przy „stanie wojennym". Zresztą sam fakt, że zwrócono się do niego, tak wrogo nastawionego, z taką propozycją, powinien był mu dać do myślenia, spowodować pewną rewizję poglądu na te sprawy.

A może liczył na Nobla? Po Miłoszu — wydawało się to całkiem możliwe.

W dodatku do „GW” „Ale Historia!” — ciekawy artykuł Krzysztofa Vargi o Horthym, „admirale bez floty, w państwie bez morza”. Złowroga rola węgierskich faszystów.

Telefonowałem do Różewicza. Myśli o przyjeździe do Konstancina w drugiej połowie września. „Ale… — waha się. — Ale nie wiem, jak to będzie. Zobaczymy”.

Dziś rocznica masakry dzieci w Biesłanie. Jaką trzeba jednak mieć bandycką duszę, by zaatakować dzieci, i to w tak ważnym dla nich dniu — pierwszym dniu szkoły. W dniu, w którym zaczyna się dla nich nowe życie. Pamiętam, że zalaliśmy się łzami.

Macierewicz atakujący w sejmie premiera: „Wkrótce będzie pan Donaldem T.”. Takich osobników jak on — zawziętych, opętanych, hodujących w sobie kolejne nienawiści, żywiących się nimi z rozkoszą — nigdy nie zabraknie. Dba o nich „niewidzialna ręka” starć politycznych. Myślą, że są sobą, ale nie, pobudza ich swoista „siła wyższa”, wciąż aktywny Mr Hyde. (Czy dla najbliższych przy śniadaniu, w biały dzień — jest jak łagodny i kulturalny dr Jekyll? Niekoniecznie).

Może to ten klimat monarchii austriackiej, parasol roztaczany przez cesarza Franciszka Józefa, powoduje, że w powieści Máraiego *Żar* — której entuzjastów u nas spotykałem, wielbionej chyba z przesadą — jest w narracji coś między Brunonem Schulzem a Kuśniewiczem. Co nie oznacza jeszcze arcydzieła.

Wczoraj był Maciek. Założył nową podpórkę („nogę”) pod blat w kuchni. Wymienił baterię w komórce. W lodówce mam już widno:

wkręcił żarówkę. Myślę o tym wszystkim z sentymentem. W ogóle myślę z sentymentem, kiedy ktoś w jakimś drobiazgu mi pomógł.

W *Żarze* Máraiego pean na cześć męskiej przyjaźni. Że ważniejsza. Że mocniejsza. To ocena raczej literacka. Przyjaźń Dumasowskich muszkieterów wynika z potrzeby, ze wspólnej sprawy, wspólnej walki na śmierć i życie. (Podobnie jak w Trylogii Sienkiewicza). Przyjaźń La Boétie i Montaigne'a wynikała z bliskości intelektualnej, duchowej, która ich wyróżniała na tle barbarzyństwa i okrucieństwa tamtych czasów. Była potrzebą duszy. Taką potrzebę zapewne odczuwał i Márai. Potrzebę niezaspokojoną. Nie widać w jego *Dzienniku* śladów jakiegoś przyjaciela, z którym szedł przez życie. Jest żona, adoptowany syn Janos — tylko oni. (Może i jakaś ukochana kobieta, o której woli nie wspominać).

Za dwa miesiące kończę 89 lat. Właściwie tylko to — albo przede wszystkim to — powinno być tematem tych notatek: u c i e k a j ą c y c z a s. Bezwzględność liczb. Ale po co? Filozofię płynącego czasu (przypominam, że o sobie pisałem: „uciekającego") każdy przeżywa po swojemu. Jeśli w ogóle coś przeżywa. Jeśli nie woli zalać się piwem, nie odczuwać żadnej „transcendencji".

Márai. Ma chyba 75 lat, kiedy przyjeżdża do Wiednia. I tu, w Wiedniu — nareszcie kawiarnia. Sacher. (U Sachera bywali za cesarza krakusi, a zdarzyło się, że byłem, by oddać co należy tradycji, i ja). Wszystko jak kiedyś, tak to odczuwa. Najbardziej, zwierza się, w ciągu tych 25 lat brakło mu na emigracji kawiarni. Wszystko jak kiedyś? Chyba nie orientuje się we własnych odczuciach. To „jak kiedyś" on sobie konstruuje. Ta kawiarnia, do której musiał wstąpić (jak Słonimski do Ziemiańskiej, a po wojnie najpierw

do naszej kawiarni literackiej, potem do Lajkonika, Marca, PIW-u, Galińskiego, by wylądować na koniec w Czytelniku), to byli l u d z i e, ci, których na pewno spotkasz, przyjaciele, znajomy kelner, który bez zamówienia wiedział, co podać. Bez tych ludzi kawiarnia to tylko stoliki i krzesła, kawałek zapamiętanej boazerii. Jeszcze gorzej, kiedy zamiast tych rozmówców obsiadują stoliki nowi bywalcy, młodzi, hałaśliwi, których nowa książka nic nie obchodzi, żłopią piwo, a z głośnika drze się tzw. muzyka i żeby rozmawiać, trzeba ją przekrzykiwać. Márai nie uświadamiał sobie, tęskniąc do kawiarni, czego naprawdę mu brakło.

Żar — proza, owszem, profesjonalna, solidna, domyślna psychologicznie. W pewnym momencie zaczynam jednak odczuwać — moja wina — że ci bohaterowie nic mnie nie obchodzą, nie interesuje mnie ani: „Generał”, ani jego ojciec „Oficer gwardii”, ani „Konrad”, przyjaciel Generała, który pojawia się po 40 latach. Przestałem czytać.

Wolę jego dzienniki, pokazują żywego człowieka, wrażliwego, oczywiście myślącego, którego czasem za jakąś refleksję podziwiam, czasem z nim się sprzeczam.

Nareszcie kontakt z Wydawnictwem Literackim. Gdzieś koło czwartej po południu dzwoni p. Nyczowa. Zapytuję: „Czy posłowie dotarło?”. Odpowiada z ożywieniem: „Nie tylko dotarło, ale już przeczytane. Jest wzruszające. To jest to, czego chcieliśmy”. I dodaje: „Znakomite”. Omawiamy kilka spraw praktycznych związanych z drukiem. Okładkę dostanę do zatwierdzenia. Ja wspominam, że jest taki niezwykły obraz van Gogha: stare zniszczone buty (zdaje się, że mam kupioną w Amsterdamie widokówkę). Co do terminu wydania — nie ma jeszcze decyzji.

Ulga. Bo nie byłem pewny, czy posłowie w ogóle zaakceptują. Może wyobrażali je sobie inaczej? A tu proszę: „Znakomite”.

Rano — przyjemna niespodzianka; mail od Thimothy'ego Snydera. Dziękuje za posłowie, precyzuje (na moją prośbę), że po angielsku to „Afterword". I po polsku: „Piękne ma pan pióro!".

W „Polityce" o upowszechnieniu się kultu relikwii w Polsce. Już 500 probostw ma relikwię z „kroplą krwi" Jana Pawła II; znalazła się dziewczyna, której modlitwa do kropli krwi uzdrowiła sparaliżowane nogi. Ale największy wyczyn Jana Pawła II to ten, że pomógł polskiemu bramkarzowi w meczu z Rosją obronić karnego. Zawsze lubił sport. Niestety, mecz z Czechami duch papieża zlekceważył — Polska przegrała. Może to zresztą dowód, że mecz z Rosją to sprawa większej narodowej wagi.

W piątek dwukrotnie w Czytelniku. Przed południem z p. Julianem Betterem ze Szwecji. Wygląd ma „słowiański", przypomina Utiosowa w filmie *Świat się śmieje*. Przyszła też p. Renata B., której przyniosłem obiecanego *Błazna*, jeszcze w wydaniu Iskier. Ubrana starannie, sylwetka szczupła, jest dużo wyższa, niż mi się wydawała kilkanaście dni temu, kiedy podeszła do mnie na Nowym Świecie. Powiedziałem teraz (co p. Better dobrze przyjął), że dziewczyna jest bardzo jednolita w kształcie — od twarzy, szczupłej, wydłużonej — poprzez sylwetkę aż po długie palce dłoni.

Powinienem więcej napisać o panu Betterze. Urodził się w więzieniu, w 1937, w Butyrkach. Ojciec rozstrzelany. Do siódmego roku życia nie znał polskiego. (Jak Karol Modzelewski). Dzieciństwo po wojnie w gimnazjum, wśród dzieci elity władzy na Wiejskiej i Parkowej. Napisał autobiografię. Przyśle mi ją, zgodziłem się przeczytać. Mojego nazwiska długo nie znał, jest chemikiem. Dwa lata temu ktoś mu podsunął *Nowolipie*. „Odtąd pan

mnie ma!” Kupi je po angielsku, *Nowolipie Street*, dla synów, „oni nic nie wiedzą”. Przygarnął też *Nie boję się bezsennych nocy.* Przyniosę mu jutro *Najpiękniejsze lata.*

W porze obiadowej ponownie w Czytelniku: autor Roman Kessler, adwokat z Tel Avivu (na którego ślubie byłem w 1963), stawia „lunch”, mnie i Eli Barburowi, który jego autobiografię napisał. Stęskniony za polskimi daniami Eli bierze sztukamięs w sosie chrzanowym — co za smakołyk! Nie ma czegoś takiego w Tel Avivie! Roman zachwyca się fasolką szparagową. Nadeszła miła para jego przyjaciół, też prawnicy, pp. Komornikowie. Nazwisko, które czasem przeszkadza. Przez telefon: „Mówi Komornik”. Pijemy kolejne winiaki.

Czytanie tomów recenzji Boya w odwrotnej chronologii, najpierw rok 1937, potem lata 1935–1936, 1933–1934, 1931–1932, ma swoją pikanterię i bywa pouczające. Teraz mam tom z latami 1929–1930. Więc najpierw np. wspaniała Eichlerówna, a później świetnie zapowiadająca się Eichlerówna, a teraz Eichlerówny w ogóle (jeszcze) nie ma. Najpierw pesymizm, przewidywanie ponurej przyszłości (1937) — „wszystko co złe może wrócić” — potem to, co grozi Europie ze strony narastającego faszyzmu, a teraz (1929) jeszcze hurraoptymizm, wiwat nasze czasy, jakież to wyzwolenie dla kobiety, dla młodych panien, ile zawodów się otwiera, dansing jako miejsce demokratycznego obcowania, stenotypistka przy fokstrocie może spotkać reżysera, bankiera, nawet ministra…

Czasy są zmieniły, dostawcy teatralni — Wroczyński, Krzywoszewski, Kiedrzyński — chcą się do nich dostosować, wprowadzają do akcji samochód, radio, dansing, a Boy pokazuje, jak bardzo tkwią oni w przeszłości, konfliktach, w postaciach z czasów szlacheckich. Jakby

przewidział uwspółcześnianie np. pani Dulskiej przez wprowadzenie komórki i komputera.

Nie mogę sobie odmówić przytoczenia pewnej opinii (w recenzji ze sztuki Veillera *Proces Mary Dugan*): „Pan Lenczewski skończy tym razem na fotelu elektrycznym, na co się już dawno zanosiło — strach pomyśleć, ile ten człowiek w swojej karierze scenicznej ma łajdactw na sumieniu!”.

Homo ludens. Nigdy nie wyglądało to tak jaskrawo i mocno jak teraz. Chociaż, co my możemy wiedzieć o potrzebie zabawy w Średniowieczu? Huizinga dowodzi, że zawsze ta potrzeba istniała, że „nie samym chlebem…”. Okrzyk tłumu „Chleba i igrzysk!” był wołaniem (żądaniem) o to, co najpotrzebniejsze. Tyle że nie było wtedy telewizji i innych środków przekazu, dzięki którym rozrywka może objąć miliony, i to równocześnie. Można ją odbierać nieprzerwanie przez 24 godziny. To różnica.

Ostatnie lato było pod tym względem znamienne. Najpierw piłka w Euro, potem igrzyska olimpijskie w Londynie, Wimbledon, Tour de France, festiwale filmowe w Cannes, Berlinie i Wenecji, Vuelta de Espagna, US Open. Nieustający ciąg zabaw. Rajdy, wyścigi, maratony. Brydż, bilard i współzawodnictwo w szuraniu szczotką po lodzie.

Niektóre namiętne rozgrywki i rozrywki — bez których trudno sobie wyobrazić nie tylko sport, ale i życie towarzyskie pewnych grup — mają początek w zabawach dziecięcych. Na przykład golf. Jest dołek w ziemi — i trzeba trafić doń piłeczką. Bawiliśmy się w coś podobnego, nie wiedząc jeszcze nic o golfie. Jest duża piłka (nam wystarczyła szmacianka) i lepszy jest ten, kto wkopie ją między dwa słupki. Niektóre sporty zaczęły się, być może, jako zabawy na odpuście.

Ja w swojej notatce nagryzmolonej na kartce zwróciłem zarazem uwagę na coś innego: że ci, co nas b a w i ą, są wielokrotnie lepiej opłacani od tych, co nas żywią, ubierają, uczą. Miliony srebrników — przeciw kilkunastu. Dzięki telewizji dochód — bardziej niż bilety, nawet drogie, nawet sprzedawane masowo — dają organizatorom reklamy. Popularny aktor nie musi mieć ambicji pokazania się w niezwykłej roli. Wystarczy, że zareklamuje bank.

Odnotowałem też, że w to zjawisko — homo ludens — wpisują się też, całkiem świadomie, masowi mordercy — tacy jak Breivik w Norwegii czy ten Amerykanin z Denver, który strzelał do widzów *Batmana* w kinie. I także mordercy-samobójcy, herostratesi polityczni. Wiedzą, że media będą się nimi zajmować, zapamiętamy ich twarze, nazwiska. Niektórym z nich obiecana jest nie tylko sława, ale i zabawa po śmierci z 72 hurysami.

W „GW” wywiad z Romanem Giertychem. To, co w nim najciekawsze, to obszerne potępienie antysemityzmu. „Katolik nie może być antysemitą. Nasz Pan, Jezus, był Żydem. (…) Na chuście Weroniki utrwalone są jego rysy wybitnie semickie”. „Czy odżegnał się od poglądów swojego ojca?” — pyta Madzia. „Nie zadano mu takiego pytania”. Ojciec jak ojciec — nie pamiętam jego poglądów. Ale żydożerstwo dziadka Jędrzeja pamiętam.

Kiedyś, półżartem, radziłem p. Giertychowi, by poczytał trochę światłej literatury: Montaigne’a, Russella, Berlina, Fromma, Boya (może być, dodałem, i moje *Nie boję się…*, gdzie ja z tymi myślicielami obcuję). Ciekawe, czy coś z tego uszczknął?…

Z Madzią w rezydencji amerykańskiej na Idzikowskiego; wystawa fotografii Niezabitowskiej i Tomaszewskiego. Znajomych prawie nie było. Ale był Tadeusz Mazowiecki (niegdyś, kiedy był premierem, chlebodawca

Niezabitowskiej). Witając się z ludźmi, którzy podchodzili podczas naszej rozmowy, zawsze dodawał: „Jestem wielbicielem książki pana Hena”. Wymieniliśmy numery telefonów (on, jako dygnitarz, za którego wszystko załatwia sekretariat, z trudem sobie swój przypomniał). Umówiliśmy się, że zadzwonię do niego w październiku — i spotkamy się. (Wciąż chodzi mi po głowie pomysł *Zastępcy*, notuję dialogi między narratorem a Wróżką — pewnie tego pisać nie będę, ale dobrze jest o tym myśleć).

Mam wreszcie książkę Jerzego S. Majewskiego *Warszawa nieodbudowana. Żydowski Muranów i okolice.* Spis treści wskazuje na ulice lub domy. W dwóch rozdziałach p. Majewski cytuje dosyć szeroko *Nowolipie*: opisując dom mojego dzieciństwa i dom, w którym mieszkała moja babcia, Solna 9. I cytuje, co świadczy o jego wrażliwości, to, że „Babcia miała szczęście. Zmarła, kiedy jeszcze nie było getta”. Miała normalny pogrzeb i do grobu odprowadzali ją drobni kupcy i straganiarze z Wielopola.

Autor zajmuje się domem Elektoralna 5/7, bo w tym domu mieszkał Zawadzki ps. Puchatek, którego siostrą była Wichowa (Teofila), redaktorka Czytelnika, wspominana przeze mnie w posłowiu do *Nikt nie woła*. Otóż dla mnie istotne jest, że w tym domu, o czym p. Majewski nie wspomina, mieściła się drukarnia Monolit, której właścicielem był p. Rachman, ojciec Giny. Gina występuje pod swoim imieniem w *Przed wielką pauzą* (zauroczony jest nią Bożek), w epizodzie w *Oporze* i w *Nowolipiu* wielokrotnie, jest wśród śpiewających dziewcząt na plaży nad Wisłą w przededniu wojny. I to jej zdjęcie ogląda niemiecki żołnierz, kiedy przekraczałem granicę, i jej wygląd przekonał go, że jestem aryjczykiem. „Miłość się opłaciła” — napisałem gdzieś.

W TVN24 audycja „Xięgarnia”. Przepytują Katarzynę Grocholę. Dowiaduję się, że nakłady jej książek doszły do kilku milionów. Kiedy Agata Passent ją pyta, co się najbardziej czytelnikom w jej książkach podoba, autorka odpowiada: „Szczerość”. Szkoda, że nie czytała mojego *Dziennika*, gdzie akurat ta sprawa (szczerości w literaturze) jest omawiana. „Szczerość to nie jest kategoria literacka” — powiedziałem Ewie T., kiedy mówiła, że jej profesor chwalił mnie za szczerość. Można być bardzo szczerym łajdakiem i szerzycielem nienawiści. Erenburg przypomina, że Nikołaj Niekrasow, autor poematu *Komu się na Rusi dobrze dzieje*, był człowiekiem nie najlepszej konduity, a pisał utwory humanistyczne, cenne — pisał, powiedzmy, nieszczerze — ale dobrze mu to wychodziło. Na pewno na ten temat dałoby się coś powiedzieć i o dobrotliwym Dickensie.

Czytanie *Wieczoru siódmego (Flirtu z Melpomeną)* jest przedziwnym doświadczeniem. Bo to był pierwszy *Flirt*, jaki wpadł mi w ręce. Miałem 14 lat, kupiłem go, wracając z gimnazjum do domu, u mojego straganiarza na bazarze między Lesznem a Nowolipiem. Zacząłem czytać na ulicy: to była recenzja z *Rewizora* Gogola (z Zelwerowiczem jako Horodniczym). I tak już czytam po dzień dzisiejszy: 75 lat! Po wojnie odkupiłem sobie ten *Wieczór* w antykwariacie, znowu mam go na własność. Wydawało mi się, że znam go na pamięć. Ale nie: niektórych recenzji wcale nie pamiętałem, inne — jak na przykład ta ze *Snu srebrnego Salomei* — wciągnęły mnie, a nawet zafascynowały ponownie. Ciekawe, że Boy, po wydrukowaniu recenzji ze *Snu…* w gazecie, gorszy się, że przyjęto jego wywody politycznie, podczas gdy on cały czas rozważa wartość „literacką”. Nie zdawał sobie sprawy, że napisał niemal traktat polityczny — o grzechach możnowładców polskich na Ukrainie. Określił nawet Słowackiego jako

„zamaskowanego Ukraińca”, a o sztuce napisał, że jeśli będą ją za sto lat grali, to chyba w teatrze imienia Szewczenki.

Wystawiono kilka lat temu *Sen.*.. w telewizji. Muszę wyznać, że nie potrafiłem tego oglądać. Piękny język, ale ile tu okrucieństwa, groteskowej nekromancji, piszczeli, czaszek — nie do zniesienia po okrucieństwach i nekropoliach obozów zagłady.

Dzisiaj uderzają mnie czasem w języku Boya, tego tak nowoczesnego pisarza, jakieś relikty dziewiętnastego wieku, a może tylko krakauerskie. Na przykład: „Czym się dzieje…?” tam, gdzie dziś napisalibyśmy: „Jak to się dzieje…?”. Albo „Uważałem” w sensie „Zauważyłem”. Boy pisze jeszcze „współczuję z nim”, co jest właściwym odczytaniem sensu tego słowa, „czuć wspólnie”, czyli „współczuć” — niestety to zanikło, dzisiaj „współczuje się” komuś, a więc słowo przeobraziło się.

Październik

Aleje Ujazdowskie bez ruchu. Na placu Trzech Krzyży dziesiątki pisowców, związkowców z Solidarności, obrońców skrzywdzonego Radia Maryja. Przewodniczący Duda przemawia, twierdzi, że postulaty z 1980 są aktualne. (Więc chce jednak socjalizmu?) Prezes przemawia: „Miarka się przebrała!”. Wylicza, co rząd ma na sumieniu. Telewizja każde sprawozdanie zaczyna od powtórzenia tego „Miarka się przebrała”.

I jeszcze przemówienie niejakiego Szczerskiego: „Premier tkwi w kieszeni niemieckiej, a prezydent w rosyjskiej budzie”.

Do „Szkła kontaktowego” wydzwaniają pieniący się nienawistnicy, często z podtekstem, albo i z nadtekstem antysemickim. Jeden, chyba z Niemiec, że jest „piąty rozbiór Polski”, wszystko sprzedane, rządzą Żydzi. Któryś z nich nazywa tych, którzy władzy „dyktują”, eufemistycznie — „ekipą ze wzgórz Golan”.

Kaczyński widzi wyjście w rządzie „technicznym”, niepolitycznym — aż do wyborów. („Technicznym”, ale — jak się domyślam — kontrolowanym przez niego). Oleksy nieśmiało z nim polemizuje: „Rząd techniczny, niepolityczny — to fantazja”. Każdy rząd będzie miał do rozwiązania sprawy polityczne, znajdzie się w sytuacji wymagającej doświadczenia politycznego. Polska w Unii, w NATO, stosunki z Ameryką, Rosją, Niemcami, Litwą, Ukrainą, Łukaszenką, obecność w Afganistanie, Chiny, Syria, Egipt i Izrael — jeśli to miałby wziąć na siebie „ekspert”, profesor, to taki jak profesor Kissinger, kuty na cztery łapy. Rząd „ekspercki”? Ale eksperci też bywają idiotami. I łapówkarzami.

Nie wspominając już o tym, że po latach ci uczciwsi często wycofują się z początkowych pomysłów, uważają je za swoją pomyłkę.

Rząd „ekspercki” to taka sama utopia jak rząd czysto polityczny, partyjny. Przydałby się rząd czystych, światłych, utalentowanych i kompetentnych ludzi — znajdźcie ich! I na tym polega trudność. Że to też utopia.

Przed chwilą dzwoniła Madzia. Miała telefon z Wrocławia, że ciotka zmarła. Dla mnie to Ritka, siostra Reny. „Nie zanosiło się na to” — mówię. Madzia: „Tak, gasła, ale myślałam, że pożyje jeszcze ze dwa lata”.

Madzia miała pojechać od razu do Wrocławia, ale Krysia, szwagierka Rity, dzwoniła, że nie ma jeszcze potrzeby. Żeby z tym zaczekała.

I tak przeminęły te dwie delikatne dziewczyny z Nawarii, „muślinowe panny”, jak mówił o nich profesor Orłow. Delikatne, ale potrafiły borykać się z trudami życia, zadbać o godność, w głodzie i w chłodzie…

Układałem nekrolog (informacyjny) o odejściu Ritki. Maciek to załatwi.

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które na wniosek związkowców wprowadza obowiązek udzielenia dodatkowego wolnego dnia pracownikom, jeśli święto Trzech Króli wypadło w wolny dzień, jest niesłuszne i nieinteligentne — demaskuje istotę rzeczy: że nie chodziło o wskrzeszenie i uczczenie zapomnianego święta, czego domagali się bigoci z Łodzi, ale o wydarcie jeszcze jednego wolnego dnia. Ze szkodą dla pracodawców i całej gospodarki. Bo gdyby chodziło naprawdę o uczczenie Trzech Króli, można to zrobić także w sobotę czy w niedzielę.

Sobota, 13 X. Dziś w Konstancinie z wizytą u Różewicza, taksówką w obie strony.

Rozmowa niełatwa, bo nie zawsze interesuje nas to samo. Mimo to rozmowa była bardzo żywa, głównie zahaczaliśmy o ludzi. Wspomniałem Yorisa Ivensa, który jest jedną z postaci filmu *Hemingway i Gellhorn*, on też znał Ivensa, wie, że poślubił Ewę Fiszer, ja opowiadam, że Yoris, reżyser filmów dokumentarnych, wierny komunizmowi, po rozwodzie zachowywał się wobec Ewy bardzo wielkodusznie, kupił (czy wynajął) jej jakąś dziuplę w Paryżu na piątym piętrze (bez windy). Ewa przyjaźniła się z Anną Philipe, żoną Gerarda i z bardzo dobrą aktorką angielską, Betsy Blair, która grała w ambitnym filmie *Główna ulica* i bodajże w *Martym*.

Rozmowa o jego bracie Stasiu. O Jerzym Jarockim, który właśnie zmarł. Spytał, co mam zamiar zrobić ze swoją biblioteką; Porębski swoją oddał MOCAK-owi w Krakowie. Ale ja mam dzieci i wnuki — one przejmą książki i zrobią, co zechcą.

Madzia, Maciek i Julka we Wrocławiu na pogrzebie Ritki. Dzień przedtem zamieściliśmy w „Stołecznej” nekrolog informacyjny, że „była

siostrą niedawno zgasłej I r e n y H e n”. I że „ceniona i lubiana lekarka”. (Tak było).

Kłopotów moich dzieci ze spadkiem po Cioci nie będę odnotowywał. Są. I to bardzo przykre.

W kawiarni W Biegu Café p. Żdżalik, mój czytelnik, przekonywał mnie, że jestem znany, czytany, i wtedy powiedziałem: „Nie mam swojego fanatycznego krytyka, nikogo, czyją ambicją byłoby tę twórczość szerzyć, umiałby do niej przekonać”. Otóż kiedy w rozmowie z Mają o to zahaczyliśmy, powiedziałem: „Nie można mieć wszystkiego. Mam długie życie, budzę się rano zdrowy, ze świadomością, że skontaktuję się z dziećmi, rodziną, przyjaciółmi”. „I przyjaciółkami” — podtrzymuje wywód Maja. „Gdyby mi powiedziano: jest taki wybór — być sławnym i czczonym na całym świecie jak Czechow, ale żyć tak jak on tylko 44 lata, co bym wybrał?” „Życie” — domyśla się Maja. „Tak, życie — życie jest najważniejsze. Życie — oczywiście w zdrowiu, bez bólów, świadome — to najpiękniejszy dar. Jaki ten świat jest to jest, ale można w nim znaleźć zakątki dobra i piękna”. Maja kiwa głową. Rozumie mnie.

W „Dużym Formacie” felieton Krzysztofa Vargi „S i k a n i e n a z n i c z e, czyli Wildstein wymiata”. O tym, że Bronisław Wildstein napisał wściekłą pisowską powieść (*Ukryty*), a Antoni Libera porównuje w „Uważam Rze” Wildsteina „jednym machnięciem pióra do Dostojewskiego, Conrada, Koestlera, Orwella i Houellebecqa jednocześnie”. Dalej Varga przypomina, że „świętej pamięci Henryk Bereza też miał intensywną skłonność do ogłaszania co pewien czas polskich Dostojewskich i polskich Kafków”.

O faszyzacji wśród młodzieży, o nacjonalizmie, rasizmie, ksenofobii — myślę ze zgrozą i w kompletnym upadku ducha i wiary w przyszłość. Ktoś może powiedzieć: to przecież nie jest większość. Zapewne, mniejszość, ale wystarczająca, by wprowadzić stan zagrożenia. Kiedy się rzuca hasło: „Polskę trzeba odzyskać” — mało kto zastanawia się nad zawartą w tym haśle bzdurą. Kiedy ich „wódz” bez żenady nawiązuje do przedwojennego ONR, woli nie pamiętać, że przedwojenny ONR, że faszystowski nacjonalizm polski działał jednak w innym kraju, z problemami mniejszości. (Co nie znaczy, że można go usprawiedliwić). Dziś taki wykrzykiwany program ma charakter tylko emocjonalny, chęć wyżycia się, danie upustu wyobraźni, rodzaj turystyki „wehikułem czasu” do krainy, która istnieje tylko w przeszłości. Politycznie jest to bezcelowe, ale mimo to groźne.

I ci oenerowcy, dmowszczacy, którzy składają hołd Piłsudskiemu — no, zabawne.

O szóstej rano dzwonię do Madzi, już obudzona. Za godzinę przyjedzie po nią Maciek, mają jechać do Wrocławia na otwarcie testamentu u notariusza.

Kilka dni temu, szukając widokówki, na której była fotografia obrazu van Gogha ze starymi butami (nie znalazłem), odkryłem zadziwiający dokument: oto ja i Adolf Chronicki potwierdzamy „akt kradzieży”: 1 października 1944 r. w Lublinie, na poczcie polowej, ukradziono wojskową pelerynę ob. Geszajtowi (późniejszemu Mietkowi Komarowi). „Obywatel”? Chyba dlatego, że wciąż w stopniu szeregowca, mimo wykształcenia.

Ja swoją pelerynę sprzedałem w listopadzie 1944 roku w Rzeszowie za 400 złotych, które posłałem Renie do Samarkandy. Napisała, że ma wyrzuty sumienia, bo lekkomyślnie wydaje przesłane jej pieniądze na rodzynki.

Znalazłem też cztery pisemka — dwa z milicji, dwa na skutek moich odwołań z biura paszportów MSW z końca 1973 i stycznia 1974 roku, które kończą się jednakowo: „w sprawie o wydanie zezwolenia na wyjazd do Francji podjęta została decyzja odmowna".

Najważniejsza wiadomość w mediach: kto zostanie prezesem PZPN. (Został Zbigniew Boniek). Kilka dni temu zadzwonił do „Szkła kontaktowego" jakiś starawy chyba już facet, by wyliczyć różne świństwa i podłości, które miał zrobić Boniek. I jak się wzbogacił. Nie o to chodzi, co z tego jest prawdziwe, a co pochodzi ze złej plotki — uderzała nienawiść w głosie telefonującego, zawziętość, zawiść — zupełnie jakby ten Boniek zrobił karierę (także strzelał bramki) jego kosztem.

Wielu starców w tym kraju żywi się nienawiścią, dzwonią do telewizji, żeby się wykrzyczeć — jaki ten rząd podły, zdradziecki, Polska w niewoli, Tusk zrobił „piąty rozbiór Polski".

Od wczoraj w Warszawie biało — czyżby już zima? Dziś Tadeusza. Zadzwoniłem do Różewicza. Wyjrzało słońce, mówi p. Różewiczowa, i Tadeusz wyszedł na spacer. Czyli jest w formie, ucieszyłem się. Pani obiecała przekazać Tadeuszowi słowa o mojej pamięci.

Kilka dni temu dzwonił pewien Amerykanin z polecenia Halszki Kołaczkowskiej. Najpierw — o mojej rozmowie z nią. Myślę, że jest o kilka lat starsza ode mnie, ale nie o naszych latach rozmawialiśmy. Jej wnuczka, Halżka (od „Elżbiety"), o której wspominam w *Nie boję się*

bezsennych nocy, o tym jak stara, wąsata i brodata wdowa po Żeromskim, pani Anna, przechodząc obok stolika, przy którym siedzieliśmy w jadalni w Konstancinie, powiedziała: „Do widzenia, śliczna panienko”; Halżka ma oczywiście ten tom, z zaznaczonymi miejscami, gdzie jest o niej mowa, otóż ta dziewczyna w białej sukience uwydatniającej (jak pisałem) jej ślicznie zarysowany tyłeczek, mieszka w Sztokholmie, ma już dorosłą córkę i raczej do Polski nie wróci.

Ten jej znajomy Amerykanin chce zrobić szereg rozmów o środowisku żydowskim przed wojną. Dobrze, ale niech najpierw przeczyta *Nowolipie Street*.

Kilka dni później telefon od niego. Eric Bednarski. Mówiliśmy po polsku, chociaż on uprzedzał, że wciąż ma z mówieniem kłopoty. Kiedy chce się spotkać? On, że najpierw woli poczytać. Zamówił już w sieci *Nowolipie Street*. Polecam mu *Najpiękniejsze lata* i *Dziennik na nowy wiek*. „Na moich książkach nauczy się pan czytać — mówię ze śmiechem. — Są proste i jasne w stylistyce”. (No, niezupełnie; przypominam sobie pewne fragmenty *Najpiękniejszych lat)*. „Dziennik powinien sprawić panu mniej trudności”. Tak, zgadza się, zawsze to tylko fragmenty. Ma mieszkanie w Warszawie, może być długo.

Blondyna w okularach, zaciekła pisówa, dała koncert w sobotniej audycji „Babilon”, rozmów z paniami, które prowadzi sympatyczny, inteligentny i, co najważniejsze, taktowny p. Piotr Marciniak. Redaktor porusza bulwersującą sprawę zachowania się pań prowadzących prywatny żłobek. „Jak pani to skomentuje?”. Ona: „Tusk powinien się podać do dymisji”. I tak cały czas, na okrągło. Cokolwiek się zdarzy — policja się pomyli, ktoś coś ukradnie, pociąg się spóźni — ona ma swoją mantrę: „Rząd powinien

podać się do dymisji”. W sprawach ustawy antyaborcyjnej: „Jestem katoliczką”.

Jest katoliczką, ale nie chrześcijanką — można to śmiało stwierdzić. Jest w niej gniew, nienawiść, fanatyzm — wszystko wbrew nauce Jezusa. W sprawie płodu, z którego może wyróść kaleka: „Taka jest wola boska”. W sprawie in vitro: „To ingerencja w wolę boską”. Joanna Szczepkowska przypomina, że poglądy Kościoła się zmieniają, kiedyś występował przeciw szczepieniom, przeciw transplantacjom, bo to „ingerencja w wolę boską” — dziś się temu nie sprzeciwia.

Ja bym przypomniał, że kiedyś Kościoły — bo także i protestancki — były przeciw piorunochronom: grom z nieba jest wyrokiem bożym. W Polsce na szczęście był prymas Michał Poniatowski, światły brat królewski, który popierał zakładanie piorunochronów.

Złodzieje samochodów ukradli w Berlinie z zakładu pogrzebowego karawany, bo te się w Polsce dobrze sprzedaje. Nie wiedzieli, że karawany były z trumnami, a w trumnach zwłoki — dwanaście zwłok — porzucili je w lesie gdzieś w okolicach Poznania. Podłość wynikająca z tępoty uczuć. Być może dobrze się przy tym bawili. Uważają się zapewne za normalnych facetów, świetnych kumpli — będzie forsa i będzie można popić i pożyć trochę szerzej.

Gdyby takie przestępstwo, podłe bo podłe, prowadziło do zmiany statusu życiowego, do kapitału, który pozwoliłby założyć jakiś interes, rozpocząć czcigodne życie mieszczanina, można by to, z ubolewaniem oczywiście, zrozumieć. Trudno, wilcze prawo kapitalizmu. Ale o nic takiego nie idzie. Profanują zwłoki, bezczeszczą ludzką żałobę (nie wspominając już o tym, że zohydzają Polaków w oczach Niemców — założyłbym się zresztą, że uważają się za dumnych Polaków, cwańszych i lepszych od głupoli

niemieckich) — oni tę gotówkę przepiją i przehulają i będą się rozglądać za nowym skokiem.

Rozmyślania po zamieszczonym w „GW” artykule Leszka Kołakowskiego z 1956 roku (zalecanym przez Michnika) z bardzo precyzyjnymi, mocnymi stylistycznie sformułowaniami. Szkoda, że nie wiadomo z którego miesiąca — czy napisany przed Październikiem, więc jakby przygotowanie do niego, zapowiedź, czy po, a więc jako rezultat, badanie własnej klęski i zarazem głos nareszcie wolny.

Dla mnie podzielane przez wielu przybyszy z Rosji złudzenie, że po wojnie będzie inaczej, w Polsce szczególnie, kończy się w 1947 roku, kiedy potępiono Titę. A potem tzw. walka z kosmopolityzmem, z niewątpliwymi akcentami antysemickimi, wezwanie Bieruta do „szczujności”, zjednoczenie partii (zarazem likwidacja PPS). Żdanow! Duszenie literatury, filmu, Szostakowicza, Prokofjewa. Jak to możliwe, że tym młodym ludziom związanym z partią to nie przeszkadzało? Że wciąż się łudzili — pisze Magdalena Grochowska w artykule o Kołakowskim *Byłoby lepiej, gdyby był* — że „komunizm — tak to widział, wstępując po wojnie do partii — to pogromca rasizmu, królestwo równości i swobody. Cel, który usprawiedliwia wszystko, także przemoc”. (Zabawne: myślałem, że tytuł artykułu p. Grochowskiej odnosi się do nieobecności wśród nas Kołakowskiego, okazuje się, że chodzi o Boga: „Lepiej, żeby z nami był”).

Nie wszystko może być usprawiedliwione — tak właśnie zdecydowałem dla siebie ja. Rena uważała mnie czasem za „reakcjonistę”. Ja, jeśli o czymś marzyłem, to o świecie, w którym sprawy rozstrzyga się systemem fair play. Wiem, że to naiwne, ale będę zachowywał się tak, jakby to było możliwe. Będę się tej gry fair domagał — tyle, ile mogę.

(Boże, przeraziłem się, odczytawszy swoje notatki, używam zbyt wielu słów, moje notatki powinny być zwięzłe, a konstatacje wręcz aforystyczne).

Listopad

Telefon od p. Ani z księgarni: „Mam dla pana prezent od pana Komara”. Jest książka *Historia z konsekwencjami. Z Krzysztofem Kozłowskim rozmawia Michał Komar.* Rzucam się do czytania. Przesyłam Michałowi maila, że czytam — i że mam jedną pretensję: „Wszystko zaniedbałem — tylko czytam”.

Kilka maili do przyjaciół i znajomych z Nowego Jorku i stanu Maryland, czy dotknął ich huragan Sandy, i jak się czują. Przed wojną oglądałem kolorowy film (wtedy to jeszcze była rzadkość) *Huragan*, dramat na porosłej palmami wyspie był łagodzony przez pięknie zbudowaną, o egzotycznej urodzie, wymyślnie obnażoną Dorothy Lamour, chyba prywatnie żonę któregoś z mogołów kina, bo to tylko ktoś taki mógł nabyć takie ciało…

W dalszym ciągu czytanie rozmów z Kozłowskim. Bardzo ciekawe, ale jakby nie to, czego oczekiwałem. Myślałem o przeżyciach opozycjonisty skierowanego do współpracy z ministrem dawnego reżymu. Jest tego trochę na końcu książki — najwidoczniej był to dla niego epizod (którego się zresztą nie spodziewał), jego życie to był „Tygodnik”, KUL, Turowicz.

Napisałem długi list do p. Elżbiety J., czytelniczki z Poznania. Dlaczego taki długi? Sprowokowała mnie. Przysłała pamiętniki Aznavoura, o których nie wiedziałem, że wyszły po polsku — kupiła je okazyjnie w jakimś supermarkecie. Napisała, że czytając rozdział *Prasa*, gdzieś w drugiej części książki, myślała o mnie. Zajrzałem do tego rozdziału, Charles

Aznavour opowiada w nim, że przez piętnaście lat występów nie miał dobrych recenzji, sprawozdawcy, eksperci znęcali się nad nim — mały, brzydki, głos fatalny. Ale Aznavour doczekał się triumfu, pełnej satysfakcji. W „L'Intransigeant" wielki tytuł MEA CULPA: artykuł krytyka i zarazem administratora Comédie Française, tego, który dotychczas najbardziej go tępił. Dla Polski został Aznavour „Napoleonem piosenki". „Ech, raz, jeszcze raz! Jeszcze mnogo, mnogo raz!…"

Telefonuję do Krakowa, rozmawiam z p. Krzysztofem Lisowskim: wszystko na dobrej drodze. Już jest po powtórnej korekcie, grafik już zastanawia się nad okładką. Mówię, że do wznowienia *Nikt nie woła* przykładam ogromną wagę. „Ja też" — odpowiada p. Lisowski.

Dzwonił Michał Komar, prosi mnie — jeśli *Historia z konsekwencjami* mi się podoba — żebym napisał o tym do p. Kozłowskiego. Jest ociemniały, stracił wzrok z dnia na dzień, maila przeczyta mu żona.

Doczytałem spokojnie książkę. Posłałem mu maila, w stylu swobodnym, początek nawet żartobliwy. Pod koniec w małym akapicie przedstawiłem mu się — nie mam pewności, czy orientuje się w moim dorobku (chociaż w roku 2006 jedliśmy, siedząc obok siebie, obiad u Franciszkanów w Krakowie wydany przez prezydenta Majchrowskiego — jest o tym mowa w *Dzienniku*). W liście nie wspominam o jego kalectwie — tak jakbym nie wiedział — ale są wyrazy szacunku załączone dla Małżonki — i to może znaczyć, że coś wiem.

Książka mi się podoba.

Czwartek, 8 listopada. A więc mam 89 lat. Jakoś nie potrafię sobie tego uprzytomnić. Matematyka. Wiedziałem, że od rana będą telefony,

powinienem w nocy spać, ale nie potrafiłem zasnąć. Wciąż przypominały mi się jakieś epizody, ludzie, przygody (pominięte w *Nowolipiu*), ale to w ten sposób, jakbym je komuś opowiadał. I tak do szóstej nad ranem, kiedy zaczęło szarzeć.

Może to resztki wczorajszego wieczornego spotkania z p. Paloszem i jego synem Arthurem, w restauracji La Cantina. Opowiadałem różne zaskakujące ich epizody, czasem zabawne, dużo się śmieli. Pan Palosz z synem odwiedzają teatry — tyle ich jest w Warszawie — tam, u nich, w Baltimore, pustka, prowincja. Nie dają sobie powiedzieć, że te odwiedzające ich teatry są przecież niezłe.

Młody Palosz, Arthur, studiuje inżynierię elektryczną, kupił *Nowolipie Street*, przeczytał, przejmujące. Próbował słuchać z audiobooku *Najpiękniejszych lat*, ale to było trudne — tak jak sądziłem, narracja tylko z pozoru jest prosta, właśnie jej skrótowość wymaga orientowania się w wielu realiach. Pan Palosz ojciec potwierdza: jest aluzyjna, czasem metaforyczna.

Arthur chce dowiedzieć się czegoś o Polsce, o historii. Polecam mu *Poland* Adama Zamoyskiego i dzieła Timothy'ego Snydera. Pan Palosz przestudiował *Mojego przyjaciela króla*, pewne rzeczy go intrygują. Czy król nie był zbyt inteligentny na to, żeby być dobrym władcą? Miał straszliwie nielojalną opozycję — przypominam. — Polska upadła, ale dzięki pracy króla uratował się i przetrwał naród.

Z p. Paloszem rozmawia się łatwo, bo jest zorientowany, jego syn „chłonie", według Mai, z nastawionymi uszami.

Myślałem o mamie. O tym, jak po kąpieli w specjalnie kupionej blaszanej wanience, kiedy przechodziłem szkarlatynę, trzymała mnie otulonego w ręczniki na kolanach, przy dużym oknie, żebym mógł się

przyglądać temu, co dzieje się na podwórku, mówiła do mnie: „koteczku”, kochała to swoje najmłodsze dziecko, wszystkie kochała, każde wymagało trochę innej miłości, bo każde było inne, nie jak ze sztancy, ale ja, ten najmłodszy, blady, bez apetytu, byłem pieszczony. I kiedy mama trzymała mnie na kolanach, niespokojna o mnie — szkarlatyna to była wtedy groźna choroba — czy mogło jej przyjść na myśl, że ten chłopczyk będzie kiedyś dziarskim starcem? Że wejdzie w dziewięćdziesiąty rok życia?…

Podczytuję wspomnienia Aznavoura. To, jak wspomina Édith Piaf (genialna, z inicjatywą i wredna, „z charakteru na poły świnia, na poły święta Teresa”) i to, co pisze o Mistinguett, świadczy o tym, że obie były trzaśnięte, egoistyczne, przejęte swoim gwiazdorstwem, skupione na nim, jednak gwiazdorzy mężczyźni — Chevalier, Charles Trenet czy w Stanach Sinatra, nie mówiąc już o Paulu Robesonie — inaczej to przeżywali. Bardziej rzeczowo, bez histerii. Chociaż sztuka *Garderobiany* pokazuje starzejącego się sławnego aktora pełnego kompleksów.

Ale ta Mistinguett („Miss”), która żąda od Aznavoura, by piosenka dla niej była cała w „major” (dur), bo od „minor” mięśnie policzków opadają, a od „major” podnoszą się — tego by żaden Przybora dla swojego kabaretu nie wymyślił.

Ciężka koperta (770 stron) wydruku *Nie boję się bezsennych nocy* na Foksal, dokąd przeniosło się W.A.B. Szybko dochodzimy z p. Pluszką do porozumienia. A potem, w domu, uświadomiłem sobie, że jednak to niezwykłe, iż dzięki decyzji wydawnictwa, trzy „księgi” *Nie boję się…* dotrą do jakichś czytelników. I to, że mogę się dzielić z czytelnikami tak bardzo własnymi przemyśleniami, odczuciami, że spisane (chociaż w strzępach — to nieuchronne) narzucą się czytelnikowi, nie zostaną tylko

pod czaszką czy zamknięte w szufladzie — to jest SUKCES. Coś, o czym aspirant literatury, chłopiec z Nowolipia, zmagający się o swoją godność — i o przeżycie — samotnik z batalionu pracy — nie pozwalał sobie marzyć.

To zaś, że tylu osób, które jeszcze czytają, te zapiski w ogóle nie interesują, że te osoby nie uganiają się za nimi, nie powinno dziwić. Nie muszą wiedzieć, że moje sprawy, moje rozterki — to ich sprawy, ich rozterki; moje myśli, wnioski, konstatacje — to mogą być ich myśli. Raczej dziwić może to, że jest garstka czytelników, która te zapiski przygarnęła.

Przed kwadransem telefon z kancelarii marszałka senatu, Borusewicza. Chce się ze mną spotkać. Uzgodniliśmy z panią sekretarką 12 grudnia w samo południe. Dlaczego chce się spotkać? Nic pilnego, skoro uzgodniliśmy termin tak odległy. Może to mieć związek ze zbliżającym się moim 90-leciem. A może chce sobie po prostu pogadać?

Od wczoraj nasza Amerykanka w domu. Taksówkarz, który wiózł mnie do Madzi, zwrócił uwagę na moje nazwisko: „Jest taki pisarz". Przyznałem się: „To ja". Czytał *Królewskie sny.* Pochwalił: „Pisze pan jak historyk". Rozmowa o kampanii nienawiści, która doprowadziła do zamordowania Narutowicza. Oglądał *Śmierć prezydenta* Kawalerowicza. Potem o Stanisławie Auguście. Kiedy dojechaliśmy pod dom Madzi, przez pewien czas nie wypuszczał mnie z samochodu: chciał coś dogadać. „Którą książkę swoją by mi pan polecił?" Odpowiedziałem: *Mój przyjaciel król.* Najwyraźniej jest zainteresowany historią.

W Instytucie Teatralnym promocja książki Roberta Jarockiego: *Sztuka i krew 1939–1945.* Wieczór poświęcony Korzeniewskiemu, wyświetla się

film o nim, wywiad przeprowadzony na krótko przed śmiercią. Prawdziwe jest to, co Korzeniewski mówi, że Niemcy nie chcieli kolaboracji polskiej elity kulturalnej — chcieli ją zniszczyć. Czyli potwierdza to, co odnotowałem w związku z czytaniem dziennika wojennego Nałkowskiej.

Czytałem opowieść Roberta Rogalskiego, 92-letniego aktora, który w *Pokłosiu* Pasikowskiego zagrał mordercę. Zagrał dlatego, że widział morderców, śni mu się po nocach Szymek, którego całą rodzinę wymordowano — mordercami byli Łotysze — tego Szymka on chciał uratować, ale nie udało się, Szymek nie chciał uciekać, nie chciał żyć. I tę opowieść aktora, świadka wydarzeń, które potem odegrał, czytałem z pocącymi się oczami. I znowu myślałem o tym — jak podczas czytania pamiętnika Korczaka — że chociaż miałem przejścia dramatyczne, w nędzy, głodzie, poczuciu krzywdy, ale cóż to było w porównaniu z tym, co się działo pod hitlerowskim panowaniem, nikt mnie nie pędził do gazu, nie pozbawiano mnie człowieczeństwa, nie musiałem się ukrywać, drżeć na widok żądnego mordu bydlaka…

Rano, kiedy kupuję gazetę, niespodzianka: w kiosku widzę książkę z moją twarzą na okładce, zdjęcie, które zrobił Maciek, to *Dziennik na nowy wiek* w pomniejszonym formacie, wydanie PWN, podzielone na dwa tomy. Nowa kioskarka, młoda ciemnowłosa kobieta, mówi: „Jak mam wolną chwilę, to sobie podczytuję”.

W tym wieku, kiedy każdy dzień życia należy uważać za darowany, smakować go, wykorzystywać (co zalecał sobie schorowany Montaigne, zaledwie po pięćdziesiątce), ja wciąż z niecierpliwością czekam na pewne wydarzenia, przyśpieszam upływ czasu, zamiast go hamować. (I zapewne

nie ja jeden). Teraz na przykład oczekuję okładki do *Nikt nie woła*, potem pojawienia się książki w księgarniach, z niecierpliwością czekam na *Nie boję się bezsennych nocy* (podobno w marcu 2013).

Nie mogłem otworzyć oczu, powieki ciążyły, wołałem: „Renka, Renka! Nie mogę otworzyć oczu!”. Dziwny przypadek, nigdy przedtem coś takiego mi się nie przydarzyło. Renka, szczupła, w sukience, przybiegła z kuchni, uspokajała: „Zaraz ci to przejdzie”. I przeszło, otworzyłem oczy — i obudziłem się. Ona była w tym śnie młoda, zgrabna — nic niezwykłego w takim odmłodzeniu postaci we śnie nie ma.

Z DSH (Dom Spotkań z Historią) na Karowej przysyłają po mnie taksówkę, żebym wziął udział w wieczorze poświęconym Władysławowi Sławnemu, człowiekowi, który zasłużył się, tworząc wspaniałą grupę fotoreporterów w tygodniku „Świat”. Witam się z dwoma słusznej postawy panami, to Jean i Franc, synowie Sławnego, dowiaduję się od nich, że wstrząsnął nimi *Pingpongista — Le jouer de pingpong* — potem słyszę to samo od ich żon Francuzek i jakichś przyjaciółek, wszyscy czytali po francusku, i to jest dla mnie przyjemna niespodzianka, bo nie miałem pojęcia, że ktoś to we Francji czyta.

Kiedy zaproszono mnie, jako ostatniego, do mikrofonu, zacząłem od opowieści o wyścigu Warszawa–Berlin–Praga w 1952 roku, podczas którego poznałem Sławnego. Ten wyścig był ważnym wydarzeniem, bo po raz pierwszy Niemcy (z NRD) zostali przyjęci do świata sportowego. Bardzo się starali. Akredytowani dziennikarze dostali w prezencie po aparacie fotograficznym — Sławny jednak, który miał jakąś gorszą akredytację, dostał… budzik. (Wybuch śmiechu). Ogromnie rozbawiła zebranych opowieść o nagrodzie pocieszenia na jednym z etapów dla

ostatniego zawodnika (było to, pamiętam, wielolampowe radio) i o tym, jak Albańczyk (studiujący w Polsce) i Hindus rywalizowali ze sobą o to ostatnie miejsce, zatrzymując na mecie sędziów na całe godziny.

Opowiedziałem o tym, że na moście nad Nysą, między Zgorzelcem i Görlitz, musiałem czekać ponad godzinę, bo okazało się, że organizatorzy nie zadbali o wizę dla mnie. Stoję więc na moście, autokary z dziennikarzami przejeżdżają, kolarze kręcą, a ja myślę; przecież to jest most nad Nysą, tu gdzie biliśmy się, powinienem to wykorzystać. Napisałem tego wieczoru krótki artykulik *Człowiek na moście*, miał kilka przekładów w ludowo-demokratycznej prasie. Czyli niby sukces. Ale kiedy wróciłem do Warszawy, nowy redaktor naczelny „Żołnierza Polskiego" natychmiast mnie wyrzucił. (Wybuch śmiechu).

Potem o świetnej atmosferze w tygodniku „Świat". Muszę coś powiedzieć o sobie: otóż ja w tym tygodniku prowadziłem dział sportu. (Śmiech — i bardzo mocne oklaski).

Tęgi, dobrze mi znany Jurek Neftalin, który od lat mieszka w Szwecji, pyta mnie, kto był redaktorem „ŻP", kiedy ja w nim pracowałem. „Redaktorem był Dorian Płoński, ale wyrzucił mnie pułkownik Nadzin". To go rozbawiło. „To może ja do pana przyjdę z Julkiem Nadzinem, mieszka w Szwecji, on by chętnie z panem porozmawiał o ojcu". „Broń Boże!" — zawołałem w panice.

Powtórzyła się w życiu scena, którą wymyśliłem w *Odejściu Afrodyty*: syn Stacha Narbeja sprowadza do domu rówieśnika z Danii, który chce ze Stachem porozmawiać o swoim ojcu; Stach się od tej rozmowy wymiguje. Napisałem to prawie dwadzieścia lat temu.

I podeszła do mnie pewna ciemnowłosa pani, która, jak twierdzi, ma prawie wszystkie moje książki, i pyta: „Czy to prawda, że pana nie przyjęli do armii Andersa?". „Prawda". „Ależ dlaczego?" — zdumiewa się pani.

Polecam jej *Nikt nie woła* — tam to wszystko jest. Obiecuje sobie wypożyczyć książkę w bibliotece.

Dostaję trzy czerwone, mięsiste róże. Szkoda, że jestem sam. Nie ma komu ich przekazać.

Maja oddała kilka dni temu *Więźnia i jasnowłosą*, przeczytała „jednym tchem", ale ma do mnie żal, że uśmierciłem w wypadku samochodowym bohatera. (Podobnie jak Wilek Mach, który czytał to w szpitalu i chciał, żeby dobrze się skończyło; żadnych zastrzeżeń nie miał Irek Iredyński, czytał w więzieniu — i kiedy naczelnik więzienia przyszedł do niego na wódkę — tak! tak! do więźnia na wódkę — Irek dał mu książkę ze słowami: „Poczytaj, ch…, jak można pisać!". Mam nadzieję, że to niewymyślone).

Opowiedziałem Mai o tym, że w Krakowie, w październiku 1945 roku, byłem świadkiem takiej śmierci; kobieta, którą przedtem obserwowałem, jak szła prawą stroną jezdni powoli, jakby bez chęci do życia, i pomyślałem sobie: to Żydówka, która wszystkich straciła, sama przeżyła, ale nie wie po co… Nagle rąbnął w nią samochód, wyrzucił wysoko do góry, samochód umknął — ona leżała bez ruchu. Nazajutrz przeczytałem w gazecie, że w wypadku samochodowym zginęła „Gołda Najman". Zapamiętałem imię i nazwisko. Potwierdziło się to, co spostrzegałem po wojnie: nie ma już Niemców, nie ma już zagrożenia, o przeżycie się nie walczy, słabnie instynkt samozachowawczy.

Grudzień

Odkąd jest poczta komputerowa, nigdy nie wiadomo, jak się dzień zakończy. Ten — wyjątkowym mailem. Przesłało mi go biuro naszego pisarskiego stowarzyszenia. Zwróciła się do nich niejaka Paulette Krelman,

po angielsku, ze Stanów, pisząc, że przed wojną jej dziadek prowadził na Nowolipkach szkołę (dla młodszych dzieci). Dziadek zginął w obozie koncentracyjnym, syn przeżył, ten syn to jej ojciec. Podobno mister Josef Hen mógłby coś na temat jej dziadka powiedzieć.

O panu Krelmanie, o jego szkole i nawet o jego synu (jej ojcu) jest sporo w *Nowolipiu*. Raz o tym, jak ja, ośmiolatek, mam z woli p. Krelmana opowiadać jego zgromadzonej rodzinie o Bolesławie Chrobrym — znalazłem się w jego mieszkaniu za karę, bo byłem niesforny, a po mojej opowieści o Chrobrym ten syn, z którego pan Krelman był dumny, bo uczył się już w gimnazjum, odprowadził mnie do domu. Kończy się ten rozdział westchnieniem: „Nie wiem, co się z nimi stało. Nie wiem, jak zginęli".

Posłałem pani Paulette informację o książce *Nowolipie Street*, w której znajdzie dużo o swoim dziadku. Jest w książce coś o innym jeszcze Krelmanie, bo o Janklu, bracie dziadka, nieudanym nauczycielu — nie wiem, czy ta wiadomość ją zachwyci.

Na razie p. Paulette Krelman się nie odezwała. Widocznie uznała, że sprawa jest załatwiona.

Wczoraj na przystanku na Nowym Świecie jakiś chudy, żylasty facet, chyba ktoś o usposobieniu kloszarda, z długim nosem na podłużnej twarzy, odzywa się do mnie: „Można tu usiąść, dziadku", i siada na występie muru. I po chwili: „Bo ja, kurwa…". Na to ja: „Nie lubię tego języka". Dotarło do niego. „To taka dziś elokwencja" — jakby coś w rodzaju usprawiedliwienia. Później słowo „elokwencja" powtarzał kilka razy, widocznie uważał je za nobilitujące. Tak jak ci, którzy mówią „ja bynajmniej" zamiast „przynajmniej". Opowiedziałem mojemu rozmówcy, że kiedyś w pociągu opuściłem przedział, bo panowie, którzy się tam

rozsiedli, mówili takim językiem. „Raziło pana?” „Nie mogłem tego znieść”. „Taka elokwencja”. „W filmie też nie lubię tego języka”.

Ale czemu takie świetne pióro jak Janusz Rudnicki inkrustuje tymi słowami swój tekst? To naiwność przypuszczać, że wpisując „kurwa”, jest się bliżej życia, bliżej mowy codziennej. Ta bliskość na czym innym polega. Na czym? Tajemnica.

Madzia przywiozła z Wrocławia książkę Wolanowskiego *Poczta do Nigdy-Nigdy* (1970, wyd. II). Prawie 700 stron, nakład 16 000 egz., zdjęcia autora. Odnotowuję to tak dokładnie, bo to świetny reportaż, napisany z temperamentem, z dobrym uchem na stylistykę, z wyczuleniem na anegdotę, rodzajowość, paradoksy polityczne. I co? Nikt nie pamięta. Lucjan jako autor znikł. Może jest w prywatnych księgozbiorach. Na przykład moja wnuczka polubiła jego *Walizkę z przygodami*.

Pisarstwo Lucjana nie miało jednak tej podszewki politycznej, tej aluzyjności, jak reportaże Kapuścińskiego. W tym czasie, kiedy ukazała się jego *Poczta…*, ja byłem na indeksie. Lucjan musiał być ostrożny, myślał swoje, wiedział swoje, nie było między nami żadnych niedomówień, ale jeśli chciał uprawiać zawód, wyjeżdżać do Nigdy-Nigdy, nie mógł się buntować. (Ale i tak pewien pracujący w redakcji reporter ubek, reporter całkiem niezły, oskarżył Wolanowskiego, że jeździ za pieniądze… syjonistyczne. W rzeczywistości bilety na przeloty dostawał od KLM — warunek był jeden: w reportażu trzeba było wspomnieć, że korzystał z tej linii).

O wpół do czwartej u marszałka senatu Bogdana Borusewicza. „Może chce sobie po prostu pogadać?” — mówiła Madzia. I chyba dobrze się domyśliła. Było czterdzieści minut ożywionej rozmowy, to znaczy

mówiłem przeważnie ja — i takie było zamierzenie marszałka. Przyniosłem mu *Montaigne'a* (dobrze trafiłem, nie znał tego), zwróciłem jego uwagę na rozdział *W wieku bardzo skażonym* — „To jest o nas", powiedziałem — odszukał go w spisie treści i powiedział: „Od razu go przeczytam". Na stole czekały do podpisu trzy moje książki: *Nowolipie. Najpiękniejsze lata*, *Szóste, najmłodsze* i *Prawo i pięść.* „Herbata? Kawa? A może cappuccino?" Wybieram cappuccino. „To ja też" — mówi marszałek. Szef kancelarii przynosi nam cappuccino. Borusewicz pyta, jak przeżyłem wojnę — i od tego zaczęły się opowieści. I jego, i szefa kancelarii (p. Artura Kozłowskiego, wywierającego dobre wrażenie) zafrapowała, podobnie jak i wielu czytelników *Nowolipia,* opowieść, jak uratowało mnie to, że nie miałem dwóch złotych, kiedy znalazłem się w listopadzie 1939 w chacie po sowieckiej stronie. O moim egzaminie do ukraińskiej szkoły pedagogicznej w Dąbrowicy. Marszałka zainteresowało, że większość uczniów przybyła z sierocińców w Czernihowie. Powiedziałem bez wahania, że była to świetna szkoła, bez polityki, nauczyciele po prostu uczyli; o biologii, mineralogii, botanice dowiedziałem się więcej niż u Kryńskiego. A niedawno usłyszałem od pewnej pani, że jedna z miejscowych dziewczyn w tej szkole, urodziwa, podkochiwała się we mnie (wybuch śmiechu), o czym wtedy nie miałem pojęcia.

O ucieczce ze strojbatalionu. O komisji andersowskiej. (…) O *Nikt nie woła.* O Giedroyciu. Zaimponowała panom opinia Timothy'ego Snydera o mojej książce. (Szef kancelarii: „Dostał właśnie nagrodę").

Opowieść o tym, jak stojąc na warcie w ciemności przed jakimiś magazynami w stanicy Markińskiej w grudniu 1941 roku, w straszliwym mrozie, słyszę z zawieszonej na drzewie szczekaczki: „Jeszcze Polska nie zginęła…". Zwracam się do przechodzącego w pobliżu majora: „Słyszcie? Polski hymn". On: „Da, eto wasz Sikorskij w Kremle". (Powiedział „wasz"

— wiedział więc o mnie). Borusewicz: „Niesamowita scena”. Szef kancelarii: „Muszę przeczytać *Nowolipie*”.

Myślę, że to było dobre spotkanie. W każdym razie marszałek miał pół godziny luzu. Dobry, inteligentny odbiorca, bez fobii i bez żachnięć. O polityce, o Kaczyńskim, który ma wkrótce przemaszerować w Marszu Wolności obok mojego domu, nie mówiliśmy.

Madzia przywozi świąteczną „Politykę” z moim omówieniem *Pamiętników* Władysława Mickiewicza. Jest tam rewelacyjne zdjęcie z 1924 roku: zarząd Polskiego Związku Zawodowego Pracowników Umysłowych; w pierwszym rzędzie, obok brodatego Władysława Mickiewicza — Maria Skłodowska-Curie! Jednak jej związki z krajem były bardzo silne.

Wieczorem, ostrożnie posuwając się przez nieuprzątnięty z chodników śnieg, docieram do Muzeum Literatury na Starym Rynku, gdzie odbędzie się promocja książki Władysława Mickiewicza (tysiąc stron!).

Za stołem znakomici specjaliści: Janusz Odrowąż-Pieniążek, Krzysztof Rutkowski i p. Marek Troszyński, który tekst (tłumaczony w latach dwudziestych z francuskiego) opracował, zestawił indeks i, jak mi powiedział, „miałem dwa lata rozkosznej pracy dzięki panu”.

Wiesław Uchański najpierw wywołuje do mikrofonu mnie — jako tego, kto na wydanie tych *Pamiętników* nalegał. Częściowo powtórzyłem to, o czym wspominałem w artykule. Opowiedziałem anegdotę z tej książki, która zainspirowała opowiadanie *Klarysa*, i historie o tym, co autor znalazł w swojej policyjnej teczce, użyczonej mu po upadku cesarstwa: donosy agenta, który śledząc rzekomego emisariusza warszawskiego rządu powstańczego, odwiedzał drogie restauracje, operę i teatry — na koszt policji. Zebrani rozbawieni. Pointą była wzmianka (użyta w artykule), jak

Władysław Mickiewicz odwiedził w Żytomierzu Apollona Korzeniowskiego; „Konradek, powiedziałem, miał wtedy cztery lata. Proszę państwa, co za spotkanie! Syn Mickiewicza rozmawia z ojcem Józefa Conrada”.

Wszyscy trzej panowie za stołem popisali się wiedzą i wymową.

W „Midraszu” bardzo dobry artykuł Arka Pacholskiego *Pakt Ribbentrop–Zychowicz*. Pan Zychowicz wydał książkę *Pakt Ribbentrop–Beck*. Jako szczery (najprawdopodobniej) faszysta żałuje, że Beck nie doprowadził do sojuszu z Niemcami hitlerowskimi. Gdyby tak zrobił, Polska wraz z Hitlerem podbiłaby Rosję i w zamian dostałaby Ukrainę, z którą stworzyłaby federację. A i Żydzi uniknęliby swojego losu, bo Polska by ich Niemcom nie wydała.

Pacholski druzgocze wszystkie te mrzonki i fantazje (dodałbym: chciejstwo, czyli *wishful thinking*), przypomina wrogość polsko-ukraińską, niewątpliwą wojnę o granice, o Lwów, a co do Żydów, to w najlepszym razie wysłano by ich na Madagaskar.

Niestety, w miesięczniku „BUNT młodych duchem” (starców) naczelny redaktor p. Wierzbicki rozważa serio brednie p. Zychowicza i kończy, że „Beck wybrał najgorszą opcję”. Bardzo mnie to niedomyślenie starego (choć „młodego duchem”) profesora dotknęło. Jednak nie zastanowił się nad tym, że sojusz ze zwycięskim Hitlerem w najlepszym razie (to znaczy przy lojalności Hitlera, co nie mieściło się w polityce przezeń uprawianej — wystarczy przypomnieć złamanie obietnic wobec Czechosłowacji po zagarnięciu Sudetów) umieszczał Polskę w imperium obozów koncentracyjnych, kultu Führera, rządów gestapo. Umieszczał poza zachodnią cywilizacją, w krainie faszyzmu i terroru — jako społeczność dla hitlerowców niższą rasowo.

„Dzwonię z kancelarii prezydenckiej — przedstawia się pani. — Czy może pan mówić z panem premierem?” Tak, oczywiście. Tusk do mnie? Ciekawe. Ale czemu nie? — myślę rozbestwiony ostatnimi kontaktami, mógł mnie zaprosić na kawę marszałek senatu, może i Tusk. Odzywam się: „Tu Józef Hen”. Słyszę: „To kiedy chciałby się pan ze mną spotkać?”. Rozpoznaję głos: Tadeusz Mazowiecki. Owszem, premier pierwszego rządu w III RP. Kilka tygodni temu wspominałem mu, że chciałbym z nim porozmawiać. Zapamiętał! A ponieważ nie dzwoniłem, uznał, jako gentleman, to znaczy człowiek obowiązkowy — że inicjatywa powinna wyjść z jego strony. Pytam, kiedy mu najwygodniej. Uzgodniliśmy początek stycznia, w południe, w jego gabinecie. Czyli kilkaset metrów od mojego domu. „Niech pan nie zapomni o dowodzie osobistym” — przypomina sekretarka, teraz już dla mnie p. Marlena.

O czwartej jestem na Czerskiej, w budynku „Agory”, w którym ma swoje studio TOK FM. Wchodzi wysoki młody mężczyzna. Witamy się, on: „Mazowiecki”. Wojciech, syn premiera, publicysta. Uśmiecham się: „Pół godziny temu rozmawiałem z pana ojcem”. „Wiem. Umówieni jesteście”. Czekając na swoją kolej (red. Chlasta przepytuje tymczasem p. Mazowieckiego), rozmawiam z młodą, popijającą kawę dziennikarką. Urodziła się mniej więcej wtedy, kiedy zaczął się stan wojenny. Po kwadransie rozmowy ona mówi: „Jak to wszystko wygląda inaczej, kiedy rozmawia się z ludźmi takimi jak pan, ze świadkami. Nam to przedstawiają w sposób czarno-biały, a przecież wszystko to było o wiele bardziej skomplikowane”.

W sobotni poranek, w czarnym półgolfie, idę do Mołdawskiej, gdzie będzie się filmować rozmowę Tomasza Piątka ze mną. Naprzeciw wybiega

mi roześmiana p. Marzanna, producentka tego filmu, oboje uradowani jesteśmy spotkaniem po latach — ilu? — mogę obliczyć, posłużyłem się jej imieniem, pisząc *Odejście Afrodyty*, a więc w roku 1995. („Na lotnisku czekała Marzanna”. Przeżycia tej powieściowej Marzanny nie mają z nią nic wspólnego, ściągnąłem je z dwóch innych zaprzyjaźnionych pań — i tak powstała jedna z bardziej oryginalnych bohaterek książki; i tak zazwyczaj one powstają).

Tomasz Piątek świetnie dysponowany, wszystko czy prawie wszystko przeczytał (*Montaigne* był zawsze, jak się dowiaduję, jego umiłowaną książką). Czekały mnie niespodzianki (przyjemne). Zaczął od *Nikt nie woła* jako od „niezwykle ważnej książki”.

Rozmawialiśmy ogółem prawie trzy godziny, reżyser, p. Remigiusz Kadelski, miał stwierdzić (wg słów pani Marzanny), że będzie miał kłopot, co wybrać, co ciąć, może iść najwyżej 40 minut. Piątek zadawał pytania wnikające w głąb twórczości autora. Chyba istotne było to, co zaraz na początku powiedział: „Ja mam wrażenie, jakby pan był przez pewne kręgi bojkotowany”. Zastanawiamy się obaj z Piątkiem, jakie są przyczyny tego „bojkotu”. On sądzi, że krytyków irytuje klarowność, racjonalność narracji. Ja mówię o tym, że „nie spałem na styropianie”. (Dopisek w 2014: Dostałem od Alice Munro jej wybór opowiadań, *Selected Stories*, potężne tomisko, prawie 700 stron — z dedykacją od znakomitej noblistki, tak, proszę państwa — i tam, w świetnie napisanym „wprowadzeniu”, ona wyznaje, że zawsze jej zależało, by jej proza była klarowna, by czytelnik rozumiał, o co jej chodzi; powiedziałem wtedy komuś, co tu powtarzam, że gdyby Alice Munro pisała po polsku, nie tylko nie dostałaby Nobla, ale i nominacji do Nike, a nieboszczyk Bereza odmówiłby jej druku w „Twórczości”).

Nie wiem, czy reżyser właśnie te fragmenty wykorzysta, bo poruszyliśmy także wiele innych spraw. Miłości, wolności. (…) Powiedziałem, że nie jestem bynajmniej za absolutną wolnością słowa. Jestem oczywiście przeciw cenzurze, ale nie za bezkarnością w rzucaniu oszczerstw, w pobudzaniu do nienawiści. Piątek zastanawiał się nad opętaniem Artura Zawiszy, który na dobitkę utrzymuje, że nie jest antysemitą, jest „judeosceptykiem”. Wysunąłem przypuszczenie, że niektórym wszechpolakom ich faszyzujące ciągoty z wiekiem przejdą, będą je wspominać z pobłażliwością, może i z zawstydzeniem. Ale nie pan Zawisza: on się sobie taki podoba.

Jeszcze chciałbym odnotować satysfakcję, jaką sprawiły mi słowa p. Piątka o *Crimenie*: niezwykła książka, „bliska arcydzieła” (takiej samej formuły — „bliska arcydzieła” — bliska, ale nie arcydzieło — użył też Igor Newerly w liście do mnie), prawie niezauważona, także jako kryminał.

Piątek porusza sprawę dwóch „królewskich” książek: o Stanisławie Auguście i o Jagielle. I o „wyjątkowości tematu miłosnego w powieści polskiej”, ja zwracam uwagę, że jedyną wielką powieścią polską o miłości jest *Lalka*. (Madzia przypomina mi, że twierdziłem, że wielką powieścią o miłości jest *Potop* — tak, miłość Kmicica jest dramatyczna, rozpaczliwa — została w odbiorze czytelniczym przesłonięta przez politykę i przygody wojenne). Mówię, posługując się przykładem Wokulskiego, że dopóki trwa uczucie, trwa związek z życiem; kiedy katastrofa powoduje załamanie miłości, rodzi się pustka. Piątek wyznaje, że to się zgadza z jego stanem obecnym. „Ale ja wciąż ją kocham”.

Chciałoby mu się przeczytać moją nową powieść o miłości. Powinienem napisać o miłości osiemdziesięciolatka. Jakoś wymigałem się od odpowiedzi.

Pytał, czy nie żałuję, że nie pisałem w innym języku. Po angielsku, rosyjsku, hebrajsku — byłbym pisarzem (jego słowa) „o światowej sławie”. Pytano mnie kilka razy podczas pobytu w Moskwie, czy nie próbowałem pisać po rosyjsku. Nie próbowałem. „Wyrosłem w polszczyźnie. Znałem świetnie rosyjski, ale to jednak język nabyty. Książka byłaby poprawna, może nawet nieskazitelna językowo, ale bez tej swobody, bez wirtuozerii, którą daje zaplecze literatury, w której się wyrosło”.

Wczoraj wieczorem dzwonił z życzeniami Różewicz. Głos miał dziarski, mówił chyba uśmiechnięty. Pytałem go, czy czytał w „Polityce” mój tekst o pamiętnikach Władysława Mickiewicza. Nie, nie ma tego numeru „Polityki”. A w ogóle ten syn cenzurował i fałszował ojca. „Słuchaj — mówię — te pamiętniki nie są o ojcu, to jest książka o nim, Władysławie”. Ale Różewicz nie słucha, co do niego mówię, wie swoje i nie ma ochoty w tej wiedzy cokolwiek zmieniać.

W nocy postanowiłem, że poślę mu kopię tych dwóch stron „Polityki”. Dowie się czegoś (jeśli przeczyta).

Wieczorem, w sylwestra, zdejmuję wiszący na półce z książkami kalendarz 2012, zawieszam nowy, 2013, także przysłany mi z Kalisza przez Wiktora Jędrzejaka, z fotografiami jego obrazów z podróży po świecie. Z czułą dedykacją od niego i Elżbiety.

2013

Styczeń

Z kancelarii Mazowieckiego dzwoni sekretarka, że premier pyta, czy mogę być o 10.30, bo w południe ma pogrzeb.

I zaraz potem wiadomość: zmarła Teresa Torańska. Żal aż do łez. Telewizja nadaje właśnie wypowiedź o niej Mazowieckiego.

Bez pośpiechu, ale nie marnując czasu, zajmuję się sobą — lekarstwa, mierzenie ciśnienia, golenie, natrysk — by zdążyć na 10.30. Biorę ze sobą *Szóste, najmłodsze* i książkę Mazowieckiego *Rok 1989 i lata następne*, żeby mi podpisał. Pan Tadeusz nieco się spóźnił. Pada deszcz. Słyszę, że w sekretariacie rozmawia z synem, pyta, czy ja już jestem. Pani Marlena wprowadza mnie do gabinetu, podaje kawę.

„Ma pan dziś żałobny dzień — mówię na wstępie — bo pogrzeb żony przyjaciela, no i ta wiadomość o śmierci Torańskiej". To pogrzeb Haliny Krzysztoń, wdowy po Jerzym. Znałem ją, mówię. Nawet wspominam o niej w *Nie boję się bezsennych nocy*, jak zwierzała mi się, że Jurek z nieba nią kieruje i doradza, co ma robić. „I doradził jej w końcu — dodaję — żeby wyszła za mąż". „Tak — z charakterystycznym swoim półuśmieszkiem potwierdza Mazowiecki. — Wyszła za mąż".

Parę zdań mojego komentarza o opowiadaniach wojennych: o tym, że narrator przychodzi z wojskiem ze wschodu. I że materiał literacki, tworzywo, było w tej armii chyba ciekawsze niż tej na Zachodzie:

ponieważ nasz żołnierz był w rozterce, miotał się w sytuacji, którą niekoniecznie aprobował.

„Panie premierze — mówię — nie notuję i nie nagrywam pana”. Uśmiechnął się. Pytam, jak było, kiedy wszedł do gabinetu po Rakowskim. „Czy był pusty? Nikogo pan nie zastał? — Były dwie sekretarki, obie zachowałem”. To właśnie mnie ciekawiło.

Niewiele potrafił mi pomóc w informacjach o województwach, o które mi najbardziej chodziło. „Przede wszystkim trzeba było zmienić wojewodów. Został właściwie tylko jeden: Kołodziejski w Gdańsku”. „Czy zarządził pan amnestię?” Opowiada, że był bunt w więzieniach, strajk. Palili biblioteki więzienne! Uspokajać jechali Frasyniuk i Olszewski. Ja opowiadam o moich spotkaniach z więźniami w maju 1989 na Opolszczyźnie. Że było dużo czytających. Opowiadam mu też o telefonie do mnie Szlachcica, b. ministra spraw wewnętrznych, i o jego liście, w którym pisał: „Dobrze, że nie uległ pan naciskom i nie emigrował…”. „Dowiedziałem się — mówię — że były jakieś naciski. Ale to pan ma mówić, nie ja!” Obaj się śmiejemy. Nie, nie zna *Najpiękniejszych lat.* Ani *Nowolipia.* Pytam, czy mogę mu te książki (w jednym tomie) ofiarować. Pani Marlena daje mi jego wizytówkę. Umawiamy się z nią za tydzień.

Pytałem go, jak to mogło się stać, że przegrał wybory prezydenckie z Tymińskim. I czy nie popełniono jakichś błędów tuż przed wyborami. Na przykład — czy nie była błędem ustawa pozwalająca na eksmisje. Kiwnął głową: „Możliwe, że były jakieś błędy”.

Kiedy się żegnaliśmy, powiedział: „Jestem do pana dyspozycji”. Mogę dzwonić i rozmawiać. Ale chyba nie wierzy, że napiszę tę książkę. Ja też nie.

Wieczorem, kiedy byliśmy już z Tomkiem po kolacji — telefon. Jakiś ochrypły starzec. Ale okazało się, że to D.E., z którą kilka dni temu rozmawiałem o *Najpiękniejszych latach* i bardzo się nimi przejęła. Znowu o tym? Nie, chce mnie zawiadomić, że w święto Trzech Króli odbędzie się msza za „żołnierzy wyklętych”, w tym jej ojca, ich dowódcy w Warszawie, i żebym koniecznie na niej był. Ja na mszy za tych, co mordowali? Chyba niewiele rozumie, jeśli z czymś takim zwraca się do mnie. Więc ona nie odczuwa żadnej skruchy za krew, którą przelewał jej ojciec (skazany po wojnie na śmierć, ułaskawiony przez Bieruta na prośbę Juliana Tuwima, do którego ona, młodziutka wtedy dziewczyna, przyszła, błagając go, żeby interweniował), mówi o „pomordowanych żołnierzach wyklętych” — nie o ich morderstwach. Poirytowany odpowiadam, że jestem starzec (Tomek się śmieje), nigdzie nie chodzę, a w ogóle mam gościa, mój wnuk jest u mnie! — i odkładam słuchawkę.

W nocy postanowiłem, że nie poślę jej *Nowolipia*, o które się upominała, a jeśli do mnie zadzwoni, powiem jej, że żyję dzięki temu, że na drodze życia nie natknąłem się na jej ojca i tych patriotycznych „żołnierzy wyklętych”.

Do Madzi: „Jak widzisz, życie mam pełne przygód”. Madzia: „Można to i tak nazwać”.

„Są”. Tak w wywiadzie, który przeprowadziła Teresa Torańska w 2004 roku, mówi Edward Wnuk-Lipiński o nieżyjącej żonie i synu. „Są”. Profesor ożenił się, urodziła im się córeczka (to dobrze, że dziewczynka, a nie następny syn, jakby na podmianę), ale tamtych dwoje, z tego jego pierwszego życia (na to określenie zgodziła się jego obecna żona) wciąż jest. Po prostu tak: „Są”.

Myślę, że to dobrze oddaje obecność Reny przy mnie. Jest! Nie jako dusza z zaświatów, nie jako nocne widmo, ale jako śliczna dziewczyna uśmiechająca się ze zdjęć.

Zaglądałem do Henryka Manna *Król Henryk IV u szczytu sławy*, grube tomisko, które zwróciła mi Beata C. Wspaniała lektura — ulubiona książka Madzi — autor kocha swojego bohatera, tęskni do takiego władcy, czci go, bo „on jeden na tym dworze wiedział, co to jest moralność". Szkoda, że Akademia w Sztokholmie nie przyznała mu Nobla, byłoby to niezwykłe wydarzenie: dwaj piszący bracia Mannowie dostają Nobla. Ale Heinrich nie osiadł w Szwajcarii jak Thomas — wybrał NRD, zawsze „samoswój".

Nie mam obowiązku, ani nie czuję przymusu sięgania do notesu codziennie. W nocy czasem myślę: trzeba zapisać to i to, jakieś refleksje historyczne, literackie, psychologiczne, ale w dzień to się rozmywa, zostaje tylko aura niezapisanej myśli, jej barwa, ale nie pamięta się jej konkretnie. Co chciałem zapisać? Wiem tylko, że myśl stale mi towarzyszy.

Powieści chyba nie napiszę, ale jej bohaterka, Wróżka, której dałem imię Augusta, stale z moim „Zastępcą" we mnie rozmawia. Wiem, jak wygląda, wiem, jaka jest — jako osoba mówiąca — ale jako kobieta? Nie wiem. Czy tęskni do męskich ramion? „Zastępca" ją fascynuje, ale czy wyobraża go sobie jako mężczyznę w łóżku? Ma dziecko: synka? córkę?. Co z mężem? Zginął w wypadku i to ją naznaczyło. „Zastępca" czuje się przy jej sceptycyzmie jak naiwny idealista, skazany na porażkę, ale i tak musi robić swoje. Wykonać zadanie. Nie, nie danym im będzie „żyć długo i szczęśliwie", w harmonii, w codzienności, ze wspólną łazienką, toaletą, ludwikiem do zmywania naczyń.

Ona zresztą nie zrezygnuje ze stawiania kart. Przerodziło się ono w pasję, jest jej uczestnictwem w życiu innych, chociaż opłacanym. Czasem myśli: po co żyć? Odpowiedź (nie tylko ze względu na dziecko): żeby żyć. Istnieć.

Uczucie do niego ujawnia się w niej w jakiejś chwili jego zagrożenia. (Nie wiem jeszcze, o co chodzi). Potrzebuje jego istnienia. Jest kimś, komu ona ufa. Prawdomówny (w miarę), lojalny, delikatnie opiekuńczy. Może sobie być gdzieś daleko (np. wrócić do żony), ale pociesza się, że on jest, ktoś, kto usprawiedliwia świat.

Nigdy tej książki nie napiszę, nie ma w tym projekcie scen dramatycznych, choć mogłyby być: ot, choćby bunt w więzieniu, o którym wspominał Mazowiecki. Ale co innego tu przeszkadza: czas obecny, ten, w którym bym to pisał. Wszystko jest inne niż ćwierć wieku temu: ludzie, technika życia, konflikty narodowościowe, aspiracje ludzkie, bezrobocie, terror, Internet, Facebook, cynizm, bezideowość (lub szaleństwo). Czytelnik mówi teraz innym językiem, dostałby książkę, która byłaby dla niego, także językowo, jak łagodna lemoniada — no, może z bąbelkami.

Zły czas przyszedł na tych, którzy bezkarnie, nachalnie organizowali IV RP. Młody, krucho wyglądający sędzia Igor Tuleya stał się z godziny na godzinę sławny, kiedy uzasadniając wyrok na chirurga Mirosława G. (jednak skazujący), mówił, że metody zatrzymywania świadków, nocne przesłuchiwania „kojarzą mu się ze stalinizmem”. I złożył zawiadomienie do prokuratury — o nadużycie władzy, łamanie prawa. Nareszcie! Wiele osób tak wykrzyknęło, wśród nich Jerzy Stępień, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, dla mnie autorytet.

Oczywiście, ci panowie wściekają się — została naruszona ich godność. „Stalinizm” — oni! W obronie i ku chwale sędziego Tulei wypowiedzieli się Andrzej Zoll, Karol Modzelewski i Wiktor Osiatyński, który uderzył

najmocniej: CBA zachowywało się nikczemnie i ludzie, którzy kierowali jego pracą, powinni być skończeni politycznie. Ale to, przyznaje, zależy już od wyborcy.

Nieoczekiwana wizyta p. Michała Szwarca, był w Wenecji, przywiózł mi stamtąd coś słodkiego. Zwiedził wyspę Ghetto (od niej pochodzi to słowo), mieszkają tam teraz cudzoziemcy, w angielskiej księgarni wypatrzył *Wojnę żydowską* Józefa Flawiusza, tłumaczenie z greckiego.

Pan Michał czyta teraz pierwszą księgę *Nie boję się bezsennych nocy*, znalazła ją w antykwariacie jego dziewczyna. „Zdumiewająca lektura! — mówi z przejęciem. — Pan wszystko przewidział!" „Nie jestem prorokiem — zastrzegam się z właściwą mi skromnością (chociaż w dzieciństwie wierzyłem, że nim jestem, a i teraz czasem mi się to zdarza). — Myślę racjonalnie. Mam doświadczenie. Staram się rozumieć". (Nie, jednak prorokiem być prościej, niż myśleć racjonalnie). On: „To ciekawe, że nie ma znaczenia, iż nie zna się tych ludzi, których pan opisuje. Ani tamtych wydarzeń. Wszystko bez tego przemawia".

W mżawce do kancelarii prezydenckiej na Frascati, by dać p. Marlenie *Nowolipie. Najpiękniejsze lata* dla Mazowieckiego. Z dedykacją: „Panie Premierze Czcigodny (wskrzeszam ten zapomniany epitet, bo jest bardzo na miejscu), może zainteresuje Pana (jeśli wykroi Pan czas) ta relacja z Przestrzeni nieistniejącej, z Czasu nie do odzyskania, który trwać może tylko dzięki pamięci i słowu".

List od pana Sebastiana K. z Opolszczyzny: czy nie mógłbym napisać powieści na podstawie mojego scenariusza *Królewskich snów*?. To jest bardzo wartościowy serial, a książka byłaby na pewno jeszcze lepsza. Natychmiast wysłałem mu kartkę, że książka wyszła w 1989 r. w nakładzie

50 tysięcy egz. Nie napisałem mu tylko, że w jego Strzelcach Opolskich podpisywałem w 1989 roku *Królewskie sny* więźniom podczas spotkań autorskich.

W artykule o pewnym młodym filmowcu serbskim pada imię: „Jasna”. Znałem młodą kobietę o tym imieniu, rozmawialiśmy ze sobą — chyba w Lublanie — to była żona kogoś przyjaznego — czy nie mojego tłumacza? Przypomina mi się, że rozmowy z Jasną były jakoś intymne, zwierzaliśmy się sobie jak ludzie bliscy, była miła i rozumna, co dodawało jej urody. O krok od wzajemnego zauroczenia. Oboje pilnowaliśmy się, żeby temu nie ulec. Później, kiedy przychodziły listy od Branka, mojego tłumacza, ona się zawsze dopisywała: JASNA. Jaka szkoda, że zatarła się w pamięci.

I przypomniało mi się, że grałem na kortach Legii w tenisa z czarnowłosą, barczystą siedemnastolatką, która miała na imię Jasnota. Helena Jasnota Skrzetuska, ni mniej, ni więcej! Zawsze towarzyszył jej niespokojny ojciec. Gry uczył ją wynajęty trener, ale tego jedynego seta, który rozegraliśmy, jednak ja wygrałem. Rok później ta mocno zbudowana dziewczyna zdobyła mistrzostwo Polski w rzucie dyskiem (chyba jednak w kategorii juniorów). Minął rok czy dwa — i znikła.

To było ponad 60 lat temu! Pani Helena Jasnota ma teraz — jeśli żyje — około osiemdziesięciu lat.

Jasnota. Czy to nie jest dobre imię dla mojej Wróżki? Obawiam się tylko, że czytelnik będzie je kojarzył z „jasnowidzeniem”, na czym mnie akurat nie zależy.

W magazynie „GW” artykuł profesora z Toronto o „Zagładzie”, wydawnictwie, którego wydano już osiem tomów. Jak zwykle historycy,

pan profesor całkowicie pomijają literaturę. Jeśli wydawnictwa historyczne w pewnym okresie nie ukazywały się (na skutek fobii partyjnej wobec tematu żydowskiego), to dla profesora znaczy, że było milczenie. Nie, nie było milczenia. Literatura nigdy nie milczała, chociaż nie zawsze było jej łatwo. Nie milczeli poeci. Począwszy od *Campo di Fiori* Miłosza, potem Różewicz, Szymborska, Ficowski, Słonimski, Broniewski (*Słuchaj, dzieweczko*), no i oczywiście Tuwim (*My, Żydzi polscy*). Wciąż szarpała temat proza. Andrzejewski (*Wielki Tydzień*), potężny cykl opowiadań Adolfa Rudnickiego, Sandauer (*Śmierć liberała*), Broszkiewicz, Wojdowski, Leopold Buczkowski (*Czarny potok*), ja z *Więźniem i jasnowłosą*, Kazimierz Brandys (*Samson*) i zapewne wielu innych poetów i prozaików, których można by przywołać. Aż po, bliższy już naszym czasom, reportaż *Zdążyć przed Panem Bogiem* Hanny Krall.

Dzwoniłem do Różewicza o piątej, nie w porę, jak powiedziała mi pani Wiesława, właśnie się położył. „Proszę zadzwonić później". Już nie zadzwoniłem, ale późnym wieczorem odezwał się on. Spytałem, czy czytał recenzję z *to i owo* w „Gazecie Prawnej" — napisał ją, bardzo sympatycznie, Cezary Polak. Nie, nie czytał. „Czy przesłali ci książkę?" — spytał. „Kupiłem". Zdaje się, że nim to wstrząsnęło. Ja pytam, czy dotarło do niego moje omówienie *Pamiętników* Władysława Mickiewicza. Dotarło, ale nie czytał. A w ogóle to był fałszerz, szkodnik, powtarza swoje Różewicz. Ja znowu, że książka jest o nim, Władysławie — nie o ojcu, że przedostał się do imperium dzięki pomocy Sadyka Paszy (Czaykowskiego) i jego żony Ludwiki Śniadeckiej (w której podkochiwał się w Wilnie kilkunastoletni Julo Słowacki). Że spotkał się w Żytomierzu z Apollonem Nałęcz-Korzeniowskim, kiedy Konradek miał cztery lata. „Pomyśl, co za zawęźlenie: syn Mickiewicza spotyka się z ojcem Conrada!". Ja jeszcze

o tym, że Władysław M. znał Garibaldiego, Hercena, że zdobył się na to, by wydać francuski przekład Słowackiego, że dostał pierwszą w niepodległej Polsce nagrodę miasta Warszawy. On nie chce o nim słyszeć. Obiecuje sobie spotkanie ze mną w marcu w Konstancinie.

Rok 1920, styczeń. 92 lata temu Boy recenzuje w Krakowie *Rosmersholm* Ibsena. „Szedłem do teatru nastrojony raczej sceptycznie, a wyszedłem wzruszony, roztrzęsiony, dygocący. O jakaż to piękna sztuka!” Szkoda, że Boy wyzbył się na ten wieczór swojego sceptycyzmu. Nie znam sztuki, ale sądząc właśnie ze streszczenia Boya, jest to potworne melodramidło — i nic dziwnego, że nie miałem okazji tej sztuki poznać, bo się jej nie gra. Gra się *Norę*, *Dziką kaczkę*, czasem *Budowniczego Solnessa*, czasem *Upiory*, nawet *Wroga ludu*, które Boy stawia niżej. „Wyszedłem — dygocący”. Czy nie dlatego, że w tym czasie Niusia Leszczyńska z nim zrywała i w perypetiach trojga osób, w dramacie ich uczuć, w dialogu, doszukał się czegoś bliskiego, czegoś, co wzbudzało jego własne uczucia i poruszało do łez?

Panna Rebeka West, która rozkochuje w sobie żonatego Rosmera, „nie waha się (…) doprowadzić szlachetną, rozegzaltowaną istotę (żonę Beatę — J.H.) do tego, iż ta szuka śmierci w potoku, aby nie być przeszkodą do szczęścia ukochanego męża”. No, no… Ale na tym się te melodramatyczne kicze nie kończą. „Rebeko, oto kładę rękę na twojej głowie i pojmuję cię za żonę” — powiada Jan Rosmer i wziąwszy się za ręce, idą razem rzucić się w potok, w którym zginęła Beata.

Na pewno Fuś (Zosia) nie miała ochoty utonąć w Wiśle, by umożliwić Tadeuszowi szczęście z Niusią. Żeby mu nie przeszkadzać — jemu i sobie — wolała związek z zakochanym redaktorem Starzewskim (krótki), a później z Witkiewiczem (długotrwały), któremu patronował sam Boy.

W południe przychodzi dwuosobowa „ekipa”, jak siebie nazwali, z Instytutu Adama Mickiewicza. Będą filmować moje odpowiedzi na pytanie z „kwestionariusza Fahrenheita”. Więc pytanie: O czym pan marzył w młodości? (Żeby być świetnym piłkarzem albo śpiewakiem operowym). A pisarstwo? (Nie, to nie było marzenie, to należało do codzienności). Co lubię jeść. Co pić. Co najbardziej lubię robić. (Czytać). Ulubiona postać literacka. (Jak tu wybrnąć? No więc: Jean Valjean — z *Nędzników*). Najbardziej zapamiętana scena filmowa. (Zakończenie *Świateł wielkiego miasta* Chaplina). Ulubiona postać filmowa. (I znowu: jak tu wybrnąć? Powiedzmy: Szeryf — Gary Cooper — z filmu *W samo południe*). Najpiękniejszy krajobraz. (Pieniny, okolice Czorsztyna; może dlatego, że widziałem je jako młody chłopak). Czego mi brak, kiedy jestem za granicą. (Alej Ujazdowskich). Czy mówię czasem do siebie? (Tak. „Oj, niedobrze”. Albo: „Nie poddawaj się”. Coś w tym rodzaju). Których cech swoich nie lubię. (Nie zastanawiałem się nad tym). Czego zazdroszczę innym. (No, mogłem powiedzieć: wzrostu. Albo: zdolności do zajęć praktycznych, majsterkowania. Ale przecież to nie takie ważne. Więc najlepiej: nie zastanawiałem się nad tym). I jeszcze: Za czym tęsknię. Za kim tęsknię. (Odpowiedź jedna: za ludźmi, kiedy byli młodzi i piękni). Ostatnie pytanie: Co czuję, myśląc o przyszłości? Chodzi chyba o to, co czuje 90-latek: czy myśli o śmierci, czy boi się jej. Odpowiadam prawdziwie: „Nie myślę o przyszłości. Myślę o dniu jutrzejszym”. (Prawdziwie, ale nie zawsze: zdarza mi się myśleć o końcu istnienia, ale bez wewnętrznego krzyku, trochę jak o refleksji do powieści).

Te badania przeprowadzała urocza dziewczyna, Berenika. Oczy, uśmiech, inteligencja, gibkość postaci, powiew świeżości — powtórzę raz jeszcze: dzięki istnieniu takich dziewczyn rzeczywistość staje się

znośniejsza. Przydźwigała w torbie sporo moich książek do podpisu: dla niej, dla mamy (p. Rudniańskiej), dla jej chłopaka, dla jakiegoś Marcina i jego żony, których podobno jestem „ulubionym pisarzem”. Były wśród tych książek *Bruliony profesora T.*, *Szóste, najmłodsze*, *Twarz pokerzysty.* Jej książka to *Milczące między nami*. Kiedy wychodziła, dałem jej PWN-owskie wydanie *Dziennika na nowy wiek.*

Kiedy relacjonowałem Madzi odpowiedzi na kwestionariusz, powiedziała z błyskiem w oku: „Wiesz, ja też stwierdzam, że niczego nikomu nie zazdroszczę”. Skoro nie tęsknimy do willi, basenu, służby — to z resztą nie jest źle. „Mama raz powiedziała — przypomniało mi się — że chciałaby mieć pałac”. „Chciała mieć ogród — na to Madzia. — Była zła na ciebie, że zrezygnowałeś z działki”. Te działki w roku 1981 rozdawałem ja, wówczas, kilka miesięcy przed stanem wojennym, prezes oddziału warszawskiego ZLP. Przydzieliłem działkę Himilsbachowi, był bardzo wdzięczny, przestał akurat pić, ta działka, kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, rozświetliła ostatnie lata jego życia.

Czytam *Greckie lustro*, zapiski Krzysztofa Lisowskiego, poety, który nadzoruje w WL wydanie *Nikt nie woła* — tak jak to robił 22 lata temu. Bardzo dobra literatura. Rozkosze przyglądania się antykowi wplatają się w rozkosze podniebienia. Są w tekście różne piękności, ale bez przeestetyzowania. Książka prawie nieznana (wydało Pogranicze w roku 2011). Jutro napiszę do niego list — na papierze.

Sprowokowany przez p. Jaroszuka, autora indeksu do całościowego wydania *Nie boję się…*, zdjąłem z półki obszarpany egzemplarz *Praskiego Pitavala* Kischa. Szło o to, jak się pisało nazwisko francuskiego mima

z połowy XIX wieku (który naprawdę nazywał się Jan Kašpar Dvořák i pochodził z Kolina); pisze się Deburau, p. Jaroszuk miał rację. Kisch znalazł smakowitą, „życiową”, rzec można, anegdotę. Deburau mim rozśmieszał widownię jako Pierrot. Podobno, relacjonuje Kisch, „był to człowiek zacięty, poza sceną nigdy się nie uśmiechał, stąd anegdota, że kiedyś incognito zasięgał rady lekarza, skarżąc się na melancholię”. Lekarz poradził: „Wybierz się pan na występ Pierrota, na jego żartach nauczy się pan śmiechu”. Trochę to tak, jakby smutny pan Chaplin poszedł incognito do lekarza, a ten mu poradził: „Idź pan do kina na film Charliego, będzie się pan śmiał”.

Wydaje się, że ta anegdota o smutnym Deburau i rozśmieszającym Pierrocie miała swój dalszy żywot i chyba ją nieraz wykorzystywano.

Niedziela. Cały dzień w domu. Siedząc w fotelu, podczytuję Lisowskiego. Lektura w sam raz na taką pozycję, odprężająca. Jest w tej książce wspomniane Sibaris (więc i sybaryci). I jest o tym, jak Platon chciał tyranów Dionizosów nauczyć racjonalnego rządzenia. Ale nie wspomina autor o tym, że platońskie państwo miało być czymś w rodzaju dyktatury faszystowskiej. A jest ślad, że p. Lisowski zna *Dzieje filozofii Zachodu* Russella, bardzo krytycznej wobec Platona i Arystotelesa.

Opowiadałem dziś Mai przez telefon o pewnym moim samotnym sprzeciwie podczas pierwszego jawnego zebrania literackiego w 1989 r. — i pomyślałem sobie, że może taki epizod wprowadzić do *Zastępcy*, przecież to właśnie ten rok, a ta literatka, której pomysłowi, by upolitycznić związek pisarzy, się sprzeciwiłem, działała we Wrocławiu, czyli na szczeblu bądź co bądź wojewódzkim, tak jak zamierzałem usytuować akcję powieści. Jeden samotny literat, który chciał autentycznej demokracji: nikt go nie poparł — już w tym środowisku zapanował Nowy Strach, nowy konformizm.

Odnotowałem na kartce jakiś dialog. Zabrakło w nim puenty, która teraz mi przyszła do głowy. Że mojemu Bohaterowi, chociaż nie zgadza się z protestującym Literatem, nie podoba się, że nikt z obecnych go nie poparł. To niemożliwe, żeby wszyscy byli tak jednomyślni.

Przypomniało mi się, że niedawno p. Bartosz Kaliski, młody historyk, pytał mnie, czy nie odczuwałem w tamtych czasach (peerelowskich) strachu. Uświadomiłem sobie, że nie, nigdy. Odczuwałem wstręt, niesmak, poczucie oddalenia, rozczarowanie, ale strachu — nie. Bo są dziś tacy, co skarżą się na strach. Nie, tłumaczę ze śmiechem, to nie była z mojej strony odwaga, to było poczucie niewinności, byłem określany przez władze polityczne prasy wojskowej jako enfant terrible, liczyłem się z tym, że, no, nie będę faworyzowany, będą kłopoty — trudno, trzeba to przyjąć — za to nigdy nie czułem się zniewolony.

Trzeba się zbierać na spotkanie z uczniami gimnazjum i liceum Władysława IV. Kwadrans po trzeciej przyjeżdża samochodem szczupły, chyba 50-letni polonista w okularach, p. Grzegorz Radomski. Jesteśmy za wcześnie, więc herbata u pani dyrektor, z polonistką, p. Ewą Klinger, która mnie na spotkanie zaprosiła. Rozmowa zbacza na dosyć nieoczekiwany temat, bo na różne chwyty ubeckie, kiedy usiłowali kogoś zwerbować. Opowiadam o swoich doświadczeniach i o tym, że niektóre rozmowy wykorzystałem w *Brulionach profesora T.*, pani Klinger kiwa głową, najwidoczniej zorientowana. Polonista kupił *Szóste, najmłodsze*, biorą go opowiadania sportowe, przeczytał też tytułowe.

Bałem się o frekwencję (jest po zajęciach), ale sala jest pełna, około 120 osób, większość to licealiści. Troje z moimi książkami przy oddzielnym stoliku — mają wyznaczoną aktywność. Szczupły wysoki chłopiec czyta

mój biogram. Uzupełniam go możliwie zwięźle, powołując się raz po raz na *Najpiękniejsze lata*, o których nikt nie słyszał.

Swoją rozmowę zacząłem od referowania odpowiedzi na kwestionariusz Fahrenheita, od tego, że na pytanie, o czym pan marzył w dzieciństwie, odpowiedziałem: „O tym, żeby być świetnym piłkarzem i sławnym śpiewakiem operowym", co wzbudziło oczekiwaną wesołość. O „Małym Przeglądzie", Newerlym i o epizodzie z Korczakiem w kinie.

Trwało to ponad półtorej godziny. Aktywna „trójka" zapytała o *Mojego przyjaciela króla*: dlaczego narrator jest cudzoziemcem? To nie było trudne do wyjaśnienia. Potem rozmawialiśmy o Jagielle i *Królewskich snach.* Na pytanie, jakie cechy powinien mieć władca, żeby stać się sympatyczną postacią literacką, poleciłem im dwa tomy Henryka Manna: *Młodość króla Henryka IV* i *Król Henryk IV u szczytu władzy.*

Dostałem piękny bukiet kwiatów. Pan Radomski, polonista, odwiózł mnie do domu. Opowiada, że uczniowie biorą udział w konkursie na wiersz. „Jaka forma przeważa?" — pytam. „Wiersz biały. To jednak dla nich łatwiejsze".

List z Rosji, od Julka Szatałowa, syna Ziny, tłumaczki, która w *Skromnym chłopcu w haremie* jest dla ostrożności „Taisą". List długi, dobrą polszczyzną, bardzo osobisty. Nie ma pracy, chyba żyje z renty jako zwolniony na skutek choroby, przesiaduje przed komputerem, z Internetu wie, co się u mnie dzieje. Zachwyciło go, pisze, że mówię po angielsku o *Nowolipie Street*. „To fantastyka! — pisze. — Ja siedzę w domu w Moskwie, a pan do mnie mówi i patrzy mi w oczy".

I Maciek, i Madzia, i Ela cieszą się, że Julek się odezwał, że żyje. Przysyła mi zdjęcie (wygląda przystojnie) z modnym tygodniowym zarostem, jak czyta *Nikt nie woła* (obiecywał sobie, pamiętam, że tę

powieść przetłumaczy), w tle półka z moimi książkami. Widzę *Crimen* i swoje zdjęcie.

Pewnie Julek uruchomił jakąś serię, bo w skrzynce znowu zwykły list, w kopercie, na niej znaczki. Prawie już odzwyczaiłem się, że coś takiego może się pojawić. List z Krakowa, od pani Zofii Gręplowskiej. Pisze: „Przed kilkoma dniami skończyłam czytać ogromnie interesującą Pana książkę", idzie o mojego Boya. Musi sprostować pewną zawartą pod koniec książki informację. Otóż nie córka Rydla i nie jej matka (Panna Młoda z *Wesela*) miały być wywiezione na Syberię, a w ich sprawie interweniował Boy (bezskutecznie, powiedziano mu groźnie: „Ne myszajtesia, profesor Żelenski"), jak opowiadała p. Wanda Ładniewska, która Boyem opiekowała się we Lwowie. „Ona pomyliła rodziny (…) na Syberię wywieziona została moja Babcia, Anna Tetmajerowa wraz z córką Krystyną (moją mamą) i jej mężem, małą córeczką i resztą rodziny, mieszkającą w leśniczówce pod Brzeżanami — mąż Mamy był leśnikiem. Babcię Tetmajerową córki wysłały z Bronowic w końcu sierpnia 1939 roku, o ironio, w nadziei, że na Kresach przetrwa ona wojnę w miarę spokojnie".

Pani Gręplowska dodaje, dotykając racjonalnie problemu: „Zdaję sobie sprawę, że z punktu widzenia opowieści o Boyu nie ma większego znaczenia, w czyjej sprawie interweniował".

Pomyłka pani Ładniewskiej nie była taka duża (bo to nie Boy się pomylił). Panna Młoda, więc Rydlowa, była młodszą siostrą pani Tetmajerowej, Gospodyni z *Wesela* (Hanusi Mikołajczykówny). Odszukałem boyowską *Plotkę o* Weselu *Wyspiańskiego*), żeby nie polegać na pamięci.

Ten list po podpisie pani Z.G. ma dopisek: „wnuczka Anny i Włodzimierza Tetmajerów". Boże mój, jakże nagle to, co było osnute

legendą, stało się bliskie. Bronowice, chata rozśpiewana! Jedno z najważniejszych dzieł w historii literatury i teatru polskiego (premiera w 1901 roku!) — i oto wywózka na Syberię, Panna Młoda czy jej siostra, cóż, obie są tego dzieła postaciami. Nie wiem, czy autorka tego listu zdaje sobie sprawę, że łączy ją z Boyem powinowactwo (choć bez pokrewieństwa), bo Kazimierz Tetmajer, brat przyrodni jej dziadka Włodzimierza, był kuzynem Tadzia Żeleńskiego: ich matki, Julia i Wanda Grabowskie, z warszawskiego mieszczaństwa, były siostrami.

Dość dziwne w tym wszystkim jest to, że p. Zofia na moją książkę, z tak bliskimi jej postaciami, dopiero teraz natrafiła — i to w wersji elektronicznej. Napiszę jej, że gdyby przeczytała *Błazna* 10 lat temu, można by było błędną informację w drugim wydaniu sprostować.

Dlaczego w ogóle tę rodzinę, niezaangażowaną przecież politycznie, wywieziono? Przez leśnictwo. Władze radzieckiej Ukrainy przyjęły, że leśniczowie, tak jak policjanci, byli funkcjonariuszami państwa polskiego. I tak Gospodyni z Bronowic znalazła się na Syberii. To, że Gospodyni będzie na Syberii, nigdy Wyspiańskiemu przez mózg nie przeleciało. Jakieś Chochoły, Upiory, Wernyhora (który mógłby to wieszczyć) — tak, ale nie tocząca się historia! A przecież Szela wciąż na swoją godzinę czekał…

Luty

Tydzień temu czytałem interesujący wywiad z sędzią, panem Tuleyą, któremu teraz wyciągnięto, że matka pracowała w milicji. Uprzytomniłem sobie, że wiodącą postacią w *Pinpongiście* jest Sędzia, czasem podkreślam: „Sędzia z Brooklynu”. A *Kwiecień*? Narratorem jest prokurator dywizyjny, który zachowuje się zresztą jak sędzia, a nawet jak obrońca. W 10. dywizji, jeszcze przed forsowaniem Nysy, rozpoznaliśmy się z prokuratorem, p. Grzybem, bo zetknęliśmy się w Samarkandzie trzy lata wcześniej, on

przyjmował ode mnie, w imieniu Męża Zaufania (rządu londyńskiego), p. Nowackiego, oświadczenie, że byłem na zesłaniu w Komi ASRR, potwierdzał to, pocąc się i jąkając, p. Merzer, za 20 rubli albo za pszenny placek. Obaj to złożenie oświadczenia pamiętaliśmy, pan Grzyb nie miał wątpliwości, że to bujda, formalnie konieczna, żeby pan Nowacki mógł bez komplikacji udzielić mi pomocy kategorii „F”, dla studiującej młodzieży. Z jego ramienia decydowała o tym bliska mu pani Lebenbaumowa, najwyraźniej mi sprzyjająca, dama z wyższym wykształceniem, z umalowanymi rzęsami, oczytana, jak na 40-letnią Żydówkę z zamożnego domu przystało.

Po wybuchu sprawy katyńskiej w kwietniu 1943 roku p. Nowackiego aresztowano, oskarżono o szpiegostwo jako byłego dwójkarza („Nowacki” to nie było jego prawdziwe nazwisko) — i rozstrzelano. Jakie były dalsze dzieje p. Lebenbaumowej, nie wiem, ale może nic dramatycznego się nie stało, bo punkt pomocy wskrzeszono, tylko już nie pod auspicjami rządu londyńskiego.

W Warszawie pod koniec lat osiemdziesiątych poznałem jego córkę Agnieszkę, dziennikarkę, miała rok, kiedy zaczęła się wojna, ojca nigdy nie poznała, to ja go znałem, musiałem o nim opowiadać — kulturalny, uczciwy, uczynny — dzięki niemu przetrwałem zimę 1942 na 1943.

I czy nie miałem racji, mówiąc Grażynie, że jestem kłopotliwym rozmówcą? Temat łączy mi się z tematem, sędzia Tuleya z *Pingpongistą* i *Kwietniem*, *Kwiecień* z Samarkandą i rozstrzelanym Mężem Zaufania. A spotkanie w 10. dywizji mecenasa Grzyba w roli prokuratora inspirowało wybór narratora w napisanej 15 lat później powieści.

Rada Stowarzyszenia Zaiks. Taksówkę zamawiam bez trudu, przyjeżdżam więc do Domu pod Królami trochę za wcześnie. Czekając

z Lucjanem Kaszyckim i Maciejem Małeckim, narzekamy, jak przystało na ludzi minionej epoki, na wulgarność obyczajową i słowną dzisiaj, wspominamy dyskrecję w sprawach fizjologicznych obowiązującą dawniej. Nie było mowy o żadnym „idę na siku”, kobieta szła „przypudrować nos”. Opowiadam, jak Ksawery Pruszyński, kiedy wyszliśmy z „domu bez kantów” po kolacji u Płońskich, podczas której nie śmiał powiedzieć, że chce do toalety (!), poskarżył mi się, że bardzo mu się chce — co robić? „Wejdź w te gruzy — poradziłem (były naprzeciwko) — ja będę stał na straży”. Tak się stało. W kilka lat później powstał w tym miejscu solidny budynek, w którym mieści się teraz knajpa BrowArmia. Wtajemniczeni stwierdzają zgodnie, że należałoby na ścianie budynku umieścić tablicę: „W tym miejscu KSAWERY PRUSZYŃSKI oddał co należy naturze”.

I znowu się rozgadałem.

Nie byłem na premierze *Irydiona* w Teatrze Polskim (wystawiono go, jak w 1913 r., z okazji setnej rocznicy teatru). I dobrze się stało, że mnie to ominęło, bo recenzja Goźlińskiego w „GW” jest miażdżąca. Co widz zrozumiał z tekstu sztuki? Nic, odpowiada Goźliński. Jakaś pani, którą o to pytał, odpowiedziała: „Że ci to my, a tamci to Ruscy”.

Goźliński wyciąga z tego wniosek, że cała dramaturgia romantyczna jest dziś niepotrzebna — *Dziady, Kordian* — nie, nie sądzę, to jest akurat świetne pisarstwo, inaczej na widza będzie dziś działać, nie emocjonalnie (chociaż „naród smoleński” może to przeżywać jak dawniej, skoro głosi, że Polska jest w niewoli zaborców) — poznawczo. A *Fantazy*? Da się to oglądać bez komentarza — lepiej nawet niż z komentarzem: sztuka ze świetnymi postaciami, z realistyczną intrygą, jak dobra powieść z połowy XIX wieku (której, gdy idzie o ten okres, nie mamy).

Zmarła moja czytelniczka. Miała 87 lat. Pochowano ją na starych Powązkach, w pogrzebie uczestniczyło kilka tysięcy osób. Syn przemawiał, wstrzymując się tym razem od enuncjacji politycznych. Podkreślał, że matka była osobą skromną.

Nazywała się Jadwiga Kaczyńska, a ten syn, który przemawiał, to Jarosław Kaczyński. I dobrze, że nie zatrącał w przemówieniu o politykę, bo p. Jadwiga na pewno nie dzieliła jego politycznych obsesji, tej zaciekłości, do której od pewnego czasu, od przegranych wyborów, powrócił. Pracowała w Instytucie Badań Literackich, a więc w placówce naukowej, na której czele stał zawsze członek partii, nie angażując zwykle pracowników w rozgrywki partyjne.

Ale jest i inna wskazówka, bardzo znamienna. Odnotowałem to w swoim *Dzienniku*, że p. Jadwiga rekomendowała Jarkowi jako lekturę *Milczące między nami*. Dobry syn zaczął czytać, ale „po kilkudziesięciu stronach odrzuciłem książkę ze wstrętem”. Nic dziwnego, zauważył mój wybitny przyjaciel, to jest książka o miłości, miłości do kobiety, miłości szalonej, pełnej pożądania.

Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że Jerzy Wilkot, jej narrator, ekonomista, to dąbrowszczak. Człowiek lewicy. Walczył z czczonym przez narodowych katolików generałem Franco. Przeciw faszystom. Wraz z hiszpańskimi komunistami i demokratami z całego świata. I pani Matka tę książkę synowi poleciła! Nie żachnęła się! To świadczy o niej. Uznała, że postawa bohatera jest naturalna. Na pewno jako „iblówka” czytała Pruszyńskiego i jego *Różaniec z granatów.*

Późnym wieczorem przyjechała Madzia z gorącym krupnikiem. Przywiozła „Wyborczą”, w której jest interesująca rozmowa ze Stefanem

Chwinem — o Miłoszu. Chwin uważa, że *Zdobycie władzy* jest powieścią ważną, niedocenioną. Jestem tego samego zdania.

Ciekawe, czy Chwin zna *Nikt nie woła*. Czy w ogóle czytał coś mojego i co. Z rozmowy z nim na pewnej promocji pamiętam, że dobrze oceniał *Kwiecień*, film. *Nikt nie woła* by go chyba zaskoczyło. Może i zniecierpliwiło; tak dalekie to jest od jego spokojnej, refleksyjnej, Mannowskiej prozy. Inny świat, inne doznania.

Któregoś wieczoru, skacząc pilotem po kanałach, natrafiłem w Planete na film o całkowicie prymitywnym plemieniu w Nowej Gwinei. Kręcono go chyba w latach 60., od tego czasu mogło dużo się zmienić. Kończy się ten dokument energicznym naporem misjonarzy. Dzicy (można ich tak nazwać) przyjmują komunię świętą. Joyce przenikliwie zauważył, że symbolika spożywania Ciała Pańskiego i picie jego krwi trafia do nich łatwo, bo wierzą przecież, że kiedy się mięso dzielnego człowieka spożyje, nabierze się jego męstwa i mądrości. Ta ingerencja misjonarzy w ich życie świadczy, że pisząc *Długą, chyżą łódź*, byłem bliski rzeczywistości.

I w jaki jeszcze sposób wciska się w dżunglę cywilizacja? Przez budowę drogi z kawałków kamienia. Te kamienne kostki noszą w płóciennych woreczkach kobiety. Trwa to i trwa, ale w końcu widać biały, szeroki, wchodzący w ciemność dżungli pas, który Papuasi podziwiają, chociaż do niczego on im nie jest potrzebny. Na razie. Jutro może być inaczej, może inaczej jest już teraz, kiedy to piszę. Będą „lakistrajki”, nieprzyzwoite dziewczyny będą zasłaniać piersi, tak jak robią to dla podniecenia samców rozpustnice w kamiennych domach.

Najbardziej przygnębiająca jest jednak brzydota tych mieszkańców dżungli. To nie wysmukli, pięknoocy Polinezyjczycy. To przysadziści, grubonosi brzydale o niskich czołach. Z tępotą w oczach, która o tej

brzydocie decyduje. Kobiety z długimi, obwisłymi po pępek piersiami. Nawet dzieci są brzydkie, ich uśmiech jest tępawy, spojrzenia bezmyślne.

Czy kiedyś z tego wyjdą? Wkrótce zaczną oglądać telewizję — czy oczy zalśnią im zrozumieniem?

Wpływ wiedzy, inteligencji na rysy twarzy — oto temat do pracy doktorskiej. Pod warunkiem że promotorem nie będzie jakiś tępy profesor.

Znowu list od p. Zofii Gręplowskiej, wnuczki Tetmajerów z Bronowic. Dowiaduję się z niego o sprawach pogodniejszych. Babcia, czyli Gospodyni (miała 27 lat, po 10 latach małżeństwa, kiedy rozgrywa się *Wesele*), z zesłania ewakuowała się, wraz z córką, z wojskiem Andersa do Persji, potem do Indii, a w roku 1948 obie wróciły do Polski, do Bronowic Małych, by ponownie zamieszkać w Tetmajerówce. W 1954 roku pani Hania zmarła.

Matka p. Zofii wyszła ponownie za mąż — „jestem owocem tego drugiego związku". Mama zmarła w 2009 roku, kilka dni po swoich 98. urodzinach, „nagle, bo była w dobrej formie, sprawna, pogodna". Dowiaduję się, że w łagrze był też kolejny szwagier Mamy, Ludwik, mąż Jadwigi (Isi z *Wesela*). Wszyscy przeżyli. Po wojnie znaleźli się w Londynie.

Isia — to najbardziej urocza postać sztuki. To ta, która miotłą przegania Chochoła. Kiedy Gospodyni ją rodziła, miała nie więcej niż 18 lat. Śpieszyły się z małżeństwem panny Mikołajczykówny, bajecznie kolorowe, co panom literatom w głowie zawracały, śpieszyły się świadome, że nie na długo tej kolorowości — korzystaj z niej, póki lśni.

W „Wysokich Obcasach" w artykule o Jovance Broz, wdowie po Ticie, kiedy mowa o jego romansach, wymieniono też Tatianę Okuniewską:

w roku 1947 marszałek, prezydent Jugosławii, proponował jej, by została „pierwszą damą”. Odmówiła. Niechęć? Niezupełnie tak. Okuniewska była już wtedy żoną Borysa Gorbatowa, znanego w tym okresie pisarza, Żyda z Donbasu. Uwięziony w latach trzydziestych, redagował górniczą gazetę. Od tego zaczął. Wkrótce zdobył sobie uznanie jako pisarz. Podczas wojny jego namiętne, patetyczne, trochę może nazbyt wyszukane literacko artykuły czytane były niemal jak artykuły Erenburga.

Po wojnie Mark Donskoj, reżyser znakomity, nakręcił według jego scenariusza (a chyba i powieści) wstrząsający film *Dusze nieujarzmione (Niepokorionnyje)*. Oglądaliśmy go z Reną w Krakowie w 1947 roku; udało nam się, bo wkrótce zdjęto film z ekranów — i nigdy nie przywrócono. Chyba chodziło o to, że film pokazywał kolaborującą z Niemcami czarno odzianą policję ukraińską, mordowanie Żydów, przejmujące prowadzenie ich na miejsce kaźni, grabież.

Nazwisko Okuniewskiej (chociaż bez imienia) usłyszałem po raz pierwszy w roku 1956, w pociągu, kiedy jako korespondent tygodnika „Świat” jechałem z Moskwy do Doniecka (niedawno jeszcze Stalino, a przedtem Juzowka, od nazwiska Anglika Hughesa, właściciela koncernu węglowego), jechałem całkiem prywatnie, by odwiedzić mojego wujka Lwa, emeryta z chorym sercem, kiedyś oddanego partii działacza, którego podczas wielkiej czystki 1937 roku nie rozstrzelano, bo rok wcześniej szczęśliwie go wyrzucono z partii.

Podróż trwała dwie doby. Moim współpasażerem był inteligentny sześćdziesięcioletni mężczyzna w czarnym garniturze, dobrze zorientowany w świecie literackim (dowiedziałem się od niego, że Gumilewski, autor bulwersującej powieści *Psi Zaułek*, był Polakiem, nazywał się Gustaw Milewski), czuł potrzebę rozmowy, wyrzucenia z siebie tłumionych dotąd wiadomości, przekazania ich młodemu (to wtedy ja) dziennikarzowi

z Polski; po referacie Chruszczowa sprzed dwóch miesięcy ludziom otworzyły się usta. Opowiadał i wzdychał: „Wot ludojed”, ludożerca — tym słowem podsumował Stalina.

I to on opowiedział mi o Okuniewskiej. Aktorka niezwykłej urody, kochali się z Tito w latach trzydziestych, zanim przerzucono go do Jugosławii. Wyszła za mąż za Gorbatowa, który, rzecz prosta, ją uwielbiał. Kiedy Tito stał się dla Stalina „psem łańcuchowym imperializmu”, w 1947 roku, Okuniewską aresztowali. Znalazła się w łapach Berii i jego szajki. „Zaj…li ją na śmierć”, opowiadał mój towarzysz podróży. Gorbatow, dowiedziawszy się o tym, dostał ataku serca. Wkrótce zmarł.

Przedtem jednak, zanim wyszła za mąż za Gorbatowa, kiedy jeszcze sławiono w prasie radzieckiej Titę jako zwycięskiego wodza armii partyzanckiej, Okuniewską delegowano do Sielc nad Oką, do 1. Dywizji Piechoty Berlinga, żeby pomogła Polakom w organizowaniu życia kulturalnego. Poznała Ryszardę Hanin, Krasnowieckiego, Waldena i „czołówkę” filmową: Forda, Wohla, Bossaka i Ludwika Perskiego. Urokowi Perskiego podobno się nie oparła.

Jest rok chyba 1976, w każdym razie Sołżenicyn już po Noblu, wydalony za granicę. W kawiarni Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu siedzi oblężona przez filmowców elegancka pani, pewnie sześćdziesięciolatka, wciąż piękna. Ludwik Perski do mnie: „Siadaj z nami. Poznaj, pani Okuniewska”. Udało mi się ukryć wrażenie. Rozmawiamy o kinie (widziała *Prawo i pięść*). Powiedziałem w końcu: „Cieszę się, że panią widzę. Do mnie dotarło, że panią zabili”. „Żyję i mam się dobrze”. O Titę, oczywiście, nie spytałem. (Mogli się zobaczyć — lub nie — w 1956 roku, kiedy Tito przyjechał do Moskwy z pierwszą oficjalną wizytą). Powiedziałem jednak: „Słyszałem, że Gorbatow ciężko to przeżył”. Na co

usłyszałem niespodziewanie: „Gorbatow eto swołocz”. Więc ją zawiódł. Nie rozpytywałem, co się stało. Załamał się? Sypał?

W pewnej chwili p. Okuniewska powiedziała: „Mam straszne zmartwienie. Ukradli mi walizkę. Mniejsza o ciuchy. Ale w walizce była książka Sołżenicyna *Oddział chorych na raka*. Pożyczyli mi ją w ambasadzie. Oni nigdy nie uwierzą, że książkę mi ukradli. Będą podejrzewać, że chcę ją sobie przywłaszczyć”.

Nie do uwierzenia! W ambasadzie radzieckiej nie tylko mają wydanego na emigracji Sołżenicyna, ale wypożyczają go do czytania. Jeśli mówię „nie do uwierzenia”, to mam na myśli tych, którzy cały świat widzą czarno-biało. Mnie to nie dotyczy: ja z wielobarwnością rzeczywistości nawet w czasach terroru stykałem się niejednokrotnie. Powiedziałem: „Jeśli przyjdzie tu pani jutro, dostanie pani ode mnie Sołżenicyna”.

Nazajutrz p. Tatiana siedziała znowu przy stoliku u literatów, otoczona przez to samo grono zaprzyjaźnionych filmowców. Wręczyłem jej książkę. Oglądała ją nie bez zdziwienia. „Co za kraj! — wykrzyknęła. — Jednego dnia mówisz, że potrzebny ci Sołżenicyn, nazajutrz go dostajesz”.

Nie wiedziała, że to nie „taki kraj”, ale tylko pewien literacina, który przywiózł egzemplarz z Paryża. I który po przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów poczuł, że nie może dalej czytać, bo tekst jest tak sugestywny, że rozbolało go gardło. Jakby rak się udzielał…

Depresja, powiadają niektórzy, z powodu braku słońca. Nie znam takiej zależności. Dlaczego? Czy taki odporny umysł? Samo zdrowie? Przecież byłem dzieckiem nerwowym, wrażliwym, we władaniu różnych strachów.

Chyba na stan mojego umysłu wpływa nieustanna czujność pisarska. Część mojego życia rozgrywa się w wyobraźni. Oświetlona jest (lub zaciemniona) własnym światłem.

Nie będę tu odnotowywał wydarzeń, na które nie jestem wprawdzie obojętny, ale które załatwia telewizja, radio i prasa. I dokumentuje. Nie będę się mądrzył z powodu wybuchu meteorytu nad Czelabińskiem i siły uderzeniowej, która powybijała szyby w tysiącach domostw. Moje refleksje nie mają tu znaczenia ani nie są chyba oryginalne.

Za to wspomnę o czym innym. O tym, że z powodu zapotrzebowania na szyby firmy szklarskie gwałtownie podniosły ceny. To dowód, że w Rosji nie ma bolszewizmu, nie ma strachu przed karą, rząd nie może zabronić tego łajdactwa, jest bezsilny. Dawniej, za Stalina i jego następców, wystarczyłoby krótkie oświadczenie, że za podwyżkę ceny grozi łagier. Inna sprawa, że może nie byłoby szyb…

Notatki do *Zastępcy* robię właściwie sobie a muzom — przecież ta powieść byłaby dzisiaj jak jakieś znalezione w starej komodzie zapiski z fin de siècle'u, tyle się zmieniło — nie tylko w technice życia — ale i w obyczajach, języku, nie tylko ulicznym, tak się wszystko zbrutalizowało, tyle jest okrucieństwa, bezkarnego głoszenia nienawiści, beztroskiego zadawania śmierci. Gdyby to nie zatrącało o rzeczywistość polityczną, o szybki rozpad pewnych konstrukcji społecznych, grup, ideologii, można by było się zabawić w łagodny opis uczuć, subtelności psychologicznych, jak w „wieku niewinności", w stylu Henry'ego Jamesa.

Ale nawet moja Wróżka (Jasnota), która tarotem chce po prostu zarobić na życie, znalazła się chcąc nie chcąc w świecie ciemnym, gdzieś na granicy obłędu, gdzie miliony ludzi żądają za pieniądze odpowiedzi, co z nimi będzie, czy zdadzą egzamin na prawo jazdy, czy będzie matura, czy zjawi się upragniony Ktoś. I wychodzi pismo „Egzorcysta", naczelnym redaktorem jest ksiądz, a w treści opowieści kobiet, jak demon je gwałci.

Podczas przechodzenia przez jezdnię na Pięknej — przypadkowa rozmowa ze starszą panią. Właśnie wydała książkę *Widziałam getto*. Miała 11 lat, kiedy wojna wybuchła (więc teraz 83). Mieszkała na Lesznie róg Żelaznej. „Koło gimnazjum Collegium?" „Tak". Wspominam Nowolipie. (Nie chcę, by myliła się co do mojego pochodzenia). „Napisałem taką książkę". Nic jej to nie mówi. Nie zna mojego nazwiska i nie interesuję jej. Ma prawo nie być zorientowana — była z mężem długie lata w Tanzanii, a potem w Nigerii, on jest chirurgiem, ona — ginekologiem. „Mieliście państwo okazję robić dużo dobrego" — mówię. „Tak, robiliśmy. Ale czasem było niebezpiecznie". Kiedy? Kiedy pacjent umierał na stole operacyjnym. Na szczęście miejscowi lekarze ich chronili. Uważa, że powinien z jej książki powstać film. Jeszcze raz przekonuję się, jak obsesyjna, natrętna staje się ambicja autorska. Informuję panią, że istnieje Instytut Sztuki Filmowej na Krakowskim Przedmieściu. Bardzo wdzięczna. Na pewno tam trafi, czeka ich niełatwa rozmowa.

Pani Ola Surdykowska z WL przesyła mi recenzje z *Nikt nie woła*, jakie ukazały się w portalach literackich, może amatorskich, ale podobno popularnych. Zawiadamiam p. Surdykowską: „Są jak marzenie".

Portal „Ostatni akapit", p. Michał Januszko: „Już po przeczytaniu pierwszych stron czułem się jak w domu. Zagłębiałem się w piękny język polski sprzed lat, delikatnie zakurzony przez nieużywane dziś słowa". Pisze, że „głos intensywny, wzmocniony odczuciem autentyczności opowieści, porywał mnie do świata, nad którym ciążył cień wojny, skrajnej biedy i głodu". Dalej: „Jego walka, jego zmagania się z przeciwnościami budziły moje emocje. (…) Nie mogłem mu nie kibicować. Było nas dwóch".

I znamienne zakończenie: „Cieszę się, że odwiedziłem miejsca, w których «nikt nie woła» (…) dzięki pisarzowi, o którym miesiąc temu nawet nie słyszałem”. O, psiamać! Mało co świadczy o tym, w jaki kąt zostałem zepchnięty przez panów profesorów i znawców.

Są i dopiski do tej recenzji. Czytelnicy polecają p. Januszce *Crimen*. Na to p. Januszko: „…mam już chrapkę na inne książki Hena, w tym właśnie *Crimen* i *Nowolipie*”.

Portal „Łowisko książek”, Anna Jurczyk. Powieść „fantastycznie zniosła próbę czasu”, „tchnie świeżością”, „eksploduje niezgodą na los”. O wątku miłosnym: „Jest szczery bez naturalistycznych opisów, romantyczny, chociaż jego styl jest bardzo konkretny, nie poetycki i nie zaciemniający istotę rzeczy. Nigdy dotąd nie spotkałam się z takim ujęciem”. (Myślę, że takie właśnie ujęcie zawdzięcza książka jej, dziewczynie, takiej jaką ona była).

Kończy pani Jurczyk tak: „Bałam się ugrzęźnięcia w długich, niejasnych zdaniach, bałam się nadmiaru martyrologii, cierpienia i szlachetności wysuniętych na plan pierwszy i przesłaniających człowieka. A trafił mi się taki brylant! Taka piękna niespodzianka!”.

Madzia poleciała z wycieczką do Maroka — po słońce. Najpierw w Agadirze. Nazajutrz SMS od niej — wciąż źle się czuje. „I co ja mam z tym robić? — odpowiadam. I przypominam: — Jutro moja impreza”. Więc potem ona: „Przepraszam. I trzymam kciuki”.

Nazajutrz Madzia do mnie: „Czy mam zaprosić do mojego pokoju panią, która wydaje mi się daleka, ale sypia w kiepskich warunkach, podczas gdy ja mam dwa łóżka?”. „Zaproś. To może okazać się sympatyczne. I nawet interesujące”. Madzia rozumie: nigdy nie wiadomo, co pozornie mało interesujący człowiek chowa w zanadrzu. A na pewno odpłaci Madzi

sympatią. Dla niej to też lepiej: współlokator jest zawsze problemem i lepiej, żeby miała taki problem, niż te, które wozi ze sobą z Warszawy.

Marzec

Muzeum Literatury na rynku Starego Miasta. Wydawnictwo Literackie zorganizowało promocję *Nikt nie woła*. Klęski nie było. Impreza całkiem udana. To nie znaczy, że był sukces medialny. Nie było recenzentów, felietonistów, telewizji. Zgodnie z moimi przewidywaniami, salon zgromadził się tego wieczoru w Krytyce Politycznej przy Foksal. Powiedziałem, że liczę na niezaproszonych.

Sala była pełna. Niespodziankę mi zrobił Marian Pilot, przyszedł z żoną. Byli Bardijewscy, Ordyński, Kabatcowie, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Krysia Morgenstern. Tutaj padnie, jak zwykle w wyliczeniach, nieuchronne (i krzywdzące) „i inni”. Mnóstwo nieznanych mi osób i skądinąd znanych, których nie potrafiłem zidentyfikować. Wpatrująca się z miłym uśmiechem ładna pani — to bibliotekarka z Liceum Batorego.

Powitał zebranych Jarosław Klejnocki, dyrektor Muzeum, poeta i autor wielu warszawskich kryminałów. Zaskoczył mnie, bo byłem pewny, że jako autor dla niego nie istnieję. A on podkreślił, jakie znaczenie miały dla niego dwie moje książki: *Montaigne*, kiedy był studentem — co przypomniało mi o upływie czasu (i o różnicy wieku) — i *Crimen*. „Tak, *Crimen* — powtórzył — i twierdzę, że to kryminał”.

Niespodziankę przygotował też p. Dariusz Bugalski, który spotkanie prowadził. Zacytował kawałek *Dziennika*, gdzie opisuję jazdę z dwojgiem wolontariuszy na festiwal w Toruniu i wtrącam, że ojciec dziewczyny powiedział im, żeby jechali ostrożnie, bo wożą „skarb”; i dalej moja uwaga, że po trzech godzinach jazdy samochodem „ten skarb mocno wyblakł”. Otóż ten zalecający ostrożną jazdę ojciec — to był on. „Mogę pana

zapewnić, że pan dla mojej córki nie wyblakł”. Śmiech, oklaski. Czytałem, tak jak uzgodniliśmy, posłowie do *Nikt nie woła*. Kiedy mowa była o tym, że Gulsara, siostra Asrora, gotowa była pojechać ze mną do Warszawy jako druga żona, dodałem: „Przedstawiłem tę możliwość żonie: nie była zachwycona”. Kiedy wypowiedziałem zdanie (kończące posłowie) o bohaterce: „Jest babcią moich wnucząt”, przez salę przeszedł szmer, jakby zbiorowe westchnienie.

Ktoś zapytał, czy nie mam ochoty napisać biografii Wieniawy-Długoszowskiego. Odpowiedziałem: „Nie! Ja najlepiej się czuję w towarzystwie monarchów”.

Dzień wytchnienia po wczorajszych emocjach. Z B.Z. na pierogach. Kończy 61 lat. „Nie wyglądasz” — mówię zupełnie szczerze. „Na ile?” Przyglądam się. „Czterdziestka dobrze wyglądająca”. „Tak samo wyraził się mój syn”.

W Czytelniku spotkanie z p. Igą Nyc z miesięcznika „Pani”. Jest nieźle przygotowana, dobrze zna *Dziennik*, oczywiście *Nikt nie woła, Nowolipie* i *Pingpongistę.* Pani Iga zaczyna od reakcji społeczeństwa na film *Pokłosie.* Skąd to oburzenie? Z poczucia winy, do której nie chcą się przyznać. Ze zmiany ulubionego obrazu Polaka podczas okupacji: byli sami bohaterowie, patrioci, a tu nagle nikczemność, zbrodnia i wszystko inspirowane przez chciwość, żądzę grabieży.

Przypominam, że słowo „patriotyzm” zostało skompromitowane: ile razy tworzyło się coś podejrzanego, używało się „patriotyzmu”.

Panią Igę i jej pismo najbardziej interesuje Rena: jak można żyć ze sobą ponad 60 lat. A już zachwyt jej — jako dziennikarki, bo to rodzynek artykułu! — budzi to, że nie mieliśmy ślubu (choć Rena wszystkie

potrzebne papiery miała), i to, że to ona go nie chciała: „jest tak dobrze — mówiła — jak będzie ślub, to może to się skończyć”.

Trochę o kłopotach z *Nikt nie woła*. „Mam jedno marzenie — powiedziałem — żeby pewien wpływowy redaktor, który po ukazaniu się po 33 latach powieści utrącił jej sukces, teraz napisał artykuł: «Przepraszam, pomyliłem się»”. Powiedziałem jej to samo, co mówiłem w Muzeum podczas promocji: że gdyby książkę napisał Rosjanin, i to w okresie „sołżenicynowskim”, ona by się ukazała. Ale jak takie rzeczy pisze Polak, to — zdaniem polskich mędrków partyjnych — Rosjanie mogliby ją uznać za propagandę antysowiecką.

Opowiadam p. Idze o Tatianie Okuniewskiej, o Ticie, Gorbatowie i o tym, że książkę zabronionego już wówczas Sołżenicyna pożyczono jej do czytania… w ambasadzie sowieckiej. „Niesamowite…” — zdumiała się.

Aha, zapomniałem: na początku pytała o nasze spotkania w Czytelniku, o słynny „stolik”. Trochę anegdot w związku z tym, z podkreśleniem, że „konspiracja polityczna” odbywała się nie tutaj, ale w kawiarni ZLP i PIW. Szkoda, że nie wspomniałem o bywającym tu Rymkiewiczu, który wtedy jeszcze nie chciał wieszać i żył w wolnym kraju, a nie w kondominium rosyjsko-niemieckim.

(Pani Iga Nyc więcej się nie zgłosiła. W miesięczniku „Pani” nic się nie ukazało).

W skrzynce na listy — lutowy numer „Nowej Polszy”, a w nim: *Nie zowiot nikto*, cały końcowy rozdział części pierwszej. Są i wiersze Różewicza z tomu *To da sio*, w tym ten wiersz, którego jestem bohaterem: *Bojus’ biessonnych noczej*. Zawiadamiam o tym Madzię. Mam taki odruch, że trzeba by to pokazać Renie. Kilka miesięcy temu zadzwoniłbym do Ritki (znowu coś na kształt odruchu). Dzwonię do Różewicza, który, jak się

wydaje, z rosyjskim nie bardzo. Numer już ma, „ty też tam jesteś” — mówi, jest ciepły, sympatyczny. Ze strony redakcji jest to przemyślane, miłe pociągnięcie: wybrali ten wiersz (przełożyła Tatiana Dubinina) właśnie dlatego, że jest w numerze moja proza.

Wybrałem się do Pałacu Staszica na promocję książki rozmów ze Zbigniewem Mikołejko *Jak błądzić skutecznie.* Wydawcą są Iskry. Spodziewałem się, że spotkam znajomych ludzi pióra, może dziennikarzy z „GW”, bo Agora chyba objęła patronat nad książką. Sala pełna, pod ścianami stali młodzi uczestnicy spotkania. Wiesław Uchański odstąpił mi krzesełko (wygodne, z oparciami) i zaraz zwiał.

Spotkanie dla mnie bardzo pouczające — i pokazujące rzeczywistość. Wśród dwustu osób, które zapełniły salę, spostrzegłem może trzy, cztery mi znane. A przecież były to osoby czytające, na ogół profesjonalistki w wieku emerytalnym. Wszystko z wzajemnością: ja ich nie znałem — i one mnie też. W Warszawie jest sporo kręgów inteligenckich, nie zazębiających się o siebie, czasem tylko z lekka się o siebie ocierających. Inni tu ludzie niż ci, którzy byli na promocji *Nikt nie woła*, i inni niż ci, którzy za kilkanaście dni przyjdą do Agory na organizowany przez Instytut Książki jubileusz Pomianowskiego. I niż te osoby, które będą się tłoczyć na wernisażu malarstwa Andrzeja Fogtta. To spotkanie z p. Mikołejko pozwoliło mi trzeźwo spojrzeć na entuzjastyczne głosy w portalach i maile nadesłane do p. Bugalskiego po naszej rozmowie w Trójce.

Ktoś pytał pana profesora, skąd taki tytuł książki — o błądzeniu. On, że inspiracją był Majmonides, który napisał książkę dla błądzących. *More Nebuchim* — miałem ochotę podpowiedzieć, słynną w średniowieczu. („Nauczyciel błądzących” czy raczej „Pouczanie błądzących”). Napisał traktat po hebrajsku, chyba przebywając jako lekarz w Fezie, ale posługując

się, jak mi się zdaje, alfabetem arabskim. Zresztą mogłem coś poplątać. Sprawdzę u Paula Johnsona.

Wiesław dzwoni, żebym nie wychodził, jest ostry wiatr. „Już wyszedłem” — ja na to. Opowiadam mu, jak się czułem podczas wieczoru Mikołejki. Obcość, nie znam nikogo, nikt mnie nie zna. On częstuje mnie czymś, co moje odczucia potwierdza. Organizatorka tego spotkania z ramienia Agory, młoda dziewczyna — socjolog, ale przecież pracująca w tej branży — spytała: „A kto to był ten miły pan («miły», o mnie!), któremu ustąpił pan miejsca?”. „To Józef Hen” — odpowiada znacząco Wiesław. „Hen? — Pani szuka w pamięci. — To pisarz?”

Gdzieś koło trzeciej mail z „Wyborczej”, jakby świadectwo względności wszystkich opinii, rozmaitości tego światka, od Donaty Subbotko (której wywiad ze mną przed kilku laty *Lekkie swędzenie sumienia* bardzo się upamiętnił). Zapytuje, czy dam się namówić na rozmowę o życiu, przemyśleniach, Polsce. Mam być, jak się domyślam, za doświadczonego Starca, w najtrudniejszej z przypisywanych literatowi ról. Zgadzam się. Umawiamy się na spotkanie w Czytelniku. Przesyłam pani Donacie posłowie, którego nie zna. A wiem, że lubi być przygotowana.

Telefon z Ameryki. Wesoły głosik! Ewa po egzaminie. Dobrze poszło? „Rozwaliłam zadanie na kawałki!” Daje znak, że świetnie. Dziś wieczorem impreza pożegnalna. W niedzielę do Bostonu — potem samolotem do Londynu — przesiadka — i w poniedziałek przed południem w Warszawie. Czym przywitać? Krupnikiem.

Natychmiast zawiadamiam Madzię o wyniku egzaminu. Krupnik będzie.

W gazecie wywiad z Doroteą Bromberg, ozdobiony jej zdjęciem z ojcem. Jej twarz znajoma, musiałem ją widywać jako piętnastolatkę w wydawnictwie MON, którego płk Adam Bromberg był dyrektorem. W przeciwieństwie do skrupulatnego płk. Henryka Wernera, który przesiadywał w gabinecie do późnych godzin wieczornych, Bromberg o trzeciej wychodził i wsiadał do własnego samochodu — nie służbowego — co wtedy było rzadkością.

Nic nie zapowiadało, że będzie tak energicznym i kompetentnym wydawcą, kiedy obejmie Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Mówiłem wtedy, że ci ludzie, przedwojenni komuniści, wykształceni, oczytani, byli w tym MON „głupi na własne życzenie". Pamiętam parę jego niemądrych wskazówek, kiedy męczyłem się nad *Drugą linią*, którą niepotrzebnie, choć w dobrej wierze, napisałem. Bohaterem jest prosty, niepokorny żołnierz, zmobilizowany do polskiego wojska w 1944, wprost z kopalni w Karagandzie, do której go zesłano. Pamiętam zdumienie (najpewniej obłudne) pani major Zatorskiej, kiedy zapoznała się z maszynopisem: „Jak to? Jest przeciwnikiem Związku Radzieckiego, mimo że pracował w radzieckiej kopalni?!". „Właśnie dlatego" — odpowiedziałem, zdumiony z kolei ja — i to szczerze — że można gadać takie głupoty. Uwagi płk. Bromberga były w tym samym stylu i na tym samym poziomie.

W zwierzeniach jego córki przejmująca jest opowieść o marcu 1968. Ataki na Bromberga, jako na dyrektora PWN, zaczęły się wcześniej, bo w 1965 roku. Usunięto go, powołano na dyrektora Karola Kuryluka, przedtem ambasadora w Wiedniu. Kuryluk nic nie zmienił, nie potępił Bromberga, ataki na PWN trwały i pamiętam, że kiedy Kuryluk zmarł na atak serca, Auderska powiedziała: „Zaszczuli człowieka".

W marcu antysemici dopadli wreszcie Bromberga jako Żyda. Opowieść p. Doroty o zachowaniu koleżanek i nauczycielek (jedna z nich, wchodząc

do klasy: „Śmierdzi tu Żydem”), a potem o samobójstwie tej jedynej, która się z nią solidaryzowała, za co została usunięta ze szkoły („nie chcę żyć w takim kraju”), może doprowadzić do łez. Wyjechał do Szwecji w 1970 roku. W 1975 razem z córką wzięli duży kredyt i założyli wydawnictwo Brombergs. Mieli szczęście, bo dwóch autorów, na których postawili, dostało Nobla: Bashevis Singer w 1978 i Miłosz w 1980.

Zaproponowałem Brombergowi mojego *Montaigne’a*, wierząc naiwnie, że natychmiast wyda — nie ze względu na mnie, ale ze względu na Montaigne’a, na czytelność tej książki i atrakcyjność postaci. Odpowiedział mi, że rozważałby to, gdyby mógł dać komuś do czytania przekład niemiecki. Nie bardzo go rozumiałem — wydawało mi się, że on sam może decydować, przecież wciąż jeszcze czyta po polsku. No cóż, przekładu niemieckiego nie miałem. (Chociaż wydawnictwo Volk und Welt zamierzało *Montaigne’a* wydać, tłumaczyć miał Henryk Bereska, który przedtem przełożył *Dworzanina* Łukasza Górnickiego, wszystko było na dobrej drodze — aż tu Solidarność, stan wojenny, oni się wycofują — i znowu, jak wielokrotnie przedtem i potem, padam ofiarą sytuacji politycznej). Na tym kontakt z Brombergiem się urwał.

W październiku 2004 roku byłem w Sztokholmie, zaproszony przez Instytut Kultury Polskiej, ale i przy współudziale jakiegoś towarzystwa imigrantów marcowych. Miałem kilka spotkań. Pani Dorotea Bromberg, teraz już chyba pięćdziesięciolatka, nie pojawiła się. Raczej niemożliwe, żeby nie wiedziała o moim istnieniu. Jeden z tych wieczorów prowadziła Gabriela Bromberg, jej kuzynka (a zarazem siostra przyrodnia, bo stryj Adam, po śmierci brata, ją adoptował), entuzjastka *Nowolipia*. (Było już wtedy, gdyby okazało się potrzebne, wydanie niemieckie, a teraz, kiedy to odnotowuję, jest już także angielskie).

Sądzę, że p. Dorotea ani myśli kogoś lansować — wydaje po szwedzku wybitne nazwiska, już wylansowane. Trudno o to mieć do niej pretensję.

Siedzę teraz przy stole, może uda się coś zanotować. Nie mam za dużo czasu, za godzinę trzeba włączyć telewizor. Będzie rozmowa ze mną o *Nikt nie woła* w audycji „Xięgarnia”. Nagrana wczoraj.

Przyznaję: to było przeżycie. Satysfakcja, której nie oczekiwałem. Spodziewałem się wymuszonej, uprzejmej rozmowy, może trochę uwag krytycznych (delikatnie), trochę zdawkowych pochwał. Ale wkrótce się okazało, że moi rozmówcy — Agata Passent i Mariusz Cieślik — oboje są pod wrażeniem książki. Agata mówi nawet: „Gdyby to się ukazało od razu, to byłaby rewelacja! Kariera na miarę światową! — I pyta: — Czy nie ma pan żalu o to, że to się tak potoczyło?”. Odpowiedziałem po prostu: „Mam żal”. (Coś podobnego powiedział mi kilka lat temu Tadeusz Karwański, który czytał powieść jako jeden z pierwszych w maszynopisie: „Ten reżym ciebie strasznie skrzywdził”, a potem pojawia się zadowolona z życia paniusia, hasająca sobie w piśmie „katolickim”, i pisze o mnie beztrosko: „pisarz peerelowski”). „To jest coś fantastycznego — odzywa się Mariusz Cieślik. — Książka napisana pięćdziesiąt kilka lat temu jest tak żywa, jakby była napisana teraz”. Agata: „Jak pan myśli: co przeszkadzało przeciwnikom tej książki?” „Prawda — odpowiadam. — Prawda dla obu stron jest niewygodna”. I opowiadam o tym (czego nie uwzględniłem w posłowiu), że Giedroyc nie chciał jej wydać: książka jest dobra, ale nie odpowiada mu politycznie. (Nie wpłynęło to na stosunki między nami, zawsze sympatyczne). Myślę, że przeciwnikiem wydania jej w „Kulturze” był — z kilku powodów — Herling-Grudziński.

Agata pyta o autentyzm tej książki. Jest tu, mówi, ta rozmowa na początku drugiej części (*W butach*) — on i ona sami w/na tych stołach-

łożach — piękna scena miłosna — czy tak było? Tak, odpowiadam, dokładnie tak.

Nigdy nie myślałem o tym rozdziale jako o „scenie miłosnej” i do tego „pięknej”, w domu zacząłem ją czytać — ależ tak, Agata ma rację, wszystko jest jeszcze zduszone, ale w oczekiwaniu miłości, jest erotyka w powietrzu, w tej ciemnej, pustej sali. I w następnym rozdziale, kiedy Rena (przepraszam: Lena) pośliznęła się i padając, wywróciła misę ze smażonymi kartofelkami, a ja (przepraszam: Bożek) nie nakrzyczałem na nią. Głodny, zmęczony, podzieliłem się z nią rodzynkami i odprowadziłem do bursy.

„Ten chłopiec — mówi Agata — taki delikatny, wrażliwy i pcha się do wojska, jak to możliwe? — Chciałem się bić — odpowiadam. Jak całe moje pokolenie. Jak moi rówieśnicy, którzy zostali w Polsce. I zawsze chciałem być dobrym żołnierzem, nie ofermą”.

O powstaniu *Nie boję się…* powiedziałem dość zuchwale, że ośmieliły mnie wydane tego rodzaju książki kolegów. Telefon z mocnymi komplementami od Krzysztofa Mętraka po opublikowaniu fragmentów w „Miesięczniku Literackim”, z konkluzją: „Musisz zrobić z tego książkę!”. I jeszcze *The Steps* (*Kroki*) Jerzego Kosińskiego, o czym mu zresztą powiedziałem w 1988 roku w Jerozolimie, ku jego satysfakcji — uważał tę książkę za skrzywdzoną.

Wspomniałem też, że cenię sobie film *Don Gabriel*. Agata zdumiona: „Nigdy nie słyszałam o tym filmie”.

W nadanej audycji — z nieuchronnymi skrótami, takie są prawa realizacji telewizyjnej — wiele z tych rzeczy nie poszło. Nie ma na przykład słów Agaty o „pięknej scenie miłosnej”. Za to jest pytanie, jak mi

się spodobał film Kutza. Ja, po seansie „Xięgarni” z lekka skacowany, a tu wciąż słyszę: „świetne”. Agata miała telefony z gratulacjami.

Spotkanie w Czytelniku z p. Donatą Subbotko. Sądziłem, że rozmowa potrwa do dwóch godzin najwyżej — rozmawialiśmy ponad cztery! Była to rozmowa poważna, penetrująca, mniej o książkach, o pisarstwie, o filmie, bardziej o spoglądaniu na świat, o tym, co myśli ktoś, kto kończy 90 lat („to tylko matematyka”), o tym, jak przeżywam pewne zjawiska w Polsce, np. powrót ONR-u, analogie z tym, co było przed wojną („Nie ma analogii! Dzisiejsze ich manifestacje są anachroniczne”), jak mi się podoba „judeosceptycyzm” („śmieszne!”), co sądzę o pewnym twierdzeniu Ziemkiewicza, że przedwojenny antysemityzm nie był rasistowski („ONR był rasistowski!”). Pani Donata, wysoka, szczupła, mocno się wczytała w *Nowolipie*, zna nieźle *Nie boję się bezsennych nocy*, *Montaigne’a* (powołuje się na to, co tam wpisałem). No i zna dobrze *Nikt nie woła*, drugą częścią, miłością Bożka i jego dziewczyny, wydała mi się przejęta. W ogóle Rena ją zainteresowała.

Pani Donata domaga się, żebym opowiedział o swojej przyjaźni z Różewiczem. Opowiadam jej o jego wierszu *Boję się bezsennych nocy.* Pytała, skąd tytuł *Nikt nie woła.* Opowiedziałem, jak do niego doszedłem, depoetyzując nieco ten fakt. Ale ona uważa, że tytuł świetny, wieloznaczny.

Pani Donata była zdumiona, niemal wstrząśnięta, kiedy dowiedziała się, że w profesorskiej książce o prozie lat dziewięćdziesiątych nie ma nawet mojego nazwiska. A wydałem siedem(!) pozycji, bardzo dla niej ważnych, od *Nowolipia* aż po biografię Boya, a także, po raz pierwszy po latach cenzury: *Nikt nie woła* i *Oko Dajana.*

Wreszcie zadała mi pytanie, czy czasem, przeżywszy tyle, nie myślę: „po co to wszystko?”. Tak, czasem taka myśl mnie dopada, ale usuwam ją na

bok. (Sformułowałem to inaczej). Mówiłem o miłości najbliższych i do najbliższych. Dla nich, których ja sprowadziłem na świat, moje istnienie ma sens.

W Agorze, na Czerskiej, „Nowaja Polsza” organizuje jubileusz swojemu naczelnemu redaktorowi: Pomianowski kończy 92 lata. Przy odwieszaniu palt powitania, uściski. Z jubilatem i Olą, która ma włosy krótko obcięte, przy samej czaszce („jestem po chemii”, mówi prawie z dumą). Czułe powitanie ze Stanisławem Tymem, ktoś go zapewnia, że zaczyna czytać „Politykę” od jego felietonu, ja tak samo, on z kolei zapewnia mnie (tacy jesteśmy dla siebie mili), że kupi *Nie boję się…*, ktoś od niego tę książkę wypożyczył, nie oddał, wyjechał do Anglii i stamtąd z satysfakcją zawiadomił: „Mam!”.

Po godzinie — wino, rozmowy, komplementy, czasem krępujące. Siadam na chwilę przy stoliku z dwiema paniami, niskie, okrągławe, w wieku, w którym farbują już włosy, ta po lewej na czarno, ta po prawej na blond, staje nad nami rosła kobieta w tym samym wieku, barczysta, z temperamentem, właściwie wybuchowa, wykrzykuje coś o moim pisarstwie, o *Królu*, jeszcze coś o kilku innych tytułach, i znika. Ta blondynka też coś na ten temat, słuchała jakiegoś wywiadu ze mną w dwójce (chyba nagranie sprzed lat) i mówi, jaki to dla niej zaszczyt etc. Ja: „Proszę tak nie mówić, bo mnie to krępuje”. „Bo pan jest skromny.” Ja: „Nie jestem skromny. — I wyjaśniam, prawie na ucho, poufnie: — Jestem normalny”.

Ta druga kobiecina, czarnowłosa, nie zna w ogóle mojego nazwiska, myśli, że jestem doktorem, że byłem długo w Ameryce. „Nigdy nie byłem w Ameryce. — Nie zna pan Ameryki? — Znam. Nowy Jork z filmów

Woody Allena. Znam ulice San Francisco. Las Vegas. Znam Hollywood, Miami, znam prowincję amerykańską z filmu *Ostatni seans filmowy*”.

Takie panie jak ta czarnowłosa przywracają do rzeczywistości, nie ma już problemów ze „skromnością” — trzeba ratować swoją „normalność”.

Dzwonek domofonu: przychodzi pani Anna Romaniuk z Biblioteki Narodowej po rękopisy, które zgodziłem się oddać. Sześć notesów *Mojego przyjaciela króla* z licznymi załączonymi kartkami i dwa notesy *Montaigne’a* z dopiskami i cytatami na marginesach. Pani Romaniuk podziwia, a ja myślę, co by o tym powiedział ten chłopiec, który zaczął zaczerniać piórem papier w szkole powszechnej na Nowolipiu, na to, że jego rękopisy będą depozytem w Bibliotece Narodowej?

Ktoś powie: wszystko jest ulotne, wszystko przemija, dziś jesteś „klasykiem”, jutro możesz być zapomniany. To prawda. Ja o tych przemianach losu literackiego zawsze pamiętam. I o różnicy gustu — tak powszechnej właśnie w odbiorze utworów, wielkich i małych, na każdym szczeblu. Ale czemu mam sobie odmówić chwili satysfakcji?…

Pani Romaniuk o dziennikach Dąbrowskiej, kartkach wciąż niewydanych — przerażający w nich antysemityzm. Mówię, nie ukrywając satysfakcji, że w muzeum Dąbrowskiej (w dawnym jej mieszkaniu na Polnej) miałem dwa odczyty o Boyu-Żeleńskim, którego nienawidziła. Historia lubi niepozbawione ironii odwety, ale czasem trzeba jej w tym pomóc.

Esej Janusza Drzewuckiego o Henryku Berezie. Nigdy go nie rozgryzłem — wiem tylko, że mnie nie uznawał, ignorował fundamentalnie, chyba była w tym i osobista niechęć, bo nawet *Król* nie doczekał się pod jego rządami w „Twórczości” recenzji. Myślę o nim tak jak Boy o Irzykowskim: krytyk bez węchu, bez smaku, bez szacunku dla pracy pisarskiej. (Tutaj jednak

trzeba dodać, że klasa Irzykowskiego była dużo wyższa, był autorem *Dziesiątej Muzy*, pionierskiej książki o sztuce filmowej).

Pamiętam, jak Bereza w Oborach powiedział do mnie z ironią, że Markowi Hłasce, który siedział obok na leżaku, czytając, podoba się powieść Remarque'a *Czas życia i czas śmierci*. Nie wypada… (Miał szczęście Remarque, że *Na Zachodzie bez zmian* i *Łuk Triumfalny* nie były uzależnione od nadwiślańskich Berezów). Podziwiałem, że Remarque napisał przejmującą powieść, której akcja toczy się podczas wojny, bohaterem jest żołnierz Wehrmachtu, chociaż autor sam tego w Europie nie przeżył. Marek, może żeby się na panu Henryku odegrać, wieczorem, już w pałacu, czytał na głos ze starego numeru „Twórczości" pochwalną recenzję Berezy z powieści Wandy Wasilewskiej, przy czym recenzent stawiał ją za wzór polskim prozaikom. Bereza na próżno starał się przerwać Markowi to głośne delektowanie się tym tekstem.

Zmarł Krzysztof Kozłowski. Odszedł bohater powieści, o której czasem myślę, ale której nigdy nie napiszę. Gdybym pisał, to uciekając od aktualności politycznej — ówczesnej i dzisiejszej. Zamiast polityki — historiozofia, spojrzenie uniwersalizujące. Ale przede wszystkim o tęsknocie za miłością. Jeśli tak, to narracja powinna być w trzeciej osobie, autor opowiada o nim, ale i o niej.

Kiedy narratorem jest postać, mężczyzna, fizjologii kobiety jest tyle, ile ona raczy ujawnić. Wśród dzisiejszych czterdziestolatek więcej na ten temat bezceremonialności niż „za moich czasów". W „Wysokich Obcasach" pewna pani, żona fanatycznego publicysty katolickiego (a może i nie „fanatyczny", może bigot działający zgodnie ze swoim interesem?), otóż ta pani w wywiadzie ujawnia najbardziej intymne zakamarki swojej waginy;

czasem człowiek sobie myśli: „co za babus”, czasem, że czyni to na złość obłudnemu panu i władcy, rodzaj buntu przeciw niemu, który chce stworzyć idealną katolicką rodzinę — jej kosztem.

Więc notatki o Zastępcy — coraz dalszym od inspirującej go postaci — i o niej, Wróżce, z której seksualnością nie wiem, jak sobie poradzić. Jest jakby uśpiona? Rozbudza ją jego zajęcie się nią? Z jakiej jest rodziny? Lewicowej? Kamieniczników? Bo on z ziemian — i tu najlepiej iść tropem Krzysztofa Kozłowskiego.

Wieczorem przychodzi Tomek. Jemy spaghetti z wynalezionym przez dziadka ponad 60 lat temu sosem. Wspominam mojemu historykowi o artykule o wielkim głodzie w Irlandii w połowie XIX wieku. (Stąd chyba tak mocne i liczne korzenie irlandzkie w Stanach). Tomek jest świetnie zorientowany. Zwraca uwagę (o czym nie myślałem wcześniej), że represje rosyjskie w Polsce nie były aż tak bezwzględne, tak nieludzkie, jak tych obrońców demokracji, humanistów, liberałów zachodnich wobec głodujących Irlandczyków, wobec komunardów we Francji.

Tomek opowiada, że matka Kassuli, jego przyszła teściowa, przeczytała *Nowolipie,* a jeśli chodzi o *Nikt nie woła,* zaczęła, jak chyba wielu czytelników, od posłowia, i się spłakała. Dostałem od niej, chyba w nagrodę, dżem pomarańczowy.

Jakiś tekst Tomka ukazał się na czyimś prywatnym portalu. „Aha — mówię — właśnie dostałem maila z zapytaniem: «Czy pan jest krewnym tego słynnego Tomasza Hena»?”.

Kwiecień

Oglądałem film *Bliżej*. Cztery znakomitości w obsadzie — to przyciąga; Jude Law, Clive Owen, Julia Roberts, Natalie Portman. Pobierają się. Są

dwa małżeństwa, ale romansują na krzyż, uprawiają seks też na krzyż. Wyłączyłem telewizor w tym samym momencie przed rokiem: kiedy Julia Roberts opowiada mężowi, jak to było w łóżku z tym drugim. Padają informacje, z których żadna kobieta na jakim takim poziomie się mężowi nie zwierzy. Chyba że przez perwersję. Albo żeby mężowi dokuczyć, zadać świadomie ból. Ale tutaj nie mamy z czymś podobnym do czynienia. Julia Roberts przeżywa potrzebę mówienia prawdy dramatycznie, ma męczeńskie cienie pod oczami, nie chce „kłamać". Nie musi się kłamać, ale też nie musi aż tyle opowiadać. Dziwię się, że aktorka nie zaprotestowała, nie powiedziała reżyserowi: „Mike, ona nie jest aż taką idiotką!". Wszystko nagle stało się niewiarygodne. Psychologia dla kucharek (przedwojennych — dzisiejsze lepiej rozumieją życie i uczucia).

Za to z przyjemnością oglądałem film Woody Allena *Paryż po północy.* Z przyjemnością dlatego, że znalazłem się wśród dobrych znajomych. To film niezbyt wyrafinowany intelektualnie, wszystko można przewidzieć. Woody, pod wpływem wspomnień Hemingwaya (*Ruchome święto*) przywołał postaci czytelnikom znane, mówią one to i zachowują się tak, jak o tym czytaliśmy. Więc najpierw po północy Zelda i Scott Fitzgerald, i Hemingway, który objawia, że mężczyzna sprawdza się, polując na lwy i nosorożce. Maszynopis bohatera, który przywędrował z roku 2010 w lata dwudzieste, czyta oczywiście Gertruda Stein. I on się cieszy! No, ja bym się na jego miejscu nie cieszył. Widać nie ma wiary w siebie. Pojawia się Picasso i jest Modigliani z kochanką. A kiedy pojawia się młody filmowiec, to oczywiście Buñuel. A kiedy przenosimy się o 20 lat wcześniej, to jesteśmy u Maxime'a, tam pokazują się Degas i Gauguin, i jeszcze na dobitkę Toulouse-Lautrec. Jest i kankan z Folies Bergère.

Nieskomplikowane. Film dla ćwierćinteligentów. Czyli taki, który chętnie obejrzymy wszyscy.

Książka Ludwika (Stommy) *Nasza różna Europa* jest wyzywająca, i to w sposób imponujący. Rozdział *1241* — ta data to przecież klęska pod Legnicą. Ludwik nie będzie się wdawał w znane, banalne militaria. Ważniejsze, że Henryk Pobożny nie został kanonizowany. W związku z tą datą Stomma opowiada o swoim patronie, Ludwiku IX, łajdaku, okrutniku, fanatyku, który został świętym. I o narzekaniach hierarchii, że coraz mniej wiernych gromadzi się podczas egzekucji, potępieńcy płonący na stosach już nie robią wrażenia — to cios w dochody organizatorów widowiska, kiedyś były stragany, sprzedaż pamiątek, połowa zysków należała się Kościołowi.

Pani Donata pyta mnie, co ja na to, co wygaduje w wywiadzie w „Fokus Historii" pewien — jak by to powiedzieć — no, podobno profesor Jasiewicz. „Żydzi byli sami sobie winni". Zawsze twierdziłem, odpowiadam jej, że nienawiść prowadzi ku z i d i o c e n i u. Bo pan, Boże odpuść, profesor mówi idiotyzmy. Na przykład o „hipokryzji" Żydów, którzy przechodzili na katolicyzm — bez szczerej wiary — t y l k o p o t o, „by mieć glejt na przeżycie"(!). Hierarchia nie powinna była pozwolić „robić szopki z wiary". Pan profesor — trzeba mu przyznać brak hipokryzji — nie spostrzegł, że nie jest chrześcijaninem. „Żydzi — napisałem — powinni byli pokornie ginąć, a nie próbować się ratować".

Towarzystwo Dziennikarskie wniosło do prokuratury okręgowej wiadomość o popełnieniu przez pana profesora przestępstwa: nawoływanie do nienawiści narodowej, etnicznej, rasowej i poniżanie ludzi z powodu

odmienności. Napisałem do pani Donaty: „Miejmy nadzieję, że sąd nie umorzy sprawy z powodu «małej szkodliwości społecznej»”.

O ósmej wieczorem z minutami spotkanie w radiowej Jedynce. Chyba poszło dobrze. Najważniejsze, że Magda Mikołajczuk przejęta prywatnie, nie z obowiązku dziennikarskiego, obiema książkami, z których powodu się spotykamy. *Nie boję się…* ma podobno stale przy łóżku. Przeczytała fragmencik zaczynający się od słów: „Jestem zakochany”. Prawdziwa miłość. Różnica wieku w sam raz; ona ma dwa i pół roku, moja wnuczka. Cuduś. (Cuduś robi teraz doktorat z matematyki w Dartmouth).

Pani Magda mówi o dramatyzmie sceny z rozdawnictwem mundurów w *Nikt nie woła*. Puszcza dialog z filmu, w którym Bożek zapewnia dziewczynę, że będzie ją zdradzał rzadko. „Czy taki dialog naprawdę między wami był?” „Tak, był”. Puszcza też dialog z filmu *Don Gabriel*. Mam okazję mówić o tym prawie nieznanym filmie, o tym, że konflikt Irzykowski–Boy, konflikt germanofila z profrancuskim oświeceniowcem, nabrał istotnego znaczenia, pokazany w ogniu kampanii wrześniowej.

W przerwie pani Magda puściła pieśń frontową *Tiomnaja nocz* i ja — czego widzowie na szczęście nie mogli słyszeć — z wykonawcą podśpiewywałem. Ale potem mnie sypnęła: „Szkoda, że państwo nie mogli usłyszeć, jak pan Józef śpiewa”.

Rozkosz, jaką sprawił Janusz Głowacki wywiadem, którego udzielił sobotniej „Wyborczej”. Wspaniała ironia, która dotyka groźnych (niestety) rzeczy, jakie dzieją się w Polsce. Przewiduje, że dożyje czasów, „kiedy prezes Jarosław Kaczyński będzie w Belwederze dekorował uwolnionego „Starucha” (przywódcę kiboli — J.H.) orderem Orła Białego”. Czasem go pytają, czy jak wygra PiS, wyjedzie z Polski. „Odpowiadam, że wprost

przeciwnie, bo równie śmiesznego miejsca to nie będzie na świecie”. Ta ironia Janusza jest zabójcza — mocniejsza od wszelkich polemik. Ale, dodam, wysokiej klasy ironia funkcjonuje tylko tam, gdzie odbiorca jest wystarczająco kulturalny, wystarczająco inteligentny, światły, by ją odebrać. Sądzę, że stosowana przez komentatorów „Szkła kontaktowego” może nie trafiać, mniej oblatany odbiorca może uwierzyć, że komentator naprawdę podziwia upudrowanych łgarzy i obłudników, wręcz kocha.

Jeszcze Głowacki. Kiedy 80-letnie kobiety śpiewają, że Polska nie zginęła „póki my żyjemy”, poczuł zaniepokojenie.

Pytanie o związki partnerskie. Ironia muska tu także problem gejów. „A ja od razu na małżeństwa bym pozwolił. Nikt nigdzie nie powinien być zwolniony od tego koszmaru. (…) Co to ma być, same romanse?”

Dwa ostatnie dni to zajmowanie się wywiadem, który przeprowadziła ze mną Donata Subbotko. W środę, 10 IV, kiedy opętańcy demonstrowali przeciw rządowi, który „dokonał zbrodni” (zgadzam się z profesorem Ireneuszem Krzemińskim, że nienawiść Kaczyńskiego bierze się z tego, że przegrał wybory, nie rządzi, a ma siebie za męża wyznaczonego przez opatrzność, jest opętany swoim wodzostwem, na co już kilka razy zwróciłem uwagę, a usłużni cynicy w jego otoczeniu skwapliwie go w tym podtrzymują) — otóż my w tym czasie z p. Donatą mozoliliśmy się nad autoryzacją. Pani Donata, żebym koniecznie dopisał pewien epizod, z którego opublikowaniem w wywiadzie się wahałem — „panie Józefie, to jest świadectwo historyczne, już tylko pan może to opowiedzieć” — poddałem się. I chyba oboje jesteśmy z naszej pracy zadowoleni: zatwierdziliśmy też szerszy tekst, który pójdzie w Internecie, chwilami — dla patriotycznych katolików — raczej drastyczny. Toteż w pewnym

miejscu mówię, że „rację mają moi paszkwilanci: nie jestem takim Polakiem, jak «prawdziwi Polacy»”.

Ten tekst ma dla mojej sytuacji większe znaczenie, niż p. Donata się domyśla. Nie będę jej tłumaczył dlaczego — zanim się nie ukaże w druku. I dla *Nikt nie woła*. Rehabilitacja, powrót do książki właśnie w „Wyborczej”… — to jest satysfakcja, szkoda, że tak późno.

Nieoczekiwany mail od Adama Pluszki — nieoczekiwany dlatego, że całkowicie prywatny, bo p. Pluszka (mam prawo powiedzieć: niestety) zrezygnował z pracy w W.A.B. Zaintrygowany tym, co w *Nie boję się…* piszę o *Odejściu Afrodyty*, kupił w sieci książkę. „Muszę panu — pisze — szczerze pogratulować. Jest znakomita na wielu poziomach. Jestem pod ogromnym wrażeniem tego, jak Pan opisał schyłek PRL-u, w jaki sposób Pan ujął demoralizację, brak bohaterów i bohaterszczyznę, zakłamanie, chorągiewkizm, ale też upadlanie się. Podoba mi się wielowymiarowość tej książki. I to, że pod pretekstem historii o nieszczęśliwej miłości opisuje Pan wiele innych nieszczęść (także — może przede wszystkim — narodowych), bez litości obszedł się Pan z niejednym toposem, niejednemu Rejtanowi wykazał Pan brak gaci (nie mówiąc o braku charakteru) (…) dla mnie — pisze na zakończenie — *Odejście Afrodyty* nie jest opowieścią o tematyce miłosnej, erotycznej, jak również psychologicznej i społeczno-obyczajowej (jak podają w sieci, choć o tym też naturalnie), ale bardziej — chirurgicznym rozrachunkiem z polskością, zakłamaniem, jakie na tym pojęciu narosło, z obłudą i zwyczajnym (proszę wybaczyć) skurwysyństwem”.

Odpisując mu, dziękując za jego słowa, przypomniałem list Wiesława Górnickiego, który napisał po ukazaniu się książki (w 1995 roku) jako o moim opus magnum. Feministki, dodałem, i świętoszki zignorowały tę

powieść. (Nie dostała nawet „warszawskiej premiery”, choć podobno była burzliwa dyskusja, odbyły się dwa posiedzenia); upadła też sprawa serialu w TVP, scenariusz (8 odcinków) był zaakceptowany, zapłacony nawet, podejmował się roboty Kutz, ale nowe kierownictwo było przeciw, powiedziano mi: „My to inaczej widzimy”.

Kiedy kilka lat temu przygotowywałem książkę do ewentualnego wznowienia, odniosłem i ja wrażenie, że w tej powieści utrwalone zostały tamte czasy — od stanu wojennego po transformację ustrojową — dramat psychologiczny, dramat postaw, także realia życia codziennego. Ale kto to wyda?

W sobotniej „Wyborczej” rozmowa z Władysławem Bartoszewskim o powstaniu w getcie. To było, mówi, bardzo polskie powstanie, tylko polscy Żydzi, którzy odziedziczyli romantyzm polski, mogli je zrobić. Armia Krajowa im pomagała, dostarczała broni, a ludzie przyglądając się temu, co się działo za murem, płakali. Zaprzecza temu, by były głosy, że „Żydki się smażą”, lekceważy wiersz Miłosza *Campo di Fiori*, zmienia rzeczywistość, bo w gruncie rzeczy nie przestaje być propagandzistą, propagandzistą Armii Krajowej. Tłumaczy go, moim zdaniem, to, że stykał się ze wspaniałymi ludźmi z BIP-u, poszerza nastroje i poglądy tych ludzi i pewnych ludzi z Żegoty na całą AK, której chyba dobrze nie znał. Co innego mówił mi Marek Edelman, z którym Bartoszewski w końcu się poznał. Za broń trzeba było słono płacić. W powstaniu warszawskim Edelman z garstką ocalałych bojowników poszedł do AL — tak było bezpieczniej. Mówiąc o powstaniu, Bartoszewski w ogóle o udziale Armii Ludowej nie wspomina. Jakby nie istniała. Podczas gdy wiadomo, że sztab AL zginął od bomby na Freta. A dziewczyny z AL, Janina Balcerzak i Helena Jaworska, przepłynęły Wisłę, by dostać się do Rokossowskiego

i zażądać pomocy. W Lublinie, w Centralnym Domu Żołnierza, byłem na przejmującym z nimi spotkaniu. Dla propagandzisty Bartoszewskiego istniała tylko Armia Krajowa. Niezbyt to przyzwoite.

Co do „umierania z honorem", które, według akowskiego romantyka, miało być celem bojowników w getcie, to Edelman zwierzył mi się, że teraz, już jako lekarz, myśli, że celem powinno było być ratowanie ludzi. Jak najwięcej wyprowadzić z getta na aryjską stronę. A w czasie samej walki szło nie o umieranie z honorem, ale o samoobronę i zabijanie — o to, żeby atakujący Niemcy ginęli z ich rąk. Żeby to odczuli.

Mano draugas karalius. Czyli *Mój przyjaciel król* po litewsku. Przełożył Vytautas Dekšnys. Właśnie listonosz wniósł dziesięć egzemplarzy. To jedyny przekład *Króla* na język obcy. (Dopisek w r. 2014: zapowiada się przekład ukraiński). Umowa opiewa na 1000 egzemplarzy. Gdyby porównać liczbę mieszkańców Polski i Litwy, byłoby to jak 10 000 u nas. A nawet więcej, bo tam nie dla wszystkich język litewski jest językiem macierzystym.

To jest przede wszystkim przyjemność. Bez konsekwencji. W statystyce przekładów przybył jeszcze jeden język. Bez wpływu na mój dzień powszedni. Ale może ta książka będzie miała wpływ na czytelnika litewskiego. Może mu się przyda. Może też będzie wdzięczny — jak słyszę czasami od polskich czytelników — „za otworzenie oczu".

Wczoraj Władysław Frasyniuk, którego od pierwszej chwili, od jego uwięzienia, szanowałem za trzeźwość i uczciwość, w „Faktach po faktach" o Macierewiczu i o jego hipotezie, że w tupolewie „trzy osoby przeżyły katastrofę": „To paranoik i idiota".

Za to p. Adam Hofman — z właściwym mu cynizmem — mówi, że „gdyby nie zespół Macierewicza, wciąż wierzylibyśmy, że zawinili piloci, że ktoś w kokpicie kazał im lądować…” A wiadomo, że zawinili Putin i Tusk. Gładkie lica, uśmiech i słowa Tartuffe’a.

Wieczorem nie udało się odprężyć przy jakiejś łagodnej telewizji. Nie ma łagodności! Jest atak terrorystyczny na maratończyków w Bostonie. Są zabici i ranni. W całych Stanach wstrząs. W Chicago przerwano mecz baseballowy.

Kto to zrobił? Nie będzie łatwo dotrzeć do sprawców. Nie zostawili śladów. Jedno jest pewne: to był zamach nie na sportowców, ale na Stany Zjednoczone. Czy obrońcy „wolności” nadal będą usprawiedliwiać morderców?

Ewa, która jest niedaleko, bo w Dartmouth, na pewno jest pod wrażeniem. A ma się skupić na dzisiejszym egzaminie. Wieczorem dzwoniła do Madzi, żeby ją uspokoić: nie była tego dnia w Bostonie, do egzaminu jest dobrze przygotowana.

W indeksie osób w *Nie boję się…* nie ma, jak się dziś przekonałem, postaci literackich. Szkoda. Mogliby być bohaterowie Stendhala, Jean Valjean z *Nędzników* Wiktora Hugo, d’Artagnan, Sherlock Holmes, Zagłoba czy też postaci Proustowskie: Swann, Saint-Loup, pani Verdurin, de Charlus, Albertyna. Zabawne: zamiast „Guermante’ów” są „Gutermanowie”.

O wpół do jedenastej włączam telewizor, jest koncert dla uczczenia powstania w getcie, orkiestra izraelska, dyryguje 77-letni Zubin Mehta, w dobrej formie. Najpierw *El Mole Rachmim* (*Boże pełen miłosierdzia*),

potem hymny wykonane na żywo przez orkiestrę z chórem. Wreszcie hymn bojowników getta w jidysz. Znam tę pieśń, słyszałem ją w 1948 roku, w wykonaniu… Paula Robesona, wspaniałego czarnoskórego basa, podczas jego recitalu na kortach Legii. Mało kto wie, że melodia przywędrowała do getta z Rosji, przeniósł ją zapewne jakiś były komandir z Armii Czerwonej. Pamiętam jej słowa. *To nie tuczi — grozowyje obłaka / Ponad Tieriekom na kruczach zalegli. / Kliczut truby mołodogo kazaka. / Pyl siedaja wstała obłakom wdali / Osiedłaju ja goriaczego konia.*… itd.

Prowadzi wieczór z dystynkcją i prostotą zawsze piękna Grażyna Torbicka. Wita prezydenta, marszałków, premiera, ambasadorów. Jeszcze nigdy władze państwowe nie zaangażowały się tak w uczczenie powstania w getcie, „pierwszego warszawskiego powstania". Dalej uwertura *Egmont* Beethovena, znajomy mi utwór, pamiętam, że w radiu nadano go po śmierci Stalina, powiedziałem wtedy Renie: „nareszcie jest dobra muzyka".

W „GW" wiersz Broniewskiego *Żydom polskim*, napisany w 1943 roku w Jerozolimie, obok znakomity tekst Jerzego Jedlickiego, który komentuje narastanie faszyzmu i rasizmu w Polsce, na tle czego ten pełen dobrych uczuć wiersz Broniewskiego, „brzmi naiwnie". Niestety.

Świadomość, że żaden serial z arcyinteligentnymi detektywami nie może dorównać napięciem temu, co wokół nas się dzieje. Wymyśleni mordercy (nie mówiąc już o racjonalistycznych przestępcach Agathy Christie czy wyrafinowanych intelektualistach, których demaskuje porucznik Columbo) są jak rozrywki umysłowe. Dwaj młodzi imigranci, którym Ameryka zapewniła byt i studia, konstruują dwie prymitywne bomby, by porazić nimi możliwie najwięcej ludzi, uczestników dorocznego maratonu w Bostonie. Siostra i ojciec zamachowców mówią: to niemożliwe, to złoci chłopcy, ich

w to wrobili, oni są niewinni. Niewinni? To dlaczego uciekali? Dlaczego zabili policjanta? Niewinnie podejrzany nie strzela, zgłasza się na policję i wyjaśnia: to nie ja, mam alibi. Mniejsza. Ci dwaj bracia Carnajewowie, Tamerlan i Dżochar, wyznawcy islamu, emigrowali z Czeczenii. Chyba gdzieś już wyraziłem przypuszczenie, że jeśli bojownicy czeczeńscy zwyciężą, nie utworzą państwa wolności, ale jak to się dzieje z reguły — państwo militarnej dyktatury. W Polsce jakiś lekkoduch skomponował piosenkę *Obejmij mnie, Czeczenio!*... Chyba na wiadomość o tym odnotowałem: „Dziękuję, postoję, to nie ja".

Zabawne oświadczenie ambasadora Czech w USA: prosi, aby w Internecie nie mylono Czeczenii z Czechami, co się podobno zdarza.

Kolacji tym razem nie jem, wystarczy jabłko, jak czasem pod „Szkło kontaktowe". Znowu dzwoni stały nienawistnik, „Stanisław z Warszawy", chrapliwym głosem wykrzykuje — bez użycia słowa „Żydzi", najbardziej zaciekli antysemici wiedzą, że zręczniej tego słowa nie używać, „mnie nie chodzi o Żydów" — wykrzykuje więc, że jak się obchodzi rocznice powstania w getcie, to jest prezydent, jest premier (byli na koncercie), a co to za powstanie, kilkanaście dni, co tu obchodzić, w powstaniu warszawskim zginęło dwieście tysięcy ludzi i trwało dwa miesiące, i na pewno nie będzie w tę rocznicę ich.

Pan Wojciech Zimiński jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć, przygnębiony, pobladły, przypomina słuchaczowi, że czci się 70-lecie, okrągła rocznica, w przyszłym roku będzie okrągła rocznica powstania warszawskiego. Ale pan Jerzy Iwaszkiewicz się wzburzył i nie chciał tego ukrywać: „Proszę pana, w getcie się spaliło tysiące dzieci! I niech pan do nas nie dzwoni!".

Czy go posłucha? On dzwoni, żeby wypluć swoją nienawiść. Nią on żyje. Korzysta z pretekstu, żeby dzwonić i się wykrzyczeć. Boy-Żeleński, recenzując *Taniec śmierci* Strindberga w 1921 roku w Krakowie, w którym mniej odczuwało się niedawne zagrożenie, nastroje były nieprzerwanie optymistyczne, potrafił wysnuć refleksję, uderzającą swoją aktualnością dzisiaj: „A zresztą czyż nienawiść nie staje się nałogiem jak wódka? Czyż nie wiąże dziwnym, tajemniczym uczuciem do swojego przedmiotu?”.

Przypomniało mi się, co kiedyś napisałem: „Dlaczego antysemityzm jest chorobą tak trudną do wyleczenia? Bo jest to choroba, która choremu sprawia przyjemność”.

I w przypływie cechującego mnie nieuleczalnie miłosierdzia przeniosłem się myślami do p. Jasiewicza, profesora, który głosi, że „Żydzi sami są sobie winni”. Może, przyszło mi na myśl, jego dręczy nieczyste sumienie? Może ukradkiem prześladuje go podejrzenie, że on (to znaczy tacy jak on) są winni Zagłady? „Bo jeśli nie oni — to ja?” Dostojewski zająłby się taką postacią. Ten profesor to jest ktoś z *Biesów*. Oszalał (myślę w ataku dobrotliwości) — zadręczony nieczystym sumieniem.

Prościej jednak nie ulec miłosierdziu i sprowadzić rzecz do konkluzji: to zły człowiek. Nie warto go sublimować. Zły i głupi.

„Konferencja prasowa” — tak to się nazywa — w Muzeum Historii Żydów, jeszcze pustawym, bo bez muzealnych eksponatów, zapowiadająca festiwal filmowy „Żydowskie Motywy”, którego mam być „honorowym gościem”. Jesteśmy w ogromnej sali głównej, w której można się dopatrzyć kilkunastu młodych dziennikarzy. Przybywający do Muzeum przede wszystkim zwracają uwagę na wspaniałą architekturę — ja, jako sceptyk, nihilista (jak twierdził Kałużyński), przejmujący się rzeczywistością („neorealista” — jak mnie określił profesor Kroński, „Tygrys”

z Miłoszowej *Rodzinnej Europy*), w ogóle się architekturą muzeum nie interesuję.

Kiedy Mirek Chojecki w kilku zdaniach przedstawił moje „zasługi” (w tym przypomniał współpracę z „Kulturą” paryską), powiedziałem, że się z tego cieszę, bo okazało się, że jestem „gościem honorowym” nie dzięki kumoterstwu.

Już po konferencji otoczyło mnie czworo młodych z mikrofonami z Radia Zet; zapytali, który z moich filmów cenię najbardziej. Zaskoczyłem ich (jak wszystkich) *Don Gabrielem*. Słuchali, o co w tym filmie chodzi z blaskiem w oczach. A czyja kreacja aktorska? Bronisław Pawlik jako doktor Tomicki (czyli Irzykowski).

O piątej dzwoni pani Donata, korygujemy wspólnie zatwierdzony już do druku tekst — niby to drobiazgi, ale sprawy są to drastyczne, to tak delikatne, że każdy odcień ma znaczenie.

W Klubie Księgarza na Rynku Starego Miasta promocja książki przybyłej z Katowic Marty Fox. Potem, przy winie, rozmowa z Anną Janko, z którą dostawaliśmy razem Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta. Bardzo miło nam się rozmawiało, odkrywamy te same sympatie i tych samych dąsających się recenzentów. Jej mąż, Maciek Cisło, ma podobno zawsze na podorędziu *Nie boję się bezsennych nocy.* Ona wspomina m.in. o *Odejściu Afrodyty.* Przechodzimy na ty i oboje uważamy, że to nam się należy. Pochwaliła się, że jest babcią — chyba po to, żebym się zdziwił.

Marta opowiadała o swoim zauroczeniu Cortázarem i Romain Garym, co się przeniosło na sentymentalny list do tłumaczki, Zosi Chądzyńskiej, już starej i bezwładnej, świadomej zmian miażdżycowych. Pozwoliłem sobie powiedzieć, że widziałem Romain Gary’ego w Oborach, przywiozła go właśnie Zosia Chądzyńska (na ogół autorzy zachodni przyjeżdżali do

Polski, żeby na miejscu wydać należące się im złotówki — pamiętam jak reżyser De Santis kupował w pedecie biały kożuszek). Wygląd zewnętrzny Gary'ego — śniada twarz przy szpakowatej bródce — potwierdzał famę, że był synem aktora Iwana Mozżuchina.

Kiedy wracałem do domu, do autobusu wsiadły i stanęły tuż przy mnie dwie młode dziewczyny, owszem, ładne, ale nie jakieś piękności, i z ożywieniem ze sobą rozmawiały. Przyglądałem im się (mam nadzieję, że tego, zajęte sobą, nie zauważyły) i myślałem, zachwycony: jaka inna gestykulacja! jaka bogata mimika! I te błyski w oczach! Nie mogłem oderwać wzroku. Wysiadły po kilku przystankach i bardzo tego żałowałem. „Kobiety są jakieś inne"? — tak, na szczęście!…

Do mojego *Zastępcy* chciałbym wpisać zwierzenie bohatera: „Cieszę się, że nie jestem kobietą. Bo gdybym był kobietą, miałbym do czynienia z drańskwem panów, a będąc mężczyzną, mam do czynienia z kobietami".

Wczoraj wieczorem nieoczekiwany mail od pana Piotra z Hagi. Szykują (na październik) jakiś mój jubileusz. Planują zorganizowanie konkursu na tłumaczenie fragmentów *Nowolipia*, mają już w ambasadzie 20 angielskich egzemplarzy.

W sobotę rano nie pobiegłem od razu po gazetę. Nareszcie ja, 90-letni, umiem zapanować nad podnieceniem debiutanta. *Cudowny kraj ta Polska!* — to tytuł wywiadu. Pierwsze czytanie, jak zwykle u mnie, krytyczne. Ale inni odbierają to inaczej. Telefon Marka Grońskiego: „Wspaniały!". Wywiad bogaty poznawczo. Tak, na tym bardzo mi zależy: żeby informować, żeby czytelnicy, szczególnie ci młodsi, poznawali fakty. Wypowiedź pani Eli J. z Poznania: czytała ze wzruszeniem. Przesyłam pani Donacie podziękowanie „za inicjatywę i robotę".

Jako „gość honorowy” festiwalu filmowego „Żydowskie Motywy” spotykam się z publicznością w kinie Muranów. Sala „Zbyszek” zapełniona, podobno dużo młodzieży. Przy Madzi — Ewa Oktaba, przyjaciółka z czasów gimnazjalnych. Jest Maja. Dostrzegam Jacka Bocheńskiego. Pojawia się pan Michał Szwarc. Podobno wśród publiczności jest Wojciech Pszoniak. Potem okazało się, że i Beata C. Jest stoisko z książkami wydanymi w W.A.B.

Podczas spotkaniu chwilami byłem skrępowany, bo prowadzący je Tomasz Piątek nie szczędził powieści *Nikt nie woła* najmocniejszych komplementów. O *Crimenie*, że książka powinna być lekturą szkolną z a m i a s t Trylogii. Pocieszyłem go, że *Crimen* jest zalecany przez niektórych profesorów jako lektura uniwersytecka. Nie podejmuję tematu Sienkiewicza, nie jestem przeciw Trylogii ani przeciw niemu. (Miał 44 lata, kiedy to wielkie dzieło, pisane „ku pokrzepieniu serc”, zakończył. Czyli wiek, w którym dzisiaj „młody prozaik” debiutuje. Męczyły go hołdy, popularność, mawiał: „Mam dość Chińczyków i Sienkiewicza”).

Wiele trudnych pytań rozstrzygałem anegdotą. Na przykład o tryb życia. O poziom życia. Wspomniałem o tym, że zakochany Polak nikogo na Zachodzie nie interesuje — Polak, żeby zainteresować, ma być na Syberii, robić powstanie albo co najmniej konspirację. Mówiłem o tym, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych stałem przed dylematem: wydać w drugim obiegu *Nikt nie woła*, czy w Czytelniku *Montaigne’a*. (Piątek wykrzyknął, że trzeba było wybrać *Nikt nie woła*). Dzisiaj myślę, że uznać, iż *Montaigne* jest ważniejszy, to był błąd praktyczny, bo proza wydana w drugim obiegu natychmiast, niezależnie od poziomu, miała kilka przekładów na Zachodzie. Piątek zastanawia się, dlaczego nie mam należytego zadośćuczynienia w prasie literackiej. Ktoś mówił o nienależeniu do sitwy,

szajki czy — delikatniej się wyrażając — do „koterii”. Wspominam o tym, że jakiś śląski recenzent zarzucił, że w *Crimenie* za dużo jest dialogów; przytoczyłem znany, autentyczny zarzut (wykorzystany w filmie *Amadeusz* Formana) Józefa II uczyniony Mozartowi, że w jego utworze za dużo jest nut. „Wasza Cesarska Mość — odpowiedział Mozart — jest tyle nut, ile trzeba”. To porównanie było ryzykowne, ale zostało dobrze przyjęte, oklaskami.

Zaraz na początku Piątek spytał, jak mi się udało zrobić z tego, co przeżyłem „taką świetną (to jego słowa) literaturę”. Odpowiedziałem, udając zafrasowanie: „Czy ja wiem? Może ja po prostu jestem utalentowany?”. Co się oczywiście bardzo podobało.

Opowiedziałem o rozmowach z łódzką młodzieżą licealną podczas promocji *Nowolipia* — mówiłem tam o swoistym utopizmie Solidarności, o nadziejach Mazowieckiego i Krzysztofa Kozłowskiego, że teraz ludzie będą uczciwie pracować, płacić podatki, nie będą okradać s w o j e g o państwa — i o wybuchu śmiechu słuchającej tego młodzieży. Ci, którzy dobrze znają *Nie boję się…* i *Dziennik*, dla tych w moich odpowiedziach nie było nic nowego, ale nawet jeśli tacy na sali siedzieli, to też mogli chętnie brać udział w zaimprowizowanym na żywo spektaklu.

Rodzice braci Carnajewów klęli się jeszcze kilkanaście dni temu, że to niemożliwe, żeby ich dzieci zrobiły ten zamach w Bostonie, to niemożliwe, tacy niewinni, grzeczni chłopcy, tylko im nauka w głowie i ćwiczenia sportowe. Szczególnie zapewniała o ich niewinności matka. „Tamerlan (nieżyjący syn) nie mógł tego zrobić. Dobrze go znam”.

Kiedy patrzyłem na nią, jak się zaklinała, jak zapewniała, że „FBI ich wrobiło”, jak gestykulowała oburzona, przyjedzie z mężem do Ameryki, wygarnie im prawdę, nie miałem wątpliwości, że ona kłamie, że w i e.

Czasem myślałem: a może ona nie znała swojego syna? Kłamała. Teraz już wiemy — nie tylko dlatego, że młodszy brat sypie nieżyjącego brata, ale także dlatego, że Rosjanie przekazali Amerykanom rozmowę Tamerlana z matką, podczas której on zapowiada, że będzie robił „dżihad", a ona, dobra muzułmanka, to aprobuje.

Teraz, po ujawnieniu tej rozmowy, oświadczyła, że do Ameryki nie pojedzie. Bo nie dadzą jej się zobaczyć z Dżocharem. Zamilkła wreszcie.

Maj

Telefon od pani Hanny Gumpricht, przyjaciółki Reny; była wykładowcą w Instytucie Pedagogicznym bodaj w Siedlcach. Dzwoni przejęta moim wywiadem. I ona, i jej przyjaciele podkreślają, że jestem w wypowiedziach „uczciwy". Z powodu innych komplementów pani Hanny odpowiadam: „Każdy, nawet mędrzec, ma swoje głupoty: rzecz w tym, żeby nad nimi zapanować".

Z wywiadu pani Hanna dowiedziała się o opowiadaniu *Długa, chyża łódź*. Szukała go w księgarniach, ale takiego tytułu nie ma. Obiecałem jej posłać tom *Szóste, najmłodsze.*

Przyjechała Birgitt z córką Norą i wnuczką Żenią, mieszkają w Bristolu (jest świąteczny rabat), ale nie mogłem się nimi zająć, bo obiecałem wieczór Mai. Przy śliwowicy opowiadam, jak Irena Sz., usłyszawszy, że mieszkająca w Düsseldorfie Krystyna Żywulska (*Przeżyłam Oświęcim*) zafascynowana jest książką *Nie boję się…*, powiedziała: „Józiu, ona jest chora! Ona już nic nie rozumie!…". „Co za chamstwo!" — na to Maja. Potem popłynęły opowieści o moich przygodach z prasą wojskową. Na zakończenie o naszym gońcu redakcyjnym Krzysztofie, którego pod nieobecność w Warszawie Reny zabierałem czasem do kina, oglądaliśmy

razem *Hamleta* z Olivierem i nie zapomnę, jak przejmując się narastającym napięciem powtarzał: „Ale na medal!”. Starałem się, by go przyjęto na szkolenie zecerskie w sprowadzonej z Włoch drukarni, ale pani oficer personalna nie zgodziła się go przyjąć, bo był… ziemiańskiego pochodzenia. „Czy chcecie — spytałem — żeby poszedł do lasu?” Nie pomogło.

Beata C. powtórzyła mi opowieść jakiegoś starego pana Apolinarego z Sokółki na Podlasiu (zahaczyłem kiedyś o tę miejscowość), że 5 września (1939), jak weszli Niemcy, to Żydzi ich witali. „On kłamie! Po prostu kłamie! 5 września Niemcy nie osiągnęli nawet linii Wisły. Do Sokółki nigdy nie dotarli, było uzgodnione, że te ziemie przejmą Sowieci. — Ale czy Żydzi nie mogli się łudzić?… — Nie mogli! Każdy, nawet najciemniejszy Żyd wiedział, co to jest Hitler. I uciekali na sowiecką stronę. — Wiesz, co mój Szymek powiedział o tym panu Apolinarym? «Stary idiota!». — Brawo, pan Szymek — na to ja”.

Przez takich panów Apolinarych, przez ich chore wizje, różni upiorni, opętani nienawiścią profesorowie mają „świadków”.

Wieczorem do hotelu Bristol. Birgitt, Nora i Żenia są już najedzone, rozsiadamy się w kawiarni, kobiety zamawiają piwo, ja herbatę, Żenia nic. Moje opowieści, przygody z przeszłości, tłumaczone przez Birgitt, coraz bardziej zajmują dziewczynkę. „Niech Józef opowie, jak spotkał kobietę w gruzach”. Domyślam się, że chodzi o spotkanie z moją mamą. Bardzo Żenię to przejmuje. I opowieść o łzach, które tak trysnęły, że zmoczyły chodnik. Opowieść o tym, jak wśród gruzów odszukałem miejsce, gdzie stał mój dom, o kafelku z bramy, który wziąłem na pamiątkę, a który Rena,

kiedy przeprowadzaliśmy się z Krakowa do Warszawy, nie wiedząc o znaczeniu tego śmiecia, wyrzuciła.

Mała prawie mnie pokochała. Pocierała mi po amerykańsku ramię na pożegnanie. Birgitt i Nora uświadamiają ją, jakie były zbrodnie niemieckie, nie kryją tego. „To piękne” — wzrusza się Maja.

Mail od Wiktora Osiatyńskiego. Czytał wywiad kilkakrotnie. Czy dam się namówić na rozmowę w radiu? Przewiduje październik. Dam się namówić.

Nazajutrz z Birgitt i panienkami w Restauracji Polskiej na Krakowskim. Żenia pyta, czy interesuje mnie sport. Birgitt odpowiada za mnie: „Ein Spezialist!”. Idolem dziewczynki jest Robert Lewandowski, który strzelił Realowi cztery bramki. Dziwi ją, że Lewandowski gra w reprezentacji Polski — myślała, że to Niemiec o polskim nazwisku. Płacę za nasze obiady kartą. Miła, ładna kelnerka, którą zainteresował wolapik naszych rozmów, mówi: „To teraz wiem, jak się pan nazywa”. Pytam ją, czy zna film *Prawo i pięść*. Nie oglądała, nie słyszała. „Wie pan, ja mam dwadzieścia dwa lata i wielu rzeczy jeszcze nie zdążyłam”. Potem, z uśmiechem: „Znajdę sobie pana w Internecie”. (Nic się nie da ukryć).

Żenia z coraz większą czułością do mnie. Trzyma mnie za rękę, kiedy panie odprowadzają mnie do autobusu.

O dziewiątej rano w telewizyjnej Dwójce nadają półgodzinny film: rozmowa Tomka Piątka ze mną.

Dzwoni Birgitt, oglądała film w hotelu, jest poruszona. Mówi, żebym nie wychodził z domu, paskudna pogoda. (Kiedy to notuję, moje niemieckie przyjaciółki są już w pociągu do Berlina).

Dzwoni Jadwiga Mostowiczowa. Zdziwiona, nie wiem dlaczego, że ją pamiętam. Dzięki temu filmowi wie, jak teraz wyglądam.

Wieczorem dzwoni Grażyna Barszczewska. „Wycięłam sobie twój wywiad". Ale więcej mówi o sfilmowanej rozmowie. Chwali Piątka: dobrze przygotowany, inteligentny rozmówca. Ona jest pod wrażeniem zdjęcia rodzinnego. I ten chłopczyk z piłeczką (czyli ja), jego oczy zupełnie niedziecinne, zamyślone. Przypominam, że w *Nowolipiu* jest coś o tym spojrzeniu dziecka, rozdział *Smutne oczy*. (Mojego ojca wyraz moich oczu drażnił, mówił poirytowany: „Wystawił na mnie swoje cielęce oczy". Ojciec na pewno cielaki widywał i w ich oczach coś dostrzegał: jakąś ufność, miękkość, może zdziwienie światem).

Zdziwienie: pięknooka pani Danuta P. miała je w swoim spojrzeniu — kobiety to częściej miewają — takie urzekające zdziwienie; kiedyś, po latach niewidzenia, natknąłem się na nią w autobusie, miała jeszcze wciąż, już stara kobieta, to dziewczyńskie zdziwienie; była o kilka lat starsza ode mnie, zmarła niedawno, dowiedziałem się o tym, kiedy na zjeździe Zaiksu wyczytywano listę zmarłych i nagle słyszę: „Danuta P.". Nie wiedziałem, że była członkiem naszego stowarzyszenia — zapewne jako tłumaczka filozoficznych dzieł z angielskiego. (I znowu wszedłem w dygresje; to się stało jakby uzależnieniem).

Przez trzy dni przeglądałem i kwalifikowałem wywiady ze mną. W ciągu 40 lat trochę się tego nazbierało. Uchański chce wydać książkę wywiadów przed „jubileuszem". Uzgodniliśmy, że opracuje je Madzia. Dowiaduję się, że prawa autorskie do wywiadów ma dziennikarz — nie przepytywany autor. Nie jestem pewny, czy jest to książka potrzebna. Wiele z tego, co w wywiadach mówię, można znaleźć w tomach moich notatek. Przekonują

mnie jednak, z czym się zgadzam, że ludzie lubią czytać rozmówki, chłoną je bez wysiłku.

Pani Donata doniosła mi, że w redakcji jej wywiad ze mną ma wysoką opinię, dzwonił do niej Jarosław Kurski, że wywiad „dobry, mądry, ważny".

Z rana dzwoni Birgitt. Jest już w domu w Bawarii. Przed wyjazdem z Warszawy, w piątek 3 maja, przeszły się na plac Zamkowy, przyglądały się uroczystościom, „pięknie to wyglądało", podobało im się wojsko, chóry i prezydent Komorowski — mówił krótko i bez namaszczenia.

W Berlinie Birgitt zapytała wnuczkę: „A co było najlepszego w Warszawie?". Odpowiedziała: „Juzi!". Czyli Józef. Mój sukces: pokochało mnie dziecko, mała Niemka, z którą rozmawiałem głównie za pośrednictwem Birgitt. Sukces największy — bo bez żadnych zasług, bez starań z mojej strony.

Możliwe, że Żenia chciałaby mieć dziadka i ona mnie tym swoim dziadkiem mianowała.

O jedenastej w Czytelniku, a więc na godzinę przed wydawaniem obiadów, kiedy jest jeszcze cicho, spotykam się z Mikołajem Łozińskim, żeby porozmawiać o Henryku Wernerze, stryju — czyim? nie jego — stryju jego ojca, jednym z wielu. Pan Mikołaj planuje książkę, właściwie powieść, o rodzinie ojca, o babciach i dziadkach. Kupiłem w kiosku „Politykę" (dziś środa), nie zajrzałem do niej, nie domyślałem się ani trochę, co mnie w niej czeka.

Opowiadałem dość szczegółowo o moich kontaktach z Wernerem — o tym, co jego przychylności zawdzięczałem (np. mieszkanie) i konfliktach, można je nazwać ideologicznymi. Ale on chronił mnie jakoś, mimo moich bluźnierczych odezwań. Nie udzielił mi zgody na studiowanie

anglistyki, proponował mi… rusycystykę. Ale po co mi, replikowałem, rusycystyka, ja mam ją w małym palcu bez studiów. On się bał, dbając o moją cnotę, że się „ugnę” pod urokiem literatury angielskiej. Gdyby, mówił, pułkownik Hajnicz chciał na anglistykę — to co innego, to „twardy komunista, nie ugnie się”. Minęło dwadzieścia lat z okładem, powstała Solidarność, i twardy komunista, już poza wojskiem, u g i ą ł s i ę i przystąpił do niej z zapałem, został sekretarzem tygodnika „Mazowsze”.

Zapomniałem powiedzieć, że Werner sprzeciwił się wznowieniu w Wydawnictwie MON mojego debiutu *Kijów, Taszkient, Berlin*, książki, którą przygotowaliśmy już do druku. „Opisujecie Rosjan — powiedział — sympatycznie, ale trochę tak jak Fiedler Malgaszów na Madagaskarze”. Za mało bohaterscy, za mało oddani idei ci moi Rosjanie. Janka P. na 12 stronach maszynopisu udowadniała, że mój *Kijów* to paszkwil na Związek Radziecki. Sama mi o tym po latach, już podczas jej pobytu w Paryżu, opowiedziała, dodając komentarz: „Ale ze mnie była idiotka!”. (Dokładnie powiedziała o sobie te same słowa, co inna zasadnicza propagandystka, Barbara S.).

Zdumiony był młody Łoziński — i słusznie — kiedy usłyszał ode mnie, że Werner w audycji dla wojska na rocznicę Września nie pozwolił nadać wiersza Broniewskiego *Bagnet na broń!* Słowa: „Są w ojczyźnie rachunki krzywd” i „Za tę dłoń podniesioną nad Polską — / kula w łeb!”, brali do siebie, do obecnej sytuacji, bali się, że tak to odbierze słuchacz. Więc coś tam w tym sumieniu się działo, nie było spokojne.

W domu otwieram „Politykę” — i nagle odkrywam felieton Ludwika Stommy, tytuł uderzający w oczy: *Henowi w podzięce*. Ciekawe, że zaczynając felieton od *Nowolipia*, Ludwik wyławia spotkaną na Długiej Halinkę, tę prowokującą mnie niewinnie dziewczynę ze Świdra, jej

„prześliczny uśmiech”. I to, że „znikła mi z oczu”. Jak cały ten — to już jego słowa — „świat ładu”.

Miałem prawo wzruszyć się, czytając zakończenie. Bo Ludwik przytacza ostatni akapit mojej książki o Montaigne’u: „«Piszę mą książkę (pisze Montaigne — J.H.) dla niewielu ludzi i na niewiele lat». Dzieje literatury nie znają wspanialszej pomyłki”. Ludwik: „Co tu dodać? Sam o sobie piszesz, jubilacie”. Aha, więc felieton miał być pod czekające mnie dziewięćdziesięciolecie? Oczy mi zmokły.

Odezwała się Donata Subbotko: „Jaki piękny ten felieton Stommy o panu”. Bo stało się, że p. Donata uczestniczy, chcąc nie chcąc, w budowaniu mojej pozycji. Mój sukces — to jej sukces. Nazajutrz jeszcze napisała, w odpowiedzi na moje podziękowanie, że w redakcji uważają, że „wywiad jest cudowny jak Polska!” (Ironista, jeśli zechce, może złośliwie podważyć obie te cudowności).

Przysłała mi też p. Donata maile, które dostaje od czytelników, w tym jeden od pani z Kopenhagi, która w dzieciństwie zahaczyła z rodzicami o Samarkandę.

Spotkanie w Czytelniku z p. Kornelią Konczal, koleżanką Tomka, która pisze pracę o tym, jak wyglądała rzeczywistość podczas zasiedlania ziem nad Nysą. Miła, inteligentna dziewczyna. Zna nie tylko *Prawo i pięść*, film i prozę, ale także *Kijów, Taszkient, Berlin*, wydanie drugie, a więc z załączonym rozdziałem *Na zachód od Nysy.* Chyba wiele rzeczy wyjaśniło jej się w rozmowie od strony psychologicznej i socjologicznej. Przypadek naszego gitarzysty Antka S. pokazuje, jak uczciwy, dzielny chłopak może się zarazić epidemią szabrowniczą i zdeprawować. Opowieść o opustoszałych mieszkaniach (jak w filmie). O tym, jak zdobyliśmy

fabrykę pończoch ze sztucznego jedwabiu i mój dialog z ładną ciemnowłosą Niemką, który wspominam z przykrością.

Radzę p. Kornelii sięgnąć po *Nie boję się…*, jest tam problem zdobywców, którym wszystko wolno. Opowiadam jej też, jak w Krakowie pewien pan, zdaje się prawnik, chciał wydać za mnie swoją córkę, kusząc mnie zdobyczami z szabru.

O dwunastej przychodzi na obiad Konwicki. Podrywa się od swojego stolika i podchodzi do nas. „Wspaniały ten wywiad!" Jeszcze coś na ten temat. Ja: „Wydawało mi się, że nie czytasz tej gazety". (Myliłem się. Ogłoszono go w niej wkrótce „Człowiekiem Roku"). On: „Wszyscy czytają — i o tym mówią". Potem: „Myślałem, że się na ciebie rzucą, a tu nic, milczenie. Jakby nie wiedzieli, co z tym zrobić".

Poznaję Tadzia z p. Kornelią. On: „Jaka śliczna!… Co pani robi? — Doktoryzuję się". Tadek wydaje okrzyk przerażenia. Ucieka. Ale, jak wynika z kalendarium w tomie jego wywiadów, w podziemiu zrobił maturę, a po wojnie przez jakiś czas studiował polonistykę. Nie tak jak ja — kompletny samouk (żeby nie powiedzieć: nieuk), absolwent (bez doktoratu) „moich uniwersytetów".

Po godzinie p. Kornelia przysyła maila z podziękowaniem i wiadomością: „W drodze na pociąg kupiłam *Nie boję się bezsennych nocy*. Będę miała lekturę".

W Łazienkach kilka dni temu, kiedy przyszła Anna Popek, opowiedziałem jej, że pewna recenzentka — nie wiem, jak wygląda i ile ma lat — napisała, w przychylnej zasadniczo recenzji z *Dziennika na nowy wiek*, iż drażni ją, że ilekroć piszę o kobiecie, zwracam uwagę na jej urodę. (Na urodę, dodam, nigdy nie piszę, że rozmówczyni źle wygląda czy jest nieatrakcyjna). Pani Ania — wciąż jeszcze śliczna — bardzo się zdziwiła.

Podobnie jak wszyscy inni, panie czy panowie. Dlaczego ją to drażni? — zastanawialiśmy się. Feministka? Uważa, że to seksizm? W takim razie nie rozumie kobiet. Miliony osób straciłoby pracę, gdyby kobiety przestały chcieć się podobać. Giełda by się zawaliła. Telewizje straciłyby najbardziej zyskowne reklamy. W *Brulionach Profesora T.*, kiedy Jeff, amerykański narrator, słyszy od Matyldy, że szkoda, iż nie jest Polakiem, bo Polak by ją komplementował, przypomina jej, że te komplementy niekoniecznie są szczere. Na to ona: „Wiem. Ale przyjemnie je słyszeć".

Recenzentka (pani Bernadetta) nie spostrzegła, że pisząc o rozmówcach męskich, też czasem wtrącam uwagę: „przystojny". Gary Cooper, Henry Fonda, Fredric March, Gregory Peck, Tyrone Power, Robert Taylor, Errol Flynn, Gérard Philipe i wielu innych gwiazdorów część swojego powodzenia — także u publiczności męskiej — zawdzięczało ujmującej (co najmniej) powierzchowności. Dzięki niej widzowie łatwiej przyjmowali ich racje. No cóż, przyroda nie uznaje równości. Jak to kiedyś napisałem: „Mamy jednakowe żołądki — ale nie twarze".

To wszystko nie daje odpowiedzi na pytanie: dlaczego tę panią to drażni?

Warszawskie Targi Książki, tym razem na Stadionie Narodowym. Dwa dni podpisywania. Wśród różnych czytelników „zaszczyconych" itd. znalazła się elegancka pani K., szczupła, wysoka, chyba pięćdziesięciolatka, która powiedziała: „Jestem w panu zakochana". Kupiła pięć książek, potem wróciła, kupiła znowu *Nie boję się bezsennych nocy* — „dla mamy". I to ona spytała: „Jak się pan czuje, kiedy słyszy pan, że jest wielkim pisarzem? Kiedy mówią: uwielbiam pana — jak pan na to reaguje?". Odpowiedziałem: „Ja siebie nie uwielbiam". „Ale coś pan musi odpowiedzieć". „Mówię: dziękuję".

Szkoda, że nie przypomniałem, że jest dosyć porażek, oznak lekceważenia, by mnie przywrócić do rzeczywistości.

Kiedy miałem podpisywać w W.A.B., obok stolika czekała p. Alicja Chmielewska, kobieta, która przez 30 lat towarzyszyła poecie Sobczykowi. Monika Regulska przyprowadza do mnie właścicielkę Wydawnictwa Literackiego, panią Verę Michalski — chyba przed laty poznaliśmy się — mówię, że jestem zadowolony ze współpracy z WL, sprawni, profesjonalni i lojalni. *All smiles* — i słusznie.

Pani Chmielewska pyta, czy wiedziałem, że Jan Sobczyk był „dzieckiem Holokaustu”. Nie, mówię, nie był, on sobie to wymyślił. Ale to prawda, ona na to, była jakaś pani Badura, która go uratowała. Bywał śmieciarzem, kanalarzem, długo nie tykał tematyki żydowskiej. Bereza go cenił, podobnie ja; co pewien czas, zgodnie z przepisami, dostawał stypendium z Zaiksu.

Nazajutrz podpisuję w Wydawnictwie MG, u pani Grupińskiej, *Twarz pokerzysty.* Idzie całkiem nieźle. Mężczyzna po trzydziestce, wysoki, dobrze zbudowany, kupuje książkę (przedtem dziękował mi za to, co piszę, co wnoszę do języka polskiego, a więc ze szczególną wrażliwością), zapytuje, czy można gdzieś tu dostać moją eseistykę — tak, w W.A.B; wskazuję kierunek — to on tam pójdzie, zostawia zapłaconą już książkę — ja ją tymczasem podpisuję. Mija pół godziny, nie pojawił się. I teraz podpisana dla niego książka jest u mnie na biurku. Czeka.

Wieczorem dzwonił Różewicz. Chciał wiedzieć, jak wypadły targi na stadionie. Opowiedziałem mu o wieczorze wydawców w Pałacu Prymasowskim (podczas którego dostałem statuetkę Ikara), o zagłuszającej muzyce p. Cichej (Karoliny), inspirowanej podobno przez jego wiersz.

To, co naprawdę chciałbym odnotowywać i co odnotowywać warto, to nachodzące mnie wieczorami refleksje — można powiedzieć „historiozoficzne”, „socjologiczne”, „psychologiczne”, ale zawsze w jakiś sposób uniwersalizujące to, czego się dowiedziałem z prasy czy z telewizji.

Na przykład o dominacji zjawiska „homo ludens”. Wspominałem już o tym nieraz, także o tym, że przejawiało się od wieków, od tysiącleci, próżność, narcyzm (lub niechęć do samego siebie), ale nigdy nie miało to tak despotycznego charakteru jak teraz, kiedy wszyscy mogą cię zobaczyć w telewizji lub przeczytać o tobie w Internecie. Wszystko przetwarza się w zabawę. (W Londynie dwaj rozkoszujący się sobą Nigeryjczycy ucięli głowę przechodniowi i demonstrowali z dumą zakrwawione noże). Zabójcy-samobójcy. Wszystko na pokaz.

Walka o rekordy Guinnessa. Najdłuższy stół na świecie. Największa poduszka (kto na niej będzie spał?). Rumuni utkali największą flagę: pokryłaby całe boisko; przedstawiciel Guinnessa przyjechał sprawdzić, czy tak jest. Największy tort, najdłuższy makaron, rekordowa liczba grających na gitarze. I przedziwne konkurencje, w Anglii np. „wyścig za serem” i triumf: nasze miasteczko najlepsze! Współzawodnictwo w pluciu na odległość. Piłka nożna w błocie. Wymyślają to ci, co biedy raczej nie klepią, mają byt zabezpieczony i sporo wolnego czasu. I pustkę duchową.

O tym, że próżność może się przejawiać na każdym szczeblu, pisałem zdaje się nieraz. Przypomina mi się anegdota o Rotszyldzie i żebraku, który domagał się od niego jałmużny w restauracji; Rotszyld: „Przeszkadzasz mi przy obiedzie — czy tak wolno robić?”. Na co żebrak: „Panie Rothschild, pan możesz sobie mieć majątek, ale żebrać to pan nie będziesz mnie uczył”. I powiedzenie (które Rena lubiła przytaczać) tej dziewczyny w kawiarni

PIW-u, córki szewca: „O mnie mówią, że jestem głupia, ale na skórze to ja się znam”.

Czerwiec

U Maćka na jego urodzinach. Jest szampan. Dzieci śpiewają „Sto lat”. (Zdaje się, że myśmy z Reną nigdy nie urządzali sobie takich rodzinnych uroczystości, dzieci nie miały okazji śpiewać „Sto lat”). Julka gra na pianinie utwór własnej kompozycji. Ania nakłada mi na talerz ogromną porcję risotta. W nocy czułem się źle. Dopiero gdzieś po trzeciej brzuch przestał mi ciążyć, ale starałem się w dalszym ciągu spać na siedząco, z wałkiem pod głową.

Śniła mi się Rena, jak przechodzi przez jezdnię, pędzi samochód z rozbłyskanymi światłami, ona przebiega tuż przed nim, kierowca hamuje, ja podbiegam, przepraszam go, do niej (młodej kobiety) z wyrzutami: „Mogłaś zginąć; ty byś miała spokój, ale człowiek przez ciebie poszedłby do więzienia”. Skąd taki sen?

Nie chcąc zasnąć, czytałem pamiętniki Kirka Douglasa, które przysłała mi ze Stanów Ewunia. (Polski tytuł: *Syn śmieciarza*, właściwie powinien być *Syn szmaciarza — The Ragsman’s Son*, bo ojciec handlował szmatami). Kirk jest już w Hollywood, poleciła go reżyserowi Lauren Bacall, przyjaciółka z lat bodaj licealnych. Rywalizuje o pewną rolę z Montgomerym Cliftem i Richardem Widmarkiem. I to on ją dostaje. Jego rówieśnik to jeszcze Marlon Brando. Na bankiecie u Kentów widzi, oszołomiony, Jimmy Stewarta, za plecami ma Henry’ego Fondę. I myślę: dla Kirka to jeszcze legendarni ludzie, a cóż dopiero dla widza, wybrańcy bogów, a naprawdę to ciężko pracujący mężczyźni, często zestresowani, współzawodniczący ze sobą. I to oni pokazują nam Amerykę. Reżyserem

filmu ma być Lewis Milestone (realizator *Na Zachodzie bez zmian)*, którego Erenburg w swoich pamiętnikach nazywa „Lonia Milsztajn”.

Żona Kirka Douglasa, Diana Grill, miała siostrę Ruth, pierwszą żonę miliardera Stewarda Johnsona, tego samego, który w siedemdziesiątym roku życia ożenił się z Barbarą Piasecką, „his chambermaid” (pokojówką), jak pisze z wyraźną niechęcią Kirk. Wie, że pani Barbara usiłowała pozbawić dzieci Johnsona spadku po nim, trwał proces, doszło do ugody, przyznano jej 300 milionów dolarów. Obliczyliśmy przy stoliku, że mogła mieć z nim przed jego śmiercią 600 pokładzin, dostała pół miliona za każde pokładziny, opłaciło się. (Nie licząc życia na wysokim poziomie, toalet, futer, drogich samochodów, Hawajów i Monte Carlo).

Czytałem i redagowałem przysyłane przez Madzię skanowane wywiady. Kontynuowałem też „Kalendarium”. Żeby ustalić daty niektórych wydarzeń, wydobyłem bruliony z notatkami z minionych lat, są w miarę regularnie prowadzone od 1959 roku.

Niektóre notatki całkiem zapomniane, na przykład ta o pani Wandzie W., która wyrwała się na chwilę z domu, żeby przyjechać do ukochanego mężczyzny tylko po to, żeby mu powiedzieć, że go kocha, co wykorzystałem w *Odejściu Afrodyty.* Otóż w notatce to jest jeszcze bardziej szalone niż w powieści. Bo drzwi otworzyła jego Żona. W.: „Czy zastałam pana Iksa?”. Żona: „Tu ktoś do ciebie”. I odeszła. I wtedy dopiero pani Wanda do niego: „Przyjechałam, żeby ci powiedzieć, że cię strasznie kocham. Lecę, taksówka czeka”.

Notatka z 1961 roku, która dziś, po 50 latach, brzmi niesamowicie: „Śniło mi się w Oborach, że dostaję paszport z opisem osobowości. Otóż czytam tam: «żwawy staruszek». I oto jestem u końca swoich lat. Kiedy

zdążyłem je przebyć? Krzyknąłem: «Boże mój! To wszystko przecież trwało pięć minut!». Pięć minut: ledwo wyszedłem z wieku dziecięcego i już «staruszek», jeszcze «żwawy», ale już zwiędły, o krok od niedołężności — i końca.

Obudziłem się. Jeszcze byłem staruszkiem. Jeszcze byłem niedołężny. (…) I nagle wyłoniła się świadomość: to był sen, mam 37 lat. Życie toczy się długo, powoli, czas cieknie — nie skacze".

Tyle ówczesny zapis. Teraz dopisałem: „Dogoniłem ten sen".

Lipiec

Prawie cały miesiąc bez wpisu! Gromadzą się kartki, „tematy". To były jednak dni napiętej pracy. Madzia redagowała wywiady, trzeba było ponownie autoryzować. „Kalendarium" postanowiłem dać w pierwszej osobie — Uchański uważa, że słusznie. Zwiększa to dramatyczność, a nawet bolesność pewnych zapisów. Są lata bogate w wydarzenia — tak chciała historia — rok 1939 (mała matura, oblężenie, przejście na sowiecką stronę), 1940 (budowa drogi, wywózki, przejazd do Dąbrowicy, szkoła pedagogiczna), 1941 i następne lata wojny… 1968 i 1969 — marzec, opowiadanie dla „Kultury", Paryż, Giedroyc, miotanie się.

Za pośrednictwem wydawnictwa dostaję list od p. Zofii Brudnik z Kielc. Jest moją czytelniczką, ale *Nowolipia* nie znała, prosiła przyjaciółkę polonistkę, by po nie sięgnęła. I tamta telefonuje… (Nie, nie wypada i jej słów przytoczyć, to zbyt entuzjastyczne). Ciekawe, że właśnie teraz *Nowolipie* odnosi taki sukces (czytelniczy) — może dlatego, że jest to odkrywanie książki wielu osobom nieznanej — i nagle: coś takiego jest! I zarazem odkrywanie świata coraz bardziej za mgłą, innego już niż świat Singera.

Pani Brudnik pisze, że popłakała się, kończąc czytanie *Błazna*. „Ale przecież i pan się przyznaje do łez, kiedy skończył pan pisać”.

Pani Krystyna Boron informuje mnie, że jest już przekład hebrajski, przesyła mi go nawet. Jestem w stanie domyślić się pierwszego zdania (znam oryginał), ale nie więcej, w końcu prawie 80 lat minęło od mojego rozstania się z hebrajszczyzną. Tłumaczem jest profesor Finkelstein, przekłada z wydania angielskiego. Realia, informuje mnie, nie sprawiały mu trudności, pamięta je, mieszkał z rodzicami i rodzeństwem na Nowolipiu (15). Tylko on, jako skaut z Gordonii, dostał się w latach trzydziestych do Palestyny, wszyscy inni, rodzice i rodzeństwo, zginęli.

Wieczorami czytam książkę Marci Shore *Smak popiołów (The Taste of Ashes)*. Dobre pisarstwo, wzbogacające, ale jakżeż przygnębiające. Ten dziki antysemityzm władców rumuńskich, megalomański nacjonalizm, mordowanie Żydów „we własnym zakresie”. Zdaje się, że autorka nie wie, że przywódca „Żelaznej Gwardii” Zelea Codreanu był Polakiem (Zieliński), tak jak i premier, który kazał go zabić, Cătinescu (Kalinowski). Wspaniały o nich szkic napisał Ksawery Pruszyński, *Archanioł ościennego mocarstwa*. Pikantna jest opowieść Ksawerego, jak polscy faszyści w Poznaniu zaprosili na odczyt swojego rumuńskiego pobratymca Codreanu, wysokiego bruneta, i jak on zaszokował swoich jasnowłosych wielbicieli, zaczynając od twierdzenia, że „prawdziwy aryjczyk to mężczyzna czarnowłosy”.

Shore opisuje nieustający konflikt między Rumunami i Węgrami o Siedmiogród, przechodzenie prowincji od państwa do państwa, za każdym razem triumf lub klęska innego nacjonalizmu. Nie byłoby inaczej i dzisiaj, ale hamulce nakłada przynależność do Unii. W czasach

komunizmu obie partie podtrzymywały nacjonalizm, zresztą tak jak w Polsce Moczar i Gomułka.

Skończyliśmy z Madzią robotę przy książce. Tytuł: *Wiem, co mówię*, z podtytułem: *czyli dialogi uzdrawiające* (od tytułu pierwszego wywiadu, właściwie rozmowy, z r. 1948). Nad ranem zasiadłem, niespokojny, do ostatniego, znalezionego przez Madzię wywiadu i skreśliłem kilka nazwisk i spraw dla tych ludzi kompromitujących (chociaż nie krzywdzących).

Wciąż czytam z przejęciem *Smak popiołów* Marci Shore. Na przemian mam przy łóżku *The Ragman's Son* Kirka Douglasa.

No, nareszcie mogę tu zacytować szaleństwa wypisywane przez Rymkiewicza i Jana Pietrzaka. Zawdzięczam te cudowności Januszowi Andermanowi, który tropi i rejestruje te niewiarygodne absurdy w swoich felietonach. Rymkiewicz — o polskiej drodze (do dzisiejszej Polski): „Nikt nie wiedział, że jest to droga z PRL-u do PRL-u". „Istotą PRL-u było i pozostaje to, że on był i jest kawałkiem sowieckiego imperium, kawałkiem zarządzanym na sposób moskiewski, przez ludzi wyznaczonych lub przynajmniej zaakceptowanych przez Moskwę. Każdy bunt zostałby natychmiast spacyfikowany przez siły porządkowe przysłane z Moskwy i z Berlina".

Czy Rymkiewicz wierzy w to, co pisze? Tak, wierzy, jak szaleniec wierzy w prześladujące go wizje. To, że umie ułożyć zdanie, że podmiot, orzeczenie, dopełnienie, przydawka są na swoim miejscu, i że zdanie brzmi dynamicznie, nie wyklucza tego, że coś niepokojącego dzieje się w tym mózgu.

A Pietrzak? Nie, on w wypisywane przez siebie banialuki nie wierzy — i na tym polega różnica. Pisze tak, jakby układał monolog satyryczny na

samego siebie. Mogą tu też grać rolę prześladujące go lęki, bo jednak jego popularność była akceptowana przez władze PRL-u.

Od Agnes Wiśniewskiej mail ze Strasburga: „Przeczytałam *Nikt nie woła* jednym tchem. Jestem pod wrażeniem. Zrobię wszystko, żeby ją wcisnąć". Dobrze, że przeczytała, ale nie wierzę, że jej się coś uda. Jeszcze 20 lat temu to mogła być rewelacja. Nie dziś. Świat mi uciekł.

Kierowca taksówki, który wiózł nas, Madzię i mnie, z cmentarza na Matejki, mężczyzna pod sześćdziesiątkę, ktoś oblatany, z niezłym chyba wykształceniem, ujawnił — chyba wiedział przed kim — co myśli o sytuacji politycznej, o związkowcach, o: „Jarku". Pamięta, że „Jarek" w ogóle nie zareagował na to, co mówił Rydzyk o jego bracie Lechu, o bratowej „czarownicy". Najciekawsze było to, co powiedział o sobie: „Dzięki niemu, «Jarkowi», odkryłem w sobie zdolność do nienawiści. To mu mam najbardziej za złe. To, że potrafię teraz nienawidzić".

Wczoraj, robiąc te notatki, spóźniłem się na wieczorne wiadomości TVN24. Nastawiłem inną stację. I co ważniejszego opuściłem? Że do Gdańska nie przyjechała FC Barcelona. Dziesięć minut o tym jako o najważniejszej wiadomości w skali globu. Jan Tomaszewski skarży się, jak bardzo czuje się „poniżony jako Polak". Po dziesięciu minutach wiadomość nr 2: księżna Kate wciąż jeszcze nie urodziła. Nie wiem, czy to media całkowicie zidiociały, czy też widzów uważają za niedorozwiniętych umysłowo, spragnionych takiej papki.

Kirk Douglas o tym, jak go gościł Salvador Dali. Pokazywał mu instrumentalną waginę, w której mieszczą się dwa penisy. Proponował,

żeby spróbować to zrobić z jego przyjaciółką. Kirk uciekł.

Kirk nigdy nie pozbył się kompleksów syna „szmaciarza", żydowskiego chłopca z ubogiej rodziny. Tam, gdzie nie widzą w nim gwiazdora, wciąż natyka się, albo tak przynajmniej wyczuwa, na mniej czy bardziej skrywaną niechęć.

Lubi jednak swoich kolegów gwiazdorów. Z sympatią pisze o „Gregu" Pecku, z pobłażaniem o dziwactwach i pysze Johna Wayne'a. (Nazywano go „Duke", tylko Kirk mówił do niego „John"). Kirk ma zmysł obserwacji jak pisarz. (W liceum wyróżniał się zdolnościami literackimi). Pikantny jest zapis spotkania Nixona, jeszcze urzędującego prezydenta (1972), z gwiazdami filmu. Peck przedstawia mu się: *I am Gregory Peck*. — Oh, tak, tak, wiem, świetna jest ta pańska *Przyjacielska perswazja* (film Gary Coopera). Pomylił też z kimś Kirka Douglasa. „No cóż, widzem filmowym Nixon nie był". Mogę dodać pointę: widzem nie był, ale bohaterem wielu filmów został.

Ciąg dalszy lektury rozmów Snydera z Tonym Judtem. Jednak sprawa pochodzenia (dziadek Enoch z Warszawy) miała dla Judta duże znaczenie. Rodzina była syjonistyczno-lewicowa (przynależność do pionierów Haszomer Hacair) lub wręcz lewicowa (Bund, do którego należał młody Edelman). Opowieść o grupie Bloomsbury, komunizujących studentów z Cambridge. Pisząc o grupie Stephena Spendera, pomija ich homoseksualizm — nie zrobiłby tak, gdyby uważał, że miał on wpływ na bliskość tych ludzi, raczej uważa to za przypadkową zbieżność.

Czy można uznać Churchilla za intelektualistę? — zastanawiają się rozmówcy. Nie! A Disraeli? Tak, raczej on. Jeszcze Asquith. A najbardziej Harold Wilson — fatalny premier, zgubił laburzystów. Najwięcej przysłużyli się Anglii ludzie spoza elity, np. Margaret Thatcher czy Lloyd

George. Za outsidera uważa też Judt Churchilla (mimo jego arystokratycznego pochodzenia) — szedł do stanowiska przez wojsko, dziennikarkę, trzy razy zmieniał partię. Nigdy nie pogodził się z tym, że rozpad imperium jest nieuchronny.

I on, i Roosevelt prowadzili wielką globalną wojnę. Na tym tle sprawa zagłady Żydów (o której doskonale wiedzieli dzięki wywiadowi, nie trzeba im było do tego rewelacji Karskiego) była tylko epizodem. Do Churchilla ponadto dochodziły pomruki, że „bijemy się dla nich". Dlatego nie wydał polecenia, by zbombardować komory gazowe i krematoria w Oświęcimiu.

Dopiero w latach 60., uważa Judt, utrwalił się pogląd, że zbrodnia zagłady była najważniejsza w tej wojnie.

Kirk Douglas opowiada swobodnie, z temperamentem, ze świadomością, że nie powinien się silić na „literackość", co — sądząc z oczytania — potrafiłby robić, ale na szczęście nie robi. Chwilami jednak jego lakoniczność bywa przesadna, zwłaszcza jeśli się powtarza. Coś się stało, ktoś zawiódł i skutek — dwa słowa: „Byłem zły". Albo: „Byłem wściekły". „Odszedłem". „Wyjechałem".

Pokpiwa z Yula Brynnera (*Siedmiu wspaniałych*), który kiedyś sprzątnął mu sprzed nosa Oscara: Yul musi mieć wszystko największe, kolosalne. Kręcą gdzieś razem, mieszkają w tym samym hotelu, Kirk wynajmuje zwykły pokój, Brynner zajmuje trzy piętra.

Kiedy Kirk zbliżał się do siedemdziesiątki, w lokalu, gdzie byli umówieni, by się zabawić, stracił nagle przytomność. Odzyskując ją, usłyszał: PEACEMAKER! Rozrusznik. I odtąd żyje z rozrusznikiem. (Kiedy to notuję, Kirk ma 97 lat).

Dzwoniła Dorota Woźniak-Stasikowska. Moi przyjaciele w Katowicach szykują urodzinowy jubel. Utworzyli „kapitułę”, jak to określiła Dorota. Telewizja chce nakręcić film. „A czy dadzą honorarium?” — pytam. Tego Dorota jeszcze nie wie.

Hołdy się ulotnią, a bryndza pozostanie.

Właśnie dostałem list od jednego pana, któremu podpisałem na targach *Nikt nie woła*. Czytał i natrafił pod koniec na wzmiankę o nosiwodzie Mychajle z Dąbrowicy: to kiedy Bożek w Samarkandzie nosi wodę w koromyśle do szkolnej kuchni. I okazuje się, że Tata tego czytelnika jest z Dąbrowicy i pamięta tego nosiwodę. Wybierają się tam („dla Taty Dąbrowica to był raj”) — czy mógłbym coś więcej o tym miasteczku opowiedzieć? Poleciłem mu *Najpiękniejsze lata* (wraz z *Nowolipiem*, którego ten nowy mój czytelnik nie zna). *Najpiękniejsze lata* Tatę być może zawiodą: jest tam kilka dąbrowickich rozdziałów, ale dotyczą szkoły pedagogicznej, radzieckiej, w języku ukraińskim, a nie samego miasteczka.

Śniło mi się coś bardzo młodzieńczego. Jakby powtórzenie snu sprzed 75 lat! Biegnę, ale w pewnym momencie biegu przestaję dotykać ziemi, przez cały czas unoszę się nad nią.

Dzięki temu jestem szybki — i tak aż do przebudzenia. Coś takiego śniło mi się (i zapewne jest to sen dość powszechny), kiedy miałem kilkanaście lat: skaczę w dal — i nie lądaję, przedłużam skok, unosząc się w powietrzu. Marzenie o sukcesie lekkoatletycznym. A przecież teraz o żadnym takim sukcesie nie marzę. No, może o tym, żeby mi się lżej chodziło…

Od wielu dni mam ochotę wpisać pewien epizod z pamiętników Douglasa. A to dlatego, że potwierdza mój psychologiczny domysł.

W *Dzienniku* (zdaje się) piszę o tym, że w westernie *Pojedynek w Corralu O.K.* Kirk, Lancaster i dwóch innych aktorów odgrywających twardzieli idą ze strasznie srogimi minami środkiem ulicy na ostateczną śmiertelną rozprawę. I ja domyślam się, że robiąc te srogie miny, duszą się ze śmiechu. I kiedy reżyser zawoła wreszcie: „*Cut!* Mamy to!” — wybuchli śmiechem.

Otóż Kirk opisuje podobną sytuację w tym samym filmie. W saloonie pełnym bandziorów Kirk ratuje życie zagrożonemu Lancasterowi — Burt grał Wyatta Earpa, Kirk — Doca Hollidaya, dwie autentyczne legendarne postaci z Dzikiego Zachodu — wychodząc z saloonu, Burt rzuca: „*Thanks,* Doc”, Kirk ma burknąć: „*Forget it*”, to nic takiego, i nie może z siebie tego wydusić, pęka ze śmiechu. „Śmieszność tej sceny, nasza brawura, machismo — zatykały mnie”. Powtarzali tę scenę kilkakrotnie, za każdym następnym razem śmiech był silniejszy. Musieli ją odłożyć na następny dzień.

Dobrze się domyśliłem. Zdolni, mili, dobrzy i inteligentni mężczyźni (inteligencja czasem aktorowi przeszkadza) udają, z woli reżysera, nieustraszonych, niedbających o życie — własne i cudze — bohaterów Dzikiego Zachodu. Rozczulił mnie kiedyś Roger Moore — najpierw przystojny Święty, potem zawadiacki James Bond — kiedy wyznał w jakimś wywiadzie: „Jestem strasznym tchórzem. Kiedy strzelam, nie mogę, słysząc huk, powstrzymać się od nerwowego zamykania powiek”. W montażu wycinano mu w takich scenach kilka klatek, żeby usunąć mruganie.

Sierpień

Natknąłem się przy moim łóżku na jakiś numer „Dużego Formatu”, który schował się gdzieś między papierzyskami. Czytam: „maj”. Tak, maj, ale sprzed dwóch lat. Dobrze, że się zachował, bo jest tam przejmująca

rozmowa Angeliki Kuźniak ze szwajcarską niemieckojęzyczną pisarką, Mariellą Mehr. Pisarka szwajcarska, ale woli mieszkać w Toskanii. Woli między bałaganiarskimi Włochami niż między porządnymi, rygorystycznymi Szwajcarami.

Szwajcaria! Kraj azylu dla socjalistów europejskich. Kraj tajemnicy kont, ucieczki, tolerancji! Jakie to wszystko pozorne. (Można się tego domyślić z dramatów Frischa czy Dürrenmatta). Naprawdę kraj nieujawnionego rasizmu, braku tolerancji, braku zwykłego współczucia. Kraj bezwzględnych urzędników, twardych serc — wszystko „dla dobra dziecka", dla „prawidłowo rozwijającej się rodziny", dla „dobra społeczeństwa". Coś jak w pewnym okresie w Szwecji, kiedy zanadto ingerowano w życie dziecka w „nieodpowiedniej" rodzinie. (Zdarzało się to i w Polsce, ale sporadycznie — i zwyciężyła wola dzieci, by być w rodzinie — biednej, ale własnej i roześmianej). Czytając, wymyśliłem formułę: „Okrucieństwo dobroci". Patentuję.

Bo Mariella Mehr jest Jeniszką. Jenisze to szwajcarscy Cyganie. Dla nich nie ma tolerancji. Jest ich ok. 30 tysięcy, 5 tysięcy prowadzi życie koczownicze. „Urodziłam się — opowiada pisarka — na chodniku przed szpitalem. Byłam pijana, bo pijana była moja matka". Przez 5 lat nie mówiła — mogła mówić, ale nie chciała. Rozumiem: świat był wstrętny, dziecko nie chciało się z nim komunikować. Organizacja charytatywna „Kinder der Landstrasse" zapisała w jej aktach, że „jest plamą na naszej tak dumnej ze swego kulturowego porządku szwajcarskiej ojczyźnie". Szefem akcji był dr Siegfried, „przyjaciel nazistowskiego badacza Cyganów".

Mariella trafiła do „rodziny zastępczej", kiedy miała 6 lat. Przybrana matka jej nienawidziła. Przybrany ojciec co wieczór wymierzał chłostę na nagie ciało. Co zapamiętała z czterech lat pobytu w rodzinie zastępczej? „Bicie" — odpowiada.

O tym, że jest Jeniszką, dowiedziała się w internacie w Metzingen od innych dzieci, kiedy miała 11 lat. „Ucieszyłam się, bo w końcu do kogoś należałam”. Zaczęła się uczyć języka Jeniszów. I czytała. Na półkach były książki oprawne w skórę, które tuliła do policzków.

Lekarz z kliniki psychiatrycznej, który miał się nią zająć, głaskał ją, dawał słodycze, w końcu ją zgwałcił. I tak przez kilka tygodni.

Jej mąż, pół Cygan, pół Żyd, o 30 lat od niej starszy, miał za sobą 4 lata pobytu w Dachau. Nie chciał mówić po niemiecku i zabronił mówienia po niemiecku przy nim. Kiedy zaszła w ciążę, przyjechała wezwana przez Pro Juventute policja. Zabrano ją do więzienia. Uzasadnienie: izolacja celem zapobieżenia powstaniu nowej zdegenerowanej rodziny. Synka od razu jej zabrano. Mąż wkrótce zmarł. Ponownie zamężna, odkryła, że ją wysterylizowano. „Dla dobra szwajcarskiej ojczyzny”.

Po latach prezydent Szwajcarii ją przeprosił. Uniwersytet w Bazylei przyznał jej doktorat honoris causa za „zaangażowanie w walce z wrogością wobec obcych i rasizmem…”.

Na pytanie dziennikarki, czy dziś już wie, kim jest, odpowiedziała: „Wiem, że nie mam ojczyzny. Mam powietrzne korzenie, a te wyrastają w słowach”.

Upał. Odwołałem jutrzejsze spotkanie w Iskrach. Dziś rano wyszedłem po pieczywo, wodę, okna pozamykałem, w mieszkaniu jest całkiem znośnie. Czytam rozmowy Snydera z Judtem. Właśnie skupili się na wojnie domowej w Hiszpanii. Rozmawiają o Orwellu i Koestlerze. Już dawno doszedłem do wniosku, że *Ciemność w południe* Koestlera traktuje temat nazbyt wymyślnie, jest nazbyt psychologicznie wyrafinowana, tak jak autorowi by się chciało, żeby było — w rzeczywistości oskarżeni w procesach moskiewskich przyznawali się do niepopełnionych zbrodni nie

z powodu „więzi z partią”, ale — co ujawnił Chruszczow — wszystko okazało się bardziej chamskie: bito ich, torturowano, nie chcieli już żyć. W przypadku Bucharina (jeszcze kilka lat przedtem przyjmowanego przez Stalina jako przyjaciela) wiadomo, dlaczego się przyznał: miał młodą żonę, dziecko, chciał ich ratować. (Co mu chyba obiecano, bo przeżyli).

Ale jaka podczas wojny domowej była wiara broniących republiki w postawę Związku Radzieckiego: jedyny prawdziwy sojusznik, jedyne państwo, które pomaga, jedyny wróg faszyzmu! I to wtedy właśnie toczyły się w Moskwie pokazowe procesy, rozstrzeliwano przywódców komunistycznych — oni tu, w Hiszpanii, nie zwrócili na to uwagi, może woleli nie wiedzieć. Na tę niesamowitą zbieżność — w Hiszpanii poświęcenie, ideowość, wiara, walczy Malraux, Orwell, jest Hemingway, Pruszyński, jest brat Konsula z *Pod wulkanem* Lowry’ego — a w Moskwie giną przywódcy rewolucyjni, giną pisarze, Bruno Jasieński, ginie uczestnik walk w Hiszpanii Kolcow (jedna z postaci filmu *Hemingway i Gellhorn*), później Babel. I ja, piętnastoletni pożeracz gazet i słuchacz radia, też jakoś na tę zbieżność nie zwróciłem uwagi. Dopiero teraz, dzięki rozmowom Snydera z Judtem.

Wczoraj był Tomek. Podczas i po kolacji jak zwykle rozmówki „historyczne”. Powiedziałem Tomkowi, że w rozmowach o faszyzmie w przedwojennej Europie najbardziej zadziwia Judta i Snydera faszyzm rumuński. Faszyzm i antysemityzm frankofońskich intelektualistów. Rumunia, chociaż przez Austriaków pobita, wyszła z wojny, „dzięki zręczności swoich dyplomatów” (jak twierdził Ksawery Pruszyński) poszerzona — kosztem Węgier, Bułgarii i Rosji. Ale najwidoczniej z kompleksami: jesteśmy wielkim narodem, reprezentantami kultury łacińskiej, a wciąż nas nie cenią należycie.

Tu wspominam, że mimo braku pewnych wiadomości miałem intuicję w odczuwaniu charakteru ich pisma. Polecano mi książkę sławnego Mircei Eliadego, chyba religioznawczą. Przeczytałem kilkadziesiąt stron i rzuciłem ją. Nie widziałem w niej nic dla siebie. Wkrótce się dowiedziałem, że ten czczony intelektualista był faszystą i antysemitą. Religioznawca, którego nie obowiązuje dekalog.

Judt i Snyder omawiają Front Ludowy we Francji w latach 1936–1938. Premierem został wtedy socjalista Leon Blum, krytyk teatralny, intelektualista starej daty (jak zaznacza Judt), z binoklami i w getrach. Jednak ten socjalistyczny premier nie zdecydował się na wspieranie republikanów w Hiszpanii, ogłosił désintéressement (w sytuacji, kiedy Mussolini i Hitler otwarcie wspierali generała Franco). A ja pamiętam — mam to wciąż przed oczami — wielki tytuł na pierwszej stronie gazety ONR-owskiej, ABC czy Falangi: „LEJBA BLUM PROPAGUJE KAZIRODZTWO!”. Utkwiło mi to w pamięci także jako coś groteskowego. Sprawdza się w tym tytule to, co nieraz mówiłem: że najważniejszy jest dla nich język nienawiści — nie wystarczy im to, co wyznają, nie wystarczy: „to Żyd — nienawidzę go!”. Trzeba jeszcze wymyślić, żeby ten Żyd, premier Francji, był „Lejbą” i trzeba było, żeby „propagował kazirodztwo”.

Po dziesiątej wieczór — telefon. Pomianowski. Poznałem go po głosie, trochę się zaniepokoiłem — dlaczego telefon o tej porze? Co się stało? Coś z Olą? Dzwoni, żeby mi powiedzieć — a mówi powoli, z wysiłkiem, starannie dobierając słowa — jakie znaczenie ma moje pisarstwo — dla niego i w ogóle. Impulsem był wywiad, który przeprowadziła ze mną Donata Subbotko. (A ja myślę: jestem w nieustannej huśtawce, nie, to trzeba inaczej wyrazić — czuję stały rozziew między tym Henem, którym

jestem na rynku, a tym, o kim mówi Pomianowski i garstka innych wspaniałych odbiorców, tak się złożyło, że moich mistrzów).

Mówi coś o pointach niektórych rozdziałów *Nowolipia*: że zostaną jako „mocny wyraz literacki tych czasów". (Trochę to nawet mocniej powiedział, ale nie umiem tego powtórzyć).

I jeszcze coś z wywiadu, co nim poruszyło, i to zupełnie tak, jakbym to wykreował jako przemyślny zabieg literacki. To, kiedy Rena mówi do mnie: „Czy pan wie, czyją jestem córką? Jestem córką Józka Hena («Józka» w relacji Pomianowskiego) — to taki literat; dobry — dostał nagrodę". Ostatnie słowa wypowiada Pomianolo łamiącym się głosem. Uważa, że te słowa Reny świadczą o jej stosunku do mnie: Córka! Dodałbym jeszcze refleksję od siebie: była znowu kilkunastoletnią dziewczyną; dziewczynie potrzebny był ojciec; i był na miejscu, opiekuńczy. „Wie pan kto? Józef Hen, pisarz".

Wrażliwi na moje pisarstwo, pomyślałem, są ci, którzy sami odczuwają Weltschmerz, ból świata, troskę życia. Odczytują tę troskę, ból, żal w tym, co piszę, także w narracji lżejszej, w dialogach. Czują się zrozumiani. Czują, że się przeze mnie wypowiedzieli.

Z Katowic dzwoni Dorota Woźniak. Co myślę o uroczystym spotkaniu na Śląsku? Dobrze myślę. Prezydent zgodził się objąć nad jubileuszem patronat. Komorowski? Nie, idzie o prezydenta Katowic. Chce się w uroczystości włączyć i uniwersytet, prof. Malicki. Prezydent chętnie by przysłał po nas z Madzią do Warszawy samochód. Ustalamy daty: 15 i 16 października. Pierwszego dnia spotkanie, tradycyjnie, w sali Koszutka. Nazajutrz przed południem spotkanie ze studentami, choćby na krótko, wieczorem w Bibliotece Śląskiej, po niej bankiet. Dorota dyskretnie pyta (a ja niedyskretnie to ujawniam): jaką chcę gratyfikację? Jakiś wartościowy

obraz czy może woreczek? Obraz nie — odpowiadam — nie mam ścian. Aha, woreczek ze złotymi monetami — konkluduje Dorota.

U Madzi jest pani Ola, sprząta, kończy czytać *Nikt nie woła* — zaskakujące, że w ogóle to czyta; mówi Madzi, że to dziwne uczucie czytać książkę, której autora się zna. Jakby się go słyszało. On nigdy się nie wyraża, dodaje, tak mocno jak jego bohater. Zwróciła uwagę na epizod z białym materacem, na znaczenie, jakiego nabrał dla miłości tych dwojga. Ona, Ukrainka, która pamięta republikę radziecką, takie rzeczy rozumie.

Bardzo lubię i cenię Władysława Frasyniuka i to od początku jego aktywności, jeszcze kiedy siedział w więzieniu. Zazwyczaj aprobuję to, co mówi, jak ocenia sytuację polityczną. Ale z jego twierdzeniami w wywiadzie, którego udzielił „GW” kilka dni temu, się nie zgadzam: nie tylko nie ma za złe senatorowi Romaszewskiemu, że wyprocesował od państwa (to znaczy od nas wszystkich) odszkodowanie za krzywdy, jakich doznał w minionym okresie, ale uważa, że wszystkim aktywistom Solidarności (a więc i jemu) ono się należy, bo to oni, pięć procent społeczeństwa (jak ocenia Frasyniuk), wywalczyli nam wolność. Wywalczyli, wygrali, urządzili się, są senatorami, dygnitarzami, założyli przedsiębiorstwa — jak on — mają dobre życie i satysfakcję. Zwycięzcy.

Nie twierdzę, że „wywalczyłem wolność”, ale nie byłem mniej gnębiony niż pan Romaszewski. Dyskryminowany, poniżany, atakowany w reżymowej prasie, żyłem w biedzie — i to przez lata całe — może i ja (wraz z pewną grupą kolegów) bym się o jakieś zadośćuczynienie upomniał? Potrzebny by był tylko sprytny czy wpływowy adwokat. Wskazałby sądowi, że książka, która mogła zrobić światową karierę (co, przyznaję, nigdy nie jest pewne) przez 33 lata nie mogła się ukazać, a po 33

latach, kiedy reżym upadł, już kariery zrobić nie mogła. Przypomnę, co powiedział mi Tadeusz Karwański, szef produkcji filmu *Nikt nie woła,* po ukazaniu się wreszcie książki: „Miałeś pecha, że żyłeś w tym reżymie — on ciebie bardzo skrzywdził”.

Jeśli komuś udział w Solidarności złamał życie, nadwerężył zdrowie, to zadośćuczynienie finansowe się należy. Ale jeśli ktoś jest posłem, senatorem, kawalerem Orderu Orła Białego i sięga po gotówkę, to — cisną się na usta mocne słowa. Z których „brzydka pazerność” jest najłagodniejsze.

Dzieliłem się z Tomkiem wrażeniami z lektury pamiętnika diuka de Lauzun. (Był przez pewien czas kochankiem Izabeli z Flemmingów Czartoryskiej, co tolerował książę Adam Kazimierz i dawał nazwisko kolejnym jej synom z nieprawego łoża). Uderza dziś czytelnika tych pamiętników, że zakłamanie obejmuje język, jakiego używali, usprawiedliwiając swoje wyczyny seksualne — hipokryzja i preromantyczna gadanina. Kobiety mdlały — omdlenia były modne. I łzy wylewały, witając się z innymi damami — łzy były modne. Niemowląt nie karmiły. Ale pojawił się Rousseau, napisał książkę *Emil, czyli o wychowaniu* — i publiczne karmienie niemowląt stało się modne. (U Madzi wspomniałem, że napisałem taki „notatnik zapaleńca”, w którym skorzystałem z tego tytułu: *EMIL, czyli o wychowaniu* — o nieustępliwości Emila Zatopka).

Oni się strasznie nudzili — odezwał się Tomek. O nudzie na dworze carycy Elżbiety pisze we wspomnieniach Katarzyna. Stąd karty i pijaństwo. Bale z przebierankami. No i oczywiście większe chamstwo i korupcja w Rosji niż we Francji Ludwika XVI, gdzie arystokracja miała już wszystko przechwycone, rozdane i uładzone. Tomek dobrze zorientowany.

Chyba powinienem odnotować oglądanie *Chama* przedwczoraj. Trochę się bałem, jak wytrzymał próbę czasu. Ale wypadł lepiej, niż się spodziewałem. Nędza i prymitywizm tej wsi, z mieszkańcami „tutejszymi", wnętrze chaty, furmanka z zaprzęgiem białoruskim (innym niż ten spod Lwowa), kupa dziecisków — wszystko to Laco Adamik zrobił dobrze, fachowo, z wyczuciem. No i oni dwoje — Piotr Szczepanik i Monika Niemczyk — wiarygodni, przejmujący. Beata dzwoniła, powiedziała, że film wydał jej się w problematyce aktualny. „A dialogi? Nie żachnęłaś się czasem? — Nie. Dialog skąpy, słowa wyduszane, tylko te konieczne". Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co wziąłem od Orzeszkowej, co napisałem ja. Chyba u Orzeszkowej mało jest rozmów, posługuje się głównie opisem.

Cham uczestniczył w 1980 w festiwalu filmów telewizyjnych w Olsztynie. Mówiono o nagrodzie. Z Warszawy przyszła jednak wiadomość, że nie wolno dać filmowi nagrody — kuria jest przeciw, film jest niemoralny, pewnie dlatego że są sceny łóżkowe (których zresztą w moim scenariuszu nie ma). Ta opinia niezbyt pochlebnie świadczy o rozumieniu filmu przez klerykalnych decydentów. Trudno sobie wyobrazić bardziej chrześcijański w wymowie film! Bohater jest prawie świętym. Ona grzeszy — on wybacza. Jest chwila, kiedy on myśli o samobójstwie, ale cofa się — to grzech, trzeba w pokorze znosić udrękę życia. Ona wraca do niego z cudzym dzieckiem, cała wieś krzyczy „z bękartem wróciła!", on tego chłopczyka przytula.

Jury konkursu znalazło wyjście: przyznali nagrodę Jackowi Petryckiemu za piękne zdjęcia. Jezioro, szeroki krajobraz, pod horyzontem łódź rybacka — oddychamy piękną przestrzenią.

Z p. Andrzejem Bukowieckim rozmowa dla kwartalnika „FilmPRO”. Głównie o moich scenariuszach. Wspominam też dwa zatwierdzone scenariusze (początek roku 1971), ale niezrealizowane: *Przed wielką pauzą*, bo sprzeciwił się tzw. czynnik społeczny (czyli tow. Kurowski z sekretariatu KC), i *Droga wiodła przez Narvik*, bo zaprotestowało wojsko.

Kiedy zahaczyliśmy w rozmowie o film *Bokser i śmierć*, który zapragnęli kręcić Słowacy, opowiedziałem p. Bukowieckiemu coś, co się wydarzyło podczas powitalnej kolacji wydanej dla mnie w hotelu Devin. Jano Mináč, kierownik literacki zaczął od niesłychanych komplementów („literatura słowacka nie ma tak wspaniałego opowiadania jak pański *Bokser*”), by w miarę jak pił, stawać się coraz bardziej nieprzyjemnym i w końcu pozwolił sobie nawet skrytykować mój krawat. (Może miał rację). Nazajutrz rano do mojego apartamentu w hotelu przyszła delegacja z przyszłym reżyserem Peterem Solanem. Przepraszali za zachowanie Mináča. „Vite, pane Hen, on ma żenu Żidovku” i on wyobraził sobie, że ja, Polak, jestem pewnie antysemitą.

Nie parsknąłem śmiechem. „Opowiem wam — powiedziałem — coś autentycznego z Moskwy”. I opowiedziałem dość popularną rozmowę dyrygenta angielskiego, Johna Barbirolli, z Furcewą, która była za Chruszczowa ministrem kultury. Barbirolli: „Wie pani, madame Furcewa, nie podoba mi się to, że u was jest antysemityzm”. Ona: „Ach, mistrzu, co pan mówi, jaki znowu antysemityzm? W tej orkiestrze, którą pan będzie jutro dyrygował, jest 52,5 procent Żydów”. On: „W mojej orkiestrze też są Żydzi. Tylko ja nie wiem, ile procent”.

Ta anegdota spowodowała, że przestałem uchodzić za antysemitę.

Pytał mnie jeszcze p. Bukowiecki, jakie były moje stosunki ze Stawińskim — czy nie było rywalizacji? Nie, Stawiński był dobrym kolegą. Nie bardzo umiał okazywać miłe uczucia, ale je żywił. Jako kierownik

literacki zespołu „Kamera”, śmiejąc się, wyznał, że dostał sutą premię za mój *Kwiecień*. Był „opiekunem artystycznym” (za moją zgodą) serialu *Życie Kamila Kuranta*. Na kilka tygodni przed śmiercią zadzwonił do mnie, żeby mi powiedzieć, że słuchał mojego Boya z audiobooka i chciałby mi za to podziękować.

Tak się złożyło, że jego grób znajduje się tuż przy grobie Reny. Będziemy z sobą sąsiadowali.

W „GW” felieton Pawła Wrońskiego *O tym jak Matka Boska bolszewików pobiła*. Nareszcie znamy zwycięzcę bitwy warszawskiej, o co się tyle spierano: nie Piłsudski, nie Rozwadowski, nie Weygand, nie błąd Tuchaczewskiego i niesubordynacja Budionnego (i Stalina), ale Matka Boska wprowadziła chaos w szeregi bolszewików, wysłuchała długich modlitw — tak stwierdził w homilii arcybiskup Hoser. Ten sam, który usunął z probostwa ks. Lemańskiego „za nieposłuszeństwo”. Paweł Wroński ubolewa, że Matka Boska nie interweniowała 1 września ani 17 września, ani w powstaniu warszawskim — za krótko się modlono. „Zamiast walczyć, trzeba było się modlić”.

Ale jak to się dzieje, że ktoś na takim poziomie zostaje arcybiskupem?

Dziś późno po południu przylatuje z Bostonu Ewa. Pewnie już wkrótce wyląduje w Londynie. Zadała swojej mamie dotkliwy cios: okazuje się, że od pewnego czasu jest wegetarianką — tak jak jej współlokatorzy uniwersyteccy. A Madzia szykowała pieczeń cielęcą, befsztyki. Całe szczęście, że z krupniku Ewa nie rezygnuje.

Po śmierci Mrożka dużo o nim myślę. Wieczorem sięgnąłem po *Baltazara*, autobiografię, którą pisał, jak się zwierza, w celach terapeutycznych, żeby wyjść z afazji, która dotknęła go po wylewie. Czyta

się to, nieustannie myśląc o jego ciężkim stanie. Ze współczuciem dla walczącego o słowo autora.

Wczoraj minęły trzy lata od śmierci Reny. Tak się złożyło, że był to ostatni dzień pobytu Ewy w domu, Madzia musiała być do jej dyspozycji. Przełożyliśmy pielgrzymkę na grób na dzisiaj.

Rano, przed wyjściem, zajrzałem do wiszącej w korytarzu torebki Reny, miała ją ostatnio na sobie zawsze, kiedy wychodziła, i znalazłem kartkę, na której zapisałem adresy i telefony nasze i Madzi, miała jej służyć, gdyby się zagubiła, gdyby zapomniała, gdzie jest.

Postanowiłem, że zapalimy znicze u grobu Eli Czyżewskiej i u Stawińskiego.

W deszcz do kawiarni W Biegu Café na spotkanie z panią Iwoną Rusek, z Instytutu Literatury Polskiej UW, na rozmowę o Boyu. Przygotowują jakąś książkę, patronat nad nią objął Henryk Markiewicz, który zestawił trzy pytania dla rozmówców na temat ich związku z Boyem. Trzy pytania, a rozmawialiśmy z panią Rusek dwie godziny. Moje odpowiedzi rozlewały się w dygresje, jej się to nieoczekiwanie podobało. Mojego *Błazna* zna bardzo dobrze, ale wydaje się, że innych książek moich nie zna. I to, że ich nie zna, paradoksalnie ożywiało tę rozmowę.

Zapytała, dlaczego Irzykowski tak atakował Boya. „Zazdrość. Uważał, że Boy ukradł mu czytelników”. Ale też różnice w poglądach na dziedzictwo kulturalne inteligencji polskiej: germanofil przeciw frankofilskiemu oświeceniowcowi. Ostatnia wojna była dla obu załamaniem tego, w co wierzyli. Opowiadam o filmie *Don Gabriel*, w którym pokazuję, jak w istocie byli sobie bliscy: dwaj liberałowie z minionej epoki. Mówię o kobietach — tu też Irzykowskiego mogła zżerać

zazdrość. Przypominam, że Irzykowski, który w pewnym okresie pisywał do socjalistycznego „Robotnika”, przylgnął później do endeckiego „Prosto z mostu”. Zerwał jednak z tym pismem, kiedy potępiło ono literatów wspierających akcję Adolfa Rudnickiego na rzecz koczujących w Zbąszyniu wysiedlonych z Niemiec Żydów polskich.

Dlaczego Miłosz nie lubił Boya? „Nie lubił skamandrytów. Inny rodzaj talentu, żywiołowość języka, Miłoszowi niedostępna. (Z wyjątkiem Iwaszkiewicza, do którego napisał list, że go «kocha»). Byli popularni, mieli pieniądze, za którymi szedł inny styl życia”. Przyznał jednak Miłosz, że *Bal w operze* Tuwima to arcydzieło, a Boyowski przekład Rabelais’go to „arcydzieło języka polskiego”.

Przed południem w Czytelniku ze Szwedką, Heleną Fr. Współuczestniczy w jakiejś inicjatywie mającej uczcić Korczaka. Marta Prochwicz pożyczyła jej niemieckie wydanie *Nowolipia*, odnalazła fragment jak Hipek kopie Korczaka w kinie (*In the movie* — wyraża się błędnie). Przyniosłem jej *Nowolipie Street*, co ją ucieszyło, woli czytać po angielsku, dostrzegła notę Timothy’ego Snydera. Powiedziałem, że Snyder czytał książkę po polsku, co nią chyba wstrząsnęło, ujawniło jej amatorszczyznę i brak wiedzy. Była w Muzeum Powstania Warszawskiego. Tam się dowiedziała, że coś w Polsce stało się ważnego w 1918 roku — co to było? Wyjaśniam. Piłsudski — tak, coś słyszała, był taki generał i wygrał w 1918 roku bitwę? O bitwie 1920 roku słyszy po raz pierwszy ode mnie.

Rewelacją jest dla niej to, że Korczak przekazał redakcję „Małego Przeglądu” swojemu sekretarzowi. Wpisuję jej do notesu: „Jerzy Abramow vel Igor Newerly”. Nie słyszała nigdy o książce *Kajtuś Czarodziej*.

Dałem jej angielskie tłumaczenie rozdziału z *I Am Not Afraid of Sleepless Nights* o czytaniu przeze mnie, kiedy leżę wygodnie w łóżku,

wstrząsającego pamiętnika Korczaka z getta.

Wspomniałem *Nikt nie woła,* musiałem jej wpisać do notesu tytuł angielski. Tak, mówię, kończy się sonet Mickiewicza: „*Let's go! No one is calling!*”. Co jej się spodobało. Na zakończenie rozmowy powiedziała, że ma dla mnie prezent: ofiarowała mi tekturową zakładkę do książki.

Wyszła. Podszedłem do Konwickiego, który jadł przy swoim stoliku placki z cukinii. Powiedziałem: „Mrożek odszedł, niewielu nas zostało”. On: „Ty, ja i Różewicz”. Na mój jubel nie przyjdzie: „Przecież ja nie słyszę”. I jeszcze dodał, że często o mnie myśli.

Wrzesień

Przeczytałem do końca *Baltazara* Mrożka. Pisze o śmierci żony, umierała w Berlinie, w końcu października 1969 roku. Pamiętam. Byłem od dwóch tygodni w Paryżu i Giedroyc prosił mnie, żebym zatelefonował do Berlina do Mrożka, bo tam umiera jego żona. Nie pamiętam, czy to zrobiłem, chyba nie, bobym zapamiętał, to było trudne zadanie: co powiedzieć? jak powiedzieć? Spotkałem się z nim w Paryżu w 1975 roku, zaprosił mnie do kawiarni na Ave King George, a raz odwiedził mnie z ówczesną swoją dziewczyną (która opuściła dla niego atrakcyjnego męża w Nowym Jorku) u Golfardów, u których wtedy kwaterowałem. Zaprosił mnie i gospodarzy, trzy osoby, do teatru „Rond-Point des Champs-Elysées” na *Ambasadora*. Moi gospodarze z tego jego gestu byli bardzo dumni.

Telefon o wpół do jedenastej od pani Ewy van den Bergen (nosi nazwisko, które przypisałem mojemu Bożkowi): mieliśmy się spotkać w Czytelniku, a mnie nie ma — co się stało? Nic się nie stało, nie ma tego spotkania na kalendarzu, widocznie oczekiwałem potwierdzenia. Po godzinie spotykam się z nią w kawiarni na placu Trzech Krzyży.

Rozmawialiśmy ponad pięć godzin. Rozmowa była łatwa, bo p. Ewa czytała *Nowolipie. Najpiękniejsze lata*, zapamiętała epizody, ujęły ją *Mgiełka* i *Pingpongista* (twierdzi, że ma szansę ukazać się w Holandii), kupiła *Szóste, najmłodsze* („każde opowiadanie chce się tłumaczyć"), wzruszyła ją *Długa, chyża łódź*, domyśliła się obecności Reny, dużo jej też dała lektura wywiadu Donaty Subbotko. Poszperała też w *Nie boję się…* i w *Dzienniku*, w indeksie znalazła nazwisko Leopolda Buczkowskiego, jej babcia w Podkamieniu przechowywała ukrywających się Buczkowskich, aryjczyków, którzy związali się z partyzantką żydowską (*Czarny potok*), babcia przemykała się do lasu z żywnością dla Żydów. Dwaj jej stryjowie, Różyccy, zamordowani w Katyniu. (Mimo to nie ma w niej rusofobii). Trzeci Różycki, matematyk, brał udział w rozszyfrowaniu Enigmy. Uratował się, przez Pireneje przedostał się do Hiszpanii, stamtąd do Lizbony, a z Lizbony do Anglii. W *Nowolipiu* przeczytała, że korzystaliśmy w gimnazjum z podręcznika Banacha („Banach, Stożek, Sierpiński") „i proszę, niech pan popatrzy — wyciąga przedwojenny indeks uniwersytecki jednego z Różyckich ze Lwowa — tu pan ma podpisy Banacha, a tu Bartel, Weigel, wszyscy trzej rozstrzelani (wraz z Boyem) przez SS".

Zapytuje mnie o Kapuścińskiego. „Przyjaźniliśmy się. Najczęściej natykaliśmy się na siebie na Mokotowskiej". Bo ona przetłumaczyła *Podróże z Herodotem*. Tak, czytałem, ale już po jego śmierci, jest o tym mowa w *Dzienniku*.

Strasznie dużo problemów pani Ewa poruszyła. M.in. o moim szczęściu życiowym — i o pechu w tzw. karierze literackiej: staję się ofiarą kolejnych przemian politycznych, wciąż pojawiają się jakieś „moczaryzmy" i inne zawiłości, żeby wyrazić się eufemistycznie.

Pod koniec mnie pyta, czy nie przyszło mi na myśl, że warto nakręcić raz jeszcze *Nikt nie woła*, ale tak jak to wyglądało naprawdę, jak opowiada to książka, w Samarkandzie. Słucham tego i uśmiecham się. „Wie pani, dlaczego się uśmiecham? Bo kilka dni temu dałem wywiad do kwartalnika «FilmPRO» i na pytanie, czy mam jakieś marzenie, odpowiadam: «Tak, mam: żeby nakręcić *Nikt nie woła* w Samarkandzie. Ale kto się do tego weźmie? Może Kutz»?”. Usłyszawszy „może Kutz?”, pani Ewa roześmiała się. Bardzo często reagowała śmiechem na ironię czy paradoks. „Czytałam dzisiaj, powiedziała, wypowiedź Kutza o tym, co czyta, myślałam, że wymieni także pana, ale nie wymienił”. Pewnie był szczery, mówię, nie czyta.

Od pewnego czasu zbieram się, by pisać o Mrożku, o lekturze *Baltazara*. Dostałem „zaproszenie” (tak to się nazywa!) na pogrzeb Mrożka w Krakowie. Jest wiadomość, że będzie msza i odprawi ją kardynał Dziwisz. Wszystko to wygląda jak dopisane zakończenie do *Tanga*.

Wczoraj była u mnie z godzinną wizytą pani Ewa Makała-Bergen, przyszła po książki, które jej obiecałem. Zdziwił ją (nie tylko ją) stosunek do *Brulionów* Matyldy. Rozmawialiśmy znowu z ogromnym ożywieniem, ciekawiło ją, jak życie wkrada się do opowiadań, np. *Konie*: „domyśliłam się, że ten oficer to pan”. Przeglądała półki z książkami, podziwiała niektóre tematyczne nagromadzenia: Boy, Montaigne, Stanisław August i XVIII wiek, Czechow, Gorki, Tołstoj, Turgieniew, Faulkner, Hemingway, Conrad (dla niej najważniejszy).

Podjęliśmy decyzję z Madzią, że nie jedziemy do Amsterdamu, zawiadomiłem panią Zweekhorst, że lekarz mi odradza, bo dla mojego serca to zbyt duży wysiłek.

Czasem jednak trzeba poświęcić swój czas — ze względu na ludzi, którzy się tego domagają lub dlatego, że przekonali mnie, że im na tym zależy. Byłem na Długiej 22, w klubie Stowarzyszenia Powstańców Warszawskich; kilkunastu osobom p. Miedziński będzie przypinać medale izraelskie, przyznane przez stowarzyszenie kombatantów polskich w Izraelu — za co? — „za kultywowanie pamięci” o tych, co walczyli. Wspinamy się do salki na trzecim piętrze, właściwie poddasze, na stole filiżanki na kawę, są i ciasteczka. Tych kilkanaście osób, z pewnymi wyjątkami w średnim wieku, to ludzie, którzy nie żyją z kombatanctwa, lecz kombatanctwem. Jest wśród nich pani pułkownik Duda, twarz znajoma (Madzia, która jest ze mną, uważa, że ze śladami dużej urody), która twierdzi, że była latem 1939 roku w Świdrze, kiedy na kortach willi „Elwirów” grałem w tenisa (pierwszy raz w życiu) z Zygmusiem Olszyną (o czym gdzieś wspominam) i to ona, wraz z jego najmłodszą siostrą, Lilką, kibicowały mnie. (Wygrałem).

Z medalem na piersi wędruję z Madzią do Czytelnika na obiad.

Dziś wiadomość, że zmarł Marcel Reich-Ranicki. W „GW” artykuł o nim specjalisty od spraw niemieckich, niby pełny życiorys, ale brak jednego etapu: że pracował w wydawnictwie MON (cytowałem kiedyś list od niego, bym złożył do tego a tego dnia przewidziany umową maszynopis). I że wydał tępą, lewacką książkę o współczesnej prozie niemieckiej, kluczem był socrealizm. Któż mógł przewidzieć, że już wkrótce zostanie najbardziej wpływowym krytykiem niemieckim?…

I oto na Wiejskiej natykam się na zaprzyjaźnioną z nim Luśkę Stauber, teraz już paryżankę; śpieszy do Czytelnika, chwilę porozmawialiśmy. Poznałem ją równo 60 lat temu, podczas festiwalu młodzieżowego w Bukareszcie; jako młoda lekarka obsługiwała ambulatorium dla polskich delegatów. Zalecał się do niej Hindus Nawtedż, młodzieniec brodaty

z sikhowskim zawojem, a ja, jako anglojęzyczny (co było wtedy rzadkie), służyłem mu za tłumacza. Trzeba przyznać, że Luśka tym powodzeniem była raczej przerażona. Nawtedż, żeby mi się odwdzięczyć, poznał mnie z zainteresowaną flirtem ładną Hinduską, której trochę się przeraziłem, bo miała wymalowaną czerwoną kropkę między brwiami.

Wykorzystałem po 10 latach imię Nawtedża w opowiadaniu *Niebo naszych ojców.*

Wiem, jak zacząć artykuł dla „GW” o *Pamiętnikach* Króla, do którego namawiał mnie Michnik („Panie Józku, mam na pana zamach”). Muszę jednak przejrzeć jeszcze własną książkę, skonfrontować zawarte w niej cytaty (z francuskiego oryginału) z obecnym wydaniem polskim. Profesorowie, eksperci mogą się pomylić, im wolno — mnie, amatorowi, jest to wzbronione.

Zasiadłem do tego zeszytu, by odnotować wczorajsze spotkanie w Podkowie Leśnej. Zaprosiła mnie fundacja Villa Musica, której prezesem jest p. Józef Kolinek, finansista, muzyk (skrzypce), animator kultury. (Kilkanaście dni temu dzwonił do mnie p. Jan Rodzeń, szef Klubu Księgarza, że proszono go, by dyskretnie wysondował, jakiego rodzaju muzykę lubię; wyznałem bezwstydnie, że romantyczną; aha, dobrze, będzie fortepian i skrzypce). Przywiozła nas (towarzyszyła mi Maja) p. Dorota Skotnicka, dyrektorka Dyskusyjnego Klubu Literackiego, który świętuje swoje pięciolecie. Spodziewałem się tęgiej, barczystej pani dyrektor, a oto przy kierownicy szczupła, przemiła, uśmiechnięta trzydziestolatka. Uparła się pani Skotnicka, by oczarować mnie Podkową Leśną, wiozła nas przemyślnie przez uliczki, które były zielonymi tunelami — zachwyt dla oczu, odpoczynek dla płuc — pomyślałem, że Monet też by się nimi zachwycił.

Pan Kolinek jest właścicielem wspaniałego domu, wnętrze niezwykłe, mieszka się na piętrze, jest galeryjka, z której można się przyglądać sali na dole służącej do imprez, dla publiczności 30 krzesełek, stoją też trzy fortepiany: jeden zabytkowy, z XVIII wieku, drugi z XIX i wreszcie współczesny, dla bieżących wykonań.

Zacząłem od czytania. Zaryzykowałem, sięgnąłem po rozdział *Mieszańcy* z *Najpiękniejszych lat.* Czułem, że czytam coś, co odzyskało aktualność. To małżeństwo ukraińsko-żydowskie i tych sześcioro dzieci, inteligentnych, urodziwych, którym w ogóle nie przychodzi do głowy, że po wkroczeniu Niemców będą zagrożeni, bo według paragrafów aryjskich są Żydami. Ale na ten akurat temat dyskusji nie było, sprawa wydała się oczywista. Pewna pani, długo i ze znajomością rzeczy, mówiła o książce o Stanisławie Auguście. Ktoś pyta, dlaczego w *Królu* jest cudzoziemski narrator. Wysoki, szczupły, siwowłosy pan (Kazimierz Głowacki), bodajże właściciel dawnej willi Ireny Krzywickiej (w której bywał Boy), zaprzyjaźniony z dobrze mi znanym jej synem Andrzejem, który mając lat kilkanaście, zapadł na chorobę Heinego-Medina (co nie przeszkodziło mu zostać wybitnym fizykiem), zapytuje, jak odnieśli się do mojej książki historycy, czy nie było jakichś ostrych polemik. Nie, nie było takich. Wymieniam kilku historyków podobnie myślących (Rostworowski, Zahorski, Adam Zamoyski, można dodać Jasienicę i Aleksandra Bocheńskiego. Pani dorzuca Cata-Mackiewicza). Opowiadam o utajnionym pochówku króla w Wołczynie jesienią 1938 roku. Mówię o oburzeniu ludzi kultury, o ankiecie „Wiadomości Literackich”: gdzie powinien być pochowany Stanisław August? „Większość wypowiedziała się za tym — mówię — że obok Lecha Kaczyńskiego”. Wybuch śmiechu. Bo oto paradoks: L.K. na Wawelu, a król nie wiadomo gdzie.

Pan Kolinek i pianistka grają trzy romantyczne utwory: coś Mozarta, coś Schuberta (ale nie serenadę) i transkrybowany przez p. Kolinka na skrzypce mazurek Chopina. Maja komplementuje go za „smaczki”. Wjeżdża trzypoziomowy tort, u góry z wisienek utworzona liczba: 90.

Ja na kanapce, przysiadają się chcący sobie porozmawiać uczestnicy. Żądają ode mnie napisania powieści o transformacji 1989 roku, jakaś entuzjastka wykrzykuje: „Kto, jeśli nie pan?!”. Ja: „Nie wiadomo, czy w tej chwili nie przechadza się ulicą jakiś wspaniały autor”. Pani Skotnicka śmieje się: „Nie wierzę!”. Ale ja wiem, że to zawsze możliwe.

Na brzegu kanapki pani, która przyznała się, że nic mojego nie czytała. „Od czego zacząć?” Nie wiem, może od *Nikt nie woła*? A może od *Nie boję się bezsennych nocy*? Przysiadła się pani, która zapytała mnie o moje kontakty z Herlingiem-Grudzińskim. Towarzysko były dobre, odpowiadam. „Bo mnie się wydaje, że byliście sobie bliscy”. „Nie, byliśmy na antypodach”. Opowiadam o rozmowie w Galerii Umberto w Neapolu, w roku 1975, kiedy Herling wyrzucał polskim pisarzom, że się nie buntują (i pani w lot zrozumiała o co chodzi: „my się mamy buntować, a on sobie spokojnie siedzi w Neapolu”).

I wreszcie p. Tadeusz Iwiński, z przyniesioną książką do podpisu. „Iwiński?” „No, mam takie nazwisko”. Jest matematykiem, co wykorzystałem w dedykacji. W Łodzi zgłosił się do niego pewien student po korepetycje. I to był ten drugi Iwiński, późniejszy polityk SLD. Iwiński uczył Iwińskiego.

Pani dyrektor odwozi nas do Warszawy. To dla niej żadna fatyga, mówi. Ona nie mieszka w Podkowie Leśnej, codziennie odbywa w obie strony tę drogę. Jest prawie dziesiąta, kiedy wchodzę wreszcie do domu. I składam Madzi sprawozdanie.

Dzwonię do Różewicza. Pytam, jak znosi pogodę. „Niedobrze. — Przedtem narzekałeś na upały. — Teraz narzekam na chłód”. Opowiadam mu, że zrezygnowałem z Amsterdamu. „A honorarium?” — pyta. Ja, że na moje zapytanie o „materialne zabezpieczenie” nie było odpowiedzi. Tadeusz: „Oni by chcieli, żebyś ty to sfinansował”. Głos ma rześki, jest, tak mi się wydaje, w lepszej formie niż kilka tygodni temu. Obiecuje sobie przyjechać do Konstancina — „I ty wtedy do mnie wpadniesz na trzy godziny”.

Zapytuje o jubileusz Zaiksu w majętności Pendereckiego. „Już się odbył — informuję — ja się na to nie wybrałem”. Opowiadam mu epizod chyba sprzed dziesięciu lat, podczas spotkania Kwaśniewskiego z twórcami. Stałem obok pani Pendereckiej („urodziwa” — wtrącił Różewicz; „tak, urodziwa”), w pewnym momencie zawadziłem łokciem o zwisającą z jej ramienia torebkę, zerknęła na mnie zaniepokojona i wtedy ja się odezwałem: „Spokojnie, przeszedłem resocjalizację”. Nie uśmiechnęła się, za to Tadeusz, słysząc to, wybuchnął śmiechem.

Październik

Wieczorem, po dziewiątej, zadzwonił z Hagi p. Piotr Perczyński. Opowiadał szczegółowo, jak wyglądał ten „dzień Hena” na slawistyce w Amsterdamie. Było osób więcej niż zaproszono. On sam omawiał moją twórczość pół godziny. I pomyślałem sobie, że taki dzień poświęcony autorowi lepiej wypada pod jego nieobecność, jest wtedy kimś, komu poświęca się czas — nie z obowiązku, ale dlatego, że jest wart, by się nim zająć. Nieobecny, staje się kimś mitycznym. Więc i z tego punktu widzenia lepiej, że nie pojechałem. Siedziałbym w pierwszym rzędzie albo na podium, za stołem, skurczony, zakatarzony.

Moje przesłanie do obecnych, kilkanaście zdań przekazanych kilka dni wcześniej, z wyrazami żalu, że nie mogę być obecny, odczytane po polsku i po niderlandzku, podobno wzruszyło uczestników. Były w nim dwie wzmianki, które Holendrów mogły szczególnie zainteresować: „Tak się złożyło, że mój książkowy debiut wstępem opatrzył znakomity pisarz Ksawery Pruszyński, wówczas ambasador Polski w Hadze”; i druga: powołanie się na wiecznego homo ludens, „o czym pisał wielki historyk holenderski Johan Huizinga”.

W Iskrach odbieram pierwsze egzemplarze tomu wywiadów *Wiem, co mówię*. Pięknie wydane! Siedzimy z p. Antkiem Szperlichem i weryfikujemy listę gości: kogo zaprasza się listownie, kogo pocztą mailową. I kogo — najważniejsze — lepiej nie zapraszać.

Potem taksówką do Konstancina, do Różewicza. Jestem u niego o pierwszej, mamy dla siebie godzinę. O drugiej przyniosą mu obiad — jada samotnie, wszyscy myślą, że przez niechęć do towarzystwa, nawet mówiono o wyniosłości, a okazuje się, że jest odwrotnie, ma czasem trudności z łykaniem i nie chce nikogo narażać na taki widok. Jak zwykle skaczemy z tematu na temat. Pijemy małymi dawkami ochłodzonego na balkonie bolsa. Bo jutro jego urodziny (a tak się fatalnie złożyło, że to rocznica śmierci jego Janka), równo za miesiąc moja dziewięćdziesiątka. Trochę dwaj starcy mówią, oczywiście, i o różnych dolegliwościach, ale nie za dużo, jesteśmy w tym umiarkowani. Tadeusz pyta, czy myślałem, co zrobić z książkami. Na jego bibliotekę czyha (zdaje się) uniwersytet. Ale nie chce się jeszcze z książkami rozstawać — póki żyje, chce sobie na nie popatrywać. Ja mówię, że mam dzieci, wnuki, gromadkę czytających, chociaż pewne zebrane przez mnie książki nie muszą ich interesować.

Wychodzę na obiad. „Wrócić po obiedzie?” — pytam. Nie, niekoniecznie, po obiedzie on zechce się położyć.

Jeszcze jeden wczorajszy telefon chcę odnotować. Jest po dziewiątej wieczorem, kiedy dzwoni Krystyna Kolińska. „Nie za późno? — Nie”. Musi mi coś powiedzieć: dostała w Iskrach tom moich wywiadów *Wiem, co mówię*, i nic już nie robiła, nie pisała, tylko czytała. Teraz skończyła. Więc to naprawdę może być dla kogoś interesujące? „Sprawiłaś mi wielką przyjemność. Jesteś pierwszą osobą spoza redakcji, która to czytała”. Mówi, że w pewnych sprawach różnimy się poglądami, ale „ty zawsze jesteś uczciwy, to się rzuca w oczy, nic nie udajesz”.

Jest późno, ale dzwonię do Madzi, żeby jej tę opinię powtórzyć, bo to przecież nasza wspólna książka.

Coś jednak o sprawach publicznych. Pisowcy przeforsowali w Warszawie referendum, żeby utrącić Hannę Gronkiewicz-Waltz i wcisnąć na jej miejsce kogoś swojego (mówiąc najprościej). Premier wzywa, żeby nie brać w tym udziału, siedzieć w domu, to wtedy wynik referendum będzie nieważny. Propagandyści pisowscy, a także przeróżni „pożyteczni idioci” wykrzykują, że premier jest przeciw demokracji! Udają, że nie wiedzą (albo naprawdę nie wiedzą), że referendum to nie są wybory, powstrzymanie się od uczestnictwa jest także głosowaniem. Za stołem przedstawiciele partii opozycyjnych. Jest przedstawiciel partii Palikota, jest Ikonowicz, Kinga Dunin. (W imię „demokracji” torują drogę do władzy wrogom demokracji). Postępują jak parlamentarzyści w weimarskich Niemczech, którzy w styczniu 1933 roku w „imię demokracji” oddali kanclerstwo Hitlerowi. O demokracji, o głosowaniu wykrzykuje Ryszard Kalisz. Zgłupiał? I to ja, literat, spoza politycznej branży, mam uczyć tego starego wygę poczucia rzeczywistości?

Okazuje się, że to nie pewni księża wykorzystują dzieci do swoich zachcianek seksualnych, nie oni je molestują, ale że to d z i e c i g w a ł c ą k s i ę ż y. Tak przynajmniej wczoraj przed południem stwierdził na konferencji abp Michalik. A robią to te dzieci dlatego, że rodzice się rozwodzą, dzieci szukają miłości i „lgną do księży", wciągając ich w te niewłaściwe zachowania. (Nie pada słowo „pedofilia"). Zręczny arcybiskup mógł być zadowolony, że przy okazji zaatakował rozwody.

Zrobiła się burza. Aha, więc to dzieci deprawują niewinne duszyczki dorosłych księży?! Arcybiskup zwołał drugą konferencję, podczas której powiedział, że to było nieporozumienie, wyrzekł też słowo „przepraszam". Siedzący obok rzecznik episkopatu mówił, że to był „lapsus", który czasem się zdarza.

Dzisiaj donoszą, że arcybiskup po tej swojej wypowiedzi i późniejszym „przepraszam" nie spał całą noc. Może sobie powtarzał: „Chryste, alem palnął głupstwo!…". Jeśli tak sobie powiedział, to miłosierny Bóg mu wybaczy.

O północy czytam kolejne *Povídky z jedné kapsy* Karela Čapka. Obcowanie z cudownym, sympatycznym umysłem, z talentem i zrozumieniem dla ludzi i ich słabostek. Wczoraj czytałem *Grofinkę*, opowieść o komtesie Mihaly, która chciała być męczennicą szpiegostwa, wysyłała zaszyfrowane listy do Zurychu pod adres, który nie istniał. A wszystko po to, żeby zaimponować pewnemu bohaterowi walki o wolność. Dostała wszystkiego rok więzienia, bo zbrodnia zdrady się nie dokonała, była tylko zamierzona. Inspektor Polgar dobił ją, bo ujawnił, że ten idealizowany bohater to nie był plukovnik Wiesemann (czy jakoś tam), ale oszust, pan Malek: „Nie warto dla niego siedzieć rok w więzieniu".

Wałęsa awanturuje się (i polskie MSZ go w tym wspiera), że na lotnisku w Heathrow musiał przejść kontrolę j a k w s z y s c y. Dyrekcja lotniska go nie przeprosiła, tylko w odpowiedzi podkreśliła, że kontrola obowiązuje każdego. Wiem o kimś (i czytelnik tego *Dziennika* też wie), kto właśnie na Heathrow nie przeszedł kontroli „jak wszyscy", ale bardziej złagodzoną, i nie był to żaden VIP, żaden eksprezydent, byłem to ja w 2008 roku, kiedy strażniczka, gdy jej powiedziałem, że mam 85 lat i kłopoty ze sznurowaniem trzewików, pozwoliła mi ich nie zdjąć, zawołała skośnookiego kontrolera i ten uklęknął przy mnie, prześwietlił co trzeba i stwierdził autorytatywnie, że nie przemycam bomby.

Wałęsa, gdyby był bardziej dyplomatą, gdyby umiał wyzbyć się pychy, mógł całą tę sytuację obrócić na swoją korzyść: wyrazić zadowolenie, że widzicie państwo, oto ja, Wałęsa, postać historyczna, przechodzę kontrolę jak każdy inny pasażer… Bo to, proszę państwa, jest demokracja!

Osiatyński zadowolony z rozmowy, którą przeprowadził ze mną w TOK FM. Ja z siebie nie za bardzo. Odpowiadałem chyba do rzeczy, ale jąkając się i wahając. Jakbym był onieśmielony, co podczas rozmów radiowych rzadko mi się zdarza. Osiatyński zaczął od tego, że zacytował myśl z *Nie boję się…*, że Polskę czeka anarcho-faszyzm — faszyzm to jest niby ordnung, dyscyplina, ale w wydaniu polskim, zgodnie z sarmacką tradycją, będzie anarchiczny. Wiktor mówił, że niezwykła jest data tej prognozy: 1989, na dzień przed Okrągłym Stołem. Powiedziałem to, co już dawno sformułowałem: „Nie jestem jasnowidzem — ja tylko widzę jasno".

Pytanie o przemijalność. Obaj mieliśmy na myśli to samo: nie przemijalność fizyczną, ale emocjonalną, uczuciową. Przytoczyłem moje marzenie o „zemszczeniu się" na brygadziście w batalionie pracy, który znęcał się nade mną: kiedy ucieknę, napiszę do niego „ty swołocz" i tak

dalej. Uciekłem i nic nie napisałem, już były inne sprawy i inna rzeczywistość, tamto zblakło, przeminęło.

Czy znam ludzi, których traktuję jak autorytety? Tak — to powiedziałem od razu — znam takich, czekam na ich wypowiedzi. Ale postanowiłem nazwisk nie wymieniać, bo większość słuchaczy by się zdziwiła, może nie zna tych nazwisk. Powinienem był dodać (zgodnie z prawdą): „Ty też jesteś dla mnie autorytetem".

Okazało się, że rozmowa nie idzie na żywo, jest nagrywana, nada ją się na początku listopada, „bliżej twoich urodzin".

W piątek podjeżdżają pod mój dom Kołodkowie z Madzią, Zimno, wietrznie, powietrze wilgotne. Przy kierownicy pani Ala. Jedziemy do Filharmonii, oni mają abonament na cztery miejsca w pierwszym rzędzie balkonu.

Program: jakiś utwór japoński, z tonacją i instrumentacją samurajską (o ile znam ją z filmów), ale chwilami mam wrażenie — to już sprawa mojej obsesji po przeżytej wojnie — że odzywa się tam strzelanie do Amerykanów na jakiejś Okinawie. Potem Paganini: Jakub Jakowicz z orkiestrą. Po przerwie będzie V Symfonia Szostakowicza, spotkanie z wielką muzyką.

Podczas przerwy zaproszeni jesteśmy do saloniku obok, pan b. wicepremier przedstawia mnie dyrekcji Filharmonii. Streszczam tym panom przeczytane właśnie opowiadanie Čapka *Historie dirigenta Kaliny.* O tym, jak dyrygent Kalina podsłuchał pewną całkiem niewinną rozmowę, ale z jej zmiennej tonacji wywnioskował, że szykuje się zbrodnia, zawiadomił policję, która naturalnie nie chciała mu wierzyć; i zbrodnia się dokonała. Chwyciło: panowie śmieją się i podziwiają (dyrygenta i Čapka).

Ale mówię też, że słuchając Paganiniego, przypomniałem sobie pewien epizod z mojej bardzo wczesnej młodości (chyba z r. 1950), któremu dałbym tytuł: *Autobus 125*. Autobus 125 szedł na WSM Mokotów, a pętlę początkową miał na pl. Teatralnym, obok ruin Teatru Wielkiego. Było pustawo, czekało się na autobus, siedząc na gruzach przy cokole pomnika Bogusławskiego czy może Moniuszki. Pewnego dnia pojawiła się tam, by oczekiwać na autobus, postawna pani o ujmujących, także inteligencją, rysach twarzy. Wdaliśmy się w rozmowę, nadjechał autobus, a wtedy ta pani: „Czy panu się śpieszy? Pojedziemy następnym". Właściwie to się śpieszyłem, ale cóż, zgoda, najwidoczniej odniosłem sukces. Nazajutrz znowu była. I tak przez kilka dni. O czym rozmawialiśmy? O życiu najprawdopodobniej. O filmach i teatrze. Bo chyba nie o literaturze. Nie musieliśmy się umawiać na specjalną randkę — autobus 125 nas umawiał. Pomyślałem sobie, że nie powiem jej, że jestem dziennikarzem, że wydałem książkę, i to z przedmową Ksawerego Pruszyńskiego, że zamieszczam w moim tygodniku portrety literackie: Shawa, Wellsa, Gorkiego (*Na dnie i wyżej*) — nie, to by było za łatwe. Wiem, interesuję ją, ale na jakie ustępstwa pójdzie? Ile wytrzyma? Postanowiłem zagrać maluczkiego niedouczonego Jasia. „Pani jest taka oczytana — powiedziałem — niech mi pani doradzi, co ja powinienem przeczytać". Wtedy ona powiedziała: „Czytałam ostatnio książkę o Paganinim. Wstrząsająca. Kościół go wyklął — uważano, że tak może grać tylko ktoś związany z szatanem". Podziękowałem. Znałem tę książkę, napisał ją Winogradow, któremu udało się uciec od socrealizmu, autor w Polsce bardzo wtedy szanowany za *Trzy barwy czasu* — powieść o Stendhalu. (I kto go dzisiaj czyta?).

Nazajutrz pani, siedząc obok mnie na gruzach opery, stwierdziła: „Pan jest w wojsku, prawda? — Bo mam zielone spodnie? — Nie. Bo ma pan

zielone skarpetki”. Sherlock Holmes! Zielone spodnie miał wtedy co drugi mężczyzna, zielone skarpetki fasowało się w wojsku. Później, już w autobusie, wciąż mając nadzieję, że nie jestem ostatnim głąbem, ale może na przykład prokuratorem, spytała: „A co pan robi w wojsku? — Jestem w łączności” — skłamałem. (Przepraszam niniejszym oficerów łączności, którzy bywają wybitnie inteligentni).

Nigdy już się więcej nie pokazała, wybrała sobie najwidoczniej jakiś inny autobus. Ale przecież ta kobieta, czytająca, zainteresowana literaturą, filmem, musiała gdzieś na mnie prawdziwego się natknąć. *Kwiecień* w 1961 roku był Książką Roku. Tu i ówdzie zamieszczano moje zdjęcia. I takie jedno zdjęcie mogło trafić do niej. „Przecież to on! Oszust!”. Nigdy się jednak nie odezwała. Była zła na siebie, że dała się nabrać. „Biedaczek, nie wie, co czytać, «może pani coś poradzi»… Oszust!”

Panowie dyrektorzy zaaprobowali moją opowieść. Chociaż z mniejszym entuzjazmem niż *Historie dirigenta Kaliny* Čapka. I mieli rację.

Czytałem w komputerze scenariusz z *Brulionów…*, tu i ówdzie go korygując. Bo poprzedniego dnia oglądałem w kanale „Kultura” spektakl Feliksa Falka o Hannie Arendt i jej związku z Heideggerem (nie lubię jej za ten związek), *Rzecz o banalności zła*. (Nie lubię jej też za tę „banalność zła”). Spektakl świetny tekstowo (izraelska pisarka Librecht), świetnie grany (na przemian Agnieszka Grochowska i Teresa Budzisz-Krzyżanowska, podobnie na przemian Adamczyk i Andrzej Grabowski), sprawnie i inteligentnie wyreżyserowany. Nagrałem się Falkowi na komórkę, żeby mu to powiedzieć. Nazajutrz rano do mnie zadzwonił. Powiedziałem mu m.in., że ten tekst bliski jest temu, co ja o Heideggerze myślę, pokazuje jego podłą rolę do końca. Tylko pełna kompleksów

żydowska dziewczyna mogła go jeszcze uważać za upragnionego mężczyznę.

Jeśli idzie o realizację *Brulionów…*, to Falk uważa, że należałoby spróbować zrobić to jako spektakl telewizyjny. Oby! Myślę, że nikt się nie odważy: w *Brulionach…* Lenin nie jest czerwonym potworem, jest jakiś sympatyczny w swojej bezradności. I zaprzecza temu (zgodnie z prawdą), że „rządzić może kucharka", które to powiedzenie (przedrewolucyjne) prawica w Polsce lubi przypominać — nie przyjmując do wiadomości, że sam Lenin później je wyśmiał. „Potrzeba nam speców!" — takie było po rewolucji jego hasło.

Telefon z Waszyngtonu. Dzwoni córka Janusza Beera, Kasia: ojciec zmarł. Straciłem przyjaciela. Chociaż na odległość, ale wyczuwałem jego obecność, zaangażowanie. Ostatnio obcował z moją prozą, słuchając nagrań: *Nowolipie*, *Pingpongista*, *Najpiękniejsze lata.* On sam przysyłał mi książki, o których sądził, że powinienem je przeczytać, m.in. *Benjamina Franklina* Isaacsona, na którą powołuje się Jeff w *Brulionach…* Chyba właśnie umierał, kiedy byłem na poczcie, by wysłać mu tom wywiadów — z piękną dedykacją. Teraz ta książka będzie osierocona.

Madzia myśli, że moje wysokie ciśnienie spowodowane jest wiadomością o śmierci Beera. Ale ja odczuwam to inaczej: jako smutek, „cios osobisty" — i to powiedziałem p. Kasi.

Dzisiaj rano przesłałem mailem list do wdowy po Januszu, p. Zofii — tłumacząc, dlaczego nie jestem w stanie napisać teraz wspomnienia o Nim. Prosiłem o cierpliwość i wybaczenie. Nie wiem, czy mi wybaczą.

Pracowaliśmy z Madzią nad jej wywiadem, który ma ze mną przeprowadzić dla „Przeglądu”, ona przy komputerze, ja w fotelu. Będzie tytuł: WYTŁUMACZ SIĘ, TATO! (Dobrze przyjęty przez Uchańskiego). Jest kilka zuchwałych (jak na dzisiaj) oświadczeń: „Nie jestem fanatykiem wolności słowa. Co nie znaczy, że jestem za cenzurą. Nie chcę tylko, by wolność słowa służyła wrogom wolności słowa”. I dalej: „Nie jestem fanatykiem demokracji. Jestem fanatykiem trzeźwej oceny rzeczywistości”.

Dziś rano zmarł Tadeusz Mazowiecki.

Kilka dni temu Iskry wysłały mu zaproszenie na spotkanie ze mną z okazji wydania tomu wywiadów.

Zastępcę, tę powieść, którą zamierzyłem, miał otwierać rozdział, w którym bohater odwiedza swojego przyjaciela premiera. Opowiedziałem o tym Mazowieckiemu, kiedy byłem u niego w styczniu. Potraktował to pobłażliwie, z tym swoim sympatycznym półuśmiechem, który znalazł się potem w jednej z notatek do powieści.

Listopad

Zapisać — nie zapisać? I ile? Przychodzi wysoka, urodziwa, uśmiechnięta dziennikarka, ma przeprowadzić ze mną rozmowę dla miesięcznika „Słowo Żydowskie”. Małgorzata Jurgielewicz. Dobrze przygotowana, zna moje książki autobiograficzne, zna *Crimen*, z *Nikt nie woła* przeczytała na razie posłowie, ale to, co zrobiło na niej największe wrażenie, mówi, to opowiadania z tomu *Szóste, najmłodsze*. Zauważa, że stale powracający motyw to spotkanie narratora, zwycięzcy, z pokonanymi Niemcami. Na przykład *Konie*, starcie oficera polskiego z dziesięcioletnim chłopcem — skąd to się wzięło? Prawdziwe? Przypominam — jak bardzo pragnęliśmy się mścić — okazało się, że to nie takie łatwe. Opowiadam jej,

jak w krótkim dialogu, u bramy „zdobytej” fabryki pończoch ze sztucznego jedwabiu, upokorzyłem pewną Niemkę, ciemnowłosą, atrakcyjną, że żadnego „Schlafen” nie będzie, bo kiedy ona powiedziała, że to nie ma znaczenia, że jestem „Jude”, ona nie jest rasistką, ale ja nim jestem, odpaliłem — i to była moja rekompensata, moja zemsta. Pani Gosia śmieje się, aprobuje taką rekompensatę. Ale mnie, powiadam, już wkrótce się z powodu tej „zemsty” zrobiło przykro. I dlatego zapamiętałem ten epizod, każde wypowiedziane słowo. I jakoś się tego wstydzę.

Rozmawiamy z ogromnym ożywieniem. To, że wyróżniła właśnie *Mordercę* — jako opowiadanie o miłości, o urzeczeniu — świadczy o jej wrażliwości czytelniczej.

Piękno kobiece. Zwracam uwagę na wrażliwość na piękno kobiece autorów biblijnego Pięcioksięgu. Ktoś to przecież tysiące lat temu pisał, jacyś panowie. Jeszcze przed erotyką Księgi Ruth, przed kronikami królewskimi. Aniołowie, piszą autorzy, pojawiali się na naszym padole, by żenić się z ziemiankami, tak piękne im się wydawały. A Jakub — ten to dopiero się kochał! Czternaście lat tyrał u tego oszusta Labana, swojego wuja, żeby doczekać się w końcu obiecanej Racheli. Czy była to ta sama Rachela, która go urzekła czternaście lat wcześniej? Urodziła mu jednak dwóch synów, tego starszego, pięknego Józefa, zazdrośni bracia sprzedali w niewolę wędrującej karawanie. I tak się zaczął *Józef w Egipcie*. Od opętanej żądzą żony Putyfara, jego dobroczyńcy. Odrzucona, postąpiła tak, jak się zdarza wzgardzonym kobietom i dzisiaj: oskarżyła go o gwałt.

Na odchodnym pani Gosia dostaje *Milczące między nami* i *Nie boję się bezsennych nocy.* (Ona ma tylko pierwszy tom). „Mama się ucieszy” — powiedziała z satysfakcją.

O wpół do dwunastej w Czytelniku z Wiesławem Uchańskim. Omawiamy z grubsza program spotkania w Klubie Księgarza. Będę czytał opowiadanie *Bicie po twarzy*. Wiesław ma dla mnie *Stommowisko* Ludwika i *Tuwima* Mariusza Urbanka. Mówię Wiesławowi to, o czym myślałem dziś w nocy: że ja, kiedy Tuwim pił ze mną kawę u literatów, rozmawiał, coś mi opowiadał, miałem świadomość, że ta moja obecność przy nim, przy jego żonie, to jest osiągnięcie życiowe, coś, o czym jako chłopiec nawet nie marzyłem.

Opowiedziałem Wiesławowi, że kiedy prowadziłem w „Żołnierzu Polskim" „Rozmówki literackie", nadszedł list od pewnego czytelnika z Łodzi (pamiętam nazwisko) atakujący Tuwima jako poetę „mieszczańskiego". Odmówiłem zamieszczenia tego listu w moich „Rozmówkach" („po co martwić starego poetę?" — ten „stary poeta" miał wtedy pięćdziesiąt kilka lat), niepotrzebnie tylko opowiedziałem o tym liście Tuwimowi — pamiętam, byliśmy w sklepie spożywczym na Nowym Świecie, w pobliżu jego mieszkania — od razu przyjął postawę obronną, niech pan napisze — powiedział, gotów się zgodzić z opinią oskarżyciela — że trzeba te wiersze brać historycznie. Ten młody człowiek, dziennikarz (jak się okazało), w kilkanaście lat później, kiedy się zaczęła kampania „antysyjonistyczna", objawił się jako moczarowiec. „Jednak — mówię — w tym ataku na Tuwima pod spodem był impuls antysemicki". Na to Wiesław: „Nie pod spodem — całkiem na wierzchu".

Konwicki już po obiedzie, odrywa się od swojego stolika i raźnie do nas podchodzi. „Źle się czuję — mówi. — Ja dogorywam". Chyba lubi tak pogadywać. Nagle: „Muszę Józka ucałować" — i całuje mnie w skroń.

Nika w Warszawie! Postanowiła wstąpić do nas, lecąc z Krety do Stanów, do swojej córki Anastazji, a potem do Ekwadoru, gdzie wykłada

teraz Yannis. (Chciałoby się wtrącić: Co za trasa! Jaki inny świat!). Nika tak to sobie zorganizowała, żeby być 8 listopada na moich urodzinach w Klubie Księgarza. Nazajutrz odleci. Madzia odebrała ją wczesnym rankiem z lotniska w Modlinie. Nika w spodniach, jakby trochę niższa, ruchy energiczne. Nazajutrz na obiedzie w Czytelniku. Jest nieoczekiwanie tłoczno, co nawet Nice się podoba, zachwycona kapuśniakiem (jak większość stęsknionych emigrantów).

8 listopada 2013, piątek, nad ranem.

Więc skończyłem dziś 90 lat. Jak to się stało, jak do tego doszło — doprawdy nie zauważyłem. 90 (słownie: dziewięćdziesiąt) — to tylko nieubłagana matematyka. I osłabienie nóg, ból mięśni nad ranem. (Lucjan Wolanowski mawiał, że jeśli wiekowego osobnika nad ranem nic nie boli, to znaczy, że nie żyje).

Czeka mnie dziś uroczystość w Klubie Księgarza — uciążliwa, nie ma wątpliwości, znam życie (90 lat czegoś jednak nauczyło). Życzenia, listy, kwiaty. Na szczęście bez tortu i świeczek. Umówiliśmy się z Uchańskim, że pretekstem będzie promocja *Wiem, co mówię*.

Świetna by to była uroczystość, gdyby wstał jakiś wydawca i ogłosił: „Wznawiamy serię książek jubilata!”. Ale właśnie tego nie będzie.

Mam to już za sobą. Popołudnie, w którym miano uczcić 90-lecie. Odbyło się dokładnie tak, jak przewidywałem — co to znaczy jednak doświadczenie, sceptyczny dystans, nierobienie sobie złudzeń. Niektórzy powiadają: trzeba podtrzymywać w sobie złudzenia. Nie dostaniesz nagrody, jeśli nie będziesz się upierał przy niej, jeśli powiesz dumnie, że ci niepotrzebna — uwierzą ci.

Było tłoczno. Przyszli ci, o których wiedziałem, że przyjdą. Jacek Bocheński, Bardijewscy, Drewnowscy, Koftowie, Kulmowie. Był Krzysztof Zarzecki, Janusz Drzewucki, Barbara Wachowicz, aktorki: Grażyna Barszczewska, Sławka Łozińska, Marysia Ciesielska. Nie przyszli ci, o których wiedziałem, że nie przyjdą. I nie było tego wydawcy, który miał wiadomo co krzyknąć.

Czytałem opowiadanie *Bicie po twarzy*, czyli to, które znalazło się w zaszczytnej holenderskiej antologii dwunastu autorów (z Márquezem, Singerem, Cortázarem, Bablem, Kawabatą, Pirandellem). Zdaje się, że odbiór był bardzo żywy. Wieczorem dzwoniła Marysia Ciesielska z wyrazami uznania za czytanie. No proszę, zmarnowałem się. Dzwonił Jacek Bocheński: „Nie spodziewałem się, że na taki temat można napisać coś tak poważnego". Ale ktoś inny, do którego ja dzwoniłem, dziękując, że się pojawił, narzekał: „Spodziewałem się czegoś mocniejszego". „Publiczność spodziewała się czegoś zanudzającego i była wdzięczna, że wciągnęła ją akcja".

Wyjazd do Katowic, na spotkania i jubel. Prezydent, p. Uszok, przysyła samochód. Ale wcześniej, z samego rana, pojawia się urzędnik od prezydenta Komorowskiego z kwiatami i bilecikiem. Dedykuję parze prezydenckiej *Nikt nie woła*. Skoro go nazywają „Komoruskim", to przynajmniej dowie się (jeśli przeczyta), jak tam u „ruskich" na dole bywało, jacy są.

Postaram się ten katowicki maraton jakoś uporządkować, choćby fragmentarycznie.

Zajechaliśmy do Wyższej Szkoły Technicznej. Nazwa wprowadza w błąd, studenci zajmują się głównie sztuką stosowaną. Po lekkim obiedzie jedziemy do domu kultury Koszutka, w którym już nieraz bywałem. Czeka

na nas Dorota, prowadzi do sekretariatu, tam znajoma pani w okularach — ach, to Beata Netz! — uściski i pocałunki; Felek pozdrawia ze szpitala, jest po operacji — jest i redaktor Maciej Szczawiński, przed laty przeprowadzał ze mną rozmowę w radiu, teraz on i Beata będą prowadzili spotkanie. Niespodzianka: duży bukiet od senatora Kutza, wręcza kierowniczka jego biura, on sam jest w Warszawie. No i jakieś błyskawiczne wywiady — dla radia, dla miejscowej telewizji. Stale trzeba być „na poziomie”. Rozmowa z prowadzącymi przerywana jest odczytywaniem fragmentów przez aktora i grą pianisty, oczywiście z uwzględnieniem ballady Komedy z *Prawa i pięści*. Były pytania o współpracę z filmem — co dla mnie ważniejsze, itepe. Już p. Szczawiński zamykał spotkanie, kiedy spytałem, czy mogę coś przeczytać. Naturalnie. Przeczytałem początkowe strony opowiadania *Szóste, najmłodsze.*

Z Jurkiem Woźniakiem i Dorotą do restauracji Patio Park. My z Madzią pijemy po koniaku, oni nie mogą — prowadzą samochody.

Nazajutrz przed południem na uniwersytecie, spotkanie ze studentami polonistyki, poprosił o nie profesor Marian Kisiel. Prowadzić je będzie wykładowca o bardzo literackim nazwisku: Uniłowski (Krzysztof). Trochę sobie gawędzimy, nawet plotkujemy, a potem na spotkanie ze studentami. Jest ich w niewielkiej sali ok. 40. Wydaje się, że nic mojego nie czytali, nazwisko obiło im się tylko o uszy. A może się mylę, może byli onieśmieleni. Pan Uniłowski za podstawę rozmowy przyjął tom opowiadań, co mi się spodobało. Zwrócił uwagę (podobnie jak niedawno dziennikarka Gosia) na dość często występujący problem stosunku do pokonanych Niemców. Na przykład opowiadanie *Konie* (znowu!).

Przyjeżdża po nas Dorota i zabiera do Patio Park. Tym razem nie pijemy, czeka mnie przecież to główne spotkanie.

Opowieść o dziewczynie, która niedawno odkryła, że ma korzenie żydowskie i że rodzina jej matki (a więc babcia i dziadek) zginęła w Auschwitz. To powoduje, że patrzy teraz inaczej na wiele spraw. Cieszy się, że nigdy nie miała obłędu antysemickiego, nie musi sobie nic wyrzucać.

Jedziemy do nowej, wspaniałej Biblioteki Śląskiej. U wejścia, na schodach górnicza orkiestra dęta. Czy to na pewno dla mnie? W holu gabloty z moimi książkami, jest *Kijów…* z 1947 roku z maszerującym okwieconym żołnierzem — to mam być ja, według zabawnej okładki Jurka Karolaka. Najpierw filmowy wywiad dla TVP Katowice, rozmowę przeprowadza miła, inteligentna dziewczyna, Anna Durczok — nazwisko znane, no tak, żona Kamila Durczoka, redaktora naczelnego Faktów w TVN. Komplementuję jej męża za to, że nieraz daje otwarcie wyraz swoim poglądom. „To chyba niedobrze” — mówi pani. „Nie, bardzo dobrze — na to ja — to jest czas, kiedy widz powinien wiedzieć, co dziennikarz potępia, co budzi w nim obrzydzenie”.

Na spotkanie w bibliotece wstęp wyłącznie za zaproszeniami. Sala pełna. Przepytują mnie dwie panie: Marta Fox i Maja Zawała. Nie obywa się, rzecz jasna, bez przemówień, powitań, podziękowań dla sponsorów, Dorota odczytuje skład komitetu honorowego. Głos zabiera prezydent Katowic, p. Uszok. Kolejka z książkami do podpisywania. Dorota apelowała do znajomych, żeby nie przynosili kwiatów — bo co ja z nimi będę robił — tylko jakieś butelczyny. No i coraz więcej przy moim stoliku tych butelczyn, bierze je pod opiekę współpracownica Doroty.

Oni tam bankietują, a ja, jak zwykle, podpisuję. Jurek Woźniak zawozi nas znowu do Patio Park. (Sprawdził się). Pozwoliłem sobie na kieliszek hennessy. (Też się sprawdził).

Nazajutrz, po śniadaniu w barze uczelni, wśród głośnej, roześmianej studenterii (tylko jedna dziewczyna usiadła oddzielnie, skupiona, coś pilnie notuje). Przyjeżdża zmęczona, ale chyba usatysfakcjonowana Dorota, żeby się pożegnać. Kierowca samochodu p. prezydenta zręcznie przenosi butelki do bagażnika. Kwiaty recepcjoniści rozdzielą między pracowników hotelu.

Telefon od Urszuli Kozioł z „Odry”. Chcieliby dać coś mojego w styczniu, żeby w ten sposób odnotować moje urodziny. Ale ja nic nie mam, mógłbym tylko może przygotować fragmenty mojego dziennika. Świetnie, kilkanaście stron. Numer zamykają 9 grudnia.

Czeka mnie wytężona robota.

Nazajutrz mail od pani Urszuli, że z powodu zbliżających się świąt numer zamykają 4 grudnia. „Nie dam rady” — odpowiadam. Proponuję przesunąć druk do lutowego numeru. Nie, odpisuje nazajutrz p. Urszula. Wszystko można przełożyć, odsunąć, ale oni to chcą mieć w styczniowym numerze, blisko moich urodzin. „Postaram się” — odpowiadam.

Zaczyna się przeglądanie raz jeszcze notatek z 2008 roku. Odkrywam na nowo pewne myśli i wydarzenia przeznaczone do tego *Dziennika*. Tytuł? Powiedzmy: *Dziennika ciąg dalszy*.

Dzwoni p. Remigiusz Grzela, który poprowadzi moje następne „rocznicowe” spotkanie, tym razem w Teatrze Żydowskim, z inicjatywy Fundacji Szalom, prowadzonej przez Gołdę Tencer. Wybrał jakieś znaczące według niego fragmenty mojej prozy, czytać je będzie Janusz Gajos. Czy przy takim wielkim aktorze wypada, żebym i ja coś przeczytał? Tak, można. No to przyniosę *Szóste, najmłodsze*. Pan Grzela mówi, że czyta wywiady z ogromnym zajęciem (wyraził to nawet mocniej). To niespodzianka. Co ja takiego, do licha, mówiłem?…

Niedziela. Taksówką do teatru. Obok poczekalni, przy stoliku są już Gajosowie i Gołda Tencer. I pan Grzela, wysoki, sympatycznie uśmiechnięty. Wpada Stefan Friedmann — docierało do mnie, że jest moim (jak się dziś mówi) „fanem", ale nie myślałem, że aż tak serio. Nie będzie na spotkaniu, bo ma własną imprezę, ale wpadł, żeby dać mi prezencik (małą whisky) z załączoną od siebie karteczką. Ale najważniejsze dla mnie jest to, co mówi o *Pingpongiście.* Mógłby być mądry, przejmujący film. Do Gajosa: „Musisz to przeczytać!". Świetna jest ta prostytutka — jedyna taka w literaturze. Inspirowana, mówię, przez prawdziwą osobę, która przysiadła się do mnie przy barku w Jelitkowie. Opowiadam o niej (co zresztą jest w *Dzienniku na nowy wiek*) — i że do niczego między nami nie doszło. I dodaję, śmiejąc się: „Żałuję".

Zbliża się do naszego stolika wysoka, ciemnowłosa dziewczyna — rozpoznaję: „Pani Gosia!". Tak, ona, i wskazuje na młodą, jasnowłosą, promiennie uśmiechniętą kobietę: „Moja mama". (Pamiętam, jak mówiła, że książki ucieszą mamę). Mówię szczerze: „Wyglądacie jak siostry". Córka: „To chyba źle dla mnie? — Nie, to dobre dla mamy". Muszą biec, bo mają pilnie coś do załatwienia. Wstąpiły, żeby mnie złapać i dać mi elegancko wydany numer „Słowa Żydowskiego". Okładką jest moje zdjęcie, pod nim podpis, który informuje nieuświadomionych: DUMA POLSKIEJ LITERATURY. No, no! Pojawia się Maja, zabiera to, co „duma polskiej literatury" jej przyniósł. (Informuję między nami, proszę tego nie rozpowszechniać: koniak „Książę Józef Poniatowski").

Pan Grzela wprowadza mnie na salę. Podobno wypełniona po brzegi. Kto jest obecny, nie wiem, nikogo nie widzę, jestem oślepiony. Początkowo trochę się zająkuję, pan Grzela zaskakuje mnie kłopotliwym pytaniem, ale później, kiedy sala reaguje na odpowiedź wybuchem śmiechu i oklaskami,

wszystko już jest w normie. (Wydaje się, że obecni dlatego tak dobrze reagują, bo przyszli po to, żeby uczestniczyć w czymś, w czym uczestniczyć chcieli, bez przymusu, chcą, by im się podobało, to z reguły ułatwia jubilatowi zadanie). Pan Grzela proponuje Gajosowi przeczytanie z *Nie boję się bezsennych nocy* opowieści o tym, jak na klatce schodowej chłopcy mnie zapytali: „Czy pan jest Stanisław Lem?”. Fragment, z podtekstem swoiście „filozoficznym”, rozbawił publiczność. Pan Grzela mówi, że przez zapiski „przebija się problem niedocenienia”. Mówię: „Ale ja siebie nie przeceniam. Wiem, jak bardzo można się mylić w ocenie własnych utworów”. Dodaję coś o czytelnikach, o ludziach na tej sali, „którzy przekonują mnie, że pisarstwo ma sens”. Pan Grzela, przekonany, że świadomość, kim się jest, to był długi proces, pyta: „Kiedy pan poczuł, że jest pan pisarzem? — Kiedy miałem dziesięć lat”. Sala w śmiech — rozumieją zaskoczenie prowadzącego, wiedzą, że to nie było umówione.

Pan Grzela mówi o kalendarium załączonym do wywiadów, że jest to coś w rodzaju autobiografii, cytuje notkę z 1944 roku, że poznałem w Lublinie Leca, Ważyka, Przybosia, Minkiewicza, i podaje konstatację: „Upadek Żeromskiego”. Co to znaczy? „Przeczytałem *Dzieje grzechu*. To była dla mnie przerażająca grafomania. (Szmer na sali). Nie w treści, ale w sposobie pisania, w słownictwie”. Tłumaczę, że to następstwo tego, co przeżyłem podczas wojny. „Pamięta pan, jak się zaczyna *Nikt nie woła*? — «Napluję im wszystkim w twarz. — Komu? — pyta mój kompan. — Wszystkim, którzy tak pięknie gadają»”. Pan Grzela o *Nikt nie woła*, o tej książce, której krytycy nie znali „i właściwie nie mogli wiedzieć, co pan reprezentuje”. Opowiadam o konkursie na powieść Wyd. Łódzkiego, w którym recenzent już na wstępie utrącił *Nikt nie woła*, tak że jurorzy nawet nie mogli książki rozpatrzyć. A po rozstrzygnięciu konkursu, kiedy ujawniono kryptonimy, naczelny Wyd. Łódzkiego, Leon Gomolicki, spotkał

się ze mną i powiedział z westchnieniem: „To piękna książka. Ale pewien warszawski krytyk, wzięty, utrącił ją”. Nie chciał powiedzieć kto.

Pan Grzela przypomina z tomu *Boso* epizod, kiedy Bożek nie chce się pomodlić o sukces, o to, by komisja wojskowa u Andersa zaakceptowała go. Czy to wymyślone? „W tej powieści nie ma ani jednego epizodu wymyślonego”.

Co do „pięknego gadania” to uzupełniłem, że to nie znaczy, że proza nie powinna mieć jakiejś urody, która satysfakcjonowałaby czytelnika. „Jak to osiągnąć? — pyta pan Grzela. — Powiem panu coś na ucho: potrzebny jest talent”. Sala dosłyszała to, co powiedziane na ucho, i wybucha oklaskami.

Przeczytałem początkowy fragment opowiadania *Szóste, najmłodsze*. W pewnej chwili zerknąłem na mistrza Gajosa: siedział zasłuchany. Sam przeczytał jeszcze dwa fragmenty, w tym jeden zapowiadający pisanie *Nowolipia*, który p. Grzela określił jako „proustowski”, bo trochę jak wrażenia z wakacji w tomie *W cieniu zakwitających dziewcząt*.

P. Grzela poprosił, żebym opowiedział, jak to się stało, że byłem przez kilkanaście minut tłumaczem Chruszczowa. Najwyraźniej chce wydobyć smakowite kawałki, żeby bawić publiczność. Udało się. Pod koniec zapytał: „Czy jest pan szczęśliwy?”. Odpowiedziałem: „Jestem szczęściarzem”. To naprawdę „skrót myślowy”, komentarz do wielu wydarzeń i przypadków. I to słowo zamknęło spotkanie.

Potem długa, cierpliwa kolejka do podpisu. Gdzieś u jej końca pojawił się p. Jan Krzyżewski, którego dziadkowie i stryjowie mieszkali na Nowolipiu 53, na czwartym piętrze, przyszedł z żoną, miał ze sobą dwa wydania *Nowolipia*, które czyta ze wzruszeniem, bo jest tam mowa o jego babci, o tym, jak w oblężonej, głodnej Warszawie przyniosła nam pół bochenka chleba. I była pewna pani, która pochwaliła się, że jest o trzy lata starsza ode mnie, była na moim 85-leciu, teraz przyniosła butelkę

litewskiego krupniku („bo ja jestem wilnianka”), z doczepioną kartką: „Z miłością do Twórcy i Osoby — Stanisława Rybczyńska”.

Maja podczas podpisywania siedziała obok i pilnowała, żebym się skracał, bo nigdy stąd nie wyjdziemy, a ona jest bez obiadu. Pojechaliśmy z Mają wprost do Mołdawskiej.

Grudzień

Zajmują się mną, powiedziałem komuś, bo skończyłem 90 lat. Gdybym kogoś zabił, zainteresowanie byłoby bardziej powszechne.

Na piątą do Zaiksu, na posiedzenie Rady Stowarzyszenia. Telefon z kancelarii: czy chcę, żeby po mnie przyjechał kierowca. To by było świetnie — odpowiadam.

Na zebraniu puchy — quorum wątpliwe. Prezes Fogler zawiadamia: „Mamy tu najpierw taki miły punkt”. To ja jestem tym „punktem”. Podchodzi do mnie prezes i Jacek Bocheński, gratulują wiekowości, dostaję kwiaty i pismo, że „z prawdziwym wzruszeniem”. Ten „miły punkt”, jestem tego pewny, zostanie uwzględniony w protokole zebrania.

Udaje mi się nadać *Dziennika ciąg dalszy* do sekretariatu „Odry”. Dotarło. Miałem szczęście, bo w kwadrans później odmówiła działania moja poczta mailowa.

Dzwonię do „Odry”, żeby zawiadomić ich o tym. Urszula Kozioł: „Odrywasz mnie pan od pasjonującej lektury. Mam jeszcze siedem stron”. Gdzieś po drugiej telefon od pani Urszuli z komplementami. „Sam cymes” — mówi w końcu. („Cymes” pochodzi od słowa „Zimt” — cynamon). Ulga.

O piątej miała przyjść Ewa zająć się komputerem. Spóźniła się o 7 minut — i przepraszała! Nie wiem, czy to jej charakter (po kim? po mnie?), czy

wpływ dyscypliny w Dartmouth: obowiązuje punktualność.

List od czytelnika, który podnosi na duchu. To student Akademii Medycznej w Szczecinie (Marek K.), kupił *Nikt nie woła*, jest pod wrażeniem, kupił jeszcze kilka egzemplarzy, na prezenty, „dla domowników lektura obowiązkowa”, przeczytał *Dziennik na nowy wiek*, *Pingpongistę*. Załączył zaadresowaną do siebie kopertę ze znaczkiem, a w niej dwa moje zdjęcia, żebym je podpisał, jedno doda komuś do książki, drugie to pamiątka dla niego. Teraz ja jestem pod wrażeniem.

Wczoraj wieczorem — *Pokłosie* Pasikowskiego. Tata Ewy dzisiaj, w niedzielę, podczas obiadu u Madzi, powiedział, że film pokazuje straszliwe zezwierzęcenie tych ludzi. „Ale to prawda — mówię — do tego doszło”. I przypominam, że amerykańskie filmy o nienawiści na Południu (morderstwa i podpalenia) pokazują atakujący tłum podobnie. „Tak, zgadza się” — mówi pan Eryk. Pisowcy ogłosili, że *Pokłosie* to film „antypolski”. Nie, film broni imienia Polski. Bo został nakręcony w Polsce, broni kultury kraju to, że wyprodukowano takie mocne oskarżenie zbrodni.

Pani Ewa van den Bergen-Makała. Dwie godziny rozmowy. Przyszła zwrócić *Oko Dajana*. Zrobiła sobie kopię. Te opowiadania, mówi, brzmią bardzo współcześnie. Kiedy rozmawialiśmy o *Bliźniaku*, zwróciłem uwagę na zachowanie żony bohatera, która, by dowieść „aryjskości” syna, wyznaje ubekom, że nie poczęła go z mężem; ten jej wybieg (osoba i epizod autentyczne) dowodzi, że antysemityzm gomułkowsko-moczarowski był rasistowski; ona o tym wie i chce przed prześladowaniami rasistowskimi uchronić syna.

Pani Ewa chciałaby przetłumaczyć któreś z opowiadań z tomu *Szóste, najmłodsze*, musi być krótkie — może *Wybraniec*? Zdumiona, że nie ma ani

jednego tłumaczenia *Nikt nie woła*. Ona ma nadzieję, że uda jej się namówić Holendrów do wydania *Pingpongisty*. Dałem p. Ewie numer „Słowa Żydowskiego", z „dumą literatury polskiej" na okładce. Sądzi, że jej się przyda, kiedy będzie o mnie pisała. Wywiad, który ze mną przeprowadziła, ukaże się w holenderskim miesięczniku poświęconym slawistyce jeszcze przed Nowym Rokiem.

W niedzielę, kiedy wracałem od Madzi taksówką, za kierownicą siedziała kobieta. „Pan jest moim klientem? — Tak, ja. — Nazwisko?" Podaję. Zgadza się. Pomagam jej wyprowadzić samochód wewnętrznymi dróżkami z osiedla. Byliśmy już na głównej drodze, kiedy powiedziała: „Dziwne nazwisko". Potem: „Rzadkie". „Nie zna pani tego nazwiska? — Nie". Wcale nie zrobiło mi się przykro — wiem, że jest kilkadziesiąt milionów Polaków, którzy o „Henie" nigdy nie słyszeli. Trochę na ten temat i pani kierowca ze skruchą: „No, to ja już taka jestem, o wielu rzeczach nie wiem". Wymieniam tytuły kilku filmów, ona je oglądała. A kiedy mówię: „A *Życie Kamila Kuranta*?", wykrzykuje: „O, tak!". „*Królewskich snów* pewno pani nie oglądała, bo dawno tego nie wyświetlali. — Oglądałam. Ja jestem stara". Rozmawiamy o książkach, wspominam *Nikt nie woła*. Wydaje się zainteresowana. „Boso", powtarza za mną, i „W butach" — ciekawe. „Czytam teraz — mówi — biografię Anny German". Pokazuje mi książkę, ma ją w samochodzie, często zdarza się pusty czas, można poczytać. Pochwalam wybór: „Ciekawa osobowość". Moja opinia wyraźnie ją cieszy. „Pożycza pani w bibliotece? — Tak. To znaczy moja córka to załatwia… Jak się nazywa ta pana książka?" Potem powtarza powoli, żeby sobie wbić w pamięć: „Nikt — nie — woła". Po chwili: „Zapiszę". Rozstaliśmy się jak przyjaciele.

Znajoma pani, Ukrainka, przemiła, ładna, utalentowana, udzieliła wywiadu, w którym opowiada przedziwne rzeczy. Jest młoda, ktoś jej cudactw naopowiadał — może ktoś z rodziny — i ona to teraz powtarza, pewna, że tak to było. Mówi, że za Sowietów na terenie Ukrainy język ukraiński był zabroniony, w urzędach wszystko musiało być po rosyjsku. Było wręcz odwrotnie! Biedni, rosyjskojęzyczni dygnitarze zmuszali się (zresztą tak jak dzisiaj), by posługiwać się językiem ukraińskim. W *Najpiękniejszych latach* opisuję moją naukę w szkole pedagogicznej w Dąbrowicy na Wołyniu (1940–1941). Przygotowywano nas do nauczycielstwa w szkołach wiejskich — po ukraińsku. Kilku nauczycieli Rosjan — dyrektor Zajcew, historyk, Timofiej Maslennikow, biolog — wykładało z obowiązku, męcząc się, po ukraińsku. Rosjaninem wykładającym po ukraińsku był chyba i fizyk, Polikarp Anisimowicz. Tylko nasza „Ruska” (Rita Siemionowna) nie musiała się męczyć, mogła wykładać w swoim języku. Kiedy podjąłem się, w ramach ćwiczeń dydaktycznych, wykładu o oswajaniu Arktyki, rozumiało się, że będę mówił po ukraińsku (jakoś to poszło), geografica Stepanenko dała mi książkę profesora Wiese, z której miałem korzystać: *Doslidżennia radianskoj Arktyki*.

We Lwowie w urzędach, po wkroczeniu Sowietów, wszystkie informacje były po ukraińsku. Profesorów lwowskich, Polaków, zobowiązano do wykładania po ukraińsku (od kiedy uniwersytet Jana Kazimierza przemianowano na „Iwana Franko”), co się nie udało — nakaz został na papierze, wiadomo było, że nikt z profesorów tego języka nie znał. Wykładali po polsku.

Konstytucyjna zasada poszanowania kultury mniejszości kulturalnych wciąż jeszcze działała — paradoksalnie, bo przecież to był szczyt stalinizmu, czas wywózek, łagrów. Ze zdumieniem zobaczyłem

wychodzącą w Kijowie gazetę polską: „Głos Radziecki”. Wciąż musiało być w Kijowie sporo ludzi, dla których językiem macierzystym był polski.

Przemiła wiadomość: mail od Donaty Subbotko, że dostała dziennikarski „Grand Press” za najlepszy wywiad roku: „Cudowny kraj ta Polska!”. Pani Donata dziękuje. Odpowiadam: „Cudownie! To ważne dla nas obojga. Wzruszyłem się (wyznaję) — do łez”.

Przychodzi Tomek, od wczoraj w Warszawie. Opowiadam mu o nagrodzie dla Subbotko — i o tym, że tak to jest, że ja w moim wywiadzie nie widzę nic nadzwyczajnego — powód jest prosty: mówię o tym, co jest mi znane, siebie nie zaskakuję, także poglądami, natomiast czytelników tak, i to tych najbardziej inteligentnych (tu nazwiska, które przychodzą na myśl). Ja się zachwycam wywiadem Janusza Głowackiego.

Rano, żeby się rozczmuchać, wrócić do życia po późnym przebudzeniu, po lekarstwach, mierzeniu ciśnienia, drugiej herbacie, czytam rozmowę cenionej, doświadczonej dziennikarki, z dobrym nazwiskiem, z psychologiem (znanym mi z „Charakterów”), prof. Wiesławem Łukaszewskim. Dziennikarka przypisuje manipulacjom naszej pamięci o ludziach, że jest to „jak ze słynnym zdjęciem, na którym był Lenin i jego współpracownicy. Kazał ich kolejno mordować i retuszować z fotografii, jakby nigdy nie istnieli”. Mamy tu do czynienia z b. częstą niewiedzą czy też epidemiczną już niechlujnością — coś tam pani redaktor słyszała, żadnych źródeł nie zna i tak sobie palnęła. Przypisała praktykę Stalina Leninowi. Lenin żadnych swoich współpracowników nie zamordował! Co więcej, doprowadził do uchwały, która wykluczała oddawanie pod sąd za sprzeciw polityczny członków komitetu centralnego partii. Dzięki tej uchwale, która w roku 1929 jeszcze funkcjonowała, przeżył Trocki — nie

rozstrzelano go, skazano na banicję. Ale że też nikt tego w redakcji nie sprostował… Ktoś to zakwalifikował — aha, Lenin morderca, potwór — świetnie, mała, w sam raz na święta.

A o konflikcie Gorkiego z Leninem, przed i po rewolucji, pani dziennikarka raczej nie wie.

Wszystko, co czytam, odbieram refleksyjnie, krytycznie, także książki, które powinny mi się podobać, chciałbym, żeby mi się podobały, lubię ich autorów, oni chyba mnie. Ale zdarza się… Czy ja, do cholery, jestem od tego, żeby prostować, zwracać uwagę: to nie tak, pomyliłeś się, palnąłeś byle co.

Lepiej opowiem anegdotę. Jurek Stawiński, u którego Aleksander Ford zamówił scenariusz do *Krzyżaków*, powiedział mi rozbawiony: „Był to najlepszy interes, jaki zrobiłem w życiu. Kosztował mnie cztery złote osiemdziesiąt groszy, tyle musiałem wydać na dwa egzemplarze masowego wydania *Krzyżaków*. No i jeszcze na klej. Wyciąłem sceny i podklejałem je, nic od siebie nie musiałem pisać, Sienkiewicz zrobił wszystko, co trzeba”. Potem, kiedy film przez wiele lat nie schodził z ekranów, „miałem przez szereg lat tysiąc pięćset złotych miesięcznie — tantiemy z biletów”.

To dodam jeszcze coś od siebie. Zawarto umowę z Leonem Kruczkowskim na dialogi do *Krzyżaków*. Żeby i on coś z tego kolegi miał. Był już bardzo chory, kiedy dostał nagrodę Zaiksu za dialogi — Sienkiewiczowskie.

Wigilia u Madzi. Siła tradycji, konwenansu, któremu wszyscy przy tym stole ulegamy, zrobiło się z tego — trochę dzięki wnukom, przepraszam, głównie dzięki wnukom — rodzinne święto, niech i oni mają choinkę, a pod nią prezenty. Udało nam się w ten wieczór spotkać, bo działa

w i d z i a l n a ręka rynku, są taksówki, panowie kierowcy w wigilię pracują, trzeba zarabiać.

Co dać pod choinkę Dziadkowi (to znaczy mnie)? Kłopot. Więc dostałem, mimo zapasu katowickich butelek, dwie nowe whisky. Ewa i Tomek bardzo ożywieni, komentując kolejne prezenty raz po raz wybuchają śmiechem — młodość. Ja referowałem przy stole felieton Krzysztofa Vargi o książce pani premierowej, spodobała się jego uwaga, że zrobiła dla premiera dobrą robotę, bo wzbudziła współczucie i zrozumienie. I że przezorny Jarosław Kaczyński się nie ożenił.

Zmarła pewna poetka, „marcowa" emigrantka, nieznana mi osobiście, która kiedyś, dawno, dawno temu, eksplodowała w paryskiej „Kulturze" niechęcią do mnie. Dlaczego? Co jej we mnie przeszkadzało? Może to, że ja nie emigrowałem, nie dzieliłem jej losu, nie materialnego, bo ten w Danii, gdzie zamieszkała, był zapewne lepszy od mojego, ale losu literatki piszącej po polsku wśród ludzi, którzy nie rozumieją jej języka. I nie miałem jej problemów. Może, gdyby miała talent fabularny?… Drukowano wtedy w „Literaturze" moją *Jokohamę*, Gottesman podzielił ją na odcinki, bo mu się podobała: „Fajna jest ta twoja *Jokohama*". A ta pani, relacjonując, co się publikuje w Polsce, napisała: „W «Literaturze» straszy proza Józefa Hena". Aż tak. Giedroyc puścił to świadomie — „Kultura" pozwala lżyć Hena, to znaczy, że nie on jest publikującym u niego „Korabem". Madzia była wkrótce potem w Paryżu, spotkała się jak zwykle z Giedroyciem i opowiedziała mu pewną anegdotę z Chamforta (jest wzmianka w *Nie boję się…*), która miała przekonać redaktora, że przesadził. Giedroyc przyznał jej słuszność.

Ale co ja mam z tym robić, z tą żałobą po nieszczęsnej literatce? Czy możliwe, że w ciągu tych czterdziestu lat jej stosunek do mnie się nie

zmienił, czy nie sięgnęła — ona, sawantka — po mojego *Montaigne'a*? Po Boya? Czy nie powinny jej były zastanowić notatki z *Nie boję się bezsennych nocy?* Może i nie. Bywają takie twarde, zawzięte kobiety. Wierzące w swoją nieomylność. Nigdy nie powiedzą: „Przepraszam, pomyliłam się".

Musiałem ją czymś urazić. Ale czym? Nie znałem jej. Nie wiedziałem nawet, że ktoś o tym nazwisku pisze wiersze. Może tym?…

Przed Nowym Rokiem — przeglądanie starych notatek. Znalazłem coś, na co tym razem zwróciłem uwagę, czytając (który to już raz?) Prousta. Bo to była niespodzianka.

Verdurinowie pomagali zbankrutowanemu Saniette'owi, dyskretnie, po cichu, żeby nie czuł się upokorzony. A był zawsze celem ich bezlitosnych drwin! Trochę mi to nie wygląda na Verdurinów, za duża wolta, ale Proustowi pewnie idzie o to, że nigdy nie wiemy, co siedzi w człowieku, jakie ma rezerwy. Jak Saint-Simon, którego podziwiał, Proust zniszczywszy kogoś okrutną analizą, pokazuje go nagle z innej strony. Tak więc Verdurin — „Był to człowiek zdolny do cichej bezinteresowności i hojności, co niekoniecznie znaczy człowiek uczuciowy ani sympatyczny, ani skrupulatny, ani prawdomówny, ani zawsze dobry". Przy okazji dowiadujemy się, co niejednego admiratora Prousta może zadziwić, jakie cechy osobowości ludzkiej pisarz opatruje znakiem dodatnim. (Tak i my o człowieku, którego traktowaliśmy z lekceważeniem z powodu jego oportunizmu i tchórzliwości, dowiadujemy się, ku swojemu zdumieniu, że podczas okupacji cechowała go odwaga, udzielał schronienia zagrożonym, bez wahania narażając swoje życie).

Po saint-simonizmie Prousta — jego „montenizm": „…i pojąłem trudność ustalenia obrazu zarówno jakiegoś charakteru, jak społeczeństw

i namiętności. Charakter zmienia się bowiem nie mniej od nich i jeżeli chcemy sfotografować to, co w nim jest niezmienne, ukazuje w zakłopotanej soczewce kolejno rozmaite fizjognomie (z tym jeszcze, że ów przedmiot nigdy nie jest nieruchomy, ale się rusza)".

To niemal plagiat z Montaigne'a, który mówi o tej ruchomości modelu, i to mając na myśli siebie. Z tym, że mówi oczywiście nie o fotografowaniu, lecz o malowaniu — ale stwierdzenie jest to samo. „Świat jest huśtawką" — powtarza.

Co nie znaczy, że muszę się z nimi, z Proustem i Montaigne'em, zgadzać. Obserwowaliśmy nieraz, jak ktoś zmienia poglądy, czasem na całkiem przeciwstawne, ale charakter zostaje ten sam, niezmienny. Rozpoznawalny. Jak był dla inaczej myślących nietolerancyjny, to taki nadal jest. Tyle że z odwrotnym znakiem. To jest zawsze on.

Oglądałem wczoraj — znany mi skądinąd, ale teraz, 90-letni oglądam to inaczej — film Magdy Umer o Jeremim Przyborze. Znowu słyszę jego zwierzenie, że on, inteligent przedwojenny, był entuzjastą socjalizmu, wstąpił do partii w 1947 roku, wystąpił 10 lat później. Ale naprawdę ta wiara w lepszy świat, który zbuduje socjalizm, załamała się w nim nie, jak ktoś mógłby się spodziewać, jak wyznaje np. Karol Modzelewski, w sierpniu 1968, po „braterskiej" inwazji na Czechosłowację — nie, Przybora wymienia wcześniejszą dramatyczną datę: marzec 1968, antysemickie przemówienie Gomułki w Sali Kongresowej, krzyki: „Śmiało! Śmiało!". Nareszcie aparat partyjny demonstruje swoją „polskość", nareszcie mają upragnionego wroga.

Wzburzenie Przybory świadczy pochlebnie o światłych kręgach inteligencji polskiej — o obrzydzeniu dla obsesji antysemickiej, dla prostactwa, faszyzmu („komunistów"), dla wyrachowanego posługiwania

się nim. Entuzjazm czy tylko pogodzenie się w pierwszych latach z socjalizmem wynikał właśnie z tego: ze sprzeciwu i obrzydzenia wobec faszyzacji ostatnich lat przedwojennych, także z nadziei, że teraz będzie inaczej, na gruzach ukształtuje się społeczeństwo światłe. Choćby się samemu przy tym było poszkodowanym — jak Staszek Ostrowski, oficer AK, hrabia, który jakiś pałac przy tym socjalizmie stracił.

Mnie pomagała w postawie alergia na język nienawiści. Kiedy Jeremi Przybora wstępował do partii w nadziei na „socjalizm z ludzkim obliczem” (choć nie ukuto jeszcze takiego pojęcia), ja dosłyszałem ataki przywódców na Titę, zdrajcę i „psa łańcuchowego imperializmu”. Wystarczyło.

Na tym urywam. Wydawnictwo czeka na tekst!
Przyjdą dziś wnuki. Wypijemy za rok 2 0 1 4!
Oby nam się…

Albumik fotografii z archiwum rodzinnego

Jedyne zachowane zdjęcie rodzinne. U góry z lewej Mama (34 lata), Ojciec (37) i kuzynka Sabina, księgowa firmy. U dołu: Stellla, ja, Hipek i Mirka. Michalin, lato 1928. Z ARCHIWUM AUTORA.

Ja jako dziewięcioletni ułan ks. Józefa, 1932. Z ARCHIWUM AUTORA

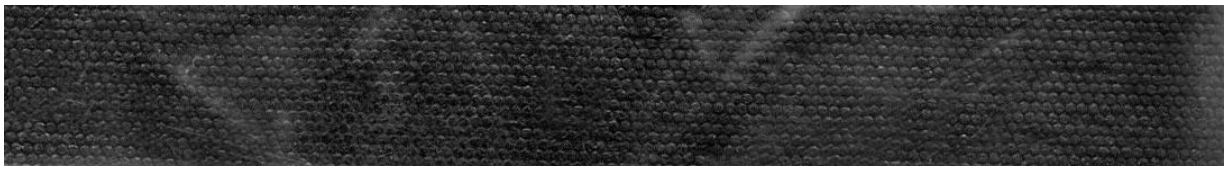

Mój siedemnastoletni brat Hipek. Z ARCHIWUM AUTORA

Ja w Samarkandzie, jesień 1943. Z ARCHIWUM AUTORA

Między Reną i Mamą we Wrocławiu, lato 1948. Z ARCHIWUM AUTORA

W 10 dp II Armii, Jelenia Góra 1945. Z ARCHIWUM AUTORA

Rena jako studentka, Taszkient 1945. Z ARCHIWUM AUTORA

Rena, moja żona, Warszawa 1949. Z ARCHIWUM AUTORA

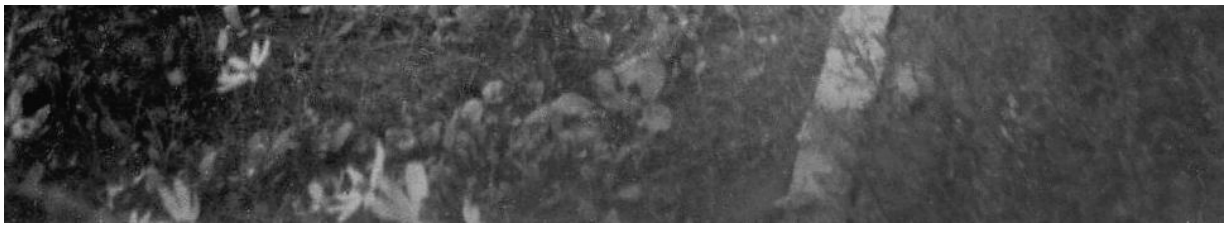

Rena z czteroletnią Madziulką w ogródku na Wiktorskiej. FOT. J. HEN

Z mistrzem olimpijskim Emilem Zátopkiem, Warszawa, 1949. Z ARCHIWUM AUTORA

Rena przed mistrzowskim gobelinem własnej roboty. FOT. J. HEN

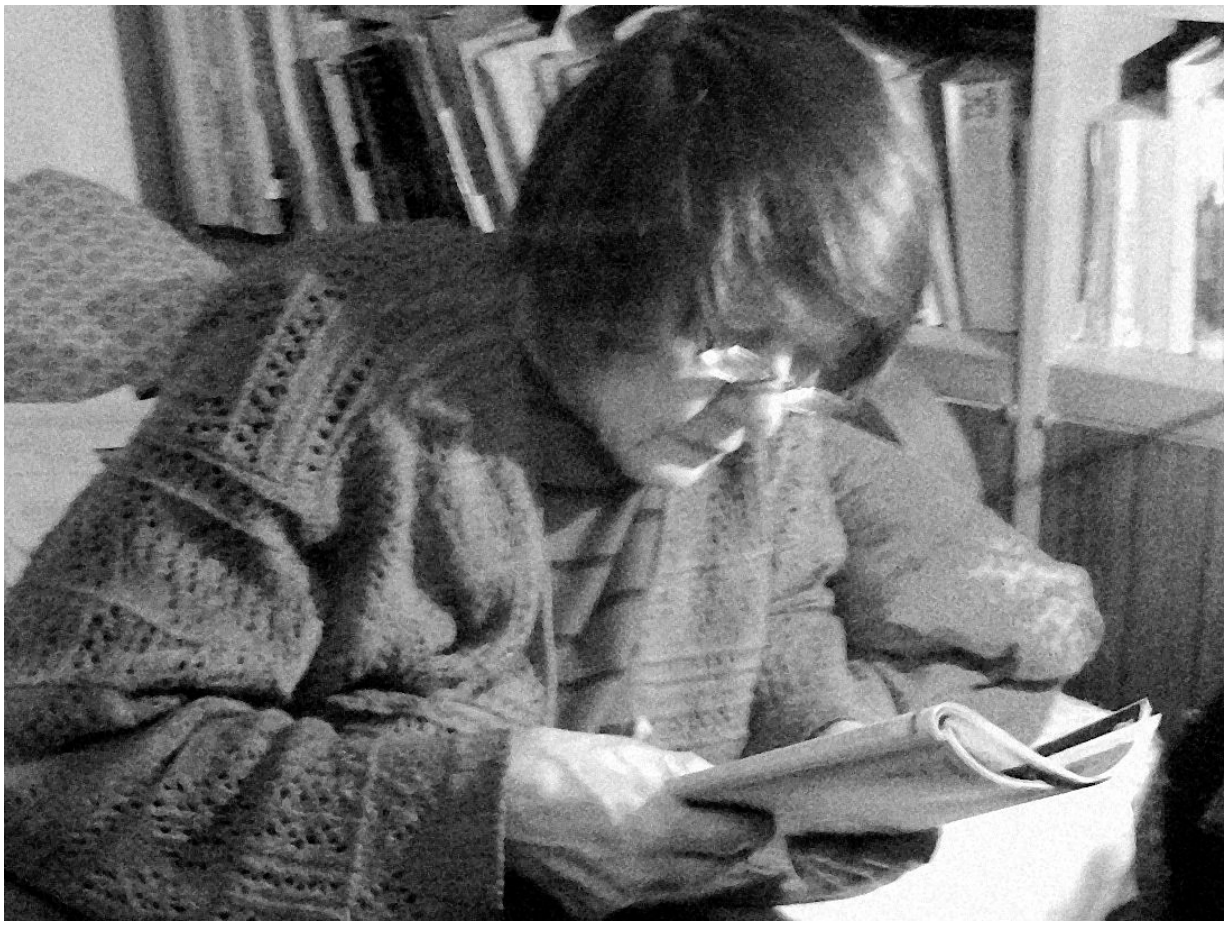

Rena zaczytana, 2008. FOT. J. HEN

Tomek, doktorant we Florencji (historia). FOT. E. MALKA

Madzię — w takiej czapie — cieszy zima. FOT . T. PROĆ

Ewunia, doktorantka w Dartmouth, USA (matematyka). Z ARCHIWUM RODZINNEGO

Ojciec i syn z jakiegoś powodu roześmiani. A może i bez powodu. Z ARCHIWUM RODZINNEGO

Na dworcu w Warszawie, przed wyjazdem na spotkanie autorskie do Poznania, listopad 1994. FOT. T. POŹNIAK

Wśród przyjaciół. Promocja książki Krystyny Kofty. W rzędzie powyżej z lewej: Józef Hen, Jan Ordyński, Wiesław Uchański, Rafał Skąpski. FOT. EWA WIKTORIA REDEL

Ostatnie urodziny K.T. Toeplitza. Jubilat w środku, styczeń 2010. FOT. Z. KAMIŃSKI

Z Januszem Głowackim na wernisażu grafiki Krysi Kofty. FOT. E. MALKA

Podpisywanie książki *Wiem, co mówię*. Grażyna Barszczewska. FOT. E. MALKA

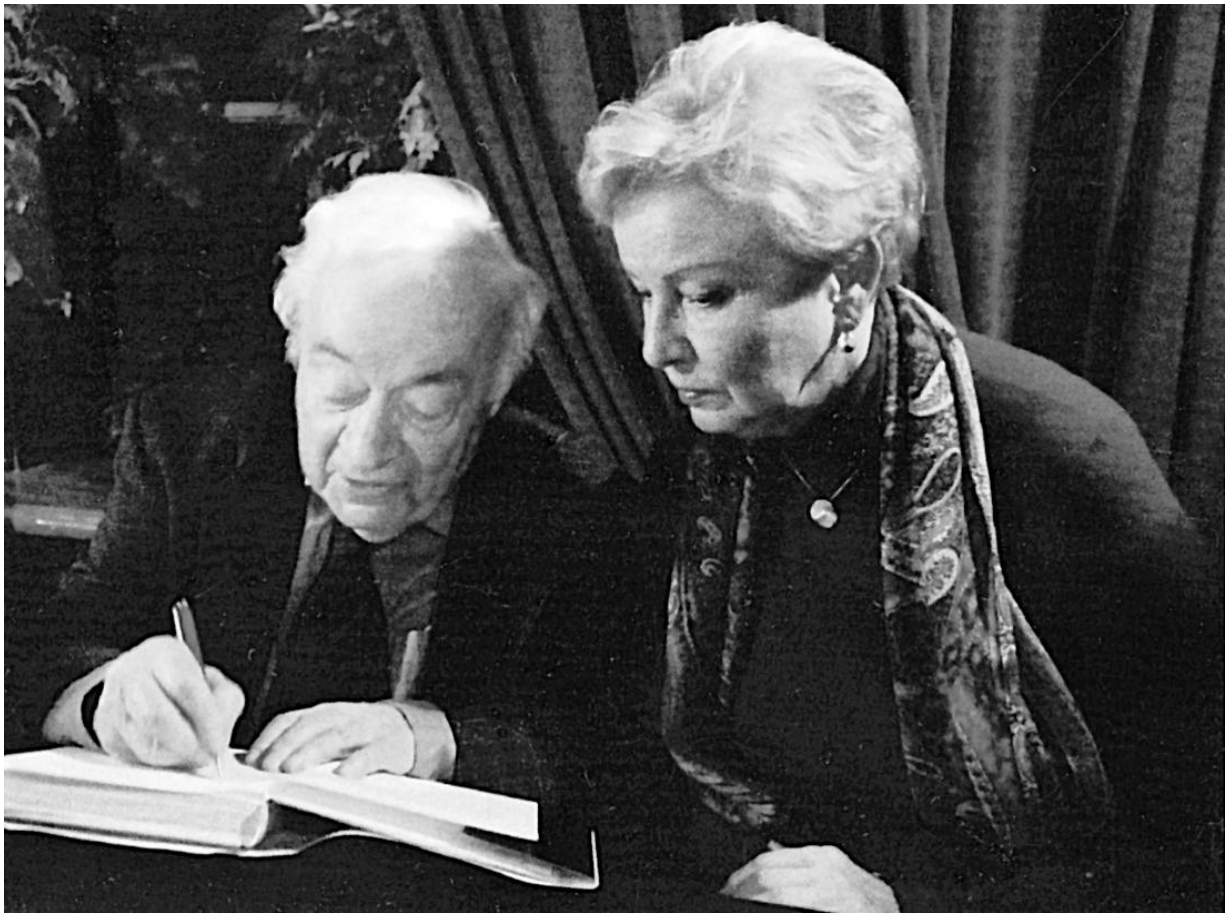

Podpisywanie książki *Wiem, co mówię*. Krystyna Kofta. FOT. E. MALKA

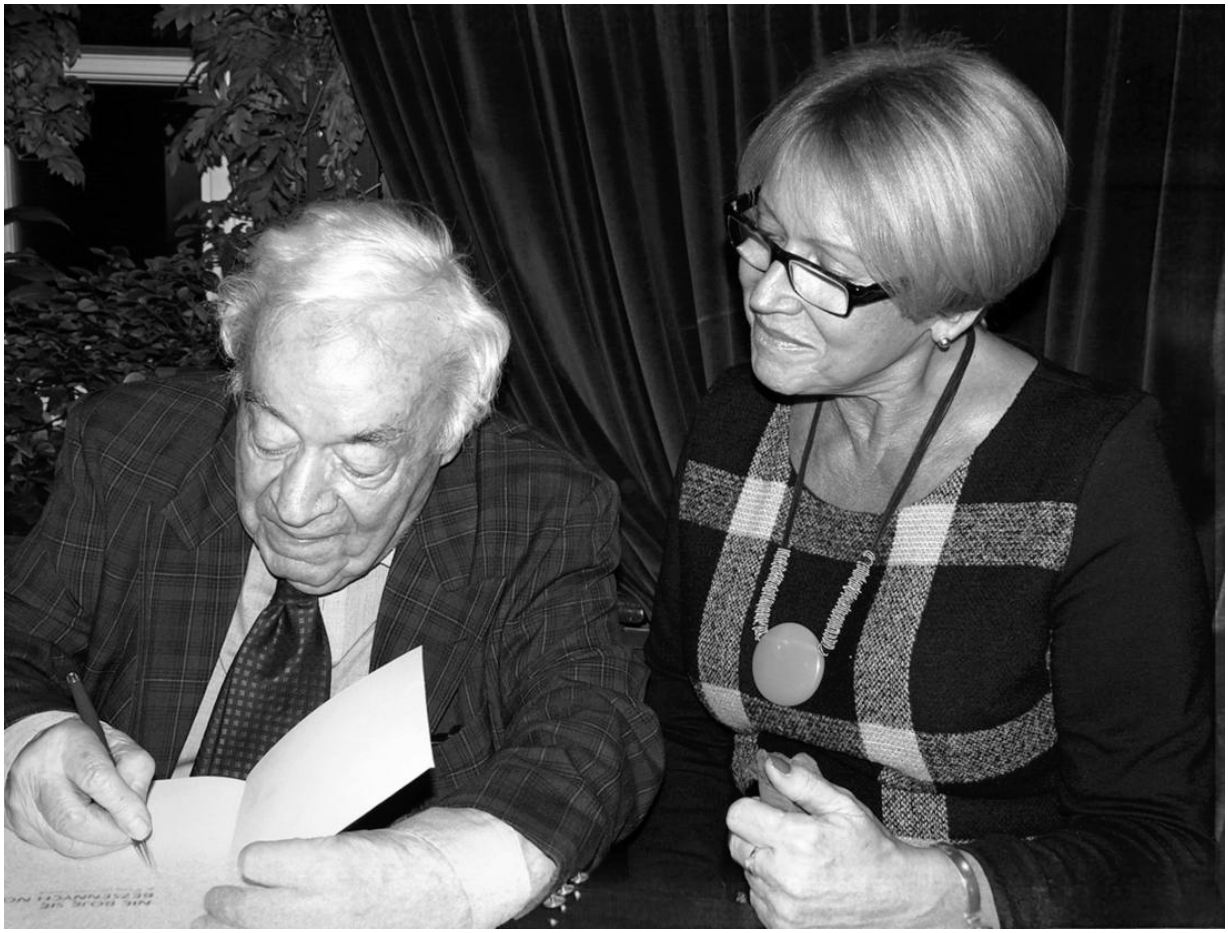

Podpisywanie książki *Wiem, co mówię*. Maja. FOT. E. MALKA

Z Andrzejem Wajdą otwieramy Międzynarodowy Festiwal „Żydowskie Motywy”. FOT. R. ZAWADZKA-BEN DOR

Z Kazimierzem Kutzem po pokazie rekonstruowanego cyfrowo *Nikt nie woła*. FOT. E.MALKA

„Ulubiony autor” z ulubionym czytelnikiem, Wojciechem Pszoniakiem. FOT. R. ZAWADZKA-BEN DOR

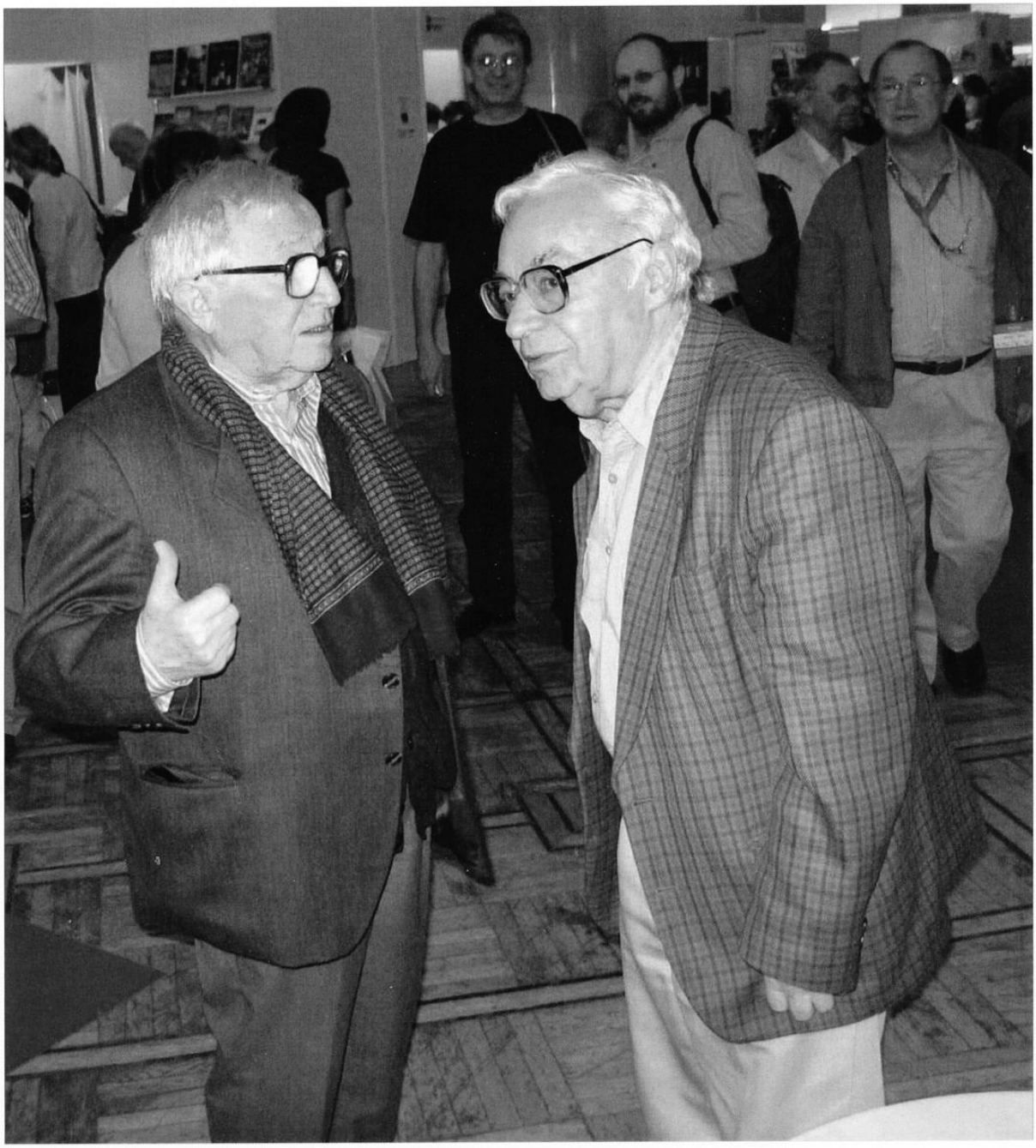

Z Tadeuszem Różewiczem podczas targów książki w Warszawie, 2004 FOT. J. LIPKA-WOŁOWSKI

Podczas promocji w Muzeum Literatury, czytam posłowie do *Nikt nie woła*. FOT. E. MALKA

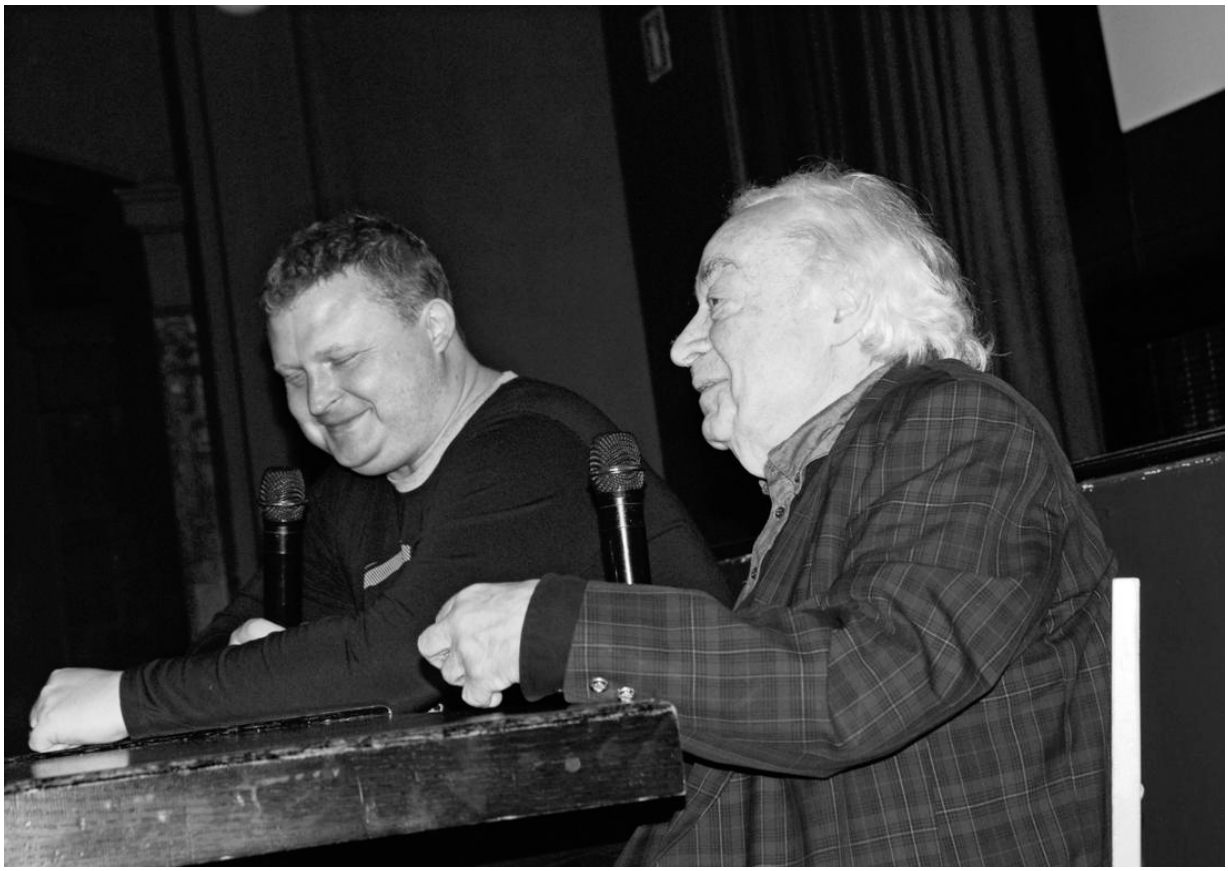

Tomasz Piątek prowadzi spotkanie w kinie Muranów, a ja jestem „honorowym gościem” festiwalu „Żydowskie Motywy”. FOT. E. MALKA

Tomasz Piątek prowadzi spotkanie w kinie Muranów, a ja jestem „honorowym gościem” festiwalu „Żydowskie Motywy”. FOT. E. MALKA

Nagroda m.st. Warszawy. I pozostali nagrodzeni: z lewej Marek Kwiatkowski, Anna Piwkowska, Maciej Wojtyszko, wrzesień 2009. FOT. E. MALKA

Madzia na Krymie, marzec 2010. Z ARCHIWUM RODZINNEGO

Wino z Maćkiem w Muzeum Literatury podczas promocji książki *Nikt nie woła*. FOT A. KOWALSKA, MUZEUM LITERATURY W WARSZAWIE

Dziadek z pierwszym pokoleniem wnucząt, Tomkiem i Ewą, 1991. FOT. M. HEN

Dziadek z następnym pokoleniem wnucząt: Julkiem i Julką. Za nimi: Maciej z żoną Anią. Podczas promocji książki *Nikt nie woła*. FOT. A. KOWALSKA, MUZEUM LITERATURY W WARSZAWIE